PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LIII. Tom 211.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1936

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

Zbrojny pokój na Dalekim Wschodzie.[1])

Rozpoczęta przez Japonję akcja w kierunku gruntownej zmiany układu stosunków i sił w Azji Wschodniej, rozwija się w dalszym ciągu, darząc świat coraz to nowemi niespodziankami. Zamęt panujący w polityce europejskiej w związku ze sprawą włosko-abisyńską i rewizjonistycznemi dążeniami Niemiec, słabość Chin, niezdecydowane stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec zagadnienia Pacyfiku i wreszcie wyraźna obawa Federacji sowieckiej przed uwikłaniem się w konflikt, mogący mieć fatalne następstwa dla jej wewnętrznej stabilizacji — wszystko to stwarzało konjunkturę bardzo sprzyjającą realizacji japońskich planów na lądzie Azji i zachęcało Japończyków do coraz nowych wysiłków celem jej należytego wykorzystania. Chociaż więc zaledwie rok upłynął od czasu, kiedy na łamach niniejszego pisma uczyniliśmy próbę wszechstronnego oświetlenia sytuacji na Dalekim Wschodzie, cały szereg nowych, ważkich posunięć i zasadniczych zmian, dokonanych w międzyczasie na tym terenie, daje znowu obszerny materjał do dalszych wniosków i ciekawych obserwacyj.

Usunięcie sowieckich wpływów z Mandżurji.

Stosunki japońsko-sowieckie, mocno naprężone spowodu długotrwałych i burzliwych rokowań w sprawie sprzedaży kolei wschodnio-chińskiej, na początku ubiegłego roku, po pomyślnem zakończeniu tej tranzakcji, weszły w fazę

[1]) Vide: Powstanie państwa Man-dżou-guo. *Przegląd Powszechny*, kwiecień 1933. Japonja w walce o hegemonję na Pacyfiku. Idem, marzec 1935.

jakby nieco spokojniejszą. W końcu marca odbyło się uroczyście formalne przekazanie sprzedaży kolei jej nabywcom, a w kilka miesięcy potem ostatnie eszelony kilkotysięcznego sowieckiego personalu kolejowego opuściły granice Mandżurji, kierując się do ZSRR. Równocześnie zostały zwinięte wszystkie handlowe, kulturalne i inne sowieckie instytucje na terenie kolei i jako jedyny ślad blisko czterdziestoletnich rosyjskich wpływów w tym kraju, pozostali emigranci, grupa starych emerytów kolejowych oraz pewna ilość sowieckich obywateli, którzy woleli przejść do emigracji, niż wrócić do swojej socjalistycznej ojczyzny. Pierwszy punkt japońskiego programu na azjatyckim lądzie — został wykonany. Wpływy sowieckie zostały z Mandżurji usunięte.

Urzędowi przedstawiciele Japonji i ZSRR., w depeszach gratulacyjnych, wymienionych z okazji zawarcia tranzakcji, wyrazili nadzieję, że pomyślne usunięcie pierwszej przeszkody, hamującej rozwój przyjaznych stosunków między dwoma sąsiedniemi państwami, ułatwi likwidację wszystkich pozostałych i położy początek nowej ery w życiu Dalekiego Wschodu. Były to jednak tylko czcze frazesy i wywołane przez nie wrażenie utrzymało się bardzo niedługo. Już bowiem następne enuncjacje japońskiego rządu brzmiały znacznie chłodniej, co zaś do sfer wojskowych, to ich przedstawiciele odrazu pośpieszyli zaznaczyć, że dopóki liczna armja sowiecka zajmuje długą linję ufortyfikowanych pozycyj nad Amurem, o żadnem polepszeniu stosunków, a tembardziej o wzajemnej współpracy, nie może być mowy.

Pan-azjatycki punkt widzenia.

Ciekawy przyczynek do należytego zrozumienia nastrojów, panujących w pewnym, znacznym odłamie japońskiego społeczeństwa, stanowi przemówienie, wygłoszone na uroczystem posiedzeniu Japońsko-Sowieckiego Towarzystwa w Tokio przez generała Mitsui, jednego z czołowych przedstawicieli ruchu pan-azjatyckiego. Generał stwierdził, że nie widzi podstaw do nadawania tranzakcji kolejowej tak decydującego znaczenia w dziedzinie przyszłego kształtowania stosunków japońsko-sowieckich. Zarówno bowiem ona, jak i szereg innych kwestyj, dotąd nierozwiązanych i spornych

(zagadnienie granic Mongolji Zewnętrznej, japońskich koncesyj na Syberji i Sachalinie i konwencji o połowie ryb) stanowią tylko rozgałęzienia jednego głównego pnia — problemu azjatyckiego, którego rozwiązanie leży obecnie w interesie zarówno Japonji, jak i Rosji sowieckiej i zdecyduje o ich przyszłych wzajemnych stosunkach.

Problem ten nie jest nowy i posiada poważne uzasadnienie etniczne i historyczne. Etnografja mówi, że na całej przestrzeni od Uralu do Pacyfiku mieszkają rozmaite ludy azjatyckie — Burjaci, Mongołowie, Kałmucy, Tunguzi, Jakuci i wiele innych. Wszystkie te ludy są pokrewne i do tejże rasy należy i naród japoński, piastujący wysokie posłannictwo odrodzenia Azji. Badania historyczne dają znowu inny materjał, ułatwiający zrozumienie problemu. Mianowicie był czas, kiedy Mandżurja, Mongolja i obecna sowiecka republika Burjatów stanowiły jedno rozległe i potężne państwo, okręgi Jakucki i Ochocki znajdowały się pod berłem Chin, a Sachalin należał do Japonji.

Ludy azjatyckie mają swoją kulturę oraz swoją twórczą koncepcję narodową, która wkońcu doprowadzi je do samodzielnego rozwiązania azjatyckiego problemu. Naród obcy im rasowo i kulturalnie nigdy nie będzie w stanie całkowicie tego problemu rozwiązać. Kiedy zaś ponadto usiłuje to uczynić przy pomocy doktryny Marksa, nie odpowiadającej ani z formy, ani z treści azjatyckiej psychice, rozlegają się protesty tych ludów, na które Japonja nie może pozostać obojętna.

Dla zasadniczego więc uregulowania stosunków japońsko-sowieckich pozostaje tylko jedna droga: Rosja sowiecka powinna poddać gruntownej rewizji swoją politykę narodowościową i udzielić całkowitej autonomji wewnętrznej wszystkim plemionom azjatyckim, mieszkającym na wschód od Uralu. Dotychczasowa bowiem autonomja istnieje tylko na papierze i okoliczność ta zawsze będzie powodem do ostrych zadrażnień między Japonją i ZSRR. Powstanie i szybki rozwój młodego państwa Man-dżou-guo nietylko kładzie tamę dalszemu rozwojowi komunizmu na Dalekim Wschodzie, ale staje się potężnym impulsem do rozbudzenia świadomości narodowej azjatyckich ludów ZSRR. Należy więc

z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski i w imię zachowania pokoju dobrowolnie umożliwić dalszy historyczny rozwój ludów azjatyckich drogą wyrzeczenia się wszelkiej ingerencji do ich wewnętrznego życia.

Z przemówienia tego wynika, że w Japonji istnieje i otwarcie działa stronnictwo, uważające, że stosunki japońsko-sowieckie dopiero wtedy zostaną należycie i ostatecznie uregulowane, kiedy Rosja sowiecka... zupełnie wycofa się nietylko z Dalekiego Wschodu, ale i z całej Syberji. Są to bowiem ziemie etnicznie i historycznie należące do żółtej rasy. Oczywiście polityka rządu japońskiego nie może opierać się na tego rodzaju krańcowych teorjach, ale ich istnienie, w związku z wrogim stosunkiem ogromnej większości Japończyków do komunizmu, niewątpliwie wyciśnie swoją pieczęć na przyszłem współżyciu Japono-Mandżurji i Federacji sowieckiej.

Mongolja Zewnętrzna nową kością niezgody.

Przy takiem ogólnem nastawieniu większości japońskiego społeczeństwa, a przedewszystkiem potężnej armji, upojonej łatwem opanowaniem Mandżurji, trudno było przypuszczać, aby liczne i poważne kwestje sporne, dzielące obydwa kraje, mogły być rozwiązane drogą przyjaznych rokowań. Żądania japońskie, dotyczące odsunięcia sowieckich wojsk od granicy nad Amurem, zostały kategorycznie odrzucone przez Moskwę, która w danym wypadku o tyle miała rację, że wykonanie tych żądań było równoznaczne z opuszczeniem niedawno wzniesionych, kosztownych fortyfikacyj, a więc z wyrzeczeniem się jedynej w całym kraju linji obronnej. Ze swojej strony Sowiety zaproponowały Japonji zawarcie paktu o nieagresji, co również nie zostało przyjęte. Na martwym punkcie utknęły i rokowania o nowej konwencji rybackiej oraz o konwencjach na Kamczatce i Sachalinie. Moskwa zdążyła wykorzystać długi okres pertraktacyj kolejowych na wzmocnienie swojej zdolności obronnej na Dalekim Wschodzie, nie okazywała więc już dawnej ustępliwości, a coraz wyraźniej dawała do zrozumienia, że swoich praw i posiadłości bronić potrafi.

Powodem do nowego ostrego zatargu stało się zagadnienie Mongolji Zewnętrznej. Kraj ten obejmuje północną część Mongolji, a od południowej (t. zw. Mongolji Wewnętrznej) dzieli go wielka pustynia Gobi. Na północy graniczy z Rosją, od której oddawna zależał ekonomicznie, należąc nominalnie do Chin. W roku 1912, po chińskiej rewolucji, Mongolja Zewnętrzna, przy pomocy Rosji stała się teokratyczną monarchją pod berłem urgińskiego Hetuhty (Żywego Buddy — najwyższego dostojnika mongolskiej hierarchji lamaickiej). Celem zaspokojenia miłości własnej Chin, Rosja uznała ich suwerenne prawa nad Mongolją, nie miało to jednak żadnego praktycznego znaczenia i kraj ten odtąd znajdował się pod zamaskowanym, ale niewątpliwym rosyjskim protektoratem. Od 1921 roku protektorat nad Mongolją Zewnętrzną objął rząd sowiecki, również gwarantując suwerenne prawa Chin z tą tylko różnicą, że zamiast teokratycznej monarchji została ogłoszona Mongolska Republika Ludowa z ustrojem wzorowanym na sowieckim. Posiadanie Mongolji Zewnętrznej ma dla Sowietów wielkie znaczenie strategiczne, gdyż granica mongolsko-sowiecka przechodzi zaledwie 200 klm. od Irkucka, jeziora Bajkału i syberyjskiej kolei.

Zatarg wyniknął na tle nieustalenia granic między Mogolją Z. i Mandżurją. Dopóki Mandżurja należała do Chin, kwestji granic nikt nie poruszał, tembardziej, że chodziło o szczery step, po którym i z jednej i z drugiej strony koczowali Mongołowie. Z chwilą powstania niepodległej Mandżurji delimitacja granic nabrała poważniejszego znaczenia, a w każdym razie mogła być wykorzystana jako pretekst do zaczepki. Tak się też stało. Mandżurska straż graniczna zajęła odcinek mongolskiego terytorjum obok jeziora Buir-nor, twierdząc że ziemia ta należy do Mandżurji i została nieprawnie okupowana przez Mongołów. Po kilku krwawych granicznych starciach, władze mandżurskie zaproponowały Mongołom zwołanie konferencji celem zbadania incydentu i ostatecznego ustalenia granicy. Konferencja odbyła się w mieście Man-dżu-li (Mandżurja), na granicy mandżursko-sowieckiej i delegacja mandżurska odrazu wysunęła kwestję wzajemnej wymiany dyplomatycznych przed-

stawicieli, jak to jest, w zwyczaju we wszystkich państwach niepodległych.

Mongołowie, jak również i potajemnie kierująca nimi Federacja sowiecka, widocznie byli zaskoczeni tą propozycją. Dopuszczenie do Urgi (obecnie Ułań Bator) eksterytorjalnego przedstawiciela państwa, które już dało dowody zaborczych aspiracyj w stosunku do Mongolji, nie mogło uśmiechać się Sowietom. Równocześnie jednak nie leżało w ich interesie wyjawienie ich rzeczywistej roli w Mongolji, ponieważ i Japonja nie brała oficjalnie udziału w konferencji. Sprawa więc toczyła się w dalszym ciągu między Mongolją a Mandżurją i Mongołowie odrzucili propozycję pod pretekstem, że i przedstawiciele innych państw, z wyjątkiem ZSRR i Chin, w Urdze nie rezydują. Konferencja została rozwiązana, do żadnego porozumienia nie doszło i odtąd nietylko na granicy mongolsko-mandżurskiej, ale i na całej granicy mandżursko-sowieckiej rozpoczęła się serja incydentów, wywoływanych przez znalezienie się zbrojnych oddziałów jednej ze stron na terytorjum drugiej.

Kto miał rację w każdym poszczególnym wypadku — trudno ustalić. Źródła sowiecko-mongolskie oskarżały Japono-Mandżurów, źródła japońskie i mandżurskie — przypisywały winę oddziałom sowiecko-mongolskim. Obie strony zasypywały się wzajemnie notami protestu i wysuwały propozycję powołania granicznych komisyj rozjemczych. Pomimo to komisyj nie powoływano, a incydenty trwały w dalszym ciągu. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Japończycy pragnęli w ten sposób wyjaśnić stopień zainteresowania Sowietów Mongolją, aby na podstawie tego wywnioskować, czy w razie potrzeby zdecydują się one na zbrojne wystąpienie w jej obronie. Życzeniu temu stało się wreszcie zadość, bo w kwietniu b. r. Moskwa zawarła formalny sojusz obronny z rządem mongolskim, ostatecznie precyzując swoje przyszłe stanowisko w razie konfliktu.

Zasługuje na uwagę, że po ogłoszeniu sojuszu sowiecko-mongolskiego, incydenty graniczne prawie ustały. W prasie japońskiej ukazało się kilka ostrych artykułów, kwestjonujących prawomocność sojuszu z pan-azjatyckiego punktu widzenia, naogół jednak stosunki uległy pewnemu odpręże-

niu i wznowione rokowania doprowadziły wreszcie do decyzji powołania komisji delimitacyjnej, zarówno w celu ustalenia granic sowiecko-mandżurskich, jak i mandżursko-mongolskich.

Mongolja Wewnętrzna — państwo buforowe.

Mongolja Wewnętrzna, czyli część Mongolji położona na południe od pustyni Gobi i graniczącą z posiadłościami Chin Właściwych, została w r. 1930 podzielona na cztery prowincje: Ze-ho, Czahar, Sui-juan i Nin-sia. Na czele każdej z nich stał generalny gubernator, łączący w swojej osobie władzę wojskową i cywilną, ze względu zaś na właściwości ustroju chińskiego, korzystający niemal z całkowitej autonomji wewnętrznej. Ponieważ jednak tylko południowe części tych prowincyj były już skolonizowane przez Chińczyków, a w stepach północnych koczowały plemiona mongolskie, przeto chiński ustrój prowincjonalny obejmował tylko obszary skolonizowane, Mongołom zaś pozostawiono w dalszym ciągu swobodę koczowania i ich patrjarchalny ustrój pod władzą książąt i sejmów. Ta pseudo-niepodległość Mongołów okazała się dużym atutem dla Japończyków, którzy pod pretekstem nieścisłości granic mogli poza kontrolą chińską nawiązać stosunki z mongolskimi książętami.

Prowincja Ze-ho została przez wojska japońsko-mandżurskie opanowana jeszcze w roku 1932, jako rzekomo przynależna do państwa mandżurskiego. Na początku zaś 1935 roku sztab kwantuńskiej armji japońskiej zmusił wojska chińskie do wycofania się z północnej (mongolskiej) części sąsiedniej prowincji Czahar, twierdząc, że ziemie te należą do Ze-ho. W rezultacie tego posunięcia, na pograniczu Ze-ho-Czahar powstała niewielka i oficjalnie nie proklamowana „mongolska republika" Dolon-nov, z miastem tej nazwy, jako stolicą. Była to oczywiście tylko brama wypadowa do dalszych prób zrewoltowania Mongolji. Mongołowie, aczkolwiek nie posiadający żadnej siły realnej, a więc zupełnie bezbronni wobec Chińczyków, swoich długoletnich władców, dobrze zachowali w pamięci sławną historję swojego narodu z czasów Czyngis-Chana i Hubilaja i mając zapewnione poparcie Japonji, przychylnie ustosunkowali się

do myśli o wskrzeszeniu niepodległej Mongolji. Pomimo więc wysiłków rządu nankińskiego, starającego się drogą obietnic i daleko-idących ustępstw zapewnić sobie ich lojalność, czaharscy Mongołowie pod wodzą księcia De-Wanga ogłosili w ubiegłym październiku Republikę Mongolji Wewnętrznej w granicach mongolskich obszarów prowincji Ze-ho i Czahar.

Akt ten jednak dotąd nie miał żadnych dalszych konsekwencyj, a to dlatego, że w tym samym czasie Japończycy uczynili próbę oderwania całych Chin Północnych od reszty państwa, o czem mówić będziemy poniżej. W razie zrealizowania tego imponującego planu, zostałaby automatycznie załatwiona i kwestja niepodległości Mongolji Wewnętrznej i to już całej, a nie tylko Ze-ho i Czaharu, albowiem pertraktacje w tej sprawie zostałyby przeprowadzone nie z rządem nankińskim, lecz z autonomicznemi władzami Chin Północnych, bardziej zależnemi od Japonji. Formalnie więc sprawa uległa zawieszeniu, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że autonomja (właściwie niepodległość pod opieką Japonji) dwuch mongolskich prowincyj — de facto istnieje w dalszym ciągu i stanowi jeden z atutów Japonji w jej politycznej grze z Chinami.

Wobec tego, że zagadnienie Mongolji Wewnętrznej w obecnej fazie swojego istnienia, znajduje się w bezpośrednim związku z całokształtem problemu Chin Północnych, nie będziemy usiłowali odgadnąć terminu i sposobów jego rozwiązania. Natomiast postaramy się sformułować istotę planów japońskich, dotyczących tego kraju, w formie, w której przedstawiają się one opinji zachodniej. Mianowicie Japonji chodzi o stworzenie „korytarza", dzielącego Rosję sowiecką od Chin. O ile bowiem akcja, mająca na celu całkowite usunięcie Sowietów z Dalekiego Wschodu, ze względu na rosnącą ich zdolność obronną, wydaje się coraz bardziej problematyczna, a w każdym razie wymagałaby ogromnych wysiłków, o tyle stworzenie z ziem mongolskich niepodległej „Wielkiej Mongolji", nastrojonej ultra-nacjonalistycznie, zamiłowanej w swoich historycznych tradycjach i znajdującej się pod zupełnym wpływem Japonji — jest rzeczą bardzo możliwą. Pas niepodległej i wrogiej Sowietom

ziemi mongolskiej przeciąłby wszystkie drogi, wiodące z Syberji do Chin i położyłby kres penetracji komunizmu do tego kraju.

Plan ten, posiadający wszelkie cechy słuszności i politycznej zapobiegliwości, ma jednak i słabą stronę, jest bowiem cokolwiek spóźniony. Mianowicie trudno byłoby wyobrazić „Wielką Mongolję" bez Mongolji Zewnętrznej, zaś jej znaczenie jako państwa-buforu byłoby niekompletne bez ścisłego sojuszu z Chińskim Turkiestanem. Tymczasem w obu tych krajach dominujące znaczenie posiadają już wpływy sowieckie.

Kontr-akcja sowiecka w Mongolji Zewnętrznej i Turkiestanie.

Jak już zaznaczyliśmy, długotrwałe naprężenie stosunków między Japonją i Rosją sowiecką pozwoliło tej ostatniej na poważne wzmocnienie swojej zdolności obronnej na Dalekim Wschodzie. Wzdłuż wybrzeży rzek Arguni, Amuru i Ussuri, stanowiących naturalną granicę sowiecko-mandżurską, wyrosły potężne fortyfikacje, obsadzone przez liczną i doskonale zaopatrzoną w środki techniczne armję, we Władywostoku powstała wielka baza samolotowa, wybudowano drugi tor na kolejach Syberyjskiej i Amurskiej, a wysiłki „piatiletki" na Dalekim Wschodzie poszły w kierunku zapewnienia tym terenom samowystarczalności gospodarczej. Równocześnie ekspansja polityczna Sowietów skierowała się ku Mongolji Zewnętrznej i Chińskiemu Turkiestanowi, celem konsolidacji wpływów sowieckich już istniejących w pierwszym z tych krajów oraz ich zapoczątkowania — w drugim.

Formalny sojusz obronny, zawarty ostatnio między Związkiem sowieckim i Mongolją Zewnętrzną, nie pozostawia już żadnych wątpliwości co do pozycji, którą Sowiety zajmą w razie zaostrzenia się pogranicznych nieporozumień z Japono-Mandżurją. W związku z tem kierownictwo całej akcji, zmierzającej do wzmocnienia obrony tego kraju, spoczywa w rękach sowieckiego sztabu generalnego. Armja mongolska, należycie zaopatrzona przez sojusznika w sprzęt techniczny, znajduje się pod dowództwem sowieckich instruktorów

i przedstawia siłę niewielką, ale dobrze wyćwiczoną i wystarczającą dla wojny podjazdowej i odparcia pierwszych ataków. Zadaniem jej w przyszłej wojnie będzie prawdopodobnie zatrzymanie awangardy armji nieprzyjacielskiej do czasu, aż główne siły sowieckie zdążą się skoncentrować na drugiej linji obronnej, idącej wzdłuż granicy sowiecko-mongolskiej. Celem wzmocnienia łączności między Mongolją i ZSRR, odbywa się gorączkowa budowa nowych linij kolejowych. Powstaje więc drugi tor na kolei Wierchnieudińsk - Ułań - Bator, buduje się kolej od Semipałatińska (na Turksibie) do Uljasutaju, drugiego większego miasta Mongolji. Ma być ona przedłużona do Urgi (Ułań - Bator) i tym sposobem przejdzie przez środek pustego kraju i zmieni jego dotychczasowy charakter.

Co się tyczy Chińskiego Turkiestanu, to obecna polityka ZSRR w tym kraju jest tylko wznowieniem dawnej polityki, uprawianej przez carską Rosję. Chiński Turkiestan, (czyli prowincja Sin - Dziang) obejmujący około półtora miljona kw. klm., przy niespełna trzech miljonach mieszkańców i oddzielony od Chin wielkiemi obszarami trudnej do przebycia pustyni Takla - makan, oddawna budził zaborcze aspiracje w Rosji, ponieważ etnicznie stanowił naturalne przedłużenie jej posiadłości w Azji Środkowej. Kiedy więc w roku 1871 krwawe powstanie Dunganów i Taranczynów zostało przez Chiny stłumione tylko dzięki pomocy okazanej przez Rosję, wojska rosyjskie okupowały północno-zachodnią część Turkiestanu, t. zw. kraj Ilijski (od rzeki Ili) i zdawało się, że Chiny nigdy już ziemi tej nie będą mogły odzyskać. Stało się jednak inaczej, gdyż chociaż na zasadzie traktatu w Liwadji w roku 1879 obwód Ilijski został formalnie odstąpiony Rosji, w dwa lata później (w 1881 r.) traktat Petersburski ostatecznie zwrócił go Chinom. Z jednej strony grał tu rolę wrogi stosunek W. Brytanji do usadowienia się Rosji w pobliżu Tybetu i Indyj, z drugiej strony — zagadnienie hegemonji na Pacyfiku, które już wówczas, w związku z zamierzoną budową Wielkiej Kolei Syberyjskiej, zaczęło absorbować Rosję i skłoniło ją do czasowego wyrzeczenia się aneksji Chińskiego Turkiestanu. Ekonomiczne jednak wpływy Rosji w dalszym ciągu rozwijały się w tym

kraju i znaczna ilość Sartów, obywateli rosyjskich, mieszkała w miastach Ilijskiego obwodu, stanowiąc najzamożniejszą grupę jego ludności.

W pierwszych latach po rewolucji penetracja Sowietów do Sin-Dziangu spotkała się ze sprzeciwem władz miejscowych, znajdujących się pod wpływem niedobitków białej armji rosyjskiej, które tam znalazły schronienie. Z biegiem jednak czasu względy ekonomiczne przeważyły i handel sowiecki wznowił swoją działalność na dawnych placówkach. Wślad za nim przyszły i wpływy polityczne.

W roku 1934 wybuchło wielkie powstanie muzułmańskie, które objęło całą południową część Sin-Dziangu i doprowadziło do utworzenia niepodległej republiki. W wypadkach ówczesnych upatrywano rękę W. Brytanji, która rzekomo pragnęła przeciwstawić muzułmański ruch niepodległościowy, sowieckim wpływom na władze chińskie. Czy tak było w istocie — trudno stwierdzić, nie ulega jednak wątpliwości, że władze sowieckie okazały chińskiemu gubernatorowi daleko idącą pomoc w stłumieniu powstania i w likwidacji muzułmańskiej republiki. Zwycięstwo więc Chińczyków było zarazem zwycięstwem Sowietów. Nowy gubernator prowincji, który uzyskał władzę dzięki ich pomocy, stał się w ich rękach posłusznem narzędziem. Jakiś czas kursowały nawet pogłoski, że w prowincji Sin-Dziang powstała republika komunistyczna, na wzór mongolskiej, która ponadto zgłosiła akces do Federacji sowieckiej. Informacje późniejsze pogłoskom tym zaprzeczyły, wpływy jednak sowieckie widocznie bardzo już opanowały ten kraj. Na początku b. r. władze miejscowe zawarły z Sowietami umowę, przewidującą mianowanie sowieckich doradców, celem uporządkowania stanu administracji i finansów w prowincji oraz stworzenia należytej siły zbrojnej. Doradcy ci obecnie już objęli swoje stanowiska, w mieście Di-hua (Urumczi), stolicy Sin-Dziangu, założono sowiecką akademję wojenną oraz szkołę lotniczą, a wojska chińskie znajdują się pod kierownictwem sowieckich instruktorów.

Równocześnie daje się zauważyć szybki rozwój stosunków ekonomicznych z Federacją sowiecką. Budowa kolei Turkiestańsko-Syberyjskiej (Turksib) już sama przez się

zbliżyła Turkiestan do Moskwy, obecnie zaś zbudowano sieć dróg samochodowych od granicy sowieckiej do większych miast chińskich. Od jednej ze stacyj Turksibu, buduje się kolej do położonego w pobliżu granicy chińskiego miasta Czuguczaku, a druga do pogranicznego miasta sowieckiego Zajsanu. Drogę z Moskwy do Sin-Dziangu obecnie już można przebyć w ciągu dwuch tygodni, podczas gdy droga do Pekinu zajmie niemniej niż dwa miesiące i może być odbyta tylko w formie całej ekspedycji. Rząd nankiński niedawno interpelował gubernatora prowincji w sprawie zawartego przezeń porozumienia z Sowietami i otrzymał zapewnienie, że nie zaszło nic takiego, co by mogło grozić chińskim prawom suwerennym. Nankin zmuszony był na tem poprzestać, ze względu na niemożliwość natychmiastowej interwencji, ale trudno przypuścić, aby taka odpowiedź uspokoiła jego słuszne obawy. Zresztą w obecnych warunkach było do przewidzenia, że Sin-Dziang wcześniej lub później podzieli los innych północnych peryferyj chińskich.

Ponieważ Sin-Dziang bezpośrednio graniczy z Mongolją Zewnętrzną, wzdłuż południowej granicy Syberji i wschodniej — sowieckiego Turkiestanu, tworzy się szeroki pas ziemi buforowej, chroniący granice sowieckie od napadu z zewnątrz. Poza tem stworzenie niepodległej Mongolji Zewnętrznej i defacto również niepodległego Sin-Dziangu może być rozpatrywane jako kontr-akcja sowiecka, przeciwko japońskiej koncepcji „Wielkiej Mongolji" i „anty-komunistycznej tamy" między ZSRR i Chinami. Załatwienie w drodze dyplomatycznej sprzecznych interesów obu mocarstw na tym odcinku — wydaje się wykluczone.

Autonomja Chin Północnych.

Według niejednokrotnych urzędowych enucjacyj dotychczasowego ministra spraw zagranicznych Japonji, Kooki Hiroty (obecnie premjera rządu), powtórzonych przez jego następcę, ministra Aritę, polityka japońska w stosunku do Chin opiera się na trzech głównych tezach: pierwsza — zasadnicze uregulowanie stosunków obu państw, z usunięciem z nich elementów nieufności i zadrażnień; druga — uznanie

przez Chiny niepodległości Mandżurji; trzecia — zgoda Chin na przystąpienie do antykomunistycznego bloku, złożonego z Japonji i Mandżurji. Przyjęcie tych trzech tez przez Chiny ma zapewnić trwały pokój w Azji Wschodniej i zapoczątkować nową erę w rozwoju stosunków japońsko-chińskich. Odrzucenie zaś ich jest przyczyną całej dotychczasowej akcji japońskiej, zupełnie niesłusznie uważanej za agresję. W istocie bowiem były to tylko próby przekonania Chin co do konieczności przyjęcia japońskich tez, mających na celu wspólne dobro obu narodów.

Sam kierownik japońskiej polityki zagranicznej, równocześnie stwierdza za każdym razem, że Chiny dotąd są bardzo dalekie od należytego zrozumienia celowości japońskich rad i przekładają politykę opartą na współpracy z Ligą Narodów i zachodnim kapitałem. Tak też jest w istocie i takie nastawienie z bezstronnego punktu widzenia, trudno uważać za objaw złej woli rządu chińskiego lub za niezrozumienie przezeń własnego interesu. Poglądy bowiem dwuch sąsiednich mocarstw azjatyckich na rozwój wzajemnych stosunków, są zasadniczo różne. Czterystumiljonowe państwo chińskie, odradzające się ponadto po długim okresie anarchji i wojny domowej, nie chce i nie może zgodzić się na podrzędną rolę satelity Japonji, a w sojuszu z Japonją nie widzi odpowiedniej kompensaty za wymagane od niego zerwanie z Zachodem. Poza tem oderwanie Mandżurji, walki za Wielkim Murem, atak na Szanghaj i stopniowe „przyswajanie" Mongolji wewnętrznej — stanowią wydarzenia zbyt świeże i zbyt bolesne dla dumy narodowej Chin, aby mogły one przejść nad niemi do porządku dziennego. Wprawdzie groźba dalszej agresji japońskiej skierowanej ku Chinom Północnym, zmusza je do stosowania polityki raczej ugodowej, chodzi tu jednak widocznie tylko o wygranie na czasie, co znowu ze względu na naprężenie stosunków japońsko-sowieckich i niepokój wywoływany przez politykę japońską u państw zachodnich, wydaje się zupełnie uzasadnione i słuszne. Zresztą Chiny, ze względu na obszar i zaludnienie, nie mają potrzeby tak już bardzo obawiać się następstw japońskiej agresji, która ekonomicznie nie byłaby w stanie objąć większego obszaru chińskiego terytorjum.

Mniejwięcej tego rodzaju poglądy i rozumowania złożyły się na wytworzenie obecnych stosunków między Chinami i Japonją. Czynnikiem dążącym do ich zmiany i stronnikiem polityki „faktów dokonanych" była dotąd stacjonująca w Mandżurji i na pograniczu Chin Północnych, potężna armja japońska (kwantuńska), której dowództwo uważało, że konjunktura obecna najbardziej sprzyja realizacji japońskich planów i że stracona okazja może się w przyszłości nie powtórzyć. Równocześnie więc z rokowaniami dyplomatycznemi, których wyniki były prawie żadne, sztab armji kwantuńskiej prowadził swoją politykę, mającą na celu wyodrębnienie Chin Północnych od reszty kraju. Uzasadnieniem tej akcji były pewne różnice etniczne, polityczne i gospodarcze, istniejące między Chinami Północnemi a domeną bezpośrednich wpływów i władzy rządu Nankińskiego. Ludność Chin Północnych posiada znacznie większą domieszkę krwi mongolskiej i mandżurskiej i zarówno z wyglądu, jak i z charakteru, różni się od swoich południowych współbraci. Następnie — ostatnie kilka wieków historji Chin upłynęły pod hegemonją północy, gdzie znajdowała się stolica kraju — Pekin. Przeniesienie więc siedziby rządu centralnego na południe do Nankinu pozbawiło Pekin jego przodującej roli i stworzyło wśród polityków i działaczy północnych liczną grupę malkontentów nowego ustroju. Wreszcie — Chiny Północne ze względów gospodarczych były najwięcej zainteresowane we wznowieniu politycznych i handlowych stosunków z Mandżurją. Wszystkie te okoliczności zostały umiejętnie wykorzystane przez emisarjuszów armji kwantuńskiej, wśród których celował generał Doihara, szef japońskiej misji wojskowej w Mukdenie.

Japońskie sfery wojskowe widocznie posiadały informacje o pomyślnym rozwoju ruchu separatystycznego w Chinach Północnych, gdyż zarówno w prasie, jak i w enuncjacjach odpowiedzialnych czynników kwantuńskiej armji, zaczęły ukazywać się zapowiedzi zbliżających się na tym terenie zasadniczych zmian ustrojowych. Zresztą grunt dla nich został zawczasu przygotowany przez rozwiązanie, w wyniku presji japońskiej, w obrębie całej prowincji Ho-bej (Pekińskiej) oddziałów partji Guo-min-dang i organizacji t. zw.

Błękitnych koszul, czynnych ekspozytur rządu nankińskiego. Reforma finansowa, zamierzona przez rząd nankiński za poradą angielskiego rzeczoznawcy, Sira Frederica Leith-Rossa, jeszcze bardziej zaostrzyła sytuację. Chodziło o oparcie chińskiego dolara na angielskim funcie szterlingu, w związku z czem wszystkie zapasy srebra w bankach prowincjonalnych powinny były zostać wycofane z obiegu i zdeponowane w Banku Chińskim w Szanghaju. Prowincje północne odmówiły wydania srebra i stan wzajemnego rozdrażnienia, który wytworzył się między Nankinem i Chinami Północnemi, postanowili wykorzystać autonomiści i... ich opiekunowie. Sytuacja wydawała się tak jasna, że nietylko generał Doihara, ale i dowódca japońskich sił zbrojnych w Chinach Północnych, generał Tada, zapowiedzieli ogłoszenie autonomji pięciu północnych prowincyj na 20 listopada u. r.

Tym razem jednak polityka sfer wojskowych doznała dotkliwej porażki. Decydujące czynniki polityczne Chin Północnych, albo nie dotrzymały swych obietnic, albo zostały źle zrozumiane przez Japończyków, słowem w wyznaczonym terminie ani jedna z pięciu prowincyj nie proklamowała autonomji. Cały imponujący plan oderwania od Chin ogromnego obszaru ze stumiljonową ludnością — spełzł na niczem. Nie była to porażka Japonji, gdyż rząd japoński nie brał formalnego udziału w całej tej akcji i mógł się do niej nie przyznawać, ale sfery wojskowe były mocno podrażnione i na pociechę dokonały posunięcia, które znacznie zmniejszyło dyplomatyczny tryumf Nankinu.

Na zasadzie rozejmu, zawartego w 1933 roku, między wojskami Chin i Japonji, została ustalona strefa zdemilitaryzowana, zajmująca około 5.000 kw. klm. od Wielkiego Muru do okolic Pekinu. Administrację cywilną tej strefy rząd nankiński powierzył niejakiemu Ing Dżu-geng'owi, którego kandydaturę podtrzymało dowództwo japońskie. Od tego czasu strefa, zamknięta dla wojsk chińskich, kilkakrotnie była areną działalności potężnych band partyzanckich czy bandyckich, co wywoływało potrzebę zbrojnej interwencji japońskiej i przykre incydenty dyplomatyczne między Chinami a Japonją. Ten właśnie Ing Dżu-geng, po

niepowodzeniu akcji autonomicznej w Chinach Północnych, ogłosił „autonomję strefy zdemilitaryzowanej" i nie poprzestając na tem, wyruszył na czele swojej cywilnej milicji „na podbój" Pekinu i Tien-tsinu. Wystąpienie to, ze względu na dysproporcję sił, byłoby tylko śmieszne, gdyby dowództwo ekspedycyjnych wojsk japońskich równocześnie nie zapowiedziało, że wszelkie użycie przemocy w stosunku do autonomistów będzie uważało za wrogi objaw względem siebie. Wobec tego autonomiści bezkarnie urządzili rozruchy w Pekinie i Tien-tsinie, a kiedy ich wreszcie stamtąd usunięto, zdołali opanować twierdzę Tazg-ku.

W związku z tem wytworzyła się sytuacja, która zaczęła poważnie niepokoić zarówno rząd nankiński, jak i odpowiedzialne czynniki Chin Północnych. W braku innego wyjścia zdecydowano zrobić częściowe ustępstwa armji kwantuńskiej, proklamując za zgodą rządu centralnego autonomję dwuch prowincyj — Ho-bej i Czahar, pod nazwą obwodu Hua-bej. W obrębie pierwszej z tych prowincyj znajdowała się i strefa zdemilitaryzowana, która przybrała nazwę Ci-dung, spodziewano się więc, że autonomja większego obwodu automatycznie położy kres „niepodległości" strefy. Nadzieje te jednak zawiodły, gdyż władze nowego obwodu, na czele z generałem Sung Dże-juan, okazały się zbyt lojalne w stosunku do rządu nankińskiego i armja kwantuńska wolała na wszelki wypadek zachować odrębność obwodu Ci-dung, jako cierń w ciele niepewnego sojusznika. Władze więc Hua-bej działały w całym obwodzie, z wyjątkiem strefy zdemilitaryzowanej, której szef rezydował w mieście Tung-dżou, w dwudziestu klm. od Pekinu.

Bunt wojskowy w Tokio.

Niewyraźna sytuacja, panująca na obu odcinkach japońskiej akcji politycznej — sowieckim i chińskim, oddawna już budziła niezadowolenie w szeregach armji, domagającej się energicznego działania. T. zw. militaryści mieli głęboką urazę do władz cywilnych, zwłaszcza do dyplomacji, o to, że nie pozwoliły im w swoim czasie wykorzystać nieprzygotowania Rosji sowieckiej do obrony i wraz z Mandżurją opanować sowieckich terenów daleko-wschodnich. Władze

centralne ze swojej strony były niezadowolone z samodzielnej polityki armji kwantuńskiej, stawiającej je za każdym razem „przed faktem dokonanym". Niezadowolenie to znalazło swój wyraz w wielkich rugach personalnych, dokonanych przez ministra wojny, generała Hayaszi latem ub. r. Ponad trzy tysiące oficerów różnych stopni zostało zdymisjonowanych lub przeniesionych na inne stanowiska i w tej liczbie znaleźli się dwaj generałowie, uznani przywódcy „wojennych ekstremistów, b. minister wojny Araki i szef wychowania armji — Mazaki.

Wkrótce potem jeden z przeniesionych oficerów, ppułkownik Aizawa, zamordował generała Nagatę, najbliższego współpracownika ministra Hayaszi, uważając go za winowajcę dokonanych rugów. Proces jego dał militarystom powód do ostrych wystąpień przeciwko polityce rządowej i przez pewien czas wydawało się, że ekstremiści wezmą górę i polityka japońska potoczy się w zupełnie innym kierunku. Sytuacja doszła do najwyższego napięcia w końcu lutego b. r., kiedy garstka młodych zapaleńców - oficerów zbuntowała cały pułk i dokonała szeregu mordów na osobach ministrów i najwyższych dygnitarzy państwowych. Buntownicy żądali usunięcia rządu i zastąpienia go przez „prawdziwych patrjotów", którzy byliby w stanie przeprowadzić w kraju konieczne reformy, położyć koniec korupcji urzędów i wyzyskowi mas pracujących przez kapitał, jak również prowadzić politykę zagraniczną, godną wielkiego mocarstwa. Program swój nazwali „Restauracją Szowa", [1]) co miało oznaczać powrót do dawnego obcowania cesarza z narodem, bez szkodliwych pośredników. W rzeczywistości chodziło nie o osobę cesarza, świętą dla każdego Japończyka i w żadnej mierze nieodpowiedzialną za czynności ministrów, gdyż według pojęć japońskich bezpośrednie sprawowanie rządów przez monarchę byłoby rzeczą nie do pomyślenia, ale tylko o zmianę jego otoczenia po myśli buntowników. Prawdopodobnie kandydatami ich na doradców cesarza, byli właśnie usunięci przez rząd generałowie - ekstremiści, a ideałem — rząd wojskowy, wzorowany na starożytnym feudalnym szogunacie.

[1]) Nazwa ery panowania obecnego cesarza Hirohito.

W okresie likwidacji tego buntu ważyły się losy Japonji i od cesarza zależał ostateczny wybór kierunku dalszej polityki. Skończyło się na pewnego rodzaju kompromisie. Akcja ekstremistów została potępiona, szereg generałów podał się do dymisji i władzę objął rząd umiarkowany, parlamentarny i głoszący hasła pokojowe. Współpracę jednak sfer wojskowych musiał opłacić daleko idącemi zobowiązaniami w dziedzinie przeprowadzenia wewnętrznych reform i zapewnienia armji odpowiednich kredytów na cele obrony kraju.

Z porażki poniesionej przez skrajnych militarystów nie należy jednak wnioskować o upadku wpływów wojskowych w japońskim rządzie. Stało się bowiem wręcz odwrotnie i armja gra w obecnym gabinecie znacznie większą rolę, niż dawniej.

Chodziło tylko o usunięcie grupy fanatyków, którzy łamiąc dyscyplinę i nie podporządkowując się dyrektywom władzy przełożonej, grozili jedności armji i potędze państwa. Miejsce ich zajęło kierownictwo armji, wyrażające opinję jej całości i domagające się od rządu uwzględnienia swoich postulatów.

Perspektywy polityki japońskiej w najbliższej przyszłości.

Na czele nowego japońskiego gabinetu stanął dotychczasowy minister spraw zagranicznych Kooki Hirota, niezwykle zdolny dyplomata i „mąż zaufania" sfer wojskowych. Uważają go ponadto za znawcę stosunków sowieckich, gdyż poprzednio był ambasadorem w Moskwie. Tekę spraw zagranicznych objął po nim min. Arita, ostatnio ambasador w Nankinie. Na ministra wojny koła wojskowe wysunęły generała hrabiego Dżuiczi Terauczi, a na ministra marynarki wojennnej — admirała Nagano, delegata na ostatnią Konferencję Morską w Londynie. W ręku tych czterech ministrów właściwie koncentruje się cała polityka Japonji, gdyż reszta członków gabinetu składa się z fachowców, znawców swoich resortów i gra rolę podrzędną. Na pewną uwagę zasługuje zresztą minister finansów Baba, który wziął na siebie niewdzięczne i niebezpieczne zadanie dostosowania japońskiego

skarbu do nowych, wzmożonych wydatków na obronę państwa. Jak wiadomo, poprzednik jego 80-letni minister Takahaszi przepłacił życiem swój niezależny i ujemny stosunek do żądań armji.

Czterej czołowi przedstawiciele gabinetu zdążyli już wygłosić deklarację w sprawie zamierzonej przez nich polityki. Ma ona być „nawskróś pokojowa", ale... Rosja sowiecka utrzymuje na pograniczu z Mandżurją ogromną armję, ale... Chiny nie chcą zrozumieć pokojowych intencyj Japonji i szukają oparcia nie w „trzech zasadach polityki japońskiej", lecz w pomocy postronnej. Naogół pozostaje więc przyjaźń państwa mandżurskiego i konieczność rozwiązania problemu przyszłego współżycia z Rosją sowiecką i Chinami.

Jak zaznaczyliśmy powyżej, kwestje sporne między Japonją i jej dwoma sąsiadami są tego rodzaju, że trudno spodziewać się ich uregulowania w drodze pokojowej. To też kiedy premjer Hirota ostatnio zauważył, że między Rosją sowiecką a Japonją „niema kwestyj, którychby niemożna było załatwić w drodze rokowań", słowa te możnaby interpretować albo jako zwykły frazes, albo — jako zapowiedź pewnej zmiany polityki w stosunku do Rosji sowieckiej. Ta druga interpretacja wydaje się prawdopodobniejsza, albowiem rzeczywiście zdecydowana pozycja Sowietów w kwestji Mongolji Zewnętrznej musiała Japonję nieco zaskoczyć. Obecnie więc niema już mowy o „napadzie na nieprzygotowanego" i wojna japońsko-sowiecka byłaby strasznym wysiłkiem dla obu stron. Jeżeli więc nie będzie można jej uniknąć, trzeba się do niej należycie przygotować. Właśnie zgoda obu mocarstw na powołanie komisyj delimitacyjnych nastręcza do tego doskonałą sposobność. Pomimo więc gróźb generała Ferauczi o sowieckiej „agresji", można raczej przewidywać, że stosunki japońsko-sowieckie na pewien czas ulegną odprężeniu, zanim niezgoda członków komisyj nie wywoła nowych tarć.

Natomiast w dziedzinie polityki japońsko-chińskiej należy w najbliższej przyszłości spodziewać się znacznego ożywienia. Minister Arita zapowiedział, że ma zamiar domagać się od rządu chińskiego dokładnego sprecyzowania stosunku do japońskich propozycyj. Ponieważ zaś trudno

oczekiwać, aby Chiny uległy żądaniom Japonji, więc nastąpi reakcja w formie dalszej japońskiej penetracji do Mongolji Wewnętrznej i usiłowań w kierunku oderwania pozostałych trzech prowincyj Chin Północnych. Możliwą jest również japońska dywersja w południowej prowincji Fu-dzien, położonej naprzeciw japońskiej Formozy i dzięki temu posiadającej znaczną japońską kolonję.

Zarówno rząd nankiński, jak i opinja publiczna Chin, dokładnie zdają sobie sprawę z tych ewentualności, ale nastroje, tworzące się w związku z tem, bynajmniej nie mają cech kompromisowych. Odwrotnie coraz częściej rozlegają się głosy, że agresji japońskiej należy położyć kres, gdyż cierpliwość narodu chińskiego jest już wyczerpana. Na szczególną uwagę w tym względzie zasługuje niedawna deklaracja wice-prezesa komisji wojskowej Chin (odpowiada mniej-więcej naszemu wiceministrowi) generała Feng-Jü-sianga, w której nawołuje on do zaprzestania wojny domowej z miejscowemi czerwonemi formacjami, ponieważ „są one nastrojone antyjapońsko", oraz do zawarcia sojuszu z ZSRR. Generał ten znany jest oddawna ze swoich sowieckich sympatyj, nie wyraża więc opinji całego rządu, który ma powody odnosić się nieufnie zarówno do swoich komunistów, jak i do rosyjskich. Jednak oświadczenie jego, złożone za wiedzą rządu, stanowi niewątpliwie ostrzeżenie i groźbę w stosunku do Japonji, aby „nie przeciągała struny".

Tak się narazie przedstawia najbliższa przyszłość Dalekiego Wschodu, znajdującego się już od dłuższego czasu w stanie „zbrojnego pokoju".

Konstanty Symonolewicz.

W ślepych zaułkach gospodarki.[1])

1. Krytyka. — 2. Niżej minimum.

I. Krytyka.

Na jesieni ub. r. nagromadził się groźny niedobór wpływów skarbowych. Wtedy p. min. Matuszewski oskarżył dotychczasową politykę gospodarczą o połowiczność działań i sformułował tezę — deflacji integralnej.

Państwo przyjęło ją tylko częściowo, o ile to się wydawało konieczne dla obrony przed deficytem oraz inflacją skarbową. W każdym razie poszło w kierunku dalszego zaostrzenia deflacji. Wprawdzie już nie odruchowo lecz programowo, ale z niewiele szerszem niż dotąd uwzględnieniem środków ratunku dla życia gospodarczego. Wprowadzono nowych obciążeń na rzecz państwa, zacieśniających rynek, na 270 miljonów złotych, równolegle zaś zastosowano obciążenia konsumcji kosztem produkcji, przez zniżkę cenę pewnych podstawowych artykułów i świadczeń — na 400 miljonów złotych. Obrót wytwórczo spożywczy otrzymał przeto luzu 130 miljonów, plus ewentualnie drugie tyle lub nieco więcej w razie mobilizacji funduszu inwestycyjnego na roboty publiczne. Nota bene podnieść trzeba, że fundusz inwestycyjny musi być zmobilizowany głównie kosztem istniejących jeszcze w społeczeństwie zasobów kapitału, tak nikłych, że bardzo niedostatecznych już nie dla inwestycyj lecz dla przetwórczo-spożywczego, szybkiego obrotu arty-

[1]) Pierwsza część niniejszego studjum ukazała się w zeszycie czerwcowym p. t. „Inflacja i deflacja. Kilka uwag na temat naszych eksperymentów gospodarczych".

kułów pierwszej potrzeby. Owe zaś 130 miljonów obciążenia dla konsumcji, zakredytować ma również sama produkcja na rachunek wzrostu dochodów przez rozszerzenie zbytu.

Ten program wystarczy zapewne na to, ażeby doraźnie zredukować deficyt budżetowy, ale trudno uwierzyć, ażeby mógł się stać punktem wyjścia potężnego ruchu inicjatywy gospodarczej, zdolnego rzeczywiście i skutecznie przełamać zastój. Zamałe jest na to, wobec 9 miljardowego jeszcze obrotu społecznego, jego parusetmiljonowe rozpięcie, które zwęża przytem wydatnie zasób środków obrotowych w kraju, i tak już zdeflowany do ostateczności. Poza tem apel do inicjatywy prywatnej nie może odnieść skutku, nie może jej rozwinąć tak żywiołowo i potężnie jak by to było konieczne, jeśli tej inicjatywy nie pobudza jedyny motor, który ją zawsze uruchomiał na całym obszarze dziejów kapitalizmu, motor rentowności *już czynnej*, czyli dobrych widoków na zysk *bezpośredni*. Bezeń niema businessu i rozwinąć się on nie może, bo to jest przeciwne jego naturze.

Na tej zatem drodze, tego rodzaju i tej miary środkami nie opanuje się żywiołowej potęgi rozkładowej kryzysu. Dopóki produkcja przeważnie pozostaje poniżej poziomu rentowności, dopóty zwolna zamierać musi. Nie da się jej skłonić do jeszcze większego doraźnego tej rentowności obniżenia, w takim rozmiarze, jaki byłby nieodzowny, ażeby nawiązać kontakt z katastrofalnie obniżoną siłą nabywczą rynku i wywołać zjawisko masowego popytu. Co więcej, produkcja uczynić tego nie może, choćby jej kierownicy tego najbardziej pragnęli, gdyż niema skąd zakredytować sobie kapitału obrotowego na okres przejściowy, pomiędzy stanem nierentowności, a jej odrodzeniem w zbycie masowym. Na to nie wystarczą dobre chęci, lecz konieczny jest jużto kapitał, już przynajmniej *skuteczny jego surogat*. Wszelkie projekty i rachuby, które tego momentu pod uwagę nie biorą, przypominają owo „czarnoksięstwo" finansowe, które Keynes, ze słuszną ironją, zarzucał swego czasu demagogicznym pretensjom demokracyj zachodnich do odszkodowań niemieckich w wysokości niemal równej całemu majątkowi narodowemu Niemiec.

Zachodzi zatem uzasadniona obawa, że po paru miesiącach deficyt budżetowy może znów wejść w stadjum wzrostu i zmusić już to do inflacji skarbowej ze znanemi jej dla waluty następstwami, już do dalszego marszu ciernistym szlakiem deflacji. To właśnie zdaje się zalecać p. min. Matuszewski, dla którego obecny program polskiej polityki gospodarczej, to dopiero początek konsekwentnego „równania wdół". W dalszym swoim rozwoju to „równanie" musiałoby zmierzać do całkowitego zamknięcia „nożyc" przemysłowo-rolnych i odrodzenia obrotu pomiędzy miastem a wsią — na możliwie najniższym poziomie cen, a więc obecnym poziomie cen rolnych. Do tego poziomu przystosowanaby musiała być wysokość budżetu państwa i samorządów, a nawet wierzytelności prywatne obciążające produkcję, zwłaszcza rolną. Inaczej bowiem stałyby się one w zmniejszonych kosztach wytwórczych pozycją trudną do zniesienia. Oznaczałoby to redukcję obecnego stanu kapitalizacji do miary proporcjonalnej z nowym niskim poziomem równowagi gospodarczej.

Co najważniejsza jednak, wypadłoby i w przemyśle, zwłaszcza wytwarzającym artykuły nabywane przez rolnictwo, (nie mówiąc już o wielkich kartelach) przeprowadzić zniżkę cen, a więc i kosztów produkcji, jeszcze prawie dwukrotnie większą od dotychczasowej. Innymi słowy wypadłoby raz jeszcze powtórzyć dotychczasową katastrofę kryzysu, ze wszystkiemi jej następstwami, jak niszczenie rentowności, redukcja zarobków, niebywałe spotęgowanie bezrobocia, zacieśnienie rynku i spadek siły kupna tak na wyroby przemysłu jak płody rolne. Jest rzeczą więcej niż wątpliwą czy doprowadziwszy miasta do takiego stanu, bardzo bliskiego zupełnemu zanikowi produkcji, przynajmniej fabrycznej, dałoby się jeszcze potem wskrzesić tę produkcję przez nawiązanie obrotu z wsią na poziomie nawet obecnych cen rolnych. Prawdopodobnie w miastach utrzymałaby się tylko produkcja dzika, rzemieślniczo-chałupnicza, zbarbaryzowana, bliska gospodarki naturalnej, do której już ciąży ze swej strony wieś. W każdym zaś razie przed osiągnięciem „równowagi gospodarczej" na takim dnie nędzy zarówno państwo, jak gospodarstwo narodowe musiałoby się uwstecznić

i uprościć, ilościowo i strukturalnie, nie wyłączając siły zbrojnej.

Otóż na poziomie barbarzyńskim, poziomie bliskim gospodarki naturalnej, społeczeństwo o współczesnej gęstości zaludnienia istnieć nie może, gdyż utrzymać jej nie zdoła. Ale też przyznać trzeba, że perspektywa ewolucyjna, którą tu rozpatrujemy zawiera w tym kierunku skuteczny odczynnik. Cięcia redukcyjne w zakresie stanu zatrudnienia oraz wysokości zarobków, tak na służbie państwowej jak w życiu gospodarczem, musiałyby sięgnąć tak głęboko, że cała ta operacja spowodowałaby upływ krwi, równy tak ciężkiej wojnie, że bodaj niemożliwy do zniesienia ani dla państwa ani dla gospodarstwa narodowego. Te chirurgiczne cięcia musiałyby wręcz o śmierć z nędzy, głodu, chorób lub od karabinów maszynowych w rozruchach, przyprawić miljony ludzi, którym przeprowadzane przez taki z d w o j o n y k r y z y s gospodarstwo na długo stałoby się niezdolne zapewnić egzystencję. Dopiero po takiej hekatombie połączonej z barbaryzacją gospodarczą i kulturalną, dałoby się teoretycznie osiągnąć ów punkt równowagi na niskim poziomie cen, od którego chcieliby rozpoczynać odbudowę gospodarczą nasi konsekwentni hyperdeflacjoniści. Niestety jednak minimum egzystencji, zwłaszcza masowej, życia ludzkiego jest najsztywniejszym ze wszystkich elementów gospodarki, i bezwzględnie zgwałcić się nie da, pod grozą tragicznych następstw, natury nietylko gospodarczej. Ta perspektywa najzupełniej gwarantuje nieosiągalność praktyczną równowagi po przez „równanie wdół", a więc nierealność programu h y p e r d e f l a c j i.

Inflacja i deflacja w polityce gospodarczej są jak kamfora i morfina w medycynie. Stosowane umiarkowanie i umiejętnie ręką dobrego lekarza uzupełniają wzajemnie jednostronność swych działań i mogą być cennemi środkami leczenia. Stosowane zaś odruchowo i gwałtownie przez samego chorego, przechodząc w hyperinflację i hyperdeflację, mogą organizm gospodarczy narodu przyprawić o śmierć. Obie na równi. Polska polityka gospodarcza stosowała dotąd te metody właśnie odruchowo i nieumiarkowanie, pod naciskiem ciężkich sytuacyj, wpadała więc z reguły z de-

szczu pod rynnę. Stosowała w podobny sposób nawet i trzeci jeszcze specyfik, niemniej obosieczny od tamtych — hyperinwestycjonizm. Ponieważ obecnie znajdujemy się pod wyjątkowo ciężką opresją deflacyjną, przeto budzić się poczyna w społeczeństwie nowy odruch w kierunku odwrotnym, w celu uzyskania ulgi doraźnej za jakąkolwiek cenę. To streszczona na początku, druga z pośród dyskutowanych obecnie tez, teza inwestycjonistów.

Przeczą oni jakoby do inflacji dążyli, ponieważ klęska markowa z r. 1923, utkwiła w pamięci społeczeństwa jako coś, do czego żadną miarą dopuszczać niepodobna. Obóz p. amb. Filipowicza obiera przeto na pozór drogę odmienną. Nie zaleca bynajmniej rozszerzania obiegu pieniężnego poprzez państwową konsumcję dóbr, lecz przeciwnie zapowiada, że „dodatkową siłę kupna" należy uruchomić w celach produkcyjnych, które zwiększoną podaż środków obrotu gospodarczego zrównoważą odpowiednim przyrostem wartości realnej majątku narodowego. Inwestować zatem należy „dodatkową siłę kupna" w wielkie roboty publiczne.

Jestto zamierzenie pozornie bardziej racjonalne niźli inflacja skarbowa, jednak praktycznie nie wiele mniej niebezpieczne. Opiera się bowiem na niedostatecznem rozróżnieniu pojęć majątku narodowego oraz obrotu społecznego, jakoteż stosunku do nich obu środka *par exellence* i wyłącznie obrotowego, jakim jest pieniądz. Majątek narodowy może wzrastać tylko w następstwie odrzucania przez obrot gospodarczy odsetek czystego zysku na kapitalizację, zwłaszcza zakładową. Ciężki przemysł wytwarzający narzędzia produkcji i materjały np. budowlane, który w związku z robotami publicznemi w pierwszym rzędzie zostałby uruchomiony, ma to do siebie, że swój obrót własny podtrzymuje za pomocą nieustannego dopływu społecznego kapitału zakładowego. Skutek stąd praktyczny w interesującym nas wypadku byłby przedewszystkiem taki, że gdybyśmy w danym roku wprowadzili w obrót, powiedzmy, 800 miljonów złotych nowego pieniądza na roboty publiczne, wywołałobyto wprawdzie znaczne ożywienie wytwórczości i ulgę w deflacji, tak bowiem zawsze działają początkowe stadja inflacji. Ale po roku przeważna część wytworzonych za tę

„dodatkową siłę kupna" nieruchomych wartości wyszłaby ponownie poza obrót gospodarczy, przekształtowana w kapitał rzeczowo-zakładowy majątku narodowego. W obrocie uczestniczyłaby już odtąd tylko odsetkami i amortyzacją, czyli swoim dochodem corocznym. W ten sposób obrót skurczyłby się ponownie ale pozostałby obieg pieniężny rozszerzony, jeśli nie o całe 800 miljonów złotych, to o tyle tylko mniej, ile zdołanoby z tego pokryć normalnym kapitałem w kredycie długoterminowym.

Chcąc tedy zapobiec recydywie zastoju i bezrobocia, podtrzymując ożywienie produkcji i obrotu na wysokości odpowiadającej rozszerzonemu obiegowi pieniężnemu i zapobiec w ten sposób inflacyjnemu wzrostowi cen, wypadłoby wielkie wkłady inwestycyjne powtarzać co roku. I to przedewszystkiem znowu w emisjach nowego pieniądza. Normalny bowiem przyrost kapitalizacji, aczkolwiek na skutek ożywienia gospodarczego wzmożony, żadną miarą nie byłby zdolny amortyzować rok w rok tak ogromnych sum kapitału zakładowego, jakie zużywać by trzeba ażeby wydźwignąć i podtrzymać w ruchu nasze, tak obecnie zniedołężniałe, gospodarstwo narodowe. Te nowe emisje pieniężne musiałyby być tem większe, że równocześnie następowałby organiczny wzrost cen. Poczęści na skutek wzmożonej komsumcji tak przemysłowej jak rolnej, poczęści zaś na skutek szybkiego wzrostu długu państwowego długoterminowego, w który przeobrażać by się musiały wkłady inwestycyjne. Obsługa tego długu ciążyła by oczywiście na budżecie państwa, a więc i podatkach i kosztach produkcji i na poziomie cen.

W tej perspektywie zatem powstaje najwyższe prawdopodobieństwo, że w stosunkowo krótkim czasie podaż środka obrotowego poprzez inwestycje długoterminowe poczęłaby przewyższać popyt ze strony wolniej wzmagającego się obrotu gospodarczego. Skutkiem tego obok organicznego, pojawił by się nadto jeszcze inflacyjny wzrost cen towaru, a spadek siły nabywczej pieniądza. Stąd przymus coraz większych emisyj oraz nieuniknione niebezpieczeństwo hyperinflacji, w której wartość pieniądza poczyna spadać szybciej niźli rozszerza się obieg, a więc kurczy go, auto-

matycznie defluje. Jestto ów naturalny kres wszelkiego procesu inflacyjnego, ów „sufit", o który uderza inflacyjno-zwyżkowy ruch cen i gdzie zatrzymać się bezwzględnie musi, pod grozą gospodarczej zagłady. Wtedy odruchem instynktu samozachowawczego, następuje żywiołowa reakcja deflacyjna.

Dodajmy, że w programie inwestycjonistów szczególnie niejasno przestawia się stosunek miasta do wsi i kwestja „zamknięcia nożyc" pomiędzy cenami rolnemi a przemysłowemi. Program ten za podstawę operacyjną obiera sobie miasto, wychodząc z założenia, że jego udział w gospodarstwie narodowem zarówno w dochodzie społecznym *brutto*, jak w obrocie, jest większy niźli wsi, oraz że miasto ponosi w pierwszym rzędzie ciężar utrzymania państwa. Na rzecz wsi program ten oferuje udział małorolnych i bezrobotnych w robotach publicznych, dalej wzrost konsumcji płodów rolnych, przedewszystkiem miejskiej, ale poczęści również wiejskiej, zatem zwyżkę cen rolnych, przy równoczesnem oddziaływaniu zniżkowem na koszta i ceny przemysłowe — masowego zbytu. Wydaje się jednak, że na tle innych momentów, które znów ceny pędzić będą w górę, oraz pierwszeństwa dostaw „dodatkowej siły kupna" na rzecz przemysłu i ludności miejskiej, „nożyce" nie zamkną się ostatecznie i trwale, lecz najwyżej zmniejszą nieco rozwarcie w ramach ogólnego wzrostu cen. Gdyby zaś tak być miało, to produkcja wsi pozostałaby deficytową i w dalszym ciągu oddziaływałaby rozkładowo na gospodarstwo narodowe, ciążąc ku zerwaniu obrotu z miastem i powrotowi do gospodarki naturalnej.

Niezależnie jednak nawet od tej strony, złożonego ogólnego zagadnienia odbudowy, program inwestycjonistów prowadzi do uderzenia głową o „sufit" hyperinflacji równie dobrze jak emisje pieniężne na rzecz konsumcji skarbowej. Bodaj nawet w szybszem tempie, ze względu na konieczny ich kolosalny rozmiar. Nie różni go zasadniczo od inflacji skarbowej nawet sama orjentacja produkcyjna, bowiem inflacja skarbowa również pozostawiła w tym kierunku, wyżej już wspomniane wyniki dodatnie. Obie one, zarówno inflacja skarbowa, jak inwestycyjna, nie są niczem innem jak odruchem obronnym wobec groźnego, bezpośredniego

niebezpieczeństwa. Inflacja markowa wobec zniszczeń wojennych, inwestycyjna zaś wobec widma hyperdeflacyjnej zagłady, która zaatakowała egzystencję szerokich mas. Inwestycjonizm stara się postępować bardziej świadomie i celowo niźli inflacja markowa, ale popełnia ten błąd, że wartość własną obiegu pieniężnego usiłuje zużytkować dla wypełnienia zadań, do których pieniądz jako taki, jako rzeczowa forma kapitału, nadaje się gorzej niźli do swej przyrodzonej funkcji obrotowej. Postępuje więc tak, jak przy gospodarce naturalnej postąpiłby ktoś, ktoby posiadanym zasobem skór chciał zastąpić brak budulca przy wznoszeniu domu.

Obieg pieniężny można rozszerzać z korzyścią i bez żadnych ograniczeń, oprócz jednego tylko, ale bezwzględnego: ażeby pozostawał we właściwej proporcji z rozwojem obrotu gospodarczego. Można więc obieg ten celowo inwestować tylko tam, gdzie wzmaga on obrót i to nietylko bezpośrednio ale i trwale. Gdzie usuwa hamujące ten obrót braki ilościowe albo usterki strukturalne. Na tej jedynie drodze da się maksymalnie wyzyskać wartość własna pieniądza, bez uderzenia głową o „sufit" hyperinflacji i opadania w „piwnicę" hyperdeflacji. Nie trzymając się tej drogi, lecz formułując swój program wyłącznie jako reakcję przeciw grożącemu zbliska niebezpieczeństwu ogłodzenia mas bezrobotnych, inwestycjonizm wstępuje w ślady wszystkich poprzednich naszych odruchów gospodarczo-obronnych inflacyjnych i deflacyjnych. Każdy z nich coś pozytywnego po sobie pozostawił: inflacja markowa — odbudowany przemysł, deflacja Grabskiego — walutę złotową, inwestycjonizm Bartla — Gdynię, deflacja obecna, równowagę budżetu i stałość waluty. Wielkie roboty publiczne pozatem, że przyniosłyby ratunek i ulgę wynędzniałym rzeszom ludu, pobudowałyby nam koleje, poprawiły drogi, uregulowały rzeki. Ale niemniej jednak, pośród tych cennych dóbr, doprowadziłyby gospodarstwo narodowe ponownie do martwego, choć odwrotnie położonego, punktu.

Za takim prognostykiem dla tego programu przemawiają również doświadczenia naszych wielkich sąsiadów. Hitler zdołał wprawdzie doraźnie zredukować do $^1/_3$ bezrobocie w Niemczech zapomocą „wielkich robót publicznych",

finansowanych krótkoterminowymi „wekslami pracy". Ale pośród wspaniałych autostrad coraz bardziej zbliża się do kresu tej śliskiej drogi, na której zresztą głównie tylko ciężki przemysł udało mu się uruchomić. „Weksli pracy" nie można emitować bez końca, trzeba je przeobrazić w dług państwowy, obciążyć nim budżet, podnieść podatki, a więc i koszta produkcji i ceny, co dla Niemiec szczególnie jest drażliwe, gdyż od eksportu silniej są uzależnione niż Polska. To też zaprowadzono specjalny podatek na dumping wywozowy t. j. na krycie strat eksportu deficytowego. Przygotowuje się podobno dewaluację marki, ażeby zniżyć ceny eksportowe proporcjonalnie do spowodowanej przez inwestycjonizm, półinflacyjnej zwyżki cen wewnętrznych. Krępuje w tem jednak słabe pokrycie marki, więc Niemcy oczekują wybawienia z opresji gospodarczej od nowej pożyczki zagranicznej. Ponieważ zaś jej widoki są nikłe, przeto równocześnie Niemcy grają *va banque* i przedewszystkiem inwestują... zbrojenia.

Nieco dawniejsze lecz niemniej wymowne jest doświadczenie rosyjskie. Rząd moskiewski pierwszą „piatilietkę" skierował głównie na budowę przemysłu ciężkiego, sądząc że racjonalnem jest uniezależnić się przedewszystkiem od zagranicy w zakresie wytwarzania narzędzi produkcji, poczem dopiero czas przyjdzie właściwy, ażeby rodzimy już przemysł ciężki zatrudnić montowaniem przemysłu przetwórczego. Ten skrajnie inwestycjonistyczny program wywołał taki skutek, że gdy kryzys zredukował obroty z zagranicą, słaby przemysł przetwórczy rosyjski nie był w stanie obsłużyć olbrzymich potrzeb rosyjskiej wsi. To znaczy, że państwo i miasta nie miały odpowiedniego towaru na wymianę z wsią za żywność dla miast i przemysłu. Wieś wobec tego poczęła cofać dostawy do miast i wracać do gospodarki naturalnej. Miastom zagroził głód, ciężkiemu przemysłowi unieruchomienie, państwu zanik dochodów i upadek potęgi. Z tak straszliwego niebezpieczeństwa zdołał wyprowadzić Rosję rząd sowiecki tylko przez kolektywizację rolnictwa, gdyż pozwoliła ona wzmocnić władzę państwa nad włościaństwem dostatecznie, by za pomocą drakońskich środków przymusu wydzierać poprostu siłą producentom

płody ich pracy, konfiskować je — na potrzeby państwa i społeczeństwa miejskiego. Ale w drugiej piatilietce rząd sowiecki zapowiedział już należyte uwzględnienie rozwoju przemysłu przetwórczego.

Obok doświadczeń własnych, te przykłady sąsiedzkie powinny być dla nas ostrzeżeniem przed zbyt odruchowym i nieprzewidującym inwestycjonizmem.

II. Niżej minimum.

Od czasu odzyskania niepodległości, gospodarstwo narodowe polskie właściwie stale znajdowało się poniżej minimum egzystencji. Zasadniczą tego przyczyną był niedorozwój kapitalistyczny kraju, pogłębiony przez wyjątkowo ciężkie zniszczenia wojenne. Stąd owo rozpaczliwe miotanie się naszej polityki gospodarczej z jednej irracjonalnej ostateczności w drugą, odwrotną. Przyczem jednak, niestety, zawsze „kołdra", przeciągnięta w jedną stronę, okazywała się przeraźliwie za krótką dla pokrycia najniezbędniejszych konieczności życiowych z drugiej strony.

Jedynem z tej sytuacji wyjściem „normalnem", t. j. ze wszelkiemi prawidłami liberalnego, ekonomicznego „klasycyzmu" zgodnem, mógłby się stać tylko bardzo wielki, bardzo tani i bardzo długoterminowy kredyt zagraniczny, oraz nierozłącznie z nim związany, proporcjonalnie potężny, rozrost wymiany towarowej z zagranicą. Widoki na tej drodze mieliśmy, w naszem nowem państwie zawsze złe. Wielki kryzys zaś, paraliżując gospodarstwo światowe na rzecz „autarkji" gospodarstw narodowych, widoki te sprowadził do zera. Zadał nam więc cios szczególnie ciężki, zamknął bowiem jedyne wyjście, jakie przed nami w zasadzie pozostawało otwartem — w ramach ekonomicznego liberalizmu.

Wskazuje on wprawdzie teoretycznie jedną jeszcze drogę, niemniej „klasyczną", samopomocy wewnętrznej. Zaleca zasadę: „oszczędnością i pracą narody się bogacą" ale zasada ta jest z historyczną rzeczy wartością niezgodna. Narody bowiem zachodnie zbogaciły się w swoim czasie bynajmniej nietylko przez „oszczędność i pracę" lecz w pierwszym rzędzie przez rozwój handlu międzynarodowego, którego obecny zanik, wtrąca je też w ciężkie poło-

żenie. Co więcej, niezależnie od historycznej trafności tej zasady na Zachodzie, jest ona u nas obecnie zupełnie niemożliwa do zastosowania, przynajmniej w takiej skali by mogła gospodarstwo narodowe wyprowadzić z tragicznego impasu. Niedostępna jest ona właśnie dlatego, że to gospodarstwo jako całość znalazło się poniżej minimum egzystencji; że deficytuje, a z deficytów — kapitalizować nie może.

Czy to może przesada? Bynajmniej. Nie znaczy to wprawdzie, ażeby nie było już u nas żadnej absolutnie gałęzi gospodarczej, któraby przynosiła jakiś zysk. Tu w pierwszym rzędzie należą kartele przemysłowe, które jednak prosperują tylko na czynnej jeszcze, a ilościowo bardzo zacieśnionej części rynku wewnętrznego. Ale to znaczy, że w całości gospodarstwa narodowego ilościowo przeważają, z rolnictwem na czele, takie gałęzie wytwórcze, które albo deficytują, albo z trudem utrzymują się w ruchu, nie przynosząc nic dla kapitalizacji. Dlatego to skłonny jestem przypuszczać, że ów przyrost wkładów w kasach oszczędności, który w ostatniem dziesięcioleciu podniósł ich ogólną sumę z kilkuset miljonów na miljard i kilkaset miljonów, przyrost, który naszych deflacjonistów napawa taką otuchą, nietyle kapitalizacji nowej, ile poprostu przenoszenia wkładów krótkoterminowych z banków prywatnych, gdzie one silnie zmiały, do państwowych kas oszczędności, jako „pewniejszych". Jestto zatem etatyzacja płynnego kapitału, ale nie kapitalizacja.

Ogólna suma wkładów w instytucjach państwowych i prywatnych wzrosła od czasu wysokiej konjunktury tak niewiele, że prawdopodobnie byłaby nawet spadła wydatnie, gdyby nie zwalnianie kapitału z zamierających obrotów, powodowane przez kryzys, który wszak w tymże czasie skurczył nasz dochód społeczny o połowę. Emisje długoterminowe wprawdzie o parę set miljonów wzrosły, ale i one korzystały z kapitału „bezrobotnego", odtrącanego przez zastój oraz z kapitalizacji, ale przymusowej i specjalnej, z funduszów ubezpieczalni publicznych i prywatnych, które to fundusze następnie zamroziło półmoratorjum rolne. Wszystko więc zatem przemawia, iż rzeczywisty przyrost

nowego rodzimego kapitału w naszem gospodarstwie narodewem wcale nie ma miejsca, występuje zaś w tej dziedzinie zamaskowany deficyt. Jeśli się przytem zważy, że na tej ubogiej i sztucznej podaży kapitału, jaka u nas istnieje, ciąży stosunkowo wysoki popyt kredytowy państwa i jego przedsiębiorstw, to śmiało przyjąć można, iż nie co innego jak właśnie najczystszy deficyt kapitalizacyjny pozostaje „do dyspozycji" niezetatyzowanej części życia gospodarczego w charakterze „bazy kredytowej" dla deflacji cen, zmierzającej do podboju rynku wewnętrznego przez masowy zbyt... Gdyby nawet istniała jakaś rozporządzalna dla tego celu rezerwa kapitalistyczna, to chyba tylko lokalna, doraźna i najzupełniej niewystarczająca dla przeprowadzenia akcji tej w takich rozmiarach, jakieby mogły jej zapewnić skuteczność. Dodajmy wreszcie, że ogolny zasób kapitału, zwłaszcza płynnego, jest u nas tak przerażająco niski w porównaniu choćby z niewiele od Polski ludniejszą Francją, oraz tak nieproporcjonalny w stosunku do potrzeb obrotu gospodarczego, że tem samem strukturalnie gwarantuje jego ogólną deficytowość, a zarazem nadaje jej charakter głębokiego tragizmu.

Z tego praźródła płyną inne zasadnicze ułomności naszej struktury ekonomicznej, jak przeludnienie i pauperyzacja wsi, oraz nadmierna etatyzacja produkcji. Przeludnienie wsi możnaby usuwać tylko racjonalizując społeczną organizację rolnictwa oraz przesuwając do miast absolutny nadmiar ludności wiejskiej. Ażeby nadmiar ten zatrudnić w miejskim przemyśle, należałoby go rozwinąć i spotęgować jego wytwórczość, a więc rozszerzyć dlań wewnętrzny rynek zbytu przez wciągnięcie w obrót wytwórczo-spożywczy $^3/_4$ ludności państwa, która zamieszkuje na wsi i jest komsumcyjnie prawie martwa. Nie można jednak marzyć o uruchomianiu i rozszerzaniu obrotu bez dostatecznych potemu środków obrotowych. Najwidoczniej tedy ich brak stanowi oś obrotową błędnego koła.

Co do etatyzacji, to istotnie przybrała ona u nas niebywałe rozmiary, koncentrując w ręku państwa do 20% majątku narodowego, niby „królewszczyzny" w zaraniu gospodarki pieniężnej. Budżety brutto przedsiębiorstw państwo-

wych łącznie dosięgają wysokości parokrotnie większej niźli budżet państwowy, a niemal równej dochodowi społecznemu całego narodowego gospodarstwa. To zjawisko jest z pewnością zbyt żywiołowe i ogromne, by je przypisać wyłącznie tylko doktrynalnej skłonności etatystycznej, którą ujawniały w pewnych okresach niektóre rządy, jak np. prof. Bartla. Najpotężniejszy bodziec tego zjawiska stanowi przedewszystkiem fakt, że jedynie skarb państwa, dzięki monopolom i daninom publicznym, ma u nas możność gromadzenia wielkich mas środków obrotowych. Skarb jest najpotężniejszym kapitalistą polskim, przeto kapitalistycznie słabowite życie gopodarcze poszukuje w nim oparcia, tem samem uzależnia się od państwa, częściowo lub całkowicie etatyzuje się.

Nie może być inaczej, bowiem wystarczająca ilość kapitału jest nieodzownym technicznym środkiem wszelkiej działalności i wszelkiego rozwoju ekonomicznego. Produkcja i obrót wytwarzać mogą kapitał nowy tylko wtedy, jeśli go już uprzednio posiadają w ilości dostatecznej, aby funkcjonować mogły. Niedobór w tym punkcie aparatury życia gospodarczego, spycha je właśnie poniżej minimum egzystencji, on to bowiem *a priori*, zasadniczo zgóry uniemożliwia organiczną rozbudowę w drodze kapitalizacji. „Oszczędnością i pracą" nie wyprowadzimy się zatem z impasu. Wszelkie zaś w tym kierunku nawoływania, lub nawet częściowe bodźce materjalne przypominają ratunek tonącego za pomocą naglących okrzyków i zbyt krótkiego sznura...

Trudno i darmo. Trzydziesto trzy miljonowego, położonego w sercu Europy, kraju nie można wprowadzić na wielko-kapitalistyczny stopień gospodarczego rozwoju, nieodzowny dla wyżywienia jego ludności i utrzymania państwa, w warunkach wręcz niebywałych, w jakich tego nikt nigdy nie dokonał. To znaczy zarazem w „autarkji" gospodarczej, oraz przy ostrym niedoborze środków obrotowych w stosunku do konieczności obrotowych. Cudów bowiem w ekonomice nie zdoła wywołać nawet „oszczędność i praca". A z drugiej strony jeśli z tego impasu nie wybrniemy, to nie ulega wątpliwości, że następstwa musiałyby stąd wyniknąć zabójcze. Naturalna bowiem logika rozwoju rzeczy zarysowywała by przed nami redukcję liczby ludności oraz

potęgi państwa do poziomu, dającego się przy naszych możliwościach gospodarczych utrzymać. Możemy się wprawdzie pocieszać, że choć z odmiennych częściowo przyczyn, niemniej jednak tragiczne jest położenie Niemiec, oraz Sowietów, ale to stwierdzenie, samo przez się, nic nam oczywiście nie pomoże.

Natomiast wskazanem jest pamiętać o głębokiej różnicy warunków, w jakich z kryzysem walczą mocarstwa wielkokapitalistyczne, z drugiej zaś strony — my. Zasady i metody tam stosowane nie zawsze nadają się dla nas do mechanicznego naśladownictwa, nawet z pewnemi modyfikacjami. Np. we Francji zastosowano deflację budżetu państwa, oraz równoległą deflację cen i kosztów produkcji. Ścieśniono więc wewnętrzny rynek, równocześnie usiłując wytworzyć pewien luz obrotowy na poziomie cen obniżonym równolegle do zagranicznego ich spadku. Zabieg ten został tam przeprowadzony na poziomie zasobności kapitalistycznej, techniki, organizacji oraz stopy życiowej tak niepomiernie wyższym od naszego, iż może być zniesiony przez francuskie gospodarstwo narodowe dużo bezpieczniej niźli u nas. W zasadzie większe też powinien posiadać widoki osiągnięcia równowagi gospodarczej oraz ożywienia produkcji na niskim poziomie cen, aczkolwiek mimo to wywołuje ostrą opozycję i zapewne obalony zostanie na rzecz programu dewaluacyjnego.

W Polsce ta sama polityka dewaluacyjna była wprawdzie na razie może jedynie celową dla ocalenia równowagi budżetu, oraz kursu waluty przed inflacją skarbową. Jednak cały ten proces odbywa się u nas głęboko poniżej m i n i m u m egzystencji gospodarczej narodu. We Francji można deflować, ścinając dochody na rachunek zasobów, u nas można tylko pogłębiać deficyty, biorąc kurs na katastrofę. Mirażowy bowiem punkt równowagi, punkt „zamknięcia nożyc" przemysłowo-rolnych, leży u nas wprawdzie na linji „równania wdół" ale już nie tam, gdzie się zamiera powoli, lecz wręcz poniżej samego faktu życia miljonów istot ludzkich, w tem kroci inteligencji. Dodatnia reakcja gospodarcza, odradzająca obrót od tego punktu jest nieosiągalna, bo dotrzeć do niego nie pozwoli instynkt samozachowawczy mas, zgodny zresztą z instynktem samozachowania państwowo-

narodowego. Na rzeź wojenną dla pozytywnej racji stanu instynkt ten pójdzie, ale na hekatombę głodową uwstecznia-jącą — nie. By tedy nie dopuścić do ostatecznych, morder-czych konsekwencyj hyperdeflacji, instynkt samozachowaw-czy narodu spowoduje raczej żywiołowy odruch obronny w kierunku odwrotnym — ku dzikiej, chaotycznej inflacji. Toruje mu już drogę — inwestycjonizm.[1])

[1]) Dokończenie w zeszycie następnym.

St. Szczutowski.

Kardynał Richelieu w świetle najnowszych prac historycznych.

II.

Richelieu a Ludwik XIII! Wzajemny stosunek tych dwóch ludzi był najzupełniej błędnie oceniany przez historyków pierwszej połowy XIX w., a sąd ich szczególnie rozpowszechnili w opinji pisarze doby romantyzmu, Vigny, Hugo, Dumas. Krwiożerczy i przewrotny tyran Richelieu, niemal rozpustnik i ateista, potrafił uczynić z nieinteligentnego, ich zdaniem, oraz nieudolnego Ludwika XIII zupełnie powolne narzędzie w swem ręku; młody król drżał przed kardynałem, nienawidził go, lecz nie miał odwagi mu się sprzeciwić. Nowsze badania przeprowadziły gruntowną rewizję poglądów na osobowość tych dwóch ludzi i ich wzajemny stosunek. Zestawia wyniki nowszych badań, niejedno dorzuca w wyniku własnych studjów, L. Batiffol w swej pięknej książce *Richelieu et le roi Louis XIII.*[1]) Problematem tym zajmują się również Hanotaux i de la Force w jednym z artykułów w *Revue de deux mondes.*[2]) W świetle uwag Batiffola Richelieu to człowiek o słabem zdrowiu, cierpiący na nerwowe bóle głowy, neurastenik, przewrażliwiony, melancholik, skłonny do szukania samotności; zdumiewająca inteligencja, bystrość i żywość umysłu, orjentacja, sąd roztropny, trzeźwy. W aparycji dystynkcja, wielkość,

[1]) Paris, 1934.

[2]) *Histoire de Richelieu.* Le roi et le cardinal. *Revue de deux mondes VIII,* 11, 1934, s. 794 i nast.

elegancja: swobodę obejścia wielkiego pana łączył Richelieu z dużym urokiem osobistym, umiał być ujmującym.[1]) W stosunku do otoczenia otwarty, prawy, dobry, ani mściwy ani gwałtowny, czasem hamował króla w furji okrucieństwa, zalecając umiarkowanie. Co tedy sądzić o jego krwiożerczości rzekomej, o bezlitosnem tępieniu wrogów? Wszak sam w swym *Testament politique* pisał, że woli karać niż pozyskiwać darami wrogów, gdyż „bezkarność otwiera wrota samowoli"! Sądzimy, że najtrafniej ujmuje tę kwestję Belloc,[2]) orzekając, że represje Richelieu'go wobec wrogów politycznych nie płynęły nigdy z doraźnych impulsów. Były zawsze głęboko przemyślane, miały stanowić odstraszający przykład, względnie środek zapobiegawczy. Tak było np. w sprawie marszałka Marillaca. Stał wraz z Schombergiem i de la Force'm na czele armji we Włoszech w czasie słynnych wypadków z listopada 1630 r. Nie należał do ścisłego grona spiskowych, choć był pod ich wpływem jako brat kanclerza Marillaca. Zachodziła obawa, że na wieść o aresztowaniu brata może próbować rewolty w armji; był niebezpieczny, a przytem trzeba było dać przykład odstraszający innych. Oskarżono tedy marszałka, nie o udział w spisku, bo na to dowodów nie było, lecz o malwersacje finansowe przy budowie cytadeli w Verdun, którą ongiś marszałek kierował. Głowa jego spadła rychło pod toporem kata. Represje Richelieu'go miały zawsze cel polityczny. „Nieludzkość" jego nie była przejawem krwiożerczości. „Była bezlitosna jak wojna lub siły przyrody".

Richelieu był człowiekiem bardzo wykształconym, o wielostronnych zainteresowaniach; natura obdarzyła go dużym talentem oratorskim. Lubił otaczać się pewnym zbytkiem, nie był jednak rozrzutny, a nawet zdradzał zdaniem niektórych cechy skąpstwa. Zarzucano mu nieraz próżność, przy-

---

[1]) Dodać należy, że nowsze badania nad rolą kobiet w życiu Richelieu'go dały wynik stanowczo negatywny. Jeśli istotnie, jak uporczywie dawniej powtarzano, kobiety wywierały na niego wpływ przelotny („rzeczą zwolenników tych wersyj jest dowieść ich prawdziwości" — jak pisze Batiffol), to były to wypadki historycznie bez znaczenia. Por. Deloche M., *Richelieu et les femmes*, Paris 1931.

[2]) Belloc H., *Richelieu*, Paris 1934.

pisywanie sobie talentów dramaturga — stąd jego niechęć do Corneille'a; raczej jednak przyjąć należy, że tę słabostkę przejaskrawiono, a w wystąpieniu jego przeciwko *Cydowi* Corneille'a przeważał moment polityczny. Nie był Richelieu pyszałkiem, nie lubił też zdawkowych pochwał swych dworzan. Był katolikiem wierzącym, duchownym wykonującym swe powinności (w miarę ówczesnych zwyczajów); oskarżanie go o bezbożność nie ma żadnych podstaw. Był zwolennikiem tolerancji religijnej wobec hugenotów, a pozatem przeciwstawiał się stanowczo identyfikowaniu interesów katolicyzmu z polityką Habsburgów, żądał uwzględnienia konieczności państwowych Francji. Stąd wrogowie jego kuli czasem przeciw niemu zarzuty, nazywając go sojusznikiem hugenotów, *cardinal de la Rochelle!* Oskarżenia te były częste już w dobie spisku z r. 1626, posypały się wtedy przeciw Richelieu'mu liczne pamflety polityczne (*Admonitio, Mysteria politica, l'Espion français* i t. d.). W wydanem z polecenia Richelieu'go traktacie *le Catholique d'État* podano w odpowiedzi jeden argument główny: można być dobrym katolikiem i dobrym Francuzem jednocześnie; szkodzi tylko sprawie katolickiej ten, kto każe podporządkować się na ślepo interesom Hiszpanji. Zarazem jednak Richelieu nie popierał zbyt silnie zwolenników gallikanizmu. W sporach między gallikanami a ultramontanami zajmował stanowisko pośredniczące. Unikał konfliktu z Rzymem, nie zapominał o swych obowiązkach katolika i kardynała. [1])

Na jeden rys charakteru Richelieu'go wypada zwrócić jeszcze uwagę. Richelieu był nieraz wobec swych przyjaciół politycznych i ludzi, którzy mu służyli z oddaniem, niewdzięczny. Tak było np. z Barbinem. Po śmierci Conciniego uwięziony, następnie wygnany z kraju, tułał się były minister w Niemczech, popadł w zapomnienie i nędzę. Richelieu, który mu pierwsze swe stanowisko w rządzie zawdzięczał, przeżył tymczasem tragiczny okres niełaski i wrócił na powierzchnię życia politycznego, a następnie uchwycił pełnię władzy. O Barbinie jednak zapomniał, na listy jego nie odpowiadał. Żył rzeczywistością, dla wspomnień przeszłości

[1]) Hanotaux i duc de la Force j. w., s. 547 i nast.

nie miał sentymentu. Nad ludźmi, których nie potrzebował, przechodził do porządku dziennego. Podobnie nad ludźmi, którzy nie umieli dostroić się do jego aktualnych potrzeb politycznych i skostnieli w doktrynerstwie. Tak było np. z Fancanem, jego pierwszym publicystą z okresu walki o władzę i początków jego ministerstwa (1624—1626). Pierwszorzędny polemista, używany był pozatem przez Richelieu'go do misyj dyplomatycznych w Niemczech i w Niderlandach, oraz do prac kancelaryjnych. Szermierz zasady przewagi interesów politycznych nad religijnemi, zwolennik sojuszu z protestantami przeciwko Habsburgom, zajadły wróg ultramontanów, nie rozumiał konieczności politycznych Richelieu'go, gdy ten w r. 1627 postawił sobie za cel główny zdeptanie rewolty hugenotów, zdobycie Roszelli, wspomaganej przez Anglików (Fancan nadal był wielkim stronnikiem Anglji). Stosunki z Fancanem kompromitowały Richelieu'go w oczach Stolicy Apostolskiej, w oczach partji Marji Medici, Bérulle'a i Marillaca. Dawały argumenty w ręce wrogów kardynała, głoszących, że Richelieu dąży do schizmy kościelnej i utworzenia oddzielnego patrjarchatu francuskiego; do tego zaś prowadziłaby realizacja postulatów Fancana. W kwietniu 1627 r. uwięziony został Fancan w Bastylji, gdzie zmarł niebawem. Jako powód aresztowania podano udział w spisku przeciwko oblężeniu Roszelli. Wrogowie kardynała wyzyskali postępek z Fancanem do ataków na Richelieu'go, insynuując, że w ten sposób pozbyć się chciał człowieka, który znał zapewne jego tajemnice. Niema danych do twierdzenia, że podobnie niskie pobudki kierowały w tym wypadku kardynałem.[1]) Fancan nie zrozumiał w swem zaślepieniu stronniczem tych postulatów, które narzuciły się nieodparcie kardynałowi jako mężowi stanu — musiał tedy zniknąć. Było to koniecznością polityczną, a w takich wypadkach Richelieu, który wszystkie swe siły oddał na usługi państwa, nie znał litości.

Richelieu jako polityk miał przedewszystkiem w ogromnej mierze zdolność wyczucia rzeczywistości. Batiffol,

---

[1]) Hanotaux i duc de la Force, *Histoire de Richelieu, L'Entourage, Revue de deux mondes VIII 22, 1934, s. 105 i nast.*

w zgodzie z dawniejszemi badaniami Mariéjola,[1]) podkreśla, że Richelieu nie przystąpił do reformy wewnętrznej państwa z jakimś planem zgóry ułożonym i przygotowanym. Chciał przywrócić porządek publiczny, poskromić niesforność możnych, bunty hugenotów. Nie znosił dawnych instytucyj, nie wprowadził zasadniczo nowych — choć rozwinął wydatnie system kontroli władz centralnych nad podległemi przez pomnożenie liczby intendentów, rozszerzenie ich atrybucyj. Przedewszystkiem konsekwentnie dążył do wzmocnienia autorytetu królewskiego, nie drogą ustawodawczą lecz w praktyce. Rola jego na tem polu była z konieczności raczej destrukcyjna, streszczała się w złamaniu tej barjery przywilejów osobistych, korporacyjnych, wyznaniowych, które wybujały w dobie wojen religijnych i tamowały drogę do wzmocnienia władzy monarszej. Wielki destruktor był przecież zarazem wielkim budowniczym. Oczyścił pole, zmusił naród do karności,[2]) przygotował grunt, — którego nie zdołał zachwaścić rewolucyjny posiew Frondy — dla monarchji Ludwika XIV. Dzięki jego pracy przygotowawczej mógł we Francji zapanować ład i porządek, ten „wielki porządek" — znamię wieku XVII we Francji, który zaznaczył się nietylko w ustroju i polityce państwa, lecz przedewszystkiem w życiu umysłowem narodu, w sposobie myślenia współczesnego Francuza. W tem znaczeniu działalność Richelieu'go była pracą konstrukcyjną, która położyła fundamenta pod nowożytną monarchję absolutną, t. zw. monarchję administracyjną.[3])

---

[1]) Lavisse E., *Histoire de France*, VI_2, okres 1598—1643 opracowany przez J. H. Mariéjola. — Por. do oceny roli Richelieu'go w stosunkach wewnętrznych Francji: Pagès G., *La monarchie d'ancien regime en France*, Paris 1933, s. 328 i nast.

[2]) Madelin L., *Histoire politique (1515—1804)*, tom IV (s. 225 i nast.) wydawn. *Histoire de la nation française* pod redakcją G. Hanotaux'a Paris 1924.

[3]) Ocena roli dziejowej Richelieu'go zależy oczywiście od oceny całości dorobku okresu *ancien regime'u* dla dziejów Francji. Wystarczy np. zestawić uwagi J. Bainville'a (*Histoire de France*, Paris 1924) oraz Ch. Seignobosa (*Histoire sincère de la nation francaise*, Paris 1933). Seignobos ogranicza wyniki polityki wewnętrznej kardynała właściwie jedynie do tego, że „zniechęcił warstwy wyższe do zajmowania się

Warunkiem wzmożenia autorytetu królewskiego wewnątrz kraju były sukcesy na zewnątrz. Król zwycięski i triumfujący mógł zapewnić sobie posłuszeństwo w kraju. Sukcesy Richelieu'go w polityce zagranicznej przyczyniły się w ogromnej mierze do ustalenia monarchji absolutnej. Ta „wielka polityka" Richelieu'go, nieubłagana, „ukryta", potem „otwarta" wojna z Habsburgami, była koniecznością dla Francji od początku XVI wieku. Po przejściowym okresie słabości państwa w dobie wojen religijnych sformułował zadania polityki francuskiej Henryk IV, a Richelieu uchwycił moment właściwy i konieczny do wystąpienia, gdy Ferdynand II dążył do wzmocnienia władzy cesarskiej w Niemczech, a polityka Hiszpanji, kierowana ręką Olivareza, odnosiła nowe sukcesy. W tych warunkach celem Richelieu'go było powstrzymanie postępów domu habsburskiego, wspieranie wszystkich jego wrogów, obrona „wolności germańskich" oraz samodzielności *stati liberi* włoskich, zabezpieczenie w ten sposób samej Francji. Stałość i konsekwencja w wykonywaniu tego programu budziły podziw u współczesnych i potomnych, zapewniły mu sławę wielkiego męża stanu. Polityka Richelieu'go nie była przecież zaborczą. Odrzucał kardynał zbyt dalekie a trudne do ziszczenia plany. Wysuwał pretensje do tych ziem, co do których mógł wykazać wyraźne prawa korony francuskiej. Jego prawnicy uzasadniali prawa Francji do Lotaryngji, do trzech biskupstw (Metz, Toul, Verdun); dążył tedy Richelieu do zerwania węzłów tych ziem z cesarstwem. Na dalszym już planie była Alzacja, na jeszcze dalszym ziemie nadreńskie. Prawda, w chwili sukcesów oręża Gustawa Adolfa w r. 1632 pokusa zagarnięcia Nadrenji była wielka w związku z propozycjami Szwedów, którzy chcieli nakłonić Francję do otwartej wojny z Habsburgami i do konfliktu z Rzeszą. A jednak Richelieu powstrzymał się od kroków zbyt śmiałych i ryzykownych; na decyzję jego wpłynął wtedy głównie O. Józef, który obawiał się słusznie, że, występując zbyt agresywnie, Francja

sprawami publicznemi" (s. 287/8). Dla tych jednak, którzy doceniają wartość monarchji XVII wieku w dziejach narodu francuskiego, doniosłość roli Richelieu'go (jako tego, który stworzył konieczne warunki dla monarchji Ludwika XIV) nie może ulegać wątpliwości.

zejdzie z drogi swych dobrych stosunków z księstwami katolickiemi Rzeszy. W rezultacie więc Richelieu pozostał wierny polityce obronnej, dążącej do zabezpieczenia granic Francji i unicestwienia uniwersalistycznych koncepcyj habsburskich.[1])

Jakaż była natomiast rola Ludwika XIII i jego stosunek do kardynała? Historycy francuscy, zestawiając Ludwika XIII z Henrykiem IV i Ludwikiem XIV, wydawali zazwyczaj sąd o mocodawcy Richelieu'go ujemny, nader nisko oceniając jego walory umysłowe, obniżając jego znaczenie do roli ukoronowanego figuranta, kierowanego przez wszechwładnego kardynała. Badania historyczne naszego stulecia przynoszą rehabilitację tego króla, któremu współcześni dawali przydomek *le Juste*. Jakże w ich świetle przedstawia się nam Ludwik XIII? Spadkobierca tronu Henryka IV był słabego zdrowia, nerwowy, samotnik, bojaźliwy i nieśmiały wobec kobiet. Tryb życia prowadził zdrowy i prosty, oddając się z zapałem łowom, ćwiczeniu bronią, jeździe konnej. Niechęć do kobiet nasuwała zawsze podejrzenia, że król hołduje skłonnościom zwyrodniałym. W istocie w otoczeniu jego spotykamy faworytów, do których odnosił się z wielką czułością, a listy jego np. do Cinq-Marsa zawierają tyle wyrazów namiętności, że trudno nie posądzać Ludwika XIII conajmniej o „predyspozycję fizyczną do związków natury niepokojącej".[2]) Richelieu czuwał, by skłonność ta nie przyniosła uszczerbku interesom państwa. Hamulcem przecież dla króla w folgowaniu podobnym popędom zmysłowym była przedewszystkiem jego wielka pobożność. Ludwik XIII był stanowczo „najbardziej religijnym ze wszystkich królów z rodziny Bourbonów".[3])

Przeciwnicy kardynała podawali w wątpliwość inteligencję króla. Zdolności jego były istotnie raczej przeciętne, nie może być jednak mowy o jakimś niedorozwoju umysło-

---

[1]) W znacznej mierze też na ostrożną politykę Richelieu'go wpłynęło zrozumienie ówczesnej słabości sił wojskowych Francji.

[2]) Batiffol j. w.

[3]) Batiffol j. w. Por. Hanotaux G. idela Force, *Histoire de Richelieu, Le roi et le cardinal, Revue de deux mondes* VIII 21, 1934.

wym. Ludwik XIII miał bardzo wysokie poczucie swej godności monarszej, ale również i zrozumienie obowiązków władcy. Zazdrosny o swą władzę, był nieufny i podejrzliwy wobec otoczenia; podrażniony, posuwał się do gwałtowności i surowości. Ten „najlepszy władca na świecie" — jak go określał Richelieu w r. 1628 — był w rzeczywistości motorem krwawych represyj i nieubłaganych wyroków na tych, których uznał za niebezpiecznych dla swej władzy i dla porządku w państwie. Ludwik XIII był człowiekiem niezmiernie silnej woli.[1]) Gdy tedy uznał, że Richelieu jest podporą jego autorytetu i obrońcą nieuszczuplonej władzy monarszej, potrafił się oprzeć wszystkim wpływom, nie ugiął się pod naciskiem swej rodziny i otoczenia: dotrzymał Richelieu'mu słowa, że nie opuści go nigdy i nie wyda na pastwę jego wrogów, których uznał zarazem za wrogów swoich i państwa. W roku 1624 niechętnie dopuścił go do rządów. Zwolna jednak coraz lepiej oceniał jego zalety, poznał oddanie kardynała dla interesów państwa i monarchji, wkońcu go nawet polubił szczerze. Nazwał go „najlepszym sługą, jakiego Francja kiedykolwiek posiadała". Trudno dopatrzeć się w źródłach śladów rzekomej zazdrości, czy nienawiści, jaką przypisywano mu w stosunku do kardynała. Natomiast łatwo znaleźć w korespondencji króla z kardynałem dowody przywiązania i afektu. Poparcie, jakiego udzielił Richelieu'mu, stałość w zwalczaniu wrogów systemu rządów, pozwolą przyznać Ludwikowi XIII walny współudział w budowie monarchji absolutnej XVII wieku.[2])

III.

Nowsze badania czasów Richelieu'go nie mogły oczywiście pominąć postaci O. Józefa. Naogół jednak niewiele nowego dodano od czasów Fagnieza, który wyświetlił rolę „Szarej Eminencji" w swem pomnikowem dziele *Le*

[1]) Czy jednak nie jest pewną amplifikacją przypisywanie mu takiej „siły ducha, która czyni go jednym z największych królów" Francji? Por. Bailly A., *Richelieu*, Paris 1934, s. 275.

[2]) Wiele nowego światła rzuciła na postać Ludwika XIII m. i. jego korespondencja z Richelieu'm, wydana przez Beauchamp'a (1902).

Père Joseph et Richelieu.[1]) Zgodnie z Fagniezem podkreśla się dwa motywy w działalności politycznej O. Józefa: ogólno chrześcijański i narodowy. Ten znakomity kapucyn, główny doradca Richelieu'go i wykonawca najpoufniejszych jego planów, za cel swego życia uważał rozbudzenie idei krzyżowej, połączenie wszystkich państw chrześcijańskich w jednym obozie antyturecckim, w następstwie wyrzucenie Turków z Europy. Pierwsze jednak starania, jakie podjął w tym kierunku, te liczne jego podróże do Rzymu i Madrytu w latach 1616—1625, utrwaliły w nim przekonanie, że główną przeszkodą na drodze do jednolitego frontu chrześcijańskiego jest dom Habsburgów, który chce swą przewagę narzucić Europie środkowej i zachodniej, m. i. Francji. Stąd niechęć do Hiszpanji szczególnie, która pozwoliła mu łatwiej zrozumieć cele polityczne Richelieu'go. Zgodność poglądów politycznych O. Józefa i kardynała opierała się na wspólnym przeświadczeniu, że jedynie tylko Francja potrafi Europę uspokoić i uwolnić od zmory uniwersalizmu habsburskiego. W umyśle O. Józefa nastąpiło podporządkowanie dalszych celów, których nigdy z oka nie spuszczał, bliższym. Fagniez nazwał to „triumfem polityki narodowej". Odtąd O. Józef niestrudzenie pracuje przeciwko Habsburgom, na terenie Niemiec stara się umocnić obóz trzeci, książąt katolickich pod egidą Bawarji, antyprotestancki, ale i antyhabsburski. Wysuwa hasło obrony „wolności niemieckich" przeciw Habsburgom. Jego dziełem była w znacznej mierze porażka polityki habsburskiej w sprawach niemieckich na sejmie ratysbońskim. Zrozumiałem jest tedy, że przeciw Habsburgom uważał za konieczne, podobnie jak i Richelieu, posłużenie się jako narzędziem nawet armją szwedzką Gustawa Adolfa. Uważał, że „należy posłużyć się nim jako trucizną: w małej ilości służy jako odtrutka, w zbyt wielkiej zabija". Tylko, że Gustaw Adolf nie chciał być jedynie narzędziem, ale pragnął odegrać rolę samodzielną, jako otwarty aljant Francji. Stąd też rokowania, toczone z polecenia Richelieu'go od r. 1629

---

[1]) Paris 1894. Por. Hanotaux G. i duc de la Force, *Histoire du cardinal de Richelieu*, t. III, Paris 1933, oraz artykuł tych samych autorów w *Revue de deux mondes* VIII 22, 1934.

z Gustawem Adolfem przez barona Charnacé, szły bardzo opornie. Sporo nowego światła rzuciły ostatnio badania m. i. Weibulla i Paula.[1]) W ich świetle wyraźnie zarysowuje się różnica między celami politycznemi Richelieu'go i Gustawa Adolfa. Obaj mieli wprawdzie jednego wspólnego wroga — Habsburgów. Richelieu jednak unikał jeszcze otwartego z nimi konfliktu, chciał tylko przy pomocy armji szwedzkiej osłabić Habsburgów w Niemczech i przywrócić zachwianą równowagę; pragnął pozatem skłonić Gustawa Adolfa do poszanowania katolicyzmu i interesów Ligi. Natomiast król szwedzki wzdragał się odgrywać jedynie rolę najemnika za pieniądze francuskie, żądał rokowań jak równy z równym, pragnął ustalić wspólnych wrogów i wspólnych przyjaciół: nie chciał krępować się zbytnio w stosunku do katolików Rzeszy, wkraczając do Niemiec pod hasłem obrony uciśnionego protestantyzmu. Ostatecznie traktat w Bärwalde (styczeń 1631), zawarty już po wkroczeniu jego na ziemię niemiecką, uwzględniał jeszcze w szerszej mierze żądania Gustawa Adolfa niż to Richelieu zrazu planował. Dalsze zaś jego sukcesy postawiły dyplomację francuską wobec zupełnie nowych zagadnień. Gustaw Adolf, stanąwszy nad Renem, sam unikał zatargu z Hiszpanją, chciał natomiast wciągnąć Francję do wojny z Habsburgami. Myślał o przebudowie Rzeszy i objęciu w niej zwierzchnictwa, gotował się do marszu w ziemie Maksymiljana bawarskiego. Richelieu starał się napróżno skłonić króla szwedzkiego do ustąpienia z ziem nadreńskich, terenów sfery interesów Francji. Miał kilka dróg do wyboru: albo wyraźny aljans z Gustawem Adolfem, albo sojusz z cesarzem dla wstrzymania postępów oręża protestanckiego, albo zachowanie ścisłej neutralności wobec dalszego rozwoju wypadków, albo wreszcie, i tę drogę wybrał, wyzyskanie sytuacji przez położenie ręki na niektórych strategicznych punktach nad Renem celem zabezpieczenia interesów Francji tak wobec Habsburgów, jak i Szwecji.[1]) Na-

[1]) Weibull L *Gustave Adolphe et Richelieu, Revue historique* t. 174, s. 216. — Paul J., *Gustav Adolf*, t. II i III, Lipsk 1933. — Wittrock G., *Gustav Adolf*, Stuttgart 1930, s. 293/4.

[2]) Hanotaux i de la Force. *Histoire du cardinal de Richelieu* t. III, s. 430 i nast.

tomiast stłumił w sobie pokusę zagarnięcia wprost Alzacji, ostrzeżony przez O. Józefa, że w ten sposób Francja wystąpiłaby wobec Niemiec otwarcie w roli zaborcy, a nie obrońcy wolności niemieckiej i medjatora, zraziłaby sobie katolików Rzeszy. W dalszym zaś toku wypadków starania dyplomacji Richelieu'go idą w tym kierunku, by Bawarję przed atakiem szwedzkim uchronić. Akcja ta nie dała wyników pomyślnych. Już na dworze francuskim uznano, że przyszedł czas, by „powstrzymać Gota". Śmierć Gustawa Adolfa zmieniła sytuację kompletnie. Teraz zanosiło się na zjednoczenie Niemiec pod berłem cesarskiem i temu przeciwstawił się Richelieu, rozwijając w pełni wszystkie atuty swej wielkiej gry politycznej. O. Józef był nadal, aż do swojej śmierci (1638) wykonawcą tej polityki Richelieu'go, zawsze przekonany, że jej sukces końcowy, obalenie Habsburgów, będzie dopiero wstępem do drugiej wielkiej akcji — marzenia jego życia: gdy zwycięska Francja poprowadzi uspokojony wewnętrznie świat chrześcijański do wojny z Turcją. Dążenie do krucjaty łączyło się tedy w przekonaniu O. Józefa z polityką narodową Francji, którą, choćby ze względu na jej przeszłość, na jej udział w powstaniu i rozwoju idei krzyżowej, uważał za jedynie powołaną do przewodnictwa w chrześcijaństwie. *Gesta Dei per Francos!*

Nową monografję, na wielką skalę zakrojoną, opartą na niektórych nowych materjałach, wydobytych z archiwów francuskich i rzymskich, poświęcić zamierzał O. Józefowi kanonik Dedouvres.[1]) Ukazały się dwa wielkie tomy, obejmujące całokształt działalności „Szarej Eminencji" po r. 1628 włącznie. Śmierć autora przerwała kontynuację wydawnictwa. Dedouvres włożył w swe dzieło tak wielki zasób

[1]) Dedouvres L., *Le pere Joseph de Paris*, t. I — II, Paris 1932. Por. uwagi Hausera o tej książce w *Revue historique* t. 170, s. 485.

W rozdziale wstępnym bardzo ostro rozprawia się Dedouvres z wszystkimi pisarzami, którzy ujemnie ocenili charakter i działalność O. Józefa (lub też roli jego nie doceniali), poczynając od autorów XVII w., aż do historyków (np. Micheleta) i powieściopisarzy pierwszej połowy XIX wieku. Gdy następnie, omawiając próby rehabilitacji „Szarej Eminencji", omawia Dedouvres m. i. prace Fagnieza, zbyt często zaprawia swe uwagi polemiczne dygresjami osobistemi, co obniża wydatnie powagę jego pracy.

pietyzmu dla swego bohatera, że postać jego przesadnie wyolbrzymił, zbyt często rękę O. Józefa dostrzegając na arenie życia politycznego czy kościelnego Francji, choć dowody przekonywujące na to nie zawsze zdołał zebrać. Postać O. Józefa przytłacza swą wielkością w monografji Dedouvres'a nawet samego Richelieu'go! Niemniej przynosi praca Dedouvres'a również i cenne przyczynki, oświetlające postać O. Józefa jako działacza katolickiego, jednego z czołowych przedstawicieli współczesnego ruchu mistycznego, nieporównanego władcę dusz, którego postawić można blisko Franciszka Salezego czy Bérulle'a, następnie jako polemistę politycznego (szczególny to kontrast z mistykiem i asceta!), który świetnie umiał kierować opinją publiczną i urabiać ją w duchu korzystnym dla sprawy króla i Francji, dla polityki kardynała; wreszcie jako poetę (tworzącego w języku francuskim i łacińskim), który w swych rymach, szczególnie w „Turcjadzie", spisanej w czasie podróży do Rzymu i Madrytu, zawarł tęsknotę swego gorącego serca za wielkim czynem krzyżowym, jednoczącym we wspólnym wysiłku cały świat chrześcijański. Dokładnie przedstawia Dedouvres również rolę księcia de Nevers w powołaniu do życia „Milicji chrześcijańskiej"; prace nad utworzeniem tego zakonu rycerskiego sprowadziły księcia de Nevers, jak wiadomo, również na teren Polski (którą znał już z pobytu w r. 1602).[1])

Nowe również szczegóły przynosi Dedouvres do akcji misyjnej O. Józefa. Gdy sytuacja polityczna w Europie nie pozwalała na krucjatę, mógł O. Józef dać upust swemu kosmopolityzmowi chrześcijańskiemu w wytężonej propagandzie wiary, jaką prowadził w roli komisarza apostolskiego dla misyj (przez kapucynów organizowanych) w Konstantynopolu, w Grecji, Persji, Syrji, Egipcie, Abisynji, Maroku; na terenie Europy w Anglji, gdzie oparciem dla ruchu misyjnego miał być dwór wydanej za Karola Stuarta Henryki Marji francuskiej: akcja na tym terenie przyniosła pewne korzyści dopiero po roku 1630 i to nietrwałe.

[1]) Materjały do podróży ks. de Nevers po Europie środkowej (1616 r.) i do stosunków ówczesnych z Polską podaje Griselle E., *Louis XIII et Richelieu, Lettres et pieces diplomatiques*, Paris 1911.

IV.

Zdaniem Dedouvres'a zasługę zdobycia Roszelli w pełni przypisać można O. Józefowi. „Jeśli oblężenie Roszelli zostało postanowione, jeśli król udał się tamże, jeśli kardynał wyruszył za nim, to wszystko należy przypisać wpływowi O. Józefa". [1]) Słowa te podyktował autorowi głęboki kult dla postaci swego bohatera, niemniej jednak tkwi w nich dużo prawdy. Ludwik XIII miał się wyrazić, że radom Bérulle'a i O. Józefa głównie należy przypisać podjęcie oblężenia. Rola O. Józefa była też i w toku oblężenia niewątpliwie bardzo wybitna. Dążył on do zniszczenia protestantyzmu w całej Francji zachodniej, rozwijając oddawna w tym kierunku żywą pracę misyjną: zdobycie Roszelli oznaczało szczególnie ważny etap w osłabieniu sił protestantyzmu w tej części Francji. Stąd też również i w czasie oblężenia rozwijał O. Józef ogromną aktywność, wysuwał nawet pewne pomysły taktyczno-oblężnicze, co denerwowało wyższych oficerów. Zasługi jego na tem polu podnosi autor najnowszej pracy o oblężeniu Roszelli, F. de Vaux de Foletier. [2]) Niemniej jednak podnoszenie zasług O. Józefa nie może przysłonić roli tego, który naprawdę to wielkie dzieło przeprowadził — Richelieu'go. Zdobycie Roszelli i stłumienie rewolty hugenockiej było warunkiem wstępnym dla rozwinięcia swobodnej polityki zagranicznej, i z tego względu przywiązywał Richelieu doń wagę ogromną, starając się przełamać wszystkie trudności, wśród których nie najmniejszą była konieczność ustawicznego nakłaniania do wytrwania możnych i generałów pod Roszellą zgromadzonych, dodawania otuchy samemu królowi, który, znudzony przewlekaniem się oblężenia, na jakiś czas obóz opuścił. Dla Richelieu'go miało zdobycie Roszelli znaczenie kapitalne. Było nader ważnym etapem na drodze do likwidowania hugenockiego państwa w państwie, tak sprzecznego z jego koncepcją monarchji jednolitej. Było zarazem ostrzeżeniem dla wszystkich możnych, że rząd ma siłę potrzebną do zgniecenia ognisk wewnętrznych buntów, choćby nawet podsy-

[1]) *Le père Joseph* j. w. t. II, s. 263.

[2]) *Le siege de la Rochelle,* Paris 1931. Por. też Hanotaux i de la Force j. w., s. 268.

cane były ręką protektora zagranicznego, w tym wypadku Anglji: rozumieli to niektórzy z wrogich kardynałowi możnych, powtarzając między sobą, że zdobywanie Roszelli nie leży bynajmniej w ich interesie. [1])

Piękna książka de Vaux de Foletiera, oparta na rozległych badaniach archiwalnych, odznacza się nietyle bogactwem nowych szczegółów, co barwnym i jasnym wykładem. Przed oczyma czytelnika przesuwają się barwne obrazy, ilustrujące stanowisko Roszelli wobec rządu de Luynes'a, następnie Richelieu'go, stosunki tej fortecy hugenockiej z Anglją, powody zatargu angielsko-francuskiego i rola w jego wywołaniu hugenotów emigrantów po drugiej stronie kanału La Manche, z Benjaminem Rohanem baronem de Soubise na czele. Ocena polityki Buckinghama, skreślona zgodnie z dotychczasowym stanem badań, nie uwzględnia prób rewizjonistycznych, podjętych odnośnie do roli głośnego ministra Karola I przez angielskich historyków ostatnich lat. [2]) Określona jest ta polityka jako kapryśna i nerwowa, inspirowana w głównej mierze przez osobiste pobudki Buckinghama. Sam minister angielski przedstawiony jako próżny i pyszał-

[1]) Rola rodziny Rohanów w obronie i organizowaniu odsieczy dla Roszelli wynikła tak z pobudek religijnych, jak też była przejawem walki panów feudalnych z tendencjami unifikacyjnemi Richelieu'go.

[2]) Por. Belloc H., *Charles the First, king of England,* Londyn 1933, oraz Evan John, *King Charles I,* Londyn 1933. Obaj autorzy przeprowadzają pewną rehabilitację tak Karola I, jak i Buckinghama. Szczególnie Karola Stuarta traktują z sympatją, choć krytycznie, jako władcę inteligentnego, miłośnika sztuki, zamiłowanego w studjach teologicznych, dobrego żołnierza; upór stanowił natomiast ujemną cechę jego charakteru i stał się powodem późniejszej katastrofy. Zaprzeczają, jakoby dążył do wprowadzenia absolutyzmu: chciał jedynie zachować prerogatywy królewskie w tym stanie, jak mu je przekazano w chwili objęcia władzy. Buckingham natomiast, to improwizator w życiu i w polityce, o wielkim wdzięku osobistym, co mu pozwoliło dojść do najwyższych stanowisk w państwie. Był on dobrym żołnierzem i organizatorem floty, który zasłużył się na polu budowy potęgi morskiej Anglji. — W recenzji z tych książek podkreśla G. Constant (*Revue historique,* t. 173, r. 1934), że autorzy, pod wpływem dzisiejszego kryzysu kapitalizmu nowoczesnego i parlamentaryzmu inaczej spoglądają na dzieje upadku Stuartów w Anglji. Niema u nich śladu tego respektu dla instytucyj parlamentarnych, tak znamiennego dla Gardinera i Greena, „którzy wycisnęli na dziejopisarstwie Anglji w czasach Wiktorji pieczęć wigów".

kowaty bez zdolności karjerowicz, „demon króla", znienawidzony w opinji angielskiej, jako główna sprężyna całej antyparlamentarnej polityki królewskiej. Chęć pomsty na Ludwiku XIII i kardynale za zawody osobiste, oraz pragnienie pozyskania sobie aktem pomocy dla hugenotów francuskich i zwycięskim czynem wojennym opinji angielskiej, skłoniły głównie Buckinghama do wyprawy pod Roszellę. Barwnie przedstawia de Vaux de Foletier wojenne zapasy na wyspie Ré (1627), bohaterską obronę fortu St. Martin przez Toirasa (znaną z pięknych sztychów Jakóba Callota), odsiecz Schomberga i niesławny odwrót Anglików. Podobnie nie powiodły się dwie dalsze interwencje floty angielskiej Denbigha i Lindsey'a (wyznaczonego w miejsce Buckinghama, który w przeddzień niemal tej trzeciej wyprawy padł z ręki oficera Felfona). Mieszkańcy Roszelli znosili głód i choroby, oraz rządy teroru mera Jana Guitona tylko w nadziei na odsiecz angielską. Gdy ta nadzieja zawiodła, miasto musiało się poddać.[1]) Richelieu odniósł wielki sukces; Ludwik XIII był teraz, zgodnie ze swem życzeniem, królem takim samym w Roszelli jak w Paryżu. Postąpiono znaczny krok naprzód w usuwaniu odrębności lokalnych, stojących na przeszkodzie do unifikacji administracyjnej państwa.

Znaczenie wypadków pod Roszellą nie zamykało się w obrębie granic Francji, miało doniosłość ogólnoeuropejską. Zatarg angielsko-francuski oraz skupienie głównych sił zbrojnych Francji pod Roszellą pozwoliło na ogromną swobodę ruchów Hiszpanji i Habsburgom austrjackim. Na ten czas właśnie przypadają główne sukcesy cesarskie nad protestantami niemieckiemi i Danją, oraz wielkie plany morskie Habsburgów, wsparte potężnem ramieniem zwycięskiego Wallensteina. Wrogowie Habsburgów stracili jedyne oparcie, gdy Anglja i Francja uwikłane były w wojnę między sobą. Nic tedy dziwnego, że zagrożone postępami Habsburgów państwa, np. Holandja czy Wenecja, starają się zapośredniczyć między Francją i Anglją, przyspieszyć pacyfikację

[1]) Ludność Roszelli, wycieńczona walką, głodem i chorobami, spadła w ciągu roku z 27.000 na 5.400 mieszkańców.

i umożliwić im aktywną rolę w wielkiej polityce europejskiej. Natomiast Hiszpanja, choć oficjalnie musiała życzliwą zająć postawę wobec akcji rządu francuskiego przeciw protestantom, naprawdę uchylała się od użyczenia istotnej pomocy i pragnęła by Richelieu miał jaknajdłużej związane ręce walką z hugenotami. Wszechwładny minister Filipa IV, Olivarez, nie wzdragał się nawet wchodzić w tajne porozumienie z hugenotami Francji południowej, a intryga hiszpańska nie cofnęła się również przed udzieleniem potajemnych zachęt mieszkańcom Rochelli. W tem oświetleniu, jakie daje de Vaux de Foletier w rozdziale *l'Europe et le siège de La Rochelle*, występuje ogromnie plastycznie znaczenie sukcesu pod Roszellą dla polityki zagranicznej Francji.

V.

Wielka gra polityczna Richelieu'go wymagała odpowiednich środków, sprawnej dyplomacji, dobrej armji i floty, oraz zasobów finansowych. Richelieu zorganizował pierwszy stałą dyplomację francuską. Dla kardynała „rokowania dyplomatyczne nie stanowiły czegoś przypadkowego, izolowanego, lecz pewną ciągłość, której nie przerywa ani zawarcie pokoju ani podjęcie kroków nieprzyjacielskich". Nawet rokowania nie uwieńczone pomyślnym wynikiem mają swą wartość jako środek zdobywania informacji.[1]) Richelieu położył podwaliny pod stałą dyplomację, którą wykształcił i utrwalił Ludwik XIV.

Dotąd najmniej wyjaśnioną jest rola Richelieu'go na polu organizacji armji francuskiej. Nieco światła rzucają na tę dziedzinę jego działalności studja Hanotaux'a i de la Force'a. Nie wchodząc w szczegóły, stwierdzić wypada, że główną zasługą Richelieu'go było wydatne podniesienie stanu liczebnego armji francuskiej (z 60.000 na 150.000), oraz przygotowanie jej przeobrażenia w armję stałą, powiększaną w czasie wojny, zachowującą swe kadry i w czasie pokoju. Następnie zaprowadzenie w niej ładu i porządku, dostatnie

[1]) Picavet C. G., *La diplomatie française au temps de Louis XIV*, Paris 1930, s. 7. Pinon R., *Histoire diplomatique 1515—1928*, t. IX (s. 166 i nast.) wydawn. *Histoire de la nation francaise.*

zaopatrzenie armji, poddanie pod kontrolę działalności oficerów, nawet wodzów: rolę tę spełniali jego intendenci. Podniesienie stałej sprawności bojowej armji, w wyniku czego jej wartość bojowa miała być zrównoważona, a nie, jak dotąd, zależna od bohaterskich zresztą improwizacyj, oderwanych wysiłków jednostek. Brak ludzi odpowiednich dawał się dotkliwie kardynałowi odczuć. Sam Richelieu pracował niezmordowanie, nieraz dosiadał konia i kierował operacjami wojennemi: przedewszystkiem zaś sam stale obmyślał plany, przygotowywał działania wojenne. Stanowiska naczelne musiał zrazu oddawać możnym, zaspakajając ich ambicje. Zczasem jednak wychował sobie Richelieu wodzów według własnego uznania, a odsunął tych, których zdolności nie wytrzymywały próby ogniowej, oraz których wierność dla sprawy królewskiej pozostawiała wiele do życzenia. „Nowa ekipa" z lat 1641/2 zawierała nazwiska, które mówią same za za siebie: Guébriant, Turenne, Gassion, Fabert, duc d'Enghien (Kondeusz)! Los bezlitosny nie pozwolił Richelieu'mu dożyć chwili, gdy ten ostatni, najmłodszy z tej ekipy, mając przy boku rutynowanego marszałka l'Hôpitala i doskonałego Gassiona, wsławił swe imię świetnem zwycięstwem pod Rocroy (1643).[1])

Richelieu posiadał pełne zrozumienie doniosłości morza dla rozwoju Francji. Wynikło to z jego pochodzenia z prowincji nadmorskiej (Poitou), z tradycyj rodzinnych (dziadek jego zakładał port w Hawrze jako wiceadmirał za Franciszka I); sprawa Roszelli ujawniła mu w całej rozciągłości konieczność stworzenia potęgi morskiej Francji; budowa floty była wreszcie zasadniczym warunkiem powodzenia jego wielkiej polityki antyhiszpańskiej. Zasługą Richelieu'go była przedewszystkiem centralizacja władz naczelnych sił morskich w jednem ręku, a zniesienie różnych autonomicznych admiralicyj, które stanowiły jedną z głównych przeszkód w normalnym rozwoju floty. Swoje funkcje w roli zwierzchnika sił morskich Francji (jako *grand maitre, chef et surintendant général de la navigation et commerce de France*)

---

[1]) Hanotaux i de la Force, *Revue de deux mondes*, VIII 21, 1934, s. 115.

pojmował bardzo szeroko. Celem jego było więc nietylko stworzenie floty wojennej przeciw Roszelli i Hiszpanji. Pragnął położyć podwaliny pod rozwój handlu morskiego Francji, zachęcając szlachtę francuską, która dotąd uważała to za niezbyt godne dla siebie zajęcie, do żeglugi, handlu, kolonizacji zamorskiej. Doradcami fachowymi jego na tem polu byli obeznani ze sprawami morskiemi bracia Launay — Razilly. Idąc za ich wskazówkami popierał Richelieu tworzenie kompanij handlowych, które miały powoli wyrwać z rąk Holendrów pośrednictwo w handlu zamorskim. Poczynania jego na tem polu, łącznie z popieraniem rozwoju przemysłu krajowego, były kontynuacją tych zaczątków polityki merkantylistycznej, których inicjatorami byli Henryk IV i Laffemas: stanowiły przygotowanie gruntu dla dzieła Colberta. Za czasów Richelieu'go Francja istotnie tworzy podstawy swej siły morskiej, zaznacza się wtedy żywy ruch kolonjalny. Rozwija się „Nowa Francja" (Kanada), tworzą się placówki kolonjalne w Antylach, w Gujanie. Kolonizacja francuska stawia pierwsze kroki na gruncie Afryki, w Senegambji, w Gwinei, na Madagaskarze.

Zasługi na tem polu Richelieu'go doceniają w pełni współcześni historycy francuscy.[1]) Jeśli niektóre poczynania handlowe i kolonjalne z czasów Richelieu'go często nie posiadały cech trwałości i zbyt szybko uległy likwidacji, to głównie dlatego, że brak im było solidnej podstawy finansowej. Przez cały niemal okres swych rządów Richelieu

---

[1]) H a u s e r H., *La prépondérance espagnole,* s. 268 i nast.

R o n c i è r e Ch., *Histoire de la marine francaise,* t. IV, Paris 1913. R. P i n o n (j. w. s. 200) nazywa Richelieu'go „prawdziwym budowniczym pierwszego imperjum kolonjalnego Francji". — Kolonizacja ówczesna Francji łączyła się bardzo ściśle z propagandą chrześcijaństwa w krajach zamorskich.

M a r i é j o l (w L a v i s s e'a *Histoire de France,* t. VI_2), doceniając starania Richelieu'go na polu rozwoju kolonizacji, podkreślał, że nie udało mu się pobudzić inicjatywy prywatnej społeczeństwa do koniecznego wysiłku finansowego. Kapitały francuskie były wtedy nader bojaźliwe i pozostawały w kraju, nie zasilając w odpowiedniej mierze akcji kolonizacyjnej. — Krytycznie oceniali wysiłki Richelieu'go w kierunku rozwoju handlu zamorskiego Francji niektórzy dawniejsi historycy, np. G. A v e n e l, *Richelieu et la monarchie absolue,* t. III, Paris 1887.

prowadził wojnę, bądź „ukrytą", bądź „otwartą", z Habsburgami. By sprostać wydatkom, jakie pociągała za sobą jego wielka polityka, potrzebował Richelieu nieustannie pieniędzy. Trudności były tem większe, że Richelieu, jak to sam zresztą przyznawał, nie znał się na finansach państwa. Przy całem zrozumieniu dla potrzeb gospodarczych Francji nie umiał (a i okoliczności mu na to nie pozwalały) podjąć odpowiedniej polityki finansowej. Skarb państwa był ciągle pusty i trzeba było za wszelką cenę wydobywać nowe środki finansowe ze społeczeństwa. Wszystkie zabiegi rządu Richelieu'go na tem polu stały pod znakiem nieubłaganych konieczności wojennych, polityka fiskalna ograniczała się do wyszukiwania coraz to nowych źródeł dochodu. Tak np. Richelieu potępiał w zasadzie sprzedaż urzędów, musiał jednakże do tego się uciekać i pomnażał jeszcze wszystkie dolegliwości, jakie stąd dla państwa płynęły. Dla podjęcia wielkiej gry o zapewnienie Francji odpowiedniej pozycji w Europie poświęcił Richelieu, i to świadomie, tak konieczną reformę finansów państwa.

VI.

Na zakończenie tych naszych uwag pragniemy wspomnieć o jednej jeszcze książce, poświęconej życiu wielkiego kardynała. Nie jest to praca źródłowa, nie wydobywa nowych szczegółów, ani nie przynosi nowego oświetlenia poszczególnych faktów. Zawiera jegnak ogromne bogactwo myśli, daje oryginalne i niezwykle śmiałe oświetlenie całokształtu roli dziejowej Richelieu'go. Jest to książka znakomitego publicysty oraz historyka, naturalizowanego Anglika pochodzenia anglo-francuskiego (katolika), H. Belloca, *Richelieu.* [1]) Belloc jest gorącym obrońcą teorji o roli decydującej wielkich ludzi w kształtowaniu dziejów, a przeciwnikiem koncepcji historjozoficznej, uznającej dzieje za proces konieczny i mechaniczny, w którym rola jednostki jest tylko ułamkiem, bez istotnego znaczenia. Belloc nie boi się popaść w przesadne wyolbrzymienie roli wybitnych jednostek: uważa to za błąd mniejszy, niż jej niedocenianie. Dla zro-

[1]) Przekład z angielskiego Th. Varleta, Paris 1933.

zumienia roli dziejowej Richelieu'go przywołuje przed oczy czytelnika obraz Europy z drugiej połowy XVI wieku, szarpanej przez wojny religijne, posiew tej burzy, jaka przeszła nad nią w postaci reformacji. Katastrofa ta zniszczyła jedność cywilizacji zachodniej, podzieliła Europę na dwa wrogie obozy. Przeciw zasadzie uniwersalizmu wysunięto, zwłaszcza w krajach protestanckich, zasadę narodowości, jako linję podziału społeczności chrześcijańskiej. Chaos wojen religijnych budził jednak tęsknotę za porządkiem, religijnym i politycznym. W tej tęsknocie widzi Belloc przyczyny powodzenia kontrreformacji i dążności do wzmocnienia władzy monarchów. W oparciu o siły kontrreformacji dążył dom Habsburgów do restauracji uniwersalizmu, zjednoczenia pod swą egidą rozbitego chrześcijaństwa, oraz wytępienia herezji. Przeciwko niemu formowały się siły świata protestanckiego, który nietylko dążył do utrzymania swych pozycyj, ale pozyskania nowych — np. opanowania Francji i zamiany jej na federację republik kalwińskich. Tymczasem wypadki przybrały taki obrót, że protestantyzm obronił swe pozycje w północnej Europie — w głównej mierze dzięki interwencji Francji w wojnie 30-letniej; nie zdołał jednak zwyciężyć we Francji, gdzie został ujarzmiony w interesie porządku wewnętrznego, jedności państwa i autorytetu królewskiego. Francja zorganizowała się w XVII wieku jako jednolite państwo narodowe, w którem przy pomocy tolerancji religijnej podporządkowano spory wyznaniowe zasadzie jedności narodowej.[1]) Oba państwa Habsburgów zostały tak osłabione w wyniku wojen z pierwszej połowy XVII wieku, że następny rozkład i upadek był już tylko dalszym etapem zaczętego procesu dziejowego. Tak np. osłabienie władzy cesarskiej w Rzeszy w pokoju westfalskim przygotowało grunt pod rozwój potęgi państwa brandenbursko-pruskiego. Taki obrót wypadkom nadała głównie działalność jednego człowieka — Richelieu'go.[1]) Europa środkowa i zachodnia,

[1]) „Oznaczało to tolerowanie głębokich różnic religijnych w narodzie francuskim, jako okupu dla uratowania jedności politycznej", — pisze Belloc, s. 36. Zniósł tolerancję Ludwik XIV.

[2]) Por. uwagi R. Pinona (j. w.) o znaczeniu Richelieu'go w polityce europejskiej: „Wojno 30-letnia rozpoczęła się jako wojna religijna,

podzielona na dwa światy wyznaniowe i kulturalne, rozbita na poszczególne narody, w której zasada nacjonalizmu zatriumfowała nad uniwersalizmem, jest jego tworem. Podział ten pogłębił i różnice utrwalił drugi mąż stanu XIX w. — Bismarck. Belloc snuje tedy paralelę historyczną między Richelieu'm a Bismarckiem, która zawiera szereg punktów, wątpliwych i spornych — podobnie jak wiele innych kwestyj spornych nasuwa się przy czytaniu tej sugestywnej książki. Belloc dostrzega, że w Europie dzisiejszej zaznacza się tęsknota do powrotu do dawnych tradycyj, wzrost sił katolicyzmu a rozkład protestantyzmu: wierzy, że na tej drodze możliwy jest powrót do jedności duchowej w chrześcijaństwie, zburzonej przez reformację w XVI wieku.

Z kart książki Belloca wyłania się w szczególnie potężnych rozmiarach postać Richelieu'go, jako tego, który nietylko był budowniczym nowożytnej monarchji francuskiej — lecz zarazem kształtował potęgą swej myśli i czynu losy Europy nowożytnej.

---

skończyła się zaś jako typowa wojna polityczna, walka o równowagę, o hegemonję: tym, który jej nadał taki charakter, był przedewszystkiem Richelieu. Ten kardynał nadał naprawdę polityce charakter świecki".

Kazimierz Piwarski.

Z dziejów antyjezuickiego prądu w Królestwie Kongresowem.

Brewe z d. 21 lipca 1773 r., kasujące Jezuitów, nie zostało ogłoszone w granicach Rosji, to też kolegja jezuickie, które po pierwszym rozbiorze Polski dostały się pod panowanie Katarzyny II, dalej istniały. — Wieść o tem szczerze ucieszyła wszystkich, którzy rozumieli, jak wielkie kasata dzieła św. Ignacego duszom wyrządziła szkody. Wiemy np., iż św. Alfons Liguori, dowiedziawszy się o istnieniu Jezuitów na Białej Rusi, dziękował za to P. Bogu i bronił ich przed zarzutem, iż zbuntowali się przeciw władzy.[1])

Życie Jezuitów w granicach cesarstwa rosyjskiego nie było łatwe, co widać m. in. z listu O. Grubera T. J., późniejszego generała Zakonu, który pod dn. 22 maja 1802 r. tak pisał do św. Klemensa Hofbauera: „Gdyby W. Przew. wiedział o wszystkich cierpieniach i prześladowaniach, jakie przez pewien czas musieliśmy znosić, to nie wątpiłby ani chwili, iż nasze istnienie zawdzięczamy jedynie miłosierdziu Bożemu". [2])

---

[1]) Dicono, słowa św. Alfonsa, che sono scismatici, ma si parla allo sproposito. So che il papa li riconosce per membri della Chiesa, e li protegge. Preghiamone Iddio per questi santi religiosi, perchè l'istituto è opera, che aiuta le anime, e fiancheggia la Chiesa. Che scismatici e scismatici. Voce di Dio fu papa Ganganelli, che li volle umiliati, e voce di Dio è Pio VI che li protegge. Iddio è quello che mortifica e vivifica, preghiamolo che non manchierà benedirli. (Tannoja, Vita ed Istituto di S. Alfonso, IV, 30).

[2]) Monumenta Hofbaueriana VIII, 209.

Cesarz Aleksander I zrazu sprzyjał Jezuitom, którzy na różnych placówkach w Cesarstwie rozwijali coraz to żywszą działalność. Wnet jednak wola cara ich wysiłkom kres położyła. Ukazem z d. 20 grudnia 1815 r. władca Rosji wydalił Jezuitów z Petersburga, a d. 13 marca 1820 r. wydał ukaz skazujący ich na usunięcie z granic państwa, co też niebawem wykonano.

Kilku wygnańców znalazło przytułek w Królestwie Kongresowem, co oczywiście nie uszło czujności władz ówczesnych. [1])

* * *

W początkach 1827 r. władze Królestwa, niewiadomo z jakiego powodu, zaniepokoiły się pobytem w kraju kilkunastu sekularyzowanych Jezuitów. Do ich liczby należeli ks. Antoni Żółtowski, rektor Seminarjum głównego w Warszawie, ks. Feliks Antoniewicz, wicerektor tegoż seminarjum ks. Józef Poźniak, kapelan szpitala św. Ducha w Warszawie. Kilku też byłych Jezuitów pracowało w duszpasterstwie w diecezji krakowskiej, w kieleckiej jej części.

D. 3 lutego 1827 r. Komisja (ministerjum) Wyznań zwróciła się do Komisji Województwa Krakowskiego o dostarczenie jej pewnych wiadomości, odnoszących się do kilku księży diecezji krakowskiej; szło mianowicie o księży Osmołowskiego, Petryszczę, Stachowskiego i Kirkora.

Każdemu z nich miano zadać następujące pytania:

„Najprzód. Czy należał do Zgrom. XX. Jezuitów w Państwie Rosyjskiem, jak długo w niem zostawał i w którem ostatecznie mieszkał kolegjum?

Powtóre. Czy odebrał i w którym roku i miesiącu rozkaz do opuszczenia Państwa Rosyjskiego od kogo oraz w jaki sposób oddalił się z niego?

Po trzecie. Dokąd się udał, gdzie następnie przebywał, jak długo i czem się trudnił?

Po czwarte. Skąd, za czyim paszportem i upoważnieniem, z której daty przybył do Królestwa Polskiego, jak

[1]) Archiwalja w niniejszym artykule omówione, o ile nie jest podane inne źródło, znajdują się w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie: Akta Rady Adm. vol. 4153 i Zarząd Wyznaniowy vol. 2788.

dawno w niem zostaje, czem się następnie trudnił i jakie na teraz spełnia obowiązki?"

Tegoż dnia Komisja Wyznań zwróciła się do ks. Prażmowskiego, bpa płockiego, o nadesłanie curriculum vitae ks. Jana Gutowskiego, wikarjusza w Płocku, i do ks. Dzięcielskiego, bpa lubelskiego, o takież curriculum ks. Jana Doboszyńskiego, proboszcza w Małgwi. — Obu bowiem wspomnianych kapłanów również podejrzywano o należenie do Zakonu Jezuitów z powodu, iż rzeczywiście dwu wydalonych z Rosji członków Tow. Jezusowego miało takież imiona i nazwiska.

Księża Żółtowski i Poźniak niedługo w Warszawie pracowali. — D. 9 lutego 1827 r. Wielki Książę Konstanty zwrócił się do Walentego Sobolewskiego, prezesa Rady Administracyjnej, donosząc mu, iż ponieważ się okazało, że dwaj z pomiędzy wydalonych z Rosji Jezuitów, Żółtowski i Poźniak, przebywają w Królestwie, obaj z jego rozkazu zostali wysłani za granicę,[1]) Komendant zaś żandarmerji otrzymał wykaz wydalonych z Imperjum Jezuitów z rozkazem czuwania, by żaden z nich w Królestwie nie przebywał; komu bowiem pobyt w Rosji jest zakazany, ten i w Królestwie przebywać nie może. Kończąc, Wielki Książę polecił Sobolewskiemu, aby i on wydał podwładnym sobie urzędom rozkaz podobny. Do pisma został dołączony imienny wykaz Jezuitów, którzy z rozkazu cesarza Aleksandra I Rosję musieli opuścić.

Stosownie do otrzymanego polecenia, Sobolewski d. 19 lutego zwrócił się do Komisji Rządowej Spraw Wewn. i Policji i przesyłając jej kopję wspomnianego wykazu, nakazał jej „zalecenie komu należy: ażeby żaden z tychże Jezuitów do Królestwa Polskiego wpuszczonym nie był, gdyby zaś któren znajdował się już w kraju, lub później dostrzeżonym został", za granicę ma być wysłany. Sobolewski zwrócił się również w tej sprawie do Komisji Rządowej Wyznań i o wydanych zarządzeniach zawiadomił W. Księcia Konstantego.

Wkrótce potem, d. 22 lutego, szef sztabu W. Księcia, generał hr. Kuruta, przesłał Sobolewskiemu drukowany

[1]) Ks. Antoniewicza zostawiono w spokoju, ten bowiem sekularyzował się już dawniej, w r. 1811.

w językach rosyjskim i polskim wykaz wydalonych z Rosji Jezuitów, prosząc o wydanie rozporządzenia, aby władze dopilnowały, by żaden z nich do Królestwa nie wrócił. W odpowiedzi Sobolewski zawiadomił gen. Kurutę, iż już poprzednio, wezwany przez W. Księcia, wydał odnośny rozkaz, który jeszcze ponowi i każda Komisja Wojewódzka otrzyma dla orjentacji egzemplarz wspomnianego wykazu. I rzeczywiście, d. 7 marca Sobolewski przesłał Komisji Rząd. Spraw. Wewn. stosowne zarządzenie.

Nie omieszkano też o wydanych rozkazach zawiadomić wszystkich biskupów Królestwa i sekcję Duchowną [1]) przy Komisji Wyznań. — Wykonała polecenie Komisja Wyznań pismami z d. 28 lutego.

Tymczasem nadeszły do Komisji Wyznań odpowiedzi biskupów Prażmowskiego i Dzięcielskiego w sprawie księży Gutowskiego i Doboszyńskiego. — Okazało się, iż wspomniani kapłani nigdy do Tow. Jezusowego nie należeli.

Tymczasem Komisja Województwa Krakowskiego, stosownie do rozkazu Komisji Wyznań z d. 3 lutego, według nadesłanych jej pytań, przesłuchała ks. Stefana Osmołowskiego, proboszcza w Kazimierzy Wielkiej, ks. Adama Petryszczę, komendarza w Olkuszu, ks. Feliksa Kirkora, proboszcza w Sieciechowicach, i ks. Franciszka Stachowskiego, komendarza w Wawrzeńczycach. — Ponieważ ks. Stachowski był zarazem sekretarzem bpa Woronicza i mieszkał w Krakowie, Dominik Raczyński, komisarz obwodu miechowskiego, udał się do Krakowa i zaprosiwszy ks. Stachowskiego do biura Stanisława Zarzeckiego, rezydenta rosyjskiego w Krakowie, dopełnił aktu przesłuchania.

Otrzymawszy protokóły z przesłuchań wspomnianych czterech księży, Komisja Wojew. Krakow. d. 18 lutego przesłała je Komisji Wyznań, zaznaczając, iż tyko księża Osmołowski, Stachowski i Petryszcza byli ongi Jezuitami, co się bowiem tyczy ks. Kirkora, to ten tylko kształcił się w ko-

[1]) Komisja Wyznań dzieliła się na trzy dyrekcje: ogólna, wyznań religijnych, funduszów duchownych i edukacyjnych, oświecenia publicznego, a nadto miała jeszcze osobną sekcję duchowną rzymsko-katolicką, do której wchodzili: prymas, dwaj biskupi i czterej referendarze, wybierani na 4 lata według starszeństwa erekcji kapituł.

legjum jezuickiem. Następnie za legalnemi paszportami wyjechał do Paryża, a potem powrócił do kraju.

Odpowiadając na raport otrzymany, Komisja Wyznań d. 23 lutego zawiadomiła Komisję Wojew. Krakow., iż bez względu na to, iż ks. Osmołowski, Petryszcza i Stachowski już się sekularyzowali, stosownie do rozkazu Wyższej Władzy, muszą Królestwo opuścić. Termin opuszczenia kraju — najpóźniej d. 15 marca. Co się zaś tyczy ks. Kirkora, to ma na stwierdzenie swych zeznań nadesłać swą metrykę urodzenia i paszporty, jakie otrzymał na wyjazd do Paryża i na powrót do kraju. — Tegoż dnia Komisja Wyznań o swych zarządzeniach zawiadomiła bpa Woronicza i wezwała go aby wyznaczył „innych duchownych do pełnienia obowiązków parafjalnych w miejsce ustąpić z Kraju Królestwa obowiązanych".

O wyniku dochodzeń i wydanych rozkazach Stanisław Grabowski, minister prezydujący w Komisji Wyznań, d. 28 lutego zawiadomił W. Księcia. Zaznaczył m. in., iż ks. Jan Gutowski T. J. umarł 1822 r. w Ferrarze, a ks. Jan Doboszyński T. J. jest profesorem w kolegjum jezuickiem w Tivoli, niesłusznie więc ks. Gutowskiego i Doboszyńskiego, pracujących w Królestwie, podejrzywano o należenie do zakonu Jezuitów.

O raporcie ministra Komisji Wyznań W. Książę dnia 6 marca zawiadomił Sobolewskiego. Co do ks. Stachowskiego oświadczył, iż należy użyć środków, aby nie był nadal sekretarzem biskupim i czuwać, by do Królestwa się nie dostał. Co się tyczy ks. Kirkora, to Konstanty zastrzegł sobie decyzję do czasu, aż otrzyma dokładne wiadomości. — Księża Osmołowski i Petryszcza mają być z kraju wydaleni.

Jak wielką do sprawy ks. Stachowskiego W. Książę przywiązywał wagę, świadczy to, iż następnego dnia, 7 marca, ponownie zwrócił się do Sobolewskiego i polecił, aby *dans des termes sévères* przedstawiono Woroniczowi całą niestosowność jego postępowania, iż temu, który jako Jezuita z rozkazu cesarza został wydalony za granicę, nietylko powierzył poufny urząd przy swym boku, lecz oddał mu także parafję, położoną w granicach Królestwa. Co więcej, miano nakazać Woroniczowi, aby ks. Stachowskiego pozba-

wił obu urzędów. — Tegoż dnia W. Książę wystosował jeszcze drugie pismo do Sobolewskiego, a to w sprawie ks. Kirkora. — Przy badaniu ks. Kirkor oświadczył, iż kształcił się u Jezuitów w kolegjum połockiem, że po jego zniesieniu udał się do rodziny na Litwę, a następnie za paszportem, jaki otrzymał od Giżyckiego, cywilnego gubernatora Wyłynia, wyjechał na dalsze studja do Paryża. — Otóż W. Książę zażądał wyjaśnień, w jakich miejscowościach ks. Kirkor na Litwie przebywał i jak się to stało, że nie mieszkając na Wołyniu, od tamtejszego gubernatora otrzymał paszport zagraniczny?

D. 9 marca Sobolewski, powołując się na rozkazy W. Księcia, polecił Komisji Rząd. Spraw Wewn., aby księży Osmołowskiego i Petryszczę z Królestwa wysłać kazała, miano też uważać, aby ks. Stachowski nie dostał się do kraju. Równocześnie Sobolewski o wydanych zarządzeniach zawiadomił Komisję Wyznań i wezwał ją, „aby Biskupa Krakowskiego za udzielenie probostwa JX. Franciszkowi Ksaweremu Stachowskiemu i za powierzenie mu przy sobie obowiązków sekretarza tajnego, podług Woli Jego C. (esarzewiczowskiej) Mości w surowych wyrazach napomniała, z poleceniem oddalenia go z obydwóch miejsc.“ — Co się zaś tyczy ks. Kirkora, to Sobolewski, stosownie do woli Konstantego, nakazał przeprowadzenie dalszych dochodzeń.

Wywiązując się z rozkazu, Komisja Wyznań d. 12 marca zwróciła się do Woronicza i doniosła mu, iż z powodu sprawy ks. Stachowskiego W. Książę polecił biskupowi oświadczyć „swoje nieukontentowanie, a razem upomnienie, które Komisja Rządowa, dopełniając danego sobie w tej mierze przez JW. Prezesa w Radzie Administracyjnej Królestwa reskryptem z d. 9 b. m., tu w kopji z dwiema odezwami J. Cesarzewiczowskiej Mości W. Księcia załączonym, polecenia niniejszem wymierza i do dopełnienia rozporządzeń w nich zawartych wzywa.“

Tymczasem sprawą pobytu w kraju kilku byłych Jeuitów zaalarmowano wszystkie Komisje Wojewódzkie w Królestwie. — Ponieważ Komisja Rząd. Spraw Wewn. otrzymała do rozesłania tylko kilka egzemplarzy drukowanego wykazu Jezuitów, wydalonych z Rosji, d. 8 marca Radca Stanu Su-

miński zwrócił się do sekretarza stanu, gen. Kosseckiego o dostarczenie przynajmniej jeszcze 4 egzemplarzy wspomnianego wykazu, do rozesłania władzom wykonawczym. W odpowiedzi Kossecki zawiadomił Komisję Spraw Wewn., iż generał Kuruta nadesłał tylko 6 egz. wzmiankowanego wykazu, spełnić więc jej życzenia nie może.

D. 12 marca minister wyznań Grabowski doniósł Sobolewskiemu, iż po otrzymaniu jego rozporządzenia w sprawie Jezuitów, zwrócił się do wszystkich biskupów Królestwa, „aby żaden z XX. Jezuitów z Cesarstwa Rosyjskiego zagranicę wysłanych w kraju tutejszym schronienia nie znajdował" i że polecił Woroniczowi, biskupowi krakowskiemu, aby trzech Jezuitów, którzy w jego diecezji obowiązki parafjalne sprawują, natychmiast od tychże usunął. Dodał wreszcie, iż polecił Prezesowi Komisji Wojew. Krakow., aby najdalej do d. 15 marca wspomniani Jezuici z Królestwa zostali wydaleni." — Do swego pisma Grabowski dołączył kopję odpowiedzi bpa Woronicza z d. 7 marca na wystosowaną do niego d. 24 lutego odezwę Komisji Rząd. Wyzn. Relig., w której doniósł, iż stosownie do otrzymanego rozporządzenia, parafje: Olkusz, Kazimierzę Wielką i Wawrzeńczyce powierzył innym kapłanom.

Odpowiadając na żądanie Komisji Rząd. Wyzn. co do usunięcia ks. Stachowskiego z urzędu, jaki piastował w Krakowie przy boku biskupa, Woronicz d. 17 marca doniósł Komisji Rząd. Wyznań, iż „względem oddalenia Xiędza Stachowskiego od sprawowania obowiązków sekretarza przy moim konsystorzu, pośpieszam donieść Komisji Rządowej, że i tego Najwyższego Rozkazu dzisiaj wiernie dopełniłem." Tłumacząc się zaś z tego, iż przyjął Jezuitów do swej diecezji, dodał: „Wszystkie te osoby, przybywszy różnemi czasy do Krakowa, jako kapłani świeccy, nie mający żadnych związków ze Zgromadzeniem Jezuitów, które opuścili, okazawszy swoje kwalifikacje do sprawowania usług duchownych po parafjach, dobrą wiarą byli do Diecezji mojej przyjęci, ponieważ żaden zakaz nie był ogłoszony, zabraniający im pobytu w Królestwie Polskiem. A skoro go teraz odebrałem, dopełniłem go z największą wiernością i posłuszeństwem."

Kopję powyższego pisma minister Grabowski d. 24 marca przesłał Sobolewskiemu.

Rozkaz wydany Komisji Województwa Krakow., aby do d. 15 marca Xięża Osmołowski i Petryszcza zostali z Królestwa wydaleni, sumiennie został spełniony.

Co do ks. Osmołowskiego, to po otrzymaniu odnośnego rozkazu, Majewski, adjunkt dozorca obwodu miechowskiego, pojechał do Kazimierzy Wielkiej i zawiadomiwszy ks. Osmołowskiego o otrzymanem poleceniu deportowania go zagranicę, pozostawił mu nieco czasu do załatwienia koniecznych interesów, a następnie odwiózł go na komorę Baran i tam wraz z urzędnikami komory d. 11 marca spisał protokół, świadczący o wykonanym rozkazie.

W przeddzień deportacji ks. Osmołowskiego, d. 10 marca, również ks. Petryszczę wywieziono z Olkusza i, odstawiwszy go na komorę Szyce, wydalono z granic Królestwa.

O wywiezieniu obu kapłanów minister Grabowski d. 27 marca zawiadomił Sobolewskiego. Tegoż dnia Komisja Rząd. Spraw. Wewn. przesłała Sobolewskiemu w kopji pismo Komisji Wojew. Krakow., z d. 18 marca, donoszące o wykonaniu co do ks. Osmołowskiego i Petryszczy danych sobie rozkazów i wydaniu komorom pogranicznym rozporządzenia, aby żaden z nich do Królestwa nie wrócił.

Co do ks. Kirkora, to ten przy pierwszem przesłuchaniu oświadczył, iż do Zakonu Jezuitów nie należał. Jednakże jego tłumaczenia nie uznano i, jak było wspomniane, zażądano odeń dowodów w postaci metryki i paszportów, jakie otrzymał na wyjazd do Paryża i powrót do Królestwa. — D. 10 marca adjunkt dozorca obwodu olkuskiego, Stanisław Bergier, udał się do Sieciechowic w celu ponownego przesłuchania ks. Kirkora i zażądania odeń wspomnianych dokumentów. Ten oświadczył, iż urodził się na Pradze pod Warszawą, jednakże metryki nie posiada, gdyż odnośne akta kościelne spłonęły podczas rewolucji. Co się zaś tyczy paszportów, to pierwszy złożył w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu, drugi zaś w senacie Wolnego Miasta Krakowa, tam więc po nie Władza zwrócić się powinna. — Oprócz tego m. in. ks. Kirkor wykazał dokumentami, iż święcenia djakonatu i kapłaństwa w r. 1825 otrzymał w Krakowie.

Wkrótce potem, d. 27 marca, ponownie ks. Kirkora przesłuchano w Olkuszu.

Protokuły z dokonanych przesłuchań minister Grabowski 9 kwietnia przesłał Sobolewskiemu, a ten d. 18 kwietnia w piśmie, jakie wystosował do Wielkiego Księcia, wyjaśnił mu, iż ks. Kirkor przebywał na Litwie przed wstąpieniem do kolegjum w Połocku, a po jego opuszczeniu udał się na Wołyń, gdzie od miejscowego gubernatora otrzymał paszport zagraniczny. — Na tem dochodzenia co do ks. Kirkora się skończyły.

Jak sumiennie Komisja Rząd. Spraw Wewn. spełniała otrzymane rozkazy, co do czuwania, aby w granicach Królestwa nie stanął jaki Jezuita, świadczy jej odezwa z dnia 17 maja 1827 r., przesłana Komisji Wyznań. Oto jej tekst:

„W skutku odebranych od JW. Prezydującego w Radzie Administracyjnej... rozporządzeń względem nie wpuszczania do Kraju i nie dozwalania pobytu XX. Jezuitom z Rosji z zabronieniem powrotu zagranicę wysłanym, wydane już zostały stosowne Komisjom Wojewódzkim rozkazy. Dla zapewnienia jednak wykonania w całej ścisłości powyższego postanowienia i zapobiegając, ażeby osoby z pomienionego Zgromadzenia nie znajdowały przytułku w Instytutach lub Zgromadzeniach Duchownych, zwłaszcza w klasztorach, zmieniających z reguły swe imiona, gdzie dostrzeżenie osoby tym sposobem staje się utrudnionem, Komisja Rządowa o ciągłe czuwanie nad wykonaniem Najwyższej Decyzji w tej mierze powtórnym Reskryptem Prezydującego w Rządzie wezwana, uznała potrzebę upraszać Komisję Rządową Wyznań Relig. i Ośw. Publicznego, dołączając z prośbą zwrotu listę imienną wzwyż rzeczonych Jezuitów, o wydanie stosownych komu wypada rozporządzeń z zastrzeżeniem odpowiedzialności na Przełożonych nad rzeczonymi Instytutami lub Klasztorami za przestąpienie lub zaniedbanie przynależnego dozoru pod względem baczenia, ażeby żaden z Jezuitów listą załączoną objętych schronienia nie znalazł, tudzież o zakomunikowanie sobie listy imiennej wszystkich Duchownych w wszelkich Instytutach i Zgromadzeniach teraz będących, wiadomość ta bowiem posłuży do należnej kontroli, jakowa przy spisach corocznych ludności krajowej i do wszystkich Instytutów rozciągnioną być winna, w czem już także Komisje Wojewódzkie stosowne odebrały rozporządzenia".

Minister Prezydujący
W zastępstwie Radca Stanu
A. Sumiński.

Na powyższą odezwę Komisja Wyznań odpowiedziała d. 23 maja 1727 r. — Zaznaczyła, iż te same, co i Komisja Spraw Wewn. od Rady Administracyjnej otrzymała rozporządzenia i zarządziła, co uważała za stosowne, aby należycie zostały wykonane. Zawiadomiła również o nich Władze diecezjalne, „kontrolowanie zaś ich, jak w tym punkcie, tak i w sprawowanym przez nich urzędzie ulega Sekcji Duchownej Rzymsko-Katolickiej stosownie do przepisów Dekretu Organicznego Komisji Rządowej wyznań z daty 2/14 sierpnia w tomie 7 Dziennika Praw umieszczonego. W tym celu lista Ichmości Xięży Jezuitów z Rosji deportowanych tejże przesłana jest, która mając wiadomość o wszystkich Duchownych tak świeckich, jako i zakonnych, udzielając dla pierwszych pozwoleń wejścia do seminarjów, a drugich wstąpienia do nowicjatów zakonnych, nadto odbierając raporta o wszelkich zmianach duchowieństwa po diecezjach, tudzież o nowo do nich przybywających, najdokładniej w tym punkcie przestrzegać wypełnienia rozporządzeń Rządowych jest w możności".

Minęły trzy lata i znowu ks. Petryszcza stał się powodem niepokoju dla Wielkiego Księcia. — Wywieziony w r. 1827, próbował powrócić do kraju. Schwytano go jednak i ponownie wydalono z granic państwa. Badany, zeznał, iż jeszcze w r. 1823 przybył z Wiednia do Warszawy, gdzie ówczesny arcyb. warszaw. Skarszewski pozwolił mu spełniać funkcje kościelne i że w r. 1824 Woronicz, ówczesny biskup krakowski, mianował go profesorem filozofji w seminarjum duchownem w Kielcach, [1]) a następnie proboszczem w Olkuszu.

O tem wszystkiem pismem z d. 1 września 1830 r. Wielki Książę zawiadomił Sobolewskiego i polecił mu wezwać odnośne władze o udzielenie wyjaśnień, dlaczego pozwoliły na tak długi pobyt w Królestwie ks. Petryszczy — nakazał mu również ponowić rozporządzenie, aby nad dopełnieniem wydanych względem Jezuitów rozkazów miarodajne czynniki ściślej czuwały.

Stosownie do woli Wielkiego Księcia, Sobolewski zwrócił się d. 7 września do Komisji Rząd. Spraw Wewn. o udzie-

[1]) Puchalski F. ks., Seminarjum kieleckie, Kielce 1901, str. 65.

lenie wyjaśnień co do ks. Petryszczy i polecił jej ścisłą czujność co do wykonania zarządzeń, dotyczących Jezuitów.

Komisja Wojew. Krakow., wezwana przez Komisję Rząd. Spraw Wewn., pismem z d. 3 paźdz. odpowiedziała, iż aż do r. 1827 nie wiedziano, iż ks. Petryszcza jest Jezuitą i że nie było rozkazu wzbraniającego pobytu Jezuitom w Królestwie. Co się zaś tyczy czujności co do wykonania wydanych względem nich rozkazów, to „chociaż wydane poprzednio przepisy względem czuwania nad wzbronieniem powrotu Jezuitom do Kraju w niczem dotąd nadwerężone nie były, w wykonaniu atoli Wysokiej Woli ponowiono polecenia władzom policyjnym i celno-pogranicznym, aby w tej mierze baczność swą podwoiły, a zagrożona przytem odpowiedzialność za uchybienia, staje się rękojmią ścisłego zachowania wydanych w tej mierze rozporządzeń." — O otrzymanej odpowiedzi Komisji Wojew. Krakow. Komisja Rząd. Spraw Wewn. zawiadomiła Sobolewskiego.

Ze swej strony Komisja Wyznań pismem z d. 23 września 1830 r. zwróciła się do wszystkich biskupów Kraju, „aby jak najmocniej nad tem czuwali, ażeby żaden z XX. Jezuitów z Cesarstwa Rosyjskiego lub też z Królestwa Polskiego za granice wysłanych, pod żadnym pozorem w diecezjach ich zarządzeniu podległych, nie znajdował się." Nakazano przytem biskupom, aby corocznie w pierwszych dniach stycznia nadsyłali Komisji wykaz wszystkich księży, którzy do diecezji przybyli lub ją opuścili; przy pierwszych miano zaznaczyć, skąd i za czyjem upoważnieniem przybyli, przy drugich zaś, dokąd i na jakie stanowisko się udali.

Były to jednak już jedne z ostatnich zarządzeń dotychczasowego Rządu.

* * *

Wybuchło powstanie listopadowe. — Wielki Książę Konstanty opuścił Warszawę. Huragan jednak rewolucyjny bynajmniej nie oczyścił atmosfery z miazmatów niechęci do wszystkiego, co przeważna część naszego społeczeństwa nazywała „Jezuityzmem". — W chwilach najgorętszych, gdy ważyły się losy Królestwa i coraz ciemniejsze chmury zbierały się nad walczącym z najeźdźcą narodem, ówczesne

władze rewolucyjne uważały za swój obowiązek czuwać, by ów duch „Jezuityzmu" nie przyprawił powstania o zgubę.

D. 18 czerwca 1831 r. Komisja Rządowa Spraw Wewn. i Policji zwróciła się do Kaspra Wielogłowskiego, prezesa Komisji Wojew. Krakowskiego, temi słowy:

„Mając na uwadze, że w teraźniejszych okolicznościach więcej jak kiedykolwiek zachować należy ostrożności przeciwko wszelkim zamiarom Ogólnej Sprawie Narodowej szkodzić mogącym, Komisja Rządowa wzywa niniejszem Prezesa Komisji Województwa Krakowskiego, ażeby zwrócił baczność Policji na towarzystwa i kluby bez wiedzy Rządowej zbierane, a zatem co do celów swoich nieznane i takowe pilnie śledzić nakazał; gdzieby zaś się zjawiły, o nich Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji doniósł. Ponieważ zaś szczególniej Jezuityzm podobnemu, jaki jest teraźniejszy, Duchowi czasu zawsze okazywał się nieprzychylnym, obowiązkiem przeto jest Władz Administracyjno-Policyjnych przestrzegać, ażeby stosownie do rozporządzenia z d. 7 marca r. 1827 N 585/947, tudzież 15 lipca r. z. N 5806/1157 Członkowie tego Zgromadzenia w kraju cierpiani, a tem mniej do składania jakiego towarzystwa dopuszczeni nie byli. — O skutku zarządzeń w powyższym przedmiocie wydać się mających, Komisja Rządowa Raport zastrzega". [1])

Co się tyczy wspomnianego w akcie powyższym rozporządzenia z d. 15 lipca 1830 r., to odnosiło się ono do założenia w Piotrkowicach, w Kieleckiem, tak zwanego „seminarjum" bez wiedzy i upoważnienia Rządu. Końcowy jednak ustęp tego rozporządzenia miał ogólne znaczenie, brzmiał bowiem: „Komisja Wojewódzka... poleci właściwym Władzom, ażeby o wszelkich podobnych lub samowolnych wypadkach z Hierarchji Duchownej pod względem policyjnym przez pośrednictwo Komisji Wojewódzkiej Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych zawiadamiały"... [2])

Stosownie do otrzymanych wskazówek Komisja Wojew. Krakowskiego wydała odezwę do: „WW. Wójtów Gmin i WW. Burmistrzów Miast i Plebanów". Czytamy w niej m. in.: „w dzisiejszych okolicznościach więcej jak kiedykol-

[1]) Arch. Kons. Krakow., fasc. „Piotrkowice".

[2]) Arch. Akt Daw. w Warsz., Akta Kom. Rząd. Spraw Wewn. 7125, k. 1.

wiek należy mieć ostrożność przeciw wciskającym się w kraj osób toż Zgromadzenie (t. j. Jezuitów) składających, które zawsze podobnemu jak teraźniejszy duchowi czasu okazywało się nieprzychylnem, przeto poleca WW. Wójtom i UUr. Burmistrzom Miast i WWJXX. Plebanom, aby na tę okoliczność ciągle zwracali uwagę"... [1])

O wydanych zarządzeniach „co się tyczy Kongreganizmu i Jezuityzmu w ostatnich miesiącach istnienia rządu zeszłego dochodzonego" Prezes Komisji Wojew. Krakowskiego, Wielogłowski, d. 28 czerwca 1830 zawiadomił Komisję Rządową Spraw Wewn. i Policji. [2])

D. 4 lipca minister Gliszczyński, prezydujący w Komisji Rząd. Spraw. Wew., wezwał prezesów poszczególnych Komisyj Wojewódzkich w Królestwie, aby każdy z nich zwracał „uwagę na takie Towarzystwa i Kluby, któreby się bez wiadomości Rządu zawiązywały, a celów swych usprawiedliwić dostatecznie nie były w stanie... Ponieważ zaś również dążenia Kongreganizmu i Jezuityzmu z zasadami porządnej i silnej organizacji każdego państwa, z liberalną konstytucją i instytucjami, a nawet Świętą Naukę Chrystusa i czystą moralnością Ewangeliczną okazują się niezgodnemi, obowiązkiem przeto jest władz administracyjno-policyjnych przestrzegać, ażeby... tego gatunku Zgromadzenia i Towarzystwa ani istniały, ani się zawiązywały"... [3])

Tymczasem d. 30 czerwca Komisja Wojew. Krakow. o otrzymanych reskryptach, dotyczących m. in. Jezuitów, zawiadomiła ks. Karola Skórkowskiego, biskupa krakowskiego. [4])

Ten odpowiadając d. 5 lipca, w odezwie swej odnoszącej się głównie do uchwały Rady Admin. z d. 5 paźdz. 1830 r., dotyczącej istnienia seminarjum w Piotrkowicach, tak pisał m. in.: „Po uznaniu... obecnego Powstania za Narodowe, wszystkie podobne uchwały jako niekonstytucyjne, despotyczne, a nawet co do tej ostatniej śmieszne, wraz z obrzydłym Bogu i ludziom Rządem upadły i, zachowaj

[1]) Archiw. Kons. Krakow., fasc. „Piotrkowice".
[2]) Arch. Akt Daw., Akta Rządu Narod., f. 112, k. 4—6.
[3]) Tamże, f. 112, k. 2.
[4]) Arch. Kons. Krak., fasc. „Piotrkowice".

Boże, aby kiedy w odradzającej się za pomocą jedynie Boską Polsce, wznawiane być miały, bo ani kilku przy jednym kościele kapłanów, ani Religijne Towarzystwa cienia nawet podejrzenia w Narodzie Katolickim nigdy nie rzucą, a których się bezbożny przeszły Rząd, aż do używania szpiegostwa lękał. Cudownie Palcem Wszechmocnego obalony ten olbrzymi kolos, na najpóźniejsze pokolenia pamiętnym pozostanie przykładem, jak Bóg prędzej lub później bezbożność i niesprawiedliwość Rządów surowo karze. Podobnie i byłe rozporządzenia z d. 7 marca 1827 Nr. 585, tudzież 15 lipca r. z. Nr. 5806 po pamiętnym dniu 29 listopada r. z. obowiązywać i istnieć przestały, jako wbrew przeciwne Karcie Konstytucyjnej i na mocy tylko objawionej despotycznej woli wydalone Zgromadzenie XX. Jezuitów od czasu onego zniesienia w dotychczasowym obrębie Królestwa Polskiego nie znajdowało się i nie znajduje. Członki tylko szczególne po swem z Rosji wypędzeniu, z Zgromadzenia uwolnione i w rząd XX. Świeckich weszłe, w niektórych Diecezjach Królestwa przez Biskupów przyjęte i do rozmaitych religijnych posług użyte, kaprysem despotyzmu bez względu na opiekę prawa r. 1827 wygnani z Królestwa zostali. Teraz zaś nic przeszkadzać nie może, aby ich Biskupi podług swego zdania nie użyli. Nie tajno przytem jest każdemu z Biskupów, że gdyby się wydarzyła sposobność założenia w której Diecezji jakowego pożytecznego Instytutu Duchownego, o jego utwierdzenie u Rządu postaraliby się, czegoby zapewno Rząd Katolicki, przekonany o korzyściach moralnych dla kraju, nie odmówił"... [1])

Kopję powyższego listu biskup Skórkowski przesłał Komisji Rząd. Wyzn., dołączając ją do odezwy, w której tak pisał m. in.: „Komisja Województwa Krakowskiego... uwiadomiła mię o poleconem świeżo sobie dostrzeganiu wypełnienia rozporządzeń... przeciwko niektórym byłym członkom Zgromadzenia XX. Jezuitów. Odezwę Komisji Wojew. wraz z moją odpowiedzią mam zaszczyt KRWR. i OP. w załączeniu przesłać, z prośbą o skuteczne zaradzenie, żeby Kom. Rz. Spr. Wewn. w atrybucje wyłącznie KRWR. i OP. przy-

[1]) Arch. Akt Dawn., Akta Kom. Rząd. Spr. Wew., f. 7126, k. 70.

należne nie wdawała się, coby bowiem taką samą despotyczną anarchję sprowadzało, pod jaką za Rządu, palcem Boskim obalonego, jęczeliśmy. Żeby zaś Komisje Rządowe i Wojewódzkie wiedziały, czego się trzymać pomiędzy tylu sprzecznemi i antykonstytucyjnemi przeszłego Rządu uchwałami, rozporządzeniami i reskryptami, upraszam KRWR. i OP. o przedstawienie Rządowi Narodowemu, iżby ogłosić raczył, że dawniejsze postanowienia i urządzenia, uwłaczające istności Religji katolickiej i Władzy Duchownej Biskupów, za nieobowiązujące są uznane... Kiedy Bóg natchnął Polaków do zrzucenia z siebie haniebnego niewoli jarzma, i tak cudownie sprawę ich popiera, miałożby same tylko duchowieństwo katolickie całą duszą i sercem wzdychające do pomyślnego skutku obecnych usiłowań Walecznego Narodu, wtłoczone przez bezbożnych pęta dotąd dźwigać? Czego jednak jawnie okazywana w Izbach Sejmujących i Rządzie narodowym pobożność, bogomyślność i sprawiedliwość lękać mi się nie dozwala". [1])

Na tem się jednak nie skończyło. — D. 14 sierpnia Rząd Narodowy zwrócił się do Komisji Rząd. Wyznań w sprawie, co do której ks. bp Skórkowski tak odważne i jasne zajął stanowisko. Wspomniana odezwa z d. 14 sierpnia brzmi, jak następuje:

„Jeszcze za Rządu zeszłego ślady wkradającego się potajemnie do kraju Jezuityzmu, Kongreganizmu i Benonizmu dostrzegać się dały, co spowodowało Rząd ówczesny do poszukiwania osób, do tych Towarzystw należących. Jak dalece podejmowane poszukiwania z przebywaniem tego rodzaju osób i zawiązywaniem podobnych Towarzystw otrzymały cel pożądany, zechce Komisja Rząd. Wyzn. Relig. i Ośw. Publ. przedstawić Rządowi Narodowemu dokładną historję tego, wraz z swemi wnioskami i opinją". [2])

Nieco wcześniej, bo d. 5 sierpnia, Rząd Narodowy zwrócił się w tejże sprawie do Komisji Rząd. Spraw Wewn. i Policji. [3])

---

[1]) Archiw. Kons. Krak., fasc. „Piotrkowice" (bruljon powyższego listu).

[2]) Archiw. Akt Dawn., Akta Rządu Narod., f. 112, k. 10 (bruljon).

[3]) Tamże, k. 4 (bruljon).

Na dopełnienie jednak rozkazu Rządu Narodowego już czasu zabrakło. Nie urojony, lecz rzeczywisty wróg stanął u wrót Warszawy. — D. 7 września zwycięskie wojska rosyjskie wtargnęły do stolicy. — d. 21 października kapitulował Zamość. Powstanie upadło.

* * *

Po złamaniu polskiego zbrojnego ruchu policja rosyjska miała aż nadto szerokie pole do tropienia tego wszystkiego, coby dla rosyjskiego rządu niebezpiecznem być mogło. Oczywiście, iż i niebezpieczeństwa grożącego ze strony „Jezuityzmu" nie spuszczano z oka — niebawem władze rosyjskie przyszły do przekonania, iż on nurtuje w pokonanym kraju.

Ks. Jan Podgórski, pierwszy Polak Redemptorysta, w r. 1808 wraz z współbraćmi wywieziony z Warszawy zdołał tajemnie w r. 1825 we wspomnianych powyżej Piotrkowicach, w Kieleckiem, utworzyć nową placówkę Zgromadzenia, którego był członkiem. On sam był proboszczem w Piotrkowicach, inni zaś Ojcowie pracowali jako jego wikarjusze.

Czujne oko policji niebawem wpadło na ślad istnienia niedozwolonej instytucji; otoczywszy ją siecią szpiegowską, policja przyszła do przekonania, iż księża pracujący w Piotrkowicach, przynajmniej niektórzy, to Jezuici. D. 25 września 1832 książę Gorczakow, naczelnik głównego sztabu czynnej armji, urzędujący w Warszawie, zawiadomił o tem warszawskiego wojennego gubernatora, hr. Witta, [1]) i Dyrektora Prezydującego w Komisji Rząd. Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Ośw. Publicznego, hr. Strogonowa. [2]) — Strogonow ze swej strony zwrócił się o wyjaśnienia do generała Tutczek'a, wojennego naczelnika województwa Krakow., rezydującego w Kielcach. [3])

Dokładnem zbadaniem sprawy zajął się pułkownik żandarmerji Własow i d. 21 paźdz. st. stylu o wyniku docho-

[1]) Arch. Akt Daw., Akta Warsz. Wojen. Gubernatora, f. 955.
[2]) Tamże, Zarząd Wyznaniowy, f. 264, k. 1.
[3]) Tamże, Zarząd Wyznaniowy, f. 264, k. 2—3 (bruljon).

dzeń zawiadomił hr. Nesselrode, naczelnika 3 okręgu korpusu żandarmerji. [1])

...Mojem zdaniem, pisał Własow, opartem na wszystkiem, co widziałem w Piotrkowicach i na tem, co mogłem wywnioskować ze swych rozmów z ks. Podgórskim, tak on, jak i jego współbracia są prawdziwymi Jezuitami...; głównym celem nietylko samego Podgórskiego, lecz całego Zakonu Jezuitów jest: powoli, powoli rozszerzyć się po kraju, wzmocnić i wzbogacić, bez względu na to, jakie noszą miano. Niedawno Jezuici starali się wkraść do Francji pod nazwą Misjonarzy, Ojców Wiary. Ta okoliczność skłoniła kilku uczonych i prawdziwych francuskich patrjotów do wydania historji Jezuitów, wydrukowanej w Paryżu, [2]) w której dokładnie są wyłożone najtajniejsze ustawy tego Zakonu i wyliczone wszystkie ich krzywoprzysięstwa i czyny podjęte przeciw wszelkim bez wyjątku legalnym rządom wszystkich czterech części świata; jest tam również przedstawione stopniowe wydalanie tego szkodliwego Zgromadzenia z różnych państw i nakoniec zupełne jego zniesienie przez papieża Klemensa XIV.

Pochodząc z Białorusi, znałem osobiście niektórych Jezuitów i dlatego czytałem wspomnianą historję z wielkiem zaciekawieniem i z uwagą. Wiele zaś opisanego w tej historji widziałem w Piotrkowicach.

a) Jezuici wszędzie pociągali do siebie lud wspaniałością świątyń i blaskiem kościelnych obrzędów, ks. Podgórski zaś swe przybycie do Piotrkowic tem samem zaznaczył.

b) Jezuici starali się mieć w swych kościołach dobre organy i muzykę, ks. Podgórski zaprowadził również w piotrkowickim kościele dość dobre organy i utrzymuje kilku bardzo nędznych muzykantów, którzy jednak działają dość szumu dla prostego ludu.

c) Jezuici odprawiali w swych kościołach rodzaj nabożeństw, zwanych w kraju *odpustami*, przyczem rozdawali zawsze bardzo wiele indulgencyj. Ksiądz Podgórski zaprowadził również odpusty przy kościele piotrkowickim i prawdopodobnie szczodrze rozsyła indulgencje.

d) Jezuici natworzyli mnóstwo najdrobniejszych zewnętrznych praktyk religijnych i spełniając je jak najdokładniej, a obłudnie, pociągali lud do siebie; aby się o tem przekonać, że Podgórski to samo zaprowadził w Piotrkowicach, dość popatrzeć na modlący się lud i ludzi leżących krzyżem podczas nabożeństwa, nie mających jasnego pojęcia o dogmatach wiary, lecz czyniących to z fanatyzmu, właściwemu katolicyzmowi.

e) Jezuici wszędzie trudnili się nauczaniem młodzieży i zakładali wyższe i niższe szkoły; ks. Podgórski zaprowadził zrazu

---

[1]) Tamże, k. 10—13 (kopja).

[2]) Jak widać z noty na marginesie raportu Własow miał na myśli książkę: *Histoire des Jésuites et des Missionaires Pères de la Foi.* Paris 1820.

wyższą szkołę, ponieważ jednak nie udało mu się jej utrzymać, to obecnie zadowala się szkołą elementarną, jaką założył, i którą zresztą prowadzi jak najniedbalej.

f) Jezuici wszędzie i po wsze czasy mieszali się do polityki; prawdopodobnie i Podgórski nie był bezczynny w czasie byłej polskiej rewolucji, lecz podczas niej postępował tak roztropnie, iż prawie wszystkich okolicznych mieszkańców utrzymał w przekonaniu, iż żadnego w owej rewolucji nie brał udziału.

14) Ks. Podgórski w swych ze mną rozmowach nazywał się prostym człowiekiem i używał wszelkich środków, aby mnie o tem przekonać; powiedział mi również iż wychował się u księży Benonów w Warszawie i miał nieszczęście, że poczęto go podejrzywać, iż jest Jezuitą, on zaś zna tylko jednego Jezuitę Lanesa, czyli Landesa.[1]) Ponieważ zaś tego Jezuitę Landesa znałem osobiście w Witepsku, gdy był rektorem tamtejszej szkoły, to starałem się naprowadzić na niego rozmowę i dowiedziałem się od ks. Podgórskiego, iż Jezuita Landes przebywa stale w Galicji. Jednakże Podgórski unikał starannie podania miejsca pobytu Landesa i rzeczywiście go nie podał.

15) W czasie sześciotygodniowego pobytu ks. Podgórskiego w Krakowie niewątpliwie widział się on z Landesem i jak się zdaje, nie można mieć co do tego wątpliwości, jak i co do tego, że sam biskup krakowski jest Jezuitą, a to sądząc z historji Jezuitów, w której wymienieni są nietylko kardynałowie i arcybiskupi, lecz i niektórzy z koronowanych panujących należących do Zakonu.

16) Jezuita Landes należy do małej liczby wybranych, którzy w historji są nazwani: *Les fins des fins*, z pośród których wybierają Generała i dlatego sądzę, iż Podgórski jest podwładnym Landesa i działa według jego wskazówek i rozkazów.

17) W krakowskiem województwie sądzą powszechnie, iż ks. Podgórski całą, jakiej potrzebuje, pieniężną zapomogę otrzymuje od hr. Tarnowskiej..., ponieważ jednak Podgórski dla spełnienia swych wszystkich zamiarów potrzebuje sum dość znacznych, to najprawdopodobniej otrzymuje je od całego Zakonu za pośrednictwem Landesa"...

Otrzymawszy raport Własowa, Nesselrode przesłał go w kopji hr. Strogonowu[2]), zwrócił się też do Kielc do generała Tutczek'a, prosząc o zbadanie, czy rzeczywiście ks. Podgórski, lub którykolwiek z księży, pracujących w Piotrkowicach, należy do zakonu Jezuitów[3]).

[1]) O. Alojzy Landes T. J. * 11. II. 1767 r. w Augsburgu, w latach 1809—1814 był prowinc. Jezuitów w Rosji. † 25. I. 1844 r. w Rzymie (Koch, Jesuiten — Lexikon, 1072).

[2]) Arch. Akt Daw., Zarząd Wyzn., f. 264, k. 9.

[3]) Tamże, k. 14 (bruljon).

D. 2 grudnia Tutczek o wyniku swych dochodzeń zawiadomił hr. Nesselrode. „Uważam, pisał, za swój obowiązek donieść, co z obserwacyj różnych osób przypuszczać można, iż proboszcz w Piotrkowicach, Podgórski, jest Jezuitą; widać to z jego sprawowania i sposobu życia z upiększenia kościoła w Piotrkowicach, z postępowania tamtejszego zgromadzenia księży. Wszyscy oni jednak twierdzą stanowczo, iż proboszcz Podgórski i oni należą do świeckiego kleru, w województwie zaś ogólnie nazywają ich Redemptorystami. Z tego Wasza Światłość raczy wywnioskować, jak trudno jest znaleźć niezbite dowody, iż Podgórski jest rzeczywiście Jezuitą; z czasem tylko można to osiągnąć, a to przez nieustanną obserwację ducha nauczania i uczniów szkoły w Piotrkowicach, listownych lub osobistych stosunków Podgórskiego, lub dzięki jakiemuś szczególniejszemu zdarzeniu, którego oczekuję. Będę miał Podgórskiego pod ustawiczną obserwacją i skoro tylko cokolwiek odkryję, będę miał zaszczyt donieść o tem Waszej Światłości". [1])

O wyniku śledztwa, zarządzonego przez generała Tutczek'a Nesselrode d. 9 grudnia zawiadomił księcia Gorczakowa. — Pisząc zaś o tem, iż księży w Piotrkowicach w województwie powszechnie nazywają Redemptorystami, dodał następujący wywód etymologiczny:

„Sądząc według istotnego znaczenia tego wyrazu, można również wyprowadzić wniosek, iż należą oni do Towarzystwa Jezuitów, lecz istnieją pod innem, jednoznacznem mianem. Słowo bowiem Redemptor oznacza Odkupiciela, a Jezus uważany jest za niego. Możliwe, iż dlatego wywodzą oni swą nazwę od słowa Redemptor, że Jezuici nie mogą przebywać w granicach Imperjum...." [2])

Generał Tutczek ze sprawą mu zwierzoną niemało miał kłopotu. W raporcie z d. 27 maja 1833, przesłanym wojennemu gubernatorowi warszawskiemu, oświadczył, iż nie może stwierdzić, czy księża, pracujący w Piotrkowicach, rzeczywiście są Jezuitami. „Wszystkie środki, pisał, aby zyskać co do tego pewne dowody, pozostały niezadowalającemi. Podgórski, wiedząc ze śledztwa, które zostało ponownie przepro-

[1]) Arch. Daw., Akta Warsz. Wojen. Guber., f. 955, k. 19.

[2]) Tamże, vol. 955, k. 20—23 (bruljon).

wadzone w szkole (w Piotrkowicach) z rozkazu generał-majora hr. Strogonowa, iż Rząd obserwuje jego nauczanie i działalność, usunął możliwość odkrycia czegokolwiek; nie pozostaje mi więc nic innego, jak z ich sposobu życia, modlitw i obrzędów utworzyć sobie pewien pogląd, aż sprawa się wyjaśni. Obecnie, oprócz tego co poprzednio przedłożyłem, wiem z pewnością iż żelazny pas, jakiego używa Zakon Jezuitów, nosi również Podgórski i jego towarzysze. Codzienne ich modlitwy są też same, jakich ten Zakon używa. Spowiedź parafjan, kościelne obrzędy, ozdoba świątyni również przekonywują, iż są to prawdziwi Jezuici; nawet sam ustrój ich szkoły utwierdza w tem mniemaniu, skoro się ją porówna ze szkołami jezuickiemi, które pod wielu względami różnią się od szkół księży innego Zakonu." [1])

Zastępca wojennego gubernatora Warszawy, generał Pankratiew, o raporcie Tutczek'a zawiadomił d. 9 czerwca Strogonowa. [2]) Ten, odpowiadając mu d. 11 czerwca, [3]) zaznaczył, iż sprawa istnienia Benonitów w Piotrkowicach już dawniej była poruszana. Jednakże „wszystko to jak najstaranniej było ukrywane przed oczyma Władzy Zwierzchniczej i choć, gdy spoczywającemu w Bogu Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewiczowi doniesiono, iż znajdujący się w Piotrkowicach Benonici są gałęzią Zakonu Jezuitów i utrzymują stosunki z członkami tego Zakonu, przebywającemi w Galicji, Jego Wysokość dwukrotnie zapytywał w tej sprawie prezesa Rady Administracyjnej, hr. Sobolewskiego, jednak pytania jego były zaspokajane kłamliwemi wyjaśnieniami biskupa krakowskiego i zapewnieniem byłej Rządowej Komisji Spraw Wewn., Duchownych i Ośw. Publ., iż w Piotrkowicach niema ani Benonitów, ani szkoły."

Jak widać z dalszej korespondencji władz w sprawie Piotrkowic, zrozumiały one wreszcie, iż Benonici nie są gałęzią Jezuitów; jednakże w niczem to na ich los nie wpłynęło — niebawem zostali rozpędzeni.

---

[1]) Tamże, Akta Warsz. Wojen. Gubern., f. 955, k. 31—33.

[2]) Tamże, k. 34—36 (bruljon). Zarząd Wyzn., f. 264, k. 274—275 (czystopis).

[3]) Zarząd Wyzn., f. 264, k. 276—279 (bruljon) Akta Warsz. Wojen. Gubern., f. 955, k. 37—38 (czystopis).

W r. 1835 sprawa ks. Stachowskiego znowu urzędnikom różnych kancelaryj dostarczyła materjału do pracy.

Zarzecki, konsul i rezydent rosyjski w Krakowie, doniósł księciu Paskiewiczowi, iż ks. Stachowski, były Jezuita, został powołany na katedrę teologji w uniwersytecie krakowskim i otrzymał tytuł kanonika; Zarzecki wyraził z tego powodu swe zdziwienie, doniósł również Paskiewiczowi, iż ks. Łętowski, kanonik katedralny krakowski, wybiera się do Warszawy i dodał, że ks. Łętowski „przez nadzwyczajną swą pobożność należy do sekty bardzo podobnej do Jezuitów".

O treści raportu Zarzeckiego Hilferding, zarządzający kancelarją dyplomatyczną przy boku Paskiewicza, zawiadomił d. 3 listop. 1835 r. generała Gołowina, ówczesnego dyrektora Komisji Spraw Wewn. i Ośw. Publicznego.

W odpowiedzi Wydział Wyznań i Wychowania dnia 18 listopada zawiadomił Hilferdinga, że stosownie do wewnętrznego urządzenia Uniwersytetu Krakowskiego, sąd o elaboratach kandydatów katedr Wydziału Teologiczneo należy do jednego z uniwersytetów Państwa Rosyjskiego. Trzeba więc zbadać, czy ta formalność względem ks. Stachowskiego została wypełniona i czy został kanonikiem kapitulnym, czy też honorowym, tytuł bowiem kanonika honorowego nie upoważnia go do zasiadania w kapitule.

Paskiewicz, zawiadomiony o sprawie ks. Stachowskiego, nakazał rezydentowi rosyjskiemu w Krakowie, aby użył całego swego wpływu, żeby ks. Stachowski, jako jeden z Jezuitów wydalonych z Rosji, nie był instalowany na kanonika i d. 17 grudnia zażądał od Lubowidzkiego, chwilowo zastępującego dyrektora Komisji Spraw Wewn., aby mu nadesłał szczegóły, dotyczące przeszłości ks. Stachowskiego. — Już w trzy dni potem rozkaz został dopełniony.

Ostatecznie sprawa na tem się skończyła, iż ks. Stachowski w r. 1836 został kanonikiem katedry krakowskiej.[1])

* * *

Te kilka momentów, wyjęte z dziejów antyjezuickiego prądu w Królestwie Kongresowem, świadczą, iż był on bar-

[1]) Cfr Łętowski, katalog biskupów, prałatów, t. IV, 76.

dzo silny; jednakże już i w tej epoce nie brak było faktów, świadczących, iż prąd trzeźwego zapatrywania się na dzieło św. Ignacego, pomimo przeszkód, wzbiera na sile. I tak np. Samuel Różycki, komisarz obwodu stopnickiego, niebawem generał w okresie powstania, pisał d. 21 lipca 1830 r. z przekąsem do generała Kosseckiego, prawej ręki W. Księcia Konstantego, iż hr. Tarnowska z Piotrkowic i inne panie kierują młodych ludzi, udających się do Paryża, do takich osób, które zapoznają ich z Jezuitami. Ci zaś wywierają tak wielki wpływ na owych młodzieńców przez swe nauki, iż ci z zachwytem piszą o Jezuitach do swych rodziców i przyjaciół, wynosząc ich pod niebiosa i wyrażają swój żal, iż tych zakonników niema w kraju. [1])

* * *

Minęło mniej więcej sto lat od owych czasów, gdy zmora „Jezuityzmu" tak bardzo niepokoiła Władze. — Pomimo tylu przeszkód na ziemiach polskich rozwinęły się dwie kwitnące prowincje OO. Jezuitów, a Warszawa jest głównym ośrodkiem piśmienniczej ich działalności.

---

[1]) Bibljot. Raczyńskich w Poznaniu, mskr. 1050, s. 22.

O. Wł. Szołdrski C. SS. R.

Duchowe oblicze Traugutta.

I.

„Nieskończenie dziękuję Bogu za Jego święte błogosławieństwo, którego bardzo niegodnym się czuję, a dobroć Stwórcy daje mi otuchę i nadzieję, iż za Jego świętą łaską i pomocą we właściwym czasie, zdołam uczynić zadość wszelkim obowiązkom, jakie na mnie ciążą a o jakich me serce na chwile nie przepomina. Bóg nieskończenie miłosierny, po odjęciu takiej matki, jaką zastąpić niepodobieństwem prawie zdawało się — dał mym sierotom najczulszą opiekunkę, prawdziwą matkę, a mnie żonę, której godnym całą duszą być pragnę i staram się. On nas wszystkich przytuli i nie opuści. Ufajmy tylko Jemu i służmy szczerze".

„W naszem dotychczasowem położeniu często nie można wielu rzeczy zrobić jak się rozumie i jak potrzeba; w takich razach robić co tylko można, a z resztą śmiało spuszczać się na Boga. Szczerej pracy i poczciwym chęciom, prędzej czy później, Bóg zawsze dopomoże i pobłogosławi... Często On nie daje tym, których kocha wszystkich potrzebnych do roboty środków, właśnie dlatego, aby nie zapominali o tem, że co się dobrego robi, od niego pochodzi, i aby sobie samym tego nie przypisywali... Człowiek ziemię uprawia, krwawo pracuje koło niej i zasiewa, ale Bóg ziarna wzrost i obfitość plonu daje... Tak więc człowiek od pracy i starań nie jest wolny (i), aby tylko staranie i praca czystemi i poczciwemi były, o skutek ich troszczyć się nie powinien — bo ten w Bożem ręku. Przeciwnościami i niepo-

wodzeniem nie zrażać się; spotykane przeszkody tylko zdwojoną energję do ich pokonania wywołać powinny".

Dwa te urywki pochodzą z prywatnej korespondencji ostatniego dyktatora Polski z r. 1863 — Romualda Traugutta.[1])

Pierwszy — z listu do Matyldy Plumbergierowej — siostry zmarłej w 1859 r. żony dyktatora, Anny. List pisany 11 stycznia 1863 — na dni kilkanaście przed początkiem styczniowej tragedji. Drugi — z listu do gen. Józefa Bosak-Haukego,[2]) na dni niewiele przed finałem bohaterskich wysiłków — przed aresztowaniem Traugutta (w nocy z 10-go na 11 kwietnia), będącem początkiem końca.

Ograniczamy się do tych wyjaśnień niezbędnych. Zasadniczo bowiem nie obchodzi nas w danym razie komentarz do słów — ale same słowa.

Są one krótkie, zwięzłe, ale jakże wylewne!

Są proste, ale jakże uduchownione!

Bije z nich siła osobistego przeżycia: wieją szczerością głębokiego przekonania. Nic w nich z religijnego patosu romantyków. Nic z ciemnej, kabalistycznej frazeologji towianizmu. Człowiek, który to pisał, musiał żyć w gorącym klimacie duszy bardzo zjednoczonej z Bogiem. Słowa żarzą się wiarą i tchną ciepłem. To jakby styl Augustynów czy Teres...

Traugutta mało znamy.

---

[1]) Źródła rękopiśmienne: nieznany pamiętniczek Traugutta z r. 1860(?); list do Mat. Plumbergierowej. Korespondencja z okresu dyktatury w dawnych zbiorach Raperswyllu, Notatki z rozmów z p. Anną Juszkiewiczową córką dyktatora, jej rękopis: życiorys R. Traugutta z 1913 r. Notatki p. Mitraszewskiego. Zbiór odezw, manifestów i t. d. Traugutta zebranych przez autora a rozproszonych po wydawnictwach lub wydanych w formie ulotek.

Źródła książkowe: Monografja Dubieckiego: *R. Trauguff i jego dyktatura*. Wyd. V. Poznań 1924. J. K. Jaworski: *Pamiętniki o powstaniu styczniowem*. t. II. Warszawa 1925 r. Simanowski: *Trauguff*, Warszawa(?) Nadto monografje Berga, Przyborowskiego, Grabca, prof. Szelągowskiego (*Polska jej dzieje i kultura* t. III) St. Pomarańskiego *Służba wojskowa R. Traugutta* i t. d.

[2]) Cytaty z listów do gen. Bosaka i do Jana Karskiego bierzemy z monografji Dubieckiego.

Wszystko omal streszcza się w owym samotnym krzyżu, sterczącym na stokach Cytadeli Warszawskiej. Jest to znak bohaterskiego wytrwania i ofiarnej śmierci. Piękna i na zawsze dla dziejów Traugutta ważna monografja Dubieckiego ma luki. Pamiętniki Janowskiego są dopełnieniem do dziejów samej październikowej dyktatury. W opracowaniach roku 63-go postać Traugutta występuje naogół w świetle szlachetnem, ale bladem. Jego rysy duchowe są często błędne lub zniekształcone, jak zniekształcone są rysy fizyczne na wielkich srebrnych, dziesięciozłotówkach...

Ale tajniki duszy Traugutta, ale katakumby jego myśli i uczuć są niezbadane. I dlatego chcemy w nie wejść. A jak na pielgrzymów katakumbowych przystało, chcemy płomykiem chęci naszej, oświetlić to wszystko, co nosi tam na sobie znamię *Pro Christo*. Czynimy to w przekonaniu, że sprawa ta dla Polski katolickiej jest na czasie, zwłaszcza, że obecnie jest kwestjonowana;[1]) że wreszcie zdaniem naszem, religijność Traugutta stanowi jeden z najważniejszych rysów w psychice Dyktatora i klucz do jej zrozumienia.

II.

Sądy współczesnych, i wroga (Berg) i swoich (Dubiecki, Janowski, Krzemiński, Orzeszkowa, Limanowski nawet) są jednozgodne: Traugutt wyróżniał się mocnym światopoglądem religijnym.

To uderzało zarówno drwiących, sceptycznych i hulaszczych kadetów i oficerów rosyjskich, jak i czerwonych czy białych liberałów warszawskich.

Co wpłynęło zewnętrznie na formację takiego światopoglądu? Zarówno k r a j jak d o m.

Kraj lat dziecinnych i młodzieńczych Traugutta to pogranicze Podlasia i Polesia, kraj zapadły, puszczański, gdzie

---

[1]) Prof. Szelągowski w cennej pracy o roku 1863 w wydawnictwie *Polska jej dzieje i kultura* (tom III), kwestjonuje zarówno charakterystykę religijności Traugutta u Berga i Dubieckiego (str. 443 i str. 446 dopiski) i aczkolwiek przyznaje Trauguttowi „głęboko tkwiącą ideę religijną" kończy jednak „Jeżeli każda rewolucja potrzebuje swego kozła ofiarnego, to napewno kozłem ofiarnym stał się... Traugutt. Przyjaciele namaścili go na ś w i ę t e g o i t. d.

niewiara XVIII stulecia docierała najwyżej echem budzącem i grozę i odrazę; gdzie katastrofa rozbiorów zbyt wcześnie zbudziła świadomość, iż bastjonami polskości wobec schyzmatyckiej Rosji są kościoły i klasztory. W nich bowiem pierwiastek religijny kojarzył się niezwykle mocno ze wspomnieniem o minionej przeszłości Rzeczypospolitej. Wszystkie prawie stanowiły fundacje miejscowych starożytnych rodów, mówiły o dostojeństwie rozdartej Ojczyzny. Dla Traugutta takiemi źródłami wzruszeń religijnych i narodowych, poza kościołem parafjalnym w Kamieńcu Litewskim, był kościół w bliższem rodzinnemu Szostakowiu — Wysokiem Litewskiem, fundacji ostatecznie Sapieżyńskiej a tradycją do Witolda sięgającej, był po drodze do Wysokiego Lit. klasztor Marjanów w Raśnie, fundacji Matuszewiczów, z cmentarzem szlachty okolicznej („mogiłki raśniańskie"); był wreszcie, kiedy ojciec Romualda, Ludwik Traugutt, nabył wieś Białe, kościółek parafjalny w kościuszkowskich Siechniewiczach. Kościółek ten w duchowej historji Traugutta zajmuje doniosłe miejsce. Tu z rąk długoletniego proboszcza tej parafji — ks. Skibickiego, przyjaciela rodziny Trauguttów — przyjął pierwszą komunję św. Ten sam staruszek spowiadał go i błogosławił, gdy w pierwszych dniach maja 1863 ruszał na bój. Interesował też żywo Traugutta bliski klasztor po Kartuzach w Berezie, fundacji Kazimierza Lwa Sapiehy. Za lat już dojrzałych będzie spisywał historję tego kościoła i klasztoru berezkiego, ktorą siostrzeniec jego, Jan Juszkiewicz, uzupełni i doda wpomnienia dotyczące okolicznych świątyń i kaplic. To stwierdza najlepiej jaki wpływ wywierały na miejscowych Polaków święte, a przez Moskwę profanowane mury kościołów i klasztorów. A takich tragedyj po r. 1831, za lat chłopięcych Traugutta było dość. Wystarczały chociażby bolesne wieści o profanowaniu i rujnowaniu katolickich świątyń w bliskim Brześciu nad Bugiem. Wtedy to z woli cara Mikołaja, Brześć zamieniono na twierdzę i w gruzy obracano wszystko, co mówiło o katolickości i polskości stolicy tego województwa, które Polsce dało ostatniego króla, Stanisława Augusta i ostatniego obrońcę niepodległości — Kościuszkę. Prześladowania i szykany budziły tem większą miłość do wiary Ojców, a jej atmosfera, była atmo-

sferą wszystkich domów polskich na tej rubieży Rzeczypospolitej.

Nie danem było wprawdzie małemu Romualdowi czerpać pierwszych wrażeń religijnych na kolanach i z ust matczynych. Urodzony 16 stycznia 1826, matkę stracił już w maju 1828 r., mając zaledwie rok i kilka miesięcy. Jej miejsce zajęła babka macierzysta Justyna Błocka. Jeżeli się mówi o wpływie domu na małego Romusia, to był to przedewszystkiem wpływ babki. Nie opuściła go prawie całe życie z wyjątkiem krótkich lat kadeckich w Petersburgu i kampanij wojennych. Zmarła w 1859 r. a więc na cztery prawie lata przed śmiercią ukochanego wnuka. Rósł więc Traugutt pod okiem babki, mądrej, głęboko wierzącej i czującej matrony i to była pierwsza mistrzyni jego życia. Ona przywiozła podrosłe już chłopię do Warszawy (gdzie wspomnienia Grochowa i Woli były tak żywe!) aby dziecku na miejscu pokazać zabytki wspomnień narodowych, dochowała się nawet z tych czasów tradycja o wędrówce na grób Staszica na Bielany warszawskie (umarł przecie w tym roku i miesiącu, gdy Traugutt przyszedł na świat!). Chcąc zabezpieczyć chłopca od wszelkich niepożądanych wpływów osiada później w Świsłoczy, kiedy kochany wnuś rozpoczął nauki gimnazjalne.

Jej to wskazówkom zapewne zawdzięczał Traugutt to, co sam z kolei dziewczątkom swoim, ślęczącym nad książką zalecał: „jeśli natraficie na coś trudnego, to trzeba westchnąć na chwilę do Boga a zobaczycie, że się to wyjaśni". [1]) Po niej zapewne też odziedziczył troskę, by form religijnych nie utożsamiać z pojęciem doskonałości chrześcijańskiej; „bo one bez ducha chrześcijańskiego — jak pisał Traugutt do gen. Bosaka 2 marca 1864 — i płynących zeń czynów, będą nietylko niepożytecznemi, ale szkodliwemi nawet; gdyż będą kalać świętość religji, sprowadzając ją tylko do zewnętrznych praktyk". [2]) Z pobożności babki odziedziczył może i to pełne zgadzanie się z wolą Bożą w ciężkich chwilach życia, wierząc w jej miłościwą Opatrzność i celowość. Po

[1]) Notatki z rozmów z panią Anną z Trauguttów Juszkiewiczową — w posiadaniu autora.

[2]) Cytacja za Dubieckim, str. 126.

babce też przejął odwagę swoich przekonań. Niezwykłą to musiała być niewiastą ta matrona, Justyna z książąt Szujskich Błocka, skoro umiała przeciwstawić się odwiecznym konwenansom klasowym i popełnić... „mezaljans", gdy księżniczką będąc, oddała rękę zwykłemu szlachcicowi idąc za głosem serca i przekonania. Tę odwagę przekonań, zwłaszcza odwagę swoich przekonań religijnych odziedziczył i ukochany jedyny wnuk — Romuald.

„Był to cichy i skromny młodzieniec — pisze Berg [1]) — dobroduszny na oko wobec wszystkiego; znęcaj się nad nim, ile chcesz — zaciśnie zęby i milczy uparcie... Ale jeżeli zaczęto żartować z religji katolickiej, z papieża, z księży — wtedy spokój opuszczał Traugutta, popadał we wściekłość (sic), oczy jego błyszczały nienaturalnym, dzikim(!) blaskiem... Koledzy jego, z pensjonatu Stiepanowa widywali go, jak co wieczora, zabierając się do spania, długo modlił się, klęcząc przy łóżku i bił się pięścią w piersi". Ta opinja rosyjskiego liberała, Berga, wyrażona z pewną złośliwą przesadą, stwierdza jedno: niezwykłą odwagę młodzieńca w wyznawaniu swej wiary. Podobny rys spotykamy w Traugucie jako młodym i cenionym oficerze w czasie wojny krymskiej. Gdy w walkach oblężniczych w Sewastopolu zjawiały się chwile wolne, i gdy oficerowie trwonili czas przy kartach czy kieliszku, „Traugutt — pisze Berg — zaszywał się w swój namiot i długo z niego nie wychodził, to napewno dlatego, żeby na osobności pomodlić się (co prawda Bóg wie o co) lub przeczytać cośkolwiek z Biblji"... [2])

Kraj więc i dom — dały Trauguttowi głębokie przywiązanie i cześć dla wiary ojców, przekonanie, że forma musi odpowiadać treści, rozumienie znaczenia modlitwy i wreszcie odwagę wyznawania swej wiary bez względu na to, czy się to komu podoba, czy nie.

To życie religijne wniósł Traugutt i w swoje stosunki rodzinne. Poślubiwszy w 1853 r. Annę z Pikielów, był szczęśliwym mężem i ojcem. Niestety. Śmierć zabrała [3])

[1]) Berg: *Polskoje wozstanje*, Russkaja Starina t. XXVI 1. c. 286—7.
[2]) Idem.
[3]) *Życiorys R. Trauguttа*, rękopis córki p. Anny z Trauguttów Juszkiewiczowej.

w ciągu roku dwoje dziatek, ukochaną babkę, a po niej w tygodni parę i umiłowaną żonę (listopad 1859 r.)

Ciosy były zbyt nagłe i silne, Traugutt zapadł ciężko na zdrowiu. Jakież były jego uczucia wewnętrzne?

„Boże Miłosierny — pisze wtedy w swych notatkach osobistych [1]) w momencie poświęconym wspomnieniom drogich mu zmarłych — bądź im miłościw, daj im wieczne odpoczywanie w chwale Twej świętej, a mnie wspieraj, abym razem z nimi zasłużył sobie wielbić Ciebie, Ojcze nasz Najdroższy po wszystkie wieki". Wzmianki Trauguttа o Bogu są zawsze dziwnie ciepłe: wyczuwa się wprost to wzruszenie, które przepływa przez jego duszę.

Poza tem — żadnego buntu ni skargi. Nurt żalu głęboki, ale spokojny, opromieniony aktem miłości.

Duszę jednak palił ból i trzeba było ukojenia. Cóż tak koiło duszę?

Z nielicznych po Traugucie pamiątek pozostała książka w czarną skórę oprawna. Autor i tytuł: Catherine Emerich: *Douloureuse Passion de N. S. Jésus Christ*... To wczytywanie się w Mękę Zbawiciela musiało poruszyć głęboko serce Trauguttа, skoro zabrał się do przetłumaczenia dziełka na język ojczysty. W latach przedwojennych starano się o wydanie tego tłumaczenia. Śmierć jednak ś. p. Alojzy Trauguttówny, córki Dyktatora (w 1907 r.) zamiar unicestwiła, a co gorsza — rękopis się zawieruszył. Czy istnieje dotąd? Wydanie objawień wielkiej katolickiej mistyczki z XIX wieku w tłumaczeniu wielkiego męczennika i bohatera narodowego, jakimby było nabytkiem dla naszej literatury religijnej! [2])

Nadszarpnięte nieszczęściami zdrowie, nastrój, który udzielał się całemu społeczeństwu polskiemu, wreszcie śmierć dziada, Witalisa księcia Szujskiego, oraz spadek po nim, powoduje prośbę o dymisję z armji rosyjskiej. Dymisjonowany (26. VI. 1862) w randze podpułkownika, osiedla się w odziedziczonem Ostrowiu w okolicach Kobrynia. Ze względu na drobne dzieci, poślubia Antoninę Kościuszkównę, która staje się matką dla sierot, a oddaną żoną dla wdowca.

[1]) Przepisane z autografu.

[2]) Gdyby ktoś z łaskawych czytelników wiedział coś o zaginionym rękopisie, zechce powiadomić autora przez redakcję.

Życie poczyna znów się układać i przejaśniać, a jak płynęło w ostrowieckim dworze, posłuchajmy wspomnień córki p. Anny Juszkiewiczowej: „Tatuś, ponieważ kościół był daleko, na górze w jednym z pokojów gościnnych, urządził coś w rodzaju kaplicy. Był obraz Matki Bożej, świece, ołtarzyk. Co wieczór tatuś zbierał tam całą rodzinę i służbę na wspólny pacierz. Również w niedzielę, gdy nie można było jechać do kościoła, tatuś gromadził tam wszystkich domowników i czytał Mszę św.". „Rano tatuś zawsze się modlił razem z mamą: mówili pacierz...".

I jeszcze inny przemiły obrazek:

„Pamiętam jak nas dzieci brał (tatuś) na kolana i sam uczył katechizmu i historji św. Były to wielkie księgi z illustracjami Dorêgo. Tatuś pokazywał nam obrazki, a potem objaśniał...".

Do kościoła jeżdżono zazwyczaj do Krupczyc. W Kobryniu bywano w kościele, o ile bawiono w gościnie u matki i wuja, pani Trauguttowej, w pobliskim folwarczku Kłopociu. W kobryńskim kościele rodzina miała ulubione miejsce; było to na prawo, koło ołtarza Matki Boskiej...

To życie ciche, zbożne, nie pozbawione zresztą kłopotów materjalnych i przykrości ze strony współsukcesora, niejakiego Aleksandra Bęklewskiego, [1]) przerwał grom powstania.

Traugutt stanął pod bronią w dn. 8-mym maja, a w dniu 17-tym października objął ster całego ruchu jako Dyktator. Urzeczywistnił to, co pisał jakby w przeczuciu 11 stycznia 1863 r.: „...iż za jego (Stwórcy) świętą łaską i pomocą, we właściwym czasie, zdołam uczynić zadość wszystkim obowiązkom, jakie na mnie ciążą, a o jakich me serce na chwilę nie przepomina...".

III.

„Będąc przekonany, że niezależność jest koniecznym warunkiem prawdziwego szczęścia każdego narodu, zawsze jej pragnąłem dla swojej Ojczyzny, a to tem bardziej, że

[1]) To co pisze Dubiecki o procesie z księżną Szujską, jest błędne. Staruszka księżna Szujska żyła jak najlepiej z Trauguttem, którego nawet wyswatała za Kościuszkównę. Proces się toczył z Bęklewskim.

i oswobodzenie się Rosji od ciężaru panowania nad Polską, liczyłem za również konieczny warunek do zwrócenia całej działalności rządu i ludu rosyjskiego na rzeczywisty pożytek tego obszernego państwa. Były to moje pragnienia, których urzeczywistnienia oczekiwałem od Boskiej Sprawiedliwości i Miłosierdzia". [1])

Tak zeznawał Traugutt w komisji śledczej w. dn. 4 maja 1864 r. Zasługują na uwagę słowa ostatnie: „Boska Sprawiedliwość i Miłosierdzie". Stanowią bowiem one jakby *leitmotiv* w licznych odezwach i notach dyktatora Trauguta.

„Będąc u steru spraw publicznych w tych najtrudniejszych okolicznościach, zmuszeni jesteśmy, Ojcze święty — pisze w adresie z dn. 29 paźdz. r. 1863 do Piusa IX — złożyć Ci najgłębsze dzięki za postawienie sprawy naszej... wobec Najwyższej Sprawiedliwości i bronienia jej tam przez swoje i wiernych — za przykładem Twoim idące, modlitwy". [2])

„Godzina Miłosierdzia i Sprawiedliwości dla męczonego Narodu, godzina kary dla jego katów — niedaleka" zapewnia Naród w pierwszej swej doń odezwie po objęciu rządów". [3])

„W imię tych uczuć, (pogwałconej sprawiedliwości i prawa) wszyscy do walki z wrogiem stanęliśmy: mocni niemi, mocni wiarą w Sprawiedliwość Najwyższą, pewni jesteśmy rychłego i stanowczego sprawy naszej zwycięstwa"; — brzmi zakończenie odezwy do Duchowieństwa z dn. 15 grudnia 1863 r. [4])

A w manifeście do Ludu Polskiego z dn. 1 stycznia 1864 r. czytamy:

„My znowuż, Rząd Narodowy, wierząc niewzruszenie w Sprawiedliwość Boską i w Miłosierdzie Jego ufając, do ostatniej kropli krwi od wrogów bronić kraju naszego postanowiliśmy i tego święcie dotrzymamy". [5])

---

[1]) Zeznania Trauguta (Archiwum Akt Dawnych).
[2]) Wyd. Mat. do Historji Pow. Lwów 1890 t. I.
[3]) Giller Histr. Pow. Stycz. t. II, str. 425.
[4]) Giller t. II l. c. 425.
[5]) Oryginalny druk współczesny.

„Polska istnieć będzie, bo istnienie jej do postępu ludzkości nietylko jest potrzebnem, ale koniecznem: czas Zmiłowania Pańskiego nad nią, jak mocno ufamy, już niedaleki"; zwraca się Traugutt do Ludów Europy w odezwie z dn. 18 marca 1864 r., i kończy z mocą:

„...odzywamy się do Was, Ludy i Rządy Europy, a odzywamy się nie głosem błagalnym i żebraczym... Nie przystoi jęczeć i błagać temu, kto występuje w imię obrażonych i podeptanych najświętszych praw ludzkości, kto z niezachwianą wiarą w Najwyższą Sprawiedliwość, bezbronny prawie — przeszło od roku walczy z rozwścieklonym wrogiem". [1])

Moglibyśmy mnożyć jeszcze cytaty podobne. Wskazują one na jedno: sprawa niepodległości Polski była dla Traugutta przedewszystkiem kwestją Najwyższej sprawiedliwości i Bożego Miłosierdzia. Była konsekwencją jego głębokiej wiary w Opatrzność, w ręku której są losy narodów i ludzkości.

„Groźna chmura wprawdzie zbiera się nad jasnym horyzontem naszym — pisał jeszcze w 1853 r. w przededniu wojny krymskiej, do przyjaciela Jana Karskiego — ale kiedyż milsza i wdzięczniejsza pogoda, jak nie po burzy? A burze i pogody, czyż nie są w jednej, wszechmocnej ręce, a ta ręka, czyż nie jest ręką Najmiłościwszego, Najlepszego Ojca, który wszystko we właściwą porę i wszystko dla naszego prawdziwego dobra zsyła?".

A więc — może bierne opuszczenie rąk w oczekiwaniu Woli Najwyższej i cudu? Nie. Poza wiarą w Sprawiedliwość i Miłosierdzie Boże, Traugutt wierzy równie silnie w inną wielką prawdę chrześcijańską — w potrzebę osobistego wysiłku, z którym się łączy idea poświęcenia i nieprzemijająca wartość ofiary.

„Szczerej (bowiem) pracy i poczciwym chęciom prędzej czy później Bóg zawsze domoże i pobłogosławi". „Człowiek od pracy i starań nie jest wolny (i), aby tylko starania i praca czystemi poczciwemi były, o skutek ich troszczyć się nie powinien — bo ten w Bożem ręku. [2])

---

[1]) Giller t. III l. c. 133—140.

[2]) Z cytowanego na wstępie listu do gen. Bosaka.

„Jako chrześcijanie — woła[1]) — jesteśmy cząstką tej ludzkości, dla której Chrystus krew swą wytoczył; również jak On pracować chcemy; za całą ludzkość i dla ludzkości walczyliśmy, cierpieliśmy za całą ludzkość i dla ludzkości teraz walczymy. Krew naszą, łzy nasze i całe męczeństwo z radością do skarbnicy ludów składamy i jako wspólną od wszystkich o f i a r ę, ośmielamy się złożyć przed tronem Przedwiecznej Sprawiedliwości. Nie ustaniemy w tej strasznej walce przeciwko duchowi fałszu, tyranji i ciemności, dopóki prawda triumfu nie odniesie".

W świetle tych prawd, Bożej Sprawiedliwości i Opatrzności, a ze strony człowieka — poświęcenia i ofiary, doszliśmy do subtelnej sprawy u d z i a ł u Traugutta w powstaniu. To nam wiele w nim wytłumaczy i wyjaśni.

Traugutt w okresie przedpowstaniowym od ruchu przygotowawczego trzymał się zdaleka. To co Dubiecki a nawet Berg pisze o rzekomych jego związkach z działaczami czy kółkami narodowemi jest domysłem. Faktem zaś jest, że z imieniem Traugutta nie spotykamy się w żadnych pracach czy kółkach na terenie Petersburga. Podobnież nieznani są szerszej widowni ludzie, z którymi Traugutt żyje. Cóż bowiem mówią nazwiska czy pułk. Antoszewskiego czy Bezaka, albo Jana Karskiego czy nikomu bliżej nie określonego, Tarwida o którym Traugutt mówi jako o swoim „najlepszym przyjacielu".[2]) A gdzież głośniejsze nazwiska? Już nie Jarosława Dąbrowskiego czy Padlewskiego, młodszych szarżą i wiekiem, ale Sierakowskiego Zygmunta, ale Różyckiego Edwarda, a choćby i Ohryzki?

Nadto wiemy, że ostatnie lata przedpowstaniowe były dla Traugutta ciężkie i tragiczne: choroba i zgony najbliższych, choroba osobista, kłopoty finansowe: wszystko tak się składało, że trudno przypuścić, iżby Traugutt miał chęć i czas na jakąś pracę narodowo-organizacyjną.

Nadto jego osobiste poglądy w stosunku do zbrojnych zamierzeń były conajmniej krytyczne. Powstanie wybuchło, a Traugutt miesiącami pozostaje raczej obserwatorem wy-

[1]) Odezwa do Narodu w rocznicę powstania z 22. I. 64.
[2]) List do Matyldy Plumbergierowej.

padków. Co innego, że w duszy tak szlachetnej i wielkiej musiały się toczyć bolesne walki. Stał jednak zdaleka. „Powstania nikomu nie doradzałem — pisze Traugutt w cytowanych zeznaniach, a choć to tylko zeznania, tyle w nich żołnierskiej otwartości i odwagi cywilnej, że trzeba mu wierzyć. A dalej mówi: „przeciwnie, jako były wojskowy, widziałem całą trudność walczenia bez armji i potrzeb wojennych z państwem słynącem z militarnej potęgi. Gdy zbrojne powstanie wybuchło w okolicy mego mieszkania... udano się do mnie błagając, abym objął dowództwo. Okazało się, że odwołać nie było już czasu, zgodziłem się...".

Tę brzemienną w skutki decyzję, powziął Traugutt w dworku Jana Mitraszewskiego w Bożym darze.[1]) Jan Mitraszewski był szkolnym kolegą Traugutta ze Świsłoczy, był już sybirakiem z r. 1848, był wreszcie powstańczym naczelnikiem Kobrynia. Wobec nieustępliwej postawy przyjaciela, rzucił mu się wreszcie do kolan, wołając: „Błagam cię Romualdzie nie odmawiaj nam i Polsce i przyjmij dowództwo!". Traugutt zakrył oczy, chwilę się namyślał i rzekł: „Przekonałeś mnie Janie. Przyjmuję".

I rzecz dziwna. Ten do niedawna trzeźwy fachowiec i militarysta, nietylko przyjmuje dowództwo nad kobryńskim oddziałkiem (co by jeszcze dało się tłumaczyć racjami czysto uczuciowemi) nietylko dwa miesiące w nim walczy. Rozbity ostatecznie pod Kołodnem, (13 lipca 1863) sam chory i zbiedzony, mógł dyskretnie zniknąć z widowni, boć spełnił swój obowiązek. A tymczasem już 26 lipca zjawia się w Warszawie ofiarując swą współpracę Rządowi Narodowemu. Wreszcie sam bierze ster tego rządu i w czasie, gdy już mówiąc słowami poety „sama odwaga załamała ręce", niestrudzenie organizuje, pracuje, trwa i wierzy, wierzy w zwycięstwo mimo klęsk i ruin.

Stajemy wobec psychologicznej zagadki: Gdzież się podziały zastrzeżenia i racje doświadczonego podpułkownika, którego zresztą smutne przewidywania tak się rychło ziściły i to na nim samym? Widocznie przeważyły racje inne

---

[1]) Relacja piśmienna p. Stan. Mitraszewskiego, syna Jana, (w zbiorach autora).

i mocniejsze: walka rozstrzygnęła się na innej płaszczyźnie, poza granicami chłodnej kalkulacji. Sprawa niepodległości Polski przerosła stosy bagnetów i parki artyleryjskie; zajaśniała jako nieodzowny postulat Najwyższej Sprawiedliwości. I widać Traugutt w burce powstańczej poczuł się przedewszystkiem tej Sprawiedliwości żołnierzem, poczuł, że go Bóg powołał na szaniec może zwycięski, może stracony, ale, że ta jego i Narodu ofiara, jeżeli nie jest ostatniem, to jednak k o n i e c z n e m ogniwem warunkującem „rychlej czy później" zwycięstwo ostateczne. Z ludzkich środków nie poniechał żadnego: wiązania wciąż rwanej przez wroga organizacji; dyplomatycznej gry, aż do paktów z rewolucją; przemiany luźnych oddziałków w maleńką, lecz karną armję; gromadzenie zasobów pieniężnych; a krzesanie przedewszystkiem wiary i zapału w zmęczonym i okrwawionym narodzie. Ale wśród tego wszystkiego był świadom, że: „nietylko orężem, ale i męczeństwem swych dzieci Polska sobie zbawienie, a światu triumf sprawiedliwości gotuje" [1]) i że ostatecznie „Bóg nie z pysznymi — jak pisał do ks. Władysława Czartoryskiego — i wiara nasza tem mocniejsza, że widocznie ręka Boża jest z nami i On dziełem naszem kieruje". [2])

W Traugucie dziwnie się harmonizuje mistycyzm z realizmem, zapobiegliwość ludzka, z głębokiem religijnem namaszczeniem. Tu tkwi tajemnica jego niezwykłej siły moralnej. Energję swoją czerpał i odświeżał u wieczystych źródeł, a źródłami temi było obcowanie z Bogiem w modlitwie i sakramentach.

Ledwie stanął na gorącym bruku warszawskim i nawiązał łączność z podziemnym Rządem, zastrzega sobie dzień na spowiedź i komunję św. [3]) A w czasie pracowitych, naprężonych i chmurnych dni dyktatury, w atmosferze iście Pawłowych niebezpieczeństw „w dzień i w noc... w niebezpieczeństwach od fałszywych braci", kiedy zadziwiał ogromem swojej pracy, znajdował sporo czasu na rozmowę z Bogiem.

[1]) Odezwa do Duchow. 15 XII. 1863. Materjałów tom III.
[2]) Depesza do X. Wł. Czartoryskiego z 8. II. 1864.
[3]) Dubiecki str. 28. Janowski t. str. 168.

„Porządek dnia Traugutta — pisze Dubiecki, zaufany świadek ostatnich miesięcy życia Dyktatora — był tego rodzaju [1]) — modlitwa dłuższa lub krótsza, a zawsze korna, odbywana klęcząc, dzień zaczynała. Leżąca przy łóżku książka do nabożeństwa, widocznie w częstem bywała użyciu, gdyż stopniowo kartki jej wyszarzałą przybierały postać. Niekiedy wpadający do niego wczesną godziną najbliższy domownik i jedyny gość, (Dubiecki!) który go w różnych chwilach doby nawiedzał, zastawał go na modlitwie. Czekał więc cierpliwie, wertując jakąś książkę... Przedłużało się czasem zbyt długo to oczekiwanie i zbliżała się godzina wykładów szkolnych (Dubiecki był profesorem gimnazjalnym) na które musiałem spieszyć" a Traugutt pozostawał jeszcze pogrążony w modlitwie...

Polityczną swoją korespondencję zwłaszcza z miesięcy ostatnich (luty, marzec) Traugutt stale kończy zwrotem: „niech was Bóg wspiera i błogosławi". Zwrot ten zastąpił dotyczas przyjęte w korespondencjach powstańczych republikańskie pozdrowienia i braterstwo. Szczegół drobny, ale ważny, bo świadczy jak Traugutt starał się działalności swojej zewnętrznej nadawać ton chrześcijański. Nic też dziwnego, że chrześcijańskiem ciepłem promieniowała dusza jego na otoczenie, że światłem wiary przepajał on wszystkie wartości i zagadnienia nasuwane przez sprawę i życie.

Naród nie jest dla Traugutta tylko jednym z biologicznych procesów społeczeństwa. „...Bóg podzielił ludzkość na narody, dając każdemu z nich pewne odrębne cechy; każdy więc naród równe ma prawo do swego istnienia jako niezależna jednostka, rozwijająca ze swobodą zupełną tę myśl, którą Stwórca w jej łono złożył. Stąd następstwa, że nie należy ludziom działać niezgodnie z zamiarami Boga, a jeśli zechcą to zrobić, trudy i wysiłki zawsze się muszą udaremnić, zostawiając po sobie tylko pamiątkę wielkich cierpień i nieszczęść wszelkiego rodzaju...". [2])

Cóż jest celem tak pojętego narodu? Odpowiada Traugutt: „...niepodległość i ustalenie w kraju po-

---

[1]) Dubiecki l. c. 110, str.

[2]) Z zeznań przed kom. śledczą A. A. D.

rządku opartego na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości, udzielając obywatelom należytą (sic) swobodę, bez naruszenia powagi i prawdziwej siły, jaka się władzy najwyższej, strzegącej porządku i bezpieczeństwa wszystkich, należy".

„Idea narodowości — przewiduje Traugutt — jest tak potężna i czyni tak szybkie postępy w Europie, że jej nic nie pokona, a wstrzymanie jej postępu posłuży tylko do nabrania siły i popularności ludziom najbardziej rewolucyjnych przekonań, którzy nie widzą innego środka do zaspokojenia pragnień wielu ludów, jak tylko ogólną burzę społeczną i zupełny przewrót istniejącego porządku rzeczy". [1]) Oto nacjonalistyczna doktryna Trauguta.

Naród polski, mimo, że ma swoją misję daną od Boga, „myśl którą Stwórca w (jego) łono złożył", jest jednak tylko cząstką chrześcijańskiej Rzeczypospolitej ludów. „Jako chrześcijanie, jesteśmy cząstką tej ludzkości, za którą Chrystus krew swą wytoczył...". A nasz dorobek duchowy cierpień, walki i ofiary, w myśl idei solidarności duchowej „składamy do skarbnicy ludzkości jako wspólną od wszystkich ofiarę i ośmielamy się złożyć Przedwiecznej Sprawiedliwości„. [2])

Takiem jest braterstwo ludów w pojęciu Trauguta. A czemże narody mają się rządzić w wzajemnych z sobą stosunkach? Jakież są źródła międzynarodowego prawa?

Daje nam odpowiedź Traugutt w odezwie z dn. 18 marca 1864 r. do Ludów Europy: „...prawdziwa wolność człowieka, równość wszystkich przed prawem, stosunki międzynarodowe oparte na braterstwie i miłości chrześcijańskiej, muszą się wydawać mrzonkami, (dla rządu zaborczego sc. Austrji) a ci, którzy w nie wierzą, ludźmi conajmniej słabego umysłu i godnymi politowania; my zaś — z pokorą i zupełną szczerością wyznajemy, że dla nas te mrzonki, są głównem prawidłem i kardynalnem prawem tak w stosunkach jednostek jak i całych narodów między sobą".

---

[1]) „Zeznania" Ar. Akt. Daw.

[2]) Skrót cytowanego już uprzednio ustępu.

„Dla nas — nie pożądaj cudzego, nie czyń drugiemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono, jest główną podstawą wszelkich stosunków społecznych... bo my, w prostocie swojej, nie możemy pojąć, jakim sposobem to, co obowiązuje każdego w szczególności, nie ma w równejże sile obowiązywać ogółu całego...".

„W świętym Kościele katolickim, głównym warunkiem odpuszczenia krzywdy bliźniemu wyrządzonej — jest r e s t y t u c j a... Bez najściślejszej restytucji pokrzywdzonemu, nic tej winy nie zmaże, nic nie rozbroi Najwyższej Sprawiedliwości. I tu znowu — nie rozumiemy, aby ten obowiązek ciążąc z taką siłą na jednostkach — nie leżał w tymże stopniu na rządach i narodach, jeśli zbiorowo zawinili".

Etyka więc życia narodów, musi być etyką Dekalogu.

S ł u ż b a n a r o d o w a, w pojęciu Traugutta wymaga przedewszystkiem wielkich walorów moralnych.

Ludzi (nisko stojących moralnie) — a mowa tu o Mierosławskim i jego klice — „nie tylko z grona czynnych pracowników, ale w ogólności z łona Narodu wyrzucać czujemy się w najświętszym obowiązku i wyrzucać będziemy. [1])

„Błędne i nieszczęsne w swych skutkach jest pojęcie, że dla skupienia wszystkich sił Narodu, wszystko, co się tylko mieni być polskiem, asymilować powinniśmy i we wspólnych robotach jednoczyć. Błoto i kał wszelkiego rodzaju zawsze odrzucać należy, bo to i czystych zawalać musi".

„Wprawdzie ten, kto brudny moralnie lub fizycznie może się jeszcze oczyścić; ale niech się wprzód oczyści, a potem do roboty staje i to nie na pierwszem, ale na ostatniem miejscu, z którego trudem i przeciwnością pewno prędzej do pierwszego dojdzie, jak pnąc się odrazu w górę..."

„Władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambicji" powtarza niejednokrotnie. [2])

Dbałość o wartości moralne w Narodzie, „o ś w i ę t o ś ć d o m o w e g o o g n i s k a", jak się wyraża Dyktator, kazała mu zaraz w pierwszej do Narodu odezwie z d. 29. X. 1863 przypomnąć „że ponad majątkową ruiną i osobistą katuszą,

[1]) Ta i następne cytaty z listu do komisarza Pełnomoc. przy Komisji Długu Narod. (Karola Ruprechta) z dn. 15. II. 64 r.

[2]) Idem i odezwa z dn. 15. XII. 1863.

są jeszcze świętości dla których trzeba poświęcić najdroższe uczucia, a do takich prawy Polak zaliczy honor i wstyd niewieści, na które teraz wróg dziki się rzuca". Poleca więc Traugutt Polkom dla tych racyj zdjąć żałobę narodową, by uchronić je od brutalnych napaści i krzywd ze strony władz rosyjskich.

„Nie potrzebujemy protestować kolorem sukni, kiedy krwią protestujemy przeciw najazdowi" woła.

Miłość rodziny i czystej atmosfery życia domowego, to jedna z najbardziej charakterystycznych cech Traugutta. Posłuchajmy jego zwierzeń:

„Patrząc na me kłopoty i nieprzyjemności — zwierza się w liście do szwagierki Plumbergierowej — ludzie dziwią się, że ja z taką zimną krwią i wytrwale (to wszystko) znoszę. A ja często rzeczywiście zbiedzony i skłopotany, gdy spojrzę na swoich, na żonę i dziatki, na ich wzajemną miłość — i to miłość ze strony dziatek czułą a ze strony matki prawdziwie rozsądną, choć również czułą, na najlepsze skutki tej miłości — wtedy o wszystkich troskach zapominam i czerpię moc do zniesienia nowych..."

„Czy ludzie pojmą — pisze do Jana Karskiego, wyrażając mu swe poglądy na miłość małżeńską — nie wiem, Bogu to tylko wiadomo; ale temu nikt nie zaprzeczy, że to jedyny środek do osiągnięcia szczęścia, tak dla pojedynczych ludzi, jak i dla całych narodów i dla ludzkości całej..." [1])

Kwestja społeczna w 1863 r. była przedewszystkiem kwestją włościańską, a ta obejmowała zagadnienie pańszczyzny i uwłaszczenia. Jeżeli pierwsze zagadnienie było w społeczeństwie polskiem bezspornem, o tyle sprawa uwłaszczenia wywoływała, zwłaszcza w ziemiaństwie, zastrzeżenia i sprzeciwy. Dekret Komitetu Centralnego z d. 22 stycznia w chwili wybuchu powstania, jako dekret Tymczasowego Rządu Narodowego dał rozwiązanie decydujące: uwłaszczenie chłopa. Naogół biorąc patrjotyczna szlachta przyjęła to jako fakt dokonany: ale były i wyjątki. Stąd polskie żywioły rewolucyjne, które kwestję tę chciały załatwić na „czerwono", drogą rewolucji społecznej, parły do walki klasowej.

---

[1]) Za Dubieckim, l. c. str. 47.

Traugutt dekret z d. 22 stycznia całkowicie utrzymał i drogą surowych sankcyj starał się go wprowadzić tam, gdzie jeszcze się z nim nie liczono. Czynił to nie tylko ze względów interesu politycznego, by chłopa skaptować do szeregów. Uwłaszczenie było dlań aktem sprawiedliwości społecznej, było obowiązkiem obywatelskim, sprawą chrześcijańskiego sumienia. Ale naciskając opornych właścicieli, z drugiej strony nie schlebia ludowi, mówiąc mu tylko o jego prawach, a zamilczając obowiązki. Społeczna miłość, braterska miłość dzieci jednej Ojczyzny ma wyrównać przedział między panem i chłopem.

Ludowi — poświęcił Traugutt dwa obszerne swoje manifesty, z d. 1 stycznia i z d. 25 marca roku 1864. Nie chodzi nam tu o całą społeczną doktrynę Trauguttа, ale o jej „chrześcijańskość".

„Kiedy według rozkazania naszego (t. j. Rządu Nar.) sprawiedliwość każdemu jest wymierzona, i kiedy wszyscy jednakowo, czy w siermiędze czy w kaftanie jesteśmy prawi ziemi polskiej obywatele, słuszna jest każdemu wiedzieć, jak się ma w tej swojej godności zachować". [1])

A więc najpierw pochodzenie własności: „Tę ziemię naszą świętą, którą my w pocie czoła sprawiamy, dał nam Bóg Najwyższy w dziedzictwo".

Jeżeli szlachta miała kiedyś większe przywileje; to z racji krwi, którą lała w obronie Ojczyzny:

„Na wojnę wychodzili ci tylko, którzy rozum i naukę większą posiadali, szlachtą zwani, chłopek zaś rolę orał a nie znał co to wojna i branki żadnej nigdy nie było. A iż szlachta na wojnie krew swą za tę ziemię Polską przelewała, więc lepszych praw dla siebie żądali i ziemię posiedli" z czasem jednak „rolnik w zapomnieniu pozostał i swawola się wzmogła".

Obecnie jednak, Rząd Narodowy, idąc w ślad Kościuszki, postanowił „żeby chłopek każdy za wolnego obywatela był miany, żeby własności swojej spokojnie na wieki zażywał".

---

[1]) Wszystkie cytaty wzięte z wyżej wspomnianych manifestów: 1. I. 1864 r. i 25. III. 1864 r.

Ale to pociąga za sobą i obowiązki: przedewszystkiem obrony kraju — jako wspólnego dobra. Trzeba też wzajemnej zgody i jedności.

„Każdy wie, iż kiedy dziatwa w niezgodzie, najłatwiej ojcowiznę zagrabić. Tak też moskal sobie z nami poczynał, ciągle braci na braci, chłopków na szlachtę podszczuwał. A iż, aby człowieka zabić, w głowę się go uderza, tak też moskal najzacieklej rzucił się na ludzi rozumniejszych i bogatszych, aby tych wygubiwszy, resztę jako stado bez pasterzy tem pewniej pod moc swoją zagarnął".

Stwierdza Dyktator dobrą wolę ze strony szlachty:

„Wszyscy dziedzice głosu naszego (t. j. Dekretu o uwłaszczeniu) usłuchali z dobrej woli" (Odezwa z. 1. I. 1864).

„Bezwstydnie też Car moskiewski głosi Wam, jakoby panowie szczęściu Waszemu przeszkadzali, kiedy on panom nigdy o waszym losie stanowić nie dopuścił, aż dopiero, kiedyśmy z bronią przeciwko jego zdradom i uciskowi powstali, wtedyśmy odrazu całemu ludowi sprawiedliwość uczynili. To sobie zapamiętajcie na wieki wieków, że tylko w ten czas moskal chce niby myśleć o Was, kiedy Polacy biorą się do broni". (Odezwa z 25. III 1864.)

Przeciwstawia się więc Traugutt demagogji rewolucyjnej i domorosłych czerwieńców i rosyjskich nihilistów. Miast haseł społecznej nienawiści, głosi społeczną miłość. I to jest jego narodowy testament. Ostatnie słowa odezwy do ludu z 25 marca, która jest bodaj i ostatnim manifestem Trauguttа, są:

„Kochajcie tę Świętą Ziemię, która Was wychowała i wykarmiła. Miłujcie waszych współrodaków, wszystkich, bez różnicy stanu, którzy na tej ziemi wyrośli. Nie znajcie innego wroga jak moskala, który jest gnębiciel i zdrajca, a Bóg Najwyższy pobłogosławi Wam; a gdy tego wroga moskiewskiego pozbędziemy się, co już wprędce nastąpi, wolność, pokój, szczęście zakwitnie na ziemi naszej!"

Tak przemawiał Traugutt do chłopa polskiego.

(Dokończenie nastąpi)

Ks. Józef Jarzębowski Marjanin.

Poglądy filozoficzne Krasickiego.

Nie należy do rzeczy łatwych pisać o poglądach filozoficznych Krasickiego, a to z dwóch względów przedewszystkiem. Po pierwsze nie mamy krytycznie wydanych wszystkich pism Krasickiego, a także i listów, które stanowią niezwykle ważny materjał przy omawianiu jego ideologji. Powtóre sama charakterystyka Krasickiego należy do rzeczy trudnych, co zauważył już Wojciechowski, tak pisząc: „Nie łatwa to charakterystyka — ksiądz biskup wymyka się, chciałoby się powiedzieć, badaczowi; łatwiej go ocenić jako artystę, trudniej jako człowieka. Nie łatwo też przedstawić jego rozwój duchowy". [1])

Pierwsza trudność jest decydująca, drugą bowiem pokonywują badacze zależnie od stopnia własnej wnikliwości i subtelności. Biorąc pod uwagę obie trudności, zdajemy sobie sprawę, że niniejszy obraz filozoficznych poglądów Krasickiego jest tylko zarysem, który może ulec zmianie, kiedy opublikowana zostanie cała spuścizna po Krasickim. Wielką szczególnie uwagę, jak powiedzieliśmy wyżej, przywiązujemy do korespondencji, w której spodziewamy się znaleźć to, co ukrywał Krasicki w pismach ze względu na swój kapłański stan. W niej bowiem, jako z natury rzeczy bardziej poufnej, może się znaleźć właśnie to, co ukrywał w pismach.

Ale i po tych jeszcze zastrzeżeniach nasuwa się pytanie czy można pisać o filozoficznych poglądach Krasickiego, skoro nie był on filozofem i nie wypracował żadnego systemu filozoficznego. Oczywiście, że w takiem znaczeniu nie można mówić o jego filozoficznych poglądach, ale trzeba to

[1]) Konstanty Wojciechowski: *Wiek oświecenia*, Lwów 1926, str. 345 nn.

podkreślić, że w jego światopoglądzie znajdujemy elementy, które są bliskie, a nawet pokrewne elementom zwartych systemów filozoficznych i dlatego, jeśli przez „filozoficzne poglądy" Krasickiego rozumieć będziemy nie zwarty system filozoficzny, ale raczej pewien światopogląd, nacechowany poglądami natury ogólnej, filozoficznej, wolno nam będzie mówić o filozoficznych poglądach Krasickiego. Zresztą trudno jest nawet domagać się od Krasickiego zwartego systemu filozoficznego, jeśli Krasickiemu o taki system nie chodziło, jeśli nad jego wypracowaniem nie trudził się.

I.

Do zbadania filozoficznych poglądów Krasickiego skłania nas nietylko chęć wykrycia i skreślenia roli tych elementów, które nazwaliśmy filozoficznemi, ale zachęca również ta okoliczność, że w pismach Księdza Biskupa napotyka się cały szereg wzmianek o filozofji dawnej i współczesnej. Oprócz wzmianek o filozofji zarówno w poezji jak i prozie czytamy szereg nazwisk wybitnych filozofów starożytnych i nowoczesnych, np. Talesa, Pitagorasa, Platona, Arystotelesa, Seneki, Epikteta, Plotyna, Marka Aurelego, Alberta Wielkiego, Ficina, Newtona, Paskala, Pope'a, Locke'a, Woltera, Helwecjusza, Rousseau'a, Diderota i d'Alemberta. Oprócz wzmianek o filozofji i filozofach spotykamy się u Krasickiego z niektóremi terminami z zakresu logiki formalnej.

Powyższe wzmianki nie są u naszego poety rzeczą dziwną, jeśli bierze się go łącznie z epoką, z której wyrósł. Z filozofją scholastyczną zapoznał się w szkole, bo był wychowankiem szkół jezuickich, gdzie uczono jej do wieku XVIII.[1]) Filozofję zaś współczesną znał jako człowiek o wybitnej kulturze i szerokim zasięgu zainteresowań. Trudno byłoby nawet przypuścić, ażeby Krasicki, żyjący w epoce oświecenia, nie zapoznał się z zagadnieniami filozoficznemi. Filozofja oświecenia bowiem, wskutek odwrócenia się od problemów metafizycznych, które zaprzątały umysły filozofów wieku

[1]) Zygmunt Kukulski: *Krasicki a Komisja Edukacyjna*, Bibljoteka Warszawska 1913, III. 279.

XVII, a wskutek skierowania się do badania rzeczy, mających ściślejszy i bardziej bezpośredni związek z życiem ludzkiem, i dzięki specjalnemu nastawieniu i pewnej popularności i przystępności, z jaką przedstawiała te zagadnienia, weszła w modę; należało nawet do dobrego tonu umieć w salonie rozprawiać o filozofji. Wskutek wielkiej popularności filozofji współcześnie żyjący d'Alembert nazywa wiek oświecenia „wiekiem filozofji". [1])

Do tak wielkiej popularności filozofji mogło dojść dlatego, że sami filozofowie starali się związać swoją naukę z życiem, że nie pojmowali filozofji jako nauki dla wybranych, lecz przeciwnie starali się ją uprzystępnić, zniżyć do poziomu umysłowego inteligenta, który zawodowo nie poświęcał się studjom filozoficznym. Jak bardzo troszczono się o to, aby filozofja mogła być jasno zrozumiana, niechaj przykładem będzie G. F. Meier, który tak pisał: „Ja chcę tak łatwo zrozumiałą uczynić logikę, aby damy salonów i kawalerowie nie odstraszali się od niej".

U samego Krasickiego znajdujemy, potwierdzenie tego zjawiska w Doświadczyńskim, gdzie przedstawia bardzo obrazowo ową wspomnianą popularność filozofji, tak pisząc; „Wiek nasz teraźniejszy jest to wiek oświecony; tak jak angielskie fraki, i filozofja w modę weszła. U najmniejszych dam zastaniesz Wmć. Pan na gotowalni tuż przy węzełkach i bielidle księgi pana Rousseau, filozoficzne dzieła Woltera i inne podobnego rodzaju pisma. Trzeba więc koniecznie postawić się w stanie prowadzenia dyskursu, gdy Wmć. Pana z tej strony zagadną. — Nie rozumiej Wmć. Pan, żeby dla tej przyczyny potrzeba było nieustannie czytać, aplikować się i wchodzić w głębokie spekulacje. Nie tak to trudno zostać filozofem, jako Wmć. Pan rozumiesz: chwal tylko, co drudzy ganią, myśl jak chcesz, byle osobliwie, kiedy nieniedy z religji zażartuj, decyduj śmiele a gadaj głośno; przyrzekam, iż ujdziesz wkrótce za wielkiego filozofa". [2]) Nie trzeba dodawać, że jakkolwiek w tej charakterystyce ruchu

[1]) d'Alembert: *Elements de Philosophie I; Melanges de Litterature, d'Histoire et de Philosophie,* Amsterdam 1758, IV. I.

[2]) Ignacy Krasicki: *Dzieła,* Paryż 1830, str. 381, Doświadczyński ks. II. R. VIII. Krasickiego cytuję według tego wydania paryskiego.

filozoficznego w dobie oświecenia, jaką daje Krasicki, jest wiele ironji i przesady, to jednak po odrzuceniu ich, dowodzi ona popularności filozofji w Polsce w tej epoce.

A jakież nowe myśli i idee niosła ta filozofja? Mówiliśmy już wyżej, że odwróciła się od problemów metafizycznych a skierowała się do badania zagadnień, mających ścisły i bezpośredni związek z życiem ludzkiem. Możnaby powiedzieć, że odwróciła się od zagadnień makrokosmu a weszła w głębie mikrokosmu — człowieka i rozpoczęła walkę o swobodę uczuć, myśli i czynów jego w imię praw wolności, które wynikają z rozumu. Rozum w życiu codziennem, a doświadczenie w naukach przyrodniczych stały się najwyższemi instancjami, które rozstrzygały o prawdzie i fałszu. W żadnej może epoce kultury ludzkiej nie przypisywano rozumowi tak wielkich prerogatyw jak w dobie oświecenia, i dlatego też nazywa się często oświecenie wiekiem racjonalizmu.[1]) Należy jednak pamiętać, że „rozum" wieku oświecenia to nie rozum w znaczeniu Descarta i Hegla, mający rozwiązać wszystkie zagadnienia na drodze dedukcyjnego myślenia, ale jest to raczej zdrowy rozsądek, który w swoich badaniach i poszukiwaniach ciągle ma na celu rzeczy użyteczne. Z tem silnem podkreśleniem użyteczności nauki i filozofji spotykamy się u założyciela nowożytnego empiryzmu Bakona, a później u encyklopedystów i filozofów szkoły szkockiej czyli filozofów common sense'u.[2])

Kolebką tego prądu była Anglja, ale do największego nasilenia doszedł on nie w swej ojczyźnie lecz we Francji, dokąd dostał się dzięki Wolterowi, a skąd wskutek tradycyj wielkiej literatury Ludwika XIV promieniował i wpływał na całą Europę. — Poszczególne narody Europy ulegając wpływowi francuskiego oświecenia, nie przyjmowały go bez zmian, lecz przyjmując, dostosowały do własnych potrzeb, do swego sposobu myślenia i w ten sposób powstawały nowe typy oświecenia n. p. oświecenie niemieckie i polskie. Największym modyfikacjom i zmianom uległy te idee przyj-

[1]) Termin racjonalizm posiada kilka znaczeń. Podaje je André Lalande: *Vocabulaire technique et critique de la Philosophie.* Paris 1932, t. II, str. 680 nn.

[2]) Karl Joel: *Wandlungen der Weltanschauung*, 1934, tom II, str. 133—135.

mowane przez filozofję niemiecką, wskutek czego nie popadła ona ani w sensualizm, ani w agnostycyzm, ale rozwinęła się w krytycyzm, który słusznie uchodzić może za najważniejsze wydarzenie w dziejach filozofji i umysłowości, nietylko przez rozwiązania, do jakich dochodził, ale także i dzięki swej płodności.

W rzędzie satelitów kultury francuskiej tej doby znalazła się i Polska. Zapożycza się ona, może i więcej niż inne narody, dlatego, że chciała naprawić te wszystkie braki, jakie wyniknęły ze zerwania w epoce saskiej związków kulturalnych Polski z Zachodem. Nasi przewodnicy oświecenia kładli nacisk przedewszystkiem na zagadnienia natury praktycznej, związanej z naprawą stosunków w zakresie zagadnień naukowych, wychowawczych i społeczno-politycznych a mniej uwzględniali zagadnienia natury ściśle teoretycznej. To stało się przyczyną, że najbujniej rozwinęły się wtedy u nas te nauki, które miały ścisły związek z życiem, podczas gdy zagadnienia natury ogólno-teoretycznej, filozoficznej w pierwszej połowie wieku oświecenia traktowane były po macoszemu i rozwinęły się dopiero w drugiej połowie tej epoki. Ten ściśle praktyczny charakter nosi nasze oświecenie w dobie panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego i z nim właśnie zetknął się i zrósł ks. biskup Krasicki.

II.

Krasickiego, wyrosłego z tej epoki, uważa się często jeszcze za najtypowszego przedstawiciela polskiego oświecenia i za polskiego Woltera. W tem określeniu jest tyle prawdy o ile Krasicki ironją i sarkazmem wobec zabobonów i przesądów przypomina Woltera, jednak w istocie Krasicki nie może uchodzić za polskiego Woltera. Ten bowiem był przewodnikiem wieku i Francji w usuwaniu dotychczasowych poglądów, w torowaniu dróg nowym ideom, Krasicki zaś mimo, iż przez swoje pisma bardzo przyczynił się do rozszerzania się oświaty, za takiego przewodnika polskiego oświecenia uchodzić nie może. — Różny jest także stosunek tych dwóch ludzi do idei i wieku. Wolter wierzył święcie w słuszność wszystkich idei oświecenia, Krasicki zaś miewał zastrzeżenia co do niektórych.

Krasicki podobnie jak ogół entuzjastów oświecenia widział postęp, jaki dokonywał się dzięki pracy oświecenia, o czem tak pisał:

Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi.
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom godziny.
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny.
A do zdatnego rzeczy stosując użycia.
Nowe wiekom późniejszym gotuje odkrycia, [1])

ale trzeba o tem pamiętać, że nie było to jednak takie bezwzględne uwielbienie wieku, z jakiem spotykamy się u d'Alemberta, który na cytowanem wyżej miejscu w entuzjastycznych słowach malował wielką pracę i wyniki oświecenia, bo Krasicki dostrzegał i złe strony oświecenia, które potępiał, nazywając z tego powodu oświecenie wiekiem „zepsutym i zupełnie skażonym". [2]) Potępiał Krasicki wiek oświecenia za jego nowatorstwo religijne, niedowiarstwo i dążenie do usunięcia religji. Już w „przestrodze młodemu" przestrzegał Jana przed „prawodawcami bezbożnych maksym", przed „mądrością nieprawą". Obszerniej to stanowisko określił w „Pobożności", gdzie pisał „Wszystkie się rzeczy dawne wiekowi naszemu poprawczemu nie podobały; pierwsze więc między niemi miejsce trzymając, pobożność, wraz z prowadzicielką swoją wiarą, wpadła w poprzednicze prześladowania jawnego niebezpieczeństwa, ohydzenie i wzgardę". [3]) Zuchwalstwo niedowiarstwa posunęło się tak daleko, że religję uważa się za „nieprzyzwoitość a nawet i „występek". [4]) Nie pochwalał Krasicki filozofji oświecenia za jej walkę z religją i wiarą i uważał to właśnie za plamę filozofji. [5]) Przypisywał bowiem religji, która — jego zdaniem — „gruntem jest wszystkiego", wielką rolę w życiu ludzkiem, czego dowiadujemy się z dłuższego wywodu Pana Podstolego, sądzącego, że wskutek ogołocenia życia ludzkiego z religji trzeba uważać wiek oświecenia, „wiek ów filozofski" za „najnieszczęśliwszą epokę rodzaju ludzkiego". [6]) Potępił więc Krasicki

[1]) Krasicki: *Dzieła*, str. 120; sat. Pochwała wieku.
[2]) Krasicki: *Dzieła*, str. 373.
[3]) Ibid 514; Pobożność.
[4]) Ibid 513, Pobożność.
[5]) Ibid 513, Pobożność.
[6]) Ibid 286; *Pan Podstoli*, część I. ks. I. roz. VIII.

oświecenie za jego niereligijność, co różni go od Woltera, którego tak często uważa się za wzór i duchowego ojca Ks. Biskupa.

Nie przyznawał Krasicki wiekowi oświecenia wielkich myśli i wielkich idei kierowniczych. Wielki ruch umysłowy przypisywał on raczej spłyceniu myśli, bo „co się wszerz zyskało, wgłąb się utraciło", [1]) niż wynikowi wielkich zdobyczy umysłowych. Spłycenie myśli wyrodziło się w „wielomówstwo", powodujące przerost pozorów nad istotnemi wartościami, o czem tak pisze: „Sławny wiek nasz w foljały użycza ich w niezmiernej obfitości; z pozoru w wiadomościach, odkryciach i naukach są wielkie skarby, ale ta niezmierność zdobi tylko bibljoteki. Jęczą szafy pod ciężarem a ten ciężar, gdy się ceni, oprócz pięknej oprawy druków i obrazków, ledwo kiedy ma swoją co do rozumu i wynalazków wartość. Przeszła woda wielomówności w pismo i tak go zaraziła, iż co niegdyś ów szacowny lakonizm we trzech słowach, wyrażał na to teraz kilku rozdziałów potrzeba". [2]) Nie jest więc, zdaniem Krasickiego, wiek oświecenia wielkim krokiem w dziejach zdobyczy kulturalnych, jak to sądzili nietylko czołowi jego przedstawiciele, ale i umysły drobne, niezbyt głębokie jak np. Karpiński, który z prawdziwym zachwytem pisał, że „wiek nasz doniesie to potomnym, z jak wielą przesądami walczyć potrzeba było jak wiele zacieśnionych dróg rozprzestrzenić, niżeli wyszliśmy nakoniec, na owe jasne pola, gdzie już bez bojaźni błąkania się torem równym do nauk prawdziwie pożytecznych dążymy". [3])

Obok walki z przesądami toczyło oświecenie inną walkę jeszcze, a mianowicie z religją. Walka ta wynikała z przesadnego kultu rozumu i bezwzględnego zaufania w jego siły. Zaufanie w bezwzględną wartość rozumu, jako źródła poznania doprowadziło już niektórych myślicieli wieku XVII — jak Herberta - of Cherbury, Rochestera, Blounta, Locke'a a prawie ogół myślicieli wieku XVIII do zracjonalizowania religji

---

[1]) Ibid 120 sat. Pochwała wieku.

[2]) Krasicki: *Dzieła,* 486; Milczenie,

[3]) Fr. Karpiński; *Dzieła,* Kraków 1862, str. 750; O wymowie w prozie albo w wierszu.

i do podporządkowania jej rozumowi. Rozum ten, dumny wtedy jak może nigdy przedtem, to tylko uznawał za należące do religji, co występowało we wszystkich religjach, a co jako naturalne mogło uchodzić wprost za wrodzone. W ten sposób w kulturze oświecenia powstał potężny prąd religji naturalnej, znany pod nazwą deizmu.[1]) Deiści wierzyli w istnienie Boga, jako pierwszej przyczyny i stwórcy świata, ale odmówili Bogu opatrznościowych rządów nad światem; przyjmowali, że Bóg, stwarzając świat, dał mu niezmienne prawa, — których koncepcji szukać należy w niezmiennych prawach mechaniki newtonowskiej, — tak niezmiennych, że i sam Bóg jest wobec nich bezsilny. I temi to prawami kieruje się cały świat.

Krasicki nietylko, że nie poszedł śladami deistów i nie podporządkował religji rozumowi, ale w rzeczach wiary i religji domagał się nawet podporządkowaniu rozumu wierze. Odmawiał rozumowi zdolności zgłębienia zasadniczych prawd religijnych, czemu dał świadectwo w słowach:

Zły to rozum bracie,
Co się na cnoty, wiary zasadza utracie.
Okiełznaj dumne zdania pokory munsztukiem.
Wierz nie szperaj, bądź raczej cnotliwym nieukiem,
Niż mądrym a bezbożnym.[2])

lub później w *Panu Podstolim*: „Rozum twój pod jarzmo wiary poddawaj. Przewyższa określoną zdolność pojęcia waszego głębokość tajemnic boskich. — Wierz, bo co Stwórca stworzeniu swojemu objawić raczył, ze źródła istotnej prawdy pochodzi".[3]) Słowa te aż nazbyt jasno dowodzą, że Krasicki nie był deistą. Kto wierzy a nie docieka rozumem prawd religijnych, — kto sądzi, że rozum nie jest zdolny pojąć „głębokości tajemnic Boskich", ten nie może godzić się na deistyczną koncepcję Boga i na religję naturalną. Nie, Krasicki nie był deistą.

Ale nietylko religję wyłączył z pod supremacji rozumu. Odmówił również rozumowi możliwości do zbadania wszyst-

[1]) Ernest Cassirer: *Die Philosophie der Äufklärung*, Tübingen 1932, str. 178 — 265, Baron Cay V. Brockdorff: *Die englische Äufklärungsphilosophie München*, 1924, str. 63 -- 73.

[2]) Krasicki. *Dzieła*, str. 114: satyra Przestroga młodemu.

[3]) Ibid. str. 318; *Pan Podstoli*, część II ks. I roz XIV.

kiego, a więc ograniczył jego możliwości poznawcze. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby negował wartość rozumu na rzecz innej władzy duszy, bo Krasicki doceniał jego wartość, widział jego użyteczność, o ile dzięki wychowaniu i wykształceniu ukształcono go należycie,[1]) ale w przecenianiu wartości rozumu dostrzegał błąd, który potępiał, czego dowodem są słowa:

Dobry rozum, ale źle rozumem przesadzać,
Czuje to świat, ja światu nie będę doradzać.[2])

Nie uznawał Krasicki rozumu za jedynego i za najwyższego sędziego w rozstrzyganiu wszystkich zagadnień życia, który to punkt widzenia cechował ogół przedstawicieli w wieku oświecenia. Ten bowiem krytycyzm wobec rozumu odbił się bardzo silnie na poglądzie Krasickiego na wartość filozofji, przez którą rozumiał nietylko filozofję, lecz wogóle wiedzę ludzką i naukę.

III.

Rozum, którego bezwzględne panowanie Krasicki nieco ogranicza, nie jest w stanie poznać wszystkiego, bo natura zakreśliła granice jego badaniu do rzeczy praktycznych i użytecznych. Ten nakaz natury wynika z celowości w świecie, ponieważ, jak powiada Krasicki, natura nic nie czyniąca nadaremnie, gdy nadała umysłom chęć docieczenia, chciała, żeby nią roztropność tak kierowała, aby cel ciekawości naszej zmierzał jedynie do tych rzeczy, które docieczone być mogą, a docieczeniem pożytek przynieść. Inaksze zapędy są próbą hardości i niedoskonałości naszej"[3]) i „cokolwiek wam najwyższa Istność pojąć dopuszcza, wszystko to wam nowy porządek przynieść może".[4]) Widzimy więc, że Krasicki filozofji i wiedzy ludzkiej zakreślił cele utylitarne, wskutek czego spowodował ograniczenie zakresu poznania do rzeczy dla człowieka pożytecznych. To stanowisko poety nie jest czemś wyjątkowem w tym wieku, lecz jest właśnie bardzo typowe i charakterystyczne.

[1]) Ibid str. 544; O stanie rycerskim.
[2]) Ibid stt. 125; Sat. Podróż.
[3]) Krasicki *Dzieła*, str. 393; Doświadczyński ks. 2 roz. VI.
[4]) Ibid 393; Doświadczyński, ks. II i VI.

Skoro Krasicki zakreślił naszej wiedzy cel i charakter utylitarny, to jasną jest rzeczą, że w konsekwencji potępił taką filozofję i naukę która temu celowi nie służyła, a więc potępił przedewszystkiem metafizykę tradycyjną, mającą istotę rzeczy za cel swego poznania, filozofję teoretyczną i scholastyczną a także wszelką naukę oderwaną od życia. W pismach Krasickiego nie znajdujemy świadectwa jak pojmował metafizykę,[1]) ale metafizyki mającej za cel poznanie istoty bytu, nie zalecał, skoro pisał: „w metafizyce zapuszczacie się ku rzeczom zmysłom nie podległym; musi być niezmiernie ciężka ta nauka, kiedy wygórowana nad naturalne pojęcie".[2]) Ale nie tylko jej, lecz również nie zalecał wszelkiej takiej filozofji, która zapomniała o swem przeznaczeniu i cel swego istnienia upatrywała w prawdach teoretycznych, oderwanych od życia. Nie ceniąc takiej filozofji, ośmieszał filozofów tkwiących myślą w sferach abstrakcji, z której to ośmieszeniem spotykamy się w bajkach: np. w bajce „Filozof";[3]) potępił i ośmieszył naukę oderwaną od życia, w innej zaś „Filozof i chłop", zalecał filozofji zerwanie z mądrością książkową, a oparcie się na zdrowym rozsądku i służenie życiu.[4]) Nie widział również, by życiu służyła filozofja scholastyczna i dlatego ośmieszał bezduszne szermowanie terminami filozoficznemi, ową, jak powiada „próżną mozołę". Trzeba o tem pamiętać, że Krasicki rzucał gromy potępienia nie na całą filozofję scholastyczną, ale na tę, z którą zapoznał się w szkole, a była to nie ta wielka scholastyka z XII i XIII wieku, lecz jej zniekształcenie, ograniczające się do szermowania terminami filozoficznemi i do łamigłówek logicznych. Potępiając tak pojętą filozofję scholastyczną, potępiał również i tę część duchowieństwa, która nie wnosiła do filozofji nowych myśli, lecz wskutek

---

[1]) Być może, że Krasicki pojmował metafizykę, jako naukę, „o Bogu, o duszy ludzkiej. o przeznaczeniu człowieka, o prawach przyrodzonej moralności i t. p.", który to pogląd spotykamy u myślicieli teologicznych, np. u naszego ks. Anioła Dowgirda: *Wykład przyrodzonych myślenia prawideł czyli logika*, Połock 1828. Przedmowa, str. XXIII.

[2]) Krasicki: *Dzieła*, str. 393; Doświadczyński ks. II. roz. VI.

[3]) Krasicki: *Dzieła*, str. 11; Bajki nowe.

[4]) G. Ehrenberg: *Wykład Bajek Krasickiego*, Kraków 1871. str. 217.

nieuctwa hołdowała tylko tym przeżytkom wielkiej niegdyś nauki. [1])

Wśród nauk potępionych przez Krasickiego znalazły się i nauki przyrodnicze. To stanowisko zaciekawia nas. Wszak mają one za cel ułatwienia życia ludzkiego, więc dlaczego Krasicki potępił je?, dlaczego ośmieszał szczególnie medycynę i jej adeptów? Potępienie nauk przyrodniczych nie było u niego stanowiskiem niezmiennem, bo również i pochlebnie wyrażał się o nich, pisząc: „Szczęście to jest dla narodu, kiedy nauki kwitną, a uczeni są w poważaniu" [2]) albo „nauki i kunszta uszczęśliwieniem są kraju". [3]) Gdzie leżała więc przyczyna owych nieprzychylnych zdań o naukach przyrodniczych, trudno z całą pewnością powiedzieć. Może słuszne jest to, co pisał Chmielowski, że „teoretyczna strona badań nie nęciła ku sobie biskupa; cały obszar dociekań naukowych, jaki za jego czasów tak wielkie robił postępy, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodniczych, które bez eksperymentów w żaden sposób obejść się nie mogły, przedstawiał mu się jako ogromne pole, mgłą pokryte i niedające użytecznych owoców. Stąd też wytłumaczyć sobie można jego wstręt do agronomji teoretycznej, wypowiadany niejednokrotnie w „Doświadczyńskim". [4]) Gdyby więc Krasicki istotnie nie interesował się naukami przyrodniczemi, byłoby to stanowisko dość wyjątkowo w wieku nauk przyrodniczych. Uwzględniając jednak wpływy literatury dawniejszej i współczesnej na Krasickiego, należy duży procent owych nieprzychylnych zdań o naukach przyrodniczych złożyć na karb tych właśnie zależności, a mianowicie od Erazma z Roterdamu, [5]) La Fontaine'a, Gellerta i innych. [6]) Gdy się nawet taką zależność przyjmie, trzeba przypuścić, że w umysłowości Krasickiego istniało podłoże podatne na takie wpływy.

---

[1]) Krasicki: *Dzieła*, str. 41; Monachomachja, Pieśń IV; Por. Karpiński: *Dzieła*, 1862, str. 1128; Pamiętniki.

[2]) Ibid. str. 115: Do ***

[3]) Ibid. str. 341: *Pan Podstoli*, część II. ks. I. r. VII.

[4]) Piotr Chmielowski: *Studja i szkice*, serja I, 1889, str. 279.

[5]) Dr. Tadeusz Mandybur: *Ignacy Krasicki w stosunku do Lucjana i Erazma z Rotterdamu*, Ateneum, 1891, III. 433.

[6]) K. M. Górski: *Pisma literackie*, Kraków 1913, str. 263.

Krasicki nie ceniąc należycie nauk przyrodniczych, doceniał wartość historji, pojmowanej wówczas jako nauczycielka życia. W nauce historji upatrywał jeden z bardzo ważnych czynników umoralnienia ludzkości. [1])

Po tych uwagach jasne jest, że przedmiotem dociekań ludzkich i wiedzy ludzkiej winny być te dziedziny, których poznanie, ma ułatwić życie ludzkie i przynieść mu korzyści. To przeznaczenie wiedzy do badania zjawisk, które, o ile są poznane, mogą być korzystne dla człowieka, wynikało z praktycznego nastawienia Krasickiego wobec świata. Ograniczenie, wynikające z celu poznania w niczem jednak nie przesądzało możliwości poznawczych samego rozumu. Ale i nad niemi zastanowił się Krasicki

Poznanie nasze, ograniczając się do rzeczy użytecznych, praktycznych, ogranicza się także do „rzeczy zmysłom podległych". Jeśli ograniczymy się w poznaniu do świata poznawalnego zmysłami, to wówczas stajemy się sensualistami, [2]) a jako tacy musimy zgodzić się i na to, że poznanie ogranicza się tylko do świata zmysłowego i poza jego obręb w dziedzinę istoty rzeczy wyjść nie może. I tak też sądził Krasicki; człowiek nie może wyjść w swej wiedzy poza świat dostrzegalny zmysłami, poza świat własności, w sferę istoty rzeczy, czystego bytu. Dlatego też w „Doświadczyńskim" tak krytykuje zbyt pochopne uroszczenia rozumu: „Umysł wasz zbyt dumny chce odchylać zasłonę wyrokiem przedwiecznym zapuszczoną. Chcecie wmawiać w mniej wiadomych, żeście ją odsłonili, i zamiast istoty rzeczy odkrytych opowiadacie wasze sny i przywidzenia. Latacie po niebach, niekontenci z miłego widoku gwiazd i planet, chcecie je mierzyć; ciekawość wasza zuchwała zapędza się za metę wyznaczoną, opuszczając częstokroć to, co ma przed sobą,

---

[1]) Krasicki dzieła str. 503; Bibljoteki.

[2]) Krasicki nie wyraził się nigdzie expressis verbis, czy w zagadnieniu źródła i przebiegu poznania jest zwolennikiem sensualizmu czy empiryzmu. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że następcy Locke'a rozwijając jego empiryzm, doszli do sensualizmu, który dzięki Condillac'owi zyskał w drugiej połowie w. XVIII wielką popularność w Europie (i w Polsce szczególnie dzięki Komisji Ed. Nar.), należy się spodziewać, że Krasicki był raczej zwolenikiem sensualizmu niż empiryzmu.

i coby za pracowitem staraniem mogła odkryć; jak zaś wszystkie rozrządzenia natury są przedziwne, tak to wiedzieć macie, iż cokolwiek wam najwyższa Istność pojąć dopuszcza, wszystko to wam nowy pożytek przynieść może". [1]) Krasicki zrezygnował więc z możliwości poznania istoty, skoro bardzo dosadnie pisał w wyżej przytoczonym wyjątku „zamiast istoty rzeczy odkrytych opowiadacie wasze sny i przywidzenia". Taka rezygnacja była konsekwencją zajęcia stanowiska sensualistycznego. Poznanie ludzkie ograniczyło się więc wobec tego do świata stosunków, relacyj. Poza te granice filozofja i wiedza ludzka dalej sięgnąć nie mogą.

Ograniczenie zakresu poznania do świata doświadczenia, do świata zmysłowego zbliża Krasickiego do tej części myślicieli, którzy podkreślali pozytywistyczny charakter wiedzy ludzkiej. Jako typowych przedstawicieli takiego poglądu możnaby wymienić Locke'a i d'Alemberta.

Oprócz dwóch wymienionych przyczyn ograniczoności wiedzy ludzkiej jest jeszcze i trzecia, wskutek której poznanie nasze jest poznaniem subjektywnem i względnem. Subjektywność i względność naszego poznania wynika z faktu podlegania umysłu błędom i uprzedzeniom, płynącym z tradycji i zależności władz poznawczych od fizjologicznego życia człowieka. Dostrzegając te wady, nie pokłada Krasicki tak bezwzględnego zaufania w rozum, jak niektórzy współcześni i dlatego takich entuzjastów napomina: „zbyt dufacie rozumowi własnemu, ale ten rozum wielorakiem przeświadczeniem skażony jest". [2]) Ostatnie zdanie Krasickiego przypomina zapatrywanie Bakona, znane pod nazwą „Idolów", na źródła i istotę błędów, jakim ulega rozum i nauka. Nie należy jednak sądzić, jakoby Krasicki znał Bakona. Pogląd Bakona tkwił w atmosferze epoki jako jedna z jej cech i stamtąd przejął ją Krasicki.

Z subjektywności poznania i wiedzy płynęła w dalszej konsekwencji ich względność. Nad konsekwencją tą Krasicki nie rozmyślał teoretycznie i dlatego nie dostrzegał jej nawet, ale skoro poznanie uzależnił od błędów jednostkowych,

---

[1]) Krasicki: *Dzieła*, str. 393; Doświadczyński ks. II r. VI.
[2]). Ibid str. 393: Doświadczyński ks. II r. 6.

to odebrał mu cechę absolutnej pewności, bezwzględności a nadał mu charakter względny.

Tak więc rozum ludzki, któremu Oświecenie przypisywało tak wielkie prerogatywy, zawodził często, zdaniem Krasickiego, nie mógł poznać wszystkiego, bo natura zakreśliła mu jako cel poznawczy poznawanie tylko tych rzeczy, które poznane, mogą przynieść pożytek życiu ludzkiemu, powtóre bo istota rzeczy jest niepoznawalna, i dlatego trud w tym kierunku jest bezowocny i nierealny, i wreszcie sam rozum ulega błędom, których źródło tkwi w fizjologicznem życiu człowieka i błędach tradycji. Nie ma więc u Krasickiego tego bezwzględnego zaufania w siły rozumu, jakiem cechowało się Oświecenie i dlatego nie podporządkował wiary rozumowi, lecz w przeciwieństwie do deistów uniezależnił ją od rozumu.

Zasadniczym rysem poglądów Krasickiego w zakresie poznania, jego wartości i celu jest przeświadczenie, że ma ono służyć życiu. Z zajęcia takiego stanowiska wynikało potępienie filozofji i nauki oderwanej od życia, filozofji scholastycznej, a aprobata nauk pożytecznych, jak historji. Wśród nauk potępionych znalazły się i nauki przyrodnicze, mimo iż były one chlubą Oświecenia. Zdaje się, że to ustosunkowanie się do nauk przyrodniczych było wynikiem ulegania wpływom literackim, a nie dowodem rzeczywistego, przemyślanego nastawienia się do nich, bo Krasicki nie należał do tych ludzi, którzy do poglądów swych dochodzą pracą myśli, lecz raczej do tych, którzy łatwo ulegają wpływom zewnętrznym. Utylitarny charakter poznania i wiedzy ludzkiej łączy Krasickiego z Oświeceniem, uniezależnienie zaś wiary i religji od rozumu różni go od Oświecenia a zbliża natomiast do stanowiska myślicieli wieku XVII jak Kartezjusz.

Dużo miejsca poświęcił więc Krasicki zagadnieniu filozofji poznania, które można u niego utożsamić z zagadnieniem wiedzy wogóle, ale mimo to wywody jego nie stanowią zwartego systemu. Trudno nawet byłoby oczekiwać takiego systemu, skoro mu o niego nie chodziło i nie starał się o jego wypracowanie.

IV.

Omówiliśmy zagadnienie wartości rozumu, celu, wartości i ważności filozofji i wiedzy ludzkiej. Ale zagadnienia te nie wyczerpują jeszcze całości poglądów filozoficznych Krasickiego. Nie było one nawet głównemi problemami jego myśli. Przeciwnie znając jego praktyczne nastawienie, uwzględniając moralistyczny charakter epoki, należy się spodziewać, że oś światopoglądu Krasickiego stanowić będzie filozofja moralna, czyli etyka. I tak jest istotnie. Filozofję moralną stawiał na pierwszem miejscu wśród nauk filozoficznych, co wyraźnie zaznacza, pisząc: „filozofja, która... z nazwiska znaczy miłość mądrości, powinnaby brać za cel najpierwszy wiadomość obowiązków człowieka i ich wypełnienie". [1]) Ceniąc filozofję moralną uznawał i filozofję wogóle, [2]) o ile ta nie podkopywała religji. [3]) Jest nawet bardzo prawdopodobne, że właśnie pod wpływem moralizującego charakteru końcowego okresu twórczości zaczął Krasicki cenić filozofję wogóle, dając temu wyraz w swoich utworach. [4])

Sądził Krasicki, że istnieje jedna tylko filozofja moralna dla wszystkich ludzi na świecie. [5]) Ta jednorodność filozofji moralnej wynikała z ogólnego światopoglądu wieku pojmującego etykę jako przejaw wrodzonych wszystkim ludziom zasad moralnych. Źródła tego światopoglądu, powszechnego w wieku XVIII, tkwią już w wieku XVII w nauce Herberta of Cherbury, Rochestera, Blounta i innych myślicieli którzy wyznają moralność, opartą na jednorodności rozumu

---

[1]) Krasicki *Dzieła*, str. 393; Doświadczyński, ks. II r. VI. Por. Dowgird: „Uważmy na koniec, że w stosunku do moralności, która powinna być najprzedniejszym i ostatecznym celem wszelkich badań ludzkich"... Wykład przyrodzonych myślenia prawideł, czyli logika, Połock 1828. Str. 35, przypis.

[2]) Górski: *Pisma literackie*, Kraków 1913, st. 244.,

[3]) Krasicki: *Dzieła*, str. 513; Pobożność.

[4]) Ibid. str. 619: O edukacji, i st. 890 Życia zacnych mężów na wzór Plutarcha.

[5]) Ibid. str. 393: Gdym mu filozofją według przemożenia mojego opisywał a przyszło do tej części, która o obyczajach traktuje, zawołał z radością: Otóż to nasza nauka, w jej szkole jesteś, jej maksymy święte, jej reguły proste; ją nie w pamięć ale w serce twoje wrazić pragnę". Doświad. ks. II. r. 6.

ludzkiego. Jakkolwiek Krasicki bardzo cenił filozofję moralną to jednak nie stworzył własnego systemu tej filozofji, [1]) bo nie rozmyślał nad podstawami etyki, nad źródłem i istotą praw moralnych i wartością czynów ludzkich [2]). Był przekonany, że o moralności człowieka stanowi nie logicznie wypracowany system praw moralnych, lecz życie samo, które daleko może odbiegać od przyjętego lub wypracowanego systemu. [3]) Krasicki nie tylko nie stworzył własnego systemu etycznego, ale również nie przyjął żadnego obcego. Był bowiem przekonany, że żadna ze szkół filozoficznych nie przyniesie przez swoje doktryny szczęścia ludzkości:

> Nadto jest maksym moralnych, a przecie,
> Niewiele dzielność mędrów dokazała.
> Kiedyśmy w szczęściu, wszystko idzie snadnie,
> W nędzy i statek i rozum odpadnie. [4])

Wszelkie więc teorje i doktryny są bezsilne wobec cierpienia i nieszczęścia, i dlatego żadną z nich nie zajmował się bliżej, z wyjątkiem bardzo popularnej w wieku XVIII szkoły Stoików, której naukę zwalczał, zarzucając jej niezrozumienie natury ludzkiej i nie liczenie się z nią. Dawał temu wyraz, pisząc: „Wystawiali dawniej mędrcowie szkoły Stoików posąg raczej aniżeli istotę człowieka, gdy twierdzili, iż pracą i przemysłen natężonym przyjść może do nieczułości. Niebacznie chcąc się od smutnego uczucia uchronić, oddalili się tem samem od wdzięcznych i miłych, które przy swojej niewinności cnota ludzkości oddawać zwykła“;[5]) lub gwałtowniej jeszcze: „dawna sekta Stoików, która chlubiła się tem, iż człeka nad czułość, a zatem nad właściwe jego przyrodzenie wznosi, szczerem była bałamuctwem“.[6])

Nie znajdujemy u Kracickiego żadnego systemu etycznego, czyto przez niego stworzonego, czy też przyjętego od

---

[1]) P. Chmielowski *Studja i szkice*, serja I, 1889, str. 277.

[2]) K. M. Górski: *Pisma literackie* str. 244.

[3]) Krasicki: *Dzieła*. str. 393; „może u was (Europejczyków) ta nauka na słowach zawisła, my mniej dbamy o definicję, bylebyśmy wypełniali obowiązki“ Doświadczyński ks. 2 roz. VI. Por. Monitor z r. 1772, str. 599.

[4]) Ibid str. 29: Myszeis, pieśń VI.

[5]) Krasicki: *Dzieła*, str. 495; Pociecha.

[6]) Krasicki: *Dzieła*, str. 541. Cierpliwość,

kogoś. Zjawisko to jest faktem zupełnie zrozumiałym, jeśli uwzględni się faktyczne nastawienie Krasickiego wobec życia. Krasickiemu nie chodziło o system, ale o praktyczne wskazówki postępowania, a tych pozostawił w pismach dość dużo. Podstawą i sankcją tych wskazówek była teologiczna koncepcja świata,[1]) streszczająca się w przekonaniu, że „Bóg jest źródłem wszelkiej istności. Bóg jest początkiem wszystkiego dobra. Bóg być powinien jedynym celem i końcem wszystkich spraw naszych".[2]) i że jest wszędzie obecny[3]) i ciągle opiekuje się światem.[4]) Koncepcja ta zbliża Krasickiego do „chrześcijańskiego stanowiska poetów XVII wieku"[5]) a różni od deistycznego poglądu ogółu myślicieli wieku XVIII. Krasicki tej teologicznej podbudowy nie wykorzystał jednak do stworzenia systemu etycznego, ale mimo to jej wpływ daje się zauważyć na praktycznych wskazaniach, które są przeniknięte pierwiastkami praktycznej etyki chrześcijańskiej. Zauważył to już Dmochowski, pisząc: „mógłbym tu wiele mówić o cnotach jego stanu, o religji połączonej z filozofją"[6])

Na czem polega ten zbiór praktycznych wskazówek etycznych, jak możnaby określić jego istotną treść? Istotne dążenie etycznych wskazań Krasickiego możnaby scharakte-

---

[1]) K. M. Górski: *Pisma literackie*, str. 244,

[2]) Ibid str. 396; Doświadczyński ks. II. roz. XII. Szerzej rozbudował tę koncepcję w wojnie chocimskiej pieśń X.,

[3]) *Monitor* z 1772 str. 567 nn.

[4]) Wiary Krasickiego w opatrznościowe rządy Boga nad światem dowodzi takie jego wyznanie:

Do Ciebie Panie! Wznosim nasze prośby,
Czy cieszysz dary, czy trwożysz groźby,
Zawsze jest wsparcie pod Twym świętym progiem,
Boś Ty jest Bogiem.
Stwórco: stworzenie wsparcia Twego czeka,
Z niczegoś stworzył marnego człowieka,
A dając duszę, choć zejście przyśpieje
Dałeś nadzieje.
(*Dzieła*, str. 133; Do Boga)

[5]) K. M. Górski: *Pisma literackie*, str. 199. Por. sąd Dowgirda: „nikt bardziej nademnie nie zgadza się co do tego zdania, że człowiek z nauką filozofji powinien łączyć naukę religji objawionej" Dzien. Wil. 1817, 318.

[6]) Krasicki: *Dzieła*, str. VIII, Mowa Dmochowskiego.

ryzować jako optymistyczny eudajmonizm. Treść tego określenia zrozumiemy wtedy, kiedy zanalizujemy poszczególne elementy światopoglądu etycznego Krasickiego, — światopoglądu, zdobytego nie pracą myśli, lecz doświadczeniem życia. Na podstawie tego właśnie doświadczenia przyjmował że w świecie istnieje zło i dobro, [1]) i jest nawet możliwe „że w wieku XVIII jest więcej zła niż dobra, mimo nawet tylu istniejących teoryj o cnocie. [2]) Przyjmując te dwa elementy: zło i dobro, nie zastanawiał się nad ich pochodzeniem, rolą i celem istnienia, lecz dawał praktyczną radę zwalczania zła:

Zło się z dobrem połącza, dobre ze złem brata.
Moja rada nie szperać, jak się rzeczy dzieją.
Dać złemu z dobrem walkę, a wzmóc się nadzieją [3]).

Istniejące zło ma zwalczyć człowiek, który jest dobry z natury: „źli ludzie, lecz nie rodzaj; jest w sercu grunt cnoty“,[4]) a więc zło nie tkwi w jego naturze, lecz znajduje się poza nią. Dalej: jest ten człowiek wszędzie jeden i ten sam, niezależnie od warunków historycznych i geograficznych, czyli jak mówi Krasicki:

„W każdem miejscu i czasie człowiek jest człowiekiem,
Te same w nas skłonności, co były przed wiekiem.
Nie krzywdzą synów większym darem nieba
Taż sama, co i w przodkach, w następcach potrzeba. [5])

Mimo że jest człowiek z natury dobry i że natura jego jest zawsze jedna i ta sama, to jednak często stwierdzamy, że człowiek indywidualny nie jest wolny od zła. Przyrodzona dobroć natury ludzkiej sprzeciwia się temu, aby w człowieku istniało zło, ale z drugiej strony niedoskonałość natury ludzkiej, tradycja, utarte drogi postępowania są powodem, że człowiek ulega złu. [6]) Nie zabija ono jednak moralnej na-

---

[1]) Krasicki: *Dzieła*, Dopełnienia, VIII. str. 229; Konsolacja. I bid. 160.
[2]) Krasicki: *Dzieła*, str. 155: Do xxx
[3]) — „ — — „ — str. 160; Do xxx
[4]) — „ — — „ — str. 100: Do Pawła.
[5]) — „ — — „ — str. 102; Do Antoniego Krasickiego.
[6]) Krasicki: *Dzieła*, str. 24.

Z ustawicznego mamy doświadczenia
Przykład jak wiele pomaga lub szkodzi
Na wzór jednego drugi się przemienia

tury człowieka. Pragnie ona szczęścia i to jak najwyższego.[1]) To szczęście, którego pragnie człowiek nie polega na uodpornieniu się natury ludzkiej wobec świata, na jej niezależności, jak sądzili Stoicy, lecz jest czemś pozytywnem, realnie istniejącem i polega na przyjemności,[2]) która, płynie z pełnienia cnoty. Cnotę uważa Krasicki za rzecz dla człowieka najważniejszą, bo jak powiada, „cnota jest treścią człowieka, a reszta przypadkiem",[3]) bo „grunt wszystkiego pobożność z cnotą",[4]) bo ona wreszcie „jest prawdziwem bogactwem, nietylko udzielającemu szkody nie czyni, ale w ręku tych, którym udzieloną bywa powiększa się i światłem jest; im bardziej oświeca, tem dłużej świeci".[5]) Wartość człowieka i życia ludzkiego zależy od cnoty. Cnotę i szczęście płynące z jej pełnienia można zdobyć i osiągnąć przez kierowanie się w życiu rozumem, o którym poeta wyraża się, że „światła zapala".[6]) Ale aby rozumem zdobyć cnotę i szczęście, trzeba umieć go używać, bo nawet niektórzy filozofowie, chociaż słynęli z wielkiego rozumu, niezawsze zyskiwali szczęście np.: „ów głupi, co w morzu utopił szkatułę", i „ów głupszy od niego, co się zamknął w beczce".[7]) Zarówno teorje filozofów jak i płynące z nich praktyki, jako ich konsekwencje, nie prowadzą do szczęścia. Szczęście może przynieść człowiekowi tylko taka teorja, która liczy się z naturą ludzką, która nie popada w skrajności lecz zadawala się zachowaniem złotej miary we wszystkiem. Złota miara, złoty środek czyli, jak powiada Krasicki „mierność szczęściem

---

Co czynią starcy naśladują młodzi.
I choć nie ujdzie pewnego skażenia
Przecież ubitym torem każdy chodzi,
Pewien, że swego szczęścia nie omieszka.
Przestępstw ubite drogi, cnoty ścieżka.
(Myszeis, pieśń III).

[1]) Ibid str. 102: „Potrzeba być szczęśliwym ile możność zniesie" Do Antoniego Krasickiego.

[2]) Ibid str. 150; Do S.

[3]) Ibid str. 128: O pochwałach,

[4]) Ibid str. 109; Złość ukryta i jawna.

[5]) *Monitor*, 1772, LXXXIII, str. 647,

[6]) Krasicki: *Dzieła*, str. 100; Do Pawła.

[7]) Ibid str. 100. Do Pawła.

jest człowieka" [1]). I nie jest to jedyna wypowiedź Krasickiego na ten temat. Na innem miejscu pisał:

Różne są zdania, i każdy ma wsparcie
Jak być szczęśliwym (jeżeli być można)
Jedni tajemnie, a drudzy otwarcie
Jawili szczęście: r o z t r o p n o ś ć o s t r o ż n a.
Ta objawiła w wyrazie prawdziwym,
Iż każdy człowiek może być szczęśliwy. [2])

Tak więc filozofja moralna, praktyczna filozofja życiowa zawiera się w postulacie zachowania złotego środka we wszystkiem. Postulatem tym przypomina nam Krasicki La Fontaine'a [3]) i Horacego — z obcych, a Naruszewicza z polskich pisarzy. [4])

Krasicki swego wskazania, zachowania złotej miary we wszystkiem nie traktuje rygorystycznie, ale ma wyrozumienie dla błędów ludzkich, bo przecież każdy człowiek ma wady i dlatego:

Ten, co w współludziach swoich uznaje współbraci,
Choćby go z ich przyczyny dotknęła i nędza,
Im więcej ich poznaje, tem bardziej oszczędza.
Więc i my tak działajmy, nie lepsi od innych,
Naprawiajmy, choć sami godni poprawienia,
Ale w dziele poprawy, w sposobie czynienia,
Taką miarę trzymajmy, jaką trzeba trzymać.
Darmo się mniej upadłym nad upadkiem zżymać;
Myślmy patrząc na zdrożność, czy wielką czy małą,
I nas to mogło spotkać, co innych spotkało [5]).

W innem miejscu tego samego utworu jeszcze jaśniej i dokładniej podkreślał tę swoją wyrozumiałość dla błędów ludzkich:

„Czy więc godni nagany z dzieła, czy z ochoty,
Nad słabością się godnych nagany użalmy,
Mniej dzielnych oszczędzajmy, więcej dzielnych chwalmy.

---

[1]) Ibid, 133; Mierność.

[2]) Krasicki: *Dzieła*, str. 137; Do xxx

[3]) W. Folkierski: *Krasicki a La Fontaine*, Bibl. Warszawska 1911 III. str. 319.

[4]) K. Wojciechowski: *Wiek oświecenia*, Lwów, 1926 str. 202.

[5]) Krasicki: *Dzieła*, str. 110; Do Pawła.

Dla błędów więc ludzkich miał Krasicki wiele wyrozumiałości, płynącej z pogodnego optymizmu, który — mimo przebłysków pesymizmu, szczególnie w pierwszej połowie jego twórczości, kazał mu wierzyć w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej i wartość cnoty. Poprzez pryzmat tego swoistego optymizmu poety dostrzegamy rdzeń jego praktycznej filozofji moralnej, cechującej się rezygnacją z maksymalizmu etycznego przy jednoczesnej wierze w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej i wartość wysiłku ludzkiego.

Krasicki swój system praktycznej filozofji życiowej uznawał za jedyną drogę, prowadzącą do szczęścia i dlatego chciał, ażeby i inni kierowali się jego wskazówkami, chciał, by ten system oddziaływał na ludzi. Toteż wszystkie prawie utwory Krasickiego uczą tej praktycznej filozofji życiowej, a więc „umiarkowania... rozsądku, przezorności, ale i czego innego także: przestrzegają przed pychą, przed chełpieniem się cudzemi piórkami, każą wystrzegać się pobożnisiostwa, zachęcają do życzliwości wobec ludzi, do uczciwości, szczerości, pracowitości, oszczędności, skromności". Słusznie jednak zauważono, że celem ich są raczej przepisy praktyczne niż moralne nauki.[1]) O te właśnie przepisy praktyczne, a nie o co innego chodziło Krasickiemu w jego filozofji życiowej.

Zakończenie.

Krasicki, żyjąc w wieku Oświecenia, nie przyjmował bez zastrzeżeń wszystkich haseł, które wypisało ono na swym sztandarze. Jak ogół, cenił i on wysoko rozum, ale nie podzielał dla niego kultu w tym stopniu, co czołowi przedstawiciele wieku. W przeciwieństwie do wieku odmówił rozumowi praw do badania prawd religijnych. Ganił wiek za jego antyreligijne tendencje i obwiniał go o upadek moralności. Zgadzał się natomiast z ogółem myślicieli, jeśli chodziło o zakres, ważność i cel filozofji i wiedzy ludzkiej. Bardzo silnie podkreślał jej życiowy i utylitarny charakter. Zapatrzony w utylitarne cele wiedzy ludzkiej odrzucał filo-

[1]) K. Wojciechowski: *Wiek oświecenia,* str. 284. nn.

zofję i naukę oderwaną od życia. Synonimem takiej filozofji bezużytecznej była dla niego filozofja scholastyczna i każda filozofja teoretyczna.

Za najważniejszą gałąź filozofji uważał filozofję moralną. Sam jednak nie wypracował takiej filozofji, ani nie przyjął gotowego systemu, mimo iż wiek oświecenia stworzył wiele systemów filozofji moralnej. Stworzył natomiast praktyczną filozofję moralną na podstawie własnego doświadczenia życiowego. U podstaw tej praktycznej filozofji leżała teologiczna koncepcja początku istnienia i biegu świata i wiara w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, pragnącej szczęścia. Szczęście, którego pragnie człowiek, szczęście polegające na pełnieniu cnoty znaleźć może człowiek, o ile kierować się będzie rozumem, który we wszystkiem winien zachować umiar. Przykładów i wzorów zachowania takiego umiaru znajdujemy wiele w pismach Krasickiego.

Mimo iż życie przekreślało często jego wiarę w dobroć natury ludzkiej, w możliwość zdobycia cnoty, prowadzącej człowieka do osiągnięcią szczęścia, mimo iż nieraz zło zapanowywało nad dobrem, Krasicki nie popadł w pesymizm, w zwątpienie w słuszność tych wskazań. Wynikało to z wrodzonej mu pobłażliwości i wyrozumiałości dla błędów, wad i śmieszności ludzkich.

Jeśliby chodziło o genezę filozoficznych poglądów Krasickiego, to pod tym względem cechuje ją wielka różnorodność. Niektóre z nich, jak np. teologiczną koncepcją o początku istnienia i biegu świata przyjął wraz z początkowem wychowaniem chrześcijańskiem, inne zaś jak hasło zachowania umiaru we wszystkiem, czy w dziedzinie filozofji i wiedzy, przekonanie o celu wartości i ich ważności, przejął z haseł panującego Oświecenia. Przyjmując je, nie pracował Krasicki nad ich pogodzeniem i zespoleniem w jednolity zgodny logicznie światopogląd. Ale mimo braku troski i pracy o zorganizowaną całość światopoglądu filozoficznego nie widzimy nazewnątrz tej różnorodności elementów, różnorodności ze względu na ich pochodzenie. Wynikało to z tego, że cechowała Krasickiego wielka praktyczność życiowa. Ona to właśnie będąc nerwem postępowania, decydowała o wyborze poszczególnych idei z różnych systemów, łagodziła skraj-

ności a wskutek tego umożliwiała istnienie obok siebie takich elementów, które pochodziły często z różnych a nawet ideologicznie diametralnie sprzecznych źródeł. Tak więc praktyczne nastawienie a nie myślenie ściśle filozoficzne kształtowało zasady jego filozofji, zarówno teoretycznej jak i moralnej.

Jan Wepsięć.

Literatura Braci Czeskich w Polsce w w. XVI.

Dzieje literatury Braci Czeskich stanowią niezaprzeczenie postulat nauki polskiej, zorjentowanej poniekąd już w tem, co dały literaturze luteranizm, kalwinizm, arjanizm, walka o unję Kościoła wschodniego z zachodnim, wreszcie kontrreformacyjna literatura katolicka. Stanowią one zatem lukę, którą usiłował niegdyś wypełnić nieoceniony Łukaszewicz, a po nim szereg badaczy, obejmujących zwłaszcza dzieje literatury na terenie czesko-morawskim, jak Gindely, Müller, Bidlo, częściowo Goll, Krofte, Hrejse, Odložylik i inni. Polska nauka ogranicza się raczej do przyczynków pióra Brücknera i Wojtkowskiego, poruszając też pewne momenty w opracowaniach poświęconych innym sprawom, jak Halecki w studjum o zgodzie sandomierskiej lub Górski o Grzegorzu Pawle.

Wiemy zatem, że Bracia zawdzięczają swe istnienie prawemu i z politykującą szlachtą czeską związanemu skrzydłu husytów. Przedstawiają rodzaj organizacji świeckiej, ujętej, mimo równości, w pewną hierarchję i trzymającej się długo autorytetem wybitnych jednostek. Rządząc się zasadą bezwzględnej karności, rozciągając cenzurę nad często bezimiennemi publikacjami członków, imponując zarzuconym potem celibatem, dążą oni do opanowania innych grup religijnych, jak utrakwiści w Czechach lub kalwini w Małopolsce. Stroniąc poniekąd od polityki, nie narażając się, szczególnie od czasu immigracji do państwa polskiego, zbytnio nikomu, nie przemijają bez śladu w literaturze średnio-czeskiej a także w polskiej w. XVI i XVII. Kontynuują zatem wpływy litera-

ratury, związanej, o ile idzie o ich epokę, z bujnym rozwojem pieśniarstwa, kaznodziejstwa, polemiki, którą cechuje swoisty narodowy mesjanizm.

Raczej dalecy od humanizmu, są oni bliżsi więcej toborytom niż utrakwistom. Dzięki zaś podobieństwu języka, który ceniono u nas wtedy niepospolicie, osiągają wpływowe stanowisko szczególnie w Wielkopolsce. Opierając się o panów i szlachtę, posiadają ze względu na swój skład społeczny także i kontakt z ludem. Gdy zaś dokona się ich unifikacja z kalwinizmem, ulegają niewątpliwej polonizacji, choć związków z czesko-morawską jednotą nie zrywają. Odpierają zaś energicznie ataki luteranizmu, wyobrażając język u wagi w epoce zawierania przez wyznanie innowiercze zgody sandomierskiej czyli ustalenia idei tolerancji w obrębie objętych jakby konfederacją, wyznań. Idą na rękę panom i szlachcie, oddziaływując niewątpliwie na umysły mniej pismami, a więcej etycznym rygorem i wewnętrzną zwartością.

II.

Ten przykład i ta zwartość stanowiły czynnik, który szedł w pomoc literaturze. Wyobrażał bowiem jakby nowy ideał życia chrześcijańskiego tam, gdzie zachowały się tajnie i husyckie tradycje, co szczepiły kult słowa ewangelicznego i zwracały się przeciw hierarchji, dogmatom, przewadze łaciny jako języka uniwersalnego. Czeszczyzna popierała w ten sposób polszczyznę, niosąc nowe ujęcie stosunku człowieka do Boga oraz nową naukę i nowy obyczaj. Pociągała zaś prostotą wykładu, której nie kaziły żadne subtelności a zalecały pewien, właściwy całej literaturze reformacyjnej, prymitywizm, czy chodziło o wyznanie wiary, czy o pieśniarstwo, czy o kazania lub traktaty moralne.

Wyjaśnia to tajemnicę wpływu Braci na umysły, wśród których taki wojewoda brzesko-kujawski Rafał Leszczyński, staje się obrońcą idei kościoła narodowego, szermierzem naprawy politycznej, przedstawicielem kół używających chętnie stylu biblijnego i opiekujących się ideologją wyznawaną w sejmach, sejmikach i synodach. Prosta wiara góruje też u szlachty wielkopolskiej nad rozluźniającym jedność dogma-

tyczną racjonalizmem Małopolski. Mnożą się zbory i szkoły, choć z innowierstwem dzieje się coraz gorzej, szczególnie pod działaniem antytrynitaryzmu. A właśnie Bracia przeciwstawiają rozłamowi swą zwartość, która stale dążyła do unji innowierców a osiągnęła tylko zgodę. Opierają się zaś o żywioł polski a nie miejski niemiecki, jak luteranie.

Na tem tle pojawiają się u nich indywidualności, których autorytet przypomina znane z dziejów wyznania na gruncie czesko-morawskim, jak Łukasz, Augusta, Blahoslaw. Mają one zasługi, szczególnie organizacyjne, i wiążą się ściśle też z religijnym ruchem w ojczyźnie. Taki Jerzy Izrael jest uczniem popieranego przez Lutra, Augusty i działa zapewne w poczuciu swej misji słowiańskiej, którą podobno potwierdziła Wittenberga. Dba o propagandę, wyznania szczególnie za pomocą pieśniarstwa, najpierw w ojczyźnie, potem na uchodźctwie, imponując dbałością o współwyznawców, co osadzają się w Poznaniu, Kórniku Szamotułach, Ostrorogu, Gołuchowie, Lesznie i indziej. Styka się z teologami królewieckimi, pozyskuje możne rody wielkopolskie, odwiedza gminy pruskie i polskie, nie zrywa łączności z macierzą czesko-morawską.

Polszczy się niewątpliwie, każąc po zborach i dworach, świadomy swej misji propagatora literatury, której drogę toruje przekład kancjonału, potem konfesji, wreszcie traktatów o charakterze moralizującym. Zyskuje wpływy w Małopolsce wraz z Janem Rokytą, postępując nader oględnie a zawsze w myśli obrony samodzielności swego wyznania, kiedy chodzi o porozumienie. Nie lubi niejasności, nie jest skłonny do kompromisów, pragnie narzucić ideologję i praktykę czeską niewątpliwym sprzymierzeńcom. Góruje niezaprzeczenie nad małopolskim chaosem w czasie zawierania unji koźmineckiej, chce przeprowadzić wszędzie organizację, ma wysokie pojęcie o roli duchownego i obowiązkach wiernego. Napotyka na opór w różnych kierunkach, nie wyjmując przestrzeganego przez duchownych czeskich celibatu i obowiązku pracy fizycznej. Nie godzi się z głową małopolskiego zboru, Łaskim, zwłaszcza na temat zasadniczego dogmatu o realnej obecności Chrystusa w sakramencie ołtarza.

Rozpoczęły się teraz spory na punkcie konfesji, które konsolidowały tylko zwartość Braci i pogłębiały ich czujność nad tem, co wychodziło z pod ich prasy. Zbór czeski upodabniał się do polskich przez udział żywiołu świeckiego i nie stronił bynajmniej od wpływania i na życie społeczne, skoro zalecał szlachcie odnoszenie się do ludu z ojcowskiem uczuciem i postępowanie w interesach w sposób chrześcijański. Zdobywał i legalizację swego bytu, skoro edykt parczowski, zwrócony przeciw obcym innowiercom, został usunięty dla nich wyjaśnieniem królewskiem, że stosuje się tylko do antytrynitarzy. Ostatni Jagiellon przeczytał konfesję czeską, dozwalając jej czeskim i polskim wyznawcom istnieć pod ochroną panów i szlachty najstarszej polskiej dzielnicy a także Kujaw, gdzie nastąpiła pierwsza unifikacja z miejscowym kalwinizmem.

Wzmocniło to stanowisko zboru i jego przywódcy, który tem silniej przeciwstawiał się luteranizmowi jako wyznawca starszej od augsburskiej, konfesji. I znów, jako teolog zboru, wysunął się znany już Rokyta, choć w pomoc zborowi idzie też walczący z katolickim poznańskim kaznodzieją Herbestem, Jakób Niemojewski. Zaostrzyły się bowiem stosunki między wyznaniami. Polemika wzmagała się, wciągając do walki nietylko ministrów zborowych ale i świeckich. Wskazywał na to przykład Reja a teraz Niemojewskiego, który pełen, jak tamten, namaszczenia, sypał tekstami i dokazywał cudów dialektyki, celując wogóle znaną i na sejmach wymową. Prozą i wierszem gromił przeciwnika, zasłaniając się autorytetami Husa, Lutra i Kalwina i broniąc religijnej wolności, co czerpie ze słowa, liczy się z prawem, opiera się o wyższy niż w akademji krakowskiej poziom szkół zboru. Nie brakło i apelacji do króla, widocznie uważanego za ostoję prawa.

Triumf polityki Izraela był zatem widoczny, tem więcej, że aprobowała ją nawet Wittenberga. Umacniał on tem energiczniej wewnętrzną zwartość wyznania, choć pod wpływem panów i szlachty, zwłaszcza małopolskiej, nie tracił z oczu także i potrzeby zbliżenia wszystkich innowierców w ramach konfesji. Wskazują na to synody krakowski, poznański i wileński, gdzie poczęła się dyskusja nad konfesjami, nim

przyszło do synodu generalnego w Sandomierzu r. 1570. Zwyciężył na nim kalwiński teologiczny punkt widzenia, tym razem już bez wyraźnego udziału Izraela. Ustępował on na dalszy plan wobec młodszej generacji, w atmosferze pewnej zgody międzywyznaniowej także w granicach województw wielkopolskich, gdzie ścierał się dotąd z Braćmi luteranizm.

Podpisano t. zw. konsygnacje i kontestacje zawartej w Sandomierzu zgody, choć królowi przedłożono nie wspólną konfesję ale raczej małopolską kalwińską. Okazało się, że zgoda była tylko polityczna, dla skutecznej obrony przed katolicyzmem. Ten ostatni dźwigał się zaś i na gruncie wielkopolskim nietylko dzięki naukom Herbesta ale i Jakóba Wujka, który rzucił się w wir walki z innowiercami. Niezrównany w polemice i potężny erudyt nazwał on zgodę sandomierską konfuzją, zastrzegając się przeciw mieszaniu się króla w sprawy wiary, drwiąc z powag zachodnich reformatorów, wskazując, że i innowiercy opierają się na tradycji i soborach, gdy chodzi o zasadnicze dogmaty. Odwołując się do postanowień soboru trydenckiego, które przecież przyjął król, mówił żywo i wyraziście w języku, który stanowił do niedawna w literaturze raczej narzędzie innowierców.

Izrael poczynał zaś przenosić swą działalność do ojczyzny, choć czuwał jeszcze i nad wewnętrznym rozwojem polskiej jednoty. Pogłębiała ona też swą polską odrębność, w której wzorem małopolskim, dużą rolę grał żywioł świecki. Usiłowała usuwać wkradające się odstępstwa od ideału, bronić etycznego rygoryzmu w kole duchownych, zasłaniać zbór przed grożącym innowierstwu antytrynitaryzmem. Wspólne synody innowierców umiały też przeciwdziałać osłabieniu spólności przy pomocy wcale licznie zjawiającej i na synodach prowincjonalnych szlachty trzech województw Wielkopolski. Widocznem było jeszcze, że wpływ etyki zboru na nią jest dość duży, że dba ona o szkoły, że usiłuje wpłynąć na francuskiego elekta, od którego spodziewano się zatwierdzenia religijnych wolności. Widoczną była i dbałość ustępującego przywódcy zboru o godność stanu duchownego, który tę wcale surową, bo wykluczającą nawet wszelki przepych, tańce i zabawy, etykę, reprezentował.

Zbór polszczał zresztą widocznie tak, że za Batorego, żywioł czeski był już znikomą mniejszością.

Równolegle z procesem spolszczenia postępowało i pewne zeświecczenie. Polski zbór potrzebował zaś polskich książek, a zwłaszcza mniej prymitywnego i odpowiadającego smakowi wieku, kancjonału. Znać to dążenie na synodach, dążenie nieodpowiadające już może i pogrążonej w pewnym ascetyźmie starszej generacji. Widziała ona odstępowanie od celibatu, którego dopuścił się nawet starszy w zborze, widziała i mniejszy rygoryzm wśród ogółu duchownych i wiernych. Nadchodził okres pewnego kompromisu z rzeczywistością. Być może też, że starsza generacja nie mogła przyzwyczaić się do stosunków, skoro w jednocie czesko-morawskiej nie obowiązywała bynajmniej zgoda sandomierska. Nie mogła wytrzymać i nacisku kalwinizmu, który podkopywał odrębność szczególnie z punktu widzenia hierarchicznego.

III.

Wypada zatem zapytać, jak wygląda konfesja zboru i jego pieśniarstwo, skoro poza niemi istnieje tylko kilka okazów polemiki i przekłady z dzieł o charakterze raczej moralizującym. Co do pierwszej, to zainteresowała ona w obozie małopolskich kalwinów przedewszystkiem późniejszego antytrynitarza Grzegorza Pawła. Wydawało się szczególnie w szóstym dziesiątku wieku, że ona też narzuci się siłą rzeczy obozowi, skoro na synodzie secemińskim w r. 1556 czytał ją po polsku z oryginału a może z istniejącego już przekładu szermierz innowierstwa Andrzej Trzecieski.

Usiłowano ją przecież poprawić w duchu Genewy a jednocześnie, pod wpływem jej wysłańców, jak Piotr Statorius, chciano ustalić tekst konfesji małopolskiej. Tym dążeniom stanęło na przeszkodzie naturalistyczne myślenie antytrynitarzy, które rozbiło spójność i odsunęło od jedności. Bracia widzieli w tem skutek niedotrzymania unji koźmineckiej, skoro szczególnie włoscy antytrynitarze występowali nawet przeciw Kalwinowi i uniemożliwiali ustalenie jakiejkolwiek konfesji. I jedynie zachowawcze żywioły w obozie zahamowały dalszą anarchję, co poparli oczywiście i oskar-

żeni przez Grzegorza Pawła o tonięcie w ciemnościach, Bracia. Dysputy pokazały przepaść dzielącą polskie innowierstwo od antytrynitarzy. Bolał nad nią Rej, usiłował ją zasypać Frycz, by dochodzić do pewnego agnostycyzmu.

W takiej chwili wydanie konfesji mogło samo przeszkodzić nieustającej dyspucie i wpłynąć uspakajająco przynajmniej na pewne sfery. Konfesję to jest wyznanie wiary, nauki i nabożeństwa chrześcijańskiego z r. 1564 zagaja oświadczenie panów i szlachty którzy, jako zwolennicy wyznania, stawiają naukę, którą wyznaje się w Czechach a zaleca też w Królewcu. Ofiarowują oni konfesję królowi, by w trudnych czasach obecnych pilnie ją przeczytał i jej wyznawców przed nieprzyjaciółmi bronił. Obejmuje konfesja dwadzieścia rozdziałów, podających artykuły wiary w możliwie najprostszej formie.

Z dogmatów zboru podkreślone są najwyraziściej usprawiedliwienia przez wiarę i wierność dogmatowi Trójcy św. Z szczególnym naciskiem podkreślona jest i potrzeba religijności. „Nie świecką mocą — mówi konfesja — ale mocą słowa Pana Krystusowego, a Jego poruczenia ze społku świętych mają być wygnani, co nie chcą w to wierzyć". Konfesja kładzie nacisk na konieczność hierarchji i porządku, stojąc pozatem na stanowisku, o które ścierał się Izrael z Łaskim. Bije z niej znany już rygoryzm etyczny, zwraca uwagę lojalność wobec państwa, nad którem wyżej stoi porządek chrześcijański. „Wszak to — mówi konfesja W. K. M. raczy dobrze znać, żeśmy zawżdy posłusznie i spokojnie się zachowali a ku W. K. M. i pospolitej potrzebie niepośledniśmy byli i jeszcze podle powinności naszej gotowi być chcemy i jesteśmy".

Jeżeli chodzi teraz o znaczenie konfesji na tle dziejów Braci na gruncie czesko-morawskim, to w zaraniu wieku stanowiła ona poniekąd dziedzictwo dogmatyki husyckiej i odsuwała się najzupełniej od utrakwistycznej tem więcej, że i oparta o odrębną organizację. Luteranizm poparł niewątpliwie tę dogmatykę i organizację, skoro w r. 1533 poprzedził niemieckie wydanie konfesji wstępem sam reformator. Bracia czuli się jednak zawsze bliżsi Melanchtonowi, potem Kalwinowi, co oddzieliło ich jeszcze więcej od utrakwistów. Nie

mając prawnych podstaw za Ferdynanda I, oczekiwali wiele od Maksymiljana II, którego raziło przecież, jak i ostatniego Jagiellona, rozbicie wśród czeskiego innowierstwa. Nie wrócił wprawdzie do katolickiego myślenia, ale i nie stał się protestantem. Wtedy Blahoslaw ofiarował mu konfesję, którą on przyjął przychylnie.

Dokonało się więc współcześnie w Czechach to, co i w Polsce. Co więcej, jak tam, tak i tutaj, Bracia są bliżsi kompromisowym filipistom niż flocjanistom, co wskazuje, że stronią od luterskiego nieprzejednania a skłaniają się ku krypto kalwinizmowi Melanchtona. Wpływy Genewy i kalwinizującego Heidelbergu rosną, co ułatwia zbliżenie i na gruncie małopolskim. Nie zanika przecież to, co Blahoslaw nazywał porządkiem czyli organizacją. Nie doszło do fuzji ani z luteranizmem ani z utrakwizmem a szlachta czeska, jak i wielkopolska, nie przeciwstawia się tu polityce duchownych. Niewielcy ilością, stoją zwarcie, choć nie mają prawnej ochrony ani w Czechach ani na Morawach a interesowali się częściej obyczajnością niż dogmatyką.

Co się tyczy pieśniarstwa, to daje mu, jak wiadomo, na gruncie innowierczym początek Królewiec. Uzupełnia ono poniekąd katechizowanie, co rozumie luteranizm, którego bojowiec Seklucjan występuje z polskim kancjonałem już w r. 1547. Czerpie on, poza kancjonałem wittenberskim, i z kancjonału czeskiego z r. 1541. Oparcie o pieśń czeską, istniało zresztą i w katolickiem średniowieczu, czem tłumaczą się i liczne czechizmy. Wnet jednak rozwinęła się i oryginalna twórczość polska, co układ niemiecki i czeski usunęła poniekąd na dalszy plan, czy chodzi o pieśni czy o przełożony w r. 1558, nie bez poparcia panów wielkopolskich, przez kalwina Jakóba Lubelczyka, psałterz.

Jeżeli Lubelczykowi, mimo pewnego urozmaicenia ujętej w rymy formy, nie szło o dworność, która będzie leżała na sercu Kochanowskiemu, to już pełnym prymitywem tchnęła polska parafraza czeskiego kancjonału Walentego z Brzozowa w r. 1554. I ją poparł Królewiec jako ognisko innowierczej propagandy. Trzeba było bowiem zastąpić rękopiśmienne kancjonały i wytrącić z rąk ludu stare pieśni katolickie, z których niejedna wchodziła w często zmienionej

postaci do składu nowych zbiorów. Z nich jedne były tylko składnikami ulotek a drugie powstawały wedle z góry obmyślonego planu. Takim był oczywiście i kancjonał czeski, który w oryginale powtórzono w Szamotułach w r. 1561. A przedruku polskiej parafrazy dokonano w Krakowie dopiero w r. 1569.

Czuwał nad wydaniem parafrazy oczywiście Izrael. „*Cantional* albo księgi chwal boskich" w r. 1554 rozpoczyna wiersz łaciński na chwałę patrona innowierstwa Albrechta Pruskiego potem zwraca się do króla, zalecając mu pożytek podobnego przedsięwzięcia „Naprzód — mówi wydawca, drukarz czeski Nugerdecki — Pana Boga wszechmogącego Stworzyciela swego będzie W. K. M. jaśniej wyznawał i prawdziwie chwalił, a tym śpiewaniem i słowem Bożem będzie się W. K. M. cieszył, potem wszelkie zło pożądliwości i popędliwości cielesne będzie W. K. M. w sobie umartwiał i zagasał". Kancjonał obejmuje pieśni o Bożem Narodzeniu, o żywocie Chrystusa, o Wniebowstąpieniu, o Duchu św. o Kościele, o różnych okolicznościach ludzkiego życia. Jest on w związku z hymnologją średniowieczną, z którą dzieli małą dbałość o rytm i rym. Wiele ustępów wskazuje, że pieśniarzom chodziło też o działanie w duchu innowierczym.

Nic dziwnego, skoro pieśń religijna stanowiła wypróbowany środek już w czasach husyckich. Rozumieli jej skuteczność Rej, Trzecieski, Lubelczyk i inni, a tem więcej Bracia, którzy postylami ani kazaniami nie służyli, skoro nie chcieli, by kaznodzieje wyręczali się obcą pracą. Swe wyznanie przedstawiali jako wolne od mocy antychrystowej, oparte o czyste słowo ewangeliczne, szerzące surowy obyczaj domowy i publiczny. Nawet rymem, jak Lubelczyk, ucha zbytnio nie pieścili. Zadawalniali się gramatycznym, albo asonansem. Powtarzali nawet ten sam rym, nielicząc także zgłosek i nie dobierając słów. Jedności rejowskiej tu niema, a niedbałość o wyrazistość przechodzi wszelką miarę.

A przecież pieśń była jakby głosem każdej gminy, skoro zbliżała ją właśnie do słowa ewangelicznego. Rozumieli jej wagę luteranie w Wittenberdze, Norymberdze, Królewcu, podkładając pod stare melodje nowe teksty albo tworząc wprost nowe. Pieśń czeska działała i na luterską

w epoce, gdy nie uświadamiano sobie zbytnio różnicy między świeckim a duchownym stylem muzycznym. Język narodowy wkraczał do liturgji, działał w szkole w formie jedno i wielogłosowej. Że zaś odziedziczono i organy, więc wśród organistów nie brakło właśnie pieśniarzy. W miarę czasu, pod działaniem kalwinizmu, przeważyła skłonność do parafrazowania psałterza, skoro na Zachodzie przedstawiali ją tacy, jak Marot i de Bèze, a od r. 1551 hugenota i muzyk Gondimel. Jego melodje stały się własnością świata kalwińskiego, w którego krąg wchodziły i południowe Niemcy oraz Czechy z Morawami.

Na gruncie polskim pośredniczy w recepcji muzyki kalwińskiej współzawodnik Kochanowskiego w przekładzie psałterza i kaznodzieja poznańskiego zboru, Maciej Rybiński. Należał on już do generacji urodzonej na obczyźnie i spolszczonej, jak i jego brat poeta Jan. Jego „Psalmy Monarchy i Proroka Dawida" z r. 1605 ceniono tak, że używało ich całe innowierstwo, nie wyjmując antytrynitarzy. Naśladując zręcznie rytmikę francuskich psalmistów, rozwinął on znaczną pomysłowość słowną i dbał wyraźnie o rym. Jeżeli Lubelczyk i Kochanowski osiągnęli wyższą plastykę, Rybiński, parafrazując często niewolniczo rytm Marota, nie odtwarza może jak tamci, istotnego tonu hebrajskiej liryki, ale wskazuje, że wirtuozja rytmiczna wzrasta na Zachodzie i u nas, choć niewątpliwie odpowiada mało zawartości.

Wystarczy przytoczyć wspaniały psalm dziewięćdziesiąty pierwszy, w który Kochanowski, włożył niegdyś całą głębię swej religijnej, przynajmniej w latach dojrzalszych, osobowości, by narzucić niejako swe ujęcie olbrzymiej większości narodu, i przeciwstawić je ujęciu psalmisty czeskiego zboru:

Kto opieki Najwyższego
W straży Jego używa
Ten w cieniu Wszechmogącego
Bezpiecznie odpoczywa

Przeto ja mówię Tobie
Tyś ma obrona, Panie
Tyś twierdza, Tyś Bóg, ja w Tobie
Samym składam dufanie.

Bo mię On z sidła łowczego,
Którego się ja boję,
Wyrwie i z złośliwego
Powietrza przez moc swoję...

Instynkt rytmiczny zawiódł tu chyba a język uronił dobitność i powagę, stając się raczej konwencjonalnym i sztucznym.

Niemniej psałterz, który drukowano potem wielokrotnie razem z kancjonałem, stanowił pewien postęp, o czem świadczą wydania w Rakowie, Gdańsku, Toruniu, Królewcu, Wschowie, Brzegu. Poprawiano go potem, wynosząc wysoko zasługę Rybińskiego, oprawiano wraz biblję gdańską, która stanowiła, po brzeskiej, nowe ogniwo kalwińskiej bibljologji, i powstała również przy współdziałaniu zjednoczonych zgodą sandomierską z innemi innowiercami Braci a pod patronatem, jeszcze wiernego wyznaniu, rodu Leszczyńskich. I w tem był także wpływ Zachodu, gdzie w Czechach posiadła autorytet wierna w przekładzie biblja kralicka, odpowiadającą, jak psałterz na melodje francuskie, intencjom nowych pokoleń. Zasuwał się w cień prymityzm średniowieczny. „Poprawy — mówi przedmowa do kancjonału gdańskiego, z r. 1646 — zaś dawnośmy wszyscy pragnęli, nie względem materjej, ale względem rymu i polszczyznej teraźniejszemu polerowniejszemu wiekowi mniej wygodnej". Interesującem jest, że w kancjonale o którym mowa, dodawano też, jakby dla porównania, parafrazy Reja i Kochanowskiego.

Dorobek Rybińskiego stał się zatem własnością ogółu innowierstwa, choć musiał współzawodniczyć z przewagą Kochanowskiego i z prozaiczną parafrazą coraz bardziej wpływowego Wujka, nie mówiąc o dorywczych próbach nowych parafraz nawet w obozie bliskim spolszczonej generacji Braci. O ile zaś chodzi wogóle o kancjonał, którego potrzebę odczuwano w kołach katolickich, niemałą popularnością na przełomie dwóch wieków cieszył się i zbiór, który kaznodzieja Batorego i Zygmunta III, Marcin Laterna, nazwał harfą duchowną. Pojawił się on nietylko jako narzędzie walki z innowierstwem ale i znak czasu, któremu nie wystarczyły prymitywne hortulusy i raje duszne. Humanizm sięgnął bowiem wszędzie a więc też do atmosfery zboru,

który zrazu nie wykazywał żadnej dbałości o formę i stał niejako poza literackością i jej dążnościami na Zachodzie i u nas.

IV.

Punktem ciężkości była zaś w literaturze Braci często moralistyka. Występowała ona w wygłaszanych przez nich kazaniach, ujawniała się też w nielicznych traktatach, co prawiły o misji jednoty w świecie albo, jak dialog Benedykta Baworyńskiego o sposobach zbawienia z r. 1531, alegoryczny w ujęciu i ceniony nawet przez utrakwistów. Nic dziwnego, że przełożono go i na polskie. Na temat małżeństwa i wychowania dzieci wypowiadał się Augusta, także na temat spowiedzi, której wartość ceniono niepoślednio. Dbali Bracia i o historję swego wyznania, skoro na ich życzenie spisywał ją w r. 1573 humanista niemiecki Joachim Camerarius, a na gruncie polskim, z inicjatywy nowej generacji Jan Łasicki, znany i z dziejów kalwinizmu.

Student padewski i heidelberski, dyplomata i ziemianin, interesuje się obyczajami i religją różnych ludów oraz wypadkami współczesnemi, wnikając w organizację, obyczaje, karność współwyznawców, skoro bez nich niema wyznania. Cenił go jeszcze Komeński, skoro wydawał ósmą księgę jego obszernego dzieła jeszcze w r. 1649. Zbierano też w zborze materjały historyczne, jak dowodzą zabiegi Czernego, Blahoslawa, Eneasa, Orlika, Aristona, Niemczańskiego, Narcissusa i apologetów zboru. Dbał o przeszłość i pracujący na polu historji Izrael, co nie znaczy, by zaniedbano i moralistykę, jak wskazują postyle Stefana z r. 1575 i Capitona z r. 1586, wreszcie *Kazatel domowni* z r. 1618 Mateusza Konecznego, gdzie wyłożono porządek nabożeństwa w związku z kancjonałem i pouczenie dla ojców rodzin. Dzieło Konecznego o chrześcijańskich obowiązkach obejmowało zaś wszystkie stany i urzędy.

Nie dzieła przecież, ale ludzie na urzędzie kaznodziejskim i o dużym autorytecie moralnym odgrywali rolę w dziejach wyznania. Do nich należał, w drugiej połowie wieku spadkobierca myśli Izraela, Szymon Teofil Turnowski. Urodzony w ojczyźnie, skąd przybył z rodzicami do

Prus a potem do Wielkopolski, uczył się w szkole w Ostrorogu, potem w Koźminku, gdzie poziom był wcale wysoki i przypominał nowy typ innowierczych szkół średnich na Zachodzie. Uzupełniło naukę studjum generalne wittenberskie, gdzie kształciła się wogóle młodzież zboru. Stąd prowadziła droga do Małego Bolesława, gdzie przebywał Augusta.

W r. 1569 rozpoczyna Turnowski służbę w zborze w Ostrorogu w charakterze diakona. Czasy były nieco trudne, gdyż tarcia z wyznaniem luterskiem powtarzały się często, jak wskazuje polemika seniora Jana Laurentiusa z nieprzejednanym teologiem luterskim Morgensternem. Bracia udają się pod opiekę Wittenbergi, gdzie przeważali raczej przyjaźni kompromisom, filipiści. Turnowski, będący niewątpliwie w porozumieniu z Augustą i Blahoslawem, poczyna wysuwać się w miarę, jak zbliża się generalny przegląd innowierczych sił w Sandomierzu. Miał raczej przeciw sobie, jako poniekąd przedstawiciel myśli religijnej zboru, luteranów, za sobą kalwinów i prących do zgody, panów i szlachtę. Na synodzie widać go, w charakterze nieurzędowym przy boku polemisty kalwińskiego Thratzego, który brał udział w rozmowie piotrkowskiej z arjanami i był przyjacielem ministra radziejowskiego zboru kalwińskiego, Prażmowskiego.

Turnowski godził się na przyjęcie konfesji genewskiej, choć bronił własnej zboru. W sporze o redakcję artykułu o wieczerzy Pańskiej, nie dopuścił do wprowadzenia terminów z konfesji saskiej, natomiast stanął raczej po stronie przedstawicieli stanowiska genewskiego. Nie Prażmowski, ale on wyobrażał sam istotną myśl zborów *Iter Sandomiriense* z r. 1570, spisanej po polsku w typie diarjusza, gdzie znajduje się też polemika o bóstwo Chrystusa z antytrynitarzem Vitrelinusem. Dowodzi ono jego przygotowania do rzeczowej dysputy, zdolności interpretacyjnej, opanowania zagadnienia, które pochodzi niewątpliwie ze studjum wittenberskiego. Turnowski, wobec niezdecydowania urzędowego przedstawiciela zboru Prażmowskiego ma poczucie słuszności swej sprawy i umie nietylko jasno myśleć ale i zręcznie działać.

Jego polemika z Vitrelinusem, który zwracał się kiedyś po radę do teologów szwajcarskich a potem uległ wpływowi Blandraty, wskazuje na wyszkolenie, co żadnego argumentu płazem nie puszcza i na wszystko odpowiada pozytywnie. Współzawodniczy tedy Turnowski poniekąd z Niemojewskim na polu polemiki, która była tem przykrzejszą, że zgoda sandomierska nie zapobiegła sporom z luteranami w sprawie t. zw. konsygnacyj poznańskich. Chodziło w nich o współżycie wyznań, które wykluczało jednak wspólność dogmatyczną. Zrozumiano to w Wittenberdze. W obozie luterskim pozostało zaś przeświadczenie, że dokonano pewnego rodzaju wybiegu, skoro królowi przedstawiono nie wspólne wyznanie ale raczej — wyznanie genewskie.

Turnowski, wyświęcony na kapłana, przenosi się w r. 1572 do Lutomierska i bierze udział w generalnym synodzie krakowskim. Uznano na nim zgodę i konsygnację, co było poniekąd triumfem polityki zboru. Usiłował on też oddziaływać na stosunki, zwłaszcza gdy chodziło o stosunek szlachty do chłopów. Czasy stawały się pewniejsze, gdyż konfederacja warszawska warowała wolność ogółu innowierstwa. Można było pracować nad rozwojem szkół, wychowywać młodzież duchowną, pogłębiać organizację w rosnących co do liczby zborach. Myślano, jak wskazuje synod generalny piotrkowski z r. 1578, założyć nawet akademję innowierczą, by przeciwdziałać zapewne wpływom jezuickiego studjum wileńskiego.

Znaczenia Turnowskiego jako kaznodziei dowodziłby jego udział w wyprawie moskiewskiej, przy boku kasztelana gnieźnieńskiego Jana Zborowskiego. I jego rola w synodach zwiększała się, skoro w r. 1583 był już konsenjorem a w r. 1587 senjorem z siedzibą w Ostrorogu. Stał on ciągle w obronie zgody, w czem miał przeciw sobie, jak dotąd, luteranów. Jego idea zgody była nawet wzorem dla zawartej między luteranami a kalwinami w Czechach, mniej w Niemczech, gdzie kompromisowość filipistów ustępuje prądowi nieprzejednania, co ma oddźwięk i w Wielkopolsce. Bracia mający wśród siebie również Niemców, stronią od mieszania się w sprawy niemieckie, choć zalecają zgodę. I w tem znać rękę Turnowskiego, który nadawał niejako ton współżyciu wyznań.

Nie mógł jednak przeszkodzić, by nie powtarzały się przeciwne zgodzie objawy, ze strony harcowników nieprzejednania, którzy, w spadku po Morgensternie, szli za wskazówkami z Niemiec. Byli nimi kaznodzieje Enoch i Gericius, czasem nawet głowacz luteranizmu Glicner, jako współtwórca zgody. I z zewnątrz groziły niebezpieczeństwa, skoro trzeba było bronić konfederacji warszawskiej na synodach, sejmikach i sejmach. Synody generalne, jak włodzisławski z r. 1583, wskazywały przecież na spójność obozu, na pewną karność wewnętrzną, nawet na cenzurę, co niedozwalała niczego wydawać bez zgody seniorów. Myśl o szkole generalnej nie urzeczywistniała się jednak bynajmniej. Rósł natomiast wpływ szkół jezuickich z wileńską na czele. Celowały one w dysputach, zadziwiały polemikami. Katolicyzm triumfował i w Wielkopolsce, mając takich szermierzy, jak Wujek, Grodzicki, wreszcie Skarga.

Poczynała się walka z kalwinizmem i dyzunją w wielkim stylu a także z konfederacją, którą polemiści katoliccy poczytywali za groźną dla państwa, wskazywali na wewnętrzny zatarg wśród innowierców, na nieuctwo ministrów, na indywidualizm w wierze, na przewagę filozofji tam, gdzie rozstrzyga wiara. Widocznem było, że obóz innowierczy słabnie, skoro opuszczają go niektórzy panowie i szlachta, choć Leszczyński stoi jeszcze wiernie przy Braciach, oświadczając w wydanym wtedy przywileju w r. 1580 na zbór w Lesznie, że po wielu próbach i obserwacjach, nie znalazł lepszej nauki od czeskiej, co też głosił przed królami i na sejmach. Dlatego też starał się o ministrów i szkołę, wzywając synów i potomków do zachowania fundacyj leszczyńskiej, gołuchowskiej, radziejowskiej i innych.

Turnowski pracuje równocześnie nad poprawą kancjonału, co wskazuje na budzącą się potrzebę odmiany stylu. Łączą się te prace zapewne z dążeniami na gruncie czesko-morawskim, gdzie Jerzy Strejc przekładał psalmy wedle wzorów francuskich, by uzupełnić niemi kancjonał. I wydanie kancjonału, który ozdabiano coraz wytworniej, by podkreślić jego znaczenie w kulcie, poddawano w Czechach nowym opracowaniom i skracaniom, co niezawsze wychodziło na korzyść bezpośredniości i wyrazistości stylu. Po-

dobna praca musiała dokonywać się i na gruncie polskim, choć nie wyszła ona z pod ręki Turnowskiego, skoro zaniechał on jej po pożarze swej bibljoteki w Ostrorogu.

Brał on zaś udział i w życiu sejmowem, towarzysząc zapewne panom i szlachcie zborowej. Zetknął się w niem z kaznodzieją Batorego, Sokołowskim, którego powaga i temperament imponowały nawet Kochanowskiemu. Uczony, obrazowy, zdolny do syntezy, dawał w kazaniach możliwie ciemny obraz przeciwników. Miał wysokie wyobrażenie o godności duchownej, tępiąc zeświecczenie i egoizm szlachty, skoro sam do niej nie należał. Pochwalił go nawet Turnowski, choć znalazł i wiele do zarzucenia. A więc brał udział w polemice skoro od niego, jak dowiódł Brückner pochodzi *Kazanie o faryzeuszach starozakonnych i nowozakonnych,* gdzie polemizuje głównie z Kanizjuszem i innymi polemistami jezuickimi w sposób dosadny, oraz *Odpowiedź* z r. 1581 gdzie Sokołowskiego traktuje oględnie, podnosząc własnego braterskiego ducha. Jest tu jakby echo ataków kaznodziei Batorego na zeświecczenie duchownych a jednocześnie przeciwstawienie wskazań ewangelicznych i praktyki współczesnej w polszczyźnie, która nie zdradza bynajmniej uchodźcy.

W r. 1585 wygłosił on też w czasie sejmu warszawskiego kazanie, w którem przedstawił różnicę czasów dawnych i nowych. Ofiarował je staroście marjenburskiemu Stanisławowi Pękosławskiemu, dając za tytuł *Poznaczenie krótkie niektórych kwestyj o Kościele Bożym.* Określił Kościół jako zebranie ludzi, co oparli się o słowo i trwają przy krzyżu. „Bo Pan — mówi Turnowski — jaśnie do nas sług swych mówi, że jesteśmy sól świata a jeśliby się sól zepsowała, niczemu się nie godzi jedno iżby była od wszystkich wzgardzona i podeptana". Napomina do karności, podkreśla apostolski charakter zboru, każe wystrzegać się błędów, nie wątpiąc, że i przeciwnicy kiedyś się opamiętają. A właśnie Sokołowski, rozróżniając Kościół prawdziwy od fałszywego, wykazywał, że słowo ewangeliczne nie jest jedynym sędzią w sprawach mowy. Sędzią jest Kościół i sobór, znakami jedność, powszechność, świętość, zgodność z objawie-

niem, obfitość boskich darów, stałość i niezmienność, wreszcie cuda.

Erudycja, dojrzałość sądu, artyzm słowa górują nad wywodami Turnowskiego, który używa jednak polszczyzny, gdy Sokołowski, jako raczej humanista i kaznodzieja Batorego trzyma się łaciny. Polszczyzną włada też senior zboru coraz wprawniej, pisząc protokóły synodów i każąc z rosnącem powodzeniem. Nie zaniedbuje i stosunków listowych i osobistych z zagranicą, jak Strasburg, Bazylea, Heidelberg, choć stale przebywa już w Ostrorogu. Popularność jego sięgała podobno i do kół katolickich, nie mówiąc o ojczyźnie, gdzie należał do ścisłej rady wyznania. Wśród politycznego rozbicia za trzeciego bezkrólewia, trzymał się oczywiście polityki rodu, który już w drugiej generacji roztaczał opiekę nad zborem.

(Dokończenie nastąpi)

Tadeusz Grabowski.

Z wędrówek po Rzymie.

Chiostro S. Lorenzo.

Mur nad kolumnadą ze trzy razy wyższy od niej, aż przygniatający. — Szczęściem w dwóch bokach, pod zębami lombardzkiego gzymsu pozostał między oknami konwentu drugi rząd kolumienek białych, przywierających prawie do muru. Wspomnienie czasu, gdy dwa rzędy kolumienek okalały atrjum, wtedy było to tchnienie Hellady; z kamiennym białodrzewem kolumnady lekkim, przejrzystym bratała się zieleń ogródka. On jest skromny, niziutki: laury o spiralnie skręconych pieńkach, małe palmy w donicach, w impluvium czerwone rybki. W narożu, naprzeciw wejścia do bazyliki czernieją cyprysy, lekko skłaniając wierzchołki. Mury teraz różowieją. Gdy spoglądamy z ogródka, krużganek wydaje się rąbkiem czarnym, poprzekreślanym jasnemi słupkami. Romański styl. Śliczny korowód kolumienek; grupy ich poprzegradzane słupami, raczej murami płaskiemi, powtarzają się dziesięć razy; wznoszą się te kolumienki na podmurowaniu wysokiem, które ze słupami powiększa jeszcze ich lekkość.

Prostota więcej niż dorycka. Krągły, nieco spłaszczony słupek stoi na podmurowaniu, — ledwie wstążką kamienną, lub dwiema okręcony u czoła, — jako połączenie z belkowaniem dwa płaskie ramiona kamienne rozszerzają ku łukom sklepienia u słupków pojedyńczych, a parzyste kolumienki też są nakryte tylko prostą, płaską płytą kamienną. Ta spadzista deseczka nad słupkiem — to „kapitel". Łuki między kolumienkami bardzo wygięte. Jedna kolumienka (naprzeciw wejścia z bazyliki) wdzięcznie, a cichutko wy-

różnia się: cała pokryta liśćmi i wstęgami (rzeźbionemi) przewiązana — istny chrześcijański marmurowy thyrsos. U dwóch innych kapitele tworzą liście rozchylone ku górze. Zresztą różnią się tylko materjałem, a tak są siostrzane kształtem, że ledwie zbliska można rozpoznać: ta alabastrowa, a ta z marmuru czarnego, a te dwie z popielatego, a tamte już wszystkie jednakowo szare, — Na zewnątrz — od ogródka — po dwa wręby półkoliste ponad łukami — to jedyne upiększenie. W środku każdego boku są cztery wyższe nieco łuki, tworzące jakby bramki do ogrodu. Przed bramą zakonną dwa największe. Żadnej ozdoby barwnej, sam kształt, mowa rzeźby. W świetle słońca mowa rzeźby najpiękniej głosi się zrana. I wszystkie cienie subtelnie zarysowane i różowy poblask przesyca mury. Wtedy najmilej chodzić zwolna pod kolumnadą, czytać napisy i oglądać nagrobki z katakumb św. Kyrjaki; światło oświetla ściany, ale tu nie razi. Jedna strona kolumnady w ogrodzie aż biała, tu, pod sklepieniem można patrzeć. Tuż nad łuczkami kolumnady widzimy od wewnątrz lunety — jedne nad słupami wspornemi, drugie nad każdą grupą kolumienek. Przez lunety wpada światło lekkiemi smugami. Silna gra kontrastów. Mrużące się oczy łowią ją z rozkoszą. Tu od zewnątrz, pod sklepieniem: obręcze łuków, słupy, podmurowanie — czarne. Ku temu podmurowaniu czarnemu przywiera pod kątem prostym wierzch jego — olśniewająco — jaskrawo biały, na którym stoją słupki; od wewnątrz czarno okryte, w czarnych głowicach, u szczytu łuczków tylko jasne krążki. Złoty blask pada na posadzkę za czarnem podmurowaniem.

Najpiękniejszy kontrast olśniewająco białego podsłupia i czarnych jego bloków — od wewnątrz. Czuje się zdobywczą — na dzień — falę światła, co idzie od prawa, świetli większe i mniejsze łuki, otula słupki, kładzie się całunem białym na podsłupiu, posadzkę bramki zasypuje potokiem złotym, a o krok w podcieniach w cień wnika. Odwieczna walka Arymana z Ormuzdem. A równie piękne ku patrzeniu cienie kolumnady z za białych słupków i z zielono — złocistego pola ogródka, jak pod sklepienie czerń słupów i łuki czarne i cienie na posadzce, odrzynające się od obrę-

czy światła i białych podsłupi i lśniących od słonecznej strony trzonów...

Inaczej w dzień słotny, na wiosnę, wieczorem. Ostro odcinają się białe na czarnem tle krużganki, sklepienie przytłacza. Brak światła — a zdaje się, że brak przestrzeni. Chmurno. Smutek i powaga wieje z Campo Santo. A tu tymczasem kolumnada napełnia się rozgwarem: gromadki dzieci kupią się przy Ojcach i Braciach: nauka Katechizmu, schola Romana — nova. Nad czeluściami katakumb, obok cmentarza, w dzień posępny — słońce. Światło nieśmiertelne rozbłyska zarzewiem wiekuistem w duszach nieśmiertelnych.

SS. Quattro Coronati.

Wzniesione w r. 1113 przez Benedyktynów — odnowione całkowicie a pięknie w roku 1914. Może tej restauracji zawdzięcza, że, choć wcześniejsze od Chiostro S. Lorenzo, ma architekturę bardziej urozmaiconą. Tamto czyniło wrażenie atrium w chrześcijańskim domu patrycjuszowskim z pierwszych wieków. To, okolone obecnie klauzurą — ciche jak średniowieczny klasztor. Już dostęp usposabia ponuro. Po gwarze śródmieścia, arkady Colosseum zwróciły myśl ku czasom prześladowań, a zaraz na lewo ulica Capo d'Africa zamknięta wspaniałą absydą bazyliki SS. Quattro Coronati przypomina czasy Djoklecjana. Idzie się jak ku twierdzy; wgórze z tą basztą, raczej podobną do jakiejś baszty rycerskiej, niż do kościelnej absydy; mury ponure, spiętrzone budowle, dostęp jeden przez wąskie, strome schodki, drugi Palszy przez dwa podwórza: szkielety atrjów z cudnemi kolumnami, ścieśnionemi przez nowe ściany, to nie wejście do bazyliki chrześcijańskiej, która przechodnia wita serdecznie od progu, ale do zamczyska feodalnego. Wnętrze, rozprasza i wynagradza to wrażenie — prawdziwie lux in tenebris lucet. Tam w S. Lorenzo linja piękna się nie rwała, tu-po czarnych wrażeniach, nawet szpetnych, — ogród zamkiony z Pieśni nad pieśniami, taki barwny obrazek w ciemnem okolu, jak ów ozłocony zachodniem słońcem ogród Plaucjuszowej insuli, widny z przyćmionego tablinum. Słupy zdobniejsze, niż w S. Lorenzo, zakończone obrączką. Kapitel: liście w puhar rozchylone, bazy też w obrączce, podnóże

słupa pokryte liśćmi — łuki wewnątrz „malowane" bardzo prymitywnie, a jednak czerwone i zielone gruszeczki wdzięcznie ożywiają szarość. Atrjum w kształcie prostokąta. Gzyms nad bokami dłuższemi, potrójny, zębaty. Cztery bramki (nieco wyższe łuki) wiodą do ogródka. Między niemi po pięć par słupków (na krótszych bokach) i po 7 (na dłuższych) — tylko pary kolumienek tu występują i odtąd już wszędzie w owych przepysznych atrjach S. Paolo, S. Giovanni, S. Cosimato... W ogródku 4 grządki: 4 gaiki bujne od ziół i kwiatów. Jedna cytryna pyszni się w donicy-wazie, a u dwu bramek przy dłuższych bokach róże pnące tak rozkrzewione, że tylko ta zieleń i czerwień kwiatuszków znaczy wejście. W środku fontanna — słynna kruż — cantharus papieża Paschalisa — z jednego bloku marmuru wydrążona podwójna czara, górna okrągła, dolna czworograniasta, zdobna dwiema głowami lwów (gruba płaskorzeźba).

Śliczny kontrast: tuż obok gromady rozmodlone, a częścią obserwujące bazylikę — dzień „stacji" jest bardzo ponętny dla Rzymian, którzy zawsze kościoły stacyjne tłumnie nawiedzają — a tu w świetle południowem ten cichy perystyl. Po krużganku przesuwają się postacie zwiedzających — zrzadka — bo w bazylice właśnie nabożeństwo... Wstążka wody szemrze nad czarą — w „kantarze" czerwienieją rybki, a tak cicho w atrium, że gość — gołąbek sfruwa i, bieląc się na ciemnej brzeżnicy, pije wodę bez trwogi.

Nad krużgankiem perystylu górna galerja klasztorna, wsparta na słupach; na szerokiej balustradzie kwiaty w donicach i skrzynkach — z nich tu i ówdzie zwisają jasno zielone, lekkie kotary asparagusów.

Na galerji jeszcze światło złoci się jaskrawo. Wejdźmy pod kolumnadę. Podwójne, skryte jedna za drugą kolumny zlewają się w szereg jednolity. Nic nie rozprasza skupienia; pod łukami zieleń ogródka, naprzeciw białe słupki z żółtem naczołem, gzyms szary, w galerji znaczą się tylko mroczne już wnęki i jasne plamy słońca — w górze pewnie błękitnieje przespokojny strop niebieski; — tu — pod kolumnadą go nie widać, — tu go się tylko odczuwa całą duszą. Obchodzimy wolno jeszcze raz — trudno z tej ostoi się wyrwać. — Jeszcze na prawo, przed wejściem do bazy-

liki, nagle uwypukla się mur na ścianie wewnętrznej krużganku — to kapliczka św. Barbary ponoś. Obejrzawszy ją, radujemy zmęczone ruiną oczy — najpiękniejszym stąd — z przed tej kapliczki — widokiem na kwiecie ogródka, na zielone pnącze przy bramkach, — żal tej „klauzury" — tak dobrze tu śnią o przeszłości stare kapitale i pomniki pogańskie i chrześcijańskie. — Krużganek, jak każde Chiostro — to małe muzeum — ot, tam na lewo — za półokrągłą absydką św. Barbary-płyta z napisem:

Germanus DIIS
Honoratae MANIBUS
Sanctisimae SANCTIS

wspomnienie columbarium... Spotkamy się kiedyś wszyscy. —

A wy, ciche, białe siostrzyczki, których miejsca w matroneum znaczą płomyki świec, igrające przez przeźroczyste szyby, — módlcie sią za jednych i za drugich. —

San Cosimato.

Podnóże Gianicolo — między Porta Portuense, a San Pietro in Montorio — już na pobrzeżu. Niema tu owych cudnych widoków, które za chwilę oczarują nas z via Garibaldi, czy ze stoków willi Lante, ale zato jest przepyszne powietrze, właśnie odpowiednie dla szpitala i przytułku dla staruszków niezdolnych do pracy.

Wejście w dzień powszedni przez szpital, od viale del Re. Tu w starożytności też było cudne powietrze, a ogrody, krużganki, wodotryski stokroć wspanialsze, albowiem tu, u stóp Janiculum, między Porta Portuensis, a via Aurelia były horti Caesariani, Naumachia Augusti, Aqua Alsietina — cudy sztuki, przepychu, przyrody, — obecnie (r. 1930) przytłoczyła je miejska szarzyzna, miejscami jeszcze ohydna.

S. Cosimato: nowoczesny rzymski szpital, w którym, jak to w Rzymie musi być nieodzownie, wiek XX mięsza się z XII przynajmniej w całość swoistą, a czasem wdzięczną. Podwórze z ogródkiem, bazylika piękna, a odnowiona strasznie przez jakichś podmiejskich artystów (np. ściany były zdobne w piękną imitację fresków pompejańskich, w kotary ciemne poprzegradzane pilastrami, — teraz w kotarach wyżłobiono cztery nisze — bielone wapnem — na statuetki

świętych), subtelny obraz szkoły Pinnturicchia obok obrusów i konopeum malowanego w krzyczące kwiaty, ogromne sale z krużganków, gdzie słupy połączono ścianami, — obrazy mistrzów Odrodzenia nad szafami z garderobą, — spiżarnia w „piwnicy" o cudnych ostrołukach, tak rzadkich w Rzymie, dwa „chiostra" z architekturą zeszpeconą — dostosowaną do szpitala — ale od wejścia jeden bok krużganku wspaniale zachowany, — oto główne rysy S. Cosimato. Tu trzeba szukać, a odnalezione ukochać jeszcze bardziej, niż to, które króluje niepodzielnie, tu piękno idei pokrywa braki estetyczne. Są tu trzy ogrody, z tych dwa chiostra. Pierwszy ogródek przed bazyliką — maleńki, ale ma ozdobę, której brak tamtym „kamiennym" atriom: piękny basen z urną w kształcie wanny, w niej na wysokim postumencie wazon — zwykły typ rzymskich nowych impluviów. Niedawno był tu zakon klauzurowy — stąd drugi dziedziniec nazywa się jeszcze Chiostro nowicjatu. Na piętrze sala del Quadriportico — przemiła sala szpitalna — poprostu krużganek, zamiast małych lunetek dano duże okna, nad łukami dolnemi styl przepadł, lecz powstała sala — weranda, jasna, wąska, na długość łóżka. — Mieszkanki tego portyku, staruszki, bardzo zadowolone ze swego losu. Schodzimy na dół, do ogrodu. W środku, zamiast impluvium, coby w tym bujnym ogrodzie wyglądało pięknie, a było też pożyteczne, stoi domek, (po rzymskich fontannach jakaś smętna sierota) w domku studnia, na dachu muszla, w murach bocznych puste nisze. Mur chiostra żółty, w cieniu nie rażą tak okna piętra, duże, kwadratowe o małych szybkach — nad niemi jeszcze gdzieniegdzie widać szerokie zręby łuków po kolumnach. Łuki dolne chiostra łagodne, lecz słupy kamienne, ośmioboczne, o ostrych kantach, zdobne kapitelem grubej roboty: kwiat płaski na dwóch liściach, okolony wolutami; słupy stoją na płycie kwadratowej, — na niej baza skromna z czterech pasków. Całość czyni ostatecznie wrażenie plebejskie: libertini atrium — powiedziałby Petronius, — twardość wykonania szczegółów złagodzona przez ogólną formę i piękne grządki — bujne — jak na Rzym — pełne kwiatów, uwieńczone, jako ozdobą, trawką puszystą, na której skąpość i cenę uśmiechają się przybysze z Północy.

Z tego ogrodu przez dużą sklepioną bramę wychodzimy na trzeci dziedziniec: trzecia wyspa zieleni wśród murów: płaski ogródek — fontanny i tu niema, tylko z boku mały basen — w nim na słupku głowa, plująca wodą, — kilka drzewek, moc liljowych irysów o jaskrawej, śmiejącej się w słońcu zieleni, — między niemi chodzą zwolna staruszkowie, ruchome stare drzewka, radujące się ciepłem, — aż żal, że tak żałośnie wyglądają w nowoczesnych strojach: biała tunika i pileolus raczejby im przypadał. Atrium znów jednopiętrowe. Obejdźmy je dookoła zewnątrz. Na piętrze niestety, okna. Nad co trzecim łukiem portyku małe, prostokątne okienko, — powyżej łuk — krawędź wieńczy półokrąglem te trzy łuki razem. Owa krawędź wspiera się na dwóch pilastrach o białym, płaskim kapitelu. Takich wdzięcznych łuków jednotroistych jest siedm, ósma brama. To jeden bok. Drugi inny: gdzie tam brama — tu sień sklepiona, za nią złoci się podwórze. Nad łukami nie prostokąty, lecz okrągłe lunety, nad niemi pilastry piętra zamurowane. Trzeci bok znów inny, bardziej nowoczesny, od murów rozszerzają się przypory, niby wykusze. Nad ścianą piękne łuki i kolumny, z oknami wmurowanemi, — widok twardy. Czwarty bok wyróżnia się. Między łukami poszczególnych par kolumienek na przedłużeniu linji kapiteli prostokątne okienko, wyżej nad każdym czworo-łukiem jedno okno prostokątne duże, stąd na wewnątrz cudne efekty świetlne. Wejdźmy teraz pod kolumnadę, sprawdzić je. Strop płaski, biały, ściany obie czerwono-ceglane. Złoto — łuk bramy sięga stropu i przez to uwesela światłem cały krużganek. Nie było tego w tamtych, bardziej uroczych krużgankach S. Lorenzo i SS. Quattro, gdzie bramka ledwie różniła się od innych łuków. Po obu stronach tej świetlnej smugi pas czarny muru, od góry ozłocony sześciu prostokątami okien, z ponad łuków, ostro się teraz odcinających, uśmiechnięty małemi okienkami — poniżej złoto-biały korowód kolumnady. Tylko w południe może być tak piękny kontrast. Podziwiamy harmonję: mur nad kolumnadą równy wysokości kolumnady, nie jest zakończeniem, gzymsem, ale ozdobą przez swe okna i okienka. Kolumnada przegrodzona sześciu olbrzymiemi słupami, o nie wspierają się stare, z kla-

sztoru dawnego płyty, bazy, nadgrobki, — strażnicy przeszłości. Między słupami na podmurowaniu idą parami kolumienki, — teraz każda od naszej strony jakby w chmurnym welonie, od ogrodu złociste, u czół zdobne jaskrawą, półkolistą tęczą łuku, obramowanego czarnym rąbkiem górnego muru. Teraz, o południu, gdy mur czarny, kolumny są najświetlistsze, prawie tracą spoistość. W głębi, na lewo, łuk świetlny, biały, do portyku „nowicjatu". Cisza — samo południe. Dźwięk dzwonów wywołuje z serca słowa: Regina coeli, laetare, Alleluja... Po chwili skupienia idziemy dalej. Z okien smugi złote kładą się na podłodze obok kamieni — złomków; tuż idą też wolniutko złomki istnień — starcy, staruszki — na prandium — „Buono appetito", „Grazie" — odpowiadają z uśmiechem. Patrzymy dalej na nasze kolumny. Między słupami po sześć kolumienek, po dwie na wspólnej płaskiej podstawce. Ich baza: trzy coraz wyższe obrączki — poduszeczki; kapitel: liść rozpostarty ku górze. U paru brak tych kapiteli przeskromnych — to słupki krewne słupków w San Lorenzo. Niektóre pochylone — czy ze starości? Może tylko ręka niewprawna źle je osadziła. Między ich wdzięczną szarością wciąż promienieje pole jasno — zielone, o niebieskich i złotych kwiatach. Dochodzimy do końca tego „czerwonego" boku. Stąd ślicznie teraz krużganek „nowicjatu" wydaje się: cały biały, słupy to tylko lekkie cienie smukłe, wspierające strop. Upojeni zapachem kwiecia opuszczamy to śliczne rozdroże — białej, skromnej drogi i czerwonej, pysznej i idziemy dalej badać wnętrza kolumnady. — Następny bok — niby tej samej struktury, lecz wszystkie ściany bielone, — u dołu pas popielaty — tu już szpital. Aż boli, taka prostota. Brama a naprzeciw niej w ścianie druga, od ogrodu „nowicjatu" — ożywia go, ale kolumny aż płaczą w tem wapnie, nawet belki sufitu hygjenicznie powapnione. Trzeci bok jeszcze gorszy: słupy powmurowywane między kolumienki — stąd ogród staje się cudniejszy — tu ohyda, — idziemy już niechętnie dalej do czwartego boku, — a tam ciemno. Po świetlistych przestrzeniach zimno nas ogarnia. Tu najohydniej To właśnie ta część, co nas z zewnątrz zachwyciła lunetami okrągłemi. Tu już ordynarna sień, kolumny zamurowane,

ławy, spluwaczki — korytarz szpitalny. Za bramą ogrodową jaśniejsza część: co dwie kolumny zamurowane. Przechadzka kończy się w czerwonym krużganku: tam życie i piękno. Za galerją świateł zieleń ogrodu, mur okólny zdaje się stąd śliczny, — czarne smukłe smugi kolumien na jasnych wnękach, — zdaje się, że dookoła równie pięknie, jak tu, i jak zewnątrz: to obraz niejednej duszy.

S. Nereo e Achilleo.

Uderzają tutaj trzy ambony. Po obu stronach konfesji, tuż — bo to obecnie maleńka bazyliczka — o parę stopni nad posadzką, aż do drugiej kolumny nawy sięgają ambony — pulpity dla djakona i subdjakona. Forma najprostsza, pierwsza po zwykłym pulpicie. Na wysokiem podmurowaniu (trzy stopnie wysokości) wznosi się ściana frontowa ambony (obie są jednakowe) przybrana szachownicą z dziesięciu ciemno-czerwonych płyt, bramowanych i poprzegradzanych wąskiemi paskami mozajki. Harmonja i spokój: czerwień płyt matowa, wstążki z kamyczków granatowych i czerwonych, ożywione złotemi gwiazdkami. Nad gładkim gzymsem w środku tego frontonu złoty orzeł na rozpostartych skrzydłach trzyma pulpit. Każdą zdobią też ciche kwiaty z białego marmuru. Oto na obu krawędziach stoją smukłe pieńki świeczników o szerokich skrętach — u głowicy liście rozchylone. Pod świecznikami — od konfesji tylko, podobne, nieco szersze kolumienki sięgają do pierwszego stopnia. I one, bardzo lekko zwinięte czynią wrażenie wstęg, fal, tem piękniejsze, że wykwitają na linji świecznika, przedzielone białą falą gzymsu, — mocniejsze nieco od górnych, jakoby ich wsparcie. — Harmonja i spokój — nie użyto żadnych barw jaskrawych — choćby się mogły z odległości zlewać, jak np. w S. Lorenzo. Gdy z nawy, od wejścia spojrzymy na całą tę dekorację, doznajemy dziwnego wrażenia — posadzka gruba ciosowa, cała bazylika smutna, a jaskrawa przeróka świetnej świątyni, — a na tem plebejskiem tle obok szlachetnej konfesji te dwa przecudne dywany — zabytki piękna. Mimowoli wspominamy różne trybuny dla mówców: i piedestały, i rostra dumne, najeżone dziobami naw, i mo-

numentalne kazalnice z bazylik wielkich — jednak zachwycić się musimy słodyczą i wdziękiem tych tak serdecznie zbliżonych do ludu ambonek, przybranych z prostotą prawdziwie helleńską. Ambona trzecia — nowoczesna stojąca w nawie blisko pulpitu od strony ewangelji — nie psuje harmonji — to siostra młodsza tamtych. Maleńka, okrągła. Na porfirowej podstawie zielony ciemny trzon — nad nim otocze kazalnicy, szersze odeń, bardzo jasne. Biel świeci. W białych prostokątach podłużnych poprzeczne żółe, w nich wpisane koła: — chmurne złoto — burzliwe niebo pod wieczór; — kąty proste ciemno-zielone, prostokąty świecą się, jak dalekie obłoki ozłocone o zachodzie. Artysta kochał pewnie chryzantemy.

S. Cesareo.

Równie, jak u SS. Nereusza i Achillesa, są i tu trzy ambony — dwa staro chrześcijańskiej modły: pulpity djakona i subdjakona, i trzecia „na kościele" — ambona. Dwie ambony — po bokach ołtarza, też jednakowej konstrukcji, różnią się od tamtej bazyliki tem, iż mają już dwubarwne płyty — czerwone i zielone — wrażenie wesołe — pulpit wspiera główka aniołka, między pulpitem, a frontonem szeroki pas mozaikowy. Od strony konfesji pas ten wspiera się też na kolumnie spiralnie, luźno dość skręconej, owitej wstążką barwną.

Ambona trzecia robi wrażenie gościa — jakiejś pysznej damy patrycjuszki, która nawiedziła skromny dom. Razi przesadą — tutaj oczywiście — w maleńkiem otoczeniu, każdy musi na nią zwracać uwagę, jakby ona była najważniejszą częścią architektury. Piękniejsza od niej, bo smuklejsza na podmurowaniu, nieprzeładowana ozdobami (ma tylko dwie kolumienki), — ambona ewangelisty w S. Maria na Ara coeli kryje się skromnie za olbrzymim filarem, — (zresztą przypadkowo). Nasza ambona ma ozdoby wszelkie. Galeryjka mówcy otoczona czterema aż kolumienkami spiralnemi we wstążkach mozaikowych — między niemi okna porfirowe czerwone — pod niemi szeroki, arcyciężki marmurowy gzyms — w środku baranek, obok niego po parze sfinksów, gryfów, — a to bogate pierwsze piętro ma godny

parter: pod galeryjką nisza, jak zwykle, z muszlą u góry, u dołu założona zielonym stopniem, strzeżona przez dwa pilastry w pozłocistych pasach. Blok spadzisty ambony osłaniający schody, patrzy na nas skromnie tylko czerwonem kołem w złotej rzęsie, lecz część jego stanowiąca przedłużenie niszy „parterowej" pyszni się olbrzymią zieloną płytą — jej ramy tulą się znów do korynckich kolumienek o trzonie skręconym i barwnym mozaiką, a te ramy to cudne białe gwiaździste liście z marmuru, a cztery trójkąty wewnętrzne świecą, jak złotogłów. — Starczyłoby tego materjału na parę ambon skromnie pięknych.

S. L. Skorska.

Polska epika historyczna w XVII wieku.

Niezwykły rozrost poezji epickiej cechuje literaturę polską wieku XVII. Po pierwszych niezręcznych próbach początkowych w stuleciu poprzednim,[1]) dochodzi ona obecnie przedewszystkiem do głosu i nadaje swoiste oblicze polskiemu piśmiennictwu barokowemu. Przyczyną tego zjawiska była z jednej strony poezja żołnierska, obozowa, datująca się nieprzerwanie jeszcze z drugiej połowy wieku XVI, a zawierająca w sobie wszelkie zalążki eposu (kombinację elementów rycerskich, patrjotycznych, lirycznych) — z drugiej zas wpływ Tassa, którego spolszczona przez Piotra Kochanowskiego „Jerozolima wyzwolona" stała się wzorem dla wielu poetów i rymopisów, pretendujących do stylu epickiego — oraz wpływ eposu starożytnej Romy, Wergiljusza „Aeneis" i Lukana „Pharsalia". Jednakże najważniejszym

[1]) Polska epika historyczna sięga niewątpliwie daleko wstecz, w głąb polskiego średniowiecza. Jeżeli dochowały się resztki utworów epicznych, opiewających Grunwald i Warnę (względnie zapiski kronikarskie o nich) (zob. Pilat „Historja literatury polskiej w wiekach średnich" w opr. Stan. Kossowskiego, t. II. str. 332), to — sądzę — również dobrze przyjąć można, że istniały także pieśni o Bolesławie Chrobrym, o Lignicy, może i o Leszku Białym czy Łokietku (Płowce!). Niestety ciąg tego rodzaju literackiego został przerwany tak, że o tamtych pierwszych pojawach naszej epiki historycznej wiemy bardzo mało, a raczej jej się tylko domyślamy. Jeżeli we wieku XVI i XVII ton ten znowu w literaturze naszej się odzywa, to pod wpływem atmosfery epickości ówczesnego życia polskiego. A że ten ton nie potrafił wznieść się na szczyty prawdziwej epopei, to nie tylko spowodu braku wśród autorów (jak wogóle w całem ówczesnem społeczeństwie polskiem) głębszego wykształcenia artystyczno-literackiego i obniżenia się poziomu kultury intelektualnej, ale niemniej także na skutek przerwania tradycji literackiej w dziedzinie epiki.

czynnikiem rozkwitu epopei na gruncie polskim było samo życie ówczesnej Polski, tak przebogate w pierwiastki epickie, bohaterskie, w pierwiastki kontrastu i niezwykłej dynamiki. Ta epickość „tkwiąca zarówno w ówczesnych wydarzeniach dziejowych, jak i w usposobieniu ludzi“ [1]) była w pierwszym rzędzie fundamentem, na którym wyrosła poezja polska doby baroku. Wszak wiek XVII, to, jak się wyraża prof. Dobrzycki, „najdramatyczniejsza epoka w dawniejszej historji polskiej“. [2]) „Jest to epoka przeciwieństw, nietylko w całej masie, ale i w poszczególnych jednostkach, złożonych równocześnie z elementów dobrych i złych. Obok postaci słabych charakterem lub nikczemnych, spotykamy w tej epoce najszlachetniejsze, najwznioślejsze postacie dawnej Polski. Obok upadku moralności politycznej, obok prywaty, warcholstwa i wichrzycielstwa, jaśnieją przykłady najgłębszych cnót narodowych, najczystszej miłości ojczyzny, zupełnego dla niej poświęcenia. Obok rozkiełznanego i rozhulanego indywidualizmu, przechodzącego w najgrubszy egoizm polityczno-społeczny — objawy zupełnego a chętnego podporządkowania się wymaganiom całości. Słowem, obok wielkich występków przeciw ojczyźnie jaśnieją i niepospolite cnoty i one to, w połączeniu z dobrem, pozostałem z epoki poprzedniej, pozwoliły państwu i narodowi trwać i żyć w gorszych niż przedtem warunkach“. [3]) Są to czasy, kiedy oręż polski przeżywał triumfy Kirchholmu, Chocima, Beresteczka, znowuż Chocima, Wiednia, ale również i tragedję Cecory oraz piławiecką hańbę. Przeżywała Polska swoją epokę wypraw krzyżowych przeciw muzułmańskiemu Wschodowi. Wojny tureckie i kozackie oraz następny „potop“ szwedzki i cudowna obrona Jasnej Góry podatnym były gruntem dla swoistego ukształtowania się naszej literatury siedemnastowiecznej.

Przecież właśnie w dobie baroku literatura polska jest ściśle związana z życiem, z niego czerpie swoją treść, sięgając w głąb przeżyć duszy Narodu. Stąd też importowana z zagranicy nowa moda literacka w stylu marinizmu długo

[1]) Dobrzycki: *Historja literatury polskiej* str. 206.
[2]) Ibidem, 188.
[3]) Ibidem 189/190.

u nas się nie utrzymywała, znajdując jako swojego reprezentanta — „cudzoziemca duszą i ciałem", jakim był Andrzej Morsztyn. [1])

Cechuje literaturę polską doby baroku (a zwłaszcza epikę) „dziwne i drażniące pomieszanie dobrego ze złem" jako rezultat tak serdecznego kontaktu jej z życiem, pełnem kontrastów świetności i upadków, świateł i cieni. [2]) Rozrost naszej epiki poprzedzały pierwsze próby jeszcze w w. XVI. Sili się na ton epiczny sam mistrz z Czarnolasu, opisując *Jezdę do Moskwy*, Krzysztofa Radziwiłła z roku 1581. Również i *Szachy* oraz parafrazę homerycką pojedynku Parysa z Menelausem można zaliczać do epicznych prób Kochanowskiego. Wśród zaczątków należy wymienić również Zbylitowskiego Andrzeja *Drogę do Rosji* z roku 1597 oraz przerobiony *Dla przyjemniejszego czytania* diarjusz kalwina Pielgrzymowskiego z poselstwa do Moskwy r. 1601. Najlepszym z tych pierwszych jest niewątpliwie Stryjkowski, który swoją „Kronikę Polską, Litewską, Żmudzką i wszystkiej Rusi" (1582) przeplatał licznemi wierszami, wśród których pierwsze miejsce zajmują obrazy bitew.

Z Pielgrzymowskim rozpoczyna się cały łańcuch przeróżnych wierszowanych relacyj aż pod sam koniec w. XVII. Jak wogóle nasze pamiętnikarstwo ówczesne, tak i owe rymowane sprawozdania, kroniki czy diarjusze są wynikiem właśnie owego ścisłego kontaktu z życiem. Wartość tych utworów jest bardzo różna. Obok rzeczy pod względem artystycznym zupełnie nieciekawych, mamy utwory, których autorowie rzeczywiście silą się na ton wyższy, epicki. Jeno trzeba nam patrzeć na ówczesną epikę nie ze stanowiska dzisiejszych wymogów artystycznych, lecz przyjmować je tak, jak spółcześni, dla których poema opisowe, w stylu np. *Przeważnej legacji* pana Samuela ze Skrzypny, podawało jedynie kolejność następujących po sobie wydarzeń, „bez farb i licencyj poetyckich". [3]) A jednak, właśnie wspomniana *Legacja* Twardowskiego zawiera

[1]) R. Pollak: *Uwagi o seicentyźmie*. Przegl. Współcz. 1925, str. 205/206.

[2]) Dobrzycki l. c. 187.

[3]) Ob. Pilat: *Historja literatury polskiej*, t. III, str. 88/89. „Według ówczesnych wyobrażeń polegała epika na dokładnem opisaniu i zesta

w sobie sporo elementów, wyodrębniających ją od zwykłego diarjusza rymowanego. Już sama introdukcja o tonie elegijnym na śmierć księcia Krzysztofa, jak niemniej zakończenie utworu, opisującego chwilę, kiedy Zbaraski, ciężką powalony febrą

„...swe niedostatki opłakawszy łzami
I świętemi omywszy je Sakramentami,
Śmierci, gdy już nadziei nie było o zdrowiu,
Jako wielki bohater czekał w pogotowiu". [1])

nadają poematowi pewną wyższą wartość artystyczną.

Jednak właściwy ton epicki o charakterze bohatersko-narodowym odzywa się dopiero w poematach, wyrosłych na polu walk siedemnastowiecznych. Jeżeli wspomniane próby epickie Kochanowskiego były nieudatne, wyrobione jeszcze według norm renesansowych, to jedną z zasadniczych przyczyn tego jest odrębność życia polskiego i duszy polskiej wieku złotego od stulecia „ognia i miecza". Wojowano coprawda i za czasów Kochanowskiego, ale wojny te toczyły się gdzieś na krańcach Rzeczypospolitej; nie były one „walką o istnienie narodowe, albo też bojem dwóch wrogich sobie pierwiastków, dwóch narodów, przeciwnych sobie pochodzeniem, religją, zwyczajami, z których każdy przeciwnika zgładzić usiłuje, by zapewnić zwycięstwo swej idei. Podobnie prawdziwie epicznych walk dwóch niezgodnych żywiołów wtenczas nie było". [2]) Czasy Reja i Kochanowskiego, spokojne, płynące wśród wygody i zniewieściałości, zajęte raczej ruchem umysłowym i sprawami wyznaniowemi, epice nie sprzyjały, boć nie znały też i polskiego języka epickiego, który stworzył dopiero Piotr Kochanowski, tłumacz *Jero-*

---

wieniu następujących po sobie faktów i zdarzeń, tak, jak w rzeczywistości się wydarzały; poeta, który tego dopełnił, uczynił zadość wymaganiom sztuki. Poeci też współczesni często we wstępie do poematów epicznych zaręczają, że będą prawdę pisali, że nic nie dodadzą, jakby poemat historyczny miał być dziełem historycznem i nie mógła nawet nie potrzebował zasilać się fikcją".

[1]) S. Twardowski: *Przeważna legacja...* wydanie Kaz. Józ. Turowskiego, Kraków 1861, str. 185.

[2]) Ob. Bełcikowski: *Notaty o literaturze i oświacie XVII wieku.* (Ze studjów nad literaturą polską), str. 102/103.

zolimy wyzwolonej Tassa. Inaczej natomiast było w w. XVII, kiedy wróg

„...nie z iedney strony,
Ale zewsząd ucisnął, że tak bezludnego
Nie masz kraju, i ziemie, i kąta żadnego,
Któregoby nie dotknął". [1])

Polska wtedy prowadzi wojny, „które posiadają wszelkie warunki, aby stały się przedmiotem epopei". [2]) Wypadki u samego początku nowego stulecia: wojny szwedzko-inflanckie (Chodkiewicz — Kirchholm), moskiewska (Żółkiewski — Smoleńsk) oraz turecka (Cecora — Chocim) były tylko jak się wyraża Brückner, „niewinnem preludjum" przed burzą, która miała spaść na Polskę w połowie wieku.

Ale już owo „niewinne preludjum" zrodziło dość bogatą epikę historyczną, wydając nawet echem swojem jeszcze w lat kilkadziesiąt potem, kiedy już ustała była najstraszniejsza wichura, utwór, stojący w pierwszym rzędzie wśród polskiej epiki, mianowicie *Wojnę chocimską* Potockiego.

Rokosz Zebrzydowskiego — obok przebogatej literatury polityczno-rokoszowej [3]) — kazał Marcinowi Błażewskiemu napisać *Tłumacza rokoszowego powiatu ruskiego,* gdzie autor „bije na brak miłości ojczyzny, na rokoszan, na przyszłą zgubę". [4])

Sporo utworów o charakterze epickim wywołały wypadki moskiewskie za Dymitra i Szujskich. Pisze więc Jan Żabczyc swojego *Marsa moskiewskiego* (1605), krojąc go na modłę epicką, o czem świadczy sam początek, aczkolwiek autor na własnych polega siłach, Muzy nie wzywając:

„Dzieje y Męża powiem, który z cudzey strony
Przyiechał y dosiągał od LACHÓW obrony

---

[1]) S. Twardowski: *Wojna domowa* IV, str. 151. (według wydania kaliskiego z r. 1681).

[2]) Bełcikowski l. c.

[3]) Ob. *Pisma polityczne z czasów rokoszu Zebrzydowskiego* 1606—1608. wyd. Jan Czubek, tom I.: Poezja rokoszowa, str. XI, 407; t. II i III:, Proza, str. XV, 480, 463. Kraków, 1916 i 1918. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności.

[4]) Brückner: *Dzieje literatury polskiej w zarysie,* Warszawa 1921/3 t. I, str. 300.

Ygrzyska powtarzaiąc Marsowe a zdroie
Ze krwią mieszał farbuiąc posoką pokoie
Mroźny kędy naczęściey BOREAS przebywa
A w Rypheyskich padolach swe biegi zakrywa".[1])

Również i Sebastjan Liftea uwiecznił sławne *Gody moskiewskie* (1607), a Krajewski, pisarz wielce płodny, dał nam nietylko „Chronologję wojny moskiewskiej", ale także obszerne opisanie „Szturmu Smoleńska" (1611). Spisek na Samozwańca zaś wywołał w Gdańsku anonimową „Pieśń o tyrańskwie Szuyskiego" (1609).[2])

Wojna polsko-moskiewska 1609—1618 zrodziła mnóstwo utworów o charakterze mniej lub więcej epicznym, z których dużo jeszcze spoczywa w rękopisach, inne zaś, choć drukowane, poszły w zapomnienie. I tak obok łacińskiego *Omen Principi Władisłao in expeditione Moschovitica* Starczewskiego (1610)[3]) mamy *Skargę utrapionej Ojczyzny* jakiegoś anonima[4]) oraz trącący Kochanowskim „Thren albo lament żałosny więźniów koronnych do hord tatarskich w r. 1618 zabranych" pióra Piotra Górczyna, autora innych jeszcze dziełek. Także S. Twardowski opisał w *Władysławie IV* zamieszania północne.

---

[1]) *Mars* Żabczyca jeszcze i z innego względu zasługuje na uwagę. Otóż pierwsze litery każdego drugiego wiersza, czytane w kolejnem następstwie, dają taki tekst:

„DYMITR IWANOWIC WSZYSTKIEY RUSI SAMODZIERZCA VGLICKIE DMITROWSKIE GRODZICKIE WŁODZIMIRSKIE MOSKIEWSKIE NOWOGRODZKIE XIĄŻE KAZANSKIEGO ASTRACHANSKIEGO SIEBIERSKIEGO CZAROW HOSPODARA PSKOWSKIEGO Y WIELKIEGO KNIAZIA SMOLINSKIEGO Y INNYCH HOSPODARY WIELKI KNIA. NOWOGRODA NIZOWSKIEJ ZIEMIE CZERNICHOWSKI ROZANSKI ROSTOWSKI IAROSŁAWSKI BIAŁOIEZIERSKI VDORSKI OBDORSKI KONDINSKI Y WSYTKIEJ SIEWIERSKIEJ ZIEMIE RZADCA Y HOSPODAR IWIERSKIEJ ZIEMIE HRVSZYNSKICH CZAROW Y KABARDYNSKIEJ ZIEMIE COREASKICH Y CORSKICH KANIAZIOW Y INNYCH HOSPODAROW HOSPODAR PAN Y DZIEDZIC PANSTW WSZYTKICH MOSKIEWSKIEJ MONARCHIEJ PODLE...".

Znajdujący się w Bibljotece Raczyńskich egzemplarz, z którego korzystałem nie ma karty tytułowej ani końcowej.

[2]) Estreicher, *Bibljografja polska* Og. zb. t. VIII.

[3]) Ibidem.

[4]) Ibidem.

Natomiast następna wojna turecka 1620/21, przynosząca Cecorę i Chocim, była niezwykłem podłożem dalszego rozrostu początkującej epiki polskiej. Ruchliwe pióro Marcina Paszkowskiego daje nam „Bitwy albo wiersz o walkach Polaków tego czasu" (1620), opisując także Cecorę i Chocim, oraz „Chorągiew sauromacką w Wołoszech" (1621), którą p. Marcin napisał, „dwu autorów przydłuższe zabawy tej marsowej sprawy wciąż przeczytawszy".[1]) Tenże r. 1621 przyniósł jeszcze inną „Chorągiew sauromacką" Bzowskiego[2]) oraz X. R. Skorulskiego *Laurus immortalis J. E. Chodkiewicz*,[3]) a Bartłomiej Zimorowic wydał w r. 1623 wierszowaną *Pamiątkę wojny tureckiej.*

Przedewszystkiem zaś sama wiktorja chocimska powołała do życia szereg poezyj, a wśród nich najcelniejsze całej naszej epiki barokowej. Obok „Naumachji chocimskiej" Jana Bojanowskiego (1622), który wały morskie porównywał z „niezliczonością durnego szmeru pogańskiego"[4]) mamy barokowo wystylizowane rapsody Samuela Twardowskiego, opiewającego w II punkcie *Władysława IV* batalję cecorską i chocimską oraz wyrosłą częściowo z eposu p. Samuela *Wojnę chocimską* Wacława Potockiego, najpiękniejszy pomnik, jaki literatura nasza przedrozbiorowa wystawiła potrzebie chocimskiej.[5]) Aktualna z początkiem wieku XVII kwe-

---

[1]) Cyt. Brückner we wstępie do wydania *Wojny chocimskiej* Wacława Potockiego. Bibl. Nar. S. I. Nr. 75. str. IX.

[2]) Estreicher l. c.

[3]) Ibidem.

[4]) Cyt. Brückner w rozp. o *Poezji wieku XVII*, Encykl. Pol. Akad. Umiej. t. XXI., str. 231.

[5]) Później, w dobie rokoka, sięgnął Krasicki po ten sam temat, co Twardowski i Potocki. Ale jakże daleko mu do tego tonu bohatersko-epicznego, jaki cechuje tamte utwory, wyrosłe w czasach, kiedy czyny polskiego oręża były jeszcze żywe, kiedy nie przygasły były jeszcze żagwie wojenne, ni ostygła krew rycerska. *Wojna chocimska* biskupa warmińskiego nie liczy się z prawdą historyczną, przeplata treść nicią romansową, czem może bardziej zbliża się do wzorów epiki włoskiej XVI w.; jednakże pewna miękkość, niezgodna z duchem hartu żołnierskiego, pewna dalej banalność i sielankowa czułostkowość czynią z tych oktaw „epopeję filigranową" — jak wyraża się Brückner — podobną do pomnika Sobieskiego w Wilanowie. (ob. Wstęp do wyd. „Wojny chocimskiej" Potockiego B. N. I. 75; str. IX).

stja turecka wydała pierwszą bodajże w Polsce rymowaną *Historję i wywód narodu cesarzów tureckich* pióra Wawrzyńca Chlebowskiego oraz przekład z Gundulicia *Osmana*, dwa, utwory o nikłej wartości literackiej. Niemniej i Aleksandra Obodzińskiego „Pandora starożytna monarchów polskich" (1641) zasługuje na wzmiankę, mimo rażącego panegiryzmu pod adresem Zygmunta III.

Nową falę poezji epicznej wywołały wypadki 1648 r. Na czele stoi *Wojna kozacka* (1651) Samuela Twardowskiego (jako część później spisanej *Wojny domowej*, obejmującej wypadki od roku 1648 do pokoju oliwskiego włącznie). Poemat Twardowskiego, (mówię o części poświęconej „buntom kozackim") góruje nad innemi utworami epickiemi siedemnastowiecznemi, poświęconemi polskiej wojnie chłopskiej, nietylko rozmiarami, ale i formą i układem, zwłaszcza, że żywo wyraża się tam stosunek autora do dzieła. Patrząc na epikę Polską z ówczesnego wyobrażenia artystycznego, można *Wojnę z Kozaki* Twardowskiego śmiało postawić na czele całej przedrozbiorowej literatury, która ma za temat wypadki r. 1648 i kilku lat następnych. Obok Twardowskiego, ale pod względem poetycznym niżej stoją Kuczwerewicza *Relacja expedycji zbaraskiej* (1650) i Jana Białobockiego, uczestnika wypraw chocimskiej i zbaraskiej, *Pochodnia woiennej sławy Jer. Mich. Wiśniowieckiego* (1649) oraz tegoż autora malutki ale bardzo ciekawy *Klar męstwa sławy Jeremiego* (1649). Zwłaszcza to ostatnie dziełko, najmniejsze z cytowanych, bo obejmujące tekstu str. 23 (mała 8°), opisuje jedenastozgłowkowcem krótko ale ciekawie „koniec krwawej Tragedyey", sporo miejsca poświęcając wsławionej później przez Sienkiewicza wyprawie Skrzetuskiego. Apostrofy zaś autora pod adresem narodu i uwagi jego na temat aktualnych spraw polskich, jak niemniej liczne metafory i porównania zbliżają autora do własnego dzieła i do czytelnika. [1])

[1]) Na końcu *Klaru męstwa* (zawierającego także sporo pochwał dla księcia Wiśniowieckiego), dodaje Białobocki taką uwagę

Do Czytających.

Rzecze kto: Iednych tylko Author chwali
Przyrzekam, że mu za to nic nie dali:

W łączności z tematem buntu Chmielnickiego, jeszcze bodaj o dwóch utworach wspomnieć należy: jeden to „rozmowa Ks. plebana z żołnierzem zwróconym z wojny kozackiej r. 1648", pióra Samuela Leszczyńskiego, tego samego, co wsławił się u spółczesnych swoją epicką *Potrzebą ze Szeremetem* (1861), swoim na humorystyczną skalę zakrojo-

---

Jeśli też rzecze: że komu przymawia,
Namniey: ale bol Ojczyzny w Klar stawia".

W zakończeniu zaś właściwego tekstu *Objaśnienia Pochodni* zaznacza autor, że wiele

„...pominął / niechcąc Historyey
Obszerney pisać / którą nie wierszowi /
Ale wymowy wielkiey Człowiekowi
Raczey należy: by Konterfekt wieczny
Pismem wyraził / iako on Waleczny
Narod Nasz przyszedł o wielką niesławę".

A co było przyczyną tej „niesławy",

„Bóg a Potomność" — lepiey będzie sądzić".

Warto także przytoczyć ustęp, poświęcony wyprawie Skrzetuskiego, gdyż jest to jedna z dłuższych spółczesnych relacyj.

[Król] „Ruszył się y sam / mało co spocząwszy /
Tę Pannę swiętą sobie w pomoc wziąwszy,
Y przybył z Woyskiem swym do Toporowa /
Tam go zastała wiadomość Woyskowa
O oblężeniu Zbaraskim; Cudowny
Kursor przychodzi / ledwieby mu równy
Pokazać się mógł w przykładach Woiennych
Abo w fortelach pamięci przyiemnych.
Wybrał się ieden Towarzysz z naszego
Obozu cięszko iuż oblężonego /
Który obiecał Woyska Przełożonym /
Że się chce puścić zdrowiem odżalonym:
Dokazać: aby od nich wiadomości
Doszły samego KROLA IEGO MOSCI.
Y poszczęścił Bog zamysłowi iego /
Bo wziąwszy listy z Obozu naszego /
Nocą się puścił w pław przez staw głęboki /
Iako niosł listy to rozum wysoki.
Gdyż ziemią wprost przeyść niepodobna była /
Óma w kolusieńko Oboz obłożyła.
Ten opowiedział o srogim ściśnieniu
Naszych / y Woyska zewsząd otoczeniu.
Od Nieprzyiacioł gęstymi Pułkami /
Tak Kozackiemi / iako y Ordami.

nym „Jantaszkiem" wracającym z wojny moskiewskiej po cudnowskiej wiktorji (1663) — oraz przeładowanem schyłkową ornamentyką barokową „Classicum nieśmiertelne sławy" na cześć króla Jana (1674). Drugi zaś utwór dał nam p. Marcin Borzymowski, który w r. 1651 odbył zajmującą „Morską nawigację do Lubeka, przez pewną tak polskiej jako i niemieckiej nacyey kompanią", a opisując ją w 10 lat później, wspomina także „buntu kozackiego początek" i „ekspedycyę z okazyey Beresteczka". Ekspedycję zborowską opisał wierszem również Radwan, szlachcic polski (1649).

Przeszły już były do historji potrzeba cecorska i chocimska, dokoła zbaraskiej snuć się poczęła złota nić legendy, a tylko „piławiecka nieszczęśliwa" zawsze jeszcze niby zmora ciążyła na narodowem sumieniu — kiedy na ojczystych łanach rozszalał „Taniec Rzeczypospolitej Polskiej..." (opisany przez Gabryela Krasińskiego), który powołał do życia drugą połowę „Wojny domowej", pana Samuela ze Skrzypny. Wówczas także powstaje dzieło, wzorujące się ściśle i najbardziej z całej literatury naszego seicenta na *Jerozolimie wyzwolonej* Tassa — Kochanowskiego: opis „Oblężenie

---

Listy w Charakter były napisane /
Z takim dokładem iemu w ręce dane:
Że iedna tylko Osoba przy Dworze
Pańskim gdy będzie / tłumaczyć ich może.
Y tak dokazał Żołnierz on poczciwy /
W czym mu pomagał Pan Bóg dobrotliwy.
Bo Staw przepłynał / listy tak trzymaiąc /
Że ich nie zmoczył / sam się ponurzaiąc.
A kiedy z Stawu wyszedł / tak vgadzał /
Żeby mu był nikt prześcia nie przeszkadzał.
Raz na bałuku / drugi raz na kryie
Między łodziami / tylko wodę piię.
Że coś nad dziesięć mil; dosyć nie wiele /
Zaledwie przeszedł w pułtory Niedziele.
Oddał Pisania PANU, y powiedział /
Co tylko naszym potrzebne wiedział.
Taką odwagą Szlachcica Polskiego /
W pamiętną sławę Domu SKRZETUSKIEGO
KRÓL IEGO MOŚĆ był wielce ucieszony /
Że miał wiadomość...".

Twardowski podobnież, acz krócej, opisuje czyn Skrzetuskiego, spopularyzowany później przez Sienkiewicza.

Jasnej Góry Częstochowskiej", pióra (podobno) X. Walentego Odymalskiego [1]) (napis. przed. r. 1673). Te czasy najazdu wroga północy spowodowały także Żmudzina do skreślenia „Relacji żmudzkiego wejścia i wyjścia ze szwedzkiej opieki" (1658).

Tymczasem i ten „Taniec" z cudowną obroną Jasnej Góry przechodził zwolna do historji, a orężowi polskiemu zawsze jeszcze nie było danem odpocząć po tak długich i ciężkich marsowych robotach. Jeszcze u schyłku stulecia okrył się żałobą kamieniecką, ale zajaśniał także najświetniejszemi bodajże triumfami: drugiej chocimskiej i wiedeńskiej wiktorji. Rzecz zrozumiała, że czyny te musiały się odbić także w poezji ówczesnej. I tak Stanisław Makowiecki opowiada nam: „Imprezę" o Kamieńcu, z rąk zaś autentycznego świadka drugiej chocimskiej wyprawy, Slizienia, otrzymaliśmy „Haracz krwią turecką wypłacony". Wreszcie Wespazjan z Kochowa Kochowski, co to już uprzednio był wystawił rokoszaninowi Lubomierskiemu „Kamień świadectwa wielkiego w koronie polskiej senatora niewinności" (1668) oraz opiewał w przeróżnychodach i epodach wypadki historyczne od zgonu Władysława IV do chocimskiej wygranej — silił się na epicznie zakrojone „Dzieło boskie" albo „Pieśń Wiednia wybawionego i inszych transakcyey woyny tureckiey w r. 1683. szczęśliwie rozpoczętey" (1684). Ale zawikłany w cały labirynt alegoryj i wynurzeń uczuciowych, spuścił z tonu czy raczej zamiaru epicznego, rzeczy nawet nie dokończył, żegnając króla Jana w chwili jego przybycia pod Łysą Górę.

Oto rzut oka na naszą rodzimą poezję epiczną we wieku polskiego baroku, czynu i myśli. Do tej galerji jeszcze jedno dzieło dodać koniecznie trzeba, z obcego wyrosłe gruntu ale w polski odziane kontusz, z polską przedewszystkiem kara-

[1]) Piszę „podobno", bo kwestja autorstwa „Oblężenia" nie jest jeszcze ostatecznie rozwiązana. Wydawca poematu, prof. Czubek, przypisał go Ks. W. Odymalskiemu. Że wywody prof. Czubka były niezadowalające, ob. „Uwagi na marginesie pierwszego wydania", pióra prof. Pollaka, w Pamiętniku Literackim R. XXXIII (1931) str. 424—438, oraz recenzję prof. J. Krzyżanowskiego, któremu pomieszczenie nazwiska Odymalskiego na karcie tytułowej wydaje się akurat tyle warte, co Lipski na pierwszem wydaniu *Wojny chocimskiej* (Pam. Lit. R. XXVIII (1931), str. 313—321).

belą przy boku. Jest to przekład Tassowego *Goffreda*, dokonany przez Piotra Kochanowskiego, który pozatem przyswoił nam także *Orlanda Szalonego* Ariosta. Jeżeli przekład Ariosta nie zaznał zbyt gorącego przyjęcia (wszak spowodu braku chętnego nakładcy czy mecenasa przeleżał w rękopisie aż hen pod sam koniec stulecia osiemnastego), to *Jerozolima wyzwolona* wydana prawie u samego początku wieku naszego „baracco" (1618), w przededniu Cecory i Chocimia, stała się poprostu wyrocznią i wzorem dla całej naszej epiki późniejszej. Porwała spółczesnych bohaterska treść walki orężnej i duchowej dobra ze złem; przykuwał i język mistrzowski, przewyższając oryginał w opisach batalistycznych. [1]) Do *Goffreda* Tassa — Kochanowskiego sięgali i zeń całemi haustami czerpali najwięksi nasi epicy tego stulecia.

Epika nadaje ton naszemu piśmiennictwu siedemnastowiecznemu, czyni polską poezję barokową par excellence polską i narodową. Dzięki niezwykle silnemu kontaktowi z ówczesnem życiem polskiem, politycznem i religijnem, zdobywa się ona na wysoki ton rycerski i patrjotyczny, [2]) wprowadza do literatury polskiej szereg postaci i sytuacyj historycznych, przez co powiększa zakres polskiej poezji.

Rozlega się w tej epice szczęk polskiego oręża. Słychać tupot naszej konnicy, czuć w niej prochem i dymem, przenikają ją wojenna wrzawa i zgiełk różnobarwnego życia polskiego. Wyziera z niej nietylko sromota i wstyd, ale bije także duma narodowa i religijna. W obliczu polskich krucjat dla obrony Krzyża łączy się z tonem rycerskim ton religijny,

---

[1]) Ob. studjum prof. R. Pollaka o elementach batalistycznych pol. przekładu *Goffreda* (Akad. Umiej. w Krakowie Wydz. Filol. Rozprawy tom LIX, Nr. 4, r. 1920). „Nie był Tasso — pisze autor — rycerzem z krwi i kości, ale był z krwi i kości poetą — natomiast tłumacz znajomością rycerskiego rzemiosła i zapałem do rycerskich spraw nieraz poetyckie niedostatki wynagradzał. Przedstawiając wojenne narady, harce i walki, odzyskiwał tężyznę i pewność siebie; posuwiście, pokręcając wąsa, z błyskami rycerskiego animuszu w oczach, szedł w wojenny taniec z włoskim mistrzem, „rum sobie czynił" i na dalszy plan nie pozwalał się zepchnąć żadnemu z późniejszych rywalów". (Ob. także str. 19).

[2]) Zresztą podobny ton bohaterski, jako odblask rzeczywistości polskiej, cechuje także naszą prozę siedemnastowieczną, zwłaszcza pamiętnikarstwo i kaznodziejstwo.

o charakterze egzaltacyjnym. „Zjawiają się tony mistyczne jakby echa mesjanizmu: myśl, że te klęski spadłe na naród, są karą za winy, ale równocześnie i zrządzeniem Bożem, wiodącem naród do dalszych, wyższych celów". [1]) Starowolski, Kochowski, Białobocki oraz ów kapelan Elearów polskich, ks. Dębołęcki — to reprezentanci tego gatunku literackiego, który stanowi przejście od rycerskiej epiki historycznej do liryki religijno-patrjotycznej.

Z drugiej zaś strony brak głębszego wykształcenia literackiego i artystycznego stał się powodem, że w epice polskiej ówczesnej mamy szereg cech ujemnych. Tak np. źle pojęte połączenie elementów historycznych z fantazyjno-romansowemi, które widziano u Tassa, kazało z jednej strony prawdę historyczną odtwarzać jaknajwierniej, bez dygresyj, natomiast poetycką zdobniczość upatrywano w elemencie romansowym i fantazyjno-mitologicznym, do którego później dołączono tendencje moralizatorskie i przewlekłą gadatliwość. Zatem jedne z tych naszych epopei siedemnastowiecznych „staną się poprostu rymowanemi kronikami lub diarjuszami (zwłaszcza naturalnie wtedy, gdy twórcą jest poeta mało utalentowany), w innych z elementem głównym, historycznym, złączony będzie zdobniczy element romansowy czysto mechanicznie, bez wewnętrznego związku. W innych znowu nadmiernie rozrosłe ustępy moralizatorskie przerywają akcję i tworzą dygresje, odbiegające zbyt daleko od tematu. Zatem obok zalet ogólnych, obok poszczególnych ustępów żywych, barwnych, o wysokiej wartości poetyckiej, epopea polska siedemnastego wieku cierpi na dotkliwe braki formy, zwłaszcza kompozycji, braki tkwiące nietyle w indywidualnościach poetów, ile raczej w pojęciach literackich całej epoki". [2])

---

[1]) Dobrzycki: *Historja literatury polskiej*, str. 209.
[2]) Ibidem 230/231.

Ks. Mgr. Alojzy Kowalkowski.

Księżniczka polska opatką niemiecką.

W najstarszej polskiej kronice Galla, pisanej w czasie panowania Bolesława Krzywoustego, czytamy, że ojciec tegoż księcia, Władysław Herman (1079—1112) miał dwie żony, pierwszą Judytę czeską, a drugą Judytę Marję niemiecką. Z pierwszej miał syna Bolesława, z drugiej natomiast same córki, nieznanego zresztą w historji imienia. Ich matka, Judyta Marja salijska była córką cesarza Henryka III (1039—56) i Agnieszki de Poitou, zmarłej w Rzymie w klasztorze 1077 r., a siostrą cesarza Henryka IV-go głośnego ze swej walki z papiestwem. Jej córki zatem a księżniczki polskie były wnuczkami jednego, a siostrzenicami drugiego cesarza.

Nie znamy imion tych księżniczek, a na ogół wiadomo było o nich bardzo mało. Jedna z nich wyszła za księcia ruskiego, a to jak przypuszcza Balzer w Genealogji Piastów, za Jarosława ks. kijowskiego i zmarła na Rusi wcześnie, bo jeszcze przed 1112 r. Druga wyszła za mąż w Polsce, za jakiegoś nieznanego bliżej możnowładcę, trzecią zaś oddali rodzice do klasztoru. Zainteresowanie nasze wzbudza w tej chwili ta właśnie zakonnica mimo, że ani kronika Galla nie umie nic więcej o niej powiedzieć, ani też Balzer nie może bliżej określić, gdzie, kiedy i w jakim klasztorze złożyła śluby zakonne. Mimo to w olbrzymim labiryncie źródeł, kronik i zabytków średniowiecznych udało nam się schwycić nitkę Arjadny, która tę zapomnianą postać księżniczki polskiej na jaśniejsze pole historji wyprowadzić zdołała.

Małżeństwo Władysława Hermana z Judytą salijską zawarte zostało w 1088 r. a ponieważ przyszła zakonnica była

drugą lub trzecią córką z rzędu, przeto mogła się urodzić około 1090 r. Losy ówczesnych księżniczek decydowały się bardzo prędko i gdy nie było zawczasu odpowiedniego konkurenta, oddawano je do klasztoru. W rodzinie Władysława Hermana nie był to zresztą pierwszy wypadek. Ta sama Judyta salijska odesłała do klasztoru i starszego syna książęcego Zbigniewa, jedynie dlatego, że był nieprawego łoża, a uczyniłaby to samo i z drugim Bolesławem, gdyby własnego syna posiadała. Zamknięcie córki w klasztorze musiało nastąpić dość wcześnie, jak tylko ta bez opieki matki obejść się mogła, a więc w jakim 10 roku jej życia, jak to wówczas było przyjętem. Pozostaje tylko pytanie, do jakiego to klasztoru ją oddano.

Nie ulega wątpliwości, że musiał to być klasztor obcy, zagraniczny, choćby dlatego, że w Polsce klasztoru żeńkiego jeszcze wówczas nie było. Wprawdzie w kronice Galla są ślady, że już Kazimierz Odnowiciel zakładał męskie i żeńskie klasztory, ale mimo to żadnego z nich wskazać, ani nazwać nie możemy. Jest przypuszczenie, że klasztory żeńskie były organicznie złączone z męskiemi, ale na to nie ma żadnej podstawy. Prawdopodobnie do połowy XII wieku nie było żadnego klasztoru żeńskiego w Polsce, a najstarszy ze znanych, klasztor Norbertanek w Strzelnie, jeszcze za Władysława Hermana nie istniał.

Musiał to być klasztor zagraniczny i z tego względu, że nie było wówczas zwyczaju, by członków rodziny książęcej zamykać w krajowych, polskich klasztorach. Ta sama Judyta Hermanowa wysłała swego pasierba Zbigniewa nie gdzieindziej, jak do klasztoru Saskiego, przedtem jeszcze Kazimierz Odnowiciel był mnichem, jak wieść niesie, aż w Cluniacum; matka jego królowa Rycheza, wdowa po Mieszku II, wstąpiła do klasztoru w Brunwiller, jeszcze dawniej jeden z synów Chrobrego był zakonnikiem w klasztorze św. Romualda pod Rawenną, a Oda wdowa po Mieszku I skończyła w klasztorze kwedliburskim.

Księżniczka polska była jednak równocześnie kuzynką cesarską a to wnuczką ces. Henryka III i siostrzenicą ces. Henryka IV i dlatego według wszelkiego prawdopodobieństwa oddaną została do takiego klasztoru w Niemczech,

gdzie przebywały zwykle córki i kuzynki panującego cesarskiego domu. Tego rodzaju klasztorem był klasztor Benedyktynek w Gandersheim w Saksonji u stóp Harcu w dzisiejszem księstwie Brunświckiem, Była to potężna i bogata instytucja, założona pierwotnie przez ks. Ludolfa saskiego w 852 r. w Brunshausen, ale już po 4 latach przeniesiona do Gandersheim, która w X i XI wieku do dużego doszła znaczenia i jako znakomite opactwo zasłynęła. Przyczyną zaś tej sławy i znaczenia była właśnie ta okoliczność, że tu oddawały swe córki najznakomitsze rody niemieckie, a i sam dwór cesarski nie gdzieindziej jak właśnie tutaj umieszczał swoje nadliczbowe królewne. Te po dłuższym przeciągu czasu, zostawały zwykle opatkami i nadawały już z racji swego pochodzenia klasztorowi daleko większe znaczenie niżby to mogły uczynić opatki mniejszych rodów.

W Gandersheim w końcu X wieku żyła słynna poetka staroniemiecka Hroswita, ale jako mniszka, która mimo swego talentu, nie doczekała się wyższych godności. Natomiast opatkami były księżniczki jak naprz. Adelajda I († 1045) córka cesarza Ottona II-go, później Beatrycza († 1062) i Adelajda II († 1095) córki ces. Henryka III-go, wreszcie Adelajda III († 1103) córka ces. Henryka IV-go. Gdy później w XII wieku brakło córek cesarskich, opatkami zostawały córki potężnych książąt niemieckich jak naprz. Adelajda IV († 1184) córka palatyna saskiego, i Agnieszka II († 1203) córka margrabiego miśnieńskiego.

Jest rzeczą uderzającą, że dla trzech z rzędu opatek ganderseimskich, Beatryczy, Adelajdy II i Adelajdy III, które z końcem XI wieku tę godność piastowały była polska księżniczka, córka Władysława Hermana i Judyty salijskiej, najbliższą kuzynką. Matka bowiem jej Judyta była rodzoną siostrą opatek Beatryczy i Adelajdy II, jej córka była zatem ich siostrzenicą, a zarazem siostrą cioteczną opatki Adelajdy III. Już z tego samego względu nadawał się Ganderscheim więcej niż inne klasztory, na miejsce doczesnego pobytu księżniczki piastowskiej.

Ale na to mamy i inny bardziej bezpośredni dowód. Oto wśród kronik niemieckich istnieje jedna rymowana, spisana przez niejakiego mnicha Eberharda około 1216 r., która

wymienia cały szereg opatek gandersheimskich z XI i XII wieku, dodając ile która z nich lat rządziła klasztorem. Otóż kronikarz ten umieszcza między opatką Wrederuną a Bertą w 1-ej ćwierci XII wieku opatkę Agnieszkę o której powiada, że była siostrzenicą cesarza Henryka IV i że rządziła klasztorem przez lat 15. Jest to wiadomość dla nas niesłychanie cenna gdyż, jak przy bliższem badaniu się okazało, odnosi się właśnie do zapomnianej Piastówny.

Cesarz bowiem Henryk IV miał wprawdzie 3 siostry, Beatryczę, Adelajdę i Judytę, ale dwie pierwsze z nich były niezamężne i wstąpiły właśnie do klasztoru w Gandersheim, a tylko trzecia Judyta wyszła zamąż, najprzód za króla Salomona węgierskiego i z tym dzieci nie miała, potem za Władysława Hermana polskiego i tego obdarzyła trzema córkami, z których znów jedna tylko poszła do klasztoru. Ta tylko była i być mogła tą siostrzenicą cesarską, o której wspomina Eberhard w swojej kronice, jako o mniszce, a później opatce gandershermskiej.

Z jego słów dowiadujemy się dopiero, że tej Piastównie na imię było Agnieszka. Zgadza się to z zwyczajem ówczesnym w domach panujących, by dzieciom nadawać imiona przodków a więc chłopcom imiona ojca, dziadka, pradziadka, córkom zaś imiona matki, babki lub prababki. Stąd u Piastów tyle Mieszków, Bolesławów, i Władysławów, z jednej strony, a tyle Anien, Elżbiet i Jadwig z drugiej strony. Córka Władysława Hermana dostała imię Agnieszki z powodu, że jej babka cesarzowa, żona Henryka III była Agnieszką. Niewątpliwie druga z córek miała po matce imię Judyty, a trzecia może Marji.

Dowiadujemy się dalej, że ta Agnieszka Piastówna oddana może koło 1100 r. do klasztoru w Gandersheim w ręce swoich ciotek, została tam po pewnym czasie opatką czyli objęła rządy klasztoru, jednego z najbogatszych w Niemczech. Stać się to miało po śmierci opatki Wrederuny, która, jak kronika pisze, przez lat 7 kierowała klasztorem. Historja ustaliła te lata na czas 1103—1110 lub 1111, z czego wynika, że Agnieszka polska wybrana została opatką w Gandersheimie w 1111 r. Ponieważ urodziła się najwcześniej w 1090, a do klasztoru oddaną została może koło 1100 r.

przeto opatką została w bardzo stosunkowo młodym wieku mając lat około 20 i po najwyżej 10 letnim pobycie w klasztorze.

Elekcja tak młodej mniszki na opatkę potężnego klasztoru mogła nastąpić jedynie ze względu na jej niepospolity umysł i zdolności, a zarazem ze względu na jej wysokie pochodzenie. Jasne jest, że w takiej instytucji fundowanej specjalnie dla panien z najwyższych sfer społecznych, pochodzenie grało pierwszorzędną rolę. Poprzedniczka Agnieszki Wrederuna została opatką jedynie dlatego, że w danej chwili nie było żadnej księżniczki krwi cesarskiej, zdolnej do objęcia tego urzędu, Agnieszka zaś polska była jeszcze za mała. Ale po Wrederunie, Agnieszka już była pełnoletnia i jedyna w klasztorze, która książęcem pochodzeniem i cesarskiem pokrewieństwem zaćmiewała wszystkie inne. Na nią więc wybór paść musiał, tak jak dawniej na Beatryczę i Adelajdę jej ciotki, a siostry cesarskie.

Ta sama kronika rymowana Eberharda podaje, że Agnieszka dzierżyła opactwo gandersheimskie przez lat 15 w swoich rękach i że jej następczynią była niejaka Berta. Wynika z tego że swój urząd piastowała Agnieszka w latach 1111—1126 i że umarła stosunkowo młodo w 36 lub 37 roku życia. Jej następczyni Berta występuje już w źródłach jako opatka pod datą 18. VIII. 1127 r. Surowe ówczesne klasztory nie sprzyjały długiemu życiu swych ofiar.

Jakież były, zapytamy z kolei, rządy młodej księżniczki polskiej w owych 15 latach jej opactwa. Z góry musimy stwierdzić, że nie został po niej ani jeden dokument, że nie znalazła się ani jedna o niej wzmianka w źródłach i że oprócz lakonicznych słów wspomnianego Eberharda, żaden inny kronikarz nie poświęcił jej ani jednego słowa. Okres bowiem jej rządów przypadł na bardzo niespokojne czasy w Niemczech, kiedy umysły zajęte były dwoma innemi zagadnieniami, a to walką cesarza Henryka V z papiestwem o inwestyturę i walką tegoż cesarza z opozycją saską. Cesarz Henryk V był niewątpliwie tym, który w 1111 r. swojej kuzynce Agnieszce polskiej dał inwestyturę na opactwo gandersheimskie i tym, który później wśród buntu panów saskich miał w niej wierną sojuszniczkę. Nie ulega też wąt-

pliwości, że tę wierność musiał nagrodzić pomnożeniem jej godności i znaczenia, a jakiego rodzaju były to godności, o tem mówią nam monety ówczesne, jedyne ze zabytków, na których zostały ślady rządów naszej księżniczki.

Wśród wielu przywilejów, jakiemi klasztor Benedyktynek gandersheimskich został obdarzony, istnieje jeden ces. Ottona II z dnia 4 sierpnia 990 r. przyznający temu opactwu prawo bicia własnej monety. W myśl zwyczaju ówczesnego było to prawo uzupełnieniem prawa targowego i handlowego, a było równoznaczne z pozwoleniem na założenie osiedla mniejszego koło klasztoru i urządzenia tamże targów, pozostających pod opieką i kontrolą opactwa. Moneta była tylko wykładnikiem tego handlu i miała nietylko umożliwiać ruch handlowy ale i dawać klasztorowi pewne dochody. Przywileje tego rodzaju otrzymywali od Ottonów i Henryków wcale gęsto biskupi i opaci niemieccy, tem bardziej więc dostały się opactwu, przeznaczonemu niejako z góry na uposażenie córek cesarskich. Tylko że, jak się zdaje, opactwo nie skorzystało z tego przywileju, nie znamy bowiem dotąd monet gandersheimskich opatek, natomiast znamy takie z sąsiedniego klasztoru Benedyktynek, mianowicie z Kwedlinburga.

Kwedlinburg był niejako siostrzaną instytucją Gandersheimu. Założony w 936 r. u stóp gór Harcenskich przez Matyldę żonę króla Henryka I Ptasznika, był również przeznaczony dla cór książęcych i już drugą w nim opatką była Matylda córka Ottona I-go († 999 r.). Później w ciągu XI wieku wyrobił się tu zwyczaj, że opatkami kwedlinburskiemi były opatki gandersheimskie, zwłaszcza, jeżeli były cesarskiego pochodzenia. A więc Adelajda I († 1045) córka Ottona II, Beatrycza († 1062) i Adelajda II († 1095) córki Henryka III były równocześnie opatkami w obu klasztorach. Jeszcze i w XII wieku Berta († 1134) i Adelajda IV († 1184) miały inwestyturę na oba opactwa równocześnie. Takie kumulowanie dwóch urzędów i godności było możliwe tylko przy poparciu cesarza, który znów godził się na to jedynie ze względu na swoje siostry i krewne, zwiększając w ten sposób znakomicie ich uposażenie, potęgę i znaczenie.

Otóż monety kwedlinburskie są świadectwem, że to samo przypadło i Agnieszce polskiej w udziale. Prawo bicia monet otrzymał klasztor kwedlinburski jeszcze od ces. Ottona III dnia 23 listopada 994 r., podobnie jak w Gandersheimie, razem z prawem celnem i handlowem. Tym razem przywilej ten został wykorzystany. Klasztor odrazu urządził targi i jarmarki i począł bić monetę na wzgórzu, które z tego powodu do dziś dnia nosi nazwę Münzenberg.

Monety kwedlinburskie nie mają początkowo imienia opatki na sobie, lecz imię cesarza, a to dlatego, że cesarz był tu świeckim opiekunem czyli wójtem klasztoru. Pierwszą opatką pod której imieniem bito tu denary klasztorne to Adelajda II (1063—95) córka ces. Henryka III i ciotka Agnieszki polskiej. Po niej następują denary nieznanej bliżej opatki Eiliki, która musiała tu rządzić w początkach XII wieku, a następnie denary opatki Agnieszki, która niewątpliwie jest tą samą co w Gandersheimie Agnieszką polską. Przemawia za tem zwyczaj obierania kuzynek cesarskich opatkami w obu klasztorach oraz fakt, że styl i technika tych denarów zdradzają ich czas powstania, ten sam właśnie, jaki oznaczony został 15 letniemi rządami Agnieszki w Gandersheimie t. j. 1111—1126 r.

Monety zatem są dowodem, że ta sama Agnieszka, księżniczka piastowska, była opatką w dwóch największych i najbogatszych klasztorach niemieckich. Gandersheimie i Kwedlinburgu, czyli zajęła tu takie samo stanowisko, jak jej ciotki Beatrycza i Adelajda II oraz jak jej siostra cioteczna Adelajda III. W Gandersheimie stało się to, jak widzieliśmy w 1111 r. po śmierci opatki Wrederuny, w Kwedlinburgu zaś po śmierci nieznanej bliżej Eiliki, ale w którym roku, nie wiadomo. Myślę, że albo równocześnie albo nie długo potem, a to z powodu, że cesarz Henryk V wyobrażony na niektórych z tych monet nosi na głowie koronę cesarską podobnie jak na innych monetach cesarskich bitych zaraz po koronacji, która się odbyła 15 kwietnia 1111 r.

Monety Agnieszki pochodzące z mennicy kwedlinburskiej noszą na sobie jej popiersie albo cesarza lub wójta, kościół lub prawicę bożą. Księżniczka przedstawiona jest w stroju opackim, z welonem na głowie i trzyma zwykle

w ręku laskę zakończoną krzyżem i chorągiewką. Badacze niemieccy przyznają, że mało jest monet średniowiecznych, któreby miały więcej wdzięku i prostoty, więcej szczerości i prawdy niż te denary. Nie są to jednak wybitne dzieła sztuki, nawet nie są zbyt oryginalne z powodu, że kościół i prawica na nich wyobrażona jest dość częstem i szablonowem zjawiskiem na monetach niemieckich tego czasu i zwykle skopiowana z monet arcybiskupich magdeburskich, albo z monet cesarskich goslarskich.

Więcej światła rzucają na omawianą tu postać napisy umieszczone na jej monetach. Oto czytamy tam:

1) ANGNES AB. — FRIERICVS Q A
2) ANGNES AB — QVIDELINB.
3) ELECCIO MEI — HEINRIC...
4) ELECCIO MEI — QVIDELINB...
5) ELECCIO MEI — DEXTERA DNI
6) ANGNES — HEINRICVS IM.
7) ANGNES ABAT — QVENDLINB.
8) ANGNES ABAT — DEXTERA DNI
9) ANGNES ABATISSA FIDES

Jak na 15 lat rządów, a i mniej może, o ile się tyczy Kwedlinburga to liczba powyższych odmian jest wcale duża, tem bardziej, że niektóre z przytoczonych mają jeszcze sporą ilość drobniejszych warjantów. Uderza przedewszystkiem pisownia jej imienia ANGNES zamiast AGNES, co widocznie dla dyalektu saskiego bardziej odpowiadało. Tytuł abatissa jest czasem opuszczony, a w niektórych monetach zamiast imienia jest koło tego samego popiersia ELECCIO MEI, napis świadczący, że moneta wybita została na pamiątkę elekcji Agnieszki na opatkę kwedlinburską. Elekcję tę widocznie wysoko sobie ceniła a objęcie drugiego z rzędu bogatego opactwa musiało jej mocno pochlebiać. Niewątpliwie przyczyniła się do tego protekcja cesarza, jej kuzyna, Henryka V, stąd też i jego popiersie na niektórych z tych monet pamiątkowych.

Ale poza opatką Agnieszką i naturalnym jej protektorem ces. Henrykiem V widzimy na tych monetach kwedlinburskich jeszcze i rycerza z imieniem Fryderyk. Litera A przy jego imieniu, to skrót jego tytułu *advocatus* czyli wójt, a zatem mamy do czynienia z niejakim wójtem Fryderykiem,

który obok cesarza, albo w czasie jego nieobecności w kraju, musiał sprawować opiekę nad klasztorem, być jego świeckim obrońcą i rzecznikiem. Już na monetach poprzedniej opatki Eiliki, znalazło się popiersie takiego wójta, wyobrażone jako popiersie rycerza z mieczem i dzidą w ręku, co jest wskazówką, że wtedy to musieli królowie niemieccy zrezygnować z piastowania tego urzędu, a klasztor obrał sobie wójtem kogo innego. Możliwe, że Eilika nie pochodząc z rodu królewskiego, przeprowadziła wybór na ten urząd swojego ojca lub jakiego krewnego, a niewątpliwie jednego z panów saskich.

Za Agnieszki, wójtem takim, przynajmniej w początkach jej rządów był Fryderyk, może nawet ten sam co za Eiliki. Jest duże prawdopodobieństwo, że był to znany palatyn saski, Fryderyk von Goseck, Putelendorf i Sommerschenburg (1088—1113), który umarł w 1120, a był członkiem rodu, w którym imię Fryderyk powtarzało się wówczas w 5 pokoleniach. Historja mówi, że ród ten dążył przez cały wiek XII do opanowania na stałe urzędu wójtowskiego w Kwedlinburgu, ale najstarsza wzmianka źródłowa o tem pochodzi dopiero z 1134 r., z czasów opatki Gerburgi. Na odnośnym dokumencie jest wójt Fryderyk pierwszym między świadkami dokonanej wymiany dóbr klasztoru kwedlinburskiego, na inne posiadłości klasztoru św. Jana w Magdeburgu. Syn nastąpił tu po ojcu w urzędzie wójtowskim.

Niemniej nie ulega wątpliwości, że odziedziczony niejako przez Agnieszkę polską wójt kwedlinburski, Fryderyk von Sommerschenburg, niedługo ten urząd przy niej piastował. Postać bowiem jego zjawia się na niektórych tylko jej monetach w początkach rządów wybijanych, a potem znika zupełnie, jakby mówiąc, że energiczna księżniczka umiała przecież pozbyć się tej opieki. Zdaje się, że ma to związek z powstaniem panów saskich przeciwko cesarzowi Henrykowi V i z wojną domową w Saksonji, jaka w latach 1111—18 się toczyła. Otóż w wojnie tej panowie von Sommerschenburg należeli do partji antycesarskiej, a na skutek tego utracili już w 1113 r. urząd palatyna saskiego. Nie ulega wątpliwości, że równocześnie utracić musieli także i wójtostwo w Kwedlinburgu, Agnieszka bowiem nie należała do tych,

którzyby szli za opozycją, przeciwnie parokrotne umieszczanie popiersia cesarskiego na jej monetach może być dowodem, że zaliczała się do zwolenników Henryka V.

Monety bite pod wspólnym stemplem opatki i wójta mówią ponadto jeszcze o jednem, a to o jakiejś umowie monetarnej między niemi i o podziale dochodów menniczych. Jest to też dowodem, że zarówno opactwo jak i wójtostwo kwedlinburskie było w posiadaniu prawa bicia monety. O takiem prawie opactwa była już wyżej mowa, ale pokazuje się, że i rodzina panów von Sommerschenburg, posiadała to prawo od r. 1064, a to z nadania cesarza Henryka IV. Prawo to ograniczone było wprawdzie do ich miejscowości Sulza nad Ilmem koło Naumburga, ale jak się zdaje, prawo to nie zostało wykorzystane w całej pełni. Jest rzeczą prawdopodobną, że panowie ci zostawszy wójtami klasztoru kwedlinburskiego, weszli w porozumienie z opatkami i oparci o własny przywilej, przystąpili do wspólnej eksploatacji mennicy kwedlinburskiej. Ruch w niej mógł być tem bardziej intensywny, ile że obsługiwała teraz spore terytorja, złożone z posiadłości klasztornych Kwedlinburga i Gandersheimu oraz posiadłości świeckich palatynów saskich z miejscowościami Goseck, Putelendorf, Sommerschenburg i Sulza na czele.

Jakiekolwiek mogłyby być z tego dochody, przecież opieka wójtowska nie dogadzała księżniczce polskiej, a podwójnej opatce, i korzystając z wojny domowej w Saksonji, postarała się ją usunąć. Niewątpliwie jej prośbami kierował się i cesarz odbierając Fryderykowi palatynowi jego urzędy, Agnieszka potrafiła jednak przeprowadzić coś więcej: oto potrafiła przekonać cesarza, że ona da sobie sama dobrze radę i że nie potrzeba jej żadnej więcej opieki wójtowskiej, może być, że nominalna opieka cesarska była dla niej wystarczająca. Dość, że monety bite w 2 połowie jej rządów już nie mówią o żadnym wójcie i żadnej opiece świeckiej, a przedstawiają ją tylko, jako samowładną panią Kwedlinburga.

Monety bite w tych czasach, wyobrażają najczęściej prawicę Bożą lub kościół na odwrociu. Prawica jest symbolem Opatrzności i może oznaczać, że pobożna opatka

w Niej widziała najlepszą swą obronę i opiekę. Kościół zaś, najczęstszy motyw na jej monetach, jest też wskazówką, że musiała się nim wtedy najwięcej zajmować. Jest to jak wiadomo wspaniała bazylika romańska, z początkiem XI wieku budowana, której przeróbki i uzupełnienia trwały jednak długie lata. Otóż w kronice klasztoru czytamy, że w r. 1129 za opatki Gerburgi kościół ten został poświęcony. Jeżeli tak, to znaczy, że jakaś przebudowa musiała tu się kilka lat ciągnąć, a więc conajmniej za opatki Agnieszki († 1126) rozpocząć. Tak więc dbałość o kościół kwedlinburski, widoczna na monetach Agnieszki, da się z innej strony stwierdzić.

Do ostatnich w szeregu należą jej denary z widokiem kościoła i napisem FIDES, przyczem opatka trzyma w ręku już nie krzyż, lecz księgę Ewangelji. Może to być wskazówką, że w ostatnich latach swych rządów oddała się Agnieszka więcej jeszcze życiu klasztornemu. Stało się to może i dlatego, że ucichły już wówczas burze polityczne, wstrząsające państwem niemieckiem, ucichła przedewszystkiem namiętna walka o inwestyturę, zakończona właśnie konkordatem wormackim z 1123 r. Wszędzie zaznaczył się też wzrost życia religijnego i uwidaczniał się w powstawaniu nowych zakonów jak Cystersów i Premonstratensów.

Mimo, że historja Kwedlinburga jest aż po 1134 r. zupełnie ciemna przecież można przypuszczać, że za czasów opatki Agnieszki polskiej, tylko z monet tu znanej, osiągnęło opactwo te dwa nowe przywileje, które dały mu duże znaczenie między klasztorami niemieckiemi. Jeden to prawo wolnego wyboru wójta czyli opiekuna świeckiego, prawo, z którego Agnieszka skorzystała, jak widzieliśmy, w ten sposób, że w miejsce panów von Sommerschenburg chciała mieć wójtem naprzód cesarza, a potem bez wójta wogóle się obchodziła, rządząc sama majątkiem klasztornym. Drugi przywilej to prawo zasiadania w radzie królewskiej, które ją stawiało na równi z pierwszymi książętami państwa. Historja nie wie dokładnie kiedy i która z opatek uzyskała oba te ważne przywileje, wie tylko, że stało się w XII wieku. Badając jednak szereg opatek kwedlinburskich łatwo dojść do przekonania, że stać się to mogło tylko za czasów pol-

skiej opatki Agnieszki, która pochodzeniem swojem i pokrewieństwem z domem cesarskim przewyższała wszystkie inne. Zaraz po niej zmieniły się bowiem stosunki i wolny wybór wójta stał się iluzją. Za opatki Gerburgi w 1134 r. już wójtostwo kwedlinburskie było znów w ręku pana von Sommerschenburg, który już nie tak prędko pozwolił je sobie odebrać. Drugi jednak przywilej zasiadania w radzie królewskiej wykonywały opatki odtąd skrupulatnie.

To byłoby wszystko, co o nieznanej dotąd księżniczce polskiej możnaby było powiedzieć. Córka Władysława Hermana, a siostra przyrodnia Bolesława Krzywoustego musiała mieć niepospolite zalety umysłu i serca skoro doszła do godności opatki w dwóch największych i najbogatszych klasztorach niemieckich, Gandersheim i Kwedlinburg; skoro potrafiła od cesarza Henryka V uzyskać ważne dla klasztoru swojego przywileje. Musiała być też władczynią energiczną, skoro potrafiła się uwolnić od opieki wójtowskiej palatynów saskich i sama zarządzać majątkiem obu klasztorów.

Dr. M. Gumowski.

Lekarz-katolik w walce o byt.[1])

Jeden z filozofów greckich jako owoc swych spostrzeżeń życiowych orzekł: *Polemos panton pater*, czyli, że „walka jest ojcem wszystkiego". W spostrzeżeniu tem tkwi głębia prawdy życiowej, którą Kościół katolicki uznał w swej podstawie organizacyjnej, dzieląc swoich wyznawców na Kościoły: cierpiący, walczący i triumfujący. Człowiek bowiem jako istota słaba, grzechem pierworodnym obarczona i z natury swej niedoskonała, musi cierpieć naskutek swych wad i słabości. Człowiek musi dlatego bezwzględnie walczyć ze swemi złemi skłonnościami przyrodzonemi, a pozatem cierpieć z powodu skutków słabości swych bliźnich, pomagając im w miarę możności w walce z sobą. Triumfować natomiast i szczerze radować się może człowiek tylko wtedy, jeżeli zwalczył zło w sobie, a przez ścisłe zjednoczenie się z trójosobowym Bogiem czyli ze swym Stwórcą, Zbawicielem i Pocieszycielem wzmocnił swą przyrodzoną słabość i w życiu stanął jako świadomy członek społeczności chrześcijańskiej, którą w świecie doczesnym i wiecznym stanowi przez Chrystusa założony Kościół katolicki.

Każdy lekarz jest również człowiekiem i przez niedoskonałą naturę swoją obarczony jest wszystkiemi słabościami, wadami i złemi skłonnościami, z któremi walczyć musi ustawicznie, jak każdy inny człowiek. Stanowisko społeczne i posłannictwo zawodowe lekarza nakładają jednakże na niego olbrzymie, często

[1]) Wykład wygłoszony na walnem zebraniu Zjazdu Polskich Lekarzy katolików w Warszawie. 17. II. 36 r.

wprost nadludzkie zadania. Jedni chorzy bowiem, cierpiący nietylko cieleśnie lecz przeważnie również moralnie, robią sami albo przez swoje otoczenie lekarzowi wyrzuty, że nie uzdrowił ich odrazu, jakby chcieli, czyli cudownie. Drudzy natomiast, nie posiadają żadnych albo mało środków materjalnych do życia, wymagają od lekarza nietylko uzdrowienia na ciele, które jest ściśle złączone ze stanem duchowym i moralnym pacjenta, lecz ponadto, nie mogąc sami lekarzowi umożliwić bytowania podczas świadczenia im pomocy, oczekują od niego często jeszcze pomocy materjalnej, którą, w razie niepowodzenia w leczeniu, usiłują czasem wydobyć szantażem. Zaiste, wielką walkę musi ze sobą i z niedoskonałym, otaczającym go światem stoczyć każdy a zwłaszcza młody lekarz, żeby podołać swemu zadaniu, nie zwątpić w istnienie Wszechmogącego Boga i nie załamać się w tej ciężkiej walce. Owocem tego załamania się w walce jest bowiem tak powszechna dziś wiara we wszechmoc pieniądza, który według zdania, tak dzisiaj przeważającej większości w Europie, ma lepiej od Boga i praw Jego w sercach ludzkich pisanych, sprowadzić tak upragnione przez wszystkich szczęście doczesne.

Tak zwana w potocznem życiu walka o byt, która w miarę pogłębiania się przesilenia ogólnoludzkiego żywo dotyka świat lekarski, ma jednakże prawie wyłącznie byt materjalny na względzie. Tymczasem lekarz, którego wzniosły zawód początek swój wywodzi z świątyń, Bogu poświęconych, musi zawód swój uważać za posłannictwo boskie w niesieniu ulgi cierpiącej ludzkości. Byt jego nie może się więc sprowadzać tylko do bytu materjalnego, lecz obejmować musi całe jego jestestwo czyli jego duszę przez Boga mu daną, jego ducha przyrodzonego i ciało, które musi duchowi oraz od Boga pochodzącej duszy być posłuszne i nie utrudniać lekarzowi spełniania jego posłannictwa. Taki jest bowiem porządek bytu, uwydatniający niezrównanie transcendentalność stwórczej przyczynowości Bożej w słowach św. Tomasza z Akwinu: „Stworzenie posiada byt o tyle tylko, o ile wywodzi się z pierwszego Bytu i zwie się bytem tylko, o ile naśladuje Byt pierwszy, a w porządku dynamicznym: tyle każde ze stworzeń posiada bytu, ile zbliża się do Boga przez podobieństwo; o ile zaś staje się niepodobnem do Boga, o tyle też posuwa się do niebytowania".

Słowa powyższe wskazują lekarzowi-katolikowi, walczącemu o swój byt, najlepiej drogę do Boga jako do źródła swego bytu i wykazują, że bytem nie jest tylko materjalne bytowanie na ziemi, jak pojmuje niestety przeważająca część świata zachodniego a w nim również lekarskiego. Dalsze wskazania daje lekarzowi św. Akwinat w słowach: „Przedmiotem woli czyli ludzkiego dążenia jest powszechne dobro tak, jak przedmiot umysłu stanowi powszechna prawda. Z tego wynika, że wolę ludzką zaspokoić może tylko dobro powszechne. Ono zaś nie urzeczywistnia się w żadnem stworzeniu, lecz tylko w Bogu, gdyż każde stworzenie bierze tylko udział w Jego dobroci. Stąd też jedynie Bóg może zapełnić wolę człowieka". Tymczasem ostatnie wieki tak zapełniły materją wolę ludzką, że ugina się pod jej ciężarem dusza ludzka, która cierpi, a cierpienie swe przenosi na ciało czyli na działania lekarza, utrudniając mu nad wyraz jego pracę. Stąd jego rozterki wewnętrzne i trudności zewnętrzne, które przezwyciężyć musi w sobie i poza sobą. Lekarz jest jednakże dzieckiem tych zmaterjalizowanych wieków i wytworem środowiska, które go wychowało i wydało.

Czy lekarz z tej ciężkiej walki wewnętrznej i zewnętrznej wyjdzie zwycięsko, w dużej mierze decydują jego wychowanie w dzieciństwie i wynikająca z niego większa lub mniejsza praca nad sobą czyli nad swym charakterem w wieku młodzieńczym. Jeżeli w domu rodzicielskim słowem i czynem czczono Boga, a dziecko przygotowywano stopniowo do pracy i nauczono je cnót cierpienia, ofiary ze siebie, wytrwałości, cierpliwości, panowania nad sobą a w miarę potrzeby cnoty milczenia oraz przedewszystkiem wierności w służbie Bogu i bliźnim, wówczas dziecko będzie w należyty sposób do życia przygotowane. W wieku młodzieńczym przyszły lekarz cały swój zapał wrodzony włoży w walkę ze słabościami swemi, w pilne przyswajanie sobie wiadomości naukowo-lekarskich oraz w pracę społeczną, aby wyrobić w sobie silny charakter, a nazewnątrz zdobyć sobie dobre imię, które mu utoruje drogę w późniejszem życiu i ułatwi zajęcie dla niego odpowiedniej placówki. Wówczas w pracy i walce doświadczony, oparty o pewną pozycję materjalną, przez zmienne życie wyrobiony człowiek może rozwinąć swe zdolności twórcze w wydajnej służbie Bogu i bliźnim, szukającym jego pomocy

w swych cierpieniach cielesnych i ściśle złączonych z niemi moralnych a czasem nawet materjalnych.

Jeżeli zaś w domu rodzicielskim panowały płytka i powierzchowna religijność oraz czysty oportunizm życiowy, z domu takiego wychodzi młodzieniec bez zasad, oglądający się tylko za materjalnemi korzyściami, zaniedbujący pracę nad swym charakterem, a temsamem nie wykazujący go później w życiu, czyli oportunista, który zależnie od warunków zewnętrznych wykazać może nawet pewne zdolności twórcze, choć nie zawsze z pożytkiem dla społeczeństwa. Lekarz z takiego młodzieńca wyrosły leczy ze zmiennem powodzeniem, lepiej lub gorzej zależnie od szczęścia i ludzi, udających się do niego o pomoc. Do ideału w sobie, zawodzie czy w społeczeństwie nie dąży, a temsamem unika walki ze sobą i światem, nie podnosząc siebie ani ludzi z otoczenia na wyższy poziom. Ten przeciętny typ lekarza przechodzi do porządku dziennego ponad cierpieniami moralnemi pacjenta, do cierpień cielesnych podchodzi w czysto zawodowy, często wprost rzemieślniczy sposób, a stronę materjalną traktuje tylko ze swojego czysto egoistycznego punktu widzenia.

Jeżeli zaś w domu rodzicielskim panował tylko kult złota, deprawujący charaktery i zabijający w dziecku duszę, z domu takiego wyrasta bezwzględny egoista, który przeważnie ma duże ambicje, który cierpień moralnych pacjenta nie uznaje albo z nich drwi, do cierpień cielesnych odnosi się sucho czyli teoretycznie, aby, jak na zwierzęciu bezlitośnie eksperymentować, a dla strony materjalnej leczenia ma tylko cyniczny, bezwzględny, nawskroś kupiecki punkt widzenia. Ambicja pcha tego rodzaju jednostki na drogę karjery naukowej, lecz praca ich naukowa, nie zawsze nawet uczciwa, rzadko przynosi pożytek nauce czy społeczeństwu, a przeważnie zaciemnia młodszym lekarzom umysły i nie wyrabia w nich ani zamiłowania do nauki, ani nie przygotowuje ich do sumiennego spełniania zawodu. Natomiast zawzięte, wprost zapalczywe zwalczanie, a nawet świadome niszczenie rzeczywistych czy domniemanych współzawodników w osiągnięciu stopni naukowych, wykazuje u takich jednostek cynizm i brak skrupułów moralnych w rozmiarach mniejszych lub większych, zależnie od hamulców kulturalnych, wyniesionych z domu. W duszach zaś młodych lekarzy podobne postępowanie t. zw. karjerowiczów naukowych wywołuje zawsze zgorszenie, u słabszych charakte-

rów apatję czyli przygnębienie, u silnych reakcję słowną czy czynną, a u złych cyniczny uśmiech, czy nawet radość, że zło tak łatwo choć na krótką metę zwycięża.

Jak wspomniałem, o charakterze każdego człowieka a temsamem i każdego lekarza decydują wychowanie w domu rodzicielskim i praca nad sobą w wieku młodzieńczym. Jest ona albo dobrze dalej kierowana i umiejętnie wspomagana, albo też niszczona przez szkołę i środowisko młodzieży, zależnie od tego, jaki duch w nich panuje. Powyżej naszkicowane typy lekarzy w jądrze swem duchowem mniej lub więcej silnem wykazują wpływ domu rodzicielskiego, lecz ostateczne ukształtowanie się charakteru silnego czy słabego, dobrego czy złego, zależy od ducha szkoły i środowiska młodzieży, w którem przebywa młodzieniec przez kilka lat szkoły średniej i studjów uniwersyteckich. Jeżeli duch ten był obojętny a nawet wrogi wobec religji, co miało przed wojną i ma miejsce po wojnie w różnych środowiskach młodzieży, wówczas silne jednostki, które wyniosły z domu głębokie przywiązanie do religji, w ciężkiej walce ze swem otoczeniem hartują naogół swą wolę i wyrabiają w sobie silny charakter, a środowisko bezbożne lub antyreligijne pobudza je do tem większej pracy nad sobą i do szukania u Boga pomocy, aby samemu ostać się w wierze a nawet obojętnych czy wrogo do religji usposobionych przyciągnąć do Boga.

Większość, która w domu rodzicielskim obojętnie wobec religji jest nastawiona lub powierzchownie do niej ustosunkowana, zazwyczaj nie bierze żadnego udziału w dyskusjach, ani w ruchach ideowych, ani w pracy społecznej. Oddaje się ona mniej lub więcej pilnie zdobywaniu wiedzy i znowu zależnie od wpływu domu rodzicielskiego i środków przezeń dostarczanych mniej lub więcej rozpuście, której stopień nasilenia zależy ze strony młodzieży od posiadanych mniejszych lub większych sił biologicznych, a ze strony środowiska od obyczajowości danego miasta, która młodzieży rozpustę mniej lub więcej ułatwia. Obok rozpusty kwitnie w tych religijnie obojętnych środowiskach młodzieży zazwyczaj pijaństwo, a z chwilą braku środków na rozpustę czy pijaństwo, rozszerza się nagminnie kartografstwo. W ten sposób w wieku, który powinien być wyzyskany na rozszerzenie wiadomości umysłowych i wyrabianie się charakterów, większość młodzieży religijnie obojętnej czy powierzchownej, traci czas oraz

już nigdy nie powracającą sposobność do zdobycia tych walorów, które o religijnym poziomie życia decydują. Wchodzi więc w życie bez charakteru, lub z bardzo słabą jego namiastką czczej formy, z czysto materjalistycznym i oportunistycznym światopoglądem i pomnaża niezliczone szeregi filistrów, wygodnisiów i karjerowiczów życiowych, którzy swojem pasożytniczem a często gorszącem bytowaniem, biernie czyli pośrednio stają się przyczyną wszelkich ruchów rewolucyjnych, gdyż wobec biednej, pracującej ludności zachowują się zupełnie obojętnie, czyli bez współczucia i bez miłosierdzia gonią za zyskiem i wygodą a w końcu użyciem bez żadnych skrupułów moralnych.

Trzecią grupę, zazwyczaj liczniejszą od pierwszej, religijnej, a zależnie od zamożności kraju mniej liczną lub liczniejszą od drugiej grupy religijnie obojętnych, stanowi młodzież radykalna czy wywrotowa. Między nią odróżnić trzeba świadomych, wobec religji zdecydowanie nienawistnie nastawionych prowodyrów, zazwyczaj z zamożnych, ateistycznych domów pochodzących, od części młodzieży radykalnej, która często ze szczerego współczucia dla niedoli ludzkiej wyznaje radykalizm w najlepszej wierze, iż on rzeczywiście przyniesie ulgę szerokim, materjalnie upośledzonym warstwom, oraz od większości młodzieży wywrotowej, która bez pracy i wysiłku duchowego czyli bez walki ze sobą i pracy nad sobą, spekuluje na łatwe zdobycie stanowiska czy majątku w razie rozruchów społecznych. Uderzającym faktem jest, że pośród młodzieży radykalnej najmniej znajduje się zazwyczaj młodzieży lekarskiej. Rozległe i bardzo zajmujące studja lekarskie nie pozwalają jej naogół brać żywszego udziału w radykalnych ruchach ideowych, a równość bogatych i biednych wobec cierpień cielesnych, których usuwanie jest zadaniem lekarzy, nie stwarza odpowiedniego podłoża dla idei wywrotowych wśród medyków. Dlatego lekarze wywrotowcy są naogół bardzo nieliczni w porównaniu z innemi zawodami uniwersyteckiemi.

Inne natomiast niebezpieczeństwo grozi młodzieży lekarskiej ze strony studjów przyrodniczych, które, mając na względzie jedynie świat widzialny czyli materjalny, nie pozwalają na uwzględnienie sił duchowych człowieka, a wobec Boga i duszy ludzkiej naogół zajmują stanowisko negatywne. Ilu przedstawicieli nauk przyrodniczych, hołdujących materjalizmowi, pozytywizmowi czy darwinizmowi, zaprzecza nawet z katedry uniwersyteckiej istnieniu

Boga i duszy ludzkiej, o tem wiele powiedzieć mogą studenci medycyny dawniejszych i obecnych czasów. Ponieważ z drugiej strony na studja lekarskie udaje się przeważnie młodzież ze sfer mniej zamożnych, nie uchylających się w życiu od trudu i ofiar oraz naogół mniej lub więcej religijnych, młodzież ta wobec głoszonych nauk ateistycznych zachowuje się obojętnie lub mało krytycznie, a z braku czasu czy chęci zazwyczaj mało nad tem rozmyśla. Przechodzi ona nad niemi do porządku dziennego, o ile wyniosła z domu zasady uczciwego i czystego życia. Młodzież zaś, żyjąca bez zasad w domu utrwalonych, w hasłach ateistycznych, znajduje zazwyczaj rozgrzeszenie w swem przyrodzonem sumieniu dla swego życia grzesznego, którego skutki występują dopiero później. Nie szukając oparcia w Bogu, brnie coraz głębiej w materjalizm. Nieliczne jednostki zaś w braku tworzywa materjalnego głoszą później czynnie i słownie, ciszej lub głośniej ateizm.

Krótki przegląd atmosfery duchowej domów rodzinnych oraz środowisk szkolnych, z których wychodzi ogół lekarzy, wydał mi się konieczny, aby zrozumieć podłoże i trudności zewnętrzne, jakie musi zwalczać lekarz-katolik w swej późniejszej walce o swój duchowy i materjalny byt. Jest on przedewszystkiem, jak wszyscy młodzi ludzie, mało wyrobiony i musi ciągle czyli bez przerwy pracować nad sobą przez pogłębianie w sobie życia wewnętrznego. Nie może również pod żadnym pozorem zaniedbywać swych studjów czyli zdobywania wiedzy lekarskiej, aby nie być przez innych kolegów pod tym względem wyprzedzonym. W miarę zdolności i możności powinien również brać udział w życiu naukowem i naukę lekarską oraz ogólnoludzką pogłębiać i rozszerzać z czystej miłości dla niej oraz dla cierpiącej ludzkości, której zastosowaniem prawdziwej nauki może przynieść wielkie usługi. Pogłębiwszy naukę w sobie i uzgodniwszy ją ze swem życiem wewnętrznem, a nie mając zdolności czy możności do dalszej pracy naukowej, może wziąć żywy udział w bujnem życiu społecznem, z którego powinien wybrać sobie tylko działy, stojące najbliżej jego zawodu i odpowiadające jego usposobieniu, aby praca jego była rzeczywiście owocna i pożyteczna.

Może ktoś zauważyć, że zadużo żądamy od lekarza-katolika, lecz niestety tylko w ten sposób można przeniknąć do głębin życia lekarskiego, a przez konieczny udział w życiu społecznem

do głębin życia ludzkiego wogóle, aby zrozumieć i odczuć prawdziwość nauki Chrystusowej. Rzecz jasna, że tak pracujący lekarz nie będzie miał czasu na żadne rozrywki, ani na zbytnie pielęgnowanie życia towarzyskiego. Instynkt samozachowawczy zmusi go jednakże do rozsądnego korzystania z wypoczynku, w którym znajdzie czas na godziwą rozrywkę i życie towarzyskie. Praca zawodowa i społeczna lekarza zmusza go zaś do tak częstego i bliskiego obcowania z wielu ludźmi, że ogół lekarzy nietylko katolików, przeważnie unika życia towarzyskiego, które dla głębszych umysłów i po ludzku czujących serc, jest zazwyczaj męczące i pozostawia po sobie mniejszą lub większą pustkę moralną, pomijając już brak środków materjalnych, który zwykle ma miejsce u młodego lekarza, biorącego udział w życiu naukowem czy społecznem.

Lekarz-katolik pracujący nietylko zawodowo, lecz w miarę możności również naukowo czy społecznie, coprawda zapracowuje się i często przemęcza, lecz z pracy tej wynosi więcej wartości moralnych, wypełniających jego duszę i wzmacniających jego postawę moralną, oraz społeczeństwu czyli swej najbliższej części cierpiącej ludzkości przynosi więcej pożytku niż lekarz, który nastawiony jest na jaknajłatwiejszy zarobek i pozatem obojętnie przechodzi obok cierpień bliźnich, a czas wolny od pracy zawodowej poświęca głównie rozrywkom, wśród których zabójcze dla duszy karty odgrywają dominującą rolę. To wyżywanie się w rozrywkach i towarzystwie zamiast w ofiarnej dla ludzkości, pracy, jest bowiem logicznem następstwem pustki wewnętrznej, wynikającej z materjalistycznego światopoglądu i wymagającej według nieubłaganego prawa przyrody bezwzględnie wypełnienia czemkolwiek. Znaną bowiem jest rzeczą, że dla inteligencji, która przez wiedzę ma umysł otwarty dla wielu zagadnień i szersze widnokręgi przed sobą, życie wyłącznie oddane rodzinie, jakie zazwyczaj ma miejsce u ludzi niewykształconych, nie wypełnia naogół wnętrza duchowego. Od wyrobienia wewnętrznego czyli od jakości duszy zależy więc, czy lekarz z wiarą w Boga i Jego opatrznościowe rządy nad światem wnętrze swe duchowe wypełni obcowaniem z Bogiem i służbą bliźniemu, czy też z wiarą w wszechpotęgę złota, odda się jego zdobywaniu, a ziejącą pustkę wewnętrzną wypełniać będzie się starał blichtrem zewnętrznym, do którego zaliczają się niestety tak często również tytuły, czy tylko

zabawą. Że to wszystko duszy jednak zadowolić nie może, dowodzą nam lekarzom tak dobrze znane narkomanje, które i wśród lekarzy niestety tak wiele mają ofiar.

Walka o byt lekarza-katolika rozgrywa się jednak nietylko w płaszczyźnie duchowej i moralnej, lecz również w sferze materjalnej. W niej zaś, jak ogólnie wiadomo, za życia doczesnego toczy się odwieczna walka między siłami wyższemi, traktującemi materję li-tylko jako konieczne oparcie dla swego cielesnego bytowania na ziemi, a siłami niższemi, które najprzód zdobycie materji stawiają sobie jako jedyny cel życia, a gdy im to nie daje zadowolenia, materję tę zużywają na zaspokojenie zwierzęcych popędów, które wyczerpują i niszczą człowieka, oddając go w niepodzielną władzę złych sił, i o ile dusza jego w międzyczasie nie zwróci się o pomoc do Boga, która każdego czasu gotowa jest podać rękę w szczerej woli dźwignięcia się z upadku. W przeciwnym razie złe siły wyzyskują wyczerpanych użyciem ludzi, pozbawionych woli, honoru i skrupułów moralnych, dla nagonki na ludzi dobrych, chcących służyć Bogu i bliźnim, aby im utrudnić bytowanie i pracę mającą na celu zwycięstwo dobra na świecie. Lekarz-katolik, należący z konieczności i powołania swojego, według orzeczenia i żądania wielu powag naukowych lekarskich, obowiązkowo do szeregów ludzi dobrych, doznaje ciągle na sobie w swej działalności zawodowej, naukowej i społecznej oraz w swej walce o byt materjalny nagonki ludzi słabych, użyciem wyczerpanych, chętnie dających posłuch oszczerstwom i złym siłom, które umieją podziałać na ich niskie uczucia nienawiści zawodowej, zazdrości o dobre imię i skłonić do podstępnych posunięć przy zdobywaniu nowej czy wyrugowaniu z zajmowanej już placówki pracy, która daje pewne oparcie materjalne i możność zdobycia sobie dobrego imienia.

Dla obrony przed podobnemi nagonkami czy podstępnemi posunięciami, istnieją sądy koleżeńskie przy organizacjach lekarskich przymusowych i dobrowolnych. Przed sądem koleżeńskim może lekarz-katolik oczyścić się z zarzuconych mu oszczerstw i obronić się przed krzywdzącemi go posunięciami kolegów. Na sądzie takim ma też sposobność wykazać wyższość wiekowej etyki katolickiej, opartej na Bogu i ofierze Odkupiciela, nad przyrodzoną etyką koleżeńską, opartą na deontologji lekarskiej, którą ustaliły różne komisje wielu pokoleń lekarskich i zmieniać

mogą nowe pokolenia, idące bez skrupułów za duchem czasu. Że deontologja lekarska bez środków nadprzyrodzonych, jakie daje Kościół katolicki, wystarczyć nie może, dowodzą niezliczone sprawy sądowe, rozpatrywane z tak olbrzymim nakładem pracy przez sądy Izb Lekarskich.

Dla obrony materjalnej wszelkich posad, placówek czy stanowisk lekarskich, istnieje Związek Zawodowy Lekarzy Państwa Polskiego, który skupia większość lekarzy Rzeczpospolitej bez względu na ich wyznanie, narodowość, poglądy partyjne czy poziom etyczny. Do niego należeć powinni wszyscy lekarze-katolicy, aby nietylko bronić solidarnie interesów materjalnych wszystkich lekarzy, lecz wpływać również na walkę o te interesy w duchu katolickim, który do walki tej wnosi ze sobą harmonję, ugodowość i uniwersalny punkt widzenia, tak koniecznie potrzebne w obecnych czasach przesileniowych, pozbawionych tak często busoli etycznej i dlatego obfitujących w zbyteczne tarcia i walki. Katolicki duch harmonji i ugody zapobiec może niepotrzebnemu zaostrzeniu tarć na podłożu materjalnem, a uniwersalny punkt widzenia umożliwi porównanie położenia materjalnego lekarzy z warunkami innych zawodów uniwersyteckich, pracowników umysłowych i fizycznych nietylko w kraju własnym, lecz również w krajach obcych, bliżej i dalej położonych, czyli zahamuje nadmierne żądania materjalne lekarzy, niewspółmierne z gospodarczem położeniem naszego Państwa i całego świata.

Poza posadami, placówkami i stanowiskami, które dają lekarzom stałe zajęcie i możliwość rozwinięcia działalności naukowej i społecznej, istnieje t. zw. wolna praktyka lekarska, która zanika coraz bardziej w miarę umiejętnego organizowania się społeczeństwa jako następstwa demokratycznej niwelacji oraz jego przesileniowej pauperyzacji. Wolna praktyka lekarska jest zwłaszcza w czasach obecnych nadzwyczaj trudna, gdyż wymaga nietylko gruntownego przygotowania zawodowego i wyrobienia osobistego, lecz również znajomości psychiki oraz położenia społecznego swoich pacjentów, do których dostosowane być musi t. zw. honorarjum lekarskie. Lekarz-katolik powinien w praktyce prywatnej umieć wykazać swoją subtelną kulturę katolicką z istoty swej tolerancyjną wobec różnych wyznań i przekonań, które wywierają duży wpływ na psychikę a temsamem i stan cierpień cielesnych jego pacjentów.

Honorowanie wysiłków lekarza w tak zwanej praktyce prywatnej jest o tyle swoiste, że wypływa zasadniczo z uczucia wdzięczności leczonego pacjenta wobec swego lekarza-dobroczyńcy. Dopiero doświadczenie dalsze wykazało konieczność honorowania lekarza nawet w wypadku nieskutecznego leczenia. Temsamem utarł się pewien zwyczaj honorowania, który ustala jego różny poziom nietylko dla różnych krajów i miejscowości, lecz również zróżniczkowany z jednej strony przez lekarzy rozmaicie wyrobionych i przygotowanych, a z drugiej strony przez pacjentów zależnie od ich możliwości płatniczych. Honorowanie materjalne odgrywa bowiem rolę zasadniczo drugorzędną i niezależną od jakości porady i pomocy lekarskiej, która udzielona być musi ściśle według sumienia i stanu wiedzy lekarskiej bez względu na to, czy wogóle i jak jest honorowana. Wyższe honorowanie przez zamożniejszych pacjentów jest zatem zupełnie usprawiedliwione niższem honorarjum mniej zamożnych oraz zupełnym brakiem jego ze strony biednych, jak również olbrzymiemi potrzebami społecznemi, dla jakich lekarz-katolik z natury rzeczy musi mieć większe zrozumienie niż jego pacjent.

Lekarz-katolik oddany całą duszą swej pracy zawodowej, naukowej i społecznej, a nie szukający oparcia w towarzystwie kolegów słabych, popierających się tylko wzajemnie na zasadach osobistych usług, a nie liczących się z dobrem ogólnem i sprawiedliwością, musi więc cierpieć i cierpi zazwyczaj, idąc za przykładem swego niedoścignionego Mistrza w działaniu i cierpieniu. Obcując coraz ściślej ze swym nauczycielem Chrystusem, może od Niego tylko czerpać siły do znoszenia swych cierpień i zadowolenia moralnego szukać w pracy na innych polach, które przed ludźmi dobrej woli stale stoją otworem. Pola te nie są naturalnie złotodajne, gdyż w tym wypadku byłyby już dawno zajęte przez nigdy nienasyconych materjalnie ludzi słabych i złych. Zato pole katolickiej pracy społecznej czy dobroczynnej czeka stale na ludzi chętnych do pracy, ofiarnych i woli Bożej posłusznych. Na tych otworem stojących polach nie spotkają oni ludzi złych i zazdrosnych, gdyż miłość Boga i bliźnich oraz dobra wola łączą w zgodzie i harmonji wszystkich pracowników na tej do nowego życia budzącej się niwie. Ponieważ Stwórca i Opiekun nasz nie pozwala nigdy upaść i ginąć ludziom, chcącym służyć Bogu i bliźnim, nie pozwoli również zginąć lekarzowi-katolikowi, który do-

brze przygotowany jest do sumiennego spełniania swego zawodu lekarskiego i pracy społecznej. Niezliczone szeregi chorych biednych i mało zamożnych w kraju potrzebują stale opieki lekarskiej zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach, a nieograniczone pola misyjne na całej kuli ziemskiej potrzebują tak wielu lekarzy-katolików, że pracy starczy zawsze dla chętnych i ofiarnych sług Chrystusa-Króla.

Franciszek Ksawery Cieszyński.

Przegląd piśmiennictwa.

Chór wieków. Antologja poetycka w układzie W Miłaszewskiej, J. Rembielińskiego i Stanisława Miłaszewskiego, z przedmową Jego Ekcelencji Ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań, str. XII+445.

„Na wieki wieków" — takim albo podobnym zwrotem zamykały się już w pierwszych stuleciach chrześcijaństwa zarówno modły wiernych, jako też, z modlitw wyrosłe, utwory literatury chrześcijańskiej, a więc zarówno kazania (takiego np. Jana Chryzostoma), jak traktaty filozoficzne i moralne, jak wreszcie i utwory poetyckie, zwłaszcza hymny biorące wzór i początek z twórczości św. Ambrożego.

Te „wieki wieków" — *aiónes aiónon* — niekiedy w pojęciu lub odczuciu pisarzy i piewców przybierały znaczenie jakby jakiejś personifikacji, stawały się synonimem idących kolejno po sobie pokoleń, związanych nietylko węzłami krwi, człowieczeństwa czy wspólnych cierpień ziemskich, ale i służbą Bożą, chwałą Boga w Trójcy Jedynego. Przez uwydatnienie owej ciągłości wieków akcentowano wiarę w nieprzerwaną opiekę Opatrzności Bożej nad światem i wiarę w ostateczne zwycięstwo Bożej Wszechmocy, a jednocześnie i zaznaczano istotność „świętych obcowania", tego związku dusz, obejmującego pokolenia dawne i obecne i te, które nastąpić mają.

W narodzie polskim zwrot „na wieki wieków" stał się częścią powitania, doniedawna tak powszechnego, a tak dobitnie stwierdzającego siłę tradycji katolickiej wśród społeczeństwa. Tradycja ta — której kultura polska zawdzięcza tyle swych darów najlepszych — słusznie w owem pozdrowieniu fundament swój wiąże z myślą o wiekach. Bądź co bądź, wytrzymała już próbę bezmała dziesięciu wieków, zatem może podołać i wiekom dalszym. Tembardziej, że zarówno moralne, jak kulturalne jej czynniki mają w sobie znamię trwałości i cenę wielkiej wartości.

Z podstawy religijnej katolickiej wywodzi się literatura polska w samem swem zaraniu. I już te początki nacechowane są stygmatem wielkości. Z nastaniem wiary katolickiej w Polsce,

a zarazem z pierwszą misją apostolską Polski zespala się to arcydzieło żywotopisarstwa — pod każdym względem doskonalsze od wielu, tak dziś wziętych, powieści biograficznych — jakiem jest *Vita maior Sancti Adalberti*, napisana najniewątpliwiej przez pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego. A pierwsza pieśń polska, sięgająca też wyżyn artyzmu, to modlitwa błagalna do Matki Chrystusa i do Patrona Chrztu, Jana Chrzciciela, która miała przewodniczyć wszystkim ważnym dziełom narodu i wpływ swój potężny wywrzeć na całych pokoleniach naszej literatury. Po kilku wiekach druga wielka podnieta, druga epoka naszej literatury też kulminowała w natchnieniach religijnych i katolickich: w *Psałterzu*, w którym mowa polska stała się zdolną do wyrażania wszelkich uczuć ludzkich, następnie w *Trenach*, wreszcie w poezji Szarzyńskiego. Trzecim takim momentem, który nanowo uskrzydlił poezję naszą, było rozbudzenie się religijności i katolickich wpływów kulturalnych w poezji romantycznej, przedewszystkiem zaś w najwspanialszych utworach trzech wieszczów: w *Dziadach*, w liryce rzymskiej Mickiewicza, w *Panu Tadeuszu*, w *Królu-Duchu*, w *Irydionie* i *Nieboskiej*... Z katolickiego ducha i katolickich przekonań (jakże odważnie manifestowanych) wyrosła twórczość samotnika Norwida, mająca dla następnych pokoleń poetyckich tak ogromne znaczenie, oraz współczenego mu Karola Ujejskiego. Na katolickiej podstawie opierały się natchnienia Sienkiewicza i Reymonta, z niej wykwitły utwory liryków na schyłku w. XIX i w pierwszej ćwierci XX w. — od Asnyka i Kasprowicza do Staffa, Wolskiej, Lieberta, Ostrowskiej Pawlikowskiego i Iłłakowiczówny. Dramat — z Wyspiańskim i Rostworowskim na czele — miewał w katolickich misterjach nietylko wzór, ale i tworzywo treści czy ideową podnietę.

Mieli więc z czego czerpać współautorowie antologji poetyckiej, której nadali miano *Chór wieków*. Z zebranego — wszakże jak sami zaznaczają celowo, nie wyczerpanego plonu — urósł pokaźny, zgórą 400-stronicowy tom, który może świadczyć zarówno o zasięgu katolickiego wpływu w polskiej poezji, jak i o pilności, o intensywności pracy, włożonej w to zamierzenie. Autorami antologji (opatrzonej przedmową Arcybiskupa J. Teodorowicza) są państwo Wanda i Stanisław Miłaszewscy, oboje zaszczytnie znani w literaturze, redaktor *Myśli narodowej*, Jan Rembieliński, od kilku lat dający piękne dowody poważnych zainteresowań w dziedzinie spraw religijnych. Szczerość i prawość intencyj, rzetelna kultura literacka, dobry gust — te zalety cechowały ów triumvirat (nie wiem, czy trafna nazwa, skoro są właściwie *duumviri — et dux femina facti!*), one też mogły dawać rękojmię, że w antologji nie znajdzie się nic takiego, coby uraziło sumienie katolickie i sumienie artystyczne.

I jeszcze jedna mogła być gwarancja: że antologja nie będzie szablonowa, czy banalna. Przed obawą podobną zabezpieczała

czytelników jedna okoliczność: żadne z trójcy autorów nie należy do cechu historyków literatury, a więc nie zaprzysięgło wierności utartym w tej dziedzinie rangom, klasyfikacjom czy podziałom. Zasada „świeżego oka" może być przydatna nietylko w odczytywaniu palimpsestów, ale ponoć jeszcze bardziej w ocenie wartości czy znaczenia utworów literackich.

Gwarancje te zostały dotrzymane. W antologji znalazły się utwory piękne — zarówno pod względem estetycznym, jak moralnym. Można tę książkę dać dwunastoletniemu podlotkowi — bez obawy, że się zgorszy jej treścią; można dać człowiekowi oczytanemu w przeróżnych literaturach — bez obawy, że się zgorszy jej formą. Tembardziej, że odkryje nieraz malownicze zaułki lireratury, o których mało mówią oficjalne podręczniki. Ot np. taką Benisławską, która z wdziękiem umie „słodki rym Twórcy nucić" w oziębłym wieku stanisławowskim. Albo takiego Rafała Krajewskiego, niedocenionego tęgiego wierszopisarza, z połowy zeszłego wieku.

Szeroką skalę chronologiczną antologji trzyma w karbach norma estetyczna, nie licząca się ani z większą czy mniejszą popularnością danego poety, czy popularnym sądem publiczności lub krytyków o jego literackiej czy politycznej przynależności. W tym ostatnim względzie stanowisko autorów antologji jest niemal zgodne ze stanowiskiem Forst-Battagli, wyrażonem na wstępie jego tomu o polskiej literaturze katolickiej. Tem też tłumaczy się fakt uderzający, że w gronie twórców wchodzących do chóru poezji katolickiej znalazł się i Stefan Żeromski, który z Kościoła wystąpił i spoczął na cmentarzu kalwińskim...

Że antologja poetycka pomieściła także i utwory (albo urywki utworów) pisane mową niewiązaną, przeciwko temu nic mieć nie można, owszem powitam to z radością, nie należę bowiem do tych, którzy w dziele „poezji" omawiają tylko wiersze, choćby to były rymowane rejestry gospodarskie lub szarady z „kącika rozrywek". Możebym się trochę posprzeczał o nazwę „zbiór religijnej poezji", użytą przez Dostojnego Przedmówcę. Nie wszystkie utwory w tym zbiorze są w ścisłem słowa znaczeniu „religijnemi". Pani Miłaszewska, autorka tomiku *Veni Creator*, narzuciła tenże ulubiony tytuł cyklowi, zawierającemu *Kołacze* Szymonowicza — w utworze tym, poza trzema wyrazami „Kapłanie gotuj stułę" niema właściwie treści religijnej. Ale skoro rozszerzymy zamierzenia autorów antologji — wiedząc, że chcieli dać nietylko utwory religine *sensu stricto,* ale i te, które wynikły z podłoża polskiej kultury katolickiej — tedy wszystko jest w porządku i zastrzeżeń w tym kierunku wysuwać nie będziemy

Wysuniemy je natomiast w innym kierunku. Nie mam pretensji do żadnej z trzech osób układających antologję, że nie należą do cechu filologów; owszem, nawet wyraziłem i radość z tego powodu. Ale pocóż bawić się w filologa, gdy ktoś nim nie

jest? A taką właśnie zabawę w filologów urządzili sobie autorowie antologji — i to w najtrudniejszej dziedzinie filologicznej, jaką jest t. zw. krytyka tekstu. Sprawność w tej dziedzinie zdobywa się przez długą naukę i praktykę, przez wieloletnie niekiedy siedzenie w rękopisach, skrupulatne obznajomienie się z charakterem pisma, a wreszcie przez uważne porównywanie wszelkich istniejących redakcyj czy kopij danego utworu. Samym domysłem kierować się tu niepodobna. Przeto wszelkie „konjektury", jakie wprowadzili autorowie cennej antologji, są niestety mylne. Tyczy się to przedewszystkiem skomponowanego przez nich tekstu *Bogurodzicy*, niepodobnego do żadnego z istniejących jej dawnych odpisów. We wszystkich rękopisach naszej pieśni (także w druku Łaskiego) jest „U Twego Syna" (co zresztą jedynie ma sens) — w antologji wydrukowano samo „Twego Syna"; w rękopisach jest „to dać raczy" (lub „dać raczy") — w antologji wydrukowano „racz", zapewne, żeby wyrównać wiersz do ośmiu zgłosek w myśl anachronicznie zastosowanej zasady wierszowania, jaka wcale nie obowiązywała we wczesnem średniowieczu. Podobnie w *Litanji* Norwida wprowadzono „jaw", gdy w rękopisie jest „jak". W wierszu anonima z XV w. o Zmartwychwstaniu niepodobna, by było „kryż" i „kryżować", bo już wtedy dawno była się dokonała fonetyczna przemiana -ri- w -rz-.

Ale to wszystko drobnostki, które nie mogą zaszkodzić ani wdziękowi ani pożytkowi tej księgi. A do pożytków dodać można jeszcze jeden. Cała antologja ułożona jest — wbrew tytułowi — w chronologji nie wieków, ale — roku kościelnego, „Roku Bożego, że znów wspominamy sobie tytuł jednego ze zbiorków Miłaszewskiej. Dobrze, że tak powabną drogą inteligencja polska dojdzie do odzyskania świadomości o porządku obrzędów kościelnych. Oczywista rzecz, do jakiej takiej znajomości spraw liturgicznych jeszcze polski inteligent tą drogą nie dojdzie. Ale możemy mu zalecić w tym zakresie dwie książki, bodaj że niemniej powabne. Są to napisane przez S. Marję Renatę prześliczne szkice liturgiczne: *Sentire cum Ecclesia* oraz *Liturgja i sztuka.* Druga z tych książek przez swą artystyczno-kulturalną tendencję ma nawet pewne wewnątrzne pokrewieństwo z antologją Miłaszewskich i Rembielińskiego.

Józef Birkenmajer.

Jędrzej Giertych: Tragizm losów Polski. Pelplin. — Czcionkami i nakładem drukarni i księgarni „Pielgrzyma" Sp. z O. Odp. — 1936 r. stron 632.

Autor jest młodym „narodowcem", b. urzędnikiem M. S. Z., znanym już z doskonałej pracy o Prusach Wschodnich oraz z wystąpień publicystycznych, któremi starał się pogłębić wśród zwolenników narodowej demokracji znajomość zagadnień Kresów

Wschodnich, polemizując ostro z prof. Stanisławem Grabskim, odpowiedzialnym w jego oczach za zmarnowanie okazji przyłączenia całej Białorusi do Polski. Książka Giertycha jest, jak nam to podkreśla na wstępie, wybitnie tendencyjna. Chodzi mu o przekonanie czytelników, „nie będących narodowcami", że przyjęte dotychczas poglądy historyczne są przeważnie błędne i że słuszność w ocenie dziejów nowych, przedrozbiorowych, rozbiorowych i współczesnych znajduje się wyłącznie po stronie historyków i publicystów narodowych. Wierząc w opanowanie całego społeczeństwa przez stronnictwo „narodowe", jest on pewnym, że czytelnicy przyznają mu rację, jeśli tylko przeczytają jego wywody „od deski do deski". Kończą się one „na okresie, zamkniętym przez śmierć Piłsudskiego".

Autor sam stwierdza, że praca jego, z której znaczne ustępy ukazywały się już dawniej w czasopismach, napisana została pod przemożnym wpływem poglądów na rolę masonerji i żydów w naszych dziejach Romana Dmowskiego i Dr. Kazimierza Marjana Morawskiego, po części ś. p. Bohdana Derynga. Dla p. Giertycha Dmowski jest tem samem, czem dla zwolenników ś. p. marszałka jest Piłsudski. Tłumaczy to wiele: wszyscy w Polsce błądzą, jedynie Dmowski i wyznawcy jego światopoglądu mają słuszność — oto jego myśl przewodnia. Idzie on dalej: zdaniem jego czynniki międzynarodowe, obce i tajne, kierowały i kierują przez swoje agentury w Polsce wszystkiemi poczynaniami, sprzecznemi z tą racją stanu, którą głosi „obóz narodowy". Czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* znana jest już książka Dr. Kazimierza Marjana Morawskiego, *Źródło Rozbiorów Polski*, w której uczony ten i niezmordowany badacz dziejów masonerji omawia rolę tajnych związków w doprowadzeniu do rozbiorów Polski. Giertych tak obszernie korzysta z prac Morawskiego, że przeprowadzony przez autora „tragizm losów Polski" dowód zniszczenia dawnej Polski przez intrygę żydowsko-masońską jest w znacznym stopniu powtórzeniem tez autora *Źródła Rozbiorów Polski*. Zachodzi tu jednak ogromna różnica. K. M. Morawski podaje szereg konkretnych faktów, nasuwających pewne wnioski, nie tai jednak luk istniejących i dlatego nie ukrywa hipotetycznego charakteru sformułowanych tez, pomimo „uchwycenia na gorącym uczynku właściwych sprawców rozbioru". Dla p. Giertycha wszystkie te poszlaki przeciwko szatańskim czynnikom są aksjomatami, które jeszcze uzupełnia własnemi wnioskami, niekiedy daleko wybiegającemi w dziedzinę wyobraźni. Pod tym względem Giertych jest wciąż zanadto dziennikarzem-polemistą, a za mało historykiem. Nie pomniejsza to znaczenia wielu ciekawych rewelacyj autora o korupcyjnej roli żydów w Polsce przedrozbiorowej; dość bezceremonjalnie generalizuje on przy tej okazji wątpliwość o szczerości chrztu żydów! Byleby zmniejszyć odpowiedzialność rdzennych Polaków.

Nikt nie będzie dziś poważnie kwestjonował tezy, że głównym autorem rozbioru były Prusy, korzystające z poparcia nienawistnych Polsce tajnych związków protestanckich, które już o mało nie doprowadziły Polski do upadku przez akcję dysydentów za wojen szwedzkich. Nikt również nie będzie kwestjonował związku pomiędzy rewolucją francuską a „jakobinizmem polskim". Na pochwałę zasługuje odważna i przekonywująca próba autora rehabilitacji polityki (nie charakteru) Stanisława Augusta. Bardzo też dobrze czyni autor, podnosząc wielkość Jana Sobieskiego, kwestionowaną niekiedy w jego obozie. W przeciwieństwie zaś do Morawskiego Giertych nie rozumie, że akcja masonerji była zwróconą przeciwko trzem katolickim monarchjom, Habsburskiej, Bourbońskiej i Polskiej. Nie rozumie on, że ruch niepodległościowy narodów, który w końcu acz niezupełnie zatriumfował w wojnie światowej, był w wszystkich swoich przejawach popieranym przez masonerję w interesie obalenia dynastycznego ustroju w Europie. Od tego daleko do — zależności nacjonalizmu od masonerji! O ile więc jest bezspornem, że nasze powstania narodowe były przygotowane nieudolnie, rozgrywane fatalnie i wszczynane w najgorszej chwili, o tyle nie można z ich przywódców czynić narzędzi masońskich, ani tem mniej królewsko-pruskich! Prusy umiejętnie korzystały z naszych błędów, lecz żeby miały być aż ich — inicjatorami....? Autor zresztą nie daje żadnych dowodów na to, że Berki Joselewicze i inni żydowscy bohaterowie polscy byli prowokatorami! Prusy Hohenzollernowskie zapewne umiejętnie korzystały z pomocy żydów. W czasie jednak wojny światowej sympatje żydostwa były (do rewolucji rosyjskiej) podzielone, Wielki Wschód zaś od początku był po stronie Francji i potężną odegrał rolę tak w pozyskaniu jej sojuszników, jak i potem w Kongresie pokojowym. W wywołaniu rewolucji rosyjskiej czynniki koalicyjne i niemieckie współdziałały, w nadziei pozyskania „demokracji rosyjskiej". Zresztą Niemcy zawsze stawiały raczej — i słusznie — na carat i zawsze prusofilską reakcję rosyjską, któraby prędzej zdradziła koalicję, niż to uczynili bolszewicy. P. Giertych, uznając jedynie zasługi Dmowskiego w wskrzeszeniu Polski, potępia w czambuł cały czyn zbrojny Piłsudskiego, którego potem pomawia na podstawie starych i dawno już sprostowanych zarzutów o zrzeczenie się Lwowa i ziem zaboru pruskiego, o wyznawanie rzekomego programu „Małej Polski". W przeciwieństwie do niewątpliwej wartości rozdziałów poświęconych dziejom przedrozbiorowym i powstańczym — aczkolwiek nie wszystkie legendy zasługują na tak brutalne odbronzowywanie — działy poświęcone historji wskrzeszenia niepodległości są najsłabsze, ba nawet groteskowe w swojej tendencyjności. Skoro zaś autor tak chętnie stawia hipotezę, że wszystko poszłoby jak najlepiej, gdyby „wówczas" decydował o losach Polski „obóz narodowy", to warto się jego zapytać, coby było,

gdyby — broń Boże — Rosja wojnę wygrała. Wszak ujawnione przez bolszewików dokumenty dowiodły raz na zawsze, że koalicja zachodnia była w Petersburgu bezsilna i że Rosja Carska żadnych realnych korzyści nie zapewniłaby Polsce w razie zwycięstwa, chyba — poddanie pod wspólne jarzmo zgnilizny eurazyjskiej i tych naszych dzielnic, które zachowały bądź co bądź łączność cywilizacyjną z Europą. Czyż w takich warunkach godzi się autorowi zarzucać niemal zdradę tym politykom polskim, którzy w najlepszej myśli — paktowali — mając poprostu złudzenia w odwrotnym kierunku z rządem Wilhelma II? Czyż nie zdaje on sobie sprawy z historycznego faktu, tak dobrze znanego właśnie Dr. Kazimierzowi Marjanowi Morawskiemu, że rozbiór Austro-Węgier katolickich był oddawna jednym z zasadniczych celów Wielkiego Wschodu? Że naczelne jego hasło, walka z „tronem i ołtarzem", godziła równomiernie we wszystkie monarchje? Nie wolno historykowi tak uproszczać sobie zagadnień i przedstawiać jako rzekomy aksjomat rolę masonerji w świetle najbardziej korzystnym dla tez partyjno-politycznych własnego obozu, kiedy w rzeczywistości rola jej jest daleko bardziej skomplikowana i bynajmniej nie taka, by można się było dopatrywać zawsze jej działania po stronie „obozowi narodowemu" przeciwnej. Jako przykład możnaby chociaż przytoczyć „małoententową" orjentację polityczną prasy „narodowej", orjentację typowo idącą po linji masonerji. Autor tak hojnie szafuje nazwą mason, że traci ona wszelką rzeczową powagę.

Pozatem książka p. Giertycha jest w specyficznem tego słowa znaczeniu „niepolityczną". Jest to doprawdy „tragizm losów autora", że właśnie z Piłsudskim, którego tak nienawidzi, łączy go ten sam ustawiczny, acz przesadny lęk, by czynniki międzynarodowe obce i tajne nie kierowały przez swoje agentury w Polsce dalszemi losami naszego kraju. Słusznie pisze o książce Giertycha w *Buncie Młodych* Ksawery Pruszyński, że „Giertych podkopał sam wszystko, co potem napisze o szkodliwej i błędnej polityce Marszałka". Nie uda się już dziś nikomu zaprzeczyć, że legjony wymusiły umiędzynarodowienie sprawy polskiej, że legjony sprawiły Rarańczę i Kaniów, że pod znakiem Piłsudskiego wojskowi Polacy tworzyli w Rosji po rewolucji Korpusy polskie, że legjonista Haller stanął na czele armji polskiej w Francji, legjonista Czuma na czele wojsk naszych w Syberji, że w Rosji właśnie peowiacy i legjoniści z woli Piłsudskiego współdziałali orjentacyjnie i militarnie z „narodowcami" (przeciw lewicy), że zwycięskim wodzem w wojnie z bolszewikami był Piłsudski, że poza nim najbardziej się odznaczyli wodzowie legjonowego pochodzenia, względnie legjonowej organizacji jak Haller, Sikorski, Szeptycki, Rozwadowski, Śmigły... W dziełach gen. Sikorskiego autor znajdzie zresztą najlepsze zaprzeczenie legendy o rzekomej pokojowości Sowietów wobec Polski. Nie rozumie on też istoty

polityki federacyjnej, która dążyła do podporządkowania Polsce narodowej szeregu państw narodowościowych, co, biorąc pod uwagę naszą strukturę etnograficzną, miało być nowoczesnem wznowieniem Jagiellońskiej polityki unijnej, a więc właśnie programem Wielkiej Polski.

Książka Giertycha, pogłębiając przepaść, dzielącą w Polsce obozy, wrogi i przychylny Piłsudskiemu, godzi obuchem w wszystkich zwolenników konsolidacji narodowej, pogodzenia patrjotów wobec ciężkiej sytuacji państwa. Autor nikogo nie przekona, „legendy Piłsudskiego" nie zburzy a natomiast nienawistne, zabójcze waśni wewnątrz narodu pogłębi... Na Pomorzu książka jego uległa konfskacie.

Adam Romer.

Maksymiljan Goldstein i dr. Karol Dresdner: Kultura i sztuka ludu żydowskiego na ziemiach polskich. Lwów 1935. Skład główny w księgarni Atlas. Str. VI+208, 3 wkładki artystyczne, 158 ilustracyj.

Trzydzieści lat temu młody inteligent żydowski, potomek znanego rabina Halewiego z XVII wieku, założył we Lwowie prywatne muzeum żydoznawcze. Zbierał i gromadził wszystko, co odtwarzało zabytki życia żydowskiego w Polsce: szaty, druki, obrazy, rzeźby, plastykę, rękopisy i t. d. Z niesłychanym zapałem, dużym wysiłkiem pracy i nakładem kosztów oraz z niepospolitą znajomością rzeczy, stworzył Maksymiljan Goldstein bardzo zasobną kolekcję, podziwianą szczerze przez znawców i rzadką, gdyż istnieje zaledwie parę zbiorów żydoznawczych: w Warszawie, Krakowie i Wilnie, ale żaden z nich za wyjątkiem może zbiorów Matjasa Bersohna w Warszawie nie dorówna goldsteinowskiemu i przytem mało są one znane szerszemu ogółowi.

Na tle zbiorów Goldsteina powstała w r. 1935 książka prawdziwie piękna, pod powyższym tytułem.

Zawiera ona 12 rozdziałów: w rozdziale pierwszym znajdujemy opis życia rodzinnego i społecznego i przedmiotów folkloru żydowskiego. Z zamiłowaniem i znawstwem autorzy podają nieznane, a ciekawe szczegóły o tradycyjnych zwyczajach rodzinnych i narodowych, pełnych patrjarchalnej prostoty i konserwatyzmu nie pozbawionego jednak oryginalnego piękna. Rozdział drugi poświęcony jest portretom karykaturom. Żydami zajmowali się tacy artyści, jak Pieraccini, Le Prime, Norblin, Angelini, Piwarski; sztycharz H. Dave stwarza ciekawy typ litewskich żydówek; Cossl, uwiecznia w akwaforcie typ polskiego żyda. Dział karykatur jest bardzo bogaty, aczkolwiek polski żyd może zbyt często nastręczał motywy do niezbyt koniecznych humorystycznych rysunków. Rozdział trzeci omawia ubiory i biżuterję, sięgającą XV wieku, powstałe przeważnie pod maurytańskim wpływem (oryginalne kolczyki, pierścienie, sygnety). Specjalnie ciekawe są

sygnety z okresu wielkiej wojny oraz ochronne, trącące zabobonem, amulety. W rozdziałach następnych poznajemy utensylja szabasowe i świąteczne, specjalną porcelanę i szkło, świeczniki i lampy, przedmioty kultu synagogalnego — bogate i ozdobne. W rozdziale szóstym opisane są synagogi i cmentarze (kirkuty), wśród których kryje się wiele zabytków starej architektury. Osobny rozdział poświęcony jest mało znanej ceramice żydowskiej z fabryki w Lubyczy w Małopolsce. Dalej autorzy zaznajamiają nas z licznymi artystami, których w każdej dziedzinie sztuk pięknych tak wielu posiada zdolny na tym polu naród żydowski. Rozdział dziewiąty jest poświęcony pięknym ekslibrisom żydowskim i ciekawym, często dowcipnie pomyślanym, plakatom. W rozdziale dziesiątym poznajemy bardzo bogatą dziedzinę plastyki metalowej. Wszak wśród wybitnie zdolnych plastyków był znany szeroko w Europie artysta lwowski Dornhelm, który tworzył prawdziwe arcydzieła, a prace jego poszukiwane są w Anglji. W wielu kościołach w Małopolsce są również jego prace. Dwa ostatnie rozdziały książki omawiają rękopisy i druki — oraz pamiątki z wielkiej wojny.

Książka napisana zupełnie spokojnie, objektywnie, przyjaźnie dla Polski. Piszą synowie żydowskiego narodu, więc oczywista rzecz, wyczuwa się przywiązanie do swego, ale bezsprzecznie oddaje ta książka wielką przysługę czytelnikowi polskiemu, gdyż otwiera przed nim to, co jest tak blisko niego, z czem się styka niemal codziennie, a czego prawie wcale nie zna. Bezstronne oświetlenie omawianych przedmiotów, wprowadza go w sfery mało mu znane, zamknięte częstokroć i ukryte, a przecież niemal konieczne, aby je poznać, skoro wśród nas zamieszkuje kilka miljonów żydów. Poza uczciwą i ciekawą treścią, zewnętrzna strona wydawnictwa ozdobionego kilkoma pięknemi akwafortami i licznemi rysunkami, zachęca do poznania go bliżej.

Praca Goldsteina i Drobnera, przeczytana przez bezstronnego czytelnika, wykaże mu nie tylko odrębność polskich żydów od ich zagranicznych rodaków swą kulturalną przeszłością i obyczajami, ale i stwierdzi wiele punktów styczności z kulturą polską i krajem, z którym dzielili oni tyle wieków doli i niedoli. Na podkreślenie zasługuje również fakt, że zbieracz zamiłowany, nie rozporządzając nawet odpowiedniemi funduszami, może jednak z czasem, aczkolwiek z dużym wysiłkiem, stworzyć rzecz piękną i uratować od zniszczenia zabytki przeszłości. Przy następnem wydaniu książki powyższej uważałbym za wskazane oddzielenie zabytków historycznych od folkloru, oraz zamieszczenie licznych rysunków, dotyczących oryginalnej architektury synagog, oraz ilustracyj z dziedziny lichtarzy, świeczników, starych opraw książkowych i zabytkowych Tor. Przydałby się również dział szkolnictwa, tak charakterystyczny w świecie żydów polskich. Nie zawadziłoby również, aby ilustracje obejmowały tereny z pozo-

stałych dwóch byłych zaborów, co byłoby zgodne z tytułem książki, opisującej kulturę żydowską na ziemiach polskich. Przydałby się wielce skorowidz osobowy i rzeczowy.

Dr. Około-Kułak.

Miscellanea Vermeersch: Scritti publicati in onore del R. P. Arturo Vermeersch S. J. Roma, Pontificia Universitas Gregoriana 1935, Analecta Gregoriana, volumina IX—X, str. XXIX + 454, 406 + 42.

O powyższem wydawnictwie nie można nie wspomnieć — raz dla osoby Jubilata, O. Vermeersch'a, b. profesora teologji moralnej i socjologji na Uniwersytecie Gregorjańskim w Rzymie, a następnie i dla materjału naukowego, jaki złożyli mu w hołdzie po czterdziestu dwu latach pracy profesorskiej (26 w Jezuickiem Kolegjum Lowańskiem i 16 w Rzymie) jego koledzy, przyjaciele i dawni uczniowie (Merkelbach, Lottin, Schmitt, Creusen, Grabmann, de Ghellinck, Vidal, van Hove, Bidagor, Roberti, Capello, Maroto, Schilling i inni). Czterdzieści siedem rozpraw w różnych językach ułożono w cztery grupy nauk, w których krzątały się i krzątają niezwykle żywo oraz płodnie myśl i pióro O. Vermeersch'a. Będą to: teologja moralna i prawo kanoniczne (*Miscellanea*, vol. I) oraz prawo cywilne i socjologja (vol. II). Powstrzymując się od szczegółowego wykazu tematów tych bardzo ciekawych, a często i aktualnych przyczynków naukowych, zaznaczamy, że odpowiedni poziom zapewniają im wymienione wyżej nazwiska. Tom II *Miscellanea* (str. 372—403) podaje kompletny wykaz dorobku pisarskiego O. V. z lat 1891—1935. Ta imponująca rozmiarem i tematyką twórczość przemawia do czytelnika tytułami podręczników uniwersyteckich, monografij i wydawnictw seryjnych, artykułów w encyklopedjach i słownikach naukowych, niezliczonych rozpraw, notatek oraz uwag i odpowiedzi na wysuwane wątpliwości. Umieszczał je O. V. w czasopismach różnych języków, a często w założonych i redagowanych przez Jubilata *Periodica de re morali, canonica, liturgica.* Nadto wielki wkład myślowy O. V. znajdziemy w encyklice Piusa XI, szczególnie *Casti Connubii* i *Quadragesimo anno,* do których wydał potem znakomite komentarze.

Twórczość naukowa O. V. świadczy, że jej niewyczerpanem źródłem jest indywidualność ludzka nieprzeciętnie zdolna, wyposażona w szerokie myślowe horyzonty, olbrzymią wiedzę faktyczną, metodę, zmysł teoretyczny i praktyczny, oraz niezmordowaną i mrówczą pracowitość. Te przymioty wraz z wielką przyjaźnią dla szlachetnego i szczęśliwego życia ludzkiego pozwoliły O. V. wyspecjalizować się w rozwiązywaniu wątpliwości i trudności w dziedzinie moralnej i prawnej, co traktował on jako ułatwianie życia człowiekowi. O. V. to jednocześnie vir ecclesiasticus, głę-

boko pobożny a zarazem dziecięco prosty o niezwykle subtelnem życiu duchownem. Być może, że ono zrobiło zeń naukowca i w dziedzinie teologji duchownej.

Jako vir doctrinae Jubilat jest myślicielem odważnym i oryginalnym: stawia nowe problemy, daje im nierzadko własne rozwiązanie, to też w podręcznikach teologji moralnej i prawa kanonicznego spotykamy często jego nazwisko, jako twórcy lub godnego zanotowania stronnika jakiejś opinji.

Na katedrze profesorskiej O. V. zachwycał swoich słuchaczów nietylko stroną rzeczowo-literacką oraz jakąś słoneczną pogodą swych wykładów, ale wywierał na nich niezapomniane wrażenie jako typ człowieka, kapłana i zakonnika. Podawana przezeń wiedza natchniona była wielką przyjaźnią dla szlachetnego i szczęśliwego życia człowieka. Dla wyczucia ludzkiego typu O. V. zaznaczę, że był on zasłużonym współwychowawcą szlachetnego króla Belgów, ś. p. Alberta.

Polskie sfery kościelne reprezentowane są w Komitecie wspierającym wydawnictwo, nazwiskami Ks. Metropolitów Teodorowicza i Szeptyckiego, Ks. Biskupów Fulmana i Adamskiego, Rektora Polsk. Inst. Pap. w Rzymie ks. prał. T. Zakrzewskiego i Bibljotekarza Kolegjum OO. Jezuitów Bobolanum w Lublinie. Z pośród dzieł O. V. najbardziej znanemi i używanemi w Polsce są może dwa uniwersyteckie podręczniki: *Epitome iuris canonici cum commentariis* (w przygotow. V wyd.) i *Theologiae moralis principia, responsa, consilia*,[3] 4 tomy. Na język polski przetłomaczono: *Pratique et doctrine de la dévotion au Sacré-Coeur*[1] (Nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusa w praktyce i teorji. Kraków 1933) i *Catéchisme du mariage chrétien d'après l'Encyclique „Casti Cannubii"*[2] (Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego według encykliki *Casti Connobii*. Poznań 1932). Szkoda, że *Miscellanea* nie podały krótkiej choćby biografji Jubilata. O. V. przebywa obecnie w ojczystej Belgji, dając ciągle znać o swej nieprzerwanej pracy naukowej nowemi pozycjami piśmienniczemi.

Ks. Z. Goliński.

Dr. Stanisław Rospond: Jugosławja (z teki podróżnika i obserwatora). Miejsce Piastowe. Nakł. Tow. św. Michała Archanioła. Str. 361.

Wrażenia z podróży można spisywać w sposób dwojaki: albo na gorąco, bezpośrednio, albo też po upływie pewnego czasu, po przemyśleniu tego wszystkiego, co się widziało, słyszało i przeżyło. W pierwszym wypadku powstają zazwyczaj t. zw. listy z podróży, w drugim monografje podróżnicze. Do pierwszych trzeba mieć wrodzoną żyłkę improwizatorską, albo też doświadczenie i rutynę długoletniego dziennikarza, jakim był np. twórca tego rodzaju literackiego u nas, Henryk Sienkiewicz. Do drugiego gatunku podróżniczego najlepiej uzdolnieni bywają nau-

kowcy, którzy już z fachu swego specjalizują się w monografjach, na określony temat i z celem określonym.

Oczywiście bywają gatunki pośrednie, mieszanina obu sposobów pisania. Jest rzeczą talentu, czy ktoś potrafi uzgodnić je w sposób należyty.

Taką właśnie mieszanką wrażeń różnorodnych, bezpośrednich i pośrednich, ważkich i mniej ważnych, prawdziwą *silva rerum*, jest książka Dr. Rosponda. Autor ma i talent i werwę pisarską i wiedzę naukową i bystry dar obserwacyjny, a przecież w książce jego, nader pożytecznej i ciekawej, jest coś, co jeszcze nie pozwala jej nazwać rzeczą z artystycznego punktu widzenia zupełnie udatną. Przyczyną zapewne jest młody, nieustatkowany całkowicie temperament autora, pozatem chęć powiedzenia wszystkiego naraz i jak najobszerniej. Czasem więc pióro ponosi tu zbytnio pisarza, zamiast by on miał nad niem panować.

Oczywista rzecz, w drugiej czy trzeciej swej książce autor doprowadzi elementy podjętego tematu do pożądanej harmonji. Tymczasem i czytelnik nieraz rad jak „rozigrawszy myśli, używać swobody" i zniknąć za niesfornym tokiem opowieści Rosponda. Czasem to i owo wyda mu się może gadulstwem, ale to tylko na chwilę, bo nawet i w czysto osobistych wspominkach o rodzinnych Liszkach (pod Krakowem) i o słynnej kiełbasie lisieckiej jest pewien urok młodzieńczej bezpośredniości. Każda liszka swój ogon chwali. Nie można więc mieć nikomu za złe, że chwali — Liszki.

Z obfitej i sumiennie zużytkowanej literatury, której bibljografję przytoczono w końcu książki, widać, że o Jugosławji pisano u nas już stosunkowo dużo; na tem polu zasłużył się kiedyś i *Przegląd powszechny* pracami księży: Badeniego i Wieckiego; pisywali ponadto o południowych Słowianach: Grzegorzewski, Jeż, Magiera, ks. Czerminski, po wojnie zaś głównie Lubaczewski i Batowski. Szereg innych nazwisk wymienia autor w zwięzłym rozdziale *Polska i Jugosławja*, gdzie omówił zwłaszcza żywą łączność kulturalną na polu językoznawstwa i literatury. Ale wszechstronnością ujęcia nikt nie dorównał Rospondowi. On dopiero dał nam pełną polską monografję o Jugosławji.

Drugim syntetycznym rozdziałem jest *Vademecum jugosłowiańskie*, gdzie treściwie zebrano główne wiadomości dotyczące geografji kraju, jego ekonomji i administracji, historji i polityki, religji i oświaty, języka, literatury i sztuki; wszystko zaś zamknięte „socjologicznym profilem Jugosławji". W każdym z tych działów autor wykazuje należytą orjentację. Widać, że czasu nie tracił — i dużo zaobserwował, dużo się nauczył podczas swego pobytu w państwie południowych pobratymców. A odbywał tam, warto nadmienić, studja nietylko językowe, nietylko literackie, ale i socjologiczne.

Że języka serbo-chorwackiego wyuczył się biegle, widzimy i z tekstu narracji podróżniczej i z zamieszczonych pod koniec

książki aneksów leksykograficznych. Polszczyzna Rosponda jest też bez zarzutu, a przy silniejszem opanowaniu płynności pióra mógłby autor wyjść na pierwszorzędnego stylistę. Doceniając w zupełności naukową jego wiedzę językoznawczą, zaznaczę jednak, że wyraz *hołobla* napisałbym przez *h*, nie przez *ch*. — I to pomimo, że również jestem rodem z krakowskiej ziemi, która w wymowie nie odróżnia tych dwóch głosek.

Józef Birkenmajer.

Hitler gegen Christus. Eine katholische Klarstellung und Abwehr. Miles Ecclesiae. Paris. Société d'éditions européennes r. 1936, str. 194 in 8^0

Nieoceniona książka dla każdego, kto chce rzeczywiście poznać religijne oblicze hitleryzmu, a nie poprzestawać na tendencyjnych i fałszywych oświetleniach. Na podstawie całego szeregu enuncjacyj czy to samego Führer'a czy jego ministrów i wybitnych działaczy, wykazuje autor zupełnie niezbicie, że narodowy socjalizm jako taki, a nie tylko lewe jego skrzydło jest w gruncie rodzajem zdecydowanego antychrystjanizmu, który żadną miarą pogodzić się nie da z jakąkolwiek formą dogmatycznego chrześcijaństwa. Duch, którego tchnął Hitler w Trzecią Rzeszę jest z najgłębszej swej istoty przeciwieństwem ducha Chrystusowego i dlatego, pomimo częstych zapewnień, że narodowy socjalizm stoi na gruncie „pozytywnego chrześcijaństwa", nie może się pogodzić ani z wierzącym odłamem protestantyzmu, z t. zw. *Bekenntniskirche*, ani, tem mniej z katolickim Kościołem. Ten ostatni, jak wykazuje autor, robił co tylko mógł, a raczej więcej niż mógł, żeby nie wchodzić w kolizję z panującym systemem, ale wszystko to było nadarmo. Kościół niemiecki już dziś zrozumiał, że o ile hitleryzm zasadniczo nie zmieni kierunku, jednego tylko mogą katolicy spodziewać się w przyszłości, tj. zawziętego prześladowania z góry, a w własnych szeregach okazji do tej cichej, bohaterskiej walki, która już dotąd okryła chlubą i hierarchję i stowarzyszenia i poszczególnych wiernych. Znajdujemy w niniejszej książce całe mnóstwo szczegółów, rzucających na tę walkę właściwe światło. Autor przytacza a zawsze z zupełną ścisłością, zarządzenia i oświadczenia władz, różne konkretne dowody dokuczliwości ze strony hitlerowskich organizacyj, między innemi nazwiska aresztowanych lub pieniężnie karanych kapłanów, oświetla szkaradną hecę „dewizową", która była jedną sumą bezeceństw, zmieszanych z niegodziwą hipokryzją, podaje reprodukcje z czasopism i ogłoszeń narodowo-socjalistycznej partji, dowodzących jak daleko posunęło się już w tych kołach zupełne spoganienie i wyzucie z kulturalnych uczuć. Autor tej interesującej i doniosłej pracy ukrywa się pod kryptonimem *miles ecclesiae*, bo też w rzeczy samej podjął mężną obronę zagrożonego w Trzeciej

Rzeszy chrześcijaństwa. Każdy, kto zada sobie pracę dokładnego przestudjowania jego wywodów i zacytowanych dokumentów, podzieli z pewnością nadzieję, którą on zamyka swą dzielną książkę: „Naród niemiecki nie będzie długo znosił kajdanów, w jakie go zakuł niepoczytalny despotyzm zdziczałych landsknechtów. Naród niemiecki wejdzie w siebie i przypomni sobie, że jego siła nie leży w uwielbieniu przemocy, w kulcie Wotana, w mistycznych dreszczach krwi i rasy, ale w tem, co męskie, co obyczajne, co chrześcijańskie. I dlatego powróci on do chrystjanizmu i do Europy oraz społeczności ludów chrześcijańskiego Zachodu i tak otrząśnie ze siebie hitlerowski obłęd, że zaledwie pozostanie on w pamięci jako jeden krótki epizod wielowiekowej niemieckiej historji."

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Marie H. Marzani: L e b e n d i g e s C h r i s t e n t u m (Die Mutter der Dienerin Gottes Marie-Therese Ledóchowska), Salzburg 1935, str. 131. — Nakład i druk Sodalicji Św. Piotra Klawera.

Kiedy wiedeńska „Reichspost", w maju b. r., podawała notatkę o ukazaniu się powyższej książki, informację swoją zatytułowała: *Ein Buch über eine gute Mutter.* I istotnie jest to najtrafniejsze ujęcie celu i treści pracy, skreślonej bezpretensjonalnie i z pietyzmem.

Jako motto służy autorce trafne adagium: święci rosną na kolanach matki.

Na czele książki trzy przedmowy, t. zn. autorki, następnie rozrzewniające słowa Matki Urszuli Ledóchowskiej, wreszcie wydawczyń salzburskich (misjonarek pomocnic Św. Piotra Klawera). Wprowadzają nas one dobrze w historję „d o b r e j m a t k i"... Rozdział pierwszy przedstawia dzieje rodu hrabiów Salis-Zizers, z którego pochodziła „d o b r a m a t k a", ś. p. Józefina Ledóchowska, urodzona 1 lipca 1831 r.

Na tle „Wiener Biedermeierzeit" staje następnie przed nami miła sylwetka „Sefine", jako bardzo zdolnego dziewczęcia, rokującego najpiękniejsze nadzieje. Wcześnie przeżywa ona wielkie „wstrząsy": rok 1848, choroba matki, następnie chorobę ukochanej siostry, rezygnuje z uśmiechającego się ku niej szczęścia...

Późno, bo w 30-ym roku życia, wychodzi Józefina za hrabiego Antoniego Ledóchowskiego.

Rozpoczyna się dla niej nowe życie, w które wnosi niezachwiane oddanie się Woli Bożej, cierpliwość i dobroć bez granic, oddając się obowiązkom żony i matki tak idealnie, że (bez słowa przesady!) może służyć za w z ó r dla m a t e k r o d z i n, zwłaszcza dla tych, którym bardzo dolega „ciężar życia" wśród cierpień i trosk.

Nie dziw, że dała Bogu i Kościołowi św. tak wybitne dzieci jak: ś. p. Marję Teresę, założycielkę „Sodalicji Św. Piotra Kla-

wera dla misyj afrykańskich", będącą obecnie „na triumfalnej drodze na ołtarze", — Matkę Urszulę, założycielkę „Urszulanek a Sacrat. Corde Jesu agonizanti", — wreszcie Ojca Włodzimierza, od r. 1915-go Generała Zakonu X. X. Jezuitów. Autorka poświęca im osobny rozdział p. t. *Der Weg der Kinder*. Najbardziej interesujące są w tym rozdziale — przedewszystkiem — mało znane szczegóły z życia Ks, Generała Ledóchowskiego, którego olbrzymie zasługi dla Towarzystwa Jezusowego i dla Kościoła św. szkicuje autorka pod koniec wspomnianego rozdziału.

Ś. p. Józefina Ledóchowska zakończyła swe bogobojne życie w Lipnicy Murowanej dnia 14 lipca r. 1909 i spoczywa — obok swego ś. p. męża — w pięknej kaplicy na tamtejszym cmentarzu.

Z Lipnicą związała się (od r. 1823-go!) ofiarną pracą charytatywną i wysoko pojmowanym przykładem wzorowego życia katolickiego. Pamięć jej opromieniona jest tym nimbem, który oplata groby pierwszych chrześcijan w katakumbach rzymskich.

Migravit ad lucem... Te słowa z grobów starochrześcijańskich słusznie kładzie autorka w swym epilogu.

Kończąc wzmiankę o tej pożytecznej i bardzo ciekawej książce, musimy podkreślić z uznaniem staranność w transkrypcji nazw polskich i znajomość Lipnicy Murowanej, Krakowa i t. d. Taka staranność należy do rzadkości! Autorka (której mąż, rotmistrz hr. Gwido Marzani, zmarł w r. 1905 w Tarnowie) pisze bardzo dużo z autopsji, co się przyczynia ogromnie do bezpośredniości w ujęciu obrazu historycznego.

Ks. Henryk Weryński

Herminja Naglerowa: Krauzowie i inni, 2 tomy z cyklu „Karjera" (Wydawnictwo Mortkowicza). — Ewa Szelburg-Zarembina: Ludzie z wosku, tom drugi z cyklu „Matka Judasza". (Wydawnictwo Gebethnera).

Niemałym kłopotem dla recenzenta są tak modne dzisiaj powieści cykliczne, — to, co Francuzi nazywają *roman fleuve* (powieść-rzeka). Omawiać trzeba poszczególne tomy w miarę, jak wychodzą, a zdać sobie sprawę z doniosłości dzieła przed jego skończeniem, jest bardzo trudno. To zakłopotanie jest specjalnie wielkie wobec powieści Herminji Naglerowej, *Krauzowie i inni*. Narazie wyszły dwa tomy tej powieści, oba należą, jak zaznacza przedtytuł, do cyklu „Karjery". Ile ich będzie — przewidzieć trudno. Tomy te nie są zresztą w sobie zamkniętymi fragmentami cyklu, ale jednolitą, zwartą powieścią. Akcja powieści rozgrywa się w miasteczku wschodniej Galicji, Borach (Brody?). Modą dość dziś rozpowszechnioną, obok postaci powieściowych występują tu i postacie historyczne, a wiele postaci fikcyjnych jest wzorowanych na postaciach autentycznych. Przejrzyście tra-

westowane nazwiska dają klucz powieściowego rebusu (jak tu np. ks. Szamota równa się Sapieha). Napewno pod wiele jeszcze nazwisk bohaterów dałoby się bez trudu podłożyć nazwiska autentyczne. Rzecz dzieje się między rokiem 1867 a 1870, jej tłem jest środowisko mieszczańskie Borów, przedewszystkiem bogata kupiecka rodzina Krauzów. Ale powieść obejmuje i wiele innych środowisk: widzimy w niej życie żydowskiego ghetta, żydów wykształconych, życie ziemiaństwa, przesuwają się przed nami postacie galicyjskich magnatów i polityków, postacie chłopów, przemytników, urzędników, nauczycieli, robotników. Jednem słowem żyjemy pełnem ówczesnem życiem wszystkich sfer i środowisk. Jak wszystkie sfery tak samo i wszystkie ideologje ówczesne znajdują swój obraz w epickiej powieści Naglerowej. Są tu i powstańcy, działacze ideowi i patrjotyczni, karjerowicze i austrjaccy lub zaustrjaczeni urzędnicy. Asystujemy przy narodzinach ugodowej, austrjackiej polityki Galicji. Bo powieść ta ma szerokie tło polityczno-społeczne; kształtowanie się ideologji narodowej i uświadomienia społecznego jest jej główną i najważniejszą osnową. Wmieszanie życia politycznego w życie prywatne, jego nań wpływ, przeprowadzone są doskonale. Poza życiem Borów, poza życiem Krauzów i innych, toczącem się w zwykłych ludzkich konfliktach miłości, nienawiści, ambicji i chciwości — stoi jak postać mityczna, a jednak bardzo wpływowa, lwowski namiestnik, poza nim stoi tajemniczy a groźny i potężny Wiedeń. Stamtąd, ze stolicy, poprzez Lwów idą do Borów hasła asymilacyjne: hasła polityki ugodowej, mocno jeszcze popierane działalnością antypolską, tępieniem „buntu" i nielojalności. Wzamian za lojalność świta nadzieja polskiej szkoły, polskich urzędów. Te obietnice i groźby onieśmielają i kuszą umysły rozgrzane jeszcze pamięcią powstania, umysły romantyczne i patrjotyczne. One to sprawiają, że ówczesna rzeczywistość polska zaczyna się mieszkańcom Borów pod nowym ukazywać kątem. Dawni konspiratorzy i patrjoci zaczynają się zastanawiać, czy nie lepiej, czy nie korzystniej, iść rzeczywiście „na ugodę" i lojalizm austrjacki. Wiedeń ma w ręku atuty nie tylko ideowe: ma też giełdę, ma wielkie interesa, ma dostawy, tu w Borach np. dostawy do budującej się nowej linji kolejowej. Te sprawy nie są bez wpływu na kształtowanie się uczuć narodowych i zapatrywań politycznych. Mam wrażenie, że H. Naglerowa niezmiernie prawdziwie i trafnie odmalowała epokę, że bardzo inteligentnie i wnikliwie zrozumiała i scharakteryzowała ówczesny moment ideologicznie przełomowy. Mimo, iż przedstawia go historycznie, czujemy doskonale nici wiążące to niedalekie wczoraj, z obecnem dzisiaj. Jej, na ogromną skalę zakrojona epopeja, jest „robiona" doskonale. Ludzie są żywi, ich sprawy i konflikty zajmujące, przekonywujące i przykuwające. Ustosunkowanie i zazębienie spraw publicznych o sprawy prywatne jest trafne i w słusznych utrzymane proporcjach. To

wszystko są już walory niepoślednie, świadczące i o wielkich możliwościach autorki i o jej ambicjach i o jej doskonale opanowanem rzemiośle pisarskiem. Jeżeli jednak mówiłam na początku, że sąd o rozpoczętej powieści Naglerowej jest trudniejszy do sformułowania, niż sąd o innych powieściach cyklicznych — to nie dla zalet książki (które są bardzo duże), lecz dla jej braków. Braki te są nieuchwytne a jednak wyraźne. W tej doskonale pisanej, inteligentnej i plastycznej książce jest jakiś brak, brak tego czegoś, co w książkach rzadko bywa „pisane", a co jednak w książkach najlepszych odrazu uderza. Brak tego, co np. w pozornie obojętnej i chłodnej epice Dąbrowskiej odrazu bierze, odrazu idzie wgłąb duszy i serca rozdzierającą zadumą. W tej doskonale odtworzonej prawdzie życia, brak jakiejś artystycznej, własnej deformacji rzeczywistości. W doskonale oddanej i przeprowadzonej ideologji opisywanej epoki, brak jakby jakiegoś pogłębienia, jakichś własnych zamysłów, jakby brak dostatecznej celowości artystycznej. I właśnie o tych brakach doskonałej, udanej książki trudno mówić, przed jej skończeniem, tak jak trudno mówić o olbrzymich, rozbudowanych fundamentach, póki nie zamknie ich łuk sklepienia. Pozornie samowystarczalna książka daje poczucie niedosytu, tak jakby nie była artystycznie i ideowo samowystarczalna i samotłomacząca się. Ale właśnie to wrażenie i ten sąd mogą być mylne, może końcowe sklepienie rozbudowane te fundamenty zwiąże i wytłumaczy. Tak sądzić możnaby tem bardziej, że w tomie drugim spotykamy ustępy i sceny o wiele górujące nad tomem pierwszym, właśnie pewną oryginalnością artystycznej wizji, pewnem spojrzeniem własnem i pewną stylizowaną deformacją. Na razie jest to dom budowany solidnie i umiejętnie, ale póki nie będzie pod dachem, o jego linjach architektonicznych niewiele powiedzieć można. Jako zarzut definitywny można tylko wysunąć (zresztą może i to nie jest zarzutem, a tylko osobistym gustem krytyka) pewną, trochę męczącą sztuczność języka. Język choć pozornie prosty, jest jednak nużący nieustającą metaforą, która razi jeszcze bardziej w epickiem i realistycznem nastawieniu dzieła. Ustawiczne operowanie metaforą musi wkońcu doprowadzać do jej wyblaknięcia, musi prowadzić do jej sztuczności i nietrafności. „Wargi Goldmana kędzierzawiły się ironją" „Żydzi... butami czesali błoto na wszystkich okolicznych drogach". Takie metafory — a podobnych pełno — są i przykro sztuczne i nie dają pożądanego obrazu. I jeszcze jedna drobna uwaga: zboże w ziarnie nie bywa nigdy zanieczyszczone nasieniem perzu; perz rozplenia się w polu z korzenia, nigdy z ziarna. Zapewne jest to drobiazg, ale powieść tak ściśle realistyczna musi się z tego rodzaju drobiazgami liczyć. Ale jakiekolwiek możnaby mieć zastrzeżenia czy wątpliwości co do wielkiej powieści Herminji Naglerowej, w każdym razie jest ona w naszej literaturze pozycją ważną, jest znowu nowym i to

potężnym bastjonem, zdobytym przez kobiece pióro; dalszych jej tomów czekać będziemy z zaciekawieniem i uprzedzoną sympatją.

Mówiąc o *Ludziach z wosku* Ewy Szelburg-Zarembiny stoimy znowu wobec powieści cyklicznej. Tu kłopoty recenzenta są odwrotne jak przy *Krauzach*. Chodzi bowiem nie o początek cyklu (*Matka Judasza*) lecz o jego część drugą. Część pierwszą *Wędrówki Joanny*, książkę niezwykłej piękności i uroku, omawiałam szeroko w *Przeglądzie Powszechnym* z maja 1935 r. Dalszy jej ciąg ma z konieczności ten sam charakter, a zatem te same wartości i ten sam rodzaj piękności. Powtarzać się byłoby zbytecznem. Chodzi raczej o to, o co zazwyczaj chodzi przy „ciągach dalszych", a mianowicie czy autorka utrzymuje się na wyżynie, czy jej starczyło tchu. I to jest sprawa trudna. Przy powieściach cyklicznych zdarza się najczęściej, że czytelnik tomy dalsze uważa za słabsze. Czytając *Ludzi z wosku* miałam ochotę popełnić ten sam błąd sądu, ale po zastanowieniu trochę swoje zdanie zmieniłam. Czy to, co się zazwyczaj bierze za „lepsze", w tomie pierwszym powieści cyklicznej, nie jest poprostu olśnieniem, nowością pomysłu, pewnem zdziwieniem i zaskoczeniem nową, nieznaną, a jak w tym wypadku bardzo oryginalną, wizją świata? Pewne zdziwienie, pewne poczucie *du non vu* jest jednym z zasadniczych momentów wrażeń estetycznych. Ten moment tu ubywa. Tego uczucia wstrząsającej niespodzianki, nowości, odkrywczości, którego z taką siłą doznaliśmy przy czytaniu *Wędrówek Joanny* — przy czytaniu *Ludzi z wosku*, doznać już oczywiście nie możemy. To sprawia nam pewien zawód. Nasze oczy przyzwyczajone już do księżycowości Szelburg-Zarembiny, do balladowości jej powieści, do niesamowitego balansowania na pograniczu świata prawdy i fikcji, realizmu i symboliki, z większą bystrością zaczynają śledzić braki i niedociągnięcia książki. Trochę nas nuży, jakby jej fragmentaryczność. Szelburg-Zarembina, mówimy sobie, ma dar wizyjności, dar widzenia poszczególnych scen i obrazów. Niektóre narzucają jej się z nieodpartą siłą, te są wstrząsające, ale od jednej do drugiej idzie drogą męczącą, trochę szarą, reszta jest wypełnieniem luk między temi olśnieniami najczystszej poezji. Mimo jednak tej początkowej krytyczności, jaka wstępuje w miejsce niedoznawanej już niespodzianki — od pierwszych kart *Ludzi z wosku* ulegamy czarowi. Pęta nas jakiś urok. Doznajemy przyjemności innej, niż przy tomie pierwszym, przyjemności może subtelniejszej i jakby bardziej serdecznej, przyjemności powrotu do znanego i bardzo kochanego kraju, do domu pełnego najczystszych wspomnień i przeżyć. Odrazu od pierwszej sceny, od chrztu dziecka Joanny i Kaja, wchodzimy w tę atmosferę prawdy i bajki, znanego i nieznanego, postaci nowych a znanych, w atmosferę czarującej niedorzeczności. Bo wszystko w tej powieści, opowiadającej nam dzieje małżeństwa

Joanny, chorobę Kaja, nędzę w jaką popada rodzina na skutek tej choroby, historję dzieciństwa Mei, opowiadającej budzące się ruchy społeczne i polityczne w roku 1905 — to wszystko jest i doskonale realistyczne i zupełnie niedorzeczne. Gdy w zwykłych powieściach czytamy np. (a czytamy niestety często) że kobieta mająca zmartwienie stanęła sobie w oknie i tak się zamyśliła, że stała w niem od wieczora do rana, lub że idąc przez miasto z kuferkiem w ręku spostrzegła się w domu, że z kuferka zostało się jej w ręku tylko ucho... wzruszamy ramionami. Wiemy doskonale, że nawet mając zmartwienie, człowiek musi się spostrzec, jak wypadnie mu z ręki ciężka walizka, i że nie będzie stał 8 godzin w oknie, rozmyślając, zwłaszcza gdy trzeba jednak, mimo zmartwienia, ugotować kolację i położyć dziecko spać. W innych książkach takie szczegóły są irytujące, tu są śliczne i wzruszające, bo tu wszystko jest i prawdą i nieprawdą, wszystko jest przedewszystkiem symbolem. Autorka dociera do prawdy najgłębszej, najprawdziwszej o człowieku i życiu, poprzez jej przypadkowość, poprzez jej jakby konwenans. Jej kształt zewnętrzny deformuje świadomie i celowo. Temi, sobie tylko znanemi metodami, dociera zwłaszcza jak mało kto w literaturze, do istotnej prawdy kobiety. Joanna, tak jak każda kobieta — wbrew temu co wypisują romanse — przez miłość i przez macierzyństwo wrasta w realność życia, wrasta w materję a nie wyrywa się z niej. Póki była dziewczyną wędrowała sobie poprzez świat, marząc i śniąc. Bujała w obłokach, była romantyczna, była idealistką, operowała pojęciami oderwanemi. Odkąd związała się z realnością życia miłością i dzieckiem, wszystko się zmieniło z gruntu. Wszystkie idee, wszystkie marzenia, wzięły na siebie kształt jedyny, kształt Kaja i Mei. Gdy teraz wędruje Joanna przez świat, robi to tylko by szukać zdrowia dla Kaja i chleba dla obojga. Patrzy dookoła siebie oczyma niewidzącemi: zawsze widzi tylko tych dwoje w kręgu kopcącej lampki, zawsze widzi tylko to, co jest teraz jej światem: swój dom. Wszystko inne jest jej obojętne. Jak po ceracie spływają po niej hasła rewolucyjne, narodowe, społeczne. Przypadek sprawia, że spotyka je na swej drodze, że bierze w nich udział, ale ten udział jest przypadkowy i odruchowy, jej jedynem hasłem, jedyną ideą jest Kaj i Mea. Ta aspołeczność Joanny, jest objawem wielkiej i odważnej inteligencji autorki. Joanna, która jest jej postacią ulubioną, wypieszczoną, która jest ideałem najpiękniejszej, najszlachetniejszej kobiecości, jest jak tyle kobiet niedostępna dla ideowej spekulacji, niedostępna dla haseł ogólno-ludzkich. Cały wrzący dookoła niej ruch rewolucyjny ma tylko jedno zagadnienie naprawdę ważne: Kaj uczy potajemnie dzieci, czy to nie może mu w czem zagrażać... Ciasnota? brak inteligencji? egoizm? Nie. Joanna jest inteligentna, szlachetna, pełna samozaparcia, dla siebie nie ma właściwie nic z życia i niczego nie żąda, oddaje się i wyniszcza do

ostateczności dla swoich bliskich; dla innych, obcych też jest dobrą, zdejmuje z siebie ostatnią suknię, aby ją oddać starej, pomylonej francuzce, na każde zawołanie biegnie służyć chorej Serafinowej, służyć i pomagać chce każdemu, z każdym współczuje. Tylko Joanna jest prawdziwą kobietą: jej idealizm to miłość, jej ideał to nie abstrakt — to człowiek. Joanna to kobieta, która miłość odczuwa nie tylko w duchu, w umyśle ale we własnem ciele, której ta miłość krystalizuje się dzieckiem, która organizuje jej się w dom, w codzienny chleb, która jej od ziemi nie odrywa lecz przeciwnie z nią wiąże. Joanna Szelburg-Zarembiny to nietylko kobieta w najistotniejszych swoich cechach psychologicznych uchwycona — to coś więcej: to upostaciowanie żeńskiego pierwiastka świata, to w pogaństwie już znana rodna siła przyrody, matka ziemia, to witalny i tajemniczy *Erdgeist*, to nosicielka męskiego „Logosu" twórczego, ogniwo łączące świat ducha i materji. Bez niej męski Logos byłby tylko w próżni zawieszonem, bezsilnem słowem teorji, bez niej materja byłaby tylko martwą bryłą; ona jest narzędziem wcielenia, ona słowo mężczyzny karmi krwią swego łona. I wyciągając ręce w nieskończoność musi jednak ciągle tkwić nogami w ziemi, nie wolno jej ani na chwilę stracić gruntu pod nogami; widzi i rozumie wszystko, ale w sobie właściwy, konkretny sposób. Rozumie miłością i czynem, widzi nie teorję ale przedmiot swej miłości, widzi ludzi, nie ludzkość. Taka jest Joanna w swej wszystko ogarniającej a jednak ograniczonej miłości, taką jest w swej religijności. Religijność Joanny jest też niesłychanie kobieca. Jest gorąca i wzniosła, a zarazem przyziemna i praktyczna, jest chrześcijańska i pogańska zarazem. Nie opiera się na żadnem rozumowaniu. Religja jest dla niej jednym ze środków walki o życie i szczęście jej bliskich, jest bronią przeciwko nieubłaganym, groźnym siłom, otaczającym zewsząd człowieka, jest także samą prawdą, faktem, siłą, jest czemś, co istnieje. Bóg jest dla niej nie pojęciem, ale osobą realną i istniejącą, osobą trzymającą w swym ręku człowieka i jego losy. Może to, co powiem, będzie wyglądało na paradoks, ale pogaństwo Joanny wydaje mi się dziwnie katolickie. Joanna nie jest biegła w teologji, oprócz sumiennie i gorliwie wypełnianych praktyk katolickich nie gardziła też gusłem, zabobonem i czarami. Trochę jej się to wszystko miesza. Ale płynie to u niej nie z niedowierzania chrześcijaństwu, nie ze stawiania innego kultu obok kultu chrześcijańskiego, tylko z poczucia, że każda dziedzina życia podlega potędze i mocy Bożej, że człowiek i jego środki przyrodzone są niewystarczające, że człowiek zawsze i na każdym kroku stąpa w nadprzyrodzoności, że ta nadprzyrodzoność jest prawdą, prawem i faktem. To wyczucie realności świata nadprzyrodzonego jest właśnie u niej tak bardzo chrześcijańskie. Jej prymitywna a inteligentna natura nie czepia się formuł i formułek, odrzuca bigoterję. Joanna wie i rozumie, że

chrześcijaństwo jest i powinno być źródłem siły i radości, że ono jest najistotniejszem źródłem życia. Udręczony katolicyzm dewotek jest jej wstrętny. Czyż może być udręczeniem to, co jest miłością, siłą i ufnością? Joanna, jak mówiłam, niebardzo biegła w teologji, dociera jednak swoim pierwotnym instynktem do zrozumienia religji naturalnej, przyrodzonej, a tem samem dociera do istoty katolicyzmu, który jest prawdą wszystko obejmującą. Bóg, twórca życia i jego porządku, twórca świata, jest zarazem twórcą religji objawionej. To objawienie pochodzące od Stwórcy musi być w swej istocie, w swych tak często dziś przeciwstawianych prawdach, jednem z przyrodzonemi prawami przyrody. Bo prawda jest tylko jedna, a jej tworcą jest Bóg, we wszystkich dziedzinach. Joanna nie zna współczesnego konfliktu między wiarą a życiem, jedno i drugie wyszło z Bożych rąk, jest więc doskonale zgodne. Rysy, załamania i wątpliwości nie płyną z Boga, nie płyną z istoty rzeczy, tylko z przewrotności człowieka. I w ten sposób ta czasem przyziemna, czasem trochę pogańska religijność Joanny jest w swej istocie bardzo chrześcijańska, ma w sobie siłę instynktu, siłę zdrowego rozumu, nie wypaczonego błędami cywilizacji.

Najmniej przekonywującą, stroną *Ludzi z wosku* jest ich strona społeczna i narodowa (choć autorka widocznie w tę stronę zwraca i ją chce na pierwszy plan wysuwać). Istotną osnową, istotnym węzłem dramatycznym jej dzieła jest konflikt między człowiekiem a siłami przyrody, a właściwie konflikt ducha i materji, doszukiwanie się jakichś najistotniejszych ich związków. To jest oryginalnością i czarem jej dzieła. Z historją polityczno-społeczną z ram tych nieszczęśliwie wykracza. Prześliczne są natomiast karty poświęcone małej Mei. Tu znów jest autorka w swym żywiole: jest znowu na granicy poczynającej się myśli, poczynającego się uczucia w tej okruszynie materji, której na imię dziecko. I tak jak mało jest w literaturze kobiet tak istotnie kobiecych jak Joanna, tak samo mało jest tak wnikliwie i prawdziwie oddanych dzieci. Mea jest arcydziełem subtelności i wdzięku, jest arcydziełem dziecka, w całej jego prawdzie psychologicznej i w całym jego nieuchwytnym uroku.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Myśli Jenerała Wł. Zamoyskiego. Wydawn. Nacz. Inst. Akcji Katolickiej. Poznań 1936, str. 210. in 32.

Taka prześliczna postać, jaką był jen. Władysław Zamoyski nie powinna żadną miarą zginąć w pamięci ziomków. Długi, sześciotomowy żywot tego wielkiego sługi Boga i Ojczyzny nie jest wszystkim dostępny, dobrze więc zrobiono, że jako pierwszy tomik wydawnictwa p. t. „Myśli ludzi czynu" puszczono w świat krótką, ale dość dokładną wiadomość o życiu i pracach Generała,

a potem dano wybór jego myśli, wyjętych z pamiętnika i listow. Wśród tych myśli są niektóre, nieliczne zresztą, mniejszej wagi i lepiejby się było stało, gdyby je w tem wydaniu pominięto, ale ogromna większość to prawdziwe perły rozumu, doświadczenia życiowego, głęboko chrześcijańskich uczuć, najszlachetniejszej miłości bliźnich, rodziny, ojczyzny i Boga. Te myśli powinny często powracać jako cytaty w żywem i pisanem słowie, przeznaczonem do oświecenia i uszlachetnienia serc. Ks. Prałatowi Brossowi należy się wdzięczność, że przez wydanie tych urywków, a wydanie zewnętrznie nawet bardzo udane, przyczynił się do rozsiania dobrego ziarna, które po Jenerale Zamoyskim w tak wielkiej obfitości pozostało.

J. R.

Z historji starego Krakowa.

Literatura dotycząca dziejów dawnej stolicy Polski powiększyła się w ciągu ostatnich miesięcy o szereg cennych pozycyj. W tym ruchu wydawniczym prym wiedzie, jak dotąd, Towarzystwo Miłośników Historji i Zabytków Krakowa, które wydało w omawianym okresie jeden tom Rocznika Krak. i 5 tomów Bibljoteki Krakowskiej (nr 84 — 88).

Rocznik Krak. t. XXVI zawiera Studja Stwoszowskie, nawiązujące do 400-nej rocznicy śmierci wielkiego rzeźbiarza, która minęła w r. 1933. Artykuły w nim zawarte opierają się w pewnej mierze na cennych wynikach naukowych, jakie przyniosła niedawno dokonana restauracja wielkiego ołtarza w kościele Marjackim w Krakowie. Dotyczy to szczególnie pierwszego z rzędu studjum prof. U. J. Tad. Szydłowskiego. Autor stwierdza fakt dawno już zauważony, że cały ołtarz Marjacki nie jest bezpośredniem dziełem Wita Stwosza, który sporządził niewątpliwie plan całości, nadzorował roboty, osobiście wykonał najcelniejsze części, natomiast mniej ważne roboty poruczył swoim pomocnikom. Autor stara się wydzielić partje ołtarza, wykonane osobiście przez Stwosza, jako to figury sceny głównej, przeważną część płaskorzeźb na skrzydłach ołtarza i t. d., od prac dokonanych przez innych. Do tych ostatnich należą sama szafa ołtarzowa, ornamentyka snycerska figury u szczytu, po bokach i na predelli oraz cała bogata polichromja. Następnie na podstawie analizy stylistycznej próbuje autor odgadnąć osoby owych współpracowników wielkiego mistrza; szczególnie ważną rolę przypisuje Jerzemu Huberowi. Poznański historyk sztuki, ks. Szczęsny Dettloff zamieścił w Roczniku dwa krótkie artykuły. W jednym daje pewne przyczynki do genealogji rodziny Wita Stwosza, w drugim omawia Stwoszowski projekt ołtarza bamberskiego, datując go mniej więcej na rok 1516. Dr. Marja Gutkowska analizuje w ciekawem studjum ubiory, występujące w ołtarzu Marjackim,

przedstawiając je na tle ogólnych prądów mody, panującej pod koniec średniowiecza w Polsce i Europie zachodniej. Drugi analogiczny artykuł Dra Zbigniewa Bocheńskiego traktuje o uzbrojeniu w krakowskich dziełach Wita Stwosza na szerszem tle porównawczem. Z artykułów tych wynika, że drugoplanowe figury ołtarza Marjackiego przedstawione zostały przeważnie w strojach współczesnych. Następnie idzie obszerne wspomnienie pośmiertne o ś. p. Adamie Chmielu, dyrektorze Archiwum Akt Dawnych m. Krakowa, napisane przez Dra Marjana Friedberga, który zestawił też bibljografję prac Zmarłego, wynoszącą 237 pozycyj. W końcu mamy recenzje najnowszych prac o Wicie Stwoszu oraz sprawozdanie z wystawy polskiej sztuki gotyckiej w Warszawie pióra Dra Tad. Dobrowolskiego. Ostatni tom Rocznika krakowskiego, niezmiernie bogato ilustrowany, stanowi istotnie godny, choć nieco spóźniony akt hołdu, złożony pamięci wielkiego rzeźbiarza przez naukę polską z okazji 400-nej rocznicy jego śmierci. Streszczenia niemieckie pozwolą korzystać z niego obcym uczonym.

Do pokłosia rocznicy Stwoszowskiej należy również pomnikowy album ołtarza Marjackiego p. t. *Le retable de Notre-Dame à Cracovie,* Paris 1935. Wydał go Instytut Francuski w Warszawie, tekst opracował prof. Tad. Szydłowski, wstęp zaś napisał profesor tegoż Instytutu, Piotr Francastel. W tem wydawnictwie wykorzystano doskonałe zdjęcia, wykonane przez Dra Przypkowskiego i St. Kolowca w związku z restauracją ołtarza Marjackiego. Zdjęcia te i inne reprodukowano wspaniale na 81 tablicach, tworząc w ten sposób doskonały materjał do badań nad ołtarzem Marjackim i twórczością Stwosza wogóle. Prof. Szydłowski wypowiada w tem dziele te same poglądy, co w omawianym wyżej artykule, zaś prof. Francastel stara się związać działalność artystyczną Stwosza z środowiskiem flamandzko-alzackiem, skupiającem się koło Strassburga.

Jako spóźnione echo rocznicy Stwoszowskiej ukazała się jeszcze rozprawa Ks. Dettloffa *U źródeł sztuki Wita Stwosza* (Bibljoteka Zakładu Architektury Polskiej i Historji Politechniki Warszawskiej t. IV. Warszawa 1935), w której autor dopatruje się ścisłego związku między naszym mistrzem a południową Bawarją.

Wracając do wydawnictw Tow. Miłośników Krakowa wymienić należy naprzód prace Dr. Melanji Skorzepianki o Feliksie Oraczewskim, rektorze krakowskiej Szkoły Głównej po reformie Kołłątajowskiej (Bibljoteka Krak. t. 84). Oraczewski należał do najrozumniejszych i najbardziej postępowych reprezentantów szlachty polskiej z doby Stanisławowskiej, on dał inicjatywę do ustanowienia Komisji Edukacyjnej, później sam w niej zasiadał, z jej ramienia wizytował Akademję krakowską w r. 1786 i tegoż roku został rektorem tejże Szkoły Głównej. Położył poważne zasługi około podniesienia tejże, lecz popadł w konflikt z częścią grona profesorskiego i musiał ustąpić w r. 1789. Na stano-

wisku rektora podejmował w r. 1789 bawiącego wówczas w Krakowie króla Stanisława Augusta.

Tom 85 Bibljoteki Krak. obejmuje ostatnią grupę domów krakowskich, opracowaną przez ś. p. dyrektora Chmiela. Praca została wydana z papierów pozostałych po Zmarłym. Obejmuje ona część II. ulicy Grodzkiej, liczby nieparzyste 19—37, t. j. od Pl. W. W. Świętych do ul. Poselskiej. Przy opracowaniu współdziałał, jak poprzednio, arch. Henryk Jasieński, dostarczając planów i opisów architektonicznych. Książka ta, podobnie jak poprzednie opracowania domów krakowskich A. Chmiela, jest raczej pewnego rodzaju wydawnictwem, to też nie potrafi tak przykuć uwagi czytelnika, jak n. p. piękna monografja *Czarnej Kamienicy* w rynku lwowskim, napisana przez Dr. Łucję Charewiczową, [1]) która na podstawie analogicznego materjału potrafiła nakreślić w sposób niezmiernie barwny zmienne losy starodawnego domu patrycjuszowskiego oraz sąsiednich kamienic i zamieszkujących je rodzin mieszczańskich.

Krótka, lecz ciekawa jako szkic obyczajowy praca Dra Józefa Muczkowskiego o sensacyjnym tytule *Krwawy burmistrz* (Bibl. Krak. nr. 86) przedstawia zdrożną przeważnie działalność bogatego i wpływowego rajcy krakowskiego z 2 poł. XVI w., Erazma Czeczotki, który obok skłonności do nowatorstwa religijnego odznaczał się właściwą ludziom renesansu swobodą obyczajową.

Najcelniejszą ze wszystkich prac wydanych ostatnio w wydawnictwach Tow. Miłośników Krakowa jest niewątpliwie wartościowe studjum Dr. Krystyny Pieradzkiej p. t. *Handel Krakowa z Węgrami w XVI w.* (Bibl. Krak. nr. 87). Autorka wykorzystała naprzód starannie rozległą literaturę przedmiotu, polską i zagraniczną, zwłaszcza trudno dostępną węgierską, następnie zebrała bogate materjały archiwalne z archiwów polskich w Krakowie i Warszawie oraz zagranicznych na Słowaczyźnie, w Budapeszcie i Wiedniu; to też rezultaty jej studjów są w dużej mierze zupełnie nowe. Nakreśliwszy w ogólnym zarysie tło polityczne stosunków polsko-węgierskich w XVI stuleciu, omawia drogi handlowe, łączące Polskę z Węgrami, następnie pisze o ważniejszych miastach północno-węgierskich, które utrzymywały stosunki handlowe z Krakowem, jakoto Koszyce, Lewocza, Bardjów i Preszów. Potem kreśli właściwy obraz handlu krakowsko-węgierskiego, przechodząc po kolei główne artykuły tego handlu, t. j. wino, kruszce, sukno i inne towary. Wino stanowiło jeden z najważniejszych przedmiotów importu węgierskiego do Polski, z kruszców miedź, wydobywana na Słowaczyźnie szła przeważnie tranzytem przez Kraków, choć częściowo służyła też jako surowiec dla krakowskiego przemysłu metalurgicznego; ołów wywożono z Olkusza na

[1]) Czarna Kamienica i jej mieszkańcy. Bibljoteka Lwowska t. XXXV. Lwów 1935.

Węgry, stamtąd zaś dowożono srebro i złoto. Polska znowu zaopatrywała Węgrów w wyroby tekstylne obce i swoje własne, nadto w sól z żup krakowskich, ryby solone, papier, skóry, futra i t. d. Ostatni rozdział opowiada o pobycie Węgrów w Krakowie w XVI w; spotykamy tu mało kupców węgierskich, gdyż handel krakowsko-węgierski znajdował się wówczas głównie w rękach kupców krakowskich, więcej widzimy rzemieślników i scholarzy, za Batorego także licznych dworzan. W studjum Dr. Pieradzkiej zarysowuje się plastycznie wybitna rola Krakowa na szerokiem tle ogólno-polskiego handlu z Węgrami. Pracę ozdabiają ciekawe i dobrze dobrane ilustracje. (Szkoda, że autorka nie dała jeszcze mapy dróg handlowych.) Pożądanem byłoby również ujęcie części materjału w postaci tablic statystycznych, bo przez to wyniki pracy przedstawiłyby się bardziej przejrzyście i wyraziście.

Nestor dziejopisarzy Krakowa, Dr. Klemens Bąkowski poświęca osobne studjum Krakowowi przed lokacją z r. 1257 (Bibl. Krak. t. 88). Jest to pożyteczne zestawienie i krytyczne omówienie literatury o najstarszych dziejach dawnej stolicy Polski. Pozatem praca przynosi szereg cennych spostrzeżeń, mogących posłużyć za punkt wyjścia do dalszych badań, szczególnie w zakresie topografji miasta, przyczem autor wykorzystał częściowo pomiary, dokonane przez budownictwo miejskie z okazji różnych robót ziemnych.

Poza wydawnictwami Tow. Miłośników Krakowa ukazał się jeszcze w ostatnich czasach szereg książek i rozpraw, dotyczących przeszłości Krakowa. Same dzieje uniwersytetu Jagiellońskiego wykazują dość pokaźną ilość pozycyj bibljograficznych. W pierwszej linji wymienić należy pomnikowe dzieło docenta Henryka Barycza p. t. *Historja Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce humanizmu*, które stanowi kontynuację dwutomowej *Historji* wszechnicy Jagiellońskiej pióra Kazimierza Morawskiego. Dzieło Dra Barycza było omawiane osobno na łamach *Przeglądu Powszechnego* to też poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance. Drugiem poważnem dziełem z przeszłości krakowskiej *Alma Mater* jest wydana przez Pol. Akademję Umiej. *Korespondencja Metternicha w sprawie Uniwersytetu krakowskiego 1820—1829* (Archiwum Komisji do Dziejów Oświaty i Szkolnictwa w Polsce nr. 3, Kraków 1935). Trud wydania tych cennych aktów, przechowanych w Archiwum Państwowem w Wiedniu, wzięła na siebie znana specjalistka do dziejów wychowania w Polsce, Dr. Wanda Bobkowska, która zaopatrzyła też wydawnictwo w obszerny wstęp, urastający do rozmiarów dość dużej rozprawy (str. 81). W wstępie tym Dr. Bobkowska daje ciekawy przyczynek do dziejów Uniwersytetu w dobie Wolnego miasta przed powstaniem listopadowem. Pozatem mamy kilka pomniejszych prac. Prof. Fierich Jerzy iun. daje monografję Studjum Rolniczego (1890—1923), prze-

kształconego później na Wydział Rolniczy U. J. Prof, Leon Wachholz kreśli krótki zarys dziejów Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu krak. oraz podaje skład jego grona nauczycielskiego w dwóch grupach, z których jedna obejmuje lata 1364 — 1780. druga następne aż do r. 1918; w obrębie każdej grupy nazwiska podane są w porządku alfabetycznym. Prof. Stanisław Estreicher w *Czasopiśmie Prawniczem* t. XXX omawia opinje prawnicze, wydawane nieraz w wątpliwych sprawach przez profesorów Akademji krakowskiej w ciągu XV stulecia. Rolę Ślązaków na Uniwersytecie krakowskim od XV — XVIII w. opisuje w krótkiej, lecz ciekawej rozprawce doc. H. Barycz. Rola ta była poważna; w okresie największej świetności Akademji (1400 — 1525) scholarzy śląscy stanowią prawie 14% wszystkich studentów. Ze Śląska przybył na krakowską wszechnicę szereg wybitnych profesorów i humanistów, którzy tu studjowali i wykładali. Tenże autor w szkicu *Z dziejów kościoła św. Anny w Krakowie* kreśli obraz wzajemnych stosunków między tym kościołem a Uniwersytetem, a w referacie przeznaczonym na VI Zjazd historyków polskich w Wilnie przedstawia stosunki tegoż Uniwersytetu z Litwą w dobie porozbiorowej

Również historja Kościoła w Krakowie może się poszczycić kilku pozycjami. Dr. Mieczysław Niwiński *(Nova Polonia Sacra* t. III*)*, przedstawia postać biskupa krakowskiego Jana Grota recte Grotowica oraz jego zatargi głównie z Kazimierzem W. na tle różnicy poglądów na politykę wobec Krzyżaków oraz w sprawie wolności dóbr kościelnych od ciężarów na rzecz państwa. W sporach tych biskup, nie poparty przez resztę episkopatu polskiego, musiał w końcu skapitulować przed królem. Tenże autor pisze w *Miesięczniku Heraldycznym* (r. 1936) o stosunkach rodzinnych i majątkowych biskupa krakowskiego Bodzanty z Jankowa w Wielkopolsce (1348 — 1366). Ks. Jan Krzemienicki doc. U. J. w książce również już omówionej w Przeglądzie, daje monografję Bernardyna Gallella z Zary.

Dla dokładności wspominam jeszcze artykuł Dra St. Brzezińskiego p. t. „Współcześni i potomni o Piotrze Tomickim (*Przegląd Powszechny* 1935 nr. 6 — 8). Jest to część obszernej monografji znakomitego biskupa krak. podkanclerzego Zygmunta Starego, z której urywki tenże autor drukował już dawniej na łamach *Przeglądu Powszechnego.*

Nowszych dziejów kościoła w Krakowie dotyczy książka Dra Juljusza Harbuta p. t. *Mały Rzym* (Warszawa 1936). Autor porusza w niej głośną niegdyś, a teraz na poły już zapomnianą sprawę Barbary Ubryk. Drażliwa ta sprawa wymaga szczególnie umiejętnego spokojnego i bezstronnego traktowania wedle ścisłych wymogów metody naukowej. Trudno już teraz stanowczo odpowiedzieć, czy praca Dra Harbuta będzie czynić zadość powyższym wymogom, gdyż ze zapowiedzianych aż 5 tomów ukazały

się dotąd dwa (razem oprawne), z tego pierwszy tom (str. 281) zawiera jako obszerny wstęp rzut oka na stan Krakowa pod względem politycznym, kulturalnym i religijnym głównie w XIX w., a dopiero drugi tom, znacznie krótszy (str. 93), przystępuje do właściwej sprawy i doprowadza ją do początkowych stadjów śledztwa. Książka Dra Harbuta ma tę wielką zaletę, że opiera się na oryginalnych aktach sądowych, niektóre z nich zamieszcza nawet w reprodukcjach fotograficznych. Natomiast sposób opracowania powyższego materjału pozostawia wiele do życzenia; książka jest bowiem nastawiona nie tyle na objektywne zbadanie prawdy, ile na obudzenie sensacji. Nadto autor wyolbrzymia całą sprawę, która w jego przedstawieniu nabiera jakby epokowego znaczenia, podczas gdy naprawdę był to wypadek odosobniony, o charakterze lokalnym, tylko o sensacyjnym posmaku. Obraz stosunków krakowskich, nakreślony w pierwszym tomie, obok niewątpliwych walorów literackich, a nawet pewnych naukowych, wykazuje też pewne niedomagania, zwłaszcza o ile chodzi o czasy dawniejsze, mniej znane autorowi.

Z dziejami Krakowa wiąże się ściśle rewelacyjny artykuł Dra Stanisława Estreichera o zniszczeniu polskich insygniów koronnych (*Przegląd Współczesny* 1935). Na podstawie dokumentów z tajnego Pruskiego Archiwum Państwowego w Berlinie obala autor stanowczo legendę o rzekomem uratowaniu polskich insygniów koronacyjnych i stwierdza, że Prusacy wywieźli je ze skarbca na Wawelu w r. 1795, a w r. 1811 przeważnie przetopili na potrzeby pustego wówczas skarbu pruskiego. Dla dziejów kultury Krakowa nie jest bez znaczenia Przewodnik po żydowskich zabytkach Krakowa, napisany przez wybitnego znawcę przedmiotu, prof. M. Bałabana.

W dziedzinie historji gospodarczej trzeba wymienić przedewszystkiem poważne studjum J. Pelca p. t. *Ceny w Krakowie w latach 1369 — 1600* (Lwów 1935). Jest to jedno ogniwo w całym łańcuchu analogicznych prac, o cenach w różnych miastach polskich, jakie wychodzą od kilku lat pod redakcją najznakomitszego z naszych historyków gospodarczych, prof. uniwersytetu lwowskiego, Dra Franciszka Bujaka. Ceny krakowskie w XVII i XVIII w. opracował przed dwoma laty E. Tomaszewski, obecnie dochodzi okres poprzedni aż w głąb średniowiecza. Pod względem metody i ujęcia książka p. Pelca nie różni się zasadniczo od innych pokrewnych prac; podobnie jak tamte, zawiera ona przedewszyskiem tablice statystyczne w liczbie 104 oraz 16 diagramów, ilustrujących graficznie ruch cen, wszystko poprzedzone obszernym wstępem (str. 81) o krytycznem opracowaniu nagromadzonego materjału. Omawiana książka tem się wyróżnia, że sięga głęboko wstecz; Kraków zachował bowiem najstarsze na obszarze ziem polskich materjały do historji cen. Materjał średniowieczny przedstawia jednak pośledniejszą wartość ze względu

na swą fragmentaryczność, to też często trzeba się posługiwać cenami szacunkowemi, mniej miarodajnemi od rynkowych. Dopiero w XVI w. mamy obfite i pierwszorzędne materjały do cen targowych w rachunkach miejskich i wielkorządowych. To też obraz rozwoju cen w Krakowie jest mniej pewny i ścisły, o ile chodzi o średniowiecze, aniżeli w czasach późniejszych. W każdym razie da się stwierdzić, że ruch cen, wyrażonych w srebrze kształtował się w Krakowie naogół podobnie, jak w krajach zachodnio-europejskich. Od połowy XIV w. do końca XV. w. daje się zauważyć lekki spadek cen (o 19 %), później zaś w XVI w. zwłaszcza w drugiej jego połowie silny wzrost tychże (o 156 %). Ten ruch zniżkowy i zwyżkowy cen wywołany był głównie, podobnie jak na Zachodzie, zwyżką siły kupna szlachetnych kruszców, a potem jej zniżką wskutek silnego napływu złota i srebra z Ameryki. Studjum p. Pelca, podobnie jak inne analogiczne prace, wychodzące z Seminarjum prof. Bujaka, odznacza się gruntownością i solidnością opracowania, która zapewnia mu trwałą, pomnikową wartość.

Dość już obfita literatura o cechach krakowskich wzbogaciła się świeżo o jeden cenny nabytek; jest to gruntowna monografja cechu chirurgów krakowskich, napisana przez kompetentnego znawcę przedmiotu Dra J. Lachsa, badacza dziejów sztuki leczniczej w Krakowie. Po napisaniu szeregu studjów monograficznych z przeszłości stanu lekarskiego, aptekarstwa i łaziebnictwa w Krakowie, Dr. Lachs przedstawia teraz dzieje zawodu pomocniczego w stosunku do lekarzy, który do niedawna odgrywał w praktycznem lecznictwie wcale poważną rolę, t. j. cechu chirurgów. Cech ten powstał około r. 1477, odłączywszy się od pierwotnej wspólnoty z łaziebnikami. Cyrulicy zajmowali się także golarstwem, zarzucili te funkcje dopiero pod koniec XVIII w., kiedy ich cech zamienił się w gremjum chirurgów, które oddzieliło się stanowczo od golibrodów. Ustrój cechu chirurgów nie różnił się wiele od organizacji innych cechów. Poziom wykształcenia chirurgów był bardzo niski przez kilka wieków. Dopiero zreformowana przez Kołłątaja wszechnica krakowska podjęła starania o lepsze wykształcenie chirurgów. Podnosi się ono odtąd stale, tak że w XIX w. chirurdzy zaczęli robić poważną konkurencję lekarzom. Wynikła stąd walka konkurencyjna, która zakończyła się zwycięstwem lekarzy. W r. 1873 parlament austrjacki zniósł szkoły i gremja chirurgiczne, a następnego roku krakowskie gremjum chirurgów zastało rozwiązane. W dodatku autor publikuje nieznane dotąd materjały źródłowe do dziejów chirurgów krakowskich.

Jak widzimy, badania nad przeszłością Krakowa przyniosły w ostatnich kilkunastu miesiącach obfity i poważny plon, a mogą się nawet poszczycić kilku dziełami, które posuwają naukę wybitnie naprzód. *Mieczysław Niwiński.*

Z literatury rosyjskiej.

Kult heroizmu, pracy i obowiązku, specyficznie pojęty humanitaryzm i patos całkowitego poświęcenia się jednostki dla dobra społeczeństwa — oto podstawowe tendencje wychowawcze wielu sowieckich utworów, znamienne także i dla przetłumaczonej niedawno na język polski powieści W. Lidina *Poszukiwacze*.[1]) Stanowią tu one zasadniczy ton utworu, przejawiając się nietylko jako konsekwencja poszczególnych epizodów powieści, ale także kształtując na swój sposób rozwój przedstawianych w niej zdarzeń.

Na czoło utworu wysuwa się sprawa złota, do którego postanawia dotrzeć za wszelką cenę główny bohater książki, Inżewatow, młody inżynier, kierujący pracami „poszukiwaczy" w błotnistych tajgach Syberji. Wprawdzie to nie on, ale dwóch starych, doświadczonych wieśniaków natrafia na żyłę złota i wbrew zwyczajowi swych sąsiadów, postanawia całe to bogactwo oddać władzy ludu, niemniej jednak dotarcie do skarbu, ukrytego głęboko we wnętrzu ziemi, jest wynikiem żelaznej woli Inżewatowa i jego nieugiętej wytrwałości. Nie zrażają go żadne przeciwności: ani nieprzychylne, biurokratyczne ustosunkowanie się do jego przedsięwzięcia bezpośrednich władz przełożonych, ani trudności, wynikające z przyrodzonych, ale nieprzewidzianych warunków pracy (woda w kopalni, niezdrowy klimat i t. p.), ani też zdradzieckie podstępy szajki Finogenowa, wzbogaconego szynkarza-kułaka, bezlitośnie wyzyskującego wiejski proletarjat okolicy. Rozwój tej akcji opiera się na nieustannem przezwyciężaniu przeszkód przez Inżewatowa i posuwa się naprzód jakby dwoma torami: dążeń obozu Finogenowa i pracy „brygady" młodego inżyniera. Heroizm jej zaś tkwi nietylko w postaci Inżewatowa, który w walce ze szkodliwymi ludźmi i dziką, surową naturą kraju, traci niemal zupełnie swe siły i zdrowie, ale także i w szeregu drugoplanowych postaci utworu, jaką jest np. bohaterski starzec, Rybak, chętnie oddający swe życie w głębi starej kopalni, aby w ten sposób uchronić inżyniera od niechybnej śmierci.

Mniej dynamicznej siły posiada drugi wątek powieści, osnuty na tle miłości Inżewatowa do Nataszy, pasierbicy znakomitego profesora medycyny, Szołogowa. O ile pierwszy wątek rozwijał się dość szybko, obfitując w szereg dramatycznych scen, o tyle ten drugi został osłabiony przez bierną postawę głównych aktorów całej sprawy, dla których miłość stanowi wprawdzie niewysychające źródło sentymentalnych tęsknot i westchnień, ale ustępuje na plan dalszy wobec wagi obowiązku społecznego, który

---

[1]) W. Lidin, *Iskatieli*, roman. Izd. III, Sowietskij Pisatiel, Moskwa 1935, str. 208. Przekład polski: *Poszukiwacze*, powieść. Przeł. J. Zawadzki, Tow. „Mewa", Warszawa 1936, str. 279. Cyt. według tekstu ros.

u pisarzy sowieckich — niewiadomo dlaczego — koliduje zwykle z instynktem życia rodzinnego. To też wątek ten kończy się heroiczną rezygnacją obojga kochanków z dążenia do osobistego szczęścia: Inżewatow całkowicie poświęca się poszukiwaniu złota, a Natasza — nauce i chirurgji. Zakończenie to jednak nie posiada takiej siły i tragizmu, jak np. niektóre epizody *Bez wytchnienia* Erenburga, nie mówiąc już oczywiście o końcowej scenie *Ludzi bezdomnych*. Nazbyt wyidealizowanym, „literackim" bohaterom Lidina przychodzi to zbyt łatwo, gdyż przesiąknięci do gruntu hasłami entuzjastycznej, wyłącznej pracy dla dobra społeczeństwa i rozwoju socjalizmu w Rosji i na całym świecie, nie przeżywają oni tego „wewnętrznego rozdarcia", które wzrusza czytelnika w postaciach Żeromskiego. Uczucie ich zbladło, a tragizm został zatarty przez oczywistość i niewzruszoność postanowienia obojga kochanków, wskutek braku niezdecydowania, wątpliwości i jakichkolwiek bodaj objawów ich walki wewnętrznej ze sobą. Wrażenie tej sceny zostało także osłabione wskutek tego, że następuje po najsilniejszym i jednocześnie najpiękniejszym epizodzie książki. Dotyczy on trzeciego wątku powieści, związanego z postacią świetnego chirurga, Szołogowa, ojczyma Nataszy, która jest dla niego nietylko wierną pomocnicą w pracy naukowej, ale też i jedynym promieniem radości w jego osobistem, rodzinnem życiu. To też bolesna jest dlań myśl o tem, że zbliżają się chwile, gdy pasierbica opuści jego dom, aby zakrzątać się wokół własnego szczęścia. Ale skoro nadszedł moment decydujący i opiece jego powierzono los człowieka, który miał mu na zawsze odebrać Nataszę, stary profesor nie waha się ani chwili i własne życie oddaje, aby ocalić Inżewatowa i w ten sposób spełnić szczytny obowiązek lekarza, który w jego pojęciu nie powinien cofnąć się w ratowaniu chorego przed żadnym możliwym środkiem — aż do poświęcenia własnego życia włącznie.

W sposobie rozwijania swej opowieści zdradza Lidin skłonność do kilkakrotnego nawracania w lata, poprzedzające czas właściwej akcji utworu. Czyni to albo zapomocą odrębnych obrazów, odmalowujących poszczególne sytuacje z przeszłości swych bohaterów (np. ucieczka Inżewatowa i Szołogowa z armji carskiej), albo też zapomocą krótszych lub dłuższych uwag od siebie w formie autorskich relacyj o losach głównych postaci powieści (np. Nataszy — str 64, Pollymowa — str. 31, Szołogowa — str. 79 - 73 i in.). Takie kilkakrotne nawracanie autora do przeszłości bohaterów wskutek szczególnego wyróżniania pewnych tylko zdarzeń z ich życia powoduje nieraz powtarzanie informacyj, znanych już czytelnikowi z poprzednich ustępów książki. Czasem jednak przybiera to znaczenie specjalnego „chwytu" literackiego, pozwalającego autorowi ukazać opisywane zdarzenie z różnych punktów widzenia, przedstawić je w kilku odrębnych szkicach, z których każdy przynosi jakiś inny szczegół danej sytuacji. Tak jest np.

z historją powtórnego małżeństwa Szołogowa: na początku utworu — lakoniczna, pobieżna wzmianka, informująca o tem jakby nie czytelnika, ale Inżewatowa, wchodzącego po raz pierwszy do rodziny swego przyjaciela (s. 16), potem dłuższe, bardziej dokładne przedstawienie tej sprawy z punktu widzenia syna profesora (s. 63—64) i wreszcie jeszcze jeden rzut oka na przebieg tych samych zdarzeń, ale tym razem oglądanych już z aspektu Szołogowa, wspominającego swą przeszłość (s. 70—73).

Z wyjątkiem kilku najbardziej dramatycznych scen — akcja powieści podana jest naogół w formie bezpośrednich relacyj autora, wskutek czego w całości utworu wyraźnie zaznacza się przewaga elementów epickich. Opowiadanie i opis, ujęte w formę bezpośrednich autorskich wypowiedzi i zrzadka tylko nasycone aspektem którejś z głównych postaci utworu, stanowią dość znamienny rys techniki powieściowej Lidina. Z objawem tym łączy się także skłonność do zbędnej, nieco rozwodnionej wielosłowności, oraz tendencja do okraszania stylu pewną dozą retoryki, wprowadzającej do powieści ton patetycznego liryzmu, który niezawsze jest dostatecznie sugestywny i wywołuje niekiedy wrażenie sztucznej, niezbyt udanej stylizacji utworu.

* * *

Patos, retoryka i liryzm w znacznie silniejszym stopniu występują także w utworze młodego pisarza sowieckiego, A. Mitrofanowa p. t. *Siewierjanka.*[1]) Powieść ta wywołała dość żywą reakcję krytyki, przyznającej autorowi wybitny talent pisarski, ale naogół zgodnie stawiającej mu zarzut zbyt wyraźnej skłonności do impresjonizmu, co w oczach entuzjastycznych propagatorów, „socjalistycznego realizmu" stanowi zasadniczą wadę dzieła. Istotnie: patetycznie podniesiony ton powieści, nieokreśloność i pogmatwanie przedstawianych zdarzeń, podniecenie, przebijające się w retorycznych skłonnościach stylu, oraz przesycenie całego utworu lirycznym subjektywizmem pisarza, dalekiego od niewzruszonej obserwacyjnej postawy epika — decyduje w pewnym stopniu o charakterze *Siewierjanki.* Ale właściwości te nie stanowią bynajmniej jedynych elementów jej stylu, nie jest on bowiem ani jednolity, ani też wewnętrznie sharmonizowany i wynika raczej z dwuch sprzecznych tendencyj artystycznych, z których pierwsza — to ów „impresjonizm", z taką niechęcią konstatowany przez krytykę, druga zaś — to dążenie do podciągnięcia utworu pod „przepisowy" schemat realistycznych powieści o socjalistycznem budownictwie Sowietów. I chociaż obie te tendencje splatają się wzajemnie ze sobą, wpływając jedna na drugą, przecie jednak dadzą

[1]) A. Mitrofanow: *Siewierjanka,* Sowietskij Pisatiel, Moskwa 1935, str. 336.

się wyróżnić pewne partje powieści, wykazujące przewagę którejś z tych artystycznych skłonności. Tak więc o ile „impresjonizm" dominuje w erotycznej akcji utworu i w scenach, dotyczących przeżyć wewnętrznych głównych jego postaci, a przedewszystkiem genjalnego poety, Chazarowa, o tyle „realizm" przejawia się w epizodach, związanych z tłem całości, oraz scenami, przedstawiającemi parę robotników i walkę ich z ukrytemi wrogami socjalizmu. I ten brak wewnętrznego sharmonizowania obu powyższych tendencyj sprawia, że powieść Mitrofanowa musimy ocenić — mimo wszystkich jej zalet, jako utwór w całości swej artystycznie chybiony, co najwyraźniej bodaj przejawia się w jego kompozycji.

Zgrubsza analizując fabułę powieści, należy wyróżnić dwie podstawowe akcje. Pierwsza z nich skupia się wokół miłości Chazarowa i tytułowej postaci książki, Heleny, druga zaś — dotyczy walki dyrekcji zakładów przemysłowych i ich robotników o całkowite wypełnienie zakreślonego sobie planu i ostateczne złamanie „szkodników", przysłanych tu przez wrogów Z. S. R. R. z za granicy. Ale obie te sprawy rozpływają się niemal zupełnie w potoku zbędnych epizodów, które autor celowo bodaj nagromadza i przetasowuje ze sobą w taki sposób, że w czasie czytania niełatwo jest wyodrębnić to, co w dalszym biegu wypadków może okazać się istotnie ważne dla rozwoju głównej akcji utworu. Przytem Mitrofanow nie czeka bynajmniej, dopóki czytelnik oswoi się z temi osobami i sprawami, które wprowadził na kilku pierwszych stronach książki, i odrazu stawia mu przed oczy obraz o szerokim zakresie z mnóstwem postaci, zagadnień i drobiazgów bez wyraźnego poinformowania, w jaki sposób łączą się one ze sobą. Ten brak oczywistego, zrozumiałego związku między niektóremi wątkami i epizodami utworu, oraz nader częste i niczem nieumotywowane przeskakiwanie od jednej osoby do drugiej wynika u Mitrofanowa nietyle z braku opanowania techniki literackiej, ile raczej ze świadomego komplikowania zdarzeń i sytuacyj, tak jak skomplikowane, niepowiązane i nieoczekiwane wydają się nam one nieraz w realnej rzeczywistości. Metoda ta jednak w ostatecznym swym rezultacie zawodzi autora, czytelnik odczuwa z jednej strony artystyczną zbędność niektórych scen powieści, z drugiej zaś — całą sztuczność zlepienia ze sobą poszczególnych jej epizodów i wątków. To, że sprawy te odgrywają się w tym samym czasie i miejscu, że wszystkich — co ważniejszych — aktorów swej powieści umieszcza Mitrofanow w jednem mieszkaniu, którego schody, korytarz i kuchnia posiadają szczególnie ważną rolę jako najczęstszy teren przypadkowych spotkań postaci — nie może zastąpić ściślejszego, wewnętrznego połączenia poszczególnych scen utworu.

Brak wewnętrznej spoistości występuje tu tem bardziej jaskrawo, że towarzyszy mu ciągła zmiana, lub nieokreśloność t. zw. „aspektu" opowiadania: w jednem miejscu Mitrofanow opisuje

swe postaci tak, jak okazywały się one inżynierowi Dowiagło, w innem znów przedstawia je z punktu widzenia Heleny, Kunakowa lub Chazarowa, czasem zaś spogląda na bieg spraw z autorskiego, wszechwiedzącego stanowiska, zgóry niejako obserwując swe postaci. Podobne właściwości możnaby także zauważyć w rozwijaniu poszczególnych wątków utworu. Wskutek nagromadzenia drugorzędnych epizodów, oraz dążenia do oddania biegu spraw w całej ich „życiowej" niekonsekwencji i złożoności, Mitrofanow celowo wplata do opowiadania o głównych sprawach powieści takie sceny, które nie służą wcale do posuwania naprzód akcji, ale charakteryzują bądźto tło rozgrywających się wypadków, bądź też psychikę poszczególnych ich aktorów. Wskutek tego akcja utworu rozwija się bardzo powoli, przeskakuje nieraz poprzez momenty najbardziej dla niej charakterystyczne, gubiąc się natomiast w szeregu psychologicznych analiz.

Bo też psychologizm jest jedną z najbardziej znamiennych właściwości *Siewierjanki* i występuje nietylko w formie bezpośredniej charakterystyki od autora (np. Kunakow i Dowiagło na s. 107—108), ale też i w większości dialogów powieści. Stąd też ten specyficzny humor robotników i rozmów między nimi podczas pracy, trafnie oddających serdeczną prostotę ich wzajemnego stosunku, i stąd też niewątpliwie wypływa ów mrok podświadomych, skomplikowanych doznań psychicznych, przenikający niemal wszystkie dialogi i samotne rozważania „burżuazyjnych" wrogów socjalizmu, Diewczika, Dowiagły i in. Ci posępni rycerze kapitalizmu, zdradzający niekiedy objawy chorobliwego manjactwa, nie występują prawie wcale jako ludzie czynu i z wyjątkiem podpalenia składów przez Dowiagłę ani razu nie widzimy ich w konkretnem działaniu, podczas gdy bardzo dokładnie poinformowani jesteśmy o ich stanie psychicznym i raz po raz musimy uczestniczyć w potajemnych rozmowach, które nie informują bynajmniej o sposobach i zamiarach ich zbrodniczej działalności, ale służą przedewszystkiem do odtworzenia nienawiści, rozpaczy i wyrzutów sumienia, które „szkodnicy" ci starają się zagłuszyć pijackiemi wynurzeniami i szyderstwem (por. np. str. 252—258, 188—189 i in.).

Ta skłonność do psychologizowania nie idzie jednak u Mitrofanowa tak daleko, aby mogła umotywować ewolucję duchową, jaką przeżywają wszyscy niemal bohaterowie powieści. Sprawa ta łączy się także do pewnego stopnia ze sposobem rozwiązywania poszczególnych wątków utworu, Mitrofanow bowiem uzależnia je zwykle od stanów psychicznych swych bohaterów. Nagle i nieoczekiwanie wychodzi Helena za Kunakowa, nagle i niespodziewanie zjawia się u Chazarowa, a istotne jej przekształcenie się duchowe pominięte zostało całkowitem milczeniem. Podobnie niejasne i nieumotywowane wydaje się przeobrażenie Primera, a już zupełną niespodziankę sprawia czytelnikowi Diewczik, strzelając

do przemytnika, przeprowadzającego go przez granicę Sowiecką. W gruncie rzeczy powieść sprawia wrażenie opowiadania urwanego w ustępie, dalekim jeszcze do końca utworu i uzupełnionego pośpiesznym i zbyt ogólnym rzutem oka na dalsze losy postaci w formie doczepionego luźnie „epilogu". Być może jednak, że i te niedociągnięcia Mitrofanowa wypływają z dążenia do udziwniania zdarzeń i postaci, przenoszenia ich w inną, nierealną przyszłość świata. Takby przynajmniej można było sądzić z wielkiej, programowej mowy Chazarowa, który powiada o swej twórczości, że będzie w niej „oderwanie od bytu i pewna dziwaczność postępków, gdyż będą one przedłużone w przyszłość, w jutro" (s. 246—247). Wyznanie to jest tem bardziej miarodajne, że wyraźny subjektywizm, przejawiający się w ujęciu Chazarowa upoważnia do przypisania mu w pewnej mierze poglądów samego Mitrofanowa na sztukę i życie.[1]) Potwierdza to także szereg zbieżności między programowemi wskazówkami Chazarowa, a powieścią Mitrofanowa, która jest jakby praktyczną ich realizacją. Podobnie ideowe poglądy Chazarowa stanowią jakgdyby teoretyczne uzupełnienie materjału zawartego w powieści Mitrofanowa. Tak jest np. z ujemną oceną znaczenia rodziny w idealnem socjalistycznem społeczeństwie, z nawoływaniem do zerwania „więzów rodzinnego szczęścia", które „jak burzliwa chmura stało ongiś nad wszystkiemi kobietami" (s. 100).

Zagadnienie rodziny i roli jej w życiu „nowego" człowieka, ukształtowanego przez socjalistyczną kulturę Sowietów, porusza także B. Pilniak w tytułowym utworze zbioru nowel, szkiców i reportaży p. t. *Rożdienije czełowieka.*[2]) Bohaterka tego opowiadania, typowa komunistka, przejęta do głębi entuzjazmem pracy dla dobra proletarjatu, w ten sposób charakteryzuje swój stosunek do wszystkiego, co pozostawało poza obrębem tej pracy: „Mój estetyczny i emocjonalny świat był bardzo zacieśniony, właściwie zupełnie nierozwinięty. Od literatury żądałam naiwnie tylko politycznej aktualności, agitacji i opisowości. Od malarstwa wymagałam fabryczno-przemysłowych obrazków, dokładnie fotografujących rzeczywistość. Muzyka wydawała mi się stratą czasu. Do swego seksualnego życia... odnosiłam się racjonalistycznie bezmała jak do sanitarno-higjenicznego zajęcia" (s. 124). Gdzieindziej zaś wyznaje: „Rodzina ze swojemi własnemi rondlami i firankami wyzywała we mnie ironję, jakieś tam jeszcze rodowe „swoje własne" kąty i małżonkowie, gdy cały świat — mój", a „o dziecku nie myślałam, przyjmuję jako zasadę, że dziecka nie powinno być"

---

[1]) Ciekawe, że Chazarow, reprezentujący w utworze poglądy samego autora — tak zewnętrznym swym wyglądem, jak też szeregiem szczegółów biograficznych przypomina życiorys Majakowskiego (por. np. przedśmiertną notatkę, ostatni telefon do przyjaciela i in.).

[2]) Bor. Pilniak, *Rożdienije czełowieka*, Gorlitizdat, Moskwa 1935, str. 224.

(s. 121). Traf jednak inaczej pokierował jej losami: została matką. I teraz dopiero w obliczu narodzin małego człowieka zrozumiała całe ubóstwo dotychczasowego życia, teraz dopiero ona, „członek wielkiej, komunistycznej rodziny" odczuła w całej pełni tragizm swego osamotnienia. Przyrównując się do psa, daremnie szukającego legowiska, wyznaje: „Właśnie dlatego, że nie mam ani męża ani legowiska, przyjechałam tu przed porodem, do cudzego domu, aby być zupełnie sama... To jest więcej niż kara. To natura mści się za siebie. Jakże potrzebny mi teraz bliski człowiek" (s. 127). Podobną tragedję samotności przeżywa także inżynier Surowcew, który w taki oto sposób opowiada o swych psychicznych doznaniach: „Jestem komunistą, człowiekiem kolektywu..., a oto gdy tylko zostanę sam w czterech ścianach, a nawet w lesie, jest mi samotnie i straszno..." (s. 133). I chociaż nowela ta zapomocą ciągłego podkreślania wyłącznej roli naturalnych, wrodzonych instynktów ludzkich nie stanowi bynajmniej zdrady marksowskiego materjalizmu, niemniej jednak wskutek zdecydowanie negatywnej oceny komunistycznej moralności z zakresu życia płciowego nie mogła przypaść do gustu krytyce sowieckiej, która odrazu sypnęła szeregiem ostrych i zjadliwych recenzyj (por. np. *Litieraturnyj Kritik* 1935 nr. 3, *Litieraturnaja Gazieta* 1935, nr. 23 i in.).

Pilniak jest już zresztą od dłuższego czasu „w niełasce". Nie pomagają mu nawet tak lojalne utwory, jak opowieści *Bolszej szlem*, artystycznie najlepsza z całego omawianego tu zbioru. Zawiera ona biografję człowieka, który mimo, iż był jednym z najbogatszych i najznakomitszych inżynierów naftowych, nie opuścił kraju po rewolucji rosyjskiej, gdyż urodził się i wychował jako syn ubogiego włościanina: „hołd, złożony zasadzie o decydującem znaczeniu pochodzenia człowieka". Oba powyższe opowiadania dość wyraźnie różnią się od pozostałych utworów tego zbioru, które w większości swej albo zupełnie pozbawione są akcji, albo też posiadają ją w formie bardzo słabo rozwiniętej. Niektóre z nich niewiele wychodzą poza ramy przeciętnych reportaży z życia Sowietów, skleconych mniej lub bardziej interesująco z materjału zebranego podczas wycieczek autora w różne strony kraju (por. np. *Rożdienije priekrasnago*, *Zeleznaja tundra*). Inne oparte są o materjał fikcyjny i stanowią jakby literackie obrazki, przedstawiając wycinki z życia miejskiego proletarjatu (*Galety fabriki „Bolszewik"*), z rozwoju organizacji „Pionierów" (*Christjanskoje Rożdiestwo*), ze stosunków świata robotniczego (*Powiest' o specowkie*), ze sfer domowej burżuazji (*Fabricznyje diewki*), lub z miłości i pracy komsomolców w sielankowej atmosferze „sowchozów" (*Rasskaz o kristałłobrazowanijach*).

Przewaga elementów opisowych, oraz brak własnej akcji z wyraźnem zakończeniem utworu są charakterystycznemi właściwościami większości tych obrazków, odróżniającemi je od pozostałych opowiadań, zbliżających się raczej do rodzaju anegdot.

Wprawdzie one także nie posiadają najczęściej akcji we właściwem tego słowa znaczeniu, opierają się jednak na opowiadaniu o pewnem zdarzeniu, wyraźnie zakończonem jakąś nieoczekiwaną sytuacją. Wskutek tego końcowy ustęp utworu nabiera tu specjalnego znaczenia stając się momentem, do którego przez cały czas zdąża opowiadanie autora. Taki charakter posiadają np. oba utwory o psach, *Towariszczi popromysłu* i *Sobaczja sud'ba*, z których ostatnia prawie dosłownie została wyjęta z powieści p. t. *Sobowtóry*, anegdota o sprytnym zecerze, zręcznie odgrywającym rolę starego aktora p. t. *Tień pisatiela Gogola*, lub *Rasskaz o dwadcatom godie*, zawierający dość znamienną dla stosunków sowieckich przygodę, jaka spotkała pewnego pisarza - inteligenta, skrytykowanego bezlitośnie za powieść, dzieło swego życia, ale nagrodzonego za niepodpisane artykuły w komunistycznej gazetce. Podobny charakter posiadają także opowiadania, składające się z kilku luźnie powiązanych anegdot (por. np. *Wieszczi*).

Budowa opowiadań Pilniaka opiera się najczęściej na paralelizmie i kontraście. Tak jest np. w utworze *Doroga*, opartym na zestawieniu stanu drogi przed — i po rewolucji, lub w opowiadaniu *Fabricznyje diewki*, przeciwstawiającym ideały rodziny proletarjackiej — pojęciom sfery burżuazyjnej. Dość licznie występują tu również powtórzenia zdań i słów, tak znamienne dla techniki literackiej Pilniaka. Czasem odgrywają one rolę ram, obejmujących utwór, kiedy indziej zaś noszą charakter refrenu, zamykającego, lub otwierającego poszczególne ustępy opowiadania. Naogół jednak znać tendencję do lakoniczności i ekonomji słów oraz pewną powściągliwość w używaniu środków stylistycznych, dążenie do wyrażenia swych myśli w jak najkrótszych i zwartych wypowiedziach. Może dlatego też opowiadania, zamieszczone w omawianym tu zbiorze, sprawiają wrażenie pierwszych, nieopracowanych rzutów, bruljonowych zapisek, którym brak jeszcze świadomej ręki artysty.

* * *

Ani omówione powyżej powieści Lidina i Mitrofanowa, ani też żadna z nowel Pilniaka nie dorastają do tego poziomu artyzmu, jaki reprentuje najnowsza powieść Kawierina p. t. *Ispołnienije żełanij*.[1]) Autor jej — nieznany czytelnikom polskim (w wyborze powieści sowieckich przez nasze firmy wydawnicze wciąż jeszcze decydują wszystkie inne względy — tylko nie estetyczne!) — nie jest bynajmniej nowicjuszem na terenie twórczości literackiej. Po raz pierwszy wystąpił w r. 1922 jako autor fantastycznych opowiadań. Następnie jego twórczość przerzuca się od opowieści

[1]) W. Kawierin, *Ispołnienije żełanij*, roman, kn. I, *Trubaczewskij*, Gosud. Izd. „Chudożestw. Liter.", Leningrad 1935, str. 248.

detektywistyczno-kryminalnych (*Koniec chazy*) poprzez historyczną kronikę październikowej rewolucji (*Dieват' diesiatych sud'by*) aż do hiperboliczno-groteskowego opowiadania z dużą dozą ironji przeciw badaczom literatury (*Skandalist.*). Ostatnia jego powieść, rozpoczęta tomem p. t. *Trubaczewskij*, wprowadza czytelnika w świat uniwersyteckiej młodzieży w Sowietach i przedstawia ją nie na terenie fabryki, lub kołchozów, jak np. czyni to w swych *Stostrach* Wieriesajew, ale na tle naukowych studjów, egzaminów i ćwiczeń.

Uczestniczymy więc w posiedzeniach seminarjów uniwersyteckich i w zebraniach kół naukowych, z zainteresowaniem śledzimy przebieg dyskusyj, gubimy się podczas przerw między wykładami w gwarnym tłumie na korytarzu, lub w jadalni i wraz z głównymi bohaterami utworu przeprowadzamy skrupulatne badania z zakresu medycyny, historji i literatury rosyjskiej. Te ostatnie ujęte są tak interesująco, że nawet niespecjalista zaciekawi się zagadkową historją szyfrowanego wiersza Puszkina, tembardziej że historja ta nie jest bynajmniej fikcją autora, gdyż istnieje naprawdę rękopis fragmentu *E. Oniegina* szyfrowanego w ten sam sposób.[1]) W tem przedstawieniu świata uniwersyteckiej młodzieży Kawierin nie ogranicza się wcale do ukazania jej tylko podczas pracy naukowej: sport, wycieczki, zabawy, flirt, ba — nawet nocne pijatyki w barach składają się na dość wszechstronny obraz zainteresowań studentów sowieckich. Wszystko to jednak nie wychodzi bynajmniej poza ramy ogólnego tła utworu i ani trochę nie zaciemnia głównej fabuły nietylko wskutek umiaru i proporcji między poszczególnemi elementami powieści, ale też dzięki temu, że w przeciwieństwie do *Siewierjanki* — obrazy tła ani razu nie występują jako coś samoistnego, że zawsze jak najściślej łączą się z akcją utworu i są objęte logiką jego artystycznej motywacji.

Akcja powieści rozpada się wyraźnie na dwa wątki: jeden z nich opowiada o dziejach studenta medycyny, Kartaszichina, drugi zaś — osnuty jest wokół postaci Trubaczewskiego, studjującego historję i literaturę rosyjską. Z osobą Trubaczewskiego łączy się także sensacyjno-kryminalny wątek kradzieży rękopisów Puszkina. Akcja powieści jest zatem dwutorowa, a budowa jej opiera się na paralelicznem zestawieniu dwu różnych charakterów: z jednej strony wybuchowego, ambitnego, zapatrzonego w siebie Trubaczewskiego, z drugiej zaś — głębszego, konsekwentniejszego i bardziej opanowanego Kartaszichina. Chociaż ten ostatni jest postacią zdecydowanie pozytywną, przeciwstawioną pewnej lekkomyślności swego przyjaciela, to jednak i Trubaczewski zdobywa sobie całkowitą sympatję czytelnika. Jest to następstwem nietylko

[1]) B. Tomaszewskij. *Diesiataja gława „E. Oniegina", Istorija razgadki, Litieraturnoje Nasledstwo*, Moskwa 1934, nr. 16—18, str. 378—420.

jego młodziutkiej naiwności, oraz prostoty i szczerości w obejściu, ale także i ze sposobu, zapomocą którego Kawierin zbliża swe postaci do czytelnika. Przedewszystkiem stara się on o jak najplastyczniejsze odtworzenie swych bohaterów zapomocą pośrednich lub bezpośrednich informacyj o ich wyglądzie zewnętrznym i cechach charakteru. Czasem służy temu otoczenie, lub tło, na którem ukazuje się dana postać (por. np. opis gabinetu prof. Szczepkina — str. 217—218). Niemałą rolę odgrywa tu także opowiadanie o życiu bohaterów w okresie, poprzedzającym chronologicznie czas akcji utworu (por. np. t. zw. „Vorgeschichte" Kartaszichina i Trubaczewskiego w II-gim rozdz. książki). Przy postaciach drugorzędnych dołącza się tu nieraz celowe podkreślanie pewnej cechy charakteru lub przyzwyczajenia, co najczęściej zabarwia daną postać dużą dozą humoru.

Decydujące znaczenie ma tu jednak nie zewnętrzny opis bohatera, ani też bezpośrednia analiza jego psychiki, ale ta szczególna sugestywność, z jaką przedstawia Kawierin napół świadome reakcje swych postaci na pewne drobne, nieznaczące zdarzenia dnia powszedniego. Przytem nie dąży on bynajmniej do zaskoczenia czytelnika czemś niezwykłem, koszmarnie dziwacznem, jak to jest najczęściej u Mitrofanowa w *Siewierjance*, ale wręcz odwrotnie: w tem odtwarzaniu napółświadomych doznań psychicznych stara się uchwycić typowe, powszechne zjawiska, znane doskonale każdemu z nas z własnego doświadczenia. Tak jest np. z przeżyciami Kartaszichina podczas nocnego spaceru, gdy wydało mu się, że wszystko to było już kiedyś dawniej (str. 36), lub z nieświadomym obwodzeniem przezeń napisanych już przedtem liter podczas rozmyślania nad dalszą treścią listu (s. 27). Ale i to także trafia się tylko od czasu do czasu i nie wykracza poza rolę podrzędnego, pomocniczego elementu utworu.

Tem, co wybija się na czoło powieści, skupia na sobie całą uwagę czytelnika i stanowi jednocześnie największą jej zaletę, jest żywa i interesująca akcja utworu, właściwość dość rzadka w beletrystyce sowieckiej, konstruowanej przeważnie na przeciwieństwach klasowych, które, jak już zgóry wiadomo — winny wykazać przewagę proletarjatu. U Kawierina nic nie jest przesądzone, czytelnik pozostawiony jest przez cały czas w wątpliwości co do dalszego biegu wypadków i nawet wtedy, gdy łatwo może domyśleć się tego, co jest jeszcze tajemnicą dla postaci utworu (np. kradzież rękopisu Puszkina), nic nie wie o bliższych okolicznościach zdarzenia i z zaciekawieniem oczekuje sposobu, zapomocą którego sprawa cała zostanie przez autora rozwiązana. W wyborze motywów powieści, oraz w technice rozwijania jej akcji, znać wpływ sensacyjno-kryminalnej literatury, Kawierin jednak operuje tu nietyle zwykłą tajemniczością zdarzeń i postaci, ile raczej zagadkowością pewnych przedmiotów oraz stosunków, zachodzących między ludźmi i ich postępkami. Najwyraźniej może

przejawia się to w początkowych scenach powieści, zawierających szereg odrębnych, niepowiązanych ze sobą obrazów. Postaci, występujące tu (z wyjątkiem Nieworożina) nie są same w sobie tajamnicze. Odrysowane dokładnie i szczegółowo, nie budzą w czytelniku żadnych wątpliwości, ani domysłów. Całe zaciekawienie jego skupia się natomiast na stosunku, jaki musi je łączyć. Z chwilą zaś, gdy i to staje się jasne i zrozumiałe, Kawierin wprowadza do akcji nowe zagadki, intrygujące nietylko czytelnika, ale także i głównego bohatera utworu (por. np. stosunek Bauera i Szczeplina, rękopis Puszkina i in.). Przytem czytelnik uczestniczy niejako w rozwiązywaniu tych zagadek przez postaci powieści, gdyż autor nie rozwiązuje ich odrazu, zapomocą bezpośredniego komentarza, ale powoli i stopniowo w miarę tego, jak wyjaśnia je sobie dana postać utworu.

To, że pojedyńcze zdarzenia i sytuacje mieszczą się prawie zawsze w ramach poszczególnych rozdziałów powieści, które stanowią zwykle pewną organiczną całość z wyraźnym wstępem i zakończeniem, związującemi niekiedy dany ustęp z poprzedzającym i następującym tokiem opowiadania — sprawia, że powieść Kawierina — chociaż rozbita na szereg odrębnych scen — nie posiada charakteru fragmentaryczności, przypominając raczej pełne i stopniowe rozwijanie się fabuły w utworach typowo epickich. Nie brak tu jednak i elementów dramatycznych, przejawiających się nietylko w zwrotach żywej akcji powieści, ale także i w większości scen, przedstawiających dialogi, rozmowy kilku osób, lub zebrania naukowe i towarzyskie (por. np. świetną scenę targu o rękopis Puszkina na początku powieści, lub pierwszą wizytę Trubaczewskiego u Bauera). I ta harmonijna równowaga między dramatycznemi i epickiemi elementami utworu decyduje już w wielkiej mierze o nieprzeciętnej jego wartości artystycznej. *Ispołnienije żełanij* — to wyraźny etap w rozwoju twórczości Kawierina, w drodze od dramatyzacji fabuły i literackiej stylizacji pierwszych jego utworów — do artystycznej prostoty, realizmu i wzmocnienia roli epickich elementów powieści.

Kawierin — to artysta, obdarzony niewątpliwie dużą dozą smaku estetycznego. To też jego marksowskie poglądy nie wysuwają się na czoło utworu, są dyskretnie usunięte na plan dalszy i nie grają bynajmniej decydującej roli w kształtowaniu utworu literackiego. Ale książki tego rodzaju dość rzadko trafiają się w Sowietach i z tego względu bardziej typowa dla beletrystyki Z. S. S. R. jest powieść niemłodego już pisarza, Aleksandra Jakowlewa p. t. *Ogni w pole*,[1]) do gruntu przesycona zasadami sowieckiego poglądu na świat i wynikająca ze starań dostosowania się do wszystkich przepisów „socjalistycznego rea-

[1]) A. Jakowlew, *Ogni w pole*, roman, Sowietskij Pisatiel, Moskwa 1935, str. 316.

lizmu". Stąd też właśnie wypływa jej schematyzm, podobieństwo do całego szeregu utworów sowieckich, przedstawiających to samo środowisko, idące tak daleko, że można w ogólnych zarysach przewidywać, w jaki sposób autor skonstruuje swój utwór, jakie będą główne elementy fabuły i jak rozwinie się jego akcja.

Fabuła powieści Jakowlewa — to dzieje wytężonej, ofiarnej pracy wokół podniesienia stanu gospodarczego „sowchozu", akcja zaś — to walka prawdziwych ideowych komunistów, byłych uczestników wojny domowej, ludzi o niebywałej sile woli i nieprawdopobobnej wytrzymałości zdrowia oraz nerwów z trzema wrogiemi im siłami. Pierwsza z nich — to społeczni „szkodnicy", pozostający pod pośrednim lub bezpośrednim wpływem burżuazji, to mali, nikczemni ludzie, potajemnie niszczący bogactwa i siłę państwa sowieckiego, to zamaskowani wrogowie, pogardliwie uśmiechający się na widok prostego ludu, — księża, popi i przedrewolucyjna inteligencja, otumaniająca ciemny proletarjat wsi i miasta. Druga wroga siła — to członkowie własnej partji, nie rozumiejący znaczenia zmian, dokonywanych przez ustrój sowiecki, to dawni wodzowie oddziałów czerwonych, stosujący w swej pracy polityczno-gospodarczej — metody wojennej „partyzantki", to ludzie o głęboko zakorzenionych skłonnościach mieszczańskich, tęskniący do własnej szafy, gramofonu i zacisznego kąta rodzinnego. Trzecia wreszcie siła — to przyroda, niezbyt lojalnie sprawiająca się wobec pięcioletniego planu Sowietów i nader lekkomyślnie stająca naprzekór władzy tam właśnie, gdzie tego najmniej się oczekuje.

Oto w ogólnym zarysie schemat, który można zastosować nietylko do powieści Jakowlewa, ale też i do *Zoranego ugoru* Szołochowa, *Dnia wtórego* Erenburga, *Siewierjanki* Mitrofanowa i całego szeregu innych — jakże licznych już dzisiaj! — utworów, osnutych na tle pracy w kołchozach, sowchozach, kopalniach, fabrykach i różnych innych magnitostrojach Sowietów. A i przebieg tej akcji jest już w większości wypadków zgóry przesądzony: częściowe, lub całkowite zwycięstwo bohaterów socjalistycznego budownictwa w końcu powieści sowieckiej, jest tak samo obowiązkowe, jak pocałunek kochanków w ostatnim obrazie filmów amerykańskich. I ani nagromadzanie przeszkód, ani też umiejętne ich stopniowanie niewiele tu pomogą, gdyż tak jest w każdym utworze tego typu. Zgóry wiadomo, że w decydującej chwili zjawi się zawsze jakiś prawdziwy, „jak stal zahartowany" komunista — niby bogaty wuj z Ameryki, lub niespodziewany spadek pieniężny w licznych powieścidłach „burżujskich" — i sprawy przybiorą zgoła inny, niespodziewanie pomyślny obrót: tajemni szkodnicy zostaną zdemaskowani, jedni z pośród opieszalców, przeniknięty duchem mieszczańskim, otrzymują srogi „wygowor", albo też zostaną wykluczeni z partji, inni zaś przyznają się do winy i pod wpływem pracy, czasem samotności, a najczęściej wstrząsającego

krasomówstwa towarzyszy, przerodzą się wewnętrznie, wykorzeniając z siebie haniebne pozostałości dawnych „burżujów". Zgóry wiadomo również, że skoro bohater utworu ma jakieś poważne wątpliwości wewnętrzne, lub nie wierzy w celowość zarządzeń władzy — to napewno pochodzi z przedrewolucyjnej inteligencji. Prawdziwy, „rodowy" proletarjusz postępuje zawsze prosto, otwarcie, konsekwentnie i jeśli zdarzają się pewne załamania, to są przypadkowe i trwają tylko przelotnie, gdyż pesymizm i sceptycyzm są mu obce. Tak samo zresztą — jak i utworom socjalistyczno-realistycznym. Wszakże one właśnie mają natchnąć proletarjat duchem pogody i pewności siebie, służyć im jako solidny zastrzyk ideowego optymizmu.

Takim też zastrzykiem miała być zapewne ostatnia powieść A. Jakowlewa, który za cenę oryginalności, świeżości i sugestywnej siły artystycznej swego utworu dąży do jak najpełniejszego przesycenia go wychowawczemi tendencjami ideologji sowieckiej. Tu również tkwi przyczyna niejednolitej konstrukcji powieści. W pierwszych rozdziałach, opowiadanie Jakowlewa opiera się wyłącznie niemal na postaci Iljina. Z nim razem wędruje czytelnik od jednego gospodarstwa do drugiego, jego aspektem mierzy wszystkie sprawy i postaci, i on spełnia rolę motywu, na który „nawleka" autor poszczególne epizody akcji, rysując ku nauce czytelnika, idealnie wzorowe, lub też karygodnie zaniedbane gospodarstwa „sowchozu". Z chwilą jednak, gdy Iljin zwiedził już wszystkie folwarki, a w majątku pojawiają się ludzie, bardziej powołani do reprezentowania czystej nienaruszonej, ideologji komunizmu, ten niefortunny pretendent do roli głównego bohatera utworu ustępuje na stanowisko drugoplanowej postaci, a miejsce jego zajmuje naczelnik t. zw. „politotdiełu", Szurygin. Z tej wychowawczo-dydaktycznej tendencji Jakowlewa wypływa także mnóstwo dialogów i rozważań bohaterów na tematy religijne, społeczne i ekonomiczne. W celu umotywowania tych ideowych roztrząsań nie waha się nieraz Jakowlew wprowadzić bardzo sztuczne i nieprawdopodobne sytuacje. Tak więc każe Iljinowi pisać coś w rodzaju dziennika z bardzo prymitywnemi ocenami szeregu postaci powieści, stawianie plusów i minusów przy nazwiskach. Podobnie jest z Murawjewem, który wypełnia aż dwa dzienniki naraz: jeden dla oka ludzkiego, drugi zaś — wyłącznie dla siebie. Ale najjaskrawiej chyba przejawia się ta sztywność w rozmowie, jaką prowadzi Szurygin z urojonemi postaciami, wytworzonemi wskutek gorączkowych majaczeń chorego. Ten tradycyjny sposób wyrażania podświadomych myśli bohatera wydaje się tu tem bardziej nienaturalny, że Jakowlew nadał mu formę ożywionej dyskusji, która mimo 42^0 gorączki jej uczestnika, zadziwia swą niczem niezmąconą logiką i konsekwencją.

Tradycyjność przejawia się zresztą i w innych szczegółach powieści Jakowlewa. Z tego względu ogromnie znamienne jest jej

zakończenie. Aby stało się zadość dobrym, utartym zwyczajom trzeciorzędnych powieści, Jakowlew zamyka swój utwór motywem małżeństwa. Ale to, co w starych powieściach było naprawdę ostatnim epizodem w szeregu zdarzeń akcji i rozwiązywało w ten sposób wszelkie kwestje utworu — w powieści Jakowlewa, całkowicie niemal poświęconej sprawom „sowchozu" posiada charakter pseudo - zakończenia, obliczonego na naiwność czytelnika i przypominającego raczej zamykanie lufcika w otwartem naoścież oknie. Całość powieści Jakowlewa sprawia wrażenie utworu, którego autor zlekceważył nieco czysto artystyczne elementy dzieła literackiego, kładąc główny nacisk na poprawność „linji politycznej", reprezentowanej przez szereg postaci i wskazówek, często - gęsto rozsianych w powieści. I takie właśnie utwory, a nie *Piotr I.* Tołstoja i nie *Cichy Don* Szołochowa, są typowe dla literatury sowieckiej, w której skończenie piękne dzieła są tak samo rzadkie, jak i gdzie indziej. I oprócz patetyczno - entuzjastycznych okrzyków naszej krytyki nic bodaj nie świadczy o tem, iżby tylko Sowiety posiadały monopol na arcydzieła całego świata.

Czesław Zgorzelski.

Notatki bibljograficzne.

Wydawnictwa „Koła Studjów Katolickich". Warszawa, (Skład główny w Domu Książki Polskiej, Warszawa).

Wydawnictwa warszawskiego Koła Studjów Katolickich mają specjalny charakter, zupełnie odmienny od pozostałych wydawnictw religijnych. Są te książeczki niewielkie, formatu małej ósemki, ale wydane na dobrym papierze i bardzo starannie, można powiedzieć dekoracyjnie, pod względem graficznym, tak że mogą być dane nawet osobom, które prawdopodobnie nie zainteresowałyby się wcale książką ascetyczną w zwyczajnem tego słowa znaczeniu. Znajdują się między niemi: *Reguła świętego ojca Benedykta*, według wydania drukowanego w Wilnie w r. 1677 (r. 1929, str. 198). Św. Tomasz z Akwinu: *O obyczajach Bożych*, w tłum. S. Teresy, Franciszkanki i z przedmową ks. prof. Konstantego Michalskiego (r. 1930, str. 83). Ks. Dr. Aleksander Żychliński: *Intelektualizm św. Augustyna* (str. 58). Bł. Albert Wielki: *O połączeniu się z Bogiem*, w tłum. Eleonory Reicher i z przedm. ks. prof. Konst. Michalskiego (r. 1932, str. 127). Eleonora Reicher: *O. Rafał Kalinowski*, 1835—1907 (r. 1934, str. 66 i 1 il.). Zofja Poreyko: *Maciuś Romer*, 1920—1932, z przedm. ks. prof. Wilhelma Michalskiego (r. 1934, str. 80 i 2 il.) Błażej Pascal: *Modlitwa o uproszenie u Boga dobrego użytkowania chorób*, w tłum. M. Wróblewskiej (r. 1935, str. 43). Błażej Pascal: *Tajemnica Jezusa*, w tłum. M. Wróblewskiej (r. 1936, str. 24).

Adolf Nowaczyński: Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia, Brat Albert. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha. Str. 61 z il.

Jak wielką i piękną była postać art. malarza i powstańca z r. 1863, Adama Chmielowskiego a późniejszego Br. Alberta, założyciela Zgromadzenia Braci Albertynów, świadczy powyższa książeczka, a raczej jej autor i entuzjazm, z jakim wyraża się o tym „najpiękniejszym człowieku" swego pokolenia. Nie wdając się w głębie jego życia duchowego, opisuje Nowaczyński dzieje zewnętrzne bohatera, podając dużo ciekawych przyczynków biograficznych, zwłaszcza na tle Krakowa i Zakopanego, świadczących o gorącej miłości bliźniego, a zapomnieniu o sobie, tak uderzających u Br. Alberta. Książka gustownie wydana i zasługująca na rozpowszechnienie.

Friedrich-Brzozowska Marja: Zawiłe drogi. Powieść. Warszawa. Wyd Ks. Pallotynów St. 463.

Szkicami z życia nazwała autorka swą powieść, w której pragnie przedstawić życie takiem, jakiem ono jest w rzeczywistości, a więc niepozbawione również trudności i cierpień. Trudności te pomagają jednak w wyrabianiu charakterów i wiodą je do wyżyn, do Boga. Widzimy to na Reni, głównej bohaterce powieści, a niemniej na Jasiu i Julku, których sylwetki duchowe są trafnie nakreślone.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Lwów. Książnica-Atlas. Tom IV, zesz. 5 i 6.

Ostatnie dwa zeszyty znanej encyklopedji popularnej „Świat i Życie" przynoszą dalszą serję omawianych tematów, jak: samorząd, sen, serce i układ krążenia, silniki, Skandynawja, skarbowość, skóra, słońce, Słowianie, socjalizm, socjalizm narodowy, socjologja, społeczeństwo sport, spółdzielczość, sprawiedliwości wymiar, Stany Zjedn. Am., statystyki, stroje, stronnictwa polityczne, style, systematyka biologiczna, szczepionki i surowice.

Życiorysy bohaterów czynu. Katowice 1936, Księg. i Druk. Katolicka (ul. Marsz. Piłsudskiego 58).

W popularnem, na szersze warstwy obliczonem i dobrze przystosowanem wydawnictwie „bohaterów czynu" ukazały się dwa dalsze zeszyty. Z. Sikorska napisała jeden p. t. Karol de Foucauld (1858 — 1916), badacz Marokka i misjonarz (str. 64). Drugi zesz. p.t.: „Cecylja Plater Zyberkówna, pracownica Boża", napisała Felicja Suchodolska (str. 64).

Ks. Dr. K. Gołębiewski C. SS. R.: Fałszerstwa Dra Mierzyńskiego. Warszawa 1936. Str. 31.

W czasop. Wolnomyśliciel polski ukazał się szereg artykułów Dr. Mierzyńskiego p. t. „Św. Alfons Liguori i jego te-

ologja moralna" (r. 1935, nr. 20—25). Autor źródłowo wykazuje, jak nienaukowem i wprost niegodziwem jest traktowanie przedmiotu przez Mierzyńskiego, który fałszywie przedstawia i oświetla naukę św. Alfonsa. Warto tę broszurę przeczytać, jako świadectwo naukowości „wolnomyślicieli".

J. de Boistel: Rotary-Klub a Masonerja. Katowice 1936, Księg. i Druk. Katolicka (ul. M. Piłsudskiego 58) Str. 47.

Na podejrzany charakter „Rotary-klubów" i ich najprawdopodobniejszy związek z masonerją zwróciliśmy uwagę czytelników Przeglądu Powszechnego już dawniej (czerwiec 1931). Autor powyższej broszury wykazuje to samo na podstawie nowych materjałów. Z wywodów jego wynika, że rotaryzm odrzuca, podobnie jak masonerja, prawdy nadprzyrodzone i wszelką naukę objawioną. Wobec propagandy rotaryzmu w naszym kraju broszura niniejsza zasługuje na szersze rozpowszechnienie wśród inteligencji.

S. Marja Augustyna, Norbertanka: Nowenna do bł. Bronisławy wyd. 4. Kraków 1936, Konwent PP. Norbertanek. Str. 64.

Gustownie wydana ta broszurka zawiera nowennę i inne modlitwy i pieśni do błog. Bronisławy, oraz krótki jej życiorys na wstępie. Pragnieniem wydawców jest przyśpieszenie kanonizacji Błogosławionej przez wzmożenie nabożeństwa do niej.

Dr. jur. Stephan Vasz (Budapest): Das Berner Fehlurteil über die Protokolle der Weisen von Zion. Erfurt, U. Bodung-Verlag, 1935. Str. 135.

Sprawa „Protokołów mędrców Sjonu" nie przestaje interesować ludzi, nietylko u nas ale i w szerokim świecie, jak tego dowiódł słynny proces w Bernie, który zakończył się dn. 14 maja 1935 r. wyrokiem, zaprzeczającym autentyczności Protokołów. Otóż autor, prawnik, który brał udział w głównych rozprawach owego procesu, wykazuje w niniejszej broszurze, że proces ów nie był przeprowadzony ściśle, lecz raczej można go uważać za komedję odegraną przez Żydów w swej obronie. Broszura powyższa ma pozatem sporo ciekawego i w części zupełnie nowego materjału co do samych Protokołów i ich powstania.

O. Leon Pyżalski C. SS. R. Dzwon na trwogę. Wezwanie do walki z bezbożnictwem i obojętnością religijną w myśl współczesnej Akcji Katolickiej. Kraków. Nakł. OO. Redemptorystów. 1936. str. 454.

Cztery pierwsze rozdziały niniejszej książki stanowią jakby przydłuższy wstęp, wyjaśniający, o co autorowi chodzi, do jakich czytelników się zwraca i jakie rokuje sobie widoki powodzenia. Dalej wykazuje przeciw bezbożnictwu rzeczywistość istnienia Boga, dowodząc potem zkolei, że wiara w Boga jest koniecznym wa-

runkiem zdrowej moralności, społecznego ładu, prawdziwego patrjotyzmu, spokojnego współżycia narodów i wszelkiej cywilizacji. Przechodząc zkolei do wyjaśnienia natury i posłannictwa Kościoła, roztrząsa główniejsze przeciw niemu zarzuty, a nareszcie wzywa do gorliwej pracy pod sztandarem Akcji Katolickiej, tłumacząc przytem jej istotę i zadania. Na końcu 20 dość obszernie rozwiniętych szkiców do przemówień na zebraniach Akcji Katolickiej. Cała książka pełna szczerego zapału dla zagrożonej sprawy Bożej odda niewątpliwie niemałe usługi średnio wykształconym ludziom świeckim, narażonym na religijne niebezpieczeństwo, a pożyteczna będzie zwłaszcza kapłanom, kierownikom Akcji Katolickiej.

Biskup Karol Radoński: Dni triumfu Eucharystji. Poznań tamże. Str. 139 z ilustr.

W r. 1934 odbył się wspaniały XXXII Międz. Kongres Eucharystyczny w Buenos Aires w Argentynie. Dostojny Autor, który wziął w nim udział wraz z nieliczną polską pielgrzymką, opisuje tu plastycznie i interesująco zarówno przebieg podróży, jak sam Kongres, który pozostawił niezatarte wrażenie na obecnych i nawet niektórych niewierzących nawrócił do Kościoła. Książka jest estetycznie wydana i ozdobiona 16-ma całostronnemi rotograwurami.

Czuwajcie i módlcie się! Zbiorek modlitw liturgicznych. Zebrał Ks. Dr M. Sieniatycki. Kraków 1936. str. 256 in 16^0.

Znany ze swych prac naukowych, prof. Uniw. Jag., ks. dr Sieniatycki zebrał tu wyjątki modlitw, jakie Kościół odmawia w swych liturgicznych nabożeństwach, podczas uroczystości kościelnych, kiedy obchodzi pamiątkę Świętych, lub gdy błaga Boga o pomoc w szczególniejszych potrzebach. Zastajemy tu więc psalmy Dawidowe, antyfony, hymny, prefacje, litanje, a poza tem modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do Świętych, Godzinki, Gorzkie żale, Drogę krzyżową, modlitwy do spowiedzi i Komunji św., pieśni kościelne. (1.60 zł.)

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Nakładem Harcerskiego Biura Wydawniczego:

Wacław Błażejewski, hm.: Historja Harcerstwa Polskiego. Zarys ogólny. Wydanie drugie jubileuszowe. Warszawa 1935. Str. 348.

Mgr. Józef Sosnowski: Harcerstwo jako wielka gra. Próba pedagogicznego uzasadnienia systemu gier i zabaw harcerskich. Wydanie II. Warszawa 1935. Str. 84.

Józef Sosnowski: Miasto młodości. Warszawa, 1935. Str. 86.

Juljusz Dąbrowski, hm.: W świetlicy harcerskiej. W-wa, 1935. Str. 79.

Juljusz Dąbrowski, hm.: Harce zimowe w polu. W-wa, 1935. Str. 88.
Wiktor Królikowski: Most na Przemsze. Sztuka w 3 obrazach. Warszawa, 1936. Str. 83.
Józef Sosnowski, hm.: Wytyczne programowe pracy zastępów chłopców starszych. Wydanie drugie. Warszawa, 1936. Str. 78.
Komisja Kół Harcerzy z czasów walk o Niepodległość przy Naczelnictwie Z. H. P.: Uharcerzamy społeczeństwo! Warszawa, 1936. Str. 87.
Wiktor Szyryński, hm.: Wycieczki harcerskie. Warszawa, 1936. Str. 130.
Oskar Żawrocki, hm.: Praca w drużynie. Warszawa, 1936. Str. 125.
Sprawności harcerskie. Warszawa, 1936. Str. 256.

Nakładem różnych:

St. Sedlaczek i Jerzy Matecki: Drogowskaz harcerski. Wydanie II rozszerzone i poprawione. Skład główny: Główna Składnica Z. H. P. w Warszawie, ul. Traugutta, 2. Warszawa, 1936. Str. 287.
Sprawozdanie Naczelnej Rady Harcerskiej 1935. Warszawa, 1936. Str. 376 + V.
Bogdan Suchodolski: Studja nad humanizmem współczesnym. Irving Babbitt. Warszawa 1936, Instytut Literacki. Str. 73.
Hitler gegen Christus. Eine katholische Klarstellung und Abwehr von Miles Ecclesiae. Paris 1936, Société d'Editions Européennes. Str. 193.
Leopold Janikowski: W dżunglach Afryki. Wspomnienia z polskiej wyprawy afrykańskiej w latach 1882—1890. Warszawa 1936, Wyd. Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Str. 208 z ilustr.
W. J. Grabski: Kłamstwo. Powieść. Poznań, Księg. św. Wojciecha. Str. 396.
Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących. Opracował Adam Bar, przy współudziale Wł. Tad. Wisłockiego i Tad. Godłowskiego. Tom I: A — K. Kraków 1936, Gebethner i Wolff. Str. XXXVIII + 231.
Ks. Nikodem Cieszyński: Na przełęczy. Zbiór króciutkich kazań i rozważań na tle Ewangelij niedzielnych. Poznań, nakł. autora. Str. IX + 220.
Ks. Józef Cyrek T. J.: Wielki sługa Boży, ks. Piotr Skarga Tow. Jez. Kraków, Wyd. Apostolstwa Modlitwy. Str. 129 i 1 il.
Ku czci Piotra Skargi. Materjały na poranki lub wieczornice. Kraków, Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Str. 40.
Marek Romański: Najazd cywilizacji. Warszawa 1936, Dom Książki Polskiej. Str. 120 z il.
Miscellanea Theologica. Praca zbiorowa profesorów Seminarjum Metropolitalnego w Warszawie. (Zesz. na jubileusz J. E. ks. kard. Kakowskiego). Warszawa 1936, Seminarjum Metropolitalne. Str. XII + 305.
Linus Bopp: Liturgie und Lebensstil. Buch der geweihten Lebenskreise. Freiburg im Breisgau 1936, Herder. Str. VI + 188.
Bernhard Kellermann: Przyjaźń. Powieść. Lwów 1936, Książnica-Atlas. Dwa tomy, str. 287 i 248.
Jan Brzoza: Dzieci. Powieść. Lwów 1936, Książnica-Atlas. Str. 296.
Pisma Ojców Kościoła: Tom XVII — Leon Wielki: Kazania wybrane, str. 183. Tom XVIII — Apologeci Greccy II wieku, str. 152. Poznań 1936, Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka.
Dr. Antoni Miller: Pierwsza porozbiorowa konspiracja Litewska. Spisek ks. Ciecierskiego (1796—1797). Studjum historyczne. Kraków 1936, nakładem OO. Dominikanów. Str. 174.

Zbigniew Wasilewski: Znaczenie dróg wodnych dla przemysłu Śląskiego. Katowice 1936, nakładem Wydaw. Instytutu Śląskiego. Str. 36.

Ludwik Chmaj: Ślązacy wśród Braci polskich. Katowice 1936, nakładem Wydawnictw Instytutu Śląskiego. Str. 50.

Leon Koczy: Związki handlowe Wrocławia z Polską do końca XVI wieku. Katowice 1936, nakładem Wyd. Instytutu Śląskiego. Str. 34.

Ks. Jan Poplatek T. J.: Błogosławiony Andrzej Bobola Tow. Jez. Życie — Męczeństwo — Kult. Kraków 1936, nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Str. 331.

Litterae pastorales Alexandri S. R. E. Cardinalis Kakowski ad moderatores, professores et alumnos Seminarii Metropolitani Varsaviensis. Constitutiones et Regulae Seminarii. Varsaviae 1936. Str. 68.

Józef Piłsudski. Pisarz, wydawca i drukarz. Kraków 1936, nakładem bibljofilów i bibljotekarzy krakowskich. Str. 135.

Skarga pośród nas. Ustępy z pism Księdza Piotra Skargi wybrał i słowo wstępne napisał A. E. Balicki. Kraków 1936, nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Str. 189.

Baltic Countries. A survey of the peoples and states on the Baltic with special regard to their geography and economics. Vol. II. No. 1 (3). May 1936. Toruń, published by the Baltic Institute. Str. 148.

O. Łukasz od św. Józefa, Karm. bosy: Świętość zakonna. Kraków 1936, nakładem „Głosu Karmelu". Str. 593.

Krystyna Sinko: Hieronim Canavesi. Kraków 1936. Str. 47.

Mieczysław B. Lepecki, kpt.: Drogą korsarzy i zdobywców. Warszawa 1933, nakł. Głównej Księgarni Wojskowej. Str. 311.

Ks. J. Lasek prof. sem.: Cześć Najśw. Sakramentu w diecezji przemyskiej w ubiegłych wiekach. Cz. I. Przemyśl 1936, nakładem „Unitas". Str. 111.

Ks. dr. Antoni Pawłowski: Organiczny i organizacyjny pierwiastek w Kościele. Włocławek 1936. Str. 29.

Ks. Józef Boczar: Dzieje biblijne. Lwów 1936, nakładem Wyd. Zakładu im. Ossolińskich. Str. 96.

Ks. dr. Adam Hausner i ks. Franciszek Wójcik: Szkice Katechez. Lwów 1936, nakładem Wydawnictw Zakładu im. Ossolińskich. Str. 54.

Dr. Henryk Dembiński: Wojna jako narzędzie prawa i przewrotu. Lublin 1936, nakładem Towarzystwa Naukowego Kat. Uniw. Lub. Str. 200.

O. Bernard od Matki Bożej, karm. bosy: Znak Zbawienia. Rozmyślania z przykładami. Kraków 1936, nakładem „Głosu Karmelu". Str. 302.

O. Bernard od Matki Bożej, karm. bosy: Najboleśniejsza. Rozważania. Kraków 1936, nakładem OO. Karmelitów Bosych. Str. 199.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dalszy rozwój walki z Kościołem w Niemczech. — Wybory belgijskie i płynące z nich nauki. — Z ruchu ludowego w Polsce. — Warszawa ku czci swego Arcypasterza.

Jak to ze smutkiem zaznaczył Ojciec święty przy otwarciu watykańskiej wystawy prasy, na tym wspaniałym pokazie publicystycznej działalności Kościoła po całym świecie, prócz Rosji, jedne tylko Niemcy z konieczności świeciły nieobecnością. Niegdyś tak wspaniale rozwinięta, a dzisiaj zupełnie „gleichschaltowana" prasa katolicka niemiecka ma tak zakneblowane usta, że zgoła nie może się odezwać właśnie o tych sprawach, które w tych czasach prześladowania dla duchowieństwa i wiernych miałyby największą wagę. Ale dzielni katolicy niemieccy, niegodziwie skrępowani w kraju, zdołali stworzyć sobie zagranicą wyborne organy, informujące najdokładniej o tem wszystkiem, czego tyranja hitlerowska nie pozwala podać do wiadomości publicznej w ojczyźnie. Takie pisma jak *Der Deutsche Weg* w Holandji, *Der Christliche Ständestaat* w Wiedniu, *Der Deutsche in Polen* z dodatkiem *Die Aufrechten* u nas, wiadomości prasowe, *Der Kulturkampf*, wydawane w Paryżu, nie mówiąc o wielu broszurach i książkach, przynoszą takie mnóstwo zupełnie pewnych i wybornie udokumentowanych wiadomości, że można sobie z nich wyrobić najdokładniejsze pojęcie o rozmiarach tego systematycznego a zaciekłego prześladowania, jakiego doznaje w tej chwili Kościół niemiecki. Kierunków, w jakich to prześladowanie się odbywa jest tyle i konkretnych faktów, pochodzących z jego intensywności jest tak ogromna ilość, że możnaby niemi zapełniać całe arkusze. Z mnóstwa innych wybieramy tylko kilka, które zdają nam się w tej chwili mieć większą wagę.

Niedawno oświadczył publicznie Reichsstatthalter Dr. Wagner: „Niech Kościoł nie sądzi, że będziemy mu przysparzać męczenników. Tej przysługi mu robić nie będziemy. Nie męczenników będziemy tworzyć ale przestępców. Mogę panów zapewnić, że kiedy skończy się serja procesów dewizowych, to rozpoczniemy inną serję podobnego rodzaju."

Ta druga serja t. zw. procesów obyczajowych, albo, jak słuszniej nazywają je katolicy, *Diffamierungsprozesse,* świeżo się rozpoczęła. Po cichu przygotowywano ją oddawna. Już od półtora roku, przez osławioną a nie przebierającą w sposobach *Gestapo,* zbierał rząd kanclerski wszystkie możliwe wiadomości o rzekomych czy rzeczywistych upadkach moralnych katolickiego kleru albo i świeckich katolickich działaczy. Że nie chodziło tu bynajmniej o moralność publiczną, to jest aż nazbyt jasne dla wszystkich, którym znany jest poziom obyczajowy najwyższych nawet kół rządzącej partji. Jak niegodziwe procesy dewizowe miały na celu zohydzenie w oczach mas katolickiego Kościoła, tak i cała akcja świeżo rozpoczęta do tego tylko zmierza, by nieugięty katolicyzm obedrzeć z blasku dostojności moralnej, a potem tem bezwzględniej go zwalczać.[1])

Dlatego też zabrano się do rzeczy z wielkim rozgłosem. Wytoczono procesy kilku domom lub kongregacjom zakonnym oraz poszczególnym osobom z kleru świeckiego czy też kierownikom znienawidzonych kół młodzieży, które nie chciały dać się wcielić do zmonopolizowanej *Hitlerjugend.* Jakiemi sposobami prowadzono śledztwo i wymuszano zeznania, to jest w Niemczech publiczną tajemnicą, choć oczywiście odezwać się z tem głośno nie wolno.

Wystarczy powiedzieć, że zamiast sędziów śledczych, jak się to praktykuje w każdem praworządnem państwie, użyto do tych procesów ad hoc zorganizowanego oddziału tajnej policji, której sposoby wydobywania „prawdy" z oskarżonych są aż nadto dobrze znane.[2]) A cokolwiek bądź skandalicznego udało się na tej drodze wydobyć na wierzch, to brukowe pisma hitlerowskie, mające na celu walkę z Kościołem, jak *Das schwarze Korps, Der Stürmer* i inne rozdmuchiwały do ogromnych rozmiarów, opatrywały szpetnemi ilustracjami i roznosiły po całym kraju, pozwalając

---

[1]) Niedawno oświadczył w kole zaufanych i Dr. Goebbels: *Den deutschen Katholizismus werden wir kleinkriegen 1) durch Dewisenprozesse 2) durch grossaufgezogene Sittlichkeitsprozesse 3) durch Untergrabung des Vertrauens der katholischen Bevölkerung zu ihrer kirchlichen Führung.*

[2]) W zakładzie dla umysłowo chorych lub niedorozwiniętych chłopców, który w Waldbreitbach prowadzi osobna kongregacja Braci, pociągano do świadczenia idjotów i kretynów i to w sprawie faktów, które miały mieć miejsce nie świeżo ale na przestrzeni lat dziesięciu

sobie przytem na złośliwe wycieczki przeciw moralności katolickiej wogóle wziętej, przeciw prawu kościelnego celibatu, przeciw zakonnym ślubom itp.

Metoda oczywiście nie jest nowa, bo już za czasów Juljana Apostaty niejednokrotnie praktykowana, ale chyba niewiele było przykładów w dziejach, żeby posługiwano się nią z taką zawziętością i perfidją. Ta sama nienawiść, która systematycznie wywraca przydrożne krzyże, która piętnuje i gnębi każdy publiczny objaw kościelnego życia, która krępuje na każdym kroku katolicką swobodę, ta sama nienawiść wiedzie i tym sposobem to, co słusznie świeżo nazwano *ein Vernichtungskampf gegen die Kirche.* Ale w jednym punkcie pomylili się prześladowcy. Wbrew swoim zamiarom okryli oni Kościół nową aureolą męczeństwa. Bo chociażby tu i ówdzie wyszły na jaw jakieś rzeczywiste uchybienia, nad któremi Kościół pierwszy boleje i nad usunięciem których całą siłą pracuje, wysnuwanie stąd ogólnych wniosków o moralności duchowieństwa katolickiego lub zgromadzeń zakonnych jest krzyczącą niesprawiedliwością i najdotkliwszą krzywdą. Katolicy niemieccy dźwigają dziś tę krzywdę jak prawdziwą koronę cierniową, nie z hańbą, lecz z chwałą. Jest to tylko jedna, i bardzo bolesna część ich wielorakiego męczeństwa, które jednak nie może inaczej się skończyć, jak kończyło się od początków chrześcijaństwa „cierpienie zelżywości dla imienia Chrystusowego".

Innem polem, na którem dziś toczy się walka, w konsekwencjach swoich bardzo doniosła, jest szkoła.

Jak wiadomo, w przeważnej części krajów dawnej Rzeszy istniała po dziś dzień szkoła wyznaniowa i w konkordacie z r. 1933 obowiązał się rząd kanclerski wobec Stolicy św., że szkołę tę wszędzie, gdzie była wprowadzona, zachowa. Ale oczywiście nie mógł tego rodzaju system szkolny ostać się wobec zasady, którą narodowy socjalizm od pół roku zwłaszcza usilnie głosi i bardzo konsekwentnie w życie wprowadza: *Entkonfessionalisierung des Volkslebens.* W zbiorowem życiu narodu nie powinny żadne różnice wyznaniowe wychodzić na jaw, bo one burzą jednolitość społeczeństwa. To było powodem walki z katolickiemi zrzeszeniami młodzieży, to musiało doprowadzić do nagonki na wyznaniową szkołę.

Wobec tego lekceważenia podjętych zobowiązań i zawartych umów, jakiego rząd Trzeciej Rzeszy dał świeżo dowody, można było się obawiać, że wyznaniowa szkoła zostanie skasowana prostem rozporządzeniem wszechmocnego Führera. On jednak wolał w tym wypadku chwycić się innej drogi, prawdopodobnie dlatego, że zbyt otwarty *Kulturkampf* wzburza przeciw Niemcom opinję zagranicy, przedewszyst-

kiem Anglji, a rząd Hitlera jeszcze nie traci nadziei na uzyskanie angielskiej pożyczki. Postanowiono więc wywołać „ruch ludowy" przeciw wyznaniowej szkole, a jak się tego rodzaju „ruchy" wytwarza, tego dano przy tej sposobności klasyczny przykład. W jednych miejscowościach zwoływano wszystkich rodziców do ratusza i tam nakłaniano ich do zbiorowej akcji przeciw wyznaniowej szkole; w innych kazano nauczycielstwu obchodzić wszystkie domy wiosek i miasteczek z podobnem pouczeniem. A przy jednej i drugiej formie nacisku nie szczędzono objaśnień, że dzieci, których rodzice upieraliby się przy szkole wyznaniowej, nie dostaną później żadnej posady, że wyznaniowe szkoły, gdyby je w części musiano zachować, będą otrzymywać najmniej wartościowy personel nauczycielski, że wreszcie przeciwstawianie się wyraźnej woli wodza narodu może narazić upartych na różne represje.

Niema nic dziwnego, że takie „argumenty" były niestety skuteczne. W Würtembergji, gdzie tej niegodziwej robocie dano początek, zdobyto przeciw wyznaniowej szkole 92% głosów ludności; w Bawarji rezultat był mniejwięcej identyczny; teraz prowadzi się dalej ten „plebiscyt" po innych krajach. Ostrzeżenia Episkopatu nie odnoszą pożądanych skutków, bo oczywiście lękają się wszyscy dla siebie i swych rodzin zapowiedzianych represaljów. Można się więc spodziewać, że niezadługo już, gdy to „sondowanie opinji publicznej" dojdzie do końca, rząd kanclerski oświadczy, że kasując szkołę wyznaniową, nie występuje przeciw konkordatowi z własnej inicjatywy, ale ulega w tem jednomyślnej „woli ludu."

Ta gwałtowna laicyzacja publicznego życia, jaka dokonywa się w krajach Trzeciej Rzeszy przypomina pod wielu względami podobny proces, jakiego widownią była Francja pod masońskiemi rządami Combes'a. O ile jednak we Francji, mimo całego prześladowania, nie został naruszony zasadniczy porządek prawny, który pozwolił katolikom odbudować w innej formie zburzony ustrój kościelny i szkolny, o tyle w dzisiejszych Niemczech niema już prawa, które nie musiałoby ustąpić wszechwładnej woli dyktatora. Kto tej woli w jakikolwiek sposób się przeciwstawia, ten uchodzi *eo ipso* za wroga ojczyzny i naraża się na formalne prześladowanie. Praca organizacyjna katolików jako takich stała się w tej chwili niemożliwa albo musi prowadzić katakumbowy żywot. Położenie więc Kościoła stało się tak trudne, że przypomina już sowieckie stosunki. A jeżeli w zlaicyzowanych szkołach i związkach wyrośnie młode pokolenie, któremu zupełnie obcą będzie idea, że prawdziwa wiara i w publicznem życiu przejawiać się musi, to mimo całego bohaterstwa katolikow

niemieckich, mogą przyjść na nich bardzo smutne chwile. Wolno jenak wierzy i ufać, że zanim to nastąpi, Bóg weźmie sprawę swoją we własne ręce.

Wśród tych przeróżnych państw jednej i drugiej półkuli, które ostatniemi czasy przechodziły niebezpieczne wstrząsy, na trudnym zakręcie swej dziejowej drogi znalazła się świeżo i Belgja. Po 52 latach zwycięskiej kampanji wyborczej, w wyborach z 24 maja i 7 czerwca partja katolicka jako taka doznała po raz pierwszy dotkliwej porażki. Jeśli w r. 1932 na 2,235.203 ważnych głosów otrzymali ich katolicy 904.561, t. j. 38·74%, co zapewniło im na ogólną liczbę 187, 79 mandatów, to w roku obecnym na 2,360.021 ważnych głosów zdobyli oni głosów tylko 675.483, t. j. 28·6%, co dało im na ogólną liczbę 202, tylko 63 mandaty. Przegrana jest więc bardzo znaczna, bo wyraża się ona stratą okrągło 230.000 głosów i 16 mandatów i to nawet nie biorąc w rachubę pokaźnego wzrostu liczby głosujących. A jeśli w dodatku weźmie się pod uwagę, że głosowanie w Belgji jest obowiązujące pod karą, to sam przez się narzuci się wniosek, że w usposobieniu narodu dokonał się bardzo poważny zwrot i to zwrot tak nagły, że do ostatniej chwili możliwości jego nie brano wcale w rachubę.

Żeby z natury tego zwrotu zdać sobie sprawę, musimy stwierdzić, że straty poniesione przez partję katolicką nie wyszły bez reszty na korzyść lewicowych obozów. Bo chociaż liczba głosów oddanych na komunistów podskoczyła z 65.905 na 143.234, to socjaliści stracili jeszcze więcej niż komuniści zyskali, bo z 869.486 spadli tego roku na 757.437 a podobne, choć proporcjonalnie nieco niższe straty poniósł obóz liberałów. W każdym razie są więc nieuzasadnione przechwałki Kominternu, że buduje się na Zachodzie Europy jeden front czerwony, ciągnący się do Madrytu poprzez Paryż do Brukselli, bo suma głosów oddanych skrajnej lewicy jest tego roku stanowczo mniejsza niż lat temu cztery.

Cóż się więc stało i czem tłumaczyć katolickie straty?

Oto stało się to, że pod wpływem agitacji nacjonalistycznej zdobyli sobie o kilkadziesiąt tysięcy głosów więcej t. zw. frontyści, t. j. separatyści flamandzcy (ze 130.419 podskoczyli na 166.427) ale przedewszystkiem to, że pojawiła się nagle na widowni zupełnie nowa partja t. zw. rexystów, którzy zdobyli sobie odrazu 271.347 głosów i 21 mandatów. Nie kto inny tylko rexyści ponoszą odpowiedzialność za porażkę katolików; oni w ostatniej chwili zmieszali całą grę wyborczą, rzuciwszy na szalę bardzo umiejętną a ożywioną agitację, która zjednała im zupełnie nieprzewidziane sukcesy.

Kim są rexyści i do czego dążą?

Zdania o tym nowym obozie, nawet wśród katolików, są bardzo różne i konsekwentnie różnie grupują się sympatje. Jedni uważają ich za stronnictwo arcykatolickie — wyraz *rex* jest remanentem z dewizy *Christus rex*, noszonej przez stowarzyszenie młodzieży katolickiej w Belgji — inni stawiają im zarzut, że porzuciwszy dziedzinę religijną i zeszedłszy na teren czysto polityczny, wespół z innowiercami, których w swe szeregi przyjmują, prowadzą akcję, Kościołowi katolickiemu raczej szkodliwą.

W rzeczywistości są rexyści przedewszystkiem partją młodą i partją młodych; są jednem z tych licznych w całej Europie ugrupowań młodzieży, które z tych lub owych powodów, zrażone do starszego pokolenia, szukają nowych dróg w politycznej, a zwłaszcza społecznej dziedzinie. Wyłonili się oni z partji katolickiej, ale od pół roku mniejwięcej wyodrębnili się od niej zupełnie, a nawet weszli z nią a konsekwentnie z Episkopatem w ostry konflikt.[1]) Dążą oni do wprowadzenia korporatywnego ustroju i konsenkwentnie do decentralizacji władzy państwowej, choć oświadczają się z drugiej strony za trwałym i kompetentnym rządem. Są zdecydowanymi przeciwnikami przerostów parlamentaryzmu i dlatego — *signum temporis* — chcą ograniczyć jego rolę do funkcyj ustawodawczych i do uchwalania budżetu, a trwanie sesyj do dwóch miesięcy na rok. Są też bardzo przeciwni dyktaturze czyto jednostki czy partji, choć z drugiej strony rozumieją potrzebę stronnictw opozycyjnych i przyznają im prawo jaknajdalej idącej krytyki rządu. Podejmują bardzo stanowczą walkę z kapitalizmem i starają się zapobiec proletaryzacji mas. Wypowiadają też wojnę kumulacji wynagrodzeń i wogóle nadmiernym uposażeniom czyto na stanowiskach rządowych czy w przemyśle. W polityce zagranicznej dążą do utrzymania pokoju, ale nie przez pacyfistyczne teorje, tylko przez wzmacnianie siły obronnej kraju i koordynację planów wojskowych naturalnych sprzymierzeńców Belgji.

Jak stąd widoczna, mają rexyści niewiele wspólnego z faszyzmem lub narodowym socjalizmem, choć notowano u przywódców tego ruchu kilkakrotne wyjazdy informacyjne do kierowników hitlerowskiej partji, a zbliżają się raczej do tego programu, wedle którego Salazar przeprowadza w Portugalji swą głęboko pomyślaną reformę ustroju. Ale jeżeli przeważna część zamierzeń rexystów za-

[1]) Z gwałtownem oskarżeniem rexystów wystąpił już w roku ubiegłym dawny ich kapelan Mgr. Pizard. Biskupi stanęli po stronie prałata i zakazali duchownym wszelkiej współpracy z tem stowarzyszeniem, zalecając kierownikom zakładów wychowawczych, żeby tę „zgubną agitację" trzymali zdala od swych uczniów.

sługuje na pełną pochwałę i zdaje się rokować najlepsze nadzieje, to są też pewne strony ich działalności, które budzą niemałe obawy. I tak przedewszystkiem nie była chyba wskazana secesja od starej, w tylu bojach wypróbowanej, katolickiej partji i rezygnacja z wyznaniowego charakteru młodego stronnictwa. Wyraźne przyznanie się do katolickich zasad dużo bardziej odpowiada życzeniom Kościoła, a przeciwnie dopuszczanie do partji innowierców, nawet, jak się to praktykuje u rexystów, na wybitniejsze stanowiska, może łatwo doprowadzić do skrzywienia czy zmącenia ideologji partyjnej. A powtóre całe wystąpienie nowego stronnictwa przy tegorocznej rozgrywce wyborczej miało cechę czegoś niezrównoważonego i niedość przemyślanego pod kątem widzenia dobra kraju. Wódz rexystów p. Leon Degrelle jest bardzo młody, bo liczy dopiero 28 lat; otoczenie jego jest równie młode i ta młodość odbiła się bardzo na całej imprezie. Czyż bowiem nie można było trochę odwlec wystąpienia na widowni publicznej, by przez ten czas lepiej skoordynować nowy program z zasadami katolickiej partji? Czy wypadało miotać na nią tak gwałtowne oskarżenia? Czy warto było wbijać ten klin w polityczne i społeczne życie narodu, zwłaszcza wobec rosnących wysiłków komunizmu? Przecież rexyści nie mogą chyba serjo liczyć na to, że cały kraj za sobą pociągną! A jeżeli się to nie stanie, jak rzeczywiście trudno tego się spodziewać wobec żywej pracy reorganizacyjnej, która rozpoczęła się świeżo w łonie innych stronnictw, cóż będzie nadal? Czy mają utrwalić się dokonane rozdziały i to wśród katolików, którzy dziś bardziej niż kiedykolwiek powinni iść razem?

Z wyborów belgijskich płynie więc zawsze ta sama nauka, której zaniedbanie zemściło się ostatniemi czasy na sprawie Bożej w różnych krajach, że zawiele jeszcze wśród katolików indywidualizmu, a zamało jednolitego kierownictwa i posłuchu. Nakazy Kominternu bywają najdokładniej wypełniane przez komunistów wszystkich krajów, a katolikom albo wogóle brak jednej dyrektywy, albo brak tego poddania, które zazwyczaj bywa rękojmią zwycięstwa. Trzeba więc życzyć sobie z jednej strony tego, by w programach stronnictw katolickich interes wiary jako takiej, zajmując miejsce bezwzględnie pierwsze, zdolny był wziąć górę nad wszystkiem, co mogłoby być przyczyną rozdziału, a powtóre, żeby w tych czasach „wodzów" i kultu dla wodzów, znaleźli się w obozie katolickim ludzie, umiejący pociągnąć tysiące. Jeśli różne oznaki nie mylą, ku realizacji tych postulatów zmierza już dzisiaj rozwój Akcji Katolickiej w wielu krajach.

Nie potrzeba było aż tak ogromnych manifestacyj, jakie w dzień Zielonych Świątek odbyły się w różnych stronach kraju, żeby zdać sobie sprawę z jakiejś potężnej, choć nie zawsze widocznej nazewnątrz fermentacji, jaka dokonywa się u nas w masach ludowych. W jednych okolicach mniej w innych więcej, ale wszędzie, rzec można, daje się odczuć jakiś niepokój, jakieś oczekiwanie a gdzieniegdzie już ciche wrzenie, jakie zwykło poprzedzać silniejsze przewroty. Wieś nasza jest wytrącona ze zwykłej spokojnej równowagi a tu i ówdzie wstrząśnięta już do głębi.

Oto np. jeden z wielu, list poważnego i kulturalnego włościanina, opisującego stosunki wiejskie w jednym z centralnych powiatów naszego kraju:

„Pięcioletni kryzys rolniczy, powrót robotników rolnych z Ameryki i z Francji spowodowały społeczny przewrót w arcykatolickim i arcyrolniczym powiecie naszym. Na zewnątrz niby cisza, spokój i fałszywe sprawozdania księży, nauczycieli, wójtów, sołtysów i policji państwowej do władz wyższych wzajemnie się okłamujących, ale wewnątrz, we wsiach, w rodzinach i w jednostkach uprawia się i przygotowuje grunt do przewrotu we wszystkich przejawach życia ludności katolickiej i polskiej. I tak, w sprawie religijnej — w każdej wsi, przy każdej okazji pada zgorszenie przeciw duchowieństwu katolickiemu, słowa obrzydłe, lekceważące i wyśmiewające wszelkie czynności księży, a rozpowszechnia się ciche czytanie książek, gazet broszur antyreligijnych i organizowanie sekt różnorodnych jak kościołów narodowych, badaczy pisma świętego, baptystów, marjawitów i t. p. Młodsze pokolenie mężczyzn zaprzestaje uczęszczać na praktyki religijne i nabożeństwa do kościołów w niedzielę i święta... We wsiach coraz szerzej rośnie bunt do księży, a nawet już groźba, że skoro wybuchnie w Polsce wojna, to będzie rewolucja i koniec z księżmi w Polsce, gorszy aniżeli w Meksyku, w Hiszpanji, a nawet w Rosji. W sprawie narodowej — pomiędzy ludnością wiejską panuje już gruntowne przekonanie, że wszystkiemu złemu w Polsce to nietylko już winien Rząd polski, urzędnicy, ale nawet sama Polska wolna; klną pocichu i bluźnią Polsce, mówią nieopisane potępienia Ojczyźnie... i nie dadzą nic wspominać o Polsce. Uroczystości narodowe wyśmiewają po wsiach i nie biorą w nich udziału masowo, jak dawniej. Jeżeli idą organizacje, to tylko pod przymusem, jak Straże ogniowe, Związki strzeleckie, szkoły i t. d. W sprawie rolniczej — organizacje rolnicze były przed wojną silne, a obecnie upadły. Kilka kółek rolniczych wegetuje na szyderstwo i politowanie powszechne, dwie składnice... i jedna współdzielnia... upadła, a chłopi klną na czem świat stoi na

urzędników, na inteligencję za przepadłe wpisowe, udziały i zyski".

Przytoczona tu informacja, malowana wyjątkowo czarnemi barwami, jest z pewnością w swym pesymizmie przesadna. Nietylko nie można jej uogólniać, ale można bez żadnej obawy błędu powiedzieć, że nawet w tym powiecie, o który konkretnie chodzi nie przedstawiają się tak źle stosunki ani pod względem religijnym, ani pod względem narodowym czy ekonomicznym. Jeżeli jednak ten list się zestawi z wielu innemi, jakie napłynęły do nas z różnych stron Polski, nie można obronić się wrażeniu, że lud nasz przechodzi obecnie głęboki kryzys psychiczny, który w jego własnych dziejach i dziejach kraju może pociągnąć za sobą bardzo doniosłe następstwa.

Że ten kryzys został w wielkiej mierze wywołany przez nieprawdopodobną nędzę, jaka dziś po wioskach naszych się sroży i przez komunistyczną czy komunizującą agitację, która żywem i drukowanem słowem ustawicznie wsiąka w nasze wioski — to rzecz zupełnie jasna. Obok tych przyczyn jednak, wpływających ujemnie, na owo podniecenie umysłów ludu składa się jeszcze jeden czynnik, który ani sam w sobie ani w swoich skutkach bynajmniej nie jest wyłącznie ujemny. Jesteśmy mianowicie świadkami czegoś, co dałoby się określiś jako żywiołowe budzenie się ludu do tej zbiorowej samowiedzy, której dotąd posiadał tak mało. Jeśli się porówna naszą wieś dzisiaj z tem, czem była jeszcze temu lat piętnaście, nie można nie spostrzec olbrzymiej różnicy. Pod wpływem niedostatecznie jeszcze rozpowszechnionej ale wogóle dobrej naukowo szkoły, pod wpływem rozwijającego się coraz bardziej czytelnictwa i pod cywilizującem działaniem przeróżnych organizacyi, pod bodźcem wreszcie biedy i różnych życiowych trudności, przebudziła się dzisiaj w daleko szerszym niż dotąd zakresie, śpiąca do niedawna i bierna inteligencja ludu. Trudno oczywiście ująć tę rzecz w jakieś cyfry, ale jest niezaprzeczonym faktem, że bardzo znaczny odsetek chłopów z różnych stron kraju nietylko już umie interesować się i obserwować, ale naprawdę myśli, naprawdę rozumuje i własne poglądy sobie wyrabia.

A cóż jest na dnie tej budzącej się myśli chłopskiej, co jest jej treścią i najgłębszem jej dążeniem?

Że niema tu mowy — żeby zacząć od dziedziny r e l i g i j n e j — o jakiemś masowem odstępstwie od wiary, to można powiedzieć z wszelką pewnością. Wiadomo nam dobrze, że w niejednem miejscu, czyto pod wpływem rosyjskich czy z Francji przybyłych komunistów, czyteż pod niegodziwem, zbrodniczem działaniem „Błysków Wolnomy-

ślicielskich", powstały ośrodki bezbożnictwa tak w środkowej Polsce, jak zwłaszcza na wołyńskich i białoruskich kresach; wiadomo nam również, że dość licznie są rozsiane po całym kraju, drobne zresztą ogniska zakaźne czyto kościoła narodowego czy rozmaitego sekciarstwa i że po tych ogniskach zazwyczaj pozostaje w zarażonych wioskach bardzo smutna moralna i religijna zgnilizna; wiadomo nam wreszcie, że w pewnych przemysłowych okolicach, gdzie rozwielmożniły się bardziej socjalistyczne wpływy, zmniejszyła się frekwencja do kościołów i osłabły praktyki wiary. Ale to wszystko, o czem wspominamy, to mniejszość nieomal że znikoma. Olbrzymia większość naszego ludu trzyma się i zdecydowanie chce się trzymać Kościoła. Ten lud nietylko wypełnia po brzegi swe parafjalne kościoły, nietylko odprawia pobożne pielgrzymki do różnych miejsc świętych, nietylko uczęszcza do Sakramentów wogóle dużo częściej niż raz do roku, ale bierze żywy udział w rozmaitych organizacjach katolickich i religijnych, prenumeruje w ogromnych ilościach katolickie pisemka, z ubóstwa swojego składa względnie hojne ofiary na religijne cele, a nieraz pozytywnie i skutecznie przeciwstawia się propagandzie bezbożniczej czy sekciarskiej. Z wielu miejscowości mamy niezmiernie pocieszające wiadomości o gorliwej i umiejętnej pracy ludu w Akcji Katolickiej i o ślicznym rozwoju stowarzyszeń Katolickiej Młodzieży. I owszem, nawet w takich środowiskach, które stoją pod zgubnym zresztą wpływem „Wici" czy innych podobnie radykalnych pisemek, daleko do tego, by wiara była na wymarciu. Są oczywiście jednostki, które tę wiarę straciły, jest grupa doktrynerów, która z niewielkim coprawda skutkiem, usiłuje zamiast chrześcijańskich, wprowadzić starosłowiańskie obrzędy i święta, są dość powszechne a niestety niezawsze bezpodstawne żale do duchowieństwa, głównie na materjalnem, rzadziej na politycznem podłożu, ale doprawdy niema w szerszych rozmiarach jakiegoś odstrychnięcia się od chrześcijaństwa i nic nie zapowiada go w bliskiej przyszłości. Potrzeba jeszcze naszemu ludowi jak zresztą i inteligencji, dużo większego uświadomienia wiary, ale samej tej wierze nie zdaje się grozić niebezpieczeństwo, chyba żeby w szerszym zakresie pojawiły się te smutne fakty, które mogą lud od Kościoła odstręczać.

Pod względem społecznym usposobienie ludu też nie daje podstawy do jakiegoś zbytniego pesymizmu. Chłop oczywiście czuje swą biedę i pragnie poprawy bytu, pragnie przedewszystkiem tej ziemi, z którą jest związany całą mocą odwiecznych umiłowań, ale wogóle daleki jest od tej gwałtownej zazdrości i nienawiści względem posiadających, jaką miewa proletarjat miejski i robotniczy. Kwestja socjalna na

wsi to jest stosunek do dworów, a ten stosunek ostatniemi laty uległ raczej polepszeniu. Z bardzo wielu okolic Polski słyszymy jedno i to samo, jak lud mieszkańcom dworów okazuje zaufanie i życzliwość, jak nie stroni od współpracy, jakiej niezwykłej szlachetności i delikatności daje dowody, gdy widzi ziemian w trudnem materjalnem położeniu, jak, sam ubogi, potrafi cierpliwie czekać na należne sobie wypłaty, gdy widzi, że nie zła wola, ale niemożliwość je opóźnia. Ma się wrażenie, że gdyby po stronie ziemian było jeszcze trochę więcej zrozumienia i ludu i nowych chrześcijańskich zasad społecznych — wiadomo nam zresztą, że jest w tym kierunku zwrot dość pomyślny — to stosunki na wsiach mogłyby ułożyć się doskonale i głosiciele wywrotowych haseł nie znaleźliby wiele posłuchu. W każdym razie trzeba stwierdzić, że te niezmiernie ciężkie czasy, jakie nasza wieś przechodzi, rzuciły nowe światło na prześliczne przymioty, któremi polski chłop góruje nad wieśniakami wielu innych narodów, na jego cierpliwość, łagodność, szlachetność, dobroć serca, które stanowią w nim materjał do bardzo wysokiej duchowej kultury.

Stosunek do Rządu przedstawia się niestetety o wiele gorzej. Chłop jest głęboko zrażony do sfer rządowych, nietylko tam, gdzie stoi pod wpływem opozycji politycznej, ale, rzec można, wszędzie. Ranią go nietakty bezdusznego fiskalizmu, irytuje go to niesłychane u nas rozwielmożnienie biurokracji, która w swoich najniższych, więc najmniej inteligentnych przedstawicielach, z jakimi wogóle chłop ma do czynienia, bywa wprost nieznośna; boli go do głębi duszy niedostateczna troska o interesy ludu i zbyt mała pomoc w przedsięwzięciach, któremi sam próbuje się podźwignąć. Niestety bywa, że ta niechęć do Rządu, przeradza się i w niechęć do Polski. Pomimo wszystko co stara się robić w tym kierunku i nowa szkoła i popierana z góry pewna forma zrzeszeń, spontanicznego patrjotyzmu jest w naszym ludzie niestety jeszcze niewiele. Jeżeli, jak świeżo oświadczył obecny Premjer, „w swojej pracy dla Polski chce się Rząd oprzeć przedewszystkiem na chłopach, w których jest najwięcej utajonej energji i siły“ — to potrzeba będzie jeszcze bardzo wielkiej i bardzo rozumnej pracy, żeby tego chłopa naprawdę pozyskać. A praca ta czyto w szkole czy w organizacjach czy na terenie politycznym czy gdziekolwiek indziej, byłaby nietylko daremna ale szkodliwa, gdyby dokonywała się bez Kościoła a tembardziej wbrew Kościołowi. Z czynników oddziaływujących na chłopa polskiego katolicyzm jest dotąd siłą bez porównania największą; struna wiary w duszy chłopa dźwięczy dotąd silniej niż wszystkie inne, byłoby więc to błędem niedodarowania, gdyby w pracy

nad ludem chciano tę siłę ignorować, albo jej przeciwdziałać. Błędy w tej mierze już popełnione zemściły się na naszem zbiorowem życiu fatalnie. Jak w wielu kierunkach słyszeliśmy od nowego Rządu bardzo obiecujące zapowiedzi i jak widzieliśmy już z jego strony różne szczęśliwe poczynania, tak pragnelibyśmy się doczekać i tego zwrotu, żeby skończyła się na dobre ta cicha albo i jawna opozycja do Kościoła, jaka panowała dotąd w szkolnictwie albo w organizacyjnej pracy, bo taka opozycja wszędzie ale zwłaszcza u nas, niczego dobrego nie przyniesie, a wyrządzi nieobliczalne szkody.

Ale po tych wszystkich uwagach możnaby zapytać: cóż jest wreszcie treścią tej fermentacji, która, jak wspomnieliśmy wyżej, dokonywa się w umysłach chłopskich?

Można na to pytanie odpowiedzieć jedno tylko: tem hasłem, które lud w tej chwili najgłębiej porusza, tą ideą, która w umyśle jego najsilniej się krystalizuje, jest zasada: chłop sam! Nie chce on już żadnych opiekunów czy przewodników na drodze do politycznych czy społecznych celów; poczuł on już swą liczbę i przeczuł możliwą do zdobycia siłę, dlatego ponad wszystkie inne głosy, ten jeden do przekonania mu przemawia: niech chłop sam o sobie radzi, niech własnym interesem się kieruje, dla osiągnięcia swoich celów, niech jaknajszerzej i jaknajjednoliciej się organizuje, a potem przyszłość sama się ułoży. Jak ma konkretnie wyglądać program owego wielkiego ruchu chłopskiego ze strony religijnej, politycznej, społecznej, ekonomicznej i t. d., to nawet w obrębie poszczególnych ugrupowań nie jest ustalone, ale postulat, żeby lud polski sam o sobie stanowił i zapowiedź dla Polski ludowej jakieś *farà da se* budzi ogólny i potężny entuzjazm. Temu hasłu zawdzięcza Witos popularność, której ogromne rozmiary można było ocenić przy sposobności świeżego ludowego święta; hasło potrafi poprostu elektryzować tłumy, jak tego dowodem są lub były czyto budowa Orkanowego uniwersytetu w Gaci, czy manifestacje Zielonoświątkowe, czy owe obchody w Nowosielcach, które wódz siły zbrojnej narodu swą obecnością uświetnił i niejako zalegalizował.

Że wobec mnóstwa dodatnich elementów, jakie jeszcze tkwią w naszym ludzie, ten żywiołowy pęd do samostanowienia o sobie i zdobycia władzy w narodzie, może być dla kraju zbawienny, to zdaje się wątpliwości nie ulegać. Zapewne że przemieni się dzięki niemu ekonomiczne, a więc socjalne i kulturalne oblicze wsi polskiej, ale nic nie zmusza do mniemania, żeby ten ruch w każdym razie miał pociągnąć za sobą zgubne dla Ojczyzny następstwa. Oczywiście jednak pod tym warunkiem, że masy ludowe, do dziś je-

szcze niezdecydowane co do konkretnego programu działania, nie pójdą w większości na lep programów religijnie i socjalnie wywrotowych. Gdyby to przebudzenie ludu, jakiego jesteśmy świadkami, poszło w tym kierunku, to jest gdyby owładnęły naszemi wioskami bolszewicka nienawiść i bolszewicka bezbożność, to naturalnie byłby to koniec prawdziwej Polski, tej, do której należy cała przeszłość i która jedynie może mieć prawo do odegrania wybitniejszej roli w przyszłych dziejach świata.

Powinno to więc być zgodnym wysiłkiem wszystkich, którym przyszłość Polski leży na sercu, żeby ten potężny ruch przebudzenia ludowego, który zahamować się żadną miarą nie da, ustrzec od bezdroży, a poprowadzić na właściwe tory. Mają w tej mierze ogromne zadania i Kościół i Rząd przez zgodną pracę kilku ministerstw i ziemiaństwo i całe to piśmiennictwo, które do ludu dochodzi lub sprawy jego omawia. Trzebaby wszelkiemi siłami się starać, żeby dobrobyt ludu, choćby pewnym kosztem innych warstw społecznych podnieść i nie wystawiać go na pokusy zbytniego rozgoryczenia, trzebaby dać mu więcej tej oświaty, której tak namiętnie pragnie, i w tym względzie nie możemy nie przyklasnąć świeżo rzuconemu projektowi zdrowych uniwersytetów ludowych,[1]) trzebaby bardzo intensywnej propagandy dobrej literatury, a ochraniania wiosek naszych od takiej zarazy, jaką sieją czyto „Błyski Wolnomyślicielskie" czy inne podobne pisma o bolszewickiem ideowem podłożu; trzebaby wreszcie prawdziwą życzliwością tak ze strony Rządu i jego organów, jak ze strony przedstawicieli Kościoła i dworów podtrzymywać i budzić w ludzie te wszystkie dobre myśli, nastroje, które mogą go skierować na dobrą drogę. Często głoszone hasło: „frontem do wsi" ma dzisiaj wprost ogromną wagę. Ale, jak wspomnieliśmy wyżej, jeżeli ta praca nad ludem nie będzie się dokonywać w pełnej harmonji z Kościołem, to może tylko powiększyć chaos; jeżeli będzie miała jakikolwiek inny cel, jak dobro samego ludu, nie może mieć widoków powodzenia. Byłoby wię bardzo wskazane, żeby ludzie dobrej woli zastanawiali i porozumiewiali się często jak pokierować i skoordynować tę robotę, od której zależy, czy przebudzony lud stanie się w Polsce nową twórczą siłą, czy też narzędziem wielorakiej ruiny.

W ubiegłym miesiącu czerwcu obchodziła archidiecezja warszawska podniosłe i budujące chwile. Kończące się 30 maja półwiecze święceń kapłańskich Najdostojniejszego Arcypasterza dało sposobność tak Duchowieństwu, jak

[1]) Prof. Kołaczkowski w *Marchołcie* z kwietnia bież. r. str. 413 i nn.

Wiernym do złożenia u stóp Czcinajgodniejszego Jubilata wyrazów hołdu i synowskiego przywiązania. Za przykładem Ojca św. Piusa XI, który raczył wziąć udział w obchodzie tej rocznicy przez piękne i ciepłe breve, wszystkie klasy społeczeństwa z rzadką doprawdy jednomyślnością otoczyły swojego Pasterza jakby wieńcem gorących życzeń i dowodów czci najgłębszej. Wbrew wszystkiemu, co robili u nas przeróżni wrogowie prawdy, żeby jedność kościelną zmącić i rozerwać, stare określenie Kościoła: *plebs secerdoti adunata et pastori suo grex adhaerens* ziściło się w całej pełni. Czuło się gorącą i niekłamaną wdzięczność społeczeństwa za długie lata mozolnej pasterskiej pracy. Bo też, kiedy na publicznych akademjach, albo przy licznych mniej głośnych życzeniach, różni mowcy roztaczali obraz pięćdziesięcioletniej działalności Dostojnego Jubilata, każdego musiał ogarnąć szczery podziw nad tem życiem tak pełnem trudu i poświęceń na różnorodnych a tak bardzo ważnych polach. Całe szeregi ludzi kościelnych wyrobionych, całe mnóstwo świątyń odnowionych lub dźwigniętych, bardzo wiele dzieł katolickich rozpoczętych i rozwiniętych. Akcja Katolicka wspaniale rozbudowana i dla jej potrzeb świeżo wzniesiony z fundamentów ogromny dom katolicki — oto kilka zaledwie luźnych szczegółów z tej niezmordowanej, Bożej pracy, która wypełniła po brzegi półwiecze kapłaństwa. Jeszcze w tej chwili przybyły do plonów tej pracy dwa głęboko pomyślane listy pasterskie: jeden do ogółu wiernych o niebezpieczeństwach grożących wierze, drugi do kierowników i alumnów seminarjum diecezjalnego ustanawiający dla tej instytucji nowy statut.

Nic więc dziwnego, że jubileusz Jego Eminencji wywołał ze wszystkich stron gorące życzenia: *ad multos, ad plurimos annos!* Do tych życzeń przyłącza się całem sercem i Redakcja naszego pisma, składając u stóp Najdostojniejszego Jubilata uczucia głębokiej wdzięczności za stale okazywaną łaskawość oraz wyrazy serdecznego hołdu.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Związek Harcerstwa Polskiego.

Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 8 kwietnia 1936 r. Związek Harcerstwa Polskiego został uznany za stowarzyszenie wyższej użyteczności z przywilejem wyłączności działania na obszarze całego Państwa w dziedzinie organizowania i prowadzenia pracy harcerskiej (skautingu) t. j. pracy wychowawczej wśród młodzieży przy pomocy zespołu środków wychowawczych, obję-

tych metodą skautową Baden-Powell'a i w oparciu o prawo i przyrzeczenie harcerskie.

Równocześnie, zarządzeniem tejże Rady Ministrów, został Związkowi H. P. nadany statut, obowiązujący od dnia ogłoszenia w *Dzienniku Ustaw R. P.*, które nastąpiło 20 kwietnia 1936 r. (Nr. 28, poz. 228), tak że już ostatni Zjazd Walny Z. H. P. we Lwowie (23 i 24 maja b. r.) odbył się na zasadach nowego statutu.

Celem Związku H. P. — według statutowego określenia — jest wychowanie metodami harcerskiemi dzielnych, prawych i zdolnych do poświęceń ludzi w myśl Przyrzeczenia i Prawa Harcerskiego — przygotowanie młodzieży do świadomej, czynnej i ofiarnej służby dla Państwa Polskiego, opartej na Jego umiłowaniu i żołnierskiej gotowości do Jego obrony, bezinteresowności, karności obywatelskiej i honorze — wprowadzenie zasad ideologji harcerskiej do życia publicznego — oraz pomoc w pracy harcerskiej polskiej młodzieży poza granicami kraju i współdziałanie z międzynarodowym ruchem skautowym.

Art. 5 Statutu stwierdza wyraźnie, że wychowanie młodzieży harcerskiej opiera się na zasadach etyki chrześcijańskiej, a za podstawę ideologji harcerskiej uważa przyrzeczenie pełnienia całem życiem służby Bogu i Polsce oraz prawo harcerskie, które w dziesięciu punktach ujmuje najważniejsze rysy charakteru harcerza od sumienności, miłości bliźniego, poznawania przyrody i karności począwszy, a kończąc na wewnętrznej pogodzie ducha i na czystości w myśli, mowie i uczynku łącznie z zobowiązaniem do niepalenia tytoniu i niepicia napojów alkoholowych.

Ustrój Związku Harcerstwa Polskiego jest pomyślany w ten sposób, że z młodzieży wchodzą do organizacji z tytułem członkowskim i z prawami wyborczemi — obok harcmistrzów (instruktorów), działaczy harcerskich i członków współdziałających — tylko t. zw. starsi harcerze (po ukończeniu lat 18, względnie szkoły średniej), podczas gdy młodsi harcerze oraz t. zw. zuchy (do lat 11) należą do Związku tylko w charakterze pozbawionych praw wyborczych uczestników.

Najwyższą władzą Związku, decydującą ostatecznie w sprawach ideowych harcerstwa, jest zwoływany co trzy lata Zjazd Walny, który wybiera spośród harcmistrzów, harcmistrzyń, działaczów i działaczek harcerskich 24 członków do Naczelnej Rady Harcerskiej, a ta zkolei wyłania spośród siebie Naczelnictwo w składzie: Przewodniczącego Z. H. P., dwóch Wiceprzewodniczących, Naczelnika Harcerzy, Naczelniczki Harcerek, Sekretarza Generalnego, Skarbnika, Kierownika Działu Zarządów Okręgów i dwóch członków oraz wybiera w uzgodnieniu z J. Em. Kardynałem Kakowskim, jako Ordynarjuszem siedziby Związku, Naczelnego Kapelana. Nadto zasiada w Naczelnictwie dwóch przedstawicieli Ministerstwa W. R. i O. P., a niezależnie od tego we wszystkich posiedzeniach organów Z. H. P. ma prawo uczestniczyć z prawem

veta delegat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wyznaczony w porozumieniu z Ministrami W. R. i O. P. oraz Spraw Wojskowych.

Zgodnie z uchwałą pozjazdowego posiedzenia Naczelnej Rady Harcerskiej, Przewodniczącym Z. H. P. pozostaje na dalsze trzechlecie wojewoda śląski, dr. Michał Grażyński, a Kapelanem Naczelnym — ks. Marjan Luzar.

Rozczłonkowanie Związku na dwie odrębne gałęzie rozpoczyna się z bezpośrednio podporządkowaną Naczelnikowi Harcerzy Główną Kwaterą Harcerzy oraz analogiczną Główną Kwaterą Harcerek, podlegającą Naczelniczce Harcerek, które zkolei wykonywują władzę nad męskiemi i żeńskiemi komendami Chorągwi, te zaś nad komendami Hufców, te wreszcie nad mieszczącemi się na ich terenie gromadami zuchowemi, drużynami harcerskiemi oraz starszoharcerskiemi kręgami.

Działalność tych, parzysto rozczłonkowanych, odgałęzień (Chorągwie, Hufce) harcerstwa męskiego i żeńskiego na podstawie terytorjalnej koordynują Zarządy Obwodów, pokrywających się zasadniczo z powiatami, oraz Zarządy Okręgów, uzgodnianych, o ile możności, z granicami województw. — W ten sposób, mimo dość skomplikowanej organizacji, Związek H. P. zachowuje spoistość oraz sprężystość działania.

Równolegle do naszkicowanego powyżej rozczłonkowania Związku na jednostki organizacyjne jest również zorganizowane duszpasterstwo harcerskie. Już Statut Z. H. P. przewiduje stanowisko Naczelnego Kapelana, zasiadającego w Naczelnictwie, oraz Kapelanów Okręgów. Szczegółowem zaś rozbudowaniem opieki duszpasterskiej we wszystkich szczeblach organizacji zajmuje się Regulamin Kapelanów Harcerskich, ułożony i wprowadzony tytułem próby w r. 1928, ostatecznie zaś aprobowany i zatwierdzony w r. 1935 przez J. Em. Księdza Kardynała A. Kakowskiego i kompetentne władze harcerskie.

Metoda wychowania harcerskiego nosi charakter wybitnie samowychowawczy, zgoła przeciwny ideałowi potulnego członka organizacji, któryby tylko się ograniczał do sumiennego zachowywania jej przepisów oraz biernego poddawania się wpływom wychowawcy. Obok stopni instruktorskich, harcmistrza i podharcmistrza oraz niezobowiązanego do przestrzegania Prawa działacza harcerskiego, istnieje cały system harcerskich sprawności i stopni, a ideałem harcerza jest nie samo tylko wierne „trwanie" w organizacji ani sumienne „uczęszczanie" na zebrania i zbiórki, lecz czynne, przedsiębiorcze i samodzielne zdobywanie stopnia po stopniu, sprawności po sprawności aż do osiągnięcia wyrobienia Harcerza Rzeczypospolitej. W programach prób, którym każdy poddawać się musi, jest uwzględniony wszechstronnie cały zakres uświadomienia i wyrobienia pożytecznego członka społeczeństwa, od najpraktyczniejszych sprawności codziennego życia począwszy, a kończąc na pełnem wykształceniu społecznem i obywatelskiem.

Zdobyciu oraz wszechstronnemu ugruntowaniu wspomnianych sprawności służy przyjęty powszechnie w skautingu system zastępowy, polegający na zespołowej współpracy grup po 6—10 członków przez cały system umyślnie w tym celu układanych gier czyli t. zw. harców, opartych na motywie współdziałania i współzawodnictwa, a przeprowadzanych — o ile możności — na łonie przyrody.

Wspaniałym pokazem metod pracy harcerskiej, a jednocześnie świetnych jej wyników, był Jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego, urządzony na 25-lecie Związku w dniach od 11 do 25 lipca 1935 r. w Spale. Szczegóły tej imponującej imprezy podała prasa codzienna. Dlatego tylko ze względu na pewne oszczercze napaści co do strony religijnej Zlotu należy zaznaczyć, że była ona zorganizowana i postawiona na należytym poziomie. Poza Kapelanem Naczelnym, ks. Luzarem i Kapelanami Zlotu Harcerek — ks. Stanisławem Nowickim oraz Zlotu Harcerzy — ks. Lechem Ziemskim każdy podobóz posiadał osobnego kapelana. Ogółem było na Zlocie 59 kapelanów polskich, 17 węgierskich, 6 słowackich i 1 łotewski — razem 83 kapłanów katolickich, którzy przy 16 ołtarzach, wystawionych na terenie obozu, odprawili ponad pół tysiąca Mszy św. oraz rozdali przeszło półtora tysiąca Komunij św., nie licząc szeregu kazań i gawęd religijnych. W niedzielę zaś, dnia 21 lipca, na Jasnej Górze tysięczne zastępy polskich harcerzy z Przewodniczącym Z. H. P. woj. Grażyńskim, Naczelnikiem Harcerzy A. Olbromskim, hm. Marją Wocalewską i hm. Tadeuszem Strumiłłą na czele, przed uroczystą Mszą św. i kazaniem J. E. Księdza Biskupa Kubiny, złożyły jako votum w imieniu Związku Harcerstwa Polskiego duży, czterodecymetrowy srebrny krzyż Harcerza Rzeczypospolitej z napisem na srebrnym ryngrafie: *Królowej Korony Polskiej w podzięce za otrzymane w ciągu swego pierwszego dwudziestopięciolecia łaski harcerstwo polskie składa — 21. VII. 1935.* — Podniosła ta manifestacja, w czasie której setki harcerskiej młodzieży przystąpiły do św. Sakramentów, stała się precedensem do Jasnogórskiej Pielgrzymki Akademików. Fakt ten jako miarodajny wyraz prawdziwego nastawienia samego Związku H. P. względem publicznej manifestacji katolickich przekonań podkreśliło samo Naczelnictwo Z. H. P. w swoim rozkazie do harcmistrzyń, harcmistrzów, działaczek i działaczy harcerskich z dnia 11 czerwca 1936 r.

Powyższego oświadczenia, popartego nadto przez Naczelnictwo powołaniem się na religijne tradycje harcerstwa oraz na powagę całych zastępów kapelanów, pracujących w harcerstwie z woli wyższych władz kościelnych, nie leży bynajmniej w interesie katolickim lekceważyć ani pomawiać o nieszczerość nawet po ostatnich — istotnie niebardzo szczęśliwych — wystąpieniach we Lwowie. Zbyt dużo wkładu ideowego i swej rzetelnej pracy włożyli w harcerstwo kapłani tej miary, co ks. Lutosławski, ks.

Skorupka, O. Jacek Woroniecki i całe zastępy innych, oraz zbyt dużo ich ideowego dorobku żyje dotychczas w umysłach i sercach harcerzy, by można z czystem sumieniem spychać tę piękną i tyle obiecującą organizację na tory Legjonów Młodych i Straży Przednich!

Przytem należy nie zapominać, że jest to organizacja potężna, licząca w swoich szeregach blisko ćwierć miljona polskiej młodzieży w kraju i na wychodztwie. Według *Sprawozdania Naczelnej Rady Harcerskiej* za rok 1935 liczy Związek 103.471 harcerzy i 62.429 harcerek w kraju, a do tego dochodzi 40.459 harcerzy i 31.510 harcerek zagranicą, co daje w sumie 237.869 młodzieży i to w znacznej mierze wyborowej, decydującej się dla ideowych pobudek na uciążliwe i krępujące częstokroć przestrzeganie prawa.

Należy pamiętać, że jest to organizacja wpływowa, obejmująca wszechstronnie potrzeby młodzieży, że bierze ona ją pod swe wpływy już w wieku dziecięcym i ma ambicję już nie wypuszczać jej aż do lat dojrzałych, że wreszcie przez rozbudzanie osobistej ambicji w zdobywaniu sprawności i stopni, przez tygodniowe zbiórki, przez psychologiczne podejście, przez obyczajowy wpływ letnich i zimowych obozów posiada wpływ niemal decydujący na rozwój rozumu i serca. W samym tylko 1935 r. odbyło się na terenie Polski 1938 obozów i kursów, a w tem 858.351 harcerzodni t. j. dni spędzonych pod wyłącznym wpływem organizacji!

Troska o zdrowy kierunek tego rodzaju organizacji winna ze strony katolickiej być tem większa, że niemal wszystko, co w sylwetce harcerza jest szlachetnego i ujmującego, co ku niej pociąga sympatje młodzieży oraz starszego społeczeństwa, wywodzi się z religji i etyki chrześcijańskiej.

Dlatego też z drugiej strony dla samej harcerskiej idei byłoby to stratą i szkodą nieobliczalną, gdyby w dalszym ciągu miało potrwać usuwanie się od pracy w harcerstwie wytrawnych i zasłużonych dla organizacji katolickich działaczy duchownych i świeckich wraz z równoczesnem nasileniem słabych dziś jeszcze dążności laicystycznych, socjalizujących i zgruntu sprzecznych z ideologją harcerską.

Pojawiających się tu i ówdzie dążności w tym kierunku nie należy kłaść zgóry — jak się to czasem czyni — na karb złej woli władzy harcerskiej. Należy zrozumieć cały splot okoliczności, które się na to zjawisko składają, a których ujemny wpływ dopiero z czasem będzie mógł być odkryty i zniwelowany.

Jako stowarzyszenie wyższej użyteczności, korzystające z wydatnej pomocy państwowej, odczuwa Związek H. P. zobowiązanie otwarcia wstępu do swoich szeregów jak najszerszym rzeszom młodzieży, różniącej się często swemi przekonaniami i dążnościami na wielu punktach. Stąd dążność do utworzenia jak naj-

szerszej platformy ideologicznej, któraby mogła stanowić podstawę swego rodzaju „solidaryzmu" czyli porozumienia najbardziej nawet skrajnych obozów. Redaktor zamieszczanej w *Słowie* wileńskiem kolumny harcerskiej *Na harcerskim tropie* usiłował tę płaszczyznę porozumienia aż tak rozszerzyć, by pomieściła razem harcerza-narodowca i harcerza-komunistę.

Oczywiście, w tym wypadku ów tolerancyjny „solidaryzm" osiągnął szczyt swego absurdu. Wspólna platforma ideologiczna wskutek takiego rozszerzenia stawała się coraz cieńsza, coraz mniej rzeczywista, coraz bardziej niezdolna zjednoczyć naprawdę swych zwolenników oraz stanowić skuteczną tamę przeciwko grożącym zboczeniom i odchyleniom od punktów nawet najbardziej zasadniczych. Nic więc dziwnego, że jeszcze przed wymówieniem miejsca ze strony redakcji *Słowa*, samo Naczelnictwo musiało położyć kres doktrynerskiemu „solidaryzmowi" i zakazać dalszego wydawania kolumny *Na harcerskim tropie*.

Szerokie też pole dla pewnych niewczesnych pomysłów daje w harcerstwie planowane obecnie wciągnięcie w jego szeregi młodzieży wiejskiej i robotniczej. Zwłaszcza ze względu na tę ostatnią wysuwa się żądanie przyswojenia harcerstwu radykalnego programu społecznego, w szczególności zaś uzupełnienia dotychczasowych punktów prawa hasłem: *Harcerz jest pracowity i szanuje ludzi pracy,* opatrzonem interpretacją: „Harcerz stara się wykorzystywać każdą okazję, by zrobić coś wartościowego — i szanuje pracę innych. Swą pracę zawodową wykonywa chętnie i sumiennie, a poczuciem twórczej jej wartości czuje się związany z wszystkimi ludźmi pracy umysłowej i fizycznej."

Autorem i prawie jedynym obrońcą powyższych „poprawek" ideologji harcerskiej jest młody i bardzo zdolny harcmistrz, Juljusz Dąbrowski, ulegający — niestety — dość bezkrytycznie wpływom socjalistycznym. Ta ostatnia okoliczność z konieczności musi nieufnie nastrajać w stosunku do niego większość grona instruktorskiego, które zmuszone jest wciąż patrzeć mu na ręce i śledzić, gdzie się kończą uczciwe postulaty sprawiedliwości społecznej, a rozpoczyna zwykła partyjna demagogja klasowa, tak zasadniczo sprzeczna z ideologją harcerską, oraz czy pod pokrywką chrześcijańskich postulatów poszanowania pracy i pewnej szlachetnej dumy ze swego zawodu, zaznaczających się tak dobitnie choćby w nastawieniu belgijskiej *Jeunesse Ouvière Chrétienne* ks. Cardijn'a, nie kryje się pretekst do propagowania w harcerstwie wywrotowych idei socjalistycznych, z wielką oczywiście szkodą dla samego żądania uwzględnienia w wychowaniu harcerskiem momentów natury społecznej.

Żądaniu temu niepodobna odmówić głębokiej słuszności, której szczególną wagę nadaje konieczność przyjęcia jakiegoś programu społecznego dla Kręgów Starszego Harcerstwa, dotychczas dość słabo się rozwijających właśnie dla braku tego progra-

mu. W r. 1935 na 103.471 harcerzy i 3463 jednostek organizacyjnych liczyło męskie harcerstwo 2.565 starszych harcerzy w 131 kręgach. Stan ten jest tem bardziej uderzający, gdy się z nim zestawi 26.194 zuchów w 1222 gromadach w obrębie harcerstwa męskiego, a 41,795 w 1988 gromadach zuchowych, rozsianych na terenie całej Polski i na wychodztwie. Tak świetne wyniki kilkuletniej walki na froncie zuchowym nie mogą nie wpłynąć zachęcająco, gdy chodzi o przerzucenie natarcia na odcinek starszoharcerski, tembardziej że dzięki swemu uprzywilejowanemu stanowisku w Związku H. P. posiada on wszelkie dane do odegrania w nim donioślejszej roli.

Głęboki związek pomiędzy obecnem stadjum rozwojowem Związku H. P. a ostatecznem ukształtowaniem jego ideowego oblicza widoczny jest zresztą z wspomnianego już art. 5 Statutu, który przewiduje, że „Naczelna Rada Harcerska za zgodą władzy nadzorczej może ustalić inne sformułowanie zasad Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego dla zuchów i starszych harcerzy."

Także trzecia rezolucja XVI Zjazdu Walnego Z. H. P. we Lwowie „wzywa Naczelną Radę Harcerską do niezwłocznego przeprowadzenia rewizji komentarza do prawa Harcerskiego tak, aby nowy komentarz odpowiadał w pełni roli i potrzebom Harcerstwa Polskiego w dobie współczesnej"

Istotnie, w czerwcu b. r. otrzymały Kręgi Starszoharcerskie do przedyskutowania trzy projekty komentarza do Prawa, które następnie mają być omawiane na sierpniowym zlocie starszego harcerstwa nad jeziorem Narocz. Pierwszy z nich pomija zupełnie charakter chrześcijański harcerstwa, zagwarantowany w Statucie, drugi — jest zupełnie bezwyznaniowy, trzeci zaś, odwrotnie, może zbyt daleko idący w potępianiu ludzi od religji zdala stojących, tak że dopiero rzeczowa dyskusja umożliwi znalezienie właściwego wyrazu.

Cały splot różnych okoliczności i przyczyn złożył się na to, że Związek Harcerstwa Polskiego przeżywa dziś trudny i wielce poważny okres fermentacji i krystalizacji swych programowych wskazań. Wśród powodzi różnych pomysłów i różnorodnych nurtów ideologicznych z konieczności zdarzyć się muszą i mniej szczęśliwe pomysły i nurty mniej zdrowe. Lecz to nie może stanowić rozumnej podstawy, by się od Związku odsuwać lub ślepo w nim zwalczać każdą myśl postępową. Katolikowi nie wolno być nieobecnym tam, gdzie się rozgrywają sprawy tak doniosłe dla przyszłości religijnej Polski.

Szczególną jednak należy zwrócić uwagę na obsadę stanowisk kapelanów harcerskich. Lubo w niektórycy diecezjach sprawę tę zdołali już postawić Najdostojniejsi Arcypasterze na należytym poziomie, pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, jak na to wskazuje choćby stosunek ilości księży Kapelanów do ilości pla-

cówek otwierających się przy niemal wszystkich jednostkach organizacyjnych Z. H. P.

Chorągiew	Środowisk	Jednost. org.	Członków	Kapelanów
Białostocka	41	89	2923	4
Gdańska	9	26	647	2
Kielecka	20	54	1796	2
Krakowska	115	330	8697	33
Lubelska	98	217	6738	19
Lwowska	114	298	7972	22
Łódzka	56	230	7194	15
Mazowiecka	79	197	5923	14
Poleska	31	90	2260	15
Pomorska	149	283	7628	22
Radomska	47	130	3519	17
Śląska	169	449	2455	23
Warszawska	1	152	6598	5
Wielkopolska	208	474	16948	62
Wileńska	63	150	3756	7
Wołyńska	53	132	3820	21
Zagłębiowska	48	142	4367	9
Razem	1.301	3.463	103.141	292

Jeżeli mamy wierzyć powyższym obliczeniom, to uwzględniwszy nawet możliwość obsadzenia tą samą osobą kilku placówek, należy przyjąć, że nawet dziesiąta część istniejących stanowisk nie jest obsadzona!

Tak się przedstawia z końcem 1935 r. sytuacja w harcerstwie męskim. Nielepiej zapewne wygląda ona w harcerstwie żeńskim, gdzie się już nawet nie podaje wogóle w statystykach liczby kapelanów.

Na szczęście, można żywić nadzieję, że stan podobny długo nie potrwa. Dział duszpasterski *Sprawozdania Naczelnej Rady Harcerskiej* za r. 1935 podaje, że na dwadzieścia zakładów teologicznych w Polsce istnieje 16 kół starszoharcerskich seminaryjnych z 547 członkami, a nadto w trzech zakonach, zajmujących się wychowaniem młodzieży, działają 4 koła z 87 członkami. Razem więc przygotowuje się 634 kleryków do przyszłej pracy kapelańskiej.

Celem zapewnienia duszpasterskiej opieki polskiemu harcerstwu zagranicą nawiązano również kantakt z Seminarjum Zagranicznem w Potulicach, które w roku bieżącym urządza obóz letni dla 60-ciu alumnów w Dębkach nad morzem.

Podobne obozy i kursy urządza się rokrocznie zarówno dla X. X. Kapelanów jak i dla Kleryków. Obenie, w lipcu od 3

do 25 odbywa się kurs kapelanów harcerskich, na który wpłynęło 76 zgłoszeń ze wszystkich diecezyj. Bezpośrednio zaś potem, do 9 sierpnia odbędzie się analogiczny kurs kleryków, których zgłosiło się 86 z 16 kręgów starszoharcerskich. Ze względu na szczupłą ilość miejsc na kursach związkowych podobne kursy urządzają też pojedyńcze kręgi starszoharcerskie kleryków, jak np. doskonale prowadzony Krąg Starszoharcerski biskupiego Seminarjum lubelskiego, który w tym celu zorganizował letnią kolonję w Zemborzycach nad rzeką Bystrzycą.

Według *Regulaminu Księży Kapelanów* „ Kapelan środowiska, względnie drużyny: a) roztacza opiekę religijną nad młodzieżą środowiska względnie drużyny; b) bywa na zbiórkach harcerskich, przynajmniej raz na kwartał, miewa pogadanki na tematy religijne i moralne, o kościołach, klasztorach, zabytkach religijnych danej miejscowości i wogóle Polski, o obrzędach i zwyczajach religijnych i t. p. c) prowadzi rekolekcje, wygłasza konferencje dla młodzieży szkolnej i harcerzy, lub też urządza je osobno dla drużyn pozaszkolnych d) odprawia nabożeństwa i czuwa nad uczęszczaniem młodzieży harcerskiej na wspólne nabożeństwa i do Sakramentów świętych; e) stara się, aby młodzież harcerska uczęszczała na Mszę św".

Stosownie do tych przyszłych swych zadań stara się młodzież duchowna już wcześnie wniknąć w psychikę i ideologję harcercerską, by móc je w przyszłości przeprowadzić bez niepotrzebnych zgrzytów i tarć. Najdostojniejsi Arcypasterze oraz wyżsi Przełożeni zakonni swoją szczególną opieką otaczają i ułatwiają tę pracę, gdyż od niej w znacznej mierze zawisła religijność Związku Harcerstwa Polskiego.

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 11 lipca 1936 r.

Trwałe wartości politycznego drogowskazu Skargi.

„Rzecz daleką — taka bliska"
(Wyspiański — *Wesele*)

I. Odpowiedzialność wyżyn.

Przychodzimy na świat z pierwiastkami zła, i stale ono w ciągu całego żywota nam towarzyszy, usiłując w walce z dobrem szalę zwycięstwa przechylić na swoją stronę. Gdy też mówimy o naturze ludzkiej, zawsze raczej wyobrażamy ją sobie jako ułomną. Człowieka o wyrobionem sumieniu gnębi panoszące się na świecie zło, i jest on obowiązany zwalczać je nietylko w sobie, lecz i w otoczeniu. Obowiązek ten, moralnie ciążący na każdym z nas, szczególnie obciąża tych, którzy mają specjalny tytuł do właściwego ustosunkowania się do zła. Jeżeli chodzi tu o wielkie wymagania w stosunku do siebie, przedewszystkiem, to dotyczą one najbardziej tych, którzy z racji swego stanowiska odpowiedzialnego mają niejako posłannictwo — innym świecić przykładem: do nich zaliczamy zarówno tych, którzy z zawodu powołani są do uczenia oraz wychowywania (duszpasterze, nauczyciele), jak i wszystkich tych, którzy pełniąc funkcje kierownicze, posiadają też poniekąd zadania wychowawcze, skoro zmuszeni są nietylko rządzić, pilnować a nieraz karcić, lecz i uczyć. Ludzie, którzy dążą do wysokich stanowisk, lub je piastują gwoli jedynie nasycenia swej próżności oraz żądzy władzy, gwoli uzyskiwania dochodów, zaszczytów i beztroskiego życia, zazwyczaj nie uświadamiają sobie poważnych obowiązków oraz odpowie-

działności, które są tem cięższe, im wyższe jest stanowisko, i dają dowody wielkiej płytkości umysłu oraz niskiego poziomu etyki. Rozumiał to Mickiewicz, już jako 20-letni filomat, gdy pisał: „Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi broń... Im kto wyżej stąpił, w większy trud się wprzęga". To trzymanie wysoko sztandaru oraz zachowywanie się z godnością niezbędne jest nietylko celem niedyskredytowania piastowanego stanowiska, lecz i wogóle dla dobra sprawy, której się służy. O ile więc pierwsze zadanie dotyczy konieczności niefolgowania sobie, drugie — tegoż w stosunku do podwładnych. Piękną cechą jest wyrozumiałość, ma bowiem podłoże etyczne. Przeciwnie — pobłażliwość (o ile ona pochodzi ze słabości charakteru i nieudolności), która ukazuje się przeważnie na tle oportunizmu, niedbalstwa, szukania taniej popularności, jest oczywiście karygodna. Ona też w zależności od terenu, okoliczności, zakresu spraw i ludzi powoduje demoralizację, rozprzężenie a nawet anarchję. Dlatego też, potępiając wszelkie wykroczenia w życiu prywatnem lub wogóle popełnione przez jednostki nieodpowiedzialne, szczególne wymagania musimy stawiać tym, na których ciąży większa lub mniejsza odpowiedzialność, i od których całego postępowania oraz poszczególnych posunięć zależne bywają losy nietylko jednostek, lecz większych zrzeszeń i organizmów. Najpoważniej oczywiście sprawa się przedstawia, gdy tym organizmem jest państwo. Ono to przez swe prawa oraz ich wykonawców posiada nieograniczone możliwości w kierunku wychowawczym: źle jest, gdy te możliwości są wyzyskiwane w sposób jednostronny z ogromną oczywiście szkodą dla społeczeństwa i państwa. I tu znów powiemy, że dla dobra ogólnego minimalną szkodę wyrządza luzem idący a zły obywatel w porównaniu z tą, jaką wyrządzić mogą złe, tj. niesprawiedliwe prawa lub władze, nie stojące na wysokości zadania, a tembardziej, gdy jedno łączy się z drugiem. Ogromne znaczenie wychowawcze bezpośrednie posiadają mądre prawa, niemniejsze zaś może, lecz już pośrednie, posiada ścisłe i uczciwe przestrzeganie ich oraz szanowanie przez tych, co są powołani do ich

ochrony. Smutne jest zjawisko, gdy obywatele, nie widząc z góry pod tym względem dobrego przykładu, stosunek swój do praw oraz do władz ustalają jedynie pod przymusem fizycznym. Smutne jest też, gdy postępowanie wyższych jest takie, że nie mogą one mieć prawa moralnego do stawiania niższym jakichś żądań, lub ich upominania, gdyż te mogłyby zareagować powiedzeniem — *medice cura te ipsum!*

II. System polityczny Skargi na tle epoki.

Powyższe uwagi, nie związane ani z miejscem, ani z czasem, i posiadające znaczenie ogólne, mogą być zastosowane do okresu, w którym żył i działał Piotr Skarga — zastosowane, oczywiście w tym celu, aby stwierdzić, że prawno-polityczny stan rzeczy w ówczesnej Polsce był zaprzeczeniem tych postulatów, któreśmy przed chwilą wyłożyli. Okres Kochanowskiego i Skargi, znany w historji literatury pod nazwą złotego i będący epoką wielkiego rozkwitu literatury i rozpędu w całym ruchu kulturalnym, współczesna szlachta uważała niezawodnie za odpowiednik do bardzo już znacznego rozwielmożnienia się złotej wolności. Kto tak rozumował, a filozofję swą życiową opierał na egoistycznem upajaniu się swobodą oraz na przedkładaniu spraw osobistych sprawom ogólnym („a co mnie do Rzeczypospolitej, kiedy mnie źle") chwilowo mógł czuć się dobrze, lecz wartość etyczna takiego obywatela była znikoma, nawet negatywna, a przecież Polska posiadała krocie podobnych hedonistów politycznych, i oni niestety rej wodzili. Nietylko jednak dla nas dzisiaj, lecz i dla światłych umysłów XVI w. ze Skargą na czele, ówczesny stan kultury umysłowej a złota wolność stanowiły zjawiska biegunowo przeciwne, jedno bowiem było tytułem do wielkiej chwały, drugie zaś objawem upadku w tej dziedzinie prawno-politycznej i obyczajowej, która, wywodząc się z etyki, opiera się na niej lub z nią koliduje. [1]) Ta pieczołowicie przez naszych przodków-samolubów chro-

[1]) Skarga w sposób następujący przedstawia istotę złotej wolności: „Wszyscy się wolnością szlachecką bronią, wszyscy ten płaszcz na swe zbrodnie kładą i poczciwą a złotą wolność w nieposłuszeństwo i we wszeteczność obracają. O piękna wolności, w której wszystkie

niona złota wolność kryła wszak w sobie wielką obłudę — to nieodrodne dziecię egoizmu —, tolerując bowiem samowolę jednych, pozbawiała praw do normalnego życia innych, równocześnie zaś zawierała pierwiastki rozkładu społecznego i politycznego, który po upływie dwóch wieków miał narzucić niewolę na cały kraj, nie wyłączając i tych którzy byli spadkobiercami duchowymi owych obłudnych liberałów XVI wieku.

Nauki polityczne, zawarte w „Kazaniach Sejmowych" — bo te jedynie będą przedmiotem naszych rozważań —, skierowane są pod dwojakim adresem: tych, od których, z tytułu ich stanowiska, roli i wpływów w państwie najwięcej można i należy żądać, oraz — ogółu obywateli, od których właściwej postawy całość i dobro państwa są również zawsze bardzo uzależnione. Wobec tego, że ton nadaje góra i wielką wagę stanowi wszystko, co stamtąd pochodzi, bądź dodatnie bądź ujemne, i że również u Skargi ta dziedzina stanowi przedmiot jego szczególnych trosk, my do niej zredukujemy tu swe zainteresowania.

Jeżeli drzewo źle rodzi lub usycha, źródło choroby tkwi częstokroć w korzeniach. Skarga zdawał sobie sprawę, że usterki w rządzeniu zdarzają się zawsze i wszędzie. Dlatego też poszczególne objawy ujemne zbytnio nie obchodziły go, gdy jednak coraz wyraźniej występowały rysy na całości gmachu państwowego, uważał za konieczne sięgnąć do głębi i zbadać, czy się sam fundament nie chwieje.

Linja wytyczna, jaką poprzez całe *K. S.*[1]) nasz Kaznodzieja kroczy i zasadnicze swe myśli około naprawy ogólnych prawnych podstaw państwa snuje, jest bardzo prosta i jasna.

Wychodząc z założenia, że fundamentem każdej społeczności jest sprawiedliwość i wołając (jakby

---

swowolności i niekarności panują, w której mocniejszy słabsze uciskają, w której Boskie i ludzkie prawa gwałcą, karać się nie dadzą ani królowi, ani urzędom" — (*Kaz. sejm.* I, 241—2. Tu i nadal cytujemy według II wydania prof. Chrzanowskiego, Warszawa 1912; druga cyfra oznaczać będzie stronice).

[1]) Nadal będziemy skrótu tego używali, mówiąc o *Kazaniach Sejmowych*.

powodowany wzniosłą zazdrością), że szczęśliwe jest to królestwo, w którem ona panuje, Skarga jako pierwsze jej źródło wymienia, oczywiście, sprawiedliwe prawa. Winny one być „wszytkim pożyteczne, ...chwały i czci Boskiej ochraniające". Prawa złe i niesprawiedliwe Skarga charakteryzuje dosadnie, jako „złość szczerą" (V, 314; VII, 351), skoro podważają one podstawy bytu państwa. Biorąc zaś motto z Izajasza („Biada tym, którzy stawią prawa nieprawe..."), stwierdza, że chorobą, która gubi państwo, są złe i niesprawiedliwe prawa, z powodu których ludzie, a przedewszystkiem ubodzy i uciśnieni o pomstę do Boga wołają. Poparcie dla tego poglądu znajduje też w przytoczonych następnie słowach św. Augustyna, że królestwa, które nie rządzą się sprawiedliwością, „rozbójstwem nazwane być słusznie mogą" (VII, 345, 351). Skardze nie chodzi tu o prawa, które kiedyś mogły być mądre a przeto i pożyteczne, lecz przy zmienionych warunkach przestały czynić zadość potrzebom państwa. Takie, powiada, „dla odmiany ludzkich obyczajów odmieniać się mają, aby miast pożytku, szkody wielkiej nie czyniły" (VII, 360—1). Przecież „sam P. Bóg prawa stare Nowym Zakonem odmienił". [1])

Szczególnie godne są potępienia prawa, świadomie i celowo nastawione na czyjąś szkodę: „które też prawo jednej stronie albo jednemu stanowi służy, a drugiemu wadzi, nie ma być prawem nazwane" (VII, 351). Prawa nasze zawierały wiele braków, powiedzmy normalnych, jak np. przepisy przestarzałe (jak wyżej) i t. p., lecz prawdziwą naszą tragedją był fakt, że prawa, a więc czynnik, powołany do normowania życia w państwie na podstawie zasad bezwzględnej sprawiedliwości i etyki, wchłaniając w siebie pierwiastki partykularyzmu, same sankcjonowały bezprawie. Parafrazując myśl Platona, że mniejsze zło sta-

[1]) Za rządów Zygmunta III stosunek do praw złych czy przestarzałych był wielce bezceremonjalny; zamiast powodować zmiany w nich lub całkowite ich zniesienie, obchodzono je. Tkwiło w tem postępowaniu oczywiście wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ naruszało podstawowe zasady prawne; stosowanie pewnej metody nielegalnie, w celach nawet dobrych, umożliwiało podobne praktyki dla celów również partykularnych.

nowi zbrodnia, popełniona przez jednostkę, aniżeli złe prawo, które szereg zbrodni powoduje, Skarga uważa, iż takie prawo gorsze jest od „nasroższego" tyrana, ten bowiem może się poprawić, zresztą umrzeć, wtedy zaś wraz z nim ustają jego rządy, gdy przeciwnie złe prawo „zawżdy trwa, zawżdy zabija i szkodę czyni i na duszy i na ciele... miasto pomocy, dla której wszytki się prawa stawią". Wielki też grzech pada na sumienie tych, co taki stan rzeczy tolerują, zresztą dowodzi to wielkiego uporu i głupoty z ich strony; podobni są też, jak obrazowo wyraża się Skarga, do ludzi, którzy nie mogą wydostać się z błota, w które wpadli (VII, 355, 361).

Na ubóstwo w zakresie ustawodawstwa naogół uskarżać się nie mogliśmy. Narzekania naszych ówczesnych polityków w tym też kierunku nie szły, dotyczyły natomiast moralnej ich wartości oraz systematyczności. Skarga nawet występuje przeciw obfitości praw: nie mnóżcie ich, raczej skrzętnie przy ich układaniu rozważajcie, aby były zgodne z prawami Boskiemi i ludzkiemi — następnie dbajcie, aby były wykonywane (VII, 362). Tutaj podeszliśmy do drugiego zasadniczego warunku, od którego realizacji uzależniony jest stan sprawiedliwości w państwie — a więc kwalifikacyj tych, których zadaniem jest praca nad układaniem praw, a przedewszystkiem wykonywanie ich oraz przestrzeganie, aby im zadość się stawało. Tymczasem wielką bolączką naszego ustawodawstwa przy jego zetknięciu się z życiem było to, że pozytywna jego część (pod względem prawno-etycznym) nieraz stawała się martwą literą z powodu braku egzekucji. Prawa zawsze zdane są na łaskę i niełaskę wykonawców — wtedy zaś stale doznawały niełaski.

Rozumiejąc dzisiaj, jak wiele w państwie zależy od właściwego doboru władz wykonawczych oraz ustawodawczych, żądamy od nich wiedzy — a więc przygotowania, fachowości. Skarga określa to jako mądrość; winna jej towarzyszyć prostota, obie zaś oczywiście nie mogą iść w parze z obłudą. Sprawy rządzenia, powiada Skarga, ujmujemy dziwnie niepoważnie. Jeżeli bowiem Faraon domagał się, aby nawet jego pasterze bydła byli „dowcipni", to czyż ludzie

nie zasługują, aby ich nie oddawano pod władzę osobom nieroztropnym oraz nieumiejętnym. *Wielkie to rzemiosło ludzie rządzić, a jakoż je umieć ma ten, który się go nie nauczył* (I, 250—1). Aby więc posiadać kwalifikacje do rządzenia i być doń dopuszczonym, niedość chcieć tego, ujawniać jaki taki spryt, lub umieć wyzyskać wpływy i protekcje. Jeżeli mądrość niezbędna jest przy rządzeniu, tem bardziej wraz z „biegłością, umiejętnością i nabożeństwem" musi być wymagana przy układaniu praw: „na to obierano ludzie w prawach uczone i w rządzeniu ludzkim doświadczone" (VII, 354). Niełatwa jest też droga, prowadząca do mądrości. A więc konieczna jest tu lektura dzieł historycznych (skoro są one *magistrae vitae* – cudze doświadczenia), przestawanie i rozmowy z ludźmi mądrymi oraz słuchanie ich rad. Aby jednak posiąść należyte kwalifikacje do rządzenia, wszystko to jeszcze nie wystarcza. Patrząc też na rzeczy realnie, Skarga żąda nadto myślenia, praktyki i długiego doświadczenia (I, 252—3). Czujemy jednak, że i na tem poprzestać nie można. Tem bardziej musiał to czuć Skarga, rzecznik tej wielkiej Nauki, która zawiera najwznioślejsze i nieprzemijające prawdy etyczne. Żąda więc cnoty osobistej a przedewszystkiem oczywiście od tych, co prawa układają (VII, 355). Naogół też nie jest prawdziwie mądry człowiek, pozbawiony prostoty i skromności, a więc zarozumiały. Sprzeczne jest więc z mądrością „górne i wysokie o sobie, bez wstydu i mierności rozumienie, które pospolicie tam bywa, gdy młodszy starym i prostszy mędrszym nie ustępują, ani ich słuchają" (I, 248). Zdarzają się i tacy mądrzy ludzie, którzy zadanie swe traktują jedynie pod kątem widzenia materjalistycznym, „którzy mają mądrość ziemską... iż mają rozum tylko na dostawanie i zatrzymanie i rozmnożenie dóbr świeckich doczesnych; i w ziemi wszytek ich rozum zostaje, nie oglądając się na wieczne i przyszłe, aby do nich doczesnych nakręcali... Taką mądrość mają politycy dzisiejszy, którzy nauczają panów i królów, aby... o ludzkie zbawienie nie dbali i dla niego nic nie czynili" (I, 238). [1])

[1]) Miejsce to wraz z całością zagadnienia przenikliwie skomentował prof. Chrzanowski (w rozprawie, dołączonej do wydania *K. S.*

Sprawa, którąśmy przed chwilą omówili, a mianowicie dotycząca moralnych kwalifikacyj ludzi, powołanych do „stanowienia" oraz wykonywania praw, ma ścisły związek z bolączką, na którą się uskarża nasz kaznodzieja, a mian. ze złą egzekucją praw. Rzadziej — jak wiadomo — pochodzi to z nieudolności lub niedbalstwa, częściej natomiast ze świadomej nieuczciwości. A tymczasem prawo „żadnego pożytku nie niesie, które się dobrą egzekucją i pilnym wykonaniem nie opatrzy." Umiemy, powiada Skarga, wiele mówić i pisać, najmniej zaś czynić; również i prawa piszemy, jednak więcej tych, które następnie nie są wykonywane (VII, 353). Gdy tak czynimy, samiśmy sobie tyranami (II, 262). Ten wielki grzech w stosunku do porządku prawnego w państwie staje się szczególnie ciężki i karygodny, gdy dotyczy tolerowania bezprawia („niekarności grzechów jawnych"). Kto przyzwala, sam ma uczestnictwo w zbrodni. Bezkarność jest podwójnie szkodliwa — raz, że obraża prawo i komuś wyrządza krzywdę, powtóre zaś, że pobudza do dalszych zbrodni, działa więc demoralizująco (VIII, 365, 367).

Taka jest w streszczeniu i ujęta w pewien system najważniejsza bo państwowa część owego katechizmu politycznego, którego zasady Skarga wdrażał w sumienia zebranych na sejmie czynników rządzących i wogóle wpływowych. [1])

---

str. 92). Uczony nasz powiada, że „oprócz specjalnego przystosowania mieści się w tej definicji mądrości ziemskiej myśl szersza, doskonale znana historji: ta ziemska mądrość, to mądrość oportunistów politycznych wszystkich wieków, mądrość tych, co się w polityce kierują jedynie racją stanu, nie cofając się przed żadną zbrodnią, przed podporządkowaniem „zbawiennych potrzeb" „doczesnemu pokojowi"... a nadewszystko dla własnej korzyści". Słowa te, aczkolwiek pisane przed wojną wszechświatową, jakże świetnie mogą być zastosowane do czasów powojennych, szczególnie zaś obecnych. Nic dziwnego, mowa tu bowiem o polityce wszystkich wieków, a przecież życie uczy nas, że nakazy etyki są niezmienne, jak również i zło panujące na świecie, z tą jedynie różnicą, że gdy pierwsze, jako czynnik pozytywny, mogą z biegiem czasu doznawać większego pogłębienia, to drugie niestety doskonali się w swej szkodliwości i staje się bardziej wyrafinowane. Dowodów i przykładów moglibyśmy przytoczyć tu poddostatkiem.

[1]) Streszczenie to było dla nas niezbędne ze względu na dalszą konstrukcję niniejszego artykułu: chodzi o to, aby czytelnik miał je przed oczami, rozważając kwestje, które zostaną tu poruszone.

III. Polityka czy etyka.

Zakres omówionych przez nas spraw, które znalazły tak potężny wyraz w *K. S.*, oczywiście należy do dziedziny politycznej, czy jednak sam autor-kaznodzieja występuje tutaj jako polityk, i czy wogóle może być zaliczany do tej kategorji działaczy? Załatwienie tej kwestji jest ważne dla właściwego podejścia do stanowiska, zajętego przez Skargę w *K. S.*

Dzięki powyższym kwestjom, jako dotyczącym zasadniczych zagadnień państwowo-politycznych, *K. S.* poważnie zahaczają o literaturę polityczną i uzyskują w niej należytą pozycję — analogicznie do szeregu utworów Reja, Kochanowskiego oraz wielu poetów i prozaików, którzy, należąc, czy nie należąc, do liczby pisarzy politycznych, przemawiali spowodu różnych, nieraz nic wspólnego z polityką nie mających okoliczności (jak np. Kochanowski w swej *Odprawie posłów greckich*) w obronie ładu i porządku w państwie, wychodząc jednak z założenia nakazów nie tyle prawa, co etyki. Smutny stan rzeczy w w. XVI, powstały na tle zgangrenowania życia naszego przez t. zw. złotą wolność, powodował zjawisko, że cała ówczesna literatura nasza, nie wyłączając poezji, przesiąknięta była duchem dydaktyzmu etycznego.

Gdy filar naszej literatury politycznej, Modrzewski, w swych *Orationes de poena homicidii* zwalczał nierówność praw w zakresie karnym, przemawiał wyraźnie nie z innego stanowiska, jak tylko etycznego, uważał bowiem, że obowiązujący tutaj stan prawny, jak by powiedział Birkowski, jest „przeciwko Bogu i rozumowi przyrodzonemu uszykowany".[1]) O ile jednak Modrzewski był pisarzem politycznym, Skargi, tak jak Reja czy Kochanowskiego, do tej kategorji pisarzy nie możemy zaliczyć.

Zakres spraw, które interesują Skargę w *K. S.* i które powodują w nim taki ból, oraz sposób podchodzenia do nich jak również wnioskowania — wszystko to świadczy, że sprawy te obchodziły go z punktu widzenia obrazy, jakiej doznawała etyka, jakoże powinna być podstawą

[1]) Por. kazanie, wygłoszone na pogrzebie Skargi.

wszelkiej pracy, a tem bardziej tak ważnej, jaką jest państwowa. Słusznie zauważono, że z pojęciem rządu u Skargi ściśle łączy się moment etyczny, i że patrjotyzm jest dlań zjawiskiem moralnem [1]) — dodajmy tylko, że takie właśnie ujęcie patrjotyzmu czyni go nastawieniem przemyślanem i głęboko uzasadnionem, a przeto pozbawionem momentów jedynie uczuciowo-instynktowych, lekko przeradzających go w szowinizm. Postawa etyczna, tak poważnie wyłaniająca się z *K. S.*, jest tem gruntowniejsza, że stanowi *credo* życiowe zarówno mądrego i uczciwego obywatela, trzeźwo spoglądającego na bolączki, otaczające go a zarazem do głębi organizmu państwowego sięgające, jak i gorliwego kapłana, przez co w jednej osobie zespala się tem poważniejsze zrozumienie oraz odczucie krzywdy, jaka się działa z jednej strony prawom Boskim — z drugiej zaś — ludzkim. [2]) Polityka zewnętrzna w zainteresowaniach Skargi stoi raczej na uboczu, podobnie też arkana polityki wewnętrznej i jej szczegóły. W olbrzymim gmachu, do jakiego można przyrównać państwo, nie obchodzą go poszczególne tegoż kondygnacje oraz ich urządzenia,

---

[1]) T. Mitana. Religijność Skargi. Kr. 1922, str. 162, 180.

[2]) Jakkolwiek przypisujemy wielkie znaczenie tej okoliczności, że autor K. S. był kapłanem i że właśnie, jako taki, szczególnie był powołany do ujmowania zagadnień państwowych z punktu widzenia etycznego, większe bowiem, niż laik, miał możności do przestudjowania oraz przemyślenia właściwych zagadnień, nie uważamy jednak za słuszne postawienia danej kwestji tak, jak to czyni Mitana (*op. cit.* 168-9), powiadając, że „wielkie koncepcje hierarchji społecznej i równowagi, pojęte w duchu średniowiecznym, zaciążyły poważnie także na jego (t. j. Skargi) stosunku do zagadnień życia państwowego, nadając tem samem patrjotyzmowi jego swoisty koloryt". Wynikałoby stąd, że studja teologiczne oraz sfera, z której Skarga pochodził, nałożyły na jego myśli i poglądy pewną pieczęć. A tymczasem nie występował on z jakąś specjalną teorją, nie ujmował zagadnień państwowo-politycznych z punktu widzenia kościelnego; było to naogół naturalne stanowisko każdego mądrego obywatela, tylko w danym wypadku stanowisko to doznało z owych względów szczególnego pogłębienia. Zresztą cytowany autor skłonny jest przyznać Skardze w jego stanowisku wiele osobistych przeżyć, jak i to, że w jego psychice głęboko tkwiło umiłowanie zasady równowagi, którą przenosił on również na dziedzinę życia zbiorowego.

sięga natomiast swym umysłem do części nie tyle może widzialnej, co odczuwalnej — do fundamentu.[1])

Skarga oczywiście głęboko ufał, że o ile podstawy będą zdrowe, reszta ułoży się w sposób normalny. Chodziło mu o ratowanie tych podstaw w rządzeniu i w życiu, które mocno się chwiały i zagrażały całości.[2])

[1]) Mitana (*op. cit.* 161) dochodzi do wniosku, że poszukiwania teoretyczne nie nęciły Skargi; zbyt pochłonięty był sprawami społecznemi, aby miał czas na przemyślenie zawiłych problematów politycznych. Nie uważamy podobnego ujęcia sprawy za trafne, należy bowiem przypuszczać, że raczej cała struktura duchowa Skargi, jego nastawienie umysłowe i zresztą kierunek pracy, nie zaś jej obfitość, nie usposabiały go do zagłębiania się w tajniki polityki. Stwierdzając, że Skarga nie był skłonny przypisywać zjawiskom politycznym wartości samodzielnej i że ujmował je pod kątem widzenia moralnym i religijnym, M. uważa (str. 20—1), iż kto w ten sposób ocenia panujące zło, ten musi przejąć się goryczą, natomiast gdyby Sk. spojrzał na nie z rozleglejszej perspektywy historycznej oraz filozoficznie i psychologicznie, zdołałby sprowadzić zjawiska karygodne do przyrodzonych źródeł i sprężyn postępowania ludzkiego, mniejby się też dziwił, oburzał i byłby bardziej wyrozumiały. — Przy takiem jednak rozumowaniu etyka i zasady musiałyby kapitulować wobec natury ludzkiej. Gdyby też Skarga w ten sposób podchodził do właściwych zjawisk, albo całkiem nie układałby omawianych tutaj K. S., albo też nadałby im taki charakter, że dla nas straciłyby znaczną część swego znaczenia i uroku — nie byłyby więc tem, czem są. Ale też i sam M. zmuszony był poniekąd cofnąć się z zajętego przez się tutaj stanowiska, skoro przyznaje, iż przy powyższem podejściu do sprawy Skardze zabrakłoby może owej gotowości do walki ze złem. — Przyznajemy, że w podobnych wypadkach momenty natury psychologicznej oraz historycznej należy oczywiście uwzględniać, muszą one wszakże zajmować drugie miejsce po postulatach etyki. Zresztą wyrozumiałość, niezmiernie skądinąd cenny czynnik pedagogiczny, nie ma zastosowania wtedy, gdy wypada przemówić językiem stanowczym i zło z korzeniami wyplenić.

[2]) Zaliczenie Skargi do polityków lub imputowanie mu w K. S. stanowiska politycznego przypomniałoby zarzuty, jakie nieraz dzisiaj wytacza się naszemu duchowieństwu, gdy protestuje przeciw tym czy innym zjawiskom życia publicznego. A przecież czyni to jedynie w obronie pogwałconych zasad etycznych, co wypada zresztą czynić każdemu uczciwemu obywatelowi, a tembardziej gdy jest on jednocześnie kapłanem. Niema to nic wspólnego z wtrącaniem się do polityki. Czyni się owe zarzuty, aby zamknąć usta ludziom, których zdanie może być dla wielu miarodajne. Mieliśmy pod tym względem wiele przykładów, np. w dzisiejszych Niemczech duchowieństwo katolickie, występujące przeciw różnym zarządzeniom, niezgodnym z religją i etyką, pociąga się nawet do odpowiedzialności.

IV. Kwestja oryginalności kazań sejmowych.

Stwierdzenie celów, jakie sobie Skarga w *K. S.* wytknął, oraz jego stanowisko, które wychodziło z założeń etycznych, nie zaś politycznych, umożliwia nam wyrobienie sobie właściwego poglądu na kwestję, która szczególnie przy studjowaniu wybitniejszych utworów nasuwa się, a mian. co do oryginalności. Zadania, które nam w niniejszym artykule przyświecają, na tę dziedzinę właściwie nie rozciągają się, chcielibyśmy jedynie wypowiedzieć się za koniecznością stawiania powyższej kwestji na właściwej płaszczyźnie metodycznej, o ile się właśnie łączy z *K. S.* Jakkolwiek oczywiście absurdem byłoby zwalczanie możności stosowania do takich dzieł jak *K. S.* — przy badaniu danej kwestji — krytyki filologicznej, uważamy za właściwe uzbroić się tu przedewszystkiem w kryterja natury psychologicznej. Nie będziemy zresztą ukrywali, że zajęcie należytego w omawianej kwestji stanowiska musi nam wyświadczyć pewną przysługę przy ostatecznem precyzowaniu zasadniczej dla nas tezy, sprowadzającej się do ustalenia wartości *K. S.* na tle nie jednej epoki, lecz całych wieków.

Różnorakie bywają zjawiska, wywołujące nasze niezadowolenie oraz krytykę. Nieraz są takie, że wymagają fachowej oceny lub takiejże rady, gdy jednak zło pochodzi z nieposzanowania podstawowych praw, kierujących życiem narodów i społeczeństw, i pragniemy zwalczać je, uciekając się do argumentów natury etycznej, nie potrzebujemy sięgać do cudzych ksiąg i rad, a zarazem mieć pretensyj do absolutnej oryginalności. „Aby być wielkim moralistą, nie trzeba koniecznie tworzyć sobie oryginalnych systemów" trafnie zauważył prof. Windakiewicz.[1]) Również, gdy słyszymy coś mądrego pod względem życiowym, praktycznym, nie pytamy, jakie jest tego źródło, lecz jaki jest ciężar gatunkowy, i jaki może być z tego pożytek. Gdy pisarze nasi przemawiali w obronie podstawowych prawd życiowych, i gdy chodziło im o normalne ustosunkowanie się do życia, pierwszem źródłem dla każdego mogły być: własne obserwacje, zasady etyczne, przekonania, wiedza, patrjotyzm,

[1]) *Piotr Skarga.* Kr. 1925 str. 56.

zresztą panujące naokoło prądy. Cóż dopiero powiedzieć o Skardze, tym tak wyjątkowo czynnym działaczu, z szerokiem życiem ściśle związanym i świetnie z niem obeznanym oraz podchodzącym do jego potrzeb przy uwzględnieniu zarówno postulatów etycznych — przedewszystkiem —, jak i warunków realnych. Jak zaś bardzo słuszne i życiowe były przestrogi naszego Kaznodziei, dowiodły najbliższe i późniejsze nasze losy.

Jeżeli chodzi o meritum wykładanej przez Skargę nauki, to należy sobie zdawać sprawę, że nie zawiera ona rewelacji ani pod względem etycznym [1]), ani politycznym. Poruszana przezeń materja wymagała przedewszystkiem znajomości stanu rzeczy, nie zaś właściwej fachowości, nie dotyczyła też zagadnień specjalnych. Naukę swą kierował nie tyle do intelektu słuchaczy, co do ich sumień, tego naturalnego warsztatu pracy każdego duszpasterza — spowiednika — kaznodziei. Twierdzenia swe zresztą Skarga stale popiera cytatami z różnych źródeł, bynajmniej więc nie ukrywa swej absolutnej nieoryginalności; postępuje jednak tutaj analogicznie do tych, którzy wypowiadając poglądy, płynące z własnych przekonań, lubią popierać je czyimś większym autorytetem, gra on wszakże u nich uzupełniającą rolę argumentu, nie zaś źródła, z którego całkowicie czerpią w danym wypadku swą wiedzę. Krytyka filologiczna może tutaj czynić dociekania w zakresie architektoniki poszczególnych argumentów, pomysłów, zwrotów, jest to wszakże dziedzina, wykraczająca poza *meritum* nauki Skargi, nie mogąca też bez względu na te czy inne stwierdzenia, wpłynąć na nasze co do tego *meritum* ustosunkowanie się i będąca poza sferą naszych obecnych zainteresowań.

[1]) Skarga oryginalnego systemu nie posiadał, czerpał zaś z gotowej etyki kościelnej i stamtąd dobywał argumentów, których używał stosownie do chwili (Windakiewicz, *ibid.* 54,86).

Na przestrzeni wieków stale spotykamy się z tą czy inną reakcją pisarzy na podstawowe bolączki życiowe. W literaturze rzymskiej równoczesny niemal ze Skargą jubilat (w stosunku tylko 2000 do 400 lat), Horacjusz, narzekał na tolerowanie bezprawia oraz na upadek obyczajów, wobec których prawa są bezsilne (Quid tristes querimoniae / Si non supplicio culpa reciditur / Quid leges sine moribus, / Vanae proficiunt... Carm. III, 24 v. 33—6).

Przeciwnie, natomiast, krytycy, operujący na ogólnem szerokiem tle porównawczem, badając cały szereg pisarzy, którzy interesowali się tąż sferą zagadnień, co i Skarga, i bynajmniej nie zahypnotyzowani tą aureolą, którą otoczony doszedł Skarga do naszych czasów, musieli palmę pierwszeństwa jemu przyznać, a zarazem odsłonić tajemnicę tych szczególnych wartości, jakie zawierały *K. S.*, i dzięki którym ich autor tak bardzo wysunął się zarówno spośród współczesnych, jak i następnych w tejże dziedzinie działaczy.

Prof. Chrzanowski, kreśląc obraz dążeń etyczno-prawnych w okresie Skargi, stwierdza, że już kanonik gnieźnieński, Hier. Powodowski — którego można uważać za właściwego twórcę polskich *Kazań Sejmowych* (w r. 1595) — w jednem z kazań, wygłoszonych za Batorego, piętnował bolączki, które znalazły później tak stanowczego lekarza w osobie Skargi; Chrzanowski wspomina dalej o krytyce praw niesprawiedliwych ze strony Modrzewskiego oraz o wzmiankach, które w samych prawach znajdujemy, że z powodu braku egzekucji wzrasta zamęt; zaznacza zresztą, iż jedna z trzech zasadniczych myśli Skargi, że pomyślność narodu zakwitnąć może jedynie na gruncie moralności chrześcijańskiej wogóle a patrjotycznej w szczególności, jest zarazem jednym z najżywotniejszych i najpiękniejszych pierwiastków literatury naszej w XVI w. — przy tem wszystkiem uczony nasz nie waha się przyznać, że *nikt nie umiał tak ściśle zespolić idei moralności wogóle z ideą moralności patrjotycznej, ...nikt z taką siłą i mądrością nie uderzył na wszystkie bez wyjątku błędne pojęcia o miłości ojczyzny*, jak właśnie Skarga, i że wszystko, co było pięknego i wzniosłego w naszej literaturze wieku XVI *stopiło się* (w *K. S.*) *w jedną całość myślową i uczuciową.*[1]) Istotnie całkowicie uświadamiamy sobie, że Skarga nie odegrał tu roli niejako kompilatora cudzych myśli i uczuć, lecz że jego natchniona dusza instynktowo wchłaniała najwznioślejsze dążenia wieku i, zespalając je z podobnemiż swemi poglądami społeczno-etycznemi, wytwarzała mądrą, przeniknięta miłością ojczyzny całość. Również i w zakresie

[1]) Chrzanowski. *op. cit.* 20 sq., 152 sq.

czysto prawnym Skarga nie dał się wyprzedzić tym pisarzom, którzy chronologicznie wcześniej w tejże materji zabierali głos. Ważna jest też dla nas opinja, pochodząca od prawnika Bobrzyńskiego: otóż znakomity ten, niedawno zmarły uczony, stwierdził, że *pojęcie prawa, jego podstawę etyczną i społeczną Skarga określił i uzasadnił lepiej, niż wszyscy współcześni prawnicy.*[1])

W związku z tem, co wyżej zostało powiedziane o wyższości, jaką Skarga osiągnął w dziedzinie, w której nie pierwszy już występował, moglibyśmy przyrównać go do wielkich artystów-muzyków: mogą oni wykonywać utwory znane i nieraz przez innych odtwarzane, a jednak tyle z głębi swego natchnienia, uczuć oraz zrozumienia istoty utworu wydobywają, że wszystkich innych wykonawców prześcigają i na długo utrwalają w pamięci słuchaczy samą rzecz, pozostawiając ogólne niezatarte wrażenia. Artyści tacy stają się niejako tyranami swych słuchaczy — tyranem dusz był też Skarga. Jak atoli niejeden słuchacz, będący pod wrażeniem wykonania pewnego utworu muzycznego, pogrąża się łatwo w codzienną prozę życiową ze wszystkiemi jej bolączkami — tak i współczesna Skardze elita, której uwagę kaznodzieja trzymał w takiem naprężeniu, gdy kazał, i którą „tyranizował" siłą swych dowodów oraz uczuć, zbyt już była pogrążona w egoizmie, aby mądre jego rady zechciała w czyn wprowadzić. „Chwalą kazania, a żywota swego nie poprawiają" z bólem stwierdza sam Skarga.[2]) Podobne smutne wyniki oczywiście nawet w drobnym stopniu nie mogą osłabić ani wartości usiłowań Skargi, ani jego zasług zarówno wobec współczesnych, jak i potomności.

V. Drogowskaz Skargi na tle przyszłości dziejowej.

Gdy mówimy o potomności, mamy oczywiście przedewszystkiem na myśli własny naród, lecz nie całkowicie. Przecież bolączki publiczne, napiętnowane przez Skargę, oraz rady i upomnienia udzielane przezeń rodakom,

---

[1]) Bobrzyński. *Kazania Sejmowe Skargi*, 1876. (cytujemy według Chrzanowskiego, op, cit. 158).

[2]) Patrz. przedmowę Skargi do *Kazań na niedziele i święta* (1595).

dotyczą nie jakiejś ściśle lokalnej materji, lecz równie dobrze znajdującej zastosowanie na terenie ogólno-ludzkim. Nauki, pochodzącej od Skargi, nie powinni bylibyśmy więc sami tylko przywłaszczać, jakkolwiek jest dorobkiem naszej kultury. Chciałoby się też, aby nauka przysłowiowa o „mądrości po szkodzie", którą się zwykło aplikować do umysłów polskich, a którą mamy rozumieć w wąskiem, bo jedynie ujemnem znaczeniu, jako skłonność do otrzeźwienia po niewczasie, mogła być realizowana — i nietylko przez nas — w sensie również dodatnim, jako unikanie na przyszłość popełnionych już błędów.

Spójrzmy więc, jakże na tle zawartego w *K. S.* drogowskazu politycznego Skargi, wypływającego z podstawowych założeń etycznych, przedstawiają się dzieje w czasach następnych, szczególnie zaś w najbliższych dla nas. Wiemy już, jak to nasi krótkowzroczni przodkowie nieład, przez siebie w państwie wytworzony, obłudnie nazywali złotą wolnością. Dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności, gdy Polska, upojona a raczej zdemoralizowana ową straszną bolączką, miała ponieść ciężkie a tak przez Skargę trafnie przepowiedziane konsekwencje, i gdy ci, co swych współbraci pozbawiali praw, wraz z nimi wpaść mieli do niewoli sąsiednich mocarstw — rozpoczynała się *sui generis*, zarazem jednak w stokroć potworniejszą formę wylana, złota wolność we Francji, którą niosła jej t. zw. Wielka Rewolucja, słusznie dzisiaj przez niektórych francuzów nazywana dla krzywd, jakie temu krajowi wyrządziła, — anty francuską; ta rewolucja, którą nowocześni historjografowie francuscy przedstawiają, jako dzieło nieznacznej grupy zbrodniarzy, szalbierzy politycznych, elementów obcych, którzy pragnęli jedynie zagarnąć dla siebie władzę, a którzy zdołali ujarzmić naród bynajmniej przewrotu nie pragnący, w swej całości zdala od niej stojący i nawet ze zgrozą aczkolwiek niestety biernie wypadkom się przyglądający. Jak u nas obłudnie obnoszono hasło złotej wolności, tak i Wielka Rewolucja, pławiąc kraj we krwi, obłudnie proklamowała hasła wolności, równości i braterstwa. Idźmy dalej. Jakeśmy, niepomni wskazań Skargi, pieczołowicie strzegli ów egoistycznie pojęty klejnot w w. XVI od zakusów umysłów patrjotycznych i praworządnych, tak w dzisiejszej Francji,

niepomnej owych krwawych doświadczeń i ich haniebnych dla kraju skutków, na ustach republikanów, krótkowzrocznie poczytujących siebie za spadkobierców tej wielkiej krzywdy, jaka narodowi i jego kulturze — a powiedzmy nawet kulturze europejskiej — stała się w końcu XVIII w., wciąż tkwi hasło obrony zdobyczy owego tragicznego okresu, każdy zaś zdrowy odruch patrjotyczny, zmierzający do ukrócenia samowoli egoistów politycznych i wprowadzenia państwa na drogę naturalnego rozwoju, traktowany jest jako zamach na owe zdobycze.[1]) Analogiczne również zjawiska możemy niestety stwierdzić w innych też państwach, szczególnie zaś opanowanych przez pokrewne powyższemu systemy rządzenia, gdzie się chętnie lansuje hasła demokratyzmu, i liberalizmu, w gruncie rzeczy zaś hołduje się metodom autokratycznym, sprzecznym oczywiście zarówno z dobrem społeczeństwa, jak i tego państwa, którego interesom rzekomo tak gorliwie się służy.

Wiemy, jak doniosłe znaczenie przypisywał Skarga kwalifikacjom ludzi, powołanych do rządzenia. Oburzały go złe i niesprawiedliwe prawa, rozumiał jednak, że wszelkie zarzuty ogólne pod adresem samych praw kierowane, byłyby jałowe, i że źródła zła należy szukać wśród tych, którzy doń się przyczyniają. Jeżeli istota tego zła w prawach tkwiła nietyle w ich nierealności, co w niesprawiedliwości, a więc przedewszystkiem w partykularyzmie, to również i w czynnikach rządzących tkwiła nie tyle w ich nieudolności, ile w egoizmie stanowym a więc w nieuczciwości. Skarga szczególnie wrażliwy był na to, on, który występował w interesach całego narodu, co też obrazowo wyrażał słowami, że jest „posłem, ale z niejednego powiatu". Nie trzeba też być

[1]) Podobnie, jak W. R. — ta matka dzisiejszego ustroju francuskiego, a szczególnie układu stosunków politycznych, pełna była kłamstwa, obłudy oraz demagogji, zasłanianych płaszczykiem pięknych haseł, tak i jej dziecię stara się dotrzymywać jej kroku, zapominając, że posiada przedewszystkiem wspaniałe tradycje kultury łacińskiej. Jakże np. pogodzić z zasadami demokratyzmu oraz równości stałe usiłowania dzisiejszych francuskich polityków radykalnych, aby nie przyznawać kobietom praw wyborczych. A chodzi tutaj o to, aby ta część rodzaju ludzkiego, z natury bardziej umiarkowana i religijna, nie przechylała przy wyborach szali zwycięstwa na niekorzyść czynników radykalnych.

przenikliwym społecznikiem czy politykiem, aby i dzisiaj stwierdzać przy każdej niemal sposobności, przy każdem zetknięciu się z ludźmi i ze sprawami, do jakiego stopnia osoba wykonawcy ma nieraz większe znaczenie, niż powaga takiego czynnika, jakim jest prawo lub oparta na niem instytucja, oraz w jak licznych wypadkach mądry i uczciwy rządca przy złych nawet prawach może społeczeństwu znacznie więcej pożytku przynieść, niż nieudolny i nieetyczny — przy dobrych, ten bowiem może najlepszą rzecz spaczyć lub uczynić martwą. Jeżeli ludzkość cierpi, to w drobnym jedynie stopniu wskutek złej konjunktury, klęsk żywiołowych i t. p., najprzeważniej zaś wskutek tego, że ster nad sprawami i losami świata trafia do rąk jednostek, chociaż reklamujących siebie jako opatrznościowych mężów stanu, nie odpowiadających jednak podstawowym wymaganiom etyki i wiedzy (— tem oczywiście surowszym, im wyższe jest stanowisko —), tj. pozbawionych należytej uczciwości oraz fachowości, a więc kwalifikacyj, którychby sami żądali od byle rzemieślnika.

Gdy się rozejrzymy, chociażby tylko po Europie, stwierdzimy, jako skutek powyższego stanu rzeczy, nagminnie panoszący się dyletantyzm. Zjawisku temu zazwyczaj towarzyszy brak uczciwości; zresztą już samo popieranie deletantyzmu jest sprzeczne z zasadami uczciwości. O powoływaniu na stanowiska najbardziej odpowiedzialne rozstrzygają przeróżne względy, np. partyjne lub całkiem przygodne, lecz bynajmniej nie wyżej wymienione postulaty. A jednak takie jednostki, przedostawszy się na wyżyny, mają stać na straży tego, co Skarga nazywa fundamentem państwa, oraz decydować o losach ludzkości. Cóż więc dziwnego, że jednostki o podobnych kwalifikacjach, będąc powołane do obrony prawa, ujawniają w stosunku do niego kompletną bezceremonjalność. A więc analogicznie do tego, co się u nas działo w wieku Skargi i później — zależnie od konjunktury i jej t. zw. potrzeb, podawanych za państwowe, w rzeczywistości zaś posiadających znacznie węższe granice —, obowiązujących praw się nie wykonywa, albo się je narusza, toleruje się bezprawie, lub też, co jest już szczytem nieetyczności, tworzy się

pozory prawa, gdy zapomocą istniejących nie da się dokonać tych czy innych efemerycznych posunięć o charakterze partykularnym — w ten więc sposób drogą quasi-prawną legalizuje się bezprawie, co tak bardzo już oburzało Skargę. Nie dba się zarazem o to, jaki jest stosunek społeczeństwa do t. zw. stanu prawnego, w ten sposób wytwarzanego: wystarczają zewnętrzne formy posłuchu, uzyskiwanego w oparciu jedynie o siłę fizyczną. Potworność podobnych sytuacyj, kiedy między innemi prawo staje się środkiem do zwalczania kogoś, nie zaś czegoś, rozumieją nietylko trzeźwe jednostki wśród społeczeństwa — niestety tylko bezsilne, aby zdobyć się na mocniejszą reakcję — lecz i ci, co te sytuacje wytwarzają. Sfery, które w wieku Skargi wchłaniały w siebie „dobrodziejstwa" złotej wolności i stanowej nierówności, potrafiłyby odczuć je w sposób właściwy, gdyby same okazały się ich ofiarą. W dzisiejszych zaś czasach nieetyczni na szerokim świecie współwyznawcy owych naszych dawnych egoistów, bardziej tylko jeszcze wyćwiczeni w obłudzie i przebiegłości, nie wahają się już z całą czelnością podnosić głosu protestu, gdy to, co sami czynią w stosunku do swych przeciwników, ci usiłują uczynić w stosunku do nich. Ludzie tej kategorji wysilają się, aby oblicze ich nie zdradzało inklinacyj, popisują się więc swym patrjotyzmem, który właściwie sprowadza się do reklamowania własnych zasług, bardzo nieraz problematycznych lub mocno wyolbrzymionych. To są „patrjoci", o których Kasprowicz powiedział, że tylko „krzyczą, iż żyją dla Niej" (tj. ojczyzny), a którzy, gdy zajdzie ich osobista potrzeba, potrafią interesy swe przeciwstawić dobru ogółu. Tym nie wadziłoby częściej odczytywać to, co Skarga mówi, że cechą miłości ojczyzny jest przedewszytkiem b e z i n t e r e s o w n o ś ć.

W obecnych czasach państwa, rządy, mężowie stanu (ci nieraz w cudzysłowie) wytężają umysły nad utrzymaniem ładu, nad poprawą warunków bytu mas, starają się rozwikłać zawiłe zagadnienia ekonomiczne i polityczne, lecz spowodu niewłaściwego podejścia do spraw, doktrynerstwa, egoizmu i hołdowania materjalizmowi i wogóle niezdolności sięgnięcia do głębi, gdzieby znaleźli p o d e p t a n e p r a w a b o s k i e i l u d z k i e — dokonywają pracy nieraz całkiem

bezpłodnej lub takiej, która daje wyniki krótkotrwałe, powierzchowne, złudne. Wobec niechęci czy niezdolności ugruntowania państw na zasadach etyki oraz prawa ze strony tych, co do tego są *ex officio* powołani, w społeczeństwach panuje takie szalone rozdarcie, waśnie, nawet nienawiść — stąd niezadowolenie wzajemne i brak zaufania, a więc stan rzeczy, przy którym *homo homini lupus.*

Prof. Chrzanowski niedawno podkreślając aktualność prawd, głoszonych przez Skargę,[1]) słusznie zaznaczył, że nie wszystkie jego poglądy wytrzymały próbę czasu, podobnież jak np. i Mickiewiczowskie Księgi Narodu... Dziwić się temu, oczywiście, nie należy. Ważny jest wszakże tutaj dla nas fakt, że pomimo takiej przestrzeni czasu, dzielącego nas od Skargi, wartość jego nauki podstawowej w niczem nie przebrzmiała: powód jest ten, że oparta została na twardych zasadach etycznych. Jest ona zarazem stale aktualna — mieści się wszakże w tem stwierdzeniu również zjawisko smutne, a mianowicie, że pomimo tak ogromnego postępu w nauce, technice i t. d., jakiego świat dokonał, stale on niedomaga w owej przez Skargę poruszanej materji. Z historji, która wszak musi być mistrzynią życia, a której znajomość Skarga uważa, jak wiemy, za jedną z dróg, wiodących do mądrości, świat jakoś korzysta niechętnie, szczególnie w swych wierzchołkach i niepomny ani własnych, ani cudzych doświadczeń i błędów, nie chce „po szkodzie być mądrym". *Mundus vult decipi.* Gdy się też dzisiaj odczytuje *K. S.* i zestawia to, co było za czasów Skargi, i co przeżywamy obecnie, a czego nam stale brakuje, chciałoby się niestety zawołać słowami Wyspiańskiego, przytoczonemi u nas w motto: *Rzecz daleka, taka bliska!*

Zauważyliśmy przed chwilą, że trwałość systemu politycznego, zawartego w *K. S.*, tkwi właśnie w jego założeniach etycznych. Niewątpliwie odmienne musiałoby być mimowoli nasze nań zapatrywanie, gdyby Skarga występował jako

[1]) W przemówieniu radjowem o Skardze. Wzmiankę o temże znajdujemy w listach pasterskich: jubileuszowym J. E. ks. Kard. Kakowskiego z d. 30. V 36 oraz J. E. ks. Kard. Hlonda na temat „O katolickie zasady moralne" z d. 29. II 36.

polityk i kwestje czysto polityczne poruszał: wszak, w odróżnieniu od etyki, polityka jako sztuka rządzenia może ulegać z czasem wielkim zmianom. Ktoby jednak zechciał twierdzić, że owe rady, podawane naszym przodkom przez Skargę, obecnie są zbyt oczywiste lub proste, wolałby natomiast tworzyć zawiłe systemy i niemi karmić społeczeństwo — oczywiście z wątpliwym wynikiem — dowiódłby jedynie albo braku dobrej woli, albo też krótkowidztwa. Zresztą wszystkie nasze zabiegi około wielkiego gmachu państwowego ześrodkowują się wszak stale około widomych jego części i szczegółów. Mogłyby one też posiadać swą wartość, gdyby były dokonywane sumiennie, tj. nie w celu odwrócenia uwagi społeczeństwa od spraw podstawowych, oraz mądrze i konsekwentnie, tj. nie spuszczając oka od tego fundamentu, na który wskazywał Skarga, a którego zagadnienie nietylko nigdy nie będzie nieaktualnem, lecz stale pozostanie pierwszorzędnem.

Do wyżej przytoczonych opinij Chrzanowskiego oraz Bobrzyńskiego o tych wartościach dorobku Skargi, dzięki którym aczkolwiek poruszał tematy nienowe, jednak zdystansował swych współczesników - pisarzy, obecnie, gdy obchodzimy jubileusz wielkiego Kaznodziei, możemy dorzucić uwagę, że, jakkowiek wskazania wielu naszych pisarzy i dzisiaj nie przebrzmiały, żaden z nich, w tym stopniu, co Skarga, nie przeszedł do potomności, jako żywy wychowawca Narodu, a zarazem i ludzkości. Jeżeli zaś chodzi o *K. S.*, to stanowią nietylko ważną pozycję w historji naszej kultury i literatury oraz pomnik, godny studjowania na tle epoki, lecz i życiodajne źródło, zawierające drogowskaz, który szczególnie w sercach etycznie wrażliwych zdolny jest wywoływać potężne emocje i pobudzać do należytego ustosunkowania się do spraw publicznych. Jak strawa, którą codziennie spożywamy, i która dostarcza nam sił do życia, tak i *K. S.* powinny stać się tem pożywieniem duchowem, które nie pozwoli nam przeistaczać się w bezduszne automaty, lecz każe być świadomymi i uczciwymi obywatelami. Nie jest też przesadą, co powiedział kiedyś St. Tarnowski: „Jeżeli chcesz być porządnym człowiekiem i dobrym Polakiem, służyć Bogu i Ojczyźnie, obojgu być

wiernym, jak na poczciwego człowieka przystało, to czytaj Skargę". [1])

Gdy tak ze smutkiem przekonywamy się, jak to świat pogrążony jest w błędach, które potępiał Skarga — w tym roku, w którym obchodzimy jego jubileusz, a przez to niejako dowodzimy, że pozostał u nas w trwałej pamięci, uczyńmy rachunek sumienia oraz zapytajmy i my siebie, jako już potomkowie tych, do których on przemawiał, czy nakazy jego żyją również w naszych sercach i ujawniają się w czynach, czy nie cierpimy na te wady, które trawią otaczające nas narody oraz państwa, i czy ich nie maskujemy; zapytajmy, czy nie jesteśmy opanowani zarozumiałością oraz pychą, które zaślepiają umysły i czynią ludzi niewrażliwymi na swe ułomności. Bądźcobądź — co jest naszem głębokiem przekonaniem — najgodniejszym, bo czynnym, sposobem uczczenia zasług i pamięci wielkiego Wychowawcy naszych przodków, którego wskazania, jak wiemy, przedstawiają wartości nieprzemijające, byłoby takie z naszej strony ustosunkowanie się do swych obowiązków, zwłaszcza podstawowych — tu bowiem tkwi źródło szczęścia narodów i państw — abyśmy zasłużyli na ziszczenie się wieszczych słów Skargi:

„Które Królestwo swoimi prawy i ustawami Boskiej czci przestrzega, a bluźnić imienia Bożego i psować wiary Bożej i chwały Jego nie dopuszcza... takim się też Pan Bóg opieka i krzywdy mu i upadku nie dopuści i wyrwie z trudności wszelakiej" (VII, 353).

---

[1]) Temi słowy kończy Tarnowski rozdział, poświęcony Skardze w Historji lit. polsk. w. XVI.

Jan Ptaszycki

Na podbój konjunktury.

1. Świat i my. — 2. Równanie w górę. — 3. Czas nagli.

I. Świat i my.

Co czynić należy, gdzie szukać wyjścia, jeśli go niema w żadnym z kierunków dotąd wskazywanych lub próbowanych? Przedewszystkiem należy się wyrzec pocieszającego optymizmu, że kryzys jest tylko funkcjonalny, a nie strukturalny, że przeto mityczna potęga „konjunktury" powróci, jak odeszła „z własnej inicjatywy" — utartemi drogami.

Dzieje znają kryzysy nietylko funkcjonalne, ale i strukturalne, których nigdy inaczej opanować nie zdołano, jak zasadniczą przebudową podstaw przeżytego ustroju. W związku z tem byłoby pożądane mniej wiary w nienaruszalność i wystarczającą wszechstronność ekonomiki liberalnej jako narzędzia walki z obecną klęską gospodarczą. Byłoby pożądane więcej śmiałości i przenikliwości w ocenie zasadniczej tendencji oraz perspektywy rozwojowej, jaką zawierają w sobie dokonane już przez kryzys odchylenia od liberalizmu. Należałoby orzec, która z tych światowych tendencyj jest dla polskiego położenia najważniejsza. A zarazem zdać sobie sprawę, iż wobec większego niż gdziekolwiek tragizmu położenia, my w Polsce musimy poczynać sobie w zakresie tej tendencji śmielej niż inne narody; że musimy, naprawdę m u s i m y eksperymentować, szukać nowych dróg nie zaś oglądać się jedynie na to, co już wypróbowali inni. Jeśli nową drogę znajdziemy, pomożemy przez to nietylko sobie, ale wskażemy ją zarazem innym.

„Stylem telegraficznym" spróbujmy nakreślić schemat punktów wytycznych światowego kryzysu, oraz przeobrażeń gospodarki liberalnej, powstających pod jego naciskiem:

1° Rozrost siły produkcyjnej i kapitało-twórczej wielkich mocarstw zachodnich przewyższył o wiele pojemność konsumcyjną ich rynków wewnętrznych. 2° Stąd wzrasta konieczność eksportu dóbr i kapitałów. 3° Niedorozwój gospodarczy większej części globu, nie pozwala intensyfikować obrotu światowego z mocarstwami zachodniemi do miary ich siły produkcyjnej. 4° Stąd ciasnota rynku światowego, którą mógłby do pewnego stopnia usunąć tylko eksport bardzo wielkich kapitałów inwestycyjnych zachodnich do krajów zacofanych, w celu podniesienia ich gospodarczego rozwoju. 5° Proces taki wymaga ustalonego pokoju światowego. 6° Pokój światowy nietylko nie jest ustalony, lecz przeciwnie na tle ciasnoty światowego rynku, ograniczającej prężność gospodarczą wielkich mocarstw powstaje między niemi konflikt polityczny o podział globu na sfery wpływu i ekspansji. 7° Z tego powodu wybucha wielka wojna, ale nie daje rozstrzygającego wyniku, bo mocarstwa zwycięskie ani orężem ani ugodą nie są zdolne ustalić światowego pokoju. 8° Powojenny przeto ekonomiczny niepokój międzynarodowy ogranicza międzynarodowy ruch kapitałów, a zacofana część globu tembardziej nie jest w stanie dotrzymać kroku w obrocie wciąż potężniejącej energji produkcyjnej krajów eksportowych. 9° Stąd wzmaga się ciasnota rynku światowego, tak dalece, że powstaje „klęska nadmiaru" dóbr i kapitałów w mocarstwach zachodnich, światowy spadek cen, częściowe niszczenie kapitału obrotowego produkcji, jej zastój, bezrobocie i zacieśnienie rynków wewnętrznych. 10° Rolnictwo nie może ograniczyć produkcji tak jak przemysł, więc ceny rolne spadają jeszcze niżej od przemysłowych, naruszają równowagę i rozłamują obrót wewnętrzny gospodarstw narodowych, obniżają spożycie, wzmagają zastój. 11° Niski poziom cen światowych działa dumpingowo na wywóz, zagraża równowadze bilansów handlowych państw importowych, wywołuje więc reakcję obronną w postaci wzajemnych zakazów importu, oraz surową reglamentację handlu międzynarodowego, który przestaje być handlem wolnym. 12° Za-

nik handlu międzynarodowego, który spada do $^1/_3$ wartości z czasu przedwojennego. 13⁰ Rozkład światowego gospodarstwa, dążność do autarchji gospodarstw narodowych, przesunięcie punktu ciężkości życia gospodarczego na rynki wewnętrzne. 14⁰ Silny wzrost ingerencji państwa w życie gospodarcze zarówno w celu jego ochrony zewnętrznej jak też przełamania zastoju wewnętrznego. Dążność władzy państwowej do opanowania ośrodków dyspozycji gospodarczej. Tu i ówdzie gospodarka zbliża się do etatyzmu o typie wojennym. 15⁰ Zaznaczają się wyraziście dwie metody w walce państwa z kryzysem: deflacyjna oraz inflacyjna. Pierwsza dąży do kompresji budżetu państwa, oraz poziomu cen, równoległej ze spadkiem obrotu i dochodu społecznego, w nadziei że wytworzony w ten sposób luz gotówkowy ożywi ponownie produkcję i obrót. Druga metoda, nazwana inflacyjną, usiłuje popierać wywóz, idąc naprzeciw spadkowi cen światowych zniżką wysokocennej waluty krajowej, oraz przełamuje zastój obfitością środków obrotowych. Zapomocą odpowiedniej tych środków repartycji stara się ta metoda, stosowana głównie w Ameryce, usunąć także kryzysowe dysproporcje, naruszające równowagę gospodarczą i paraliżujące obrót wewnętrzny. 16⁰ Pozostający w związku z tą ostatnią metodą spadek kursu wysoko pokrytych złotem walut anglosaskich, równoległy do spadku cen światowych, oznacza deprecjację kapitału analogiczną z deprecjacją towaru, która częściowo niweluje klęskę nadmiaru w obu tych dziedzinach i stanowi jej logiczne następstwo. 17⁰ Dzięki spadkowi cen zbliżającemu je do poziomu siły nabywczej rynku światowego, oraz dzięki spadkowi walut anglosaskich, który działa w tymże kierunku, obrót światowy odrodził się ilościowo do poziomu przedkryzysowego, pozostając jednak nadal na kryzysowym poziomie wartościowym. 18⁰ Na skutek celowej i daleko posuniętej ingerencji państw w życie gospodarcze przełamano też częściowo zastój produkcji, rozwój obrotów pozostał wszakże zwrócony głównie wewnątrz gospodarstw narodowych. 19⁰ Tendencja autarkiczna pozostaje w pełnej mocy. Klęskę nadmiaru dóbr i kapitałów, kraje, które na nią cierpią starają się wyładować w zbrojeniach. 20⁰ Wzmaga się niepokój polityczny,

który jest punktem wyjścia i podstawą światowego kryzysu. Niepokój, który złamał automatyzm światowej i krajowej gospodarki liberalnej, a zastąpił go dążnością do światowej i krajowej gospodarki dyspozycyjnej, planowej.

Jasnem więc się wydaje, że dopóki nie zostanie rozwiązany w sposób ostateczny i trwały ów światowy zatarg polityczny, którego nie rozwiązała nawet wielka wojna, dopóty nie będzie mógł rozwinąć się w należytej skali międzynarodowy ruch kapitałów. Dopóty nie odrodzi się też gospodarstwo światowe oparte na wolnym handlu, a stanowiące nieodzowną podstawę „wolnej gry" sił ekonomicznych wewnątrz gospodarstw narodowych. Dopóty również nie ma widoków odrodzenia liberalny ustrój gospodarczy. Ponieważ zaś trwałe rozwiązanie światowego zatargu politycznego może wymagać nowej wojny, nawet niejednej, jasnem przeto się wydaje, że na dobroczynne a samoczynne reakcje liberalne mało można liczyć. Przeciwnie nacisk kryzysu niszczy wolną tę grę konsekwentnie i nieubłaganie.

Jeśli w mocarstwach anglosaskich znajduje się ona do pewnego stopnia w kontrofensywie, zwłaszcza przeciw Roosevelfowi, to dzięki poczęści uldze, którą właśnie spowodowały jego posunięcia, dzięki dalej dwuletniemu „błogosławieństwu nieurodzaju", który zniszczył ciążące na rynku i cenach zapasy zbóż, a wreszcie dzięki wyjątkowemu ogromowi i samowystarczalności obu anglosaskich imperjów gospodarczych.

Inna rzecz, że właśnie bogactwo, a zwłaszcza olbrzymi rozmach sił produkcyjnych i kapitalistycznych u Anglosasów stawia przed nimi zadanie przystosowania tego rozmachu do pojemności rynku własnego i światowego. Chwilowo mniej ono nagli wobec reakcji po ostatnich latach zastoju, lecz lada rok urodzajny wynurzy je znowu. Tego przystosowania nie przeprowadzą Anglosasi inaczej jak drogą, na której pierwsze kroki postawił i doraźne powodzenie osiągnął Roosevelt. W tej metodzie uderza przedewszystkiem, rozległością perspektyw i możliwości celowa „inflacyjna" manipulacja pieniądzem. „Manipulacja" ta może się stać punktem wyjścia przełomu w społeczno-gospodarczej funkcji pieniądza. Może ona tę funkcję przekształcić, rozszerzyć i wzbogacić, uży-

wając jej za dźwignię „nowego podziału" oraz nowego ustroju gospodarczego. Mimo początkowej, dopiero, fazy tego procesu, zarysowała się w nim wyraźnie rola pieniądza wyrastająca poza czynność wartościowo-miernicą i obrotowo wymienną, a przechodząca w zakres działań gospodarczo-wyrównawczych.

To właśnie rozszerzenie funkcji pieniądza poza dziedzinę zakreśloną dla niej przez wolną grę ekonomiczną, rozszerzenie zgodne jednak z jego naturą jako środka obrotowego, staje się, w związku zwłaszcza z autarkją, najbardziej dla Polski w jej obecnem położeniu interesującą ze zmian strukturalnych, spowodowanych przez kryzys. Wobec bowiem przewidywanej długotrwałości jego nacisku zmiana ta ma przed sobą szerokie pole rozwoju i utrwalenia. Oczywiście nie możemy jej żywcem przenosić na nasz grunt, bez odpowiednich przystosowań i rozwinięć, gdyż nasz stosunek do kryzysu znajduje się na przeciwległym biegunie wobec stosunku doń zarówno Francji, jak Ameryki. Tamte kraje są bogaczami dławionymi przez klęskę nadmiaru dóbr i kapitałów, oraz ciasnotę rynków, my zaś, przeciwnie, jesteśmy nędzarzami trawionymi przez anemję kapitalistyczną oraz niedospożycie, niedozwalające rozwinąć produkcji i obrotu. Roosevelt może więc ładować na swój budżet państwowy ciężar 25 miljardów dolarów długu, bo kraj rozporządza 50 miljardami dolarów rezerwy kapitału, do niedawna zamrożonej przez zastój, którą długiem poruszał i odmrażał. U nas natomiast wzrost długu państwowego pogłębia deficyt kapitalizacyjny, stosowany przeto być może tylko jaknajpowściągliwiej i pod warunkiem maximum równoczesnego pośredniego efektu tego wzrostu, obrotowego i prokapitalizacyjnego. Mimo jednak te wszystkie doniosłe różnice sama zasada odmiennego i szerszego niż w ustroju dotychczasowym zastosowania pieniądza może być użyteczna i dla nas.

Kryzysową ewolucję pieniądza należałoby w naszych warunkach rozwinąć konsekwentnie dalej, formułując jak następuje jej punkty wytyczne. 1° Złota wartość jednostki monetarnej pozostaje nadal miernikiem wartości gospodarczych. 2° Natomiast wartość obrotowo-wymienna pieniądza

zachowuje wobec miernika złotego tylko określony, lecz zdolny do przemian stosunek ilościowy. 3⁰ Stałość tego stosunku kursu i siły nabywczej waluty jest pożądana, ale powinna być wyrazem doskonałego zrównoważenia oraz prawidłowego rozwoju procesów obrotowych życia gospodarczego. 4⁰ Jeśli procesy te podlegają zakłóceniom, to powinny one być wyrównywane regulacją dopływu środków obrotowych i choćby kosztem zmian w ich sile nabywczej. 5⁰ Zarówno wartość pieniądza jak rozmiar emisji pieniężnej nie zależą w najmniejszej mierze od stopnia pokrycia obiegu złotem. Zależą natomiast bezwzględnie od stosunku podaży do popytu na środki obrotowe, bezpośrednio więc i przedewszystkiem od rozmiaru obrotu, pośrednio zaś i negatywnie od równowagi budżetu i bilansu płatniczego. 6⁰ Państwo może i powinno dostarczyć życiu gospodarczemu tyle środków obrotowych, ile ich rozmiar obrotu wymaga. 7⁰ Pieniądz wszakże jest środkiem i kapitałem *par excellence* obrotowym, może zatem być skierowywany normalnie tylko w dziedzinę szybkiego i trwałego obrotu. 8⁰ Jeśli zachodzi konieczność inwestowania wartości własnej pieniądza poza dziedzinę szybko obrotową, to odbywać się to może tylko w granicach tej wartości własnej, odbywać się zaś powinno w kierunkach rokujących jaknajszybsze rozszerzenie obrotu i jaknajmniejszą zwyżkę podaży pieniężnej ponad popyt szybko obrotowy.

Założeniem teoretycznem postulatów jest, że pieniądz przestaje być wartością ekonomiczną rzeczową, jako towar złoty, staje się natomiast wartością ekonomiczną funkcjonalną, jako środek społecznej zasługi obrotowej, oddawanej przez państwo społeczeństwu. Banknot staje się mandatem wymiennym wyposażonym przez państwo w moc gaszenia zobowiązań, a dostarczanym proporcjonalnie do rozmiarów wytwórczości i obrotu. Nawiasowo wreszcie wspomnieć się godzi, że w całej niniejszej pracy nie wzięto wcale w rachubę czynnika szybkości obrotu pieniężnego, a to dla większej przejrzystości rozumowania. Czynnik ten bowiem, w porównaniu ze stosunkiem ilościowym pieniężnej podaży do popytu, odgrywa rolę właściwie mniej charakterystyczną i przeważnie mniej rozstrzygającą. Naogół inflacyjny wzrost

cen szybkość tę popędza i równoważy przez nią spadek złotej wartości obiegu, czyli oddala naturalny kres inflacji. Przeciwnie zaś deflacyjny spadek cen towaru działa na szybkość obrotu pieniężnego wstrzymująco czyli zaostrza ciasnotę pieniężną.

II. Równanie w górę.

Opierając się na tych zasadach, można pieniądzem osiągnąć znacznie więcej w zakresie sanacji życia gospodarczego, niż to było możliwe dotąd, przy „klasycznie" liberalnej polityce walutowej, oscylującej pomiędzy przymusowymi odruchami w kierunku inflacji i deflacji. Jednak i ta nowa droga wymaga wielkiej przezorności postępowania, tembardziej w wyjątkowo ciężkich polskich warunkach gospodarczych.

Zasadniczą dźwignią odbudowy stać się powinna możność dostarczenia życiu gospodarczemu takiej ilości środków obrotowych jakiej ono potrzebuje. Ta możność jest prawdziwie potężnem narzędziem akcji sanacyjnej pozwala bowiem w zasadzie na „równanie w górę" i zrównanie na wysokim poziomie cen tych strukturalnych załamań obrotu któremi skrępował go kryzys; w pierwszym rzędzie więc „nożyc" przemysłowo-rolnych. Ale tej możności towarzyszyć musi stała troska by emisje pieniężne nie naruszyły równowagi między podażą a popytem, by rozwijały się równolegle z obrotem wytwórczo-spożywczym, by prawdopodobny ten wzrost miał charakter organiczny nie zaś inflacyjny. Tylko bowiem pod tym warunkiem da się osiągnąć maximum gospodarczej odbudowy, bez uderzenia o „sufit" kładący kres swobodzie emisyjnej przez szybszy od niej wzrost cen, oraz redukcję siły nabywczej całego obiegu.

Z tem zaś niebezpieczeństwem w polskich warunkach liczyć się trzeba, bo inwestycje długoterminowe oparte na emisjach pieniężnych w pewnym zakresie będą niewątpliwie konieczne. Tragiczne położenie ludności wywiera nacisk na rzecz programu „wielkich robót publicznych". Nawet jednak niezależnie od niego nasza struktura gospodarcza jest tak ułomna, że również bez wkładów inwestycyjnych się nie obejdzie. One to popędzać będą ceny w górę, gdyż

samo zaspokojenie popytu na kredyt obrotowy cen by nie podniosło... Między Scyllą tedy a Charybdą, między emisjami dostarczającemi nowego pieniądza a inwestycjami, które mogą stwarzać nań popyt jednorazowy, lecz następnie pozostawiać go w obrocie w ilości nadmiernej, przechodzi wąska ścieżyna równoległego rozwoju obiegu pieniężnego i obrotu gospodarczego, zdolnego utrzymać równowagę na wszelkim, choćby nader wysokim, poziomie cen.

Jestto wyjście z impasu, którem posuwać się można tylko przy bezwzględnie celowym doborze kierunków inwestycyj, zapewniającym jaknajszybszy a trwały i możliwie równomierny ich wpływ na rozwój obrotu. Bezwzględnie konieczną jest tu następnie ekonomja wartości własnej pieniądza, która ma być inwestowana, unikanie marnotrawstwa we wkładach długoterminowych mniej naglących rzeczowo, lub mniej bezpośrednio związanych z produkcją dóbr szybko-obrotowych. Wreszcie, co może najważniejsze, nieodzowne jest także staranne wyzyskiwanie możliwości organicznej zniżki kontów i cen, powstającej wraz z rozwojem masowej wytwórczości i zbytu. Pod takimi warunkami ta droga zdaje się dla nas stać otworem.

Pierwszem zadaniem, jakie się na niej nasuwa jest wprowadzenie „dodatkowej siły kupna" bezpośrednio w osłabiony obrót gospodarczy. Zwłaszcza w obrót szybki, spożywczo-przetwórczy, dający pewność że podaż środka obrotowego znajdzie w najkrótszym czasie odpowiednik w zwiększonej produkcji i spożyciu, oraz że rozszerzony ten obrót będzie się automatycznie odnawiał. Krótkoterminowy zatem emisyjny kredyt obrotowy powinien wychyiić się poza „klasyczną" granicę trzymiesięcznego weksla handlowego, stać się dostępnym dla produkcji rolniczej i przemysłowo-przetwórczej w terminie przystosowanym do jej cyklu obrotowego t. j. jednorocznym.

Kredyt ten powinien być celowo kontyngentowany według rzeczywistych, włącznie z wyrównawczemi, potrzeb obrotu gospodarczego, oraz wskaźnika cen. Natomiast winien być bezprocentowy, lub oprocentowany tylko do wysokości kosztów administracyjnych i technicznych emisji, ażeby mógł oddziaływać zniżkowo na koszta produkcji.

W tych warunkach zapewne wyparłby on z obrotu gospodarczego krótkoterminowy kapitał prywatny, pozostawiając przed nim otworem lokaty procentujące jedynie w kredycie średnio i długoterminowym. Zwracałby zatem podaż kapitału prywatnego na teren inwestycyjny.

Równocześnie społeczna wartość pieniądza musiałaby zostać inwestowaną długoterminowo w kapitale obrotowym gospodarstwa narodowego, a to zarówno celem jego pomnożenia do rozmiarów pozwalających obrót ten rozwinąć, jak też celem zrównoważenia rozłączonych przez kryzys składników tego obrotu. Przedewszystkiem nieodzowną jest inwestycja wyrównawcza, zdolna zamknąć „nożyce" przemysłowo-rolne. Zarówno te jak i inne pokrewne inwestycje możnaby jużto zcentralizować w jakimś nowym „banku równowagi" gospodarczej, jużto przeprowadzać przez zakłady istniejące obecnie. Wszystkie te inwestycje musiałyby jednak oprzeć się na długoterminowym kredycie banku emisyjnego, obciążającym budżet i amortyzowanym z dochodów publicznych.

Pierwsza i najbardziej podstawowa z pośród tych inwestycyj powinna być skierowana ku zdjęciu z rynku takiej nadwyżki płodów rolnych ponad obecną zdolność spożywczą tegoż rynku, ażeby ceny rolne wyprowadzić z bagna deficytu i podnieść na poziom umiarkowanej opłacalności. Zakupioną nadwyżkę rolnego towaru możnaby częściowo zamagazynować jako rezerwę na wypadek silniejszego od podaży wzrostu popytu spożywczego w roku następnym. Toby wymagało zapewne budowy pewnej liczby odpowiednich spichrzów. Możnaby też skupioną nadwyżkę częściowo przekazać w deputatach bezrobotnym, na rachunek zapomóg państwowych, które otrzymują, albo rozdzielić nawet filantropijnie pomiędzy ludność najbardziej zgłodniałą i najradykalniej odsuniętą przez nędzę od udziału w zdolności nabywczej rynku.

Odbudowa opłacalności rolnictwa, niewątpliwie poważnie wzmogłaby spożycie i zbyt wewnętrzny tak na płody rolne jak przemysłu przetwórczego. Działałaby w kierunku ogólnej zwyżki cen, tak przez wzmożony popyt, jak przez wzrost kosztów utrzymania, a więc i robocizny oraz kosztów produkcji. Nieodzownym przeto równoleżnikiem

akcji podnoszenia cen rolnych musiałby być, wspomniany już, roczny, emisyjny kredyt obrotowy dla przemysłu, celem pokrycia zwiększonych kosztów własnych. Wydaje się przytem rzeczą możliwą, choć nieprzesądzoną, że naturalny ogólny ruch cen w górę, w pierwszym obrocie rocznym nie zdołałby jeszcze domknąć całkowicie nożyc, pozostawiając nadal pewne, aczkolwiek zwężone ich rozwarcie na niekorzyść rolnictwa. W takim razie ten sam dwustronny, rolniczy i przemysłowy zabieg interwencyjny wypadłoby powtórzyć w następnym obrocie rocznym, ale już w odpowiednio zredukowanej skali. Zwyżka bowiem cen rolnych dotyka tylko pewnej części miejskich kosztów utrzymania, więc podnosi je w mniejszym stopniu od samej zwyżki rolnej. Z kolei zaś zwyżka kosztów utrzymania podnosi robociznę, która znów jest tylko jednym z elementów kosztów produkcji; podnosi je więc w stopniu mniejszym od samej zwyżki utrzymania. Jeśli tę właściwość omawianych procesów wyrównawczych skojarzymy jeszcze z taniością kredytu obrotowego, oraz organicznym spadkiem kosztów produkcji na skutek rozszerzenia zbytu, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż szybki początkowo wzrost cen stawałby się pod działaniem owych naturalnych odczynników coraz powolniejszym. A zarazem stopniowo coraz szczelniej zamykałby fatalne „nożyce" pomiędzy miastem a wsią i coraz mniejszego wymagałyby sukursu emisji środków obrotowych. Równowaga zatem na poziomie wysokich cen jest tą drogą do osiągnięcia celu.

Inna rzecz, że na tej drodze bardzo wiele jest do zrobienia jeśli się pragnie gruntownie uporządkować polską, gospodarczą stajnię Augjasza. Zamykając nożyce, uruchomiając rolniczo-przemysłową oś obrotową narodowego gospodarstwa i umożliwiając jej normalne odrzucanie odsetek zysku na kapitalizację, przestawimy błędne koło kryzysu z biegu rozkładowego na konstruktywny, spowodujemy stopniowo coraz znaczniejsze ożywienie wytwórczości i zbytu. Ponieważ jednak polska aparatura wytwórcza jest wysoce niekompletna, przeto, jak uczy doświadczenie poprzednich u nas okresów „poprawy" gospodarczej, wzmoże się również popyt na brakujące w kraju rodzaje towaru zagranicznego,

zwłaszcza surowce, półfabrykaty, urządzenia techniczne i t. p. A zatem spotęguje się nacisk importu na równowagę obrotu handlowego z zagranicą. Przeciwdziałać temu można poczęści wywalczając szersze kontyngenty wywozu do krajów z których wwóz się wzmaga. Zasadniczo jednak i przedewszystkiem należy dążyć do takiego jakościowego różniczkowania produkcji krajowej, któreby pozwalało redukować import. To wymaga również inwestycyj. Inwestycyj zaś, zwłaszcza pieniężno-emisyjnych, nie można rozwijać inaczej jak równolegle i proporcjonalnie z rozrostem obrotu szybkiego, spożywczo-przetwórczego, gdyż groziłoby to zbyt spiesznym, bliskim inflacji, ruchem cen ku górze. Zadań wszakże inwestycyjnych i to nieodzownych dla naprawy naszego gospodarstwa, nasuwa się tak wiele, że niewiadomo, czy się uda tego niebezpieczeństwa całkowicie uniknąć. Jak mu przeciwdziałać?

Samo „zamknięcie nożyc" przemysłowo-rolnych, powinnoby już wytworzyć pewien luz inwestycyjny. Można starać się go rozszerzyć opierając się na zasadzie, że pieniądzem da się zastąpić kapitał obrotowy, ale zakładowy — nie. Stąd wniosek, że zastępując kapitalistyczne stany posiadania w pewnych gałęziach szybkiego obrotu kredytem emisyjnym możnaby zwolniony stamtąd kapitał zwrócić w obrót powolny, długoterminowy, inwestycyjny. Np. reorganizując racjonalnie handel zbożem i płodami rolnymi, oraz oddając im do dyspozycji wystarczający kredyt obrotowy, możnaby wyparte stamtąd kapitały prywatne zużytkować w przebudowie instalacyj tkackich z bawełny na len, oraz krajowej produkcji wełny. Działałoby się w ten sposób na redukcję importu surowców odzieżowych.

Konieczną jest również ochrona istniejącego zasobu kapitałów, jakoteż nowego ich z obrotu gospodarczego przyrostu, przed skutkami dewaluacji pieniądza w stosunku do towaru. Deprecjonuje płynny kapitał wszelki wzrost cen, nawet wywołany najbardziej „klasyczną" przewagą popytu nad podażą.

Radykalnym środkiem, chroniącym przed dewaluacją jest waloryzacja, i to nietylko danin publicznych, lecz i zobowiązań prywatnych, i nie według stosunku do równi

złotej, lecz według wskaźnika cen hurtowych. Nie zanosiłoby się bowiem na spadek kursu waluty, lecz tylko na wzrost cen. Waloryzacja jestto czynnik przynaglający z jednej strony wzrost kosztów produkcji i cen, ale z drugiej także i samej kapitalizacji. W rozpatrywanej perspektywie „równania w górę" wzrost ten stanowi zjawisko przewidziane i zasadniczo kryte przez nieograniczoną możność stosowania ilości środków płatniczych do potrzeb obrotu. Waloryzacja zapewniłaby możność pełnego uruchomienia siły kapitało-twórczej wzrastającej produkcji. Wcześniej jeszcze, wespół z naciskiem wzrostu cen, zmobilizowałaby kapitały steraunyzowane. Obok zatem, deflujących koszta własne i ceny wyrobów, niskiej stopy procentowej i masowego zbytu, a może nawet silniej od nich, szybki przyrost zasobów kapitalistycznych kraju ograniczałby stopniowo i w końcu uczynił zbędną emisję pieniądza na cele nie bezpośrednio obrotowe. O ile by szło o pewne pohamowanie tempa wzrostu kosztów wytwórczych i cen, możnaby wziąć pod uwagę waloryzację częściową, np. bezwzględną dla istniejącego zasobu drobnych oszczędności, a kompromisową, rozkładającą ciężar pomiędzy wierzyciela i dłużnika, przy należnościach większego kalibru.

Tak więc zagadnienie kapitalizacji, na które tak wielki nacisk kładą deflacjoniści, przybiera w perspektywie „równania w górę" postać całkowicie zabezpieczoną oraz obiecującą jaknajpomyślniejszy rozwój. Nierównie pomyślniejszy niż obecnie, gdy dewaluacja towaru w stosunku do pieniądza niby kapitalizacji sprzyja, ale deficyt w kapitale obrotowym paraliżuje gospodarkę, wtrąca ją w nierentowność i kapitalizację uniemożliwia. Dodajmy, że waloryzacja danin publicznych zabezpiecza przed deficytem budżetowym, a więc pozwala całą tę politykę gospodarczą dowolnie normować, wstrzymywać lub nawet całkowicie przerwać, gdyby jakieś nieprzewidziane okoliczności tego wymagały.

Wreszcie, do rozwagi pozostaje jeszcze ważna sprawa obrotu z zagranicą. Najwalniejszy argument deflacjonizmu przeciwko wysokiemu poziomowi cen krajowych, stanowi domniemana niemożliwość eksportu na tani i ciasny rynek światowy. Na jeszcze kosztowniejszy od obecnego dumping

Polski wszak naprawdę nie byłoby stać. Istotnie, dumping obecny jest potworny, do wywozu bowiem węgla, żelaza, cukru i t. p. dopłacamy rocznie dobre kilkaset miljonów złotych, które wynędzniały kraj pokrywać musi cenami wewnętrznemi, zacieśniając o tyleż i tak katastrofalnie skurczoną pojemność rynku wewnętrznego. Jeżeli się jednak przyjmie, że kraj rozporządza nieograniczoną ilością środków płatniczych, zdolną pokryć potrzeby obrotu wewnętrznego przy każdym, choćby najwyższym, poziomie cen, byle obrót ten był zrównoważony i rentowny, to nie przedstawia żadnej trudności pokrycie w ten sam sposób również obrotu z zagranicą, byle i on także utrzymywał równowagę przywozu z wywozem. Jeżeli kraj musi importować za x miljonów wartości złotej, według cen światowych, towar zagraniczny, to w zasadzie winien wzamian eksportować swój własny towar w tej samej wartości złotej, według tych samych cen światowych. Jeżeli jednak ten towar wywieziony przedstawia według cen krajowych wartość np. 3 x miljonów, to towar również obcy, do kraju przywieziony, przedstawia wartość 3 x miljonów. Wystarczy zatem import obłożyć cłem wyrównawczem w wysokości 2 x miljonów i sumę tą przekazać tytułem premji eksporterom. Czy to nastąpi systemem zwrotu ceł lub jakim innym, to już mniejsza. Niewątpliwie jednak przy zrównoważonym i należycie w środki płatnicze zaopatrzonym obrocie wewnętrznym również obrót zagraniczny stałby się łatwiejszy niż obecnie. I to szczególnie w zakresie konkurencyjności cen eksportowych, która w reglamentowanym handlu międzynarodowym wprawdzie przestała być czynnikiem rozstrzygającym, lecz w miarę potrzeby dawałaby się z naszej strony osiągać z niebywałą swobodą, bez zewnętrzej dewaluacji waluty.

Zasadniczo jednak i w zgodzie z światową tendencją do gospodarczej autarkji, system powyższy zmierza przedewszystkiem do wyprowadzenia gospodarki polskiej z impasu od wewnątrz, możliwie własnemi siłami. Zgodnie z inną znów tendencją światową, odrywa walutę od złota i rozszerza funkcję społeczno-gospodarczą pieniądza, wobec wszakże groźniejszego niż na zachodzie natężenia kryzysu polskiego, radykalizuje i wyprzedza nieco tę tendencję. Idzie poniekąd

naprzeciw tej niedalekiej już może przyszłości, gdy udoskonalone odkrycie Dunikowskiego, lub inne, zdetronizuje złoto jako wartość monetarną, podobnie do losu srebra.

System ten wyłącza konsumcyjną inflację skarbową i ciągnące za nią znane klęski. Opiera się na zasadzie dostawy środków obrotowych ściśle stosowanej do rzeczywistych potrzeb obrotu gospodarczego, oraz jego konieczności rozwojowych. Dopuszcza jednak do pewnych granic zniżkę wewnętrznej siły nabywczej pieniądza, w stosunku do towaru, a więc zwyżkę cen handlowych, usług świadczeń i ciężarów publicznych. Wartością tej wewnętrznej dewaluacji ma pokryć kryzysowe rozbieżności, zamknąć nożyce przemysłowo-rolne, usunąć „dysproporcje", przez ilościowy rozwój obrotu i racjonalizację budowy gospodarczej wyzwalać automatycznie odczynniki zniżkowe, oraz osiągnąć w ten sposób stan zdrowia i harmonji gospodarczej.

Nie dadzą się te cele zrealizować przez żadną akcję jednostronną. Ani sztucznem z wynędzniałego kraju forsowaniem eksportu przez dumping na tle deflacji, lub przez dewaluację monetarną zewnętrzną, mało skuteczną w reglamentowanym handlu i wlokącą za sobą widmo inflacji. Ani przez inwestycyjną *action directe* na rzecz bezrobocia miejscowego, słabo uwzględniającą położenie wsi i również zmierzającą ku inflacji. Ani wreszcie przez „równanie w dół" cen i stopy życiowej miast do poziomu głodującej wsi, co grozi wzrostem bezrobocia i burzliwą reakcją obronną instynktu samozachowawczego mas. Opanować kryzys można tylko przywracając wywróconą przezeń równowagę wymienną pomiędzy miastem a wsią, oraz zaopatrując je oba w dostateczną ilość środków obrotowych. W walce z kryzysem jestto nieodzowny punkt wyjścia, bo przez stosunek miasta i wsi przechodzi podstawowy nerw życia gospodarczego, a nerwu tego schorzenie jest najgłębszem źródłem zastoju i rozkładu. Polski niedorozwój ekonomiczny, niezależnie nawet od kryzysu, koncentrował się zawsze w zacofaniu, ubóstwie i przeludnieniu wsi, oraz niedostatecznej urbanizacji i uprzemysłowieniu kraju. Słabe natężenie obrotu gospodarczego miejsko-wiejskiego ze strony wsi nie może służyć za pretekst do jednostronności akcji inwestycyjnej na

rzecz bezrobocia miejskiego, lecz musi być leczone i usuwane właśnie po to, by obrót ten wzmóc i zwiększyć udział wsi zarówno w dochodzie społecznym, jak w kosztach utrzymania państwa. Szybki, spożywczo-przetwórczy obrót produkcyjny wiejsko-miejski jest tą częścią organizmu gospodarczego kraju, która bezpośrednio służy elementarnej konieczności zachowania życia mas ludowych. Już to samo wystarcza by uzasadnić wszczęcie w tym przedewszystkiem punkcie procesu ożywiania produkcji i wchłaniania bezrobocia. Ale i ponadto jeszcze potęga liczebna wsi zapewnia najszerszą możliwość odbudowy siły spożywczej, jako podstawy rozrostu produkcji także miejskiej, oraz przechodzenia nadmiaru ludności wiejskiej do miasta.

Ażeby gospodarstwo polskie uwolnić z pęt kryzysu, a zarazem uzdrowić i uzdolnić do prawidłowego rozwoju jego zasadniczą budowę, niebyłby zaiste ceną zbyt wygórowaną spadek wewnętrznej siły kupna jednostki monetarnej do poziomu franka francuskiego, korony czeskiej, a nawet lei rumuńskiej; spadek pokryty ilościowym rozrostem obiegu (i obrotu) z wysoką nadwyżką, równą kilkomiljardowej inwestycji. Spadek ten nie dotknąłby przytem stosunku do równi złotej, nie naruszyłby więc tak cenionej „stałości waluty", dopóki chroniłaby ją równowaga bilansu zagranicznego. Zewnętrzny kurs złotego polskiego w przeciwieństwie do franka, korony, liry lub lei mógłby pozostać „murowany". Wynika stąd, że spadek wewnętrznej siły nabywczej nosiłby charakter wzrostu cen w złocie, bo zresztą i cała omawiana kampanja sanacyjna mogłaby być przeprowadzona brzęczącym pieniądzem złotym, gdyby się nim rozporządzało w dostatecznej ilości. Jednak jak już zaznaczyłem, żadne stąd krępujące handel zagraniczny następstwa nie zagrażają. Przeciwnie zdolność konkurencyjna polskich cen eksportowych mogłaby z łatwością być regulowana, już to dumpingowo, już nawet dewaluacyjnie.

III. Czas nagli.

W jednym ze swych artykułów popierających ideę wielkich robót publicznych prof. St. Grabski utrzymywał, że kryzys światowy właściwie już mija, opanowany „nakrę-

caniem konjunktury". Natomiast Polskę gniecie stara, rodzima bieda, wzmagająca się coraz groźniej skutkiem przyrostu ludności, który corocznie zasila bezrobocie o jakie 200 tysięcy ludzi.

Jest w tych twierdzeniach część prawdy zbyt jednak jednostronnie ujęta. Kryzys, nawet w mocarstwach anglo-saskich, nie został „opanowany" lecz tylko częściowo i doraźnie zahamowany w swym rozwoju. To było naprawdę konieczne, bo gdyby się bez żadnego hamulca wzmagał od swego „dna" z r. 1932 to gospodarstwo światowe i wiele gospodarstw narodowych zostałyby sparaliżowane niemal doszczętnie, a „nędza pośród bogactw" poczęłaby masowo tępić życie ludzkie głodem i nieodłącznemi odeń zamieszkami lub wojną. Groźne to niebezpieczeństwo doraźnie zostało odparte przedewszystkiem przez automatyczny spadek cen, pogłębiony anglosaską dewaluacją, co pozwoliło odbudować handel międzynarodowy ilościowo, przystosowując go wartościowo do słabej siły nabywczej rynku światowego. Równocześnie reglamentacja obrotów międzynarodowych przez poszczególne rządy pozwoliła utrzymać w równowadze bilanse handlowe i uchroniła waluty od przymusowych załamań, wewnętrzne zaś zabiegi interwencyjne, zwłaszcza amerykańskie i niemieckie, wsparte ilościowem odprężeniem w zbycie międzynarodowym, zdołały również częściowo przełamać zastój wewnętrzny. Sukcesy te zasługują na nazwy niemal zbawczych, jeśli patrzeć na nie od strony tego, coby się stać mogło, gdyby handel międzynarodowy, zredukowany do $^1/_3$ wartości w r. 1932, redukował się dalej do $^1/_5$ lub $^1/_{10}$. Ale na dalszą metę sukcesy te są najzupełniej niedostateczne i bodaj mniej jeszcze trwałe niźli sztuczna konjunktura spiętrzona w latach 1924—1930 naiwnem, jak sam pacyfizm, ładowaniem olbrzymich kredytów w Niemcy.

W najlepszej oczywiście sytuacji znajdują się mocarstwa anglo-saskie. Stosunkowo łatwo „nakręciły" sobie konjunkturę, głównie dewaluacją funta i dolara, ponieważ zwłaszcza Anglja jest tak cennym rynkiem i tak olbrzymi posiada zasięg obrotów, że szybko zgrupowała wokół siebie wasalny „blok sterlingowy", stosujący swe kursy i ceny do angielskich. Jednak nawet w Ameryce i Anglji nie opanowano

bezrobocia, bo prężność produkcyjna tych kolosów nie mieści się już w rynku światowym, nawet przywróconym do ilościowej pojemności przedkryzysowej, oraz nie mieści się w nim również ich, nawet zdewaluowana, prężność kapitałotwórcza. Dalszy wzrost tej prężności znów tedy zaostrzy „klęskę nadmiaru" w obu mocarstwach anglosaskich, Ameryce zaś ponadto zagrozić może także ponowna „klęska urodzaju". To też zarówno mocarstwa anglosaskie, jak Niemcy, nadmiar energji gospodarczej starają się wyładować w zbrojeniach. To najlepiej świadczy, jak dalece powierzchownie „kryzys minął", boć i ostatnia wielka wojna niczem innem nie była, jak podniesioną do najwyższego, orężnego natężenia walką o „miejsce pod słońcem" w światowem gospodarstwie.

Tymczasem jednak ze strony angielskiej sugeruje się dewaluację w skali światowej w nadziei rozszerzenia tą drogą zbytu, a przynajmniej przeciwdziałania mogącej go znów zacieśnić, ponownej zwyżce cen, która się już zaznacza ostatnio. Powodzenie tej sugestji w dużej mierze zależy od kierunku polityki gospodarczej, także wewnętrznej, innych mocarstw. Wśród nich Niemcy istotnie skłaniają się do dewaluacji „eksportowej", Francja zaś znalazła się pod nowym, lewicowym parlamentem, na rozdrożu między deflacją, a inflacją (na „liberalną politykę kredytową" oraz roboty publiczne). Nawet bowiem ten zamożny kraj drobnego rentierstwa odczuł zbyt boleśnie politykę kurczenia publicznych rozchodów, prywatnych dochodów i cen proporcjonalnie do zmniejszonego obrotu i dochodu społecznego. W ten sposób do drzwi światowego gospodarstwa zdaje się pukać powszechny prąd dewaluacyjno-inflacyjny. Ten prąd w dalszym ciągu „nakręcałby konjunkturę" przez manipulację pieniężno-kapitalistyczną w celach podtrzymania obrotu gospodarczego. Jestto wszakże oręż obosieczny, który może działać niszcząco lub twórczo, zależnie od sposobu i zakresu użycia. Świat znajduje się więc dopiero w stadjum przejściowego kryzysowego odprężenia, osiągniętego w pierwszych krokach gospodarki planowej. Odprężenie to zdoła rozwinąć i utrwalić, o ile dalsze na tej drodze kroki postawi dość konsekwentnie i planowo, oraz o ile rozwiąże pozytywnie niemniej złożone konflikty międzynarodowo-polityczne.

Poprawa konjunktury w Polsce nosi w pewnej mierze ten sam charakter co w świecie. Jest bardziej może jeszcze, niż gdziekolwiek, niewystarczająca, osiągnięta zaś wprawdzie nie przez „manipulację walutową", lecz w warunkach deflacji, niemniej jednak zapomocą daleko posuniętego interwencjonizmu państwowego w ekonomiczną „wolną grę", jak oddłużenie rolnictwa, przymusowa zniżka cen, ostatnio zaś rozporządzenia dewizowe. Odprężenie kryzysu w Polsce jest nietylko absolutnie, lecz i stosunkowo bardzo nieznaczne w porównaniu z Zachodem, a tembardziej niedostateczne i niepewne, z powodu dziedzicznej, staropolskiej nędzy i błędów przeszłości, poczęści zaś z powodu jednostronnej i długotrwałej polityki deflacyjnej. Odprężenie wyraża się głównie np. we wzroście wskaźnika produkcji przemysłowej o kilkanaście punktów od dna kryzysowego z r. 1932 do 70, przy 1929 = 100. Jestto poprawa tem mniej znacząca, że i w r. 1929 u szczytu powojennej konjunktury, nasze gospodarstwo narodowe znajdowało się niżej minimum egzystencji i deficytowało bezrobociem, odtąd znacznie tylko rozwiniętem, tak na skutek kryzysu jak przez przyrost ludności.

Kryzys w Polsce wypływa z szeregu źródeł, które nie wszystkie na Zachodzie są czynne. Pierwsze z nich to staropolskie, z czasów niewoli, obciążenie dziedziczne anemją kapitału, niedorozwojem miast i przeludnieniem wsi. Drugie to zniszczenie kraju przez wojny. Trzecie — to błędy powojennej polityki gospodarczej. Czwarte — wpływ kryzysu światowego, zwłaszcza spadku cen i autarkji gospodarczej. Wreszcie piąte — przyrost ludności. Siła złego na jednego i w tych warunkach rachuba na wydźwignięcie się „oszczędnością i pracą" wydaje się marzeniem ściętej głowy. Tembardziej, że gdyby to nawet zasadniczo było możliwe, to w każdym razie wymagałoby tyle czasu, że bezwzględnie nie moglibyśmy dotrzymać kroku współzawodnikom oraz rozwojowi wypadków na arenie światowej. Zdystansowanie zaś na tej arenie oznacza przegraną w międzynarodowej walce o byt ze wszystkiemi jej najtragiczniejszemi następstwami, do utraty niepodległości włącznie. Świat walczy dotąd z kryzysem paljatywami, ale paljatywy te w szerokim zakresie przygotowują go do nowej wojny. Ażeby zatem

dotrzymać kroku, musimy znaleźć środek do uruchomienia wszystkich naszych sił gospodarczych w tempie gwałtownem, wręcz wyścigowem.

Sytuacja jest tragiczna nieda się zatem opanować szablonowymi i nieśmiałymi środkami na utartych drogach. Pozostawia wyjścia tylko heroiczne i heroicznych domaga się rozwiązań. Taki też charakter noszą dwie dotąd głównie dyskutowane tezy: integralnej deflacji p. Matuszewskiego, oraz robót publicznych p. p. Filipowicza i Grabskiego. Obie są jednak błędne i w mniejszym lub większym stopniu wiodą do nowych klęsk. System, który proponuję, jest od nich niedostępniejszy duchowo, gdyż mniej wzorowany na dekretach Lavala lub autostradach Hitlera, wymaga rozważnej ale i odważnej inicjatywy, przodownictwa na nowych drogach, nie zaś naśladownictwa. To jest jego słabą stroną, bo pod tym względem leży on na linji raczej większego niż najmniejszego oporu. Zarazem jednak przedstawia mniejsze ryzyko materjalne, choćby dlatego że nie jest ani bezpośrednim zamachem na życie mas jak projekt Matuszewskiego, ani nie prowadzi niechybnie z jednego impasu w drugi, jak projekt Filipowicza.

System ten może również nie dać wyniku pozytywnego jak każde poczynanie ludzkie. Wtedy mianowicie, gdyby go przeprowadzono wadliwie, gdyby wojna wybuchła wcześniej niż się to naogół przyjmuje, oraz gdyby się okazało, że stopień przeludnienia Polski w stosunku do rozwoju jej sił gospodarczych posunięty został już tak daleko, iż dosięgnąć go bez pomocy obcej stało się niemożliwością fizyczną; że przeto w braku tej pomocy musi nastąpić uwstecznienie. Ale właśnie dlatego system ten wydaje się jedyną drogą, na której Polska może i powinna przeprowadzić generalną próbę swoich sił, rozegrać swą gospodarczą i niegospodarczą walkę o byt.

W realizacji system ten posiadałby zresztą pewne punkty styczne z deflacją w zakresie nieodzownej kontroli i kompresji kosztów produkcji, oraz regulacji cen w celu odpowiedniego kontyngentowania kredytów. Z inwestycjonizmem zaś uzyskałby punkt styczny przedewszystkiem w poruszającej ciężki przemysł inwestycji zbrojeń oraz, być

może, częściowo w robotach publicznych, drogowych czy fortyfikacyjnych, o ile one są z wojskowego stanowiska nienieodzowne. Wypadłoby zapewne pierwsze kredyty emisyjne dzielić proporcjonalnie pomiędzy ciężki przemysł zbrojeniowy przemysł przetwórczy oraz interwencję rolną. Kurczyłoby to bezrobocie z paru stron koncentrycznie, równomierniej i skuteczniej niźli same tylko roboty publiczne.

Jeszcze Polska nie zginęła, ale zginąć może jeśli nie przestanie gonić za mirażem liberalizmu, który niepowrotnie w przeszłość odchodzi. I jeśli nie przestanie się lękać przodownictwa na nowych drogach rozwoju, które jej z większym niż komukolwiek naciskiem wskazuje natura obecnego przesilenia. Wtedy bowiem narzuci jej ona niezadługo nowy przymusowy, paniczny i bezładny odruch, który gwoli doraźnego ratunku życia mas ludowych przerzuci ją z impasu deflacji w niemniej groźny impas odwrotny dzikiej, niszczącej inflacji, i w nim ją postawi w obliczu nowej wojny. Lecz jeśli przeciwnie Polska te niszczące siły zgóry przewidzi, okiełzna, wprowadzi na właściwy tor i zaprzęże do wykonania podstawowych w zakresie narodowego gospodarstwa prac regulacyjnych, to wtedy wprawdzie oddali się raz na zawsze od liberalizmu i przekroczy Rubikon zupełnie nowego układu stosunków społecznych, ale zarazem jak zły sen przeminie dręcząca zmora kryzysu i związane z nią troski polityczne.

Teraz jednak znajdujemy się jeszcze po tej stronie barykady. Rzeczywista rzeczywistość skrzeczy tak przeraźliwie, że aż wypadło ją zakneblować dekretem dewizowym.

Czas nagli.

St. Szczutowski.

Literatura Braci Czeskich w Polsce w w. XVI.

(Dokończenie)

Polityka Zygmunta III nie była jeszcze wtedy skierowana przeciw innowierstwu. Ale walka o konfederację wszczynała się ponownie, by innowierców skupiać raczej w obozie republikanów. I polemika powracała coraz ostrzejsza, namiętniejsza, brutalniejsza, by wymienić Łaszcza lub Jurgiewicza. Powtarzały się zjazdy polityczne, w których innowiercy brali duży udział, choć i katolicy z prymasem Karnkowskim wysuwali się jako czynnik zwrócony przeciw republikanom Zamoyskiego. Zbliżał się okres, co kiedyś miał wywołać rokosz, a teraz stawiał Wielkopolskę przeciw Małopolsce. Szczególnie niepokojąco działały tumulty, z powodu których występował z obroną konfederacji starosta radziejowski i patron Prażmowskiego, Orzelski.

Turnowski pragnął odpowiedzieć na zaczepki, przesyłając jedną ze swych odpowiedzi nawet za granicę. Ale rada ścisła zabroniła mu wygłaszać ją, choć, pisana po łacinie, nie mogła dotrzeć zbyt daleko. Ofiarował je patronom zjednoczonych zborów, chcąc drukować rzecz w bliskim Frankfurcie. Zwyciężyła jednak cenzura zboru, może z powodu ostrości tonu, który mógł narazić polską jedność na prześladowanie. Natomiast ujrzała prasę inna, ofiarowana nie, jak tamte, Andrzejowi Leszczyńskiemu, ale Januszowi i Jerzemu Radziwiłłom, a poprzedzona nadto przedmową senjora litewskiego Chrząstowskiego. Polemizował on nawet z Bellarminem, uderzając też na Sokołowskiego, Grodzi-

ckiego i Skargę. Nic więc dziwnego, że poparł wystąpienie Turnowskiego, gdyż mogło ono imponować zwłaszcza mniej znającym dzieje kościelne.

Senior jedności wielkopolskiej usiłował wtedy w sporej broszurce p. t.: *Zwierciadło nabożeństwa chrześcijańskiego w Polsce* z r. 1574 udowodnić, że wiara polska zmieniła się w ciągu wieków tak, że straciła pierwotne ewangeliczne oblicze. Za dni św. Wojciecha przypominała raczej wyznania innowierców. Również husytyzmowi, który miał wtedy wielu zwolenników, hołdowała i Jadwiga. Czeska wiara znajdowała bowiem zawsze uznanie, omijała mądrości pogańskie, nie wdawała się, jak się to dziś czyni, w subtelności scholastyczne. Rzecz napisał Turnowski tak zręcznie, że, zdaniem Chrząstowskiego, mogła ona podobać się szlachcie. „Albowiem — pisał on — ten pracowity w winnicy Krystusowej robociądz, brat miły w Krystusie ksiądz Simon Teofil, który to zwierciadło napisał, dla pamięci ludzkiej wszystkie te niemal rzeczy zregestrował". Historja Kościoła w Polsce, stała się w świetle wyjaśnień Turnowskiego, zepsuciem pierwotnej czystości słowa.

Nic więc dziwnego, że nie mogła doczekać się odpowiedzi ze strony Marcina Łaszcza, który podpisywał się pseudonimem Żebrowskiego, Słupskiego, Issiory, Tworzydły. Łaszcz był współpracownikiem Wujka nad przekładem wulgaty, występował niejednokrotnie w polemice przeciw dyzunitom typu wileńskiego didaskała. Z ironji nie szczędził szyderstw, idących niekiedy zadaleko. Polemizował z antytrynitarzami Czechowiczem i Janem Niemojewskim, gromiąc z rozmachem ministrów, podszywających się pod miano głosicieli starej wiary. I trafnie podnosił różność wyznań tam, gdzie mówiło się o pierwotnej jedności, jak właśnie u Turnowskiego. On też odpowiadał i na ataki ze strony krakowskiego generalnego studjum, wskazując na wielość szkół, kaznodziejów, pieśni wychodzących z inicjatywy jezuickiej.

Okulary na zwierciadło nabożeństwa krześcijańskiego z r. 1594 są ostre w tonie, który znamionował zawsze rektora jezuickich kolegjów we Lwowie i Lublinie. Zadanie miał on niezawodnie ułatwione, a temperamentem przypominał swego imiennika z czasów rokoszu. Pisał popularnie

ale nie bez poważnego podkładu. Ale i Turnowski miał na myśli raczej masy, tłumacząc się przed synodem w morawskim Lipniku w r. 1598, że ogłoszono jego pismo na Litwie bez zezwolenia. Coprawda wydano je nawet po raz drugi zapewne w celach propagandowych w r. 1604, gdzie znalazł się i cytat z posiadanej przez Braci, biblji królowej Zofji. Nie nastąpiło to chyba bez współudziału Turnowskiego, który starał się wyraźnie nawiązać do polskich tradycyj husyckich, związanych zresztą z miłą na Litwie tradycją Jagiellonów. Wzmianka bowiem o spowodowanym przez Jadwigę przekładzie tekstu biblijnego na polski i o współudziale królowej Zofji, opierała się o autopsję rękopisu, który znajdował się u Krotoskich, rodzie należącym do zboru. Nabyli go oni, jak dziś wiadomo, przed r. 1562; znajdował się on w ręku Łasickiego, posiada i notatkę Turnowskiego. Powędrował następnie do Baranowa, siedziby trzeciej generacji Leszczyńskich, skąd dostał się do reformowanego przez Komeńskiego, kolegjum szarospatackiego. Jeżeli stanowił on istotnie resztkę rozproszonej bibljoteki Jadwigi, o której wiadomo, że nie umiała po łacinie, a lubiła czytać tekst biblijny, o czem wspomina właśnie Długosz, twierdzenie Turnowskiego o jej rzekomych sympatjach dla husytyzmu, mogło znaleźć wiarę u wielu. W rzeczywistości czytała ona chyba wiele, interesując się i sprawami uniwersytetu praskiego, czego dowodziłaby dedykowanie jej dzieła o kontemplacji i życiu czynnem mistrza dominikanina Jindrzicha z Bitterfeldu.

V.

Nadchodziły teraz czasy, w których i w jednocie nie brakło pewnych rozłamów. Poczynał uwydatniać się prąd kalwinizujący, co zagrażało oczywiście jej odrębności. Stanowił on istotnie niebezpieczeństwo, skoro inne nie miały takiego znaczenia ze względu na politykę zboru, nakazującą znosić cierpliwie wszelki ucisk. Tem gorliwiej pracował Turnowski nad pogłębieniem idei zgody, wydając tekst konsensu sandomierskiego po łacinie i po polsku w Toruniu w r. 1592, zwalczając jednocześnie ataki jej przeciwników,

którzy mieli wśród siebie też jednego z panów w osobie kasztelana gnieźnieńskiego Jana Zborowskiego.

Chodziło o zrozumienie obecności ciała Chrystusa w sakramencie ołtarza, które zdaniem Turnowskiego, należy rozumieć nie w sposób fizyczny czy figuralny, ale tylko *significative ac spiritualiter*. Zanim wyłożył to swoje stanowisko w osobnych traktatach, okazało się, że między zborem a lutrami, jak Gericius, zachodzą różnice i na temat osoby Chrystusa, i wreszcie chrztu i predestynacji. Nie brakło rozłamów między lutrami i kalwinami także na Litwie, gdzie wogóle nie obowiązywała zgoda; nie brakło oporu i wśród miast pruskich, co wymagało wstępnych kroków i propagandy. W Czechach zaś przeważał prąd kalwinizujący całkiem wyraźnie.

I teraz wychodzą z pod pióra senjora takie traktaty, jak nieogłoszone nigdy *Sarmatae de sacramento coenae Domini* i *Sarmatae de persona Christi* z r. 1593 i 1594. Miały one być przeznaczone dla zagranicy, jako napisane po łacinie, skoro już i dawniej polecał on jej przyjęcie przeprowadzonej niegdyś w Sandomierzu zgody. W istocie stanowisko jednoty nie było znów tak dalekiem od stanowiska kalwińskiego. Turnowski lubił jednak pośredniczyć, wyjaśniając, że terminy luterski i kalwiński są zbyt krańcowe i dadzą się zastąpić terminem neutralnym. Spirytualnie przyjmujemy ciało Chrystusa w sakramencie, co udziela się ciału i duszy. Mogą go spożywać i ludzie niegodni, spirytualnie tylko godni. Radzi zaś Turnowski trzymać się słowa ewangelicznego, wierząc, że w sakramencie jest ciało i krew, ale nie cały i żywy Chrystus.

Podobne stanowisko zajmował Turnowski i dawniej, gdy chciał łagodzić podobne spory. Broniąc znów boskości i człowieczeństwa Chrystusa, wyjaśniał ludzką Jego obecność też w sposób sakramentalny, gdzie człowieczeństwo zostało podniesione przez naturę boską. Racjonalnym sposobem nie dadzą się wyjaśnić wogóle te tajemnice, a spory przynoszą zborom jedynie zgorszenie. Pragnął zatem Turnowski im zapobiec, gdyż czuł, że szkodzą one innowierstwu. Dlatego zwracał się do teologów niemieckich, zabiegał i o zgodę jedności czesko-morawskiej. Istotnie znalazł w obu walczą-

cych na Zachodzie obozach pewne echo, choć nikogo chyba nie przekonał. Odrzucono jego poglądy i w ojczyźnie, gdzie proces kalwinizacji postępował wbrew starym zwyczajom i tradycjom. Okazało się, że między polskim senjorem a czesko-morawską jednotą zgody niema i w przyszłości nie będzie.

W rzeczywistości jednak słuszność miała jednota, skoro istotnego rozdziału między nią a Genewą nie było ani w sprawie eucharystji, ani predestynacji. Chodziło tu o spór czysto formalny, gdyż Bracia wyznawali kalwinizm i wszczepiali go swym zwolennikom, jakim był niegdyś Rafał Leszczyński, który na sejmie piotrkowskim przed czterdziestu laty nie zdjął w kościele czapki i stał w czasie podniesienia. Za późno było odziewać się teraz w strój Sarmaty, skoro najbliższy osobiście Turnowskiemu, teolog bazylejski Grynaeus nie podzielał poglądów przyjaciela, i zbliżał się czas, w którym nowe wydania konfesji okazały, że w ojczyźnie przechodzono otwarcie na kalwinizm. Nie pomogły i uzupełnienia traktatów w odpowiedzi danej przeciwnikom jako *Epiphonema Sarmatae,* ani odwoływanie się do uchwał dawnych synodów w mniejszych traktatach. Nie zostały one wydane, choć znano je chyba w odpisach jednoty. I nazewnątrz położenie stawało się trudnem, skoro odpadali od innowierstwa panowie i szlachta, a w niem samem powracały skłonności separatystyczne. Przywódca lutrów Glicner, w odpowiedzi na toruńskie wydanie konsensu, wydał w Gdańsku augsburskie wyznanie wiary w r. 1594. Ofiarował je mieszczanom poznańskim, by wskazać na zepsucie pierwotnego Kościoła. „Dlaczego — pisał w przedmowie — chcąc też Pan Bóg czas reformacjej dać a wykonać, już nie z Czech, nie z Morawy, ale z Niemiec męża dzielnego, serdecznego animusa Eliaszowego, nauki Bożej pełnego wzbudził, który prawie miał być wielką ozdobą i światłością kościoła rzymskiego". Oczywiście, zdaniem Glicnera, był nim Luter. Nie potrzeba dodawać, że w artykułach wiary, tyczących się eucharystji, lutrzy byli innego zapatrywania.

Turnowski był zmuszony wystąpić teraz przeciw domniemanemu sojusznikowi w „Obronie konsensu sandomierskiego", którą znamy również tylko z wyjątków, gdyż

nad pismami senjora zawisło jakieś fatum. I znów spotykamy tu ślady szczepowego pokrewieństwa Czechów i Polaków, czeskiej misji słowiańskiej, tradycji i stałości wiary. Obrońcą takiej postawy było drugie pokolenie Leszczyńskich z synem Rafała Andrzejem, a zapewne i Krotoskich jako panów na Krotoszynie, Żórawiu, Barcinie, Łobżenicy, dokąd zamierzał senjor przenieść się na jakiś czas ze względu na powrót Ostrorogów do starej wiary.

Waliły się poniekąd podstawy zgody, której był on nieugiętym szermierzem. Wskazywał więc, jak to już kiedyś czynił, że husytyzm wyprzedził luteranizm, że konfesja czeska znalazła uznanie u króla, że w luteranizmie są ciągłe wahania. Wskazywał na misję polską Izraela, na konieczność zgody wobec grożących niebezpieczeństw. Nie podobała mu się nawet dedykacja konfesji augsburskiej mieszczanom poznańskim. „Dedykował ją — pisał o Glicnerze — panom mieszczanom poznańskim, którzy dobrzy *quidem* a cnotliwi ludzie są i czci godni, lecz jednak sami to zeznają, iż są *homines privati et plebei, privatis tantum scriptis decorandi*". Nie uświadamiał sobie, że polski luteranizm opiera się raczej na miastach a nie na szlachcie. Istotnie też żywotność luteranizmu ujawniała się szczególnie w Toruniu, gdzie istniało coś w rodzaju innowierczej akademji.

Wpływy panów przywiodły jednak do zgody zwaśnionych. Że zaś powszechnie odczuwano potrzebę synodu generalnego, Turnowski więc korzystając z pewnego uspokojenia politycznych namiętności w kraju, godził się teraz na synod, gdyż i wewnętrzne porozumienie pozwalało na ten ważny krok, a tylko występy Gericiusa i opór miast pruskich przeciw zgodzie, psuły pełną harmonję. Jeżeli zaś Gericius trwał ciągle przy literalnem rozumieniu słów Chrystusa co do eucharystji, Turnowski odpisując mu, trwał dalej przy swojem. Na czem polegała różnica? Jeżeli porównamy teksty uwag obu zapaśników, wydaje się, że nie dzieli ich nic, gdyż obaj kładą nacisk na ziemski i nie boski żywioł w sakramencie. Ale w formule Turnowskiego, jako dobrego łacinnika, wsunięte jest wzmocnienie jego stanowiska. *In sacra cena* — mówi on — *dari et accipi terrestria, panem et vinum, atque coelestia, nempe corpus et sanguinem Christi.*

Użycie słowa *atque* ma znaczenie stopniujące i wskazuje, że Turnowski przykładał więcej wagi od Gericiusa do duchowego charakteru sakramentu.

Na synod toruński w r. 1595 ściągnięto nawet nieco litewskich kalwinów, a także delegatów miast pruskich. Przewodniczył luter Orzelski, który był prawdopodobnie zapaśnikiem w walce ze Skargą o konfederację i powoływał się nawet na Czecha Żyżkę. Chodziło o zachowanie konsensu i obronę przeciw katolikom. Kazania wygłosili Żarnowczyk Antoni, Chrząstowski, Turnowski czyli przywódcy duchowi wyznań, znani od dawna w literaturze. Kazanie ostatniego jest niewątpliwie najlepszem, nawiązuje do momentów dawniej już znanych, zwraca się do króla o opiekę. Temat zasadniczy mówi o znaczeniu miłości w wierze, potrąca o potrzebę cierpliwego znoszenia prześladowań, nie pomija przedmiotu znanego już z dawniejszych wystąpień zboru, o potrzebie lepszego obchodzenia się z ludem. Kaznodzieja odcina się stanowczo od antytrynitarzy, odnosi się bratersko do katolików, podnosi podobieństwo zasad innowierstwa i prawosławia.

Turnowski uświadamiał sobie, że przemawia w mieście, gdzie szkoła miała ambicje, że stoi na czele szkolnictwa innowierczego. Zbór czeski miał w niej udział za rektoratu Górki, kiedy chciano ją postawić na poziomie słynnej szkoły strasburskiej Sturmiusa. Istniała tu i bibljoteka, a także lektorat polski w osobie brata Macieja, Jana Rybińskiego. Ale i do niej zaglądał filipizm, sprzyjający jak wiadomo, kalwinizacji. Turnowski słynął już wtedy wiedzą teologiczną, choć do kompromisowości skłonnym nie był. Niemniej chwalił Husa i Lutra, nie wspominając bynajmniej o Kalwinie. Zmierzał widocznie do objęcia zgodą i prawosławnych. A jeżeli chodzi o chłopów, za którymi wstawiał się Skarga przed kilku laty, upominając ewangelików, a w kazaniach sejmowych nazwał postępowanie szlachty pogaństwem, Turnowski prostował opinję, jakoby szlachta broniła kraju tylko własnemi siłami.

„Ale w rzecz niepochlebnie wejźrzawszy — mówił — kto wojnę odprawuje? Najdziemy, że nie pan, ale mizerny kmiotek, bo ten z swojej kaletki, a nie pan z swojej skrzynki

musi pobór na wojnę dawać. Dobrze-li to źleli? Tym, którym to właśnie należy, na rozsądek sprawiedliwy podawam". Tem większy kładł kaznodzieja nacisk na potrzebę miłości, co ogarnia wszystko. Popierała ta postawa senjora jednoty ideę zgody, do której zgłaszał się wróg unji brzeskiej ks. Konstanty Ostrogski, by również kłaść nacisk na podobieństwo poglądów między innowiercami. Z tego powodu odczytano ogłoszony niedawno drukiem konsens, by, zwłaszcza pod naciskiem Leszczyńskiego, przyrzec jego dochowanie. Przeciwników konsensu wykluczono z jedności. Zjazd był więc triumfem idei Turnowskiego.

Kazania synodowe z r. 1595 są tedy dokumentem osobliwej chwili w dziejach literatury innowierczej. Celują, o ile idzie o kazania Turnowskiego, układem, płyną spokojnie. Są wyrazem chwili, w której polemika międzywyznaniowa ożywiała się na nowo. Ostróg stawał się głównem miejscem oporu. Przeciw niemu występował Skarga, wyzyskując uwagi Sokołowskiego i Possewina, broniąc króla wyznawcy jako inicjatora przyszłej unji, przygotowując drogę skłonnym do niej władykom, którzy liczyli się z królem. Zjazd toruński miał okazać potęgę innowierstwa i podziałał zapewne na chwiejnych. Godził szczególnie przeciw zakonowi jezuickiemu, gdyż on prowadził właściwie wszystko. Groził nawet osobą Ostrogskiego, choć nie tracił z oczu i spraw innych, jak szkoły, karności, jedności międzywyznaniowej. Nie było gróźb tylko w słowach Turnowskiego, któremu jednota nakazywała ostrożność.

A jednak miasta pruskie nie przystąpiły do zgody, co było niewątpliwą klęską. Artykuły synodalne stwierdzały jednak pełnię zgody również i w stronach litewskich. Zatem siła innowierstwa tężała, ustalając ponownie rolę świeckich w zborze i zaznaczając wierność królowi. Zygmunt III nie przyjął jednak wysłańców synodu, choć na ich czele stali Leszczyński i Gostomski. Nie uznali artykułów synodu także mieszczanie poznańscy, co przyprawiło o zamieszanie zbory jednoty poznańskiej. Atmosfera stawała się więc ciężką, gdy przeciw unji brzeskiej oświadczyło się jeszcze kilka województw ruskich, a w bractwach prawosławnych niemal kotłowało się, sejmy zapowiadały się więc burzliwie.

I sojusz innowierców z prawosławnymi wydawał już owoce, skoro nawet antytrynitarze zastawiali się o Ostróg. Obrona prawosławia tchnęła duchem protestanckim a nie cerkiewnym. I polemika nabierała brutalności, wybuchając w Poznaniu, gdzie uwydatniał się wyraźnie rozłam między luteranizmem a resztą innowierców. Najostrzej jednak przedstawiał się spór na Rusi. Jego znakiem był natchniony przez Ostrogskiego synod wileński, który miał znów skupić rozdzielonych. Trwał ruch przeciw unji brzeskiej, podkreślając uporczywie wspólność interesów całego innowierstwa. Namnożyło się trudności, które mogły doprowadzić do rokoszu.

Okazało się, że Leszczyński i wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł oddziaływali na Ostrogskiego, by doprowadził do formalnego porozumienia w obronie konfederacji. Oni też przygotowali synod wileński w r. 1599 i mieli na uwadze pomoc Turnowskiego. Chodziło oczywiście o rozciągnięcie konsensu i na Ostróg, co groziło poniekąd protestantyzmem dla prawosławia. Główny punkt polityki wewnętrznej przechodził od dawna z sejmów na zjazdy i synody. Głęboka przepaść między Wschodem i Zachodem zdawała się zacierać, jak gdyby na gruncie polskim spełnić się miało to, o czem myśleli niegdyś luterscy teologowie tubingscy Andreae i Crusius, gdy zwracali się do patrjarchy Konstantynopola Jeremiasza II z propozycją sojuszu.

Turnowski ruszył do Wilna przez Radziejów, Toruń, Kwidzyń, Królewiec, Kowno. Podróżował w towarzystwie Glicnera i Mikołajewskiego, nakłaniając pierwszego, by zapobiegł dalszym rozdźwiękom, które i na grunt litewski się przenoszą. Zjawili się w Wilnie i wysłańcy Ostrogskiego, przybył wreszcie i sam wojewoda kijowski. Nie łatwo więc było porozumieć się z klerem ruskim, który żywił nawet do sojuszników głęboką nieufność. Różnice dogmatyczne były bądź co bądź wielkie, co uświadamiali sobie chyba i towarzysze seniora Maciej Rybiński i Gratian. Zatem Turnowski spisał artykuły, gdzie polecał porozumienie na podstawie słowa, konieczność zgody patrjarchy, który może przysłać legata na zjazd, a nawet wbrew zgodzie patrjarchy. Głową kościoła jest przecież Chrystus, a dążenia do poro-

zumienia sięgają średniowiecza. Możnaby przedstawić prawosławnym tekst konfesji i poddać tę konfesję dyskusji.

Nad sprawą pochodzenia Ducha św. co dzieliła od wieków Wschód i Zachód, przechodził Turnowski łatwo do porządku dziennego. Jego „Droga litewska" znajdująca się również w rękopisie i znana raczej częściowo, nie przykłada też znaczenia do ceremonij i kalendarza, a zwraca się w szeregu zapytań do strony przeciwnej, czy wierzy w słowo ewangeliczne i dawnych doktorów, czy jest skłonną poprawić naukę i czy uważa innowierców za braci, czy chce wreszcie mieć obronę przed antychrystem. Turnowski ze swej strony, idąc zresztą za ogółem innowierstwa, gotów był zgodzić się na pewien czas na kult obrazów i świętych. To charakteryczne ustępstwo mogło się wydać prawosławnym nieco śmiałem.

Plany Turnowskiego sięgały zresztą daleko, skoro myślał i o Moskwie, gdzie towarzyszący ojcu obecnego pastora Rokyta, z carem Iwanem Groźnym o wierze rozmawiał. Na obiedzie u Ostrogskiego zetknięcie się z klerem prawosławnym, nie zapowiadało się pomyślnie. Widząc to Ostrogski, usiłował wywrzeć nacisk na swoich, grożąc, że może ją i sam przeprowadzić. I teraz Turnowski posługując się dawniej już wypróbowanym sposobem, odwołał się do tradycji, potępił unję florencką, podniósł znaczenie chrześcijańskiej miłości, która powinnaby ogarnąć Moskwę i Grecję. Gotów był roztrząsać wszystkie artykuły wiary na fundamencie słowa, co imieniem prawosławnych, uznał ihumen dubieński Izaak, uzależniając jednak wszystko od patrjarchy.

Zaproponował nawet poddanie się patrjarsze, na co odpowiedziano, że głową kościoła jest tylko Chrystus, a patrjarcha tylko jednym z następców apostolskich. Miała nastąpić dysputa i z Jezuitami, skoro byli obecni Żarnowczyk i Chrząstowski oraz wielu panów litewskich i ruskich. Moderatorem ze strony synodu miał być Turnowski, a temat dysputy stanowił prymat papieża. Miała ona skończyć się zwycięstwem innowierców, co jednak jest mocno wątpliwem. Nie dysputa, ale punkty zgody stanowiły główną treść synodu. Punktów było ośmnaście, ułożonych zapewne z natchnienia Turnowskiego. Ich treścią jest uznanie słowa

za jedyne źródło wiary, stwierdzenie wiary w dogmat Trójcy św., podkreślenie ważności symbolu apostolskiego, boskości, człowieczeństwa, ofiary Chrystusa, dalej grzechu pierworodnego, odpuszczania grzechów za cenę pokuty, niezbędności dobrych uczynków, wreszcie Chrystusa jako jedynej głowy Kościoła, hierarchji duchownej zachowującej raczej celibat i wieczerzy Pańskiej pod obiema postaciami.

Osobny artykuł mówił o czyścu, wobec którego innowiercy i prawosławni zajmowali stanowisko negatywne. Jeżeli teraz przyjrzymy się tym punktom, można widzieć w nich krok dowodzący zręczności dyplomatycznej Turnowskiego. Uczynił on wszystko, by zbliżyć prawosławnych do upragnionej zgody i dzieło dokonane przed ćwierćwieczem uwieńczyć sukcesem o dużej wartości. Zasługuje na uwagę ważność celibatu, który duchowni braccy od jakiegoś czasu poczęli lekceważyć. Turnowski jako tradycjonalista trzyma się celibatu, mniemając, że jego argument trafi do bezżennej wyższej hierarchji duchownej tak świeckiej jak i zakonnej prawosławnych. Przedstawiciele tej hierarchji zgodzili się też na punkty seniora, choć zgoda musiała i mogła być tylko polityczną. Miano też wysłać list o zawartej zgodzie do patrjarchy.

Okazywało się jednak, że i zgoda zboru z lutrami opiera się na kruchej podstawie. Jeśli się trzyma, rozstrzyga tylko wpływ świecki. Jedno było pewnem, że polska jedność, dzięki taktowi swego senjora, odegrała i tym razem, jak niegdyś w Sandomierzu, rolę pośredniczącą. Patrjarcha Melecy Pigas, który niedawno jeszcze wzywał Ostrogskiego i obu opornych unji władyków do obrony prawosławia, przyjął do wiadomości postawę synodu i jego wodza, ale był zbyt świadomy dzielących różnic, by nie żądać pewnych zmian. Przysłał nawet protosinkiela Cyryla Lukarisa, który nie mógł jednak dokonać niczego. Efekt był, choć jego skutki nie mogły trwać długo. Tem większą była niepewność, że otwierała się przepaść między królem a opozycją. Gdy zaś przyszło do rokoszu, innowiercy szli mu zewsząd z pomocą. Zjazdy, jak sandomierski, żądały spokoju religijnego i odnowienia religji greckiej. Wileńskie rozmowy nie minęły więc całkiem bez śladu.

Turnowski zamykał zaś swą działalność, którą zamąciły jeszcze niesnaski z czesko-morawską jednością. Pisał jeszcze podobno, zachęcając Łasickiego do napisania dziejów wyznania i tłumaczył nadto czeski traktacik o wychowaniu młodzieży duchownej. Jego stanowiska dogmatycznego jedność nie podzielała jednak do końca. Musiał zatem rezygnować, jako karny członek społeczności. Sam był już tak spolszczonym, że posiadał tu już drugą ojczyznę. Z nią związany, żegnał się w osobnem pisemku z tymi, których konfesja różniła się od dawniejszej. Nadchodził czas, w którym każde z wyznań zamykało się w swych granicach, ścisłego konfesjonalizmu.

Co się tyczy Jana Turnowskiego, był on większym od Szymona humanistą, skoro władał metrum łacińskiem. Wyszkolony w Marburgu, kaznodzieja i polemista, pisał językiem iście rejowskim. Ale też cenił Kochanowskiego może i w celu przeciwdziałania popularności luterskiego kancjonału Antoniusa. Posiadał widocznie poczucie rytmu, skoro poprawiał nawet Rybińskiego, co znać i po wydaniu kancjonału pod patronatem trzeciego pokolenia Leszczyńskich. Jako kaznodzieja, szczególnie pogrzebowy, moralizował raczej a nie panegiryzował. Będąc pastorem w Baranowie, a potem po zborach wielkopolskich, zajmował, jak się zdaje, poważne miejsce w szkole toruńskiej, a w zborze jako następca stryja spełniał rolę seniora. Żył w czasach trudnych, ale zgody sandomierskiej bronił z uporem. Stosunki na gruncie toruńskim układały się bardzo niepomyślnie, a polemika przybierała charakter dawniej nieznany. Sam Turnowski przedstawiał typ, który spotka się częściej w zborze w w. XVII. Posiadał erudycję literacką i pretensje literackie, czego nie można powiedzieć o jego poprzednikach.

VI.

Szymona Turnowskiego jako indywidualność wyższą nad Izraela i innych, nazwano poprzednikiem Komeńskiego. Istotnie jest w nim coś z mistyki, oderwania od doczesności, ukochania szkoły i języka ojczystego, wielkiego pedagoga. Jest i dążność do porozumienia między wyznaniami, czyli, jak mówi dziś historyk kościoła polskiego Völker, do wyż-

szej jedności protestanckiej. Nie brak mu, jak i Komeńskiemu, pewnego ducha opozycji wobec nadmiernego kultu antyku.

Jest to więc jakby czeski punkt widzenia, gdyż jednota określiła niezaprzeczenie drogi każdego, nawet najbardziej samodzielnego swego członka. Intelektualizmu w niej nie było. Żywiła zaś wysokie poczucie apostolstwa w spadku po szeregu wybitnych jednostek swego wyznania. Jej kompromisowość i oględność tłumaczyła się względami oportunistycznemi a jednocześnie ambicją odegrania roli pośredniczki. Można tedy dzieje literatury jednoty na gruncie polskim poczytać za przygotowanie do wystąpienia Komeńskiego, a także jako łącznik międzywyznaniowy.

Jej charakter był raczej aliteracki. Wynikało to z charakteru jednoty, w której zbiorowość znaczyła więcej od jednostki. To wiązało ją jakby ze średniowieczem. Zrósłszy się z polskim gruntem, nie mogła nie związać się z kalwinizmem jako głównym prądem innowierczym na przestrzeni całego państwa. A związawszy się, rozpłynęła się niejako w kalwinizmie. Nie można zaś powiedzieć, by podłoże ruchu, który wywołała, było ekonomicznem. Przeciwnie, magnackie jednostki należące do wyznania zboru, mężczyźni czy kobiety, okazują gorące przywiązanie do idei, co prawdopodobnie odnosi się i do wielkopolskiej szlachty.

Związała się jednota ze szlachtą, choć dążności społeczne posiadała i do końca wieku ich się nie wyrzekła. Idealne cele przyświecały jej długo. W wieku następnym jej oblicze przedstawi się nieco inaczej z powodu napływu nowych uchodźców, którzy nie ulegną spolszczeniu. Wtedy to rozegra się tragedja jednoty i jej głównej stolicy — Leszna.

Tadeusz Grabowski.

ŹRÓDŁA:

R. Kruske: *Georg Israel.* Breslau 1894.
Fr. Blume: *Die evangelische Kirchenmusik.* Potsdam 1931. Handbuch der Musikwissenschaft.
Jaroslav Bidlo: *Jednota bratsska v prvnim vyhnanstvi.* Cz. I—IV. V Praze 1900—1932.

J. S. Müller: *Geschichte der böhmischen Brüder.* I—III. Herrnhut 1922—1931.
Z. Winter: *Život církevní v Čechách.* T. I—II. V Praze 1895—1896.
T. Hrejse: *Česka konfesse, její vznik,* podstata a diejiny. V Praze 1912.
T. Grabowski: *Piotr Skarga na tle katolickiej literatury religijnej w Polsce w w. XVI.* Kraków 1912.
— *Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce.* W Krakowie 1906.
J. Jakubec: *Diejiny literatury czeske.* I. Praha 1929.
K. Górski: *Grzegorz Paweł z Brzezin.* W Krakowie 1929.
Reformacja Polska. R. I i VI. Warszawa 1921 i 1926.
K. Völker: *Kirchengeschichte Polens.* Berlin und Leipzig 1930.
J. Łukaszewicz: *O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce.* W Poznaniu 1935.
O. Halecki: *Zgoda sandomierska 1570 r.* Warszawa 1915.
Rękopisy Bibljoteki Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu i Bibljoteki Raczyńskich nr. 45, 46, 48, 49, 50, 62.
Drukowane dzieła Turnowskiego z bibljoteki kórnickiej i jednoty z bibljotek Czartoryskich, Baworowskich i Ossolineum.

Duchowe oblicze Traugutta.

(Dokończenie)

Troska o ducha armji narodowej stale zaprzątała Dyktatora. Za najpilniejszą sprawę poczytał sprawę karności w oddziałach i stąd dekrety reorganizujące luźne, samowolne często i jako własność dowódców traktowane partje powstańcze, w małą armję, w szeregi wojska regularnego. Stąd dekrety przeciwko uciekinierom i darmozjadom, co w mundurach miesiącami siedząc, w bezpiecznej Galicji udawali bohaterów.

Ale wychowanie żołnierskie Traugutt pojmuje głębiej, nie chodzi mu o karne a nawet bitne automaty; w żołnierzu polskim chce widzieć podobnie jak Norwid „rycerskość" a nie „sołdactwo".

„Święte prawa rodziny i własności codziennie deptane są przez wrogów, z właściwą im bezczelnością i barbarzyństwem. Straż tych praw, Ojczyzna Wam, Żołnierze Polscy, powierza!" woła Traugutt. [1])

„Każdy z Was, któryby się splamił gwałtem lub okrucieństwem, stałby się równym moskalowi i zasłużyłby na tę pogardę, jaka się należy siepaczom najazdu".

„Pomnijcie zawsze — żeście chrześcijańscy rycerze, zachowajcie dziedziczne cnoty waszych przodków z gorącą wiarą, karnością i męstwem".

A w liście do gen. Bosaka-Hauke, jeszcze mocniej akcentuje ten chrześcijański charakter żołnierza polskiego. [2])

---

[1]) Odezwa do wojska z dn. 15. XII. 1863 r.

[2]) Za Dubieckim: l. c. str. 125, 126.

„Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa: czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie swawolę i demoralizację roznosić wszędzie powinien. Cnota żołnierza naszego powinna być czynną t. j. zasadzać się głównie na czynach, połączonych z poszanowaniem zewnętrznych form przez Kościół przyjętych i uświęconych, jako objaw widomy uczuć wewnętrznych, ale bynajmniej nie uważając tych form za treść samą, za doskonałość chrześcijańską, bo one, bez ducha chrześcijańskiego i płynących zeń czynów, będą nietylko bezużytecznemi, ale szkodliwemi nawet; gdyż będą kalać świętość religji, sprowadzając ją tylko do zewnętrznych praktyk, zupełnie niezgodnych z postępowaniem. Niech będzie wiara gorąca i szczera bez fanatyzmu, pobożność prawdziwa bez bigoterji, przyzwoitość obejścia się, zarówno daleka od śmiałego narzucania się jak i od zimnej i odpychającej surowości". I dodaje: „Przykład dany z góry, zły czy dobry z łatwością na niższych oddziaływa".

W słowach tych Traugutt mimowoli scharakteryzował siebie. Ten przegląd jego myśli na temat takich istotnych pojęć jak naród, państwo, rodzina, społeczna miłość i sprawiedliwość, kształtowanie ducha obywatelskiego i rycerskiego, pojęć i dziś tak bardzo aktualnych, powinien zwrócić uwagę na Trauguttа, jako na wielkiego Wychowawcę Narodu, który życiem, czynem i śmiercią zadokumentował hasła, jakie głosił.

IV.

Stwierdziliśmy fakt niezwykłej religijności Traugutta, duszy nawskroś chrześcijańskiej. Musimy wskazać *źródło* tego nurtu. W Traugucie nie mamy do czynienia z chrześcijaństwem bezświadomem, nieokreślonem i indywidualnem; niema odcieni czerpanych z romantyzmu czy towianizmu. Traugutt był duszą prostą i trzeźwą; nie znosił religijności sentymentalnej czy ekscentrycznej. Gdy taka właśnie szlachetna ale romantyczna dusza, Rafał Krajewski b. dyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych, wystąpił z projektem, by w dzień wigilji Bożego Narodzenia ludność Warszawy z opłatkiem wyszła na ulice i w duchu przebaczenia łamała

się z policją i kozakami, Traugutt wzruszył ramionami. „Chciałem go użyć jeszcze do jakiejś roboty, ale widzę — że niepodobna" zwierzył się potem Dubieckiemu.

Mimo tylu akcentów wiary, jakiemi były nacechowane jego odezwy czy listy, budził też różne wątpliwości w uległym zapewne towianizmowi (przez wpływ ojca) Edmundzie Różyckim. Wywołało to gorzką i mocną odpowiedź ze strony Trauguttа, który poczuł się boleśnie dotknięty w swych najświętszych przekonaniach.

„Zaprawdę — pisał w obszernym liście z d. 25 marca r. 1864 [1]) w dziwny sposób do Rządu przemawiacie (Rządem był sam Traugutt) mówiąc, że wzywając wszystkich w imię Boga, powinien sam w Boga wierzyć... Czy pomyśleliście nad tem, czy jest jaka możność robienia tego, co my robimy, bez takiej wiary?... Obywatelu ziemi Polskiej! Uwłaczając w podobny sposób i z taką niebaczną lekkością Rządowi polskiemu nie Rząd, lecz siebie poniżasz... Jeżeli zaś czujesz i jesteś przekonany, że to coś powiedział jest prawdą i że zarazem ty jesteś tym człowiekiem, który i rzeczy rozumie jak należy i przejęty ową prawdziwie chrześcijańską wiarą i ufnością w Boga, a miłością dla ludzkości, drugich najwłaściwiej poprawić zdoła, to obowiązek sumienia nakakazuje ci przybyć tu [2]) — i stanąć do kierowania wszystkiem... Grzesząc i to ciężko grzesząc w swojem piśmie, więcej daleko przeciwko krajowi jak przeciwko nam zgrzeszyliście, chociaż i osobistość nasza została przez was mocno dotknięta, bo jakiemiż są ludzie, którzy wmawiają w drugich to, czego sami nie podzielają, odzywają się w imię Tego, w którego sami nie wierzą, a rozporządzenia ważniejsze wydają dla efektu i chwilowego zajęcia publiczności...".

Wiara i mistyka Trauguttа — była wiarą i mistyką katolickiego Kościoła. Jego chrześcijaństwo było pełnem chrześcijaństwem — było katolicyzmem.

Z drugiej jednak strony, ten jego niewątpliwy katolicyzm życia i zasad, ma pewne zastrzeżenia w stosunku do tych grup kleru katolickiego, które z powstaniem były

---

[1]) Materjały tom V str. 423–24.

[2]) Różycki przebywał we Lwowie.

w kolizji. Te zastrzeżenia stawia Traugutt Stolicy Apostolskiej wobec kandydatów na stolice biskupie lubelską i suwalską [1]) (ks. Goljana i ks. Łubieńskiego). Te zastrzeżenia żywił wobec biskupa płockiego Wincentego Popiela, wreszcie wobec naznaczonego przez moskali administratora diecezji Warszawskiej prałata Zwolińskiego. Z tych samych powodów, w instrukcji dla Gabryela Łuniewskiego ajenta Rządu Narodowego przy Watykanie, surowo sądzi Zmartwychwstańców.

Karol Majewski w zeznaniach swoich mówi, że Traugutt kiedyś w rozmowie, bronił się od zarzutów „klerykalizmu" Obronę od „klerykalizmu skwapliwie w swojej monografijce notuje Limanowski; [2]) trudno z tak krótkiej i mętnej wzmianki Majewskiego coś wysnuć. [3]) Ale zdaje się, że jeżeli katolickim religijnym poglądom Traugutta stawiano jakie zarzuty, to w dyskusji na ten temat mógł, nie odstępując od istoty zagadnienia, stwierdzić, że wobec sfer duchownych zajmuje stanowisko zupełnie politycznie niezależne. A jako dowody mógł przytoczyć wyżej cytowane przykłady.

Katolicyzmowi swemu dał Traugutt niejednokrotnie wyraz w życiu osobistem i na stanowisku publicznem.

Już w pierwszych słowach zwróconych do Narodu w manifeście z d. 29 paź. 1863 r. wyraża swe oburzenie, iż „dziki i bezbożny wróg nasz splugawił gwałtem kościoły i schronienia umarłych, znieważył klasztory rozpustą". [4])

A w manifeście do ludu z d. 25 marca 1864 r. tłumaczy chłopu polskiemu, iż moskale „są Kościoła katolickiego i Wiary naszej świętej nieprzyjaciele zaklęci, a teraz (zwłaszcza) na Wiarę św. najwięcej rozsrożeni".

---

[1]) Depesze do Ajenta przy Watykanie z d. 7. XII. 63 i d. 15. II. 64, (Bibl. Wojskowa w Warszawie).

[2]) Limanowski: Traugutt. Str. 37.

[3]) Oto dosłowna cytata zeznań Majewskiego:

„Dopiero w połowie grudnia Traugutt sam zaczął mnie osobiście odwiedzać. Objaśniał mnie szczerze, że zarzuty klerykalizmu na rząd jego kładzione są niesłuszne, że... (następują wyjaśnienia posunięć personalnych w ajencjach zagranicznych).

Według kopji rękopiśmiennej sporządzonej przez Ed. Malisiewskiego dziś w zbiorach autora.

[4]) Mowa o zajęciu warszawskich klasztorów przez wojska rosyjskie, dopuszczającego się w ich murach nadużyć.

„Krew męczenników — woła wreszcie w odezwie do duchowieństwa (d. 15. XII. 63.) płodna jest. Prześladowaniem Kościół się budował, a Bóg nie opuszcza tych, których wybrał jako godnych cierpieć dla Imienia Jego (sic)".

„Moskwa rozumie to dobrze — pisze do ajenta przy Watykanie Łuniewskiego (15. II. 64), że z katolicką Polską nie da sobie rady, to też teraz największą swą wściekłość wywiera na naszych duchownych Pasterzy". [1])

Sensus catholicus do trzech zasadniczo wartości da się sprowadzić, a temi są: papież, Matka Najświętsza, Eucharystja.

Te trzy stygmaty katolickości odnajdujemy w Traugucie.

Na szczególną uwagę zasługuje stosunek jego do Stolicy Apostolskiej. Nasze ruchy insurekcyjne nie pozostawiły po temu tradycji. Dopiero rok 63 dał wyraz katolickim uczuciom Polski. Pierwszy kontakt z Rzymem, z Piusem IX nawiązał bodaj na wniosek Gołemberskiego t. zw. rząd czerwcowy (Karola Majewskiego). [2])

Wyprawiono wtedy do Rzymu przez paryską ajencję księcia Wł. Czartoryskiego adres, wyrażający katolickie uczucia Polski.

Tę tradycję podtrzymał Traugutt. Pierwszy znany nam akt z jego działalności zewnętrznej po objęciu rządów, to list do Piusa IX, podpisany dawno w dyplomacji europejskiej zapomnianym zwrotem: „Z synowską miłością — Rząd Narodowy Polski".

„Ojcze Święty — oto początek listu — walcząc przeciwko najzawziętszym nieprzyjacielom sprawiedliwości i cnoty dla wywalczenia wolności Ojczyzny, otrzymaliśmy najweselszą wiadomość, że Ty, Ojcze Święty, dałeś dowód łaskawości swojej względem naszej sprawy, nakazując w Rzymie publiczne modły w celu uproszenia Miłosierdzia Bożego dla Narodu Polskiego".

„Będąc u steru spraw publicznych w tych najtrudniejszych okolicznościach, zmuszeni jesteśmy, Ojcze Święty, złożyć Ci najgłębsze dzięki w imieniu całego ludu polskiego

---

[1]) Z autografów Traugutta w Bibl. Wojskowej (559/63).

[2]) Janowski t. II. str. 53.

za postawienie sprawy naszej wobec Najwyższej Sprawiedliwości i bronienia jej tam przez Twoje i wiernych za przykładem Twoim idących — modlitwy".

„Tak jest, Ojcze Święty! Silnie trzymając się tradycji religijnej przodków naszych, z tym samym znakiem wiary, jako przedmurze chrześcijaństwa, chwyciliśmy za broń dla odpędzenia barbarzyńskich Moskali, nieprzyjaciół wiary, nasze krainy niszczących, nasze świętości depcących".

„Nie lękamy się sprawy naszej nazwać sprawiedliwą i dlatego pragniemy otoczyć się najczulszą opieką serca pasterskiego".

Zawiązane stosunki zacieśniły się, a funkcję ajenta polskiego przy Watykanie pełnił Gabrjel Łuniewski „któremu — jak pisze Traugutt do komisarza pełnomocnego na sandomierskie (ks. kan. Kaspra Kotkowskiego) — Ojciec Św. polecił co środa składać raporta o wszystkiem, co się u nas dzieje i takowe raporta za pośrednictwem monsignora Franchi sobie w oryginale komunikować kazał. [1])

W instrukcjach, które Traugutt przesłał Łuniewskiemu 10. XI. 1863 r. czytamy:

„Rząd Narodowy, opierając się na odwiecznych zasadach społecznego porządku, działania swoje rozpoczął, prowadzi i do pożądanego celu aż do końca prowadzić będzie w duchu posłuszeństwa dla Stolicy Apostolskiej w rzeczach duchowych, jakie Jej się od kraju przeważnie katolickiego należy". [2])

„Szczerem i gorącem pragnieniem Rządu Narodowego jest obrona i krzewienie wiary św. katolickiej, a mianowicie obrona od schyzmy moskiewskiej i gwałtów, których kościół obrządku greckiego z rzymskim połączonego był i jest nieustannie przedmiotem ze strony najezdniczego rządu moskiewskiego z zapewnieniem, że w krzewieniu i obronie Wiary św. katolickiej, Rząd Narodowy nie użyje i nie dozwoli użyć innych środków, oprócz przekonania i miłości".

Wzmianki o Piusie IX raz po raz odnajdujemy w odezwach Traugutta.

[1]) Autografy Traugutta w Bibl. Woj. (559/63).

[2]) Instrukcję tą znamy tylko z fragmentów drukowanych w czasopiśmie księży-emigrantów *Wiara* (Paryż, wrzesień 1866 r. str. 74).

„Głowa katolickiego Kościoła szlachetnej Polsce zapowiada zwycięstwo i świętą naszą sprawę wspiera modlitwami katolickiego świata; pragnie przywrócenia sprawiedliwości i praw pogwałconych" głosi odezwa do Duchowieństwa.

W ciepłych słowach mówi o papieżu Traugutt ludowi polskiemu:

„Oto Ojciec św. powiedzieć raczył: »O Polacy, wy zacni jesteście, wam się należy zwycięstwo«. Następnie tenże Ojciec św. modlitwy publiczne za Polskę nakazał i jubileusz wyznaczył, a w końcu i do cesarza francuskiego pisze, że wolą Jego jest, aby sprawiedliwość była przywróconą, a pogwałcone prawa dla pokrzywdzonych były odzyskane" (Odezwa 1. I. 1854).

I znowu: „Oto drugi rok u Ojca Świętego (moskale) proszą, żeby nas Polaków potępił a On, jako Pasterz dobry, takiej niesprawiedliwości uczynić nie chce i nie czyni, ale owszem, modlić się za nas każe, czem najpewniejszą pomoc wyjedna" (Odezwa z d. 25. III. 1864.).

Po latach — miło stwierdzić katolikowi polskiemu, że dwa świetlane duchy: papież Pius IX i tajemny dyktator Polski Romuald Traugutt spotykali się w myślach; że ufność Papieża była ufnością dyktatora; że obaj, w tych najbardziej dla Polski groźnych i klęskowych czasach, wbrew przewidywaniom, już nie tylko polityków europejskich, ale i całego szeregu działaczy polskich wierzyli w zmartwychwstanie Ojczyzny naszej, jako w prosty wynik — Najwyższej Sprawiedliwości.

Imię Bogarodzicy, Niepokalanej Królowy Korony Polskiej, spotykamy zarówno w dyplomatycznej korespondencji Traugutta, jak i w publicznych odezwach.

Jedną z najmilszych dla Traugutta chwil w ciężkim okresie dyktatury, była nadesłana przez Ajencję Paryską wieść, o wypłynięciu na wody mórz europejskich statku z polską banderą pod nazwą „Kościuszko". Do sprawy tej przywiązywano duże nadzieje. Dyplomacja francuska dawała do zrozumienia, że pojawienie się takiego statku, da precedens dla państw europejskich do uznania Polski za stronę wojującą. Zresztą była to bądź co bądź zapowiedź przyszłej floty polskiej! Z radosnem tedy wzruszeniem pisze Traugutt

w nocie z d. 8. lutego 1864 do księcia Wł. Czartoryskiego: „Kościuszko" puścił się na morze. Opatrzności Boskiej i szczególnej opiece Królowej Naszej Niebieskiej polecamy ten zawiązek floty naszej narodowej"...

I znów — Polakowi współczesnemu miłą jest rzeczą, że ten zaczątek naszej floty usłami Traugutta został oddany pod błękitną pieczę *Stellae Maris* — Bogarodzicy.

A okrzyk bojowy, jaki rzuca Traugutt na rok nowy 1864 brzmi: „Weźże się do tej roboty, dziatwo polska, nie leniwo, w Bogu ufając, mężnie i wytrwale sobie poczynając, a Bóg Najwyższy, za przyczyną Matki Najświętszej Królowej Polskiej wprędce nas od tej szarańczy moskiewskiej uwolni" (Odezwa noworoczna do ludu z 1864).

Uzupełnieniem tych śladów kultu Matki Bożej w życiu Traugutta będzie przypomnienie owej kapliczki z obrazem Bogarodzicy w mansardzie ostrowieckiego dworu i wspomnienia córki, p. Anny z Trauguttów Juszkiewiczowej, która świadczy: „(Ojciec) mawiał, że Matka Boża jest naszą opiekunką. W maju zbierał wszystkich na majowe nabożeństwa, które sam czytał z książeczki"... [1]) Dochowała się dotąd ta książeczka biedna i zżółkła, w zielonej papierowej okładce drukowana u XX. Misjonarzy w Warszawie, świadek niemy owych majowych nabożeństw Traugutta...

Po straceniu dyktatora, z polecenia Trepowa, komendant Cytadeli jen. major Zajcow sporządził inwentarz rzeczy zabranych z mieszkania przy ul. Smolnej. Wśród 50 pozycyj garderoby, prostych sprzętów i drobiazgów, znajdujemy pod numerem 38 jedyny obrazek, „obrazek Zbawiciela", a pod numerem 45 wzmiankę o złotym pierścionku z wizerunkiem Matki Bożej... [2]) Pierścionek wraz z medalikiem również z Matką Boską zdjęty z szyi Traugutta zwrócono z paroma drobiazgami wdowie; resztę rzeczy spalono. Niestety, cenne te pamiątki stały się łupem chciwości ludzkiej w czasie pożaru domu.

Religijną potrzebą tego głęboko wierzącego chrześcijanina był kontakt z Bogiem w komunji świętej. Przed ruszе-

---

[1]) Relacje spisane w zbiorach autora.

[2]) Dr. A. Próchnik: W celi Traugutta. Tyg. Illustr. 4. II. 1934 r.

niem w pole (maj 1863), bawiąc z pożegnaniem u siostry Alojzy Juszkiewiczowej w Białej, w pobliskim kościółku w Siechniewiczach spowiada się i — komunikuje. To samo czyni z powagą i namaszczeniem w kościele Kapucynów w Warszawie, gdy otworzyła się przed nim możliwość współpracy z władzami centralnemi powstania. Z tych faktów wnioskowaćby można, że Traugutt w ważniejszych momentach swego życia miał zwyczaj łączności z Bogiem w komunji św.

Samotnik z ulicy Smolnej rzadko w czasie swej dyktatury opuszczał swe zacisze ze względu na ryzyko, na rozpanoszony po ulicach Warszawy teror policyjny. Wychodził tedy z domu jedynie z konieczności. Ale do tych konieczności należały msze w niedziele i święta. „Kościołem do którego uczęszczał on co niedziela i święto, był kościół św. Aleksandra, parafjalny, najbliższy" pisze Dubiecki. [1]) A wspomina o tem przytaczając szczegół swej bytności z Trauguttem w kościele w d. 9 marca „jednym z dni rozpoczynających Zmartwychwstanie Pańskie".

Jeżeli się mówi o katolicyźmie Traugutta, nie od rzeczy będzie wspomnieć o jego stosunku do Unji. W instrukcjach dla ajenta przy Watykanie (Łuniewskiego) sprawie tej poświęca stosunkowo dużo miejsca. Już w pierwszym punkcie mówi o obronie „Kościoła obrządku greckiego z Rzymskim połączonego", który „był i jest przedmiotem nieustannych gwałtów ze strony schyzmy. Na przyszłość zapowiada krzewienie wiary św. t. zw. unji, ale tylko „środkami przekonania i miłości" czyli nie drogą ukazów rządowych, ale kościelną pracą misyjną.

„Nie tajno Stolicy Apostolskiej — powiada dalej, że ze wszystkich narodów nowożytnych jedyna Polska posunęła Jej granice na Wschodzie, a wiekami w tem dążeniu ustalona, przekonaniem wzmocniona, mając najsłuszniejsze swe interesy polityczne ściśle połączone z Unją, sama tylko dla Kościoła pożądaną jedność wiary przeprowadzić może i po-

[1]) Dubiecki l. c. str. 181.

winna, a przy błogosławieństwie i współdziałaniu Stolicy Apostolskiej niewątpliwie cel ten osiągnie". [1])

Taż sama instrukcja zaleca starania o kanonizację św. Jozefata. „Kanonizacja bł. Józefata, ze względu na wpływ zbawienny, jaki ta wywrze na podniesienie ducha religijnego w prowincjach Litwy i Rusi jest wielce pożądaną". Sprawa kanonizacji, poruszona w listopadzie, wraca pod pióro Traugutta w lutym następnego roku. „Kwestja kanonizacji bł. Józefata — pisze do Komisarza Pełnomocnego na woj. Sandomierskie (kan. Kotkowskiego) w d. 14. II. 1864 r. — zostaje pod kierunkiem ajenta naszego politycznego przy Dworze Watykańskim... Obliczenie całe kosztów i rozłożenie na raty zrobione było przez umyślnie do tego przeznaczonego monsig. Bartolini łącznie z Kardynałem Wikarym Kongregacji monsig. Patrici, poczem zapytywano nas, czy jesteśmy w stanie w czasie obecnym takie koszta ponieść, przyczem zastrzeżono, żebyśmy ściśle naznaczonych terminów wypłaty trzymali się, inaczej włożone koszta stracone będą."

Smutna atoli rzeczywistość stanęła na przeszkodzie. Powstanie załamywało się. Kasy narodowe świeciły pustkami. Grosz, który był, trzeba było obrócić przedewszystkiem na głodnego, zmarzłego i często bezbronnego żołnierza. Było to kwestją sumienia dla Dyktatora i jego najświętszym obowiązkiem. Jego religijność zawsze cechował realizm.

„Z ostatnich raportów waszych z d. 23 stycz. Nr. 40 i 41 — pisze tedy Traugutt — dowiadujemy się o pomyślniejszym dla nas stanie rzeczy w Rzymie, a także o rozpoczętych przez was pracach względem kanonizacji bł. Józefata. Ze sprawą tą, mającą bez zaprzeczenia znakomitą ważność, z konieczności wstrzymać się na teraz musimy, jakeśmy to pisali w danej wam instrukcji, chociaż jej przeprowadzenie jest nam nader pożądanem i przy pierwszej możności rzecz tę wznowimy. Może Bóg łaskaw pozwoli, że w niedługim czasie łatwiej nam będzie 50 tysięcy skudów jak teraz 30, a choćby nawet 3 tysiące wyłożyć, a przytem, życzylibyśmy, aby kanonizacja tego św. Męczennika Rusi zupełnie oddzielnie się odbyła. — Tymczasem pamiętając na pamiętne

[1]) *Wiara*, Paryż, wrzesień 1866 str. 74.

słowa, że każda garść ziemi naszej jest relikwią i świętością, zdaje nam się, że nie zanadto powiemy utrzymując, że i sam bł. Józefat potwierdziłby nasze zdanie, iż teraz grosz każdy przedewszystkiem obrócić powinniśmy na ratunek Ojczyzny i zagrożonej Wiary św. za którą Męczennik krew swą przelał i za którą teraz cały nasz Naród swe życie i mienie daje".

A do kanonika Kotkowskiego: „Na teraz to jest niepodobnem dla kraju, ale że jak najprędzej całą tę sprawę wznowić postaramy się. Ciesząc się za tem z gotowości Duchowieństwa Sandomierskiego do niesienia ofiar w tak chwalebnym celu jak kanonizacja Męczennika naszego przez Moskwę zamordowanego, winniśmy wszakże zwrócić uwagę Duchowieństwu, że w obecnym stanie kraju na ratunek jego przedewszyskiem każdy grosz poświęcić należy, na ratunek od tejże samej Moskwy, która i teraz nie przestaje męczyć i katować nie już samych kapłanów i opowiadaczy Słowa Bożego, ale Naród nasz cały. Zdaje się nam, że nie powiemy zanadto, kiedy wyrazimy zdanie i przekonanie nasze, że i sam bł. Józefat z wysokości niebios każe nam wpierw ratować nieszczęsną Ojczyznę i zagrożoną Wiarę św. za którą On krew swą przelał, aniżeli śpieszyć z dopełnieniem obrzędu jego kanonizacji, który na czas tryumfu nad wrogiem właściwiej odnieść należy."

Ostatni wreszcie ślad tej sprawy znajdujemy w zarządzeniu z dn. 19 marca 1864 przesłanem przez Traugutta komisarzowi pełnomocnemu na zabór austryjacki (Wład. Majewskiemu.) Donosi, że w sprawie kanonizacji bł. Józefata ajent posunął się dalej niż miał polecone i sprawę już zaczęto. Należało wnieść wobec tego 3000 skudów. „W ten sposób ajent postawił i Rząd i siebie w przykrem położeniu. Rozkazaliśmy mu, aby nadal żadnych awansów nie robił, a zarazem polecamy wam, abyście potrzebne 8000 zł. (= 3000 skudów) zebrali w Galicji, jako najwięcej mającej mieszkańców obrządku unickiego. Po zrealizowaniu, pieniądze prześlijcie wprost do ajenta rzymskiego. Niech Was Bóg strzeże i dopomaga." [1])

[1]) Materjały, t. III str. 418.

Dodać należy — choć nie wiemy, czy polecenie Traugutta zrealizowano — że sprawa nie przepadła. Mimo upadku powstania i wśród największego teroru moskiewskiego, Pius IX z wielką uroczystością ogłosił kanonizację św. Józefata w 1867 r. a uroczystość ta była bodaj ostatnim aktem braterstwa między Polską i Rusią.

W swojem miejscu zaznaczyliśmy negatywny stosunek dyktatora do tych warstw duchowieństwa, które wobec powstania zajęły stanowisko nieprzychylne. Były to raczej jednostki i rezerwa Traugutta dotyczyła tylko ich stanowiska politycznego. Wyjątek stanowił administrator — intruz Zwoliński, kreatura nieciekawa, przed którym Traugutt ostrzega Stolicę Apostolską, jako przed człowiekiem *suspectum de fide*. Natomiast znaczenie i rolę kleru polskiego podkreślił mocno w swej odezwie do duchowieństwa. (15. XII. 63).

„Zacne duchowieństwo polskie — pisze w niej — zbrojne świętą tarczą religijnych zasad, stawiając tamę temu napływowi zbrodni, przekazało dzisiejszemu pokoleniu naszemu drogą spuściznę starożytnych cnót i niezłomne przywiązanie do religji, będące dla prawego Polaka podporą w walce, ochłodą w cierpieniu i nadzieją lepszej przyszłości..."

„Dzięki Opatrzności, chwała niespożyta duchowieństwu naszemu, — które idąc za prawdziwym duchem swego powołania, broniąc religji znieważonej haniebnemi ukazami najazdu, broniąc zarazem najświętszych praw Narodu, stanęło po stronie pokrzywdzonego i uciśnionego."

„Gorliwość o wiarę i wierność Ojczyźnie nie mogły nie ściągnąć na duchowieństwo zemsty barbarzyńskiego wroga. Więzienia moskiewskie zapełniły się sługami Ołtarza, rusztowania moskiewskie zbroczyły się krwią niewinnych kapłanów, którzy razem męczeńską i obywatelską otrzymali palmę...".

„Prześladowanie i ucisk nie złamie ducha Pasterzy naszych. Wiernie pełniąc zadanie swego świętego posłannictwa, będą oni nadal przewodniczyć Narodowi na drodze poświęceń dla dobra powszechnego i zbawienia Ojczyzny!".

Taki Traugutt zostawił testament duchowieństwu polskiemu.

V.

Są klęski, które są chwałą, i są hańby, które są zwycięstwem. Taką była chwalebna klęska i męczeńska szubienica Traugutta.

Z tajemniczego szczytu powstańczej hierarchji, z którego duchem promieniował, — znikł pewnej nocy kwietniowej Romuald Traugutt. Zapadł się nagle w podziemia kazamat cytadeli i ucichł w grubych murach X-go pawilonu głos bezimiennego hetmana, który budził w duszy polskiej wiarę, miłość i nadzieję.

Trzeba było lat dziesiątków, by z pożółkłych akt sądowych, ostatniem swojem słowem, *verbo novissimo,* — w wolnej już i niepodległej Polsce przemówił znowu — Romuald Traugutt.[1])

Cztery miesiące więzienia i przedśmiertna noc ostatnia, — pozostaną dla nas na zawsze świętem i nieodgadnionem mysterium. To, co do nas doszło, to jakby migawkowe zdjęcia schwytane przygodnie, krótkie jak skurcz serca i jak skurcz serca przejmujące, fragmenty tragedji tego wielkiego ducha. Wystarczą one jednak, by w ich świetle jawił się oczom naszym Traugutt jako książe niezłomny w majestacie chrześcijańskiego cierpienia.

Do szczegółów, które zebrał Dubiecki, trudno coś dodać.

W pogodny ranek 4-go sierpnia 1864 r. głos współwięźnia zaalarmował go o kapucynach którzy przybyli spowiadać skazańców na śmierć. Cela Dubieckiego (Nr. 19) sąsiadowała wtedy z celą Traugutta (Nr. 20). Gdy przerażony zapukał, Traugutt rzucił mu odpowiedź: „mam księdza". Gdy po paru godzinach znów zakołatał, odpowiedź brzmiała: „modlę się."

Noc całą zbolały i zdrętwiały przeklęczał u dzielącej cele ściany, w oczekiwaniu. Ale spokoju ciszy nocnej nie przerwało nic. Wreszcie rano, — przyśpieszone kroki po korytarzu, szczęk broni, słowa mówione półgłosem i — gwałtownie rzucone o ścianę: „dowidzenia!" Traugutt szedł już na śmierć.

---

[1]) Zawdzięczamy to kpt. Stefanowi Pomarańskiemu, badaczowi roku 1863.

Pięciu ich stanęło na Placu Broni. Zadecydowano, że tylu wystarczy. Pięciu spokojnych, skupionych, duchem chrześcijańskiej rezygnacji przejętych bohaterów: Traugutt, Krajewski, Żuliński, Toczyski, Jeziorański. Dokoła zwarty czworobok lśniących bagnetów, uorderowani dostojnicy w błyszczących mundurach i morze, — wielkie, bolesne, ponure falujące morze ludzkich głów. Czarna szubienica grzała się w słońcu wyczekująca i groźna. Skazańcy stali szeregiem z spowiednikami swymi, a oczy ich błądziły po sylwecie ojczystego miasta i po tem morzu głów. Wiedzieli, że tam biją teraz serca ich najbliższych: matek, żon, braci i sióstr i że stamtąd padną na nich, jak grudka ziemi o trumnę, ostatnie kochające i zalane łzami wejrzenia. Jeden Traugutt tylko czuł się sam. — Duchem leciał daleko, hen, pod Kobryń, ku żonie i ku dziewczątkom swoim, którym przyjazdu — wzbroniono. Nad nim wisiało wielkie turkusowe niebo, przysłaniające — Boga.

Kat Diettwald w czerwonym płaszczu zakładał pętle; pomocnicy szykowali białe śmiertelne koszule. Audytor polowy czytał i czytał długo skazańcom dekret śmierci.

Ale Traugutt nie słuchał dekretu. Spokojnie modlił się ze spowiednikiem O. Serafinem, tak spokojnie, że złośliwy Berg, zbierający bezpośrednie wrażenia do swej historji, począł snuć przypuszczenia, iż to musiała być rozmowa niekoniecznie — błagonadiożna...

Potem oberpolicmajster zawołał:

— Kto tu jest Traugutt?

Wysunął się śmiało naprzód „jakby z pośpiechem", pisze O. Feliks Sadowski, spowiednik Krajewskiego.

Zarzucono mu białą, śmiertelną koszulę. I nastąpiło coś, co nawet poruszyło i Berga.

„Traugutt — notuje urzędowy historyk — w ostatniej chwili złożył ręce i podniósł oczy ku niebu. Tak, z podniesioną głową, pozostał na stryczku nawet jeszcze wówczas, gdy po skonstatowanej śmierci trójkątna przepaska została mu z oczu zdjęta."

Warkot bębnów stłumił rozdzierający jęk tłumów, które się załamały i runęły na kolana. Zagrała tryumfalnego marsza orkiestra wojskowa. W ciepłem, sierpniowem słońcu koły-

sało się cicho nad tą piekielną symfonją trąb, jęków i płaczu pięć białych postaci.

W kościele kapucynów na Miodowej, pięciu spowiedników w czarnych ornatach wyszło ze mszą żałobną za straconych na stoku cytadeli.

„Przed oczyma zawisłego wysoko na szubienicy dyktatora — pisze prof. Szelągowski [1]) — mignęła jeszcze raz Warszawa. Ale to już była inna Warszawa: powracających z zagranicy obywateli ziemskich i bankierów zmieniających swój entuzjazm patrjotyczny na handel płócienkami z Moskwą Wokulskich i oprawiających swój klejnot szlachecki w majątek zdobyty w mieście — Połanieckich." Innemi słowy: Warszawa wyzbyta z powstańczych uniesień, która zagubiła swój sen o niepodległości...

Zapewne... — Ale oczy przed skonem potrafią sięgnąć tak daleko! A jak daleko sięga wzrok męczennika?

W dni niewiele potem, w dworku Kownata Płoszkiewicza w Kłopocinie pod Kobryniem, mdlejącej wdowie i płaczącym rzewnie sierotkom Anusi i Aloizce czytano list ostatni Ojca - Męczennika.

„Cokolwiek ze mną się stanie, nieskończone dzięki składam codziennie Bogu, że dziatki pod bacznem okiem i czułą opieką takiej matki jak ty, będą wzrastać w łasce u Boga i u ludzi; tylko ich z pod swego oka nie usuwaj, dla jakich próżnych widoków światowego wychowania... tak więc bądźcie zawsze razem, gdzie ty, tam i one, gdzie one tam i ty..."

„Zamiłowanie porządku i czystości wpajaj najmocniej w dziatki; niech to się stanie ich nałogiem; powinno to być zewnętrznem odbiciem porządku moralnego i czystości duszy. Dwa te przymioty, któremi się tak odznaczała znana ci dobrze ś. p. Babka moja, a które we mnie wszczepiła, nawet tu w więzieniu, są wielce pożyteczne..."

„Nie zapominajmy, że Bóg, chociaż i o szczęściu naszem doczesnem pamięta, przedewszystkiem ma na celu szczęście nasze wieczne, do którego nas stworzył i przeznaczył...".

---

[1]) „Polska, jej dzieje i kultura" t. III l. c. 426.

„Taką to jedynie pociechę przysyłam Ci, gdyż ta tylko człowiekowi w największem nieszczęściu i strapieniu prawdziwą być może, z tego samego źródła i ja czerpię moc i ochłodę."

Z dopisku O. Serafina:

„...mówił, że napisał wszystko, co w godzinę śmierci mógł napisać. Chciał tylko dodać błogosławieństwo swoje i to więcej może niż trzykrotnie powtarzał ze łzami w oczach, ze wzruszeniem w sercu... „błogosławię żonę i dzieci." Pełen rezygnacji, spokoju i poddania się woli Boga umarł z prawdziwą odwagą chrześcijańską." [1])

VI.

Rysy duchowe Traugutta są wyraziste. Jest to chrześcijanin świadomy i konsekwentny. Jego kontakt z Bogiem jest żywy, dziecięcy i serdeczny. We wszystkich okolicznościach życia, w obowiązkach rodzinnych i działalności publicznej, upatruje Wolę Boga, gotów do ofiar największych. Niema rozdźwięku między jego wiarą i praktyką tejże wiary. Wie, że Bóg, — Szczęście wieczne i cel ostateczny; i ku temu celowi zmierza drogą jedyną, drogą Kościoła katolickiego, którego jest wiernym wyznawcą, Stolicy Apostolskiej uległym synem, Bogarodzicy pobożnym czcicielem, w Sakramentach świętych i modlitwie czerpiący moc na codzień i w godzinę śmierci.

Na zagadnienia, które wysuwa życie, społeczeństwo, sprawa Ojczyzny, patrzy okiem wierzącego katolika. „Nie wstydzi się Ewangelji," a Dekalog nie jest dla niego sprawą prywatną.

Jest typem chrześcijanina czynnego i bojowego; sprawiedliwość i miłość społeczna, to bodźce jego działań; władza nie jest dlań sprawą ambicji, ale aktem poświęcenia. Jego dusza mocna i czysta jest spokojna; ma ład wewnętrzny; w klęskach i śmierci nieugięta, bo ufa! Pochodzi on z rodu tej norwidowskiej „szlachty Chrystusowej", legitymującej się wiernością sumienia *usque ad mortem*".

---

[1]) List O. Serafina dochowany u p. Juszkiewiczowej.

Św. Ludwik w okowach i Joanna d'Arc na stosie; Tomasz Morus, na swojem rusztowaniu i skłuty, porąbany trup Żółkiewskiego na polach Cecory — to jego antenaci i protoplaści — z ducha.

Żółkiewski i Traugutt! To najbardziej sobie bliskie, mimo różnicy epok i warunków życia — typy duchowe. Żółkiewski i Traugutt! to dwa szczyty najbardziej uduchowionego polskiego heroizmu. Żółkiewski i Traugutt! To dwa charaktery przeczyste jak kryształ, a mocne jak granit; gwiazdy na niebie polskiem pierwszorzędnej wielkości. Jednaka w nich żywa, gorejąca wiara, jednaka dostojność sumień; jednaka ofiarna służba Bogu — przez służbę Ojczyźnie: jednaka wreszcie męczeńska, bo na posterunku i w obronie najświętszych wartości Wiary i Ojczyzny z ręki wroga — śmierć.

Jeśli w wieczności nosi się chwalebne ślady swoich męczeńskich ran, to się ich obu pozna po czerwonych pręgach na szyi: jednego — od cięcia bisurmańskiego jatagana; drugiego — od moskiewskiego stryczka.

Na tle wieku XIX, postępującego ku laicyzacji wszelkich wartości i detronizowaniu Boga w życiu narodów, Traugutt należy do niewielu tego wieku k r z y ż o w c ó w. Cynizmowi materjalistycznej polityki, której dogmatem jest siła, rzuca w twarz — omal z pod swej szubienicy: „Najwyższa Sprawiedliwość i Boskie Miłosierdzie!"

Dios non mueria!

Bóg nie umiera!

zawtórzy mu w kilka lat później (1875 r.) na drugiej półkuli, padający pod ciosami masońskich sztyletów, prezydent Ekwadoru — Garcia Moreno.

P a n o w a n i e B o g a w s u m i e n i u P o l s k i j u ż w o l n e j, — to obowiązek katolików polskich, spadkobierców idei ROMUALDA TRAUGUTTA.

Ks. Józef Jarzębowski Marjanin.

Przegląd piśmiennictwa.

Jan Parandowski: Niebo w płomieniach (Rój). — Stanisław Szpotański: Czerwone maki (Hoesick). — Juljan Wołoszyński: Było tak... (Książnica Atlas). — Alina Świderska: Prometeusz i perliczka (Hoesick). — Wanda Melcer: Dwie osoby (Hoesick). — Juljusz German: Wyprawa do raju, II tomy. (Rój).

Jan Parandowski jest wielkim mistrzem polskiej prozy. Jezyk jego dźwięczny, prawie surowy, oszczędny jak żaden, jest szczytem prostoty i trafności. Każde słowo przenika istotę wyrażanej rzeczy jak celna strzała. Każdy jego opis, każda scena jest nie malowana, lecz rzeźbiona. Słowa są bryłowate, każde jest ważne i nabrzmiałe treścią. Podziwialiśmy już nieraz to mistrzowstwo słowa Parandowskiego, głównie dotąd w szkicach i essayach; podziwialiśmy je w powieści *Dysk Olimpijski*, która właściwie powieścią nie była, raczej greckim fryzem. Teraz czytając *Niebo w płomieniach*, spotykamy się po raz pierwszy z Parandowskim powieściopisarzem. Jest to dla pisarza, nawet tej miary co Parandowski, próba ogniowa, a przedewszystkiem zupełnie nowa. Powieść oprócz giętkości czy świetności słowa, oprócz daru plastyki i obserwacji, wymaga jeszcze jakiegoś pierwiastka ściśle twórczego, jakiejś wizji jakby wewnętrznej istotnego sensu ludzi i rzeczy, wymaga przedewszystkiem zupełnie specjalnego przetworzenia swoich wrażeń i przeżyć. Ciekawem jest, jak z tego nowego dla siebie rodzaju wywiązał się Parandowski? *Niebo w płomieniach* jest „pisane" ze zwykłą Parandowskiemu maestrją słowa, z wysokiem poczuciem artyzmu, z właściwą autorowi plastyką obrazowania. Poszczególne sceny są wprost kapitalne. Opis biurka hofrata Grodzickiego i krążących koło niego marzeń syna, opis malarza pokojowego, Gileta i cały szereg scen innych są wprost doskonałe. Opisy Lwowa są piękne i nabrzmiałe rzetelną poezją. Świadczy to, że i na polu pióro Parandowskiego nie zawodzi. Ale mimo tych wielkich zalet, mimo wysokiego artystycznego poziomu *Niebo w płomientach* powieścią w całem tego słowa znaczeniu „udaną" nie jest. Istotą powieści, tak jak każdego dzieła sztuki, jest wewnętrzne przeżycie autora, jego wewnętrzna

wizja świata, wewnętrzna dynamika uczuciowa. Ale także istotą powieści jest to, żeby te przeżycia czy przekonania, czy uczucia, były doskonale przetopione i wtopione w powieść, jej fabułę i postacie. Autor musi w pewien sposób zniknąć i oddać głos bez reszty swoim bohaterom. Dopiero gdy możemy uwierzyć, że uczucia i myśli opisywane, są uczuciami czy myślami bohaterów, wierzymy w ich prawdę i wzruszamy się ich emocją. Otóż tego właśnie kleju, wtapiającego autora w jego powieść, w książce Parandowskiego brak. Poza bohaterem książki widzimy ciągle autora, autora mówiącego od siebie, jakby z za pleców bohatera. Bohater jest jakby nie w swojem ubraniu. Drążki, którymi autor porusza swoje lalki, są ciągle widoczne. Ujawnia się to tem bardziej, że *Niebo w płomieniach* należy do najnieznośniejszego w zasadzie typu powieści t. zw. „à tèze", powieści mającej na fikcyjnych postaciach wykazać słuszność pewnej doktryny. Takie apriorystyczne założenie w powieści wywołuje od początku w czytelniku sprzeciw. Słusznie mówił Maritain, że chętnie poddajemy się emocjonalnym i artystycznym sugestjom płynącym z dzieła sztuki, ale buntujemy się, gdy widzimy, że autor chce nas pouczać czy przekonywać. Buntujemy się przeciwko narzucanym nam z góry formułom myślowym i dydaktycznym. Nie chcemy być przez dzieło sztuki nawracani ani pouczani. Od pierwszych kart wiemy w takich powieściach do czego musi koniecznie dojść bohater, wszystko jest z góry przesądzone, widzimy krój, według którego autor swoją książkę przykrawa — i to uspasabia nas sceptycznie. Nie mówię tego dlatego, że książka Parandowskiego jest antyreligijna. Parandowski popełnia tu właśnie błąd, który tak często popełniają pisarze kątoliccy, chcący pisać powieści budujące i umoralniające. Robi to samo „à rebours", ale wskutek artystyczny jest równie ujemny. — Założeniem ideologicznem książki jest przedstawić fałsz nauki katolickiej, udowodnić go filozoficznie i życiowo, ukazując szczęście i zadowolenie człowieka, który się z tych pęt wyzbył. Pierwszym dezawantażem tego „rodzaju" jest przeciążenie powieści materjałem dyskusyjnym. Rozprawy filozoficzne i teologiczne są nużące i są balastem dla powieści nie do wytrzymania. Filozofja Parandowskiego (recte jego bohatera, siódmioklasisty Teofila Grodzickiego) to filozofja pozytywistyczna i racjonalistyczna w swojej najczystszej formie. Wywody są uproszczone (w powieści nie może być inaczej) a przedewszystkiem dziwnie przebrzmiałe, tak że czasami przychodzi na myśl, czy przypadkowo autor nie chciał jedynie podmalować filozoficzne „couleur locale" epoki (rzecz dzieje się w roku 1913 i 1914). Ten dogmat nauki pozytywistyczno-materjalistycznej przyjmuje Teofil w miejsce odrzuconego dogmatu katolickiego. Nie mam zamiaru wchodzić w żadne dysputy teologiczne z autorem, staram się tylko zbadać, jak swoje założenia ideowe w powieści przeprowadził, jakie nadał im uprawdopodob-

nienie artystyczne. Otóż ten dogmat pozytywistyczny, jako zwycięskie osiągnięcie Teofila, nie jest przekonywujący. Zanadto już dziś jesteśmy przepojeni pewnym myślowym relatywizmem, aby móc całkiem serjo brać za słowo naukowej Ewangelji Darwina czy Haeckla(!) Już w naszych oczach za dużo przesunęło się przez świat nauki pewników, za dużo pewników nowych zastąpiło, czy zmodyfikowało stare — żebyśmy się do któregokolwiek odnosić mogli jak do dogmatu. Wielki myśliciel lat ostatnich, Wł. Leopold Jaworski, mówił, że materja ma w sobie przedziwną giętkość, i ze zdumiewającem posłuszeństwem dostarcza dowodów rzeczowych wszystkim kolejno po sobie następującym hipotezom naukowym. Wielką zdobyczą nauki dzisiejszej jest, że to właśnie zrozumiała, że wskutek tego straciła dawną sztywność i że każda jej nowa zdobycz nie przemawia do nas jak objawienie. Nauka pozostała nadal najszlachetniejszym wysiłkiem człowieka, najpotężniejszem narzędziem badania prawdy, ale właśnie wzniósłszy się niejako ponad własne możliwości, przestawszy wierzyć w definitywność swoich każdorazowych osiągnięć (nie dlatego żeby uważała je za nieprawdziwe, lecz dlatego że uważa je za niekompletne) zbliżyła się jak może nigdy do tajemniczego jądra Prawdy. A my także przyzwyczailiśmy się patrzeć na jej zdobycze jak na to, czem są, to znaczy, jak na olśniewające błyski uchylające przed nami głębie poznania. Ale trudno wrócić nam do pojęć dawnych i patrzyć na każdorazową teorję przyrodniczą, jak na nienaruszalny pewnik, na dogmat. Te pewniki są dziś dla nas raczej wiecznie żywemi mackami, wiecznie pracującemi narzędziami, a nie definitywnym portem naszej wiedzy tem bardziej wiary. To też gdy Teofil opiera się na jednej, poszczególnej, teorji przyrodniczej, jak na skale, widzimy już, jak ta skała w proch się sypie. Już tyle teorji przesunęło się przed naszymi oczyma, że wiemy, że przesuwać się będą w nieskończoność. To też port Teofila nie jest dla nas portem, nie jest przekonywujący myślowo, a tem samem jest i artystycznie niezadawalniającym.

Ale może najsłabszą stroną książki, tą właśnie zbyt widoczną szparą między autorem a jego bohaterem, jest sama postać Teofila Grodzickiego. Młody Teofil Grodzicki dostaje przypadkowo do ręki *Życie Jezusa* Renana. Zaczyna je czytać wieczorem jako wierzący katolik, rano budzi się jako gotowy ateusz. Po tem objawieniu zatapia się bez reszty w studjach filozoficznych i egzegetycznych. Dla tego szesnastoletniego chłopca nie istnieje już nic poza tekstami i dziełami filozoficznymi. Ma się wrażenie, że autor wypruł z bogatej i skomplikowanej duszy ludzkiej jedną jedyną nitkę umysłowej spekulacji, że przeciął wszelkie kanały, które łączą rozumowanie z wolą i uczuciem, że sztucznie w celach laboratoryjnych wyizolował jedną z ludzkich władz i kazał jej funkcjonować w próżni t. zn. w warunkach, w których nigdy myśl ludzka nie pracuje. I ta właśnie izolacja nadaje i książce

i jej bohaterowi coś martwego i papierowego. Historja utraty wiary mogłaby być tematem wysoce dramatycznym i psychologicznie ciekawym, gdyby była badana w swych skomplikowanych zazębieniach. Ale tu odbywa się teoretycznie poza życiem. Jest to trzęsienie ziemi, które jest wyczuwalne jedynie na szóstem piętrze, a które nie narusza i omija fundamenty gmachu. Teofil nie jest żywym młodym chłopcem, jest suchym teoretykiem, jest niedość zamaskowanym porte-parolem autora i to wyłącznie jego intelektu.

Na książkę Parandowskiego spadło już masę gromów ze strony prasy katolickiej; należałoby rozważyć spokojnie i objektywnie w jakiej mierze zarzuty te są uzasadnione. Mojem zdaniem jedynym „zarzutem" w całym tego słowa znaczeniu, jaki Parandowskiemu można zrobić, jest to, że w swej nienawiści do katolicyzmu stracił wszelki objektywizm. Posługując się znaną i dość wyświechtaną metodą przedstawił wszystkich wierzących jako głupców i szubrawców, wszystkich niewierzących jak mędrców i ludzi szlachetnych. Zwłaszcza użył sobie do syta na szkolnych katechetach. Ale jeszcze bardziej od tej naiwnej metody można brać za złe Parandowskiemu to, że urozmaicił swą książkę szeregiem cynicznych i niesmacznych żartów na tematy religijne. Można cudzych przekonań religijnych nie podzielać, można je nawet zwalczać, nie należy niczyich uczuć religijnych obrażać. Katolik idący do bóżnicy, żeby się przysłuchać śpiewom, czy przypatrzeć nabożeństwu, zachowuje na głowie kapelusz, żeby nie obrażać uczuć religijnych modlących się Żydów. To są zdobycze pewnej kulturalnej kurtuazji, obowiązujące nawet podczas walki. Ten kurtuazyjny pakt Parandowski naruszył. Gdyby był zachował reguły „fair-play" na tem polu, do jego książki należałoby się ustosunkować całkiem inaczej. Bo z tego, że obrał za temat historję utraty wiary, nie można mu robić zarzutu. Takie fakty zdarzały się i zdarzają; jako objawy życia mogą być odtwarzane artystycznie, mogą być nawet, jak wspomniałem wyżej, tematem niezmiernie ciekawym. Mógł nawet, jeśli to wchodziło w jego artystyczną i ideologiczną koncepcję, pokazać swego bohatera zadowolonym i szczęśliwym po dokonanej operacji. Katolicyzm nie jest żadnym życiowym pragmatyzmem, i Kościół nie nauczał nigdy, że wiarę należy zachować dlatego, żeby człowiek był zadowolony, wesoły, żeby mu się „dobrze powodziło". W pojęciu katolickiem bilans ludzki ma swoje „habet i debet" po obydwóch stronach „gór czasu" — i sprawdzian życiowej użyteczności, czy wygody, nie jest żadnym religijnym sprawdzianem, przynajmniej na tej płaszczyźnie wygody czy swobody życia. Te sprawdziany pokrywają się, ale w całkiem innych wymiarach, tam gdzie tkwią istotne korzenie wszechbytu i wszechprawdy. Ale o tych wymiarach w książce Parandowskiego niema mowy. I mógł, nie obrażając uczuć oświeconego katolicyzmu twierdzić,

że młody chłopiec straciwszy wiarę jest wesoły i dobrze się czuje (choć i ta teza nie wychodzi przekonywująco). Można ubolewać nad tem, że Parandowski katolikiem nie jest, ale faktu zmienić nie można, i nie można właściwie robić mu „zarzutu" z tego, że dał wyraz swoim przekonaniom. Mogą katoliccy pedagodzy ostrzegać młodzież i ludzi w teologji i filozofji mało biegłych przed zawartymi w takiej książce twierdzeniami, chociaż *Niebo w płomieniach* będąc niewątpliwie pociskiem w katolicyzm wymierzonym, nie wydaje mi się pociskiem zbyt groźnym, ani strzałą zbyt zatrutą, a jest tak przedewszystkiem dlatego, że książka ta w swym zrębie zasadniczym jest artystycznie nieprzekonywująca. Parandowski swe wywody filozoficzne nałożył na sztafaż powieściowy jakby mechanicznie, nie ożywił ich dynamiką emocjonalną, która może być zaraźliwa, czy biorąca, nawet wbrew zasadom teoretycznym. Bohater i autor stoją ciągle obok siebie i wzajemnie się paraliżują. Tło powieści jest doskonałe i piękne, i swoją siłą wyrazu i plastyki głuszy i tłumi jej nurt zamierzony, czyniąc go jeszcze bledszym. Motywy dydaktyczne i tendencyjne psują ciągłę artyzm i sugestję książki. I trudno nie nabrać jeszcze większej awersji do tego literackiego „rodzaju" powieści „à thèze" widząc, jak sam z siebie potrafił zepsuć prawdziwe i rzetelne piękno książki pisarza tej miary, co Parandowski.

Czerwone maki są ostatnią powieścią, jaką napisał ś. p. Stanisław Szpotański. Powieść ta odznacza się temi samemi zaletami, jakie charakteryzowały całą twórczość przedwcześnie zmarłego pisarza: odznacza się dużą pisarską kulturą i dobrym smakiem, rzetelną robotą, żywym i czystym językiem. A przedewszystkiem ma ten sam co i inne książki Szpotańskiego bardzo sympatyczny klimat, klimat prawdziwej polskości, klimat uczciwości, niemal zacności. Szpotański zajmował się zawsze zagadnieniami z zakresu historji i historji literatury. Badał zwłaszcza epokę Mickiewicza (jego dzieło o Mickiewiczu zostanie na zawsze bardzo ważnym punktem naszej Mickiewiczologji) i te jego zainteresowania często się w powieściach odzywają, choćby jak tu, echem dość dalekiem, zaczepiając o epigonów ruchu mesjanistycznego i romantycznego. Akcja *Czerwonych maków* rozgrywa się około roku 1875, w środowisku ziemiańskiem byłej Kongresówki. Autor maluje nietyle ówczesne obyczaje, ile ideologje — ukazuje dogasający romantyzm pokolenia powstaniowego, rodzący się pozytywizm i jego hasła „pracy u podstaw"; ukazuje rodzące się pojęcia demokratyczne. Chce pokazać jak padają barjery dzielące dotąd „dwór" od wsi i miasta, jak prześladowanie rosyjskie konsoliduje wewnętrznie polskie społeczeństwo cementem narodowym poprzez klasowe uprzedzenia i przesądy. *Czerwone maki* nie mają tej zwartej budowy, jaką miewały inne powieści Szpotańskiego. Jest to raczej galerja typów, coś w rodzaju „Pamiętników kwe-

starza" bez kwestarza, którego rolę bierze na siebie sam autor, wodząc nas od dworu do dworu i pokazując przeróżne ludzkie typy, przeróżne gatunki mentalności, politycznych i społecznych zapatrywań. Galerja ta jest ze sobą powiązana dwoma powieściowymi wątkami o powstańcu Sumińskim, który był ziemianinem Łuszczyńskim, co wprowadza masę nieporozumień i romantycznych zawikłań, i o ziemianinie Bartowiczu, który przestawał z rosyjskimi oficerami i tem naraził się na bojkot okolicznej szlachty. Wątki te usprawiedliwiają nasze wędrówki wzdłuż i wszerz Polski, ale i bez tego, podróż byłaby zajmująca. Szpotański zna środowisko o którem pisze, rozumie je i czuje. Pisze żywo i z zacięciem, z jakąś prawdziwie „kawalerską fantazją". I czytając tę dobrą zajmującą książkę myślimy z żalem, że ubył ten kulturalny, sympatyczny i rzetelny głos w naszej literaturze powieściowej.

Było tak Juljana Wołszynowskiego to coś w rodzaju nowoczesnych artystycznych Wieczorów pod Lipą. Cała historja Polski począwszy od Piasta, skończywszy na śmierci Marszałka, wtłoczona w jeden tom, ujęta w szereg luźnych obrazów. Każdy obraz rzucony jest na tło równocześnie rozgrywających się w reszcie świata wypadków. Coś w rodzaju szkolnej tablicy synchronicznej. Zarzucano Wołoszynowskiemu historyczne pomyłki i nieścisłości. Oczywiście, lepiej jak dzieło historyczne pomyłek nie zawiera, ale ostatecznie, nawet gdyby jakiś drobny anachronizm zakradł się tu i ówdzie nie należałoby jeszcze z tego robić tragedji, takie drobne „lapsus historiae" zdarzają się czasem nawet najlepszym artystom i nie psują artystycznej wartości ich dzieła. To też jedynie ważną jest rzeczą, jaką wartość literacką ma tak szeroko zakrojone dzieło Wołoszynowskiego. Założenie jest olbrzymie, i już jako takie niepokojące. Historja polska w obrazach? Każda epoka ma swój odrębny styl, odrębny koloryt, odrębny nastrój. Czyż w takim fantastycznym skrócie uda się autorowi wydobyć te różnorodne style i zabarwienia? Czyż możliwe, aby te wszystkie razem epoki ze swymi charakterystycznymi stylami przemówiły do artystycznej wizji jednego człowieka? Ale widocznie chodzi Wołoszynowskiemu o spojrzenie na historję polską właśnie jednolitem spojrzeniem człowieka współczesnego. Rzeczywiście trzebaby mieć wzrok orli, aby ten szmat czasu ogarnąć w jego jednolitości i różnorodności. W takiem spojrzeniu musiałaby być u dna pewna historjozofja, nawijająca na jedną nić wielość i rozbieżność zdarzeń i ludzi. Otóż tego wspólnego nurtu myślowego czy nawet uczuciowego nie widzimy. Obrazy stoją obok siebie raczej poustawiane niż zjednoczone. A z chwilą gdy brak nam tej wewnętrznej spójni usprawiedliwiającej dzieło, zaczyna nas razić jego jednolitość zewnętrzna. Razi nas Batory mówiący tym samym językiem co Chrobry

i Poniatowski, razi nas szablon, w który wtłoczeni są wszyscy, bez żadnej widocznej potrzeby wewnętrznej. Razi nas jednolitość języka, a raczej jego manjery. Język ten ma być poetyczny, a jest w gruncie rzeczy nużący, sztuczny i pretensjonalny. Jest to jakiś znany nam już zresztą barok językowy Wołoszynowskiego. Niewątpliwie ma i ten język pewne piękności, ale znowu jego zastosowanie wydaje nam się dziwnie nieszczęśliwe. Umyślne rozwichrzenie tego nastrojowo-poetycznego języka kłóci się wprost z podręcznikowym układem książki. To coś jakby dzieło ekonomiczne pisane wierszem. Może ostatecznie taki język wytwarzać jakiś nastrój dla pewnej postaci czy fragmentu życia sugestywny, ale gdy to samo narzędzie ma w nas budzić sugestję Kruszwickiej wieży Popiela i wymarszu Legjonów — to coś w nas protestuje. Niespodzianki, którymi ma nas ten styl obdarzać stoją w jakiejś wrogiej sprzeczności z pewnością jaką mamy, że po rozdziale o Władysławie IV przyjdzie rozdział o Janie Kazimierzu! Nie pomaga nawet i ten trick zaczepiania jednego rozdziału o drugi tem samem zdaniem, jak haczykiem. Oczywiście, są piękne poszczególne ustępy. Rozdział poświęcony Chrobremu jest piękny, piękne są poszczególne fragmenty. Ale całość jest i nużąca i trochę nudna. Jest i zbyt monotonna i zbyt różnorodna, jest w niej i za wiele rzeczy i za mało. I trochę żal tego niewątpliwie olbrzymiego wysiłku, który mimo pięknych ustępów uderza w próżnię. Bo właściwie czytając tę prawie że wierszowaną historję polską zapytujemy się ciągle „cui bono" napisana została. A brak odpowiedzi na to pytanie jest największym brakiem artystycznym każdej książki.

Nie zdziwiłabym się zupełnie, gdybym na podtytule jakiegoś podręcznika ekonomicznego lub gramatyki Szobera zobaczyła dopisek: „powieść". Powieść, powieść i powieść! To jakaś obsesja! Czytają ludzie tylko powieści, kupują tylko powieści, najwyższą pochwałą o książce jest powiedzenie „czyta się ją jak powieść." (Coprawda gdy ktoś tak jak recenzent musi czytać wszystkie powieści, jakie wychodzą, powiedzenie to przestaje być wyrazem zachwytu!) I pisać chcą ludzie tylko powieści. Powieść jest ideałem każdego pisarza. Cokolwiek ma ktoś do powiedzenia próbuje zawsze powiedzieć to w powieści, nie pytając, czy do powieści ma uzdolnienia, czy jego pomysł w formie powieści się mieści. W powieść pakuje się wszystko, jak do worka. A jeżeli szczęśliwie napisze już ktoś raz coś, co nie jest, i nie powinno być powieścią — to przynajmniej na okładce umieszcza ten wabiący szyld i tym syrenim śpiewem kusi czytelnika. Tak właśnie zrobiła Alina Świderska opatrując swoją książkę *Prometeusz i perliczka* tem magicznem słowem. Przyznaję szczerze, że mnie to trochę zirytowało, bo właśnie, jeśli można coś zarzucić tej wyjątkowo udanej i ciekawej książce, to chyba to, że się zbytnio

na powieść stylizuje. *Prometeusz i perliczka* to życie Wagnera, a raczej pierwsza jego część, epoka małżeństwa z Minną Planer. Temat bogaty i ciekawy, postać frapująca i pociągająca. Autorka temat ten wyzyskać umiała. Wagner wychodzi z pod jej pióra żywy, plastyczny i bliski. Znamy poprostu osobiście tego małego, czupurnego kapelmistrza, o iskrzących oczach i wystającej szczęce. Rozumiemy dobrze, jak bardzo musiał współczesnych oszałamiać, jak bardzo przerażał rozsądnego dyrektora królewskich teatrów w Dreznie, jak zniechęcał wszystkich wogóle dyrektorów teatrów, jak niepokoił krytyków, jakie wzniecał dookoła siebie burze, jak swoimi pomysłami wielkoluda roztrącał ustalone pojęcia, jak swoim szerokim gestem rozsadzał i łamał wszystkie znane i ustalone formy życia i najbardziej zabronzowane pojęcia o sztuce. Doskonale uwypukliła Alina Świderska te jakieś zupełnie Balzakowskie wymiary swego bohatera. Królewski kapelmistrz widzi zawsze wszystko w wymiarach ponadnaturalnych, każdy gest życia przemienia mu się w motyw bohaterski, każda wizja przybiera kształty rzeźb Michała Anioła, żadna koncepcja nie mieści mu się w znanych formach sztuki, żadna sztuka w murach istniejących teatrów, żadna kompozycja nie da się wykonać przez istniejące orkiestry. Wagner idzie przez życie jak olbrzym i jak szaleniec. Jego poetycka wizja, jej muzyczny wyraz rozdymają mu i rozsadzają rzeczywistość, pod jego dotknięciem wszystko dookoła rośnie, pęcznieje, potężnieje, nabiera kształtów przerastających ludzkie możliwości. Wagner i jego pomysły są „plus grands que nature".

Wagner, ten przynajmniej, którego nam ukazuje Alina Świderska, jest jakimś prototypem artysty tego stworzenia, które jest zarazem dzieckiem i pół-bogiem, genjuszem i warjatem, wcieleniem najdrażliwszego honoru i szlachetności, i prawie że szubrawcem, istotą, która organizuje życie wedle jakichś norm i praw dla przeciętnego rozsądku zupełnie niezrozumiałych.

W tego rodzaju monografjach najtrudniejszą rzeczą jest ukazać w opisywanym człowieku artystę, uwypuklić te właśnie imponderabilja, tę genjalność, tę wibrację sztuki, która to życie od wewnątrz organizuje, która jest jego duszą i jego usprawiedliwieniem. Bo bez tej właśnie iskry ta cała awanturniczość i nieobliczalność staje się zwykłym kabotynizmem, lub gorzej. O tę trudność potknął się najgłośniejszy dziś autor powieściowych monografij, André Maurois. Jego np. Byron jest raczej Don Juanem, panem wielu awanturniczych i niełądnych przygód, niż poetą. O tem, że Byron jest wielkim artystą, nie przekonał nas Maurois. I choć napewno wieloma rzeczami góruje książka autora francuskiego nad książką Aliny Świderskiej to jednak przyznać trzeba, że nasza autorka z tej zasadniczej trudności wybrnęła lepiej. Jej Wagner j e s t artystą. Może chcielibyśmy wiedzieć jeszcze więcej o jego wewnętrznem życiu, jeszcze głębiej za-

glądnąć w tajemnicze wnętrze tego artystycznego krateru, ale jednak Wagner Aliny Świderskiej nie jest ani przez chwilę kabotynem czy awanturnikiem, jest ciągle genjalnym wizjonerem i stale mamy to przed oczyma. Autorka ukazuje nam te najciekawsze momenty błyskawicznego zapłodnienia artystycznego, ukazuje nam te drobne fakty, dźwięki, nastroje, które wpadają w jego ucho i zapadają w duszę, aby tam wedle tajemniczych praw natchnienia rozwijać się, rozrastać i olbrzymieć, aby przetapiać się w portale sztuki. I to są momenty w jej książce najciekawsze. To wszystko są zalety ogromne, ale właśnie jeśli co niepokoi nas w tej fascynującej książce, jeśli co daje nam poczucie niedosytu, to właśnie, że jest trochę za bardzo powieścią. Autorka mówi nam wprawdzie w notatce początkowej, że w jej książce niema ani słowa fikcji, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów jest autentyczne. Wierzymy jej, ale jednak.... Czytając opisy rozmów, drobnych wypadków ciągle się zapytujemy, czy i to także zaliczone jest do tych rzeczy autentycznych, czy też jest tylko koniecznym klejem powieści. A już w zupełną rozterkę popadamy, gdy u dołu str. 338 widzimy adnotację „autentyczne", dodaną do jakichś słów włożonych w usta Wagnera. A więc wszystko co dotąd mówił to co? Urok tej książki jest właśnie w jej prawdzie, jej fantastyczność polega na jej autentyczności, i to ubieranie rzeczywistości w formę fikcji nie wychodzi na dobre, bo właśnie podkopuje to, o co najbardziej chodzi: zaufanie autentyczności. Już wydobycie prawdy jest dla autora triumfem dostatecznym, poco ten efekt osłaniać pokrowcem nieprawdy?

Na szczególne podkreślenie zasługuje w tej książce tak ciepłej, tak wibrującej uczuciem, zupełny brak patosu, brak sztuczności i manjery, brak sadzenia się na sztuczne poetyzowanie. Uderza też jej zmysł humoru, jakiś uśmiechnięty dystans do bohatera. Są to zalety wielkie, a u nas bardzo rzadkie. Rzadko nasi autorzy w temacie tak poetycznym i tak patetycznym umieją utrzymać tę szlachetną prostotę i nie zatracić uśmiechu na rzecz koturn. Ale właśnie dlatego, że książka Aliny Świderskiej posiada te tak rzadkie a cenne zalety, możnaby od niej żądać jeszcze pewnego wysiłku, wysiłku w tym właśnie kierunku smaku, jasności, doskonalszej roboty. Takie wyrażenia jak „miał słabostkę do króla", „zawsze ubrany tak okrzątnie", „obił psa spędzając na nim rozdrażnienie" są nieprawidłowe i rażą stylowo.

Czasem też spotykamy opisy rażące brakiem precyzji. Autorka opisuje wycieczkę do Saskiej Szwajcarji i tak mówi: „Śmieli się, wdrapywali na skały i wzajem się z nich strącali, staczając się po trawie jak dzieci". Obraz ludzi toczących się ze skał dla zabawy ma w sobie coś groteskowego. Jest tu jakaś rażąca nietrafność wyrazu. Tego rodzaju załamań dałoby się wyszukać sporo. Jeżeli z takim naciskiem podkreślam te zu-

pełnie drobne usterki to właśnie dlatego, że Alina Świderska zdradza tak wielkie możliwości w kierunku finezji, prostoty, lekkości. Stać ją na ten jeszcze wysiłek precyzji słowa, czystości języka. Mogłaby dojść, już naprawdę niewielką pracą, do tego, co tak nas zachwyca w francuskich pisarzach, do tego, że każde zdanie jest ważne, potrzebne, celne, cienkie i wykwintne w swej doskonałej jasności i prostocie. Może zresztą te tak na tle ogólnego dobrego poziomu rażące „lapsus linguae" nie są wyłączną winą autorki, ale jej ponurego wroga korektora. Jesteśmy wprawdzie dość zahartowani na tem polu, ale korekta *Prometeusza i perliczki* jest w swoim rodzaju rekordem. Rozumiem nawet, że niema na końcu książki erraty, musiałaby obejmować tom prawie gruby jak samo dzieło. Taka korekta to proste niechlujstwo.

Prometeusz i perliczka kończy się a raczej urywa w połowie życia Wagnera. Ufamy, że na tom drugi nie da nam autorka długo czekać; to że wogóle czekać musimy, że oba tomy nie ukazały się równocześnie, także nie wychodzi książce na korzyść.

Powieść Wandy Melcer *Dwie osoby* składa się z dwóch części: „Krach" i „Nieumyślna cnota". Są to właściwie dwie odrębne powieści, zaledwie, i to nieudolnie do siebie przyczepione, powieści o odrębnej treści, budowie, tonacji i o bardzo nierównym poziomie. „Krach" to jakaś mętna historja o żydach spekulantach, o politycznych karjerowiczach, o jakimś zakazanym świecie wielkich kokot, wielkich interesów, brudnych intryg. Może ma to być rodzaj satyry na zakulisowe sprawy świata politycznego, mówię „może", bo z tej powieściowej nebulozy nic nie wyłania się wyraźnie. Wszystko jest zamazane, niepewne i niecałkiem zrozumiałe. Opowiadanie obejmuje cały tłum ludzi, czeka się na jakieś wielkie między nimi rozgrywki, tymczasem nagle nikną i rozwiewają się w mgłę. Powieść zakrojona szeroko, likwiduje się niespodziewanie w kilku linjach, i przechodzi nieoczekiwanie w powieść psychologiczną, w historję zupełnie „prywatną" rodziny Podolskich. Wątki i zawikłania części pierwszej gubią się, znikają pod ziemią, jak rzeki Krasu, z tą różnicą, że nie wypływają już nigdy na powierzchnię. Ale ostatecznie mniejsza o to. Fabuła „Krachu" nie była tak pasjonująca, ani jej postacie tak żywe, żebyśmy ich żałowali. Przeciwnie w części drugiej trochę swobodniej oddychamy. Jest ona o całe niebo lepsza. Osnową jej jest stosunek ojca i córki. Karty opisujące jak Adela po śmierci ojca odkrywa jego do siebie miłość, jak po niewczasie zaczyna poznawać człowieka, z którym życie przeżyła, są naprawdę dobre, mają momenty przejmujące. Jest tu wydobyty tragizm ludzkiej samotności, tragizm tej jakiejś niemożności porozumienia się z ludźmi nawet najbliższymi. Tu, ale jedynie tu, odnajdujemy znany nam już od dawna talent Wandy Melcer. Zresztą cała książka wydaje nam się jakąś nieprawdopodobną

pomyłką. Bo choć część druga jest znacznie lepsza od pierwszej, dobra też nie jest. Już nie chodzi o powieść lepszą lub słabszą, największym autorom zdarzają się utwory mniej udane. Tu chodzi o jakiś wprost niesłychany poziom książki (występujący w większem nasileniu w części pierwszej, ale nie znikający i w części drugiej) o jakieś niechlujstwo roboty, posunięte do absurdu. Jeżeli to nie jest niechlujstwo tylko świadomy siebie „chwyt artystyczny" to tem gorzej. Jedynie cytaty mogą dać pojęcie o rodzaju tego poziomu i tego stylu: „Czasami widywało się auta, które prowadziła kobieta, ubrana w kolorze lakieru" (str. 9). „Niema jak młode panienki, żeby wam zaaplikować taką skromną minkę (str. 19). „Nie tutaj — powiedział Georg Menzel i wstał sprężyście, jak wstaje młodość, która wyrywa się z objęć starej Putyfarowej — rzeczywistości, nawet pozostawiając płaszcz" (str. 35) „opuścił odkładane krzesło" (str. 37) „Baryora wrócił do domu idąc po mroźnych skądinąd ulicach". Takich „powiedzonek" możnaby cytować całymi stronami. Ale choć są pełne wyrazu, cały smak stylu i już nietylko stylu, ale poziomu książki, dają ustępy dłuższe. Oto ustępy z balu u ministra Niehabitta który właściwie cały nadawałby się do cytowania: „Dżo przywitała panią domu Niehabittową bardzo serdecznie, i nawet przez chwilę stała koło niej, kiedy tamta witała gości, jednak wcale nie dłużej, niż na to pozwalał takt towarzyski i subtelne wyczucie sytuacji" — „zebrane na salonach manekiny, ożywiły się o tyle, że zaczęły konsumować, poruszając pracowicie szczękami, żując jedzenie i przerabiając ze śliną"... „Więc przedsiębrano długie wędrówki naokoło stołu, tuląc talerz z pojmanym lewjatanem do koronek sukni i atłasu łona, resp. do niepokalanej bieli i czarności fraka"... ...„ile razy wszedł sługa z tacą pełną kieliszków, które wyłapywano mu wprost z rąk, mokre i świeże, kapiące płynem i ludzką pożądliwością"... „Potem można jeszcze było, nasypawszy się do pełna maleńkiemi ciasteczkami, wbić zęby w czerwone jabłko, nieobrane pod pozorem braku noża, żeby potem absolutnie nie wiedzieć, co zrobić z ogryzkiem". ...„W każdym razie było się wyzwolonym z głodu i wszelkich z tem związanych pożądań..." „Przyjąwszy piękny kwiat, podniosła go do nosa: słodki zapach miał w sobie coś ostatecznego niczego więcej nie można już było po nim pożądać. Upojenie, które dawał, było kompletne i przenikające, jak kogel-mogel, jak atłas, albo jak chloroform, którego zapach Adelcia poznała u ciotki Anieli". „A tam w zasięgu wzroku, Ludwik Ramme rozwiał, rozsiadłszy się wygodnie, ale grzecznie w fotelu, w towarzystwie paru dam, między którymi była i przybrana w nieprawdopodobną suknię Zalcsztajnowa ze swoją małą główką i spokojnym wdziękiem pewnej siebie i bogatej kobiety i księżna Greta, i jeszcze jedna hrabina, wszystkie pochylone ku niemu i dyskretnie uwielbiające"... (str. od 157—167). Albo ten ustęp

opisujący modelkę w magazynie sukien: „Szczególnie zwracała uwagę jedna z dziewcząt, wysoka i szczupła, o pańskich oczach, pod cienkiemi powiekami, obejmującemi ściśle oczy, o długim, trochę garbatym nosie, o ustach wygiętych w podkowę nudy i wzgardy. Sama rasa i sama dystynkcja stąpała z nią razem kiedy kołysała się w tył i wprzód uwydatniając wdzięki toalety".

Chyba nie potrzeba komentarzy! Czytając w ten sposób pisaną grubą książkę, zapytujemy się chwilami, czy przypadkiem autorka nie kpi z nas, czy te ulice „skądinąd Marszałkowskie", wyrafinowane pokoje, te welony żałobne, które przeszkadzają w przechodzeniu przez ulicę, nie są poprostu parodją w rodzaju „Na ustach grzechu", ale na takie klejnoty nie zdobywała się nawet Magdalena Samozwaniec. Udowodnić nonsensowności i ordynarności tego sposobu pisania niepodobna, tak jak nie można udowodnić aksjomatów oczywistych, twierdzeń takich, jak dwa a dwa jest cztery, zwłaszcza, że nonsens tej książki jest w swoim rodzaju arcydziełem, jest robotą koronkową, jest czarująco subtelny, bo zawsze tylko o pół tonu rozmija się z sensem. I brnie ogłuszony czytelnik przez to mare tenebrarum, sam nie wiedząc czy złościć się, czy śmiać.

I byłoby to nawet w pewien sposób zabawne, gdyby nie było tak beznadziejnie smutne! Przecież Wanda Melcer nie jest jakąś początkującą pensjonarką, nie jest grafomanką, przeciwnie, ma nazwisko, nazwisko poważne, znamy ją z bardzo inteligentnych reportaży, z udanej ciekawej powieści *Święta kucharka* — oczom doprawdy nie wierzymy. Czyż to ma być jakiś nowy sposób pisania, jakaś nowa forma? Czyż samokrytycyzm autorski może tak zupełnie zniknąć? Czy pisarz w poszukiwaniu oryginalności, w poszukiwaniu „własnego wyrazu" może spaść na takie dno czystego nonsensu? Przecież nawet w chwilach zamroczenia normalny człowiek nie zaczyna chodzić na głowie, a człowiek dobrze wychowany jeść palcami... Owszem, rozumiem, można powieść „puścić" zaniedbać styl, napisać głupstwo, pomylić się, niedociągnąć psychologji, wszystko można zrozumieć, ale nie można zrozumieć tego, że poważna, dobra autorka zaczyna pisać poprostu od rzeczy. *Dwie osoby* to nie tylko słaba powieść, to zjawisko zastraszające, naprzód dlatego, że taka pisarka jak Wanda Melcer do tego stopnia straciła sąd, miarę i wszelkie poczucie smaku i kultury, że taką książkę wypuściła w świat, zastraszające i dlatego, że krytyka (jak dotąd) nie bije na alarm, że przeciwni jak Zofja Mianowska w *Pionie* pisze o takiej książce „na serjo" rozpatrując bez uśmiechu jej walory literackie, psychologiczne i t. d. Na miłość Boską, przecież zanim się zaaplikuje do jakiejś książki kryterja literackie, zanim się ją zacznie rozpatrywać pod kątem przeróżnych „izmów" trzeba ją osądzić jakimś trzeźwym „comonsensem", przecież poprostu nie można zatracać poczucia humoru, trzeba rzeczy dziwne czy oryginalne odróżniać od wprost

śmiesznych. Przecież od takiego pomieszania pojęć od takich oparów zatruwających smak i gust trzeba czytającą publiczność ratować! Przecież nie można pod pozorem kryterjów wyższych zatracać kryterjów zdrowego sensu. Jeżeli nawet książka Wandy Melcer ma jakieś wartości literackie (w części drugiej ma je niewątpliwie) to jednak trzeba mówić otwarcie, że taki sposób pisania jest kaleczeniem języka, obrazą rozsądku, obrazą smaku, że nie tylko nie jest literaturą ale że wogóle nie ma sensu. Już dość mamy pod pozorem szukania oryginalności dziwactw i nieszczęśliwych prób stylowych, dość zmanjerowania i baroku, już dość różne Mniszkówny i Staśki zdeprawowały smak i obniżyły kulturę pisarską, już dość różni półinteligenci i snobi uważają za prawdziwą literaturę jedynie to, co sztuczne, niejasne, zmanjerowane to już wszystko dość smutne, ale jeszcze smutniejsze, jak pisarki tej miary co Wanda Melcer na ten sam ton stroją swoje dzieła. Naprawdę, że to jakaś nieszczęśliwa sugestja, bo przecież znowuż Zofja Mianowska to krytyczka inteligentna, kulturalna, o cienkich i subtelnych wyczuciach, nie do pojęcia jest, że też dała się zasugestjonować, że dała się złapać na tę wędkę. Tę swoją krytykę, którą uważam za przygodną pomyłkę, kończy recenzentka *Pionu*, dowcipną i trafną uwagą: „doprawdy wyraz Bóg bez zadawania gwałtu swemu sumieniu pisać dużą literą. To będzie koncesja na rzecz przyzwoitości"...

Książka jest zjawiskiem interesującem nietylko sama w sobie, nietylko ze względu na swoje nieprzemijające wartości artystyczne. Książka, nawet słaba, jest zjawiskiem ciekawem społecznie, bo daje pewną miarę kultury pisarskiej danego społeczeństwa, a przedewszystkiem jest ciekawa w stosunku do swej poczytności, bo ta znowu daje miarę kultury czytelniczej danego kraju i epoki. Obie te kultury są zresztą bardzo od siebie zależne. Z tego też punktu widzenia warto czasem spojrzeć poza wydawnictwa należące do literatury w ścisłem tego słowa znaczeniu, na tę olbrzymią, jakby zaskórną literaturę, stanowiącą niestety olbrzymią większość tomów w publicznych wypożyczalniach. Doskonałą jednostką reprezentacyjną tego typu literatury jest ostatnia książka Juljana Germana *Wyprawa do raju*. Że German jest jednym z najpoczytniejszych naszych autorów stwierdzała i statystyka czytelnictwa Ziomka, i olbrzymi sukces (III wydania) sławnej „Iwonki", i choćby sfatygowany wygląd książek tego autora w wypożyczalniach. Lektura to nie bardzo przyjemna, ale zato bardzo pouczająca. *Wyprawa do raju* to powieść słaba, niekulturalna i brudna. Wyjaśnijmy naprzód ten punkt ostatni. Bywają książki o wiele brutalniejsze, bardziej jaskrawe, bardziej nawet, jeśli kto chce, nieprzyzwoite, ale mało jest (albo może właśnie dużo) książek zasługujących w tym stopniu na nazwę „brudnych". Stale dźwięczy tu nuta drażniącej zmysłowości,

nawet nie bardzo brutalnej, ale za to bardzo sugestywnej. Erotyzm wypływa tu nie z jakichś nakazów artystycznych, nie z chęci badania ludzkiej natury w jej tajnych, a nieraz mało budujących instynktach. Erotyzm jest tu poprostu motywem dekoracyjnym, przynętą, trickiem handlowym. Jest przyprawą rozsianą suto po całej powieści; przyprawa ta, drażniąc ciągle zmysłowość czytelnika, ma utrzymać w czujności jego uwagę. I tu właśnie leży istotna nuta pornograficzna tej napozór wcale nie „takiej złej" książki. I jestem głęboko przekonana, że właśnie ten typ książek przynosi największą szkodę moralną szerokim masom, zwłaszcza młodzieży, budząc w niezdrowy sposób jej wyobraźnię erotyczną, podsuwając erotyczne skojarzenia ciągle i we wszystkiem. Wydaje mi się, że stokroć szkodliwsze są takie książki, których istotny brud owinięty jest jedwabną przędzą fałszywego sentymentalizmu, niż np. znana ze swej niezwykłej brutalności książka takiego Célina, a posunę się aż do twierdzenia, że książki w rodzaju *Wyprawa do raju* mogą być szkodliwsze nawet od Zegadłowiczowych *Zmor*. Niewątpliwie sam Zegadłowicz ma podstawę ideową i moralną gorszą, ma rodzaj erotycznej obcesji, wstrętnej i odrażającej, ale mimo wszystko zdaje mi się, że gdybym miała szesnastoletnią córkę, mniej przykre byłoby mi, gdyby przeczytała „Zmory" niż karmiła się takiemi „Wyprawami do raju". Uważałabym to za mniej dla niej szkodliwe i niebezpieczne. Jeżeli z takim naciskiem mówię o szkodliwości książki, która napewno nie ściągnie na siebie żadnych oficjalnych anatemów, to właśnie dlatego, że ten typ ukrytej i pozornie niewinnej pornografji jest niezmiernie rozpowszechniony, że często uchodzi uwadze, a że jest codzienną pożywką tysięcy czytelników, zwłaszcza młodzieży. Jeżeli tak przedstawia się wartość moralna książek w typie *Wyprawy do raju*, to ich wartość kulturalno-literacka nie przedstawia się lepiej.

Czy można powiedzieć, że German jest zupełnie pozbawiony talentu powieścio-pisarskiego? Na pewno nie. Pisze dość żywo, fabułę przeprowadza zgrabnie, miejscami zajmująco. Nawet niektóre postacie są postawione dobrze i dowcipnie. P. Seweryn Wolsztyński, bogaty obywatel ziemski, który zajmuje się studjami historycznymi, a nie pilnuje swoich interesów i potem zbankrutowawszy dziwi się co za zły duch doprowadził go do ruiny — pomyślany jest dobrze i prawdziwie. Skąd więc ta beznadziejność powieści, ten jej poziom wprost nie do zniesienia? I znowu muszę powtarzać to, co już tylokrotnie mówiłam w moich recenzjach w *Przeglądzie*: poziom ten pochodzi z zupełnego braku kultury pisarskiej i wogóle kultury. Powieść Germana nie byłaby literacko tak zła, gdyby nie była tak beznadziejnie ordynarna, tak baciarska, miejscami aż bezsensowna. Rzecz dzieje się w środowisku arystokratycznem bogatego ziemiaństwa. Otóż ci wielcy panowie mają manjery szewców, mówią ze sobą jak andrusy

z przedmieścia, zachowują się jak w karczmie. Nie twierdzę żeby sposób bycia arystokracji, jej manjery i zwyczaje były jedynie dobrym i stosownym sposobem bycia; nie twierdzę, że życie we dworach wiejskich jest życiem idealnem i nie podlegającem krytyce; twierdzę tylko, że jak raz ktoś chce opisywać t o właśnie życie, musi je opisywać takiem, jakiem jest. Można je krytykować, chłostać, karykaturować, ale trzeba wiedzieć jakiem ono jest, trzeba wiedzieć o czem się pisze. Inaczej wychodzą takie nonsensa jak właśnie w powieści Germana. Można prawdę życia przesadzać, deformować, rozmaicie i dowolnie naświetlać, ale ostatecznie opisując pomarańczę, nie można powiedzieć, że jest to przedmiot kwadratowy, o barwie niebieskiej i smaku musztardy, bo to nie jest ani karykaturą ani deformacją, tylko brednią. A tak właśnie mniejwięcej pisze German. Za daleko zaprowadziłoby nas cytowanie faktów, sytuacji, powiedzeń i rozmów, które składają się na tę karykaturę, która karykaturą być nie ma, na tę groteskę traktowaną na serjo, czasami nawet z wzniosłym patosem. I ten właśnie pseudo-patos razi prawie na równi z bezsensownymi „realiami" księżki Germana. Chodzi stale na niepotrzebnych koturnach, zgłębia najpłytsze problemy, winduje się na szczudła najbardziej wyświechtanych komunatów filozoficznych. Nie wszystkie książki potrzebują rozstrzygać zagadkę bytu i zagadkę zaświatów. Bywają książki, i to książki bardzo dobre, które się bez tego obywają świetnie. I tu znowu wracamy do zagadnienia kultury, która polega między innymi także i na tem, aby pisarz zdawał sobie sprawę ze swoich możliwości i do nich się stosował. Gdyby Jachowicz chciał był pisać dramat lub epopeję, nic dobrego z tegoby nie wynikło. Ale był na tyle kulturalny, że się do tego nie zabierał. Właśnie kulturalny samokrytycyzm pisarza polega na tem, żeby rozróżnił czy jego filozoficzne zapatrywania są jakiemś nowem i cennem odkryciem, czy po stokroć już wyświetlanemi kliszami, jeszcze raz nieudolnie reprodukowanemi. Doskonale zdają sobie z tych rzeczy sprawę pisarze zachodu. Istnieje tam cała ogromna literatura, którąby nazwać można rozrywkową. Książki lekkie, zajmujące, dowcipne, pełne miłego sentymentu, o zajmującej fabule, dostarczają miłego wytchnienia czytającej publiczności, nie kusząc się o odkrywanie już odkrytej bez nich Ameryki. A w te swoje lekkie bezpretensjonalne książki kładą tylko jedno: doskonałe pisarskie rzemiosło. Talentu podobno nie można sobie dorobić, ale stanowczo można go wyrobić przez kulturę, przez pracę, przez doskonalenie pisarskiego rzemiosła, przez trzymanie się ramach swoich zdolności i możliwości. Chyba nie tak wielkie wymagania, a ileżby oszczędziły nam ramot niesmacznych i lichych w rodzaju *Wyprawy do raju.*

Przepraszam moich czytelników, że tak rozpisałam się o książce tak mało ważnej jak książka Germana, ale powtarzam,

nie chodzi mi tylko o nią, lecz o cały typ. Chodziło mi o zwrócenie uwagi wszystkich zajmujących się młodzieżą, pracą oświatową i kulturalną, na ten straszny typ książki, który szerzy poprostu spustoszenia; spustoszenia kulturalne, deprawując gust czytelnika, obniżając jego poziom intelektualny, przyuczający go do płytkości i braku smaku, otrzaskując z wulgarną literaturą najgorszego gatunku — i spustoszenia moralne, przemycając ukryty i brudny erotyzm w rękawiczkach pseudo-psychologji i pseudo-literatury.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Łowmiański Henryk. Prusy pogańskie. Rozprawa z pracy zbiorowej „Dzieje Prus Wschodnich". Toruń 1935, Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. S. 56.

Zobrazowanie najdawniejszych dziejów Prus oraz stosunków panujących w tym kraju w owej epoce jest zadaniem niewdzięcznem i trudnem. Największem utrudnieniem jest niedostatek źródeł. Przed wiekiem XIII jest ich mało, są mętne i skąpe w szczegóły, co najgorsza zaś niekiedy bądź sprzeczne z sobą, bądź fantastyczne. Źródła poważniejsze i bardziej szczegółowe datują się dopiero z epoki podboju Prus przez zakon Krzyżowy; przedewszystkiem kronika ziemi pruskiej, napisana przez Piotra z Duisburga, będzie zasługiwała tu na uwagę i na wiarę. Pozatem pomagać nam musi w odczytaniu przeszłości kraju archeologja oraz lingwistyka, oczywiście pod warunkiem ścisłej kontroli w zestawieniu ze źródłami pisemnemi. Dzięki takiej metodzie porównawczej autor ustala istotnie dość dużo faktów dotąd ciemnych, jednakże uczciwie stwierdza w kilku miejscach swej książki, że są też zagadnienia, których „prutenologja" — że tę wiedzę tak nazwiemy — nie potrafiła dotąd rozwikłać i określić.

Takiem zagadnieniem jest pochodzenie i charakter „Aestiów", wspomnianych przez Tacyta, jako dawniejsza ludność tego kraju. Rzymski historyk mówi o nich, że mieszkają *dextro Suebici maris litore*; określenie to jest pod względem topograficznym tak rozciągliwe, iż dalibóg wahałbym się, czy mam je odnieść do ziemi pruskiej, czy — jak to czyniono nieraz — do obszarów zamieszkałych dziś jeszcze przez ludność pochodzenia fińskiego, estońską, której nawet nazwa rodzima (Eesti) przypomina Aestiów tacytowych. Jedynym wskaźnikiem jest u Tacyta wzmianka o bursztynie (Germ. 45), przyczem podana jest i tybylcza nazwa tego minerału; *quod ipsi glaesum vocant*; ale jeden wyraz to jeszcze za mało, by można było bawić się w przypuszczenia co do języka owych Aestiów. W każdym razie przypuszczenia co do pobytu ludności fińskiej na obszarze Prus historycznych (Rozwadowski) nie są bezzasadne. Tak czy owak ludność ta dawna — jak świadczy i Tacyt i wykopaliska archeologiczne — miała styczność z Go-

tami, która, jeżeliby sądzić po wpływach językowych, raczejby świadczyła za pierwotną tubylczością ludności fińskiej. A propos Gotów, kto wie, czy nie warto było w książce o Prusach pogańskich wspomnieć, że niektóre nasze średniowieczne źródła historyczne nadają nazwę Gotów — Prusakom; w świetle tego nawet tłumaczono zagadkowe słowa z epitafjum Bolesława Chrobrego:

Tu possedisti, veluť verus athleta Christi,
regnum Slavorum, Goforum seu Polonorum

jakoby król ten, pełniąc misję apostolską, uczynił sobie uległymi Gotów czyli Prusaków, albo przynajmniej rościł sobie prawa do zwierzchnictwa nad nimi. Notując mimochodem te hipotezy, o których bliższe wiadomości podaję na innem miejscu, wyrażam tu raczej pogląd, że owo przezywanie Prusaków Gotami, czy Getami, było w owych czasach już tylko reminiscencją z autorów klasycznych, taką, jak w swoim czasie uważanie Polaków za Sarmatów. Gdyby można określić, jakich czasów sięga nazwa *Gudas* (por. średniowieczną nazwę *Gudones* dla owych „Gotów") — zachowana w bałtyckich i fińskich językach na oznaczenie Rusi, możeby to pomogło do rozstrzygnięcia owej zawiłej kwestji gocko-prusko-fińskiej.

Tak czy owak, znajdujemy dowody, że plemię bałtyckie Prusów, pokrewne Litwinom i Łotyszom, raczej późno usadowiło się nad Bałtykiem, gdy zaś do morza tego dotarło, nie zdołali naprawdę zapanować nad jego wybrzeżem. Przeszkodziła temu ekspansja Skandynawów, a następnie plemion słowiańskich. Autor książki zajmuje się kolejno najpierw jedną, potem drugą. Szczególnie walki Prusaków z Polską omówił przejrzyście; pomimo że nie narzucił żadnego podziału, rysują się wyraźnie dwa okresy. W pierwszym mamy do czynienia z ofensywą polską Chrobrego i Krzywoustego; ofensywa ta w pewnej mierze idzie paralelnie do akcji misyjnej, ale oczywiście nie jest z nią identyczna — może nawet akcje te sobie wzajemnie przeszkadzają, jakby domyślać się można z pewnych zwrotów w biografjach misjonarzy. W drugiej fazie Prusacy przechodzą do ofensywy, korzystając z rozdrobnienia Polski. Zajęcie przez nich ziemi chełmińskiej, prowincji mazowieckiej, staje się wreszcie przyczyną sprowadzenia Krzyżaków.

Sąsiedztwo z Polską sprawiło, że przedostawały się do Prus wpływy polskie, zwłaszcza gdy — już na schyłku wieków średnich — rozpoczęła się kolonizacja mazowiecka. Określenie zakresu i gatunku tych wpływów jest zasługą Brücknera. Może wartoby wspomnieć, że *vice versa* i na obszarze polskim — zwłaszcza na Mazowszu, bezpośrednio stykającem się, a niekiedy i współdziałającem z Prusami — szerzyły się wpływy kulturalne pruskie; pisał o tem kiedyś, choć nie bez znacznej przesady w szczegółach, E. Kucharski (Studja staropolskie, 1928). Wsze-

lako omyłką wydaje mi się wyrażone przez Łowmiańskiego przypuszczenie, jakoby język polski był dość dobrze w Prusiech znany za Bolesława Chrobrego; owszem, w żywotach mamy wzmiankę, że św. Wojciech rozmawiał z Prusakami przez t ł u m a c z a; dopiero w późniejszych wersjach, np. w żywocie upsalskim z połowy XIII wieku, jest mowa o możnym jakimś Prusaku, *qui Polonicam linguam novit*, a który, zaprzyjaźniwszy się ze św. Wojciechem, został w ukryciu chrześcijaninem.

Wśród tej — naprzemian wojennej i kulturalnej penetracji trudne było niewątpliwie ustalenie granicy między Prusami a Polską — czyto od zachodu (Pomorze) czy od południa (Mazowsze). Autor określił te granice w ostatnim momencie bytu niepodległego tej krainy, dodając dla lepszej orjentacji przejrzystą mapkę. Najbardziej sporną kwestję — rozmieszczenia Jadźwingów, Skalowów i Sudowów oraz ich przynależności plemiennej — rozstrzygnął przekonywująco na rzecz wspólnoty tych plemion z Prusami, przyczem słusznie przekreślił podanie Długoszowe o Podlasiu, jako rzekomem siedlisku Jadźwingów.

Szczep, który zamieszkiwał całe terytorjum pruskie, obejmował w chwili przybycia Krzyżaków 9 plemion, które zkolei składały się z szeregu włości. Organizacja plemienna i włostna szła niewątpliwie w parze z działalnością militarną, uzależniona była od stopnia obronności kraju. To też w czasie wojny widzimy wodzów i naczelników — w czasie pokoju władza ich ustaje; królów czy książąt we właściwem tego słowa znaczeniu nie spotykamy; choć istnieje tytuł *kunigas*, pokrewny niewątpliwie z germańskim *konung*, a dziś w litewskim *księdza* odznaczający, był to tylko tytuł, nie godność, ani funkcja.

W szeregu ustępów Łowmiańskiego szczegółowo rozważa ustrój Prus pierwotnych społeczny i gospodarczy: organizację rodu, jego podstawy majątkowe, funkcje publiczne, różnice zachodzące między warstwami społecznemi (arystokracja, pospólstwo, niewolnicy) i t. d. Ostatni rozdział poświęcony jest religji tych „ostatnich pogan" europejskich, jakimi byli Bałtowie. Badania na tem polu są szczególnie trudne wskutek gmatwaniny, wywołanej informacjami humanistów wieku XVI. Pewną jest rzeczą, że istniał w narodach bałtyckich kult przyrody, także i kult przodków; z tych kultów dopiero, jak twierdzą badacze, rozwinął się kult demonów i bożków, z których niektóre znane są z imienia. Obrzędy były wynikiem wspomnianych kultów; zwłaszcza o wróżbach i pogrzebach zachowało się stosunkowo dużo wiadomości. Co do kapłanów, autor słusznie dowodzi, że chyba mylna jest informacja Piotra z Duisburga o wielkiej władzy Kriwego (czy nazwa jego jest jednoznaczna z „krzywulą", trochę powątpiewam); w każdym razie, jak zaznaczył, kapłani mogli też być wodzami plemiennymi; w otwartym już życiorysie upsalskim św. Wojciecha (pochodzącym z Warmji) wspomniany jest wyraźnie zabójca świętego, jako

sacerdos idolorum et dux cohortis — więc obie funkcje, duchowna i świecka, łączą się tu w jedno.

Zakończenie tej ciekawej książki, dające bilans faktów, a przytem szeroką perspektywę porównawczą na cały obszar szczepów bałtyckich (letońskich), zawiera myśl ważną, a pobudzającą do żywszej dyskusji: oto Prusy były na drodze do zupełnej asymilacji z sąsiednią Polską i możeby jej uległy całkowicie, gdyby nie fatalne dla naszego państwa usadowienie się zakonu krzyżackiego na owem terytorjum.

Józef Birkenmajer.

Ks. Henryk Folwarski. Erazm Ciołek, biskup i dyplomata. Studia historico-ecclesiastica Nr. 1. — Warszawa 1936. Str. VII + 204.

Nazwisko Erazma Ciołka, biskupa płockiego z początku w. XVI, jawi się ostatniemi czasy nader często w naszej literaturze naukowej. Wspominał je prof. Stanisław Łempicki w licznych swych pracach o polskim mecenacie kulturalnym, wspominali je często - gęsto Jerzy Krókowski, Stefan Komornicki, prof. Stanisław Kot i inni współpracownicy wspaniałej księgi p. n. *Kultura staropolska* (Kraków, P. A. U. 1932); znajdowało się też ono, przy różnych okazjach, w pracach prof. Haleckiego, ś. p. prof. Morawskiego, prof. R. Ganszyńca i K. Estreichera. Najobszerniejszą zaś dotąd rzeczą była napisana grnntownie i pięknie książka prof. Hartleba *Działalność kulturalna biskupa - dyplomaty Erazma Ciołka* (Lwów 1929).

Książka ta, mająca zakrój monograficzny, przez swe założenie tematowe ukazała niezwykłą postać biskupa płockiego od jednej tylko strony: jego zasług kulturalnych. Tę to stronę przedewszystkiem uwzględniali również wspomniani przeze mnie inni badacze. Zajmowano się i stroną drugą — a mianowicie działalnością polityczną i dyplomatyczną Erazma; tu na czoło wysuwa się swą objętością praca St. Lukasa (1887), dziś oczywiście niewystarczająca, dająca jednak wytyczne badaniom następców.

Nie była natomiast omawiana szerzej i gruntowniej trzecia, „niemniej bogata" dziedzina działalności Ciołka: jego rządy biskupie na obszarze diecezji płockiej, praca duszpasterska, kościelno-administracyjna.

Tą właśnie stroną zajął się przedewszystkiem ks. dr. Folwarski. Bogatego materjału dostarczyły mu przedewszystkiem archiwa, wśród nich zaś głównie archiwum kapitulne płockie, a także dokumenty rewindykowane niedawno z Rosji. W świetle tych nieużytkowanych dawniej materjałów rysuje się wyraźniej postać tego niezwykłego męża, jakim był — otaczany przez swoich zazdrością, a podziwem przez najtęższych ludzi Europy.— sekretarz króla Aleksandra i poseł króla Zygmunta. Poznajemy tu najsilniej jego zalety, wśród nich przedewszystkiem światłość

umysłu i nieugiętą energję; poznajemy jeszcze silniej jego wady, z których najprzykrzejszą będzie zbytnie zabieganie o doczesne godności, majętności i przywileje, a więc łapczywa *cumulatio beneficiorum*, a następnie dążenia do purpury kardynalskiej. Z przykrością czyta się o jego zatargach ze szlachtą, kapitułą, proboszczami i zakonami, z przykrością też dowiadujemy się, że do celów swych, nawet niekiedy bardzo chwalebnych w założeniu, biskup umiał zdążać „środkami, jak się zdaje, nie zawsze godziwemi". Ale też można powiedzieć dużo na jego korzyść. Przedewszystkiem uczynił wiele dla dobra swej diecezji, uporządkował zarówno jej administrację jak liturgję, karał nadużycia i niemoralne postępki poddanego sobie duchowieństwa, łożył wiele nietylko na cele kulturalne ale i społeczne. W XVI w., kiedy szlachta coraz to bardziej ogranicza prawa innych warstw społecznych, uderza nas pewien demokratyzm Ciołka, popieranie przezeń ludzi zdolnych niskiego pochodzenia, plebejów.

Kiedy czytamy, ile Ciołek urządził synodów w swej diecezji, ile spraw rozsądził, ile wydał dekretów i postanowień, zapytujemy mimowoli: kiedy ten człowiek miał czas na to wszystko? Bo przecie Ciołek znaczną część swych lat pasterskich spędził, jak to w Warszawie mówią „w rozjazdach": to na dworze królewskim, to w Niemczech, to we Włoszech. W krajach tych zapewne też kiedyś odnajdą się jakieś dokumenty wyświetlające bujną jego działalność — pamiętam nawet księgi cudzoziemskie, gdzie o nim pisano (w jednej wydrukowano jego nazwisko mylnie: Erasmus C i o l e t i !), lecz narazie nie spotkałem pomiędzy niemi takich, któreby wnosiły wiele nowego — więc droga do poszukiwań otwarta!

Ale i tak dyplomatyczna rola Ciołka już nam jest, dzięki ks. Folwarskiemu, uprzystępniona należycie i zrozumiała. A rola to wprost ogromna — zasięg jej obejmował nietylko Polskę i Litwę. Dwie sprawy dotyczą Europy i całego chrześcijaństwa. Pierwszą z nich jest sprawa unji Kościoła wschodniego, sprawa powrotu Rusinów na łono katolicyzmu; tu właśnie akcja Ciołka stanowi jakby pomost między unją florencką a brzeską — zwłaszcza, że kwestje liturgji i dogmatu poruszone zostały wówczas zdecydowanie i rzeczowo. Druga — to sprawa ligi chrześcijańskiej przeciwko Turkom i Tatarom, a więc organizacja stałego i planowego przedmurza chrześcijańskiego. W związku z tą sprawą dowiadujemy się ciekawych szczegółów, o projekcie przesiedlenia Krzyżaków na Podole celem użycia ich do stałej walki przeciwko niewiernym.

W sprawie krzyżackiej Ciołek miał wogóle dużo do powiedzenia podczas swego posłowania. Niestety, sprawa ta pozostała niezaleczoną bolączką państwa polskiego, nawet i po śmierci biskupa. Późniejsze jej załatwienie — hołd pruski — nie poszło po myśli ani państwa ani Kościoła... i przyniosło tyle niepowetowanej szkody...

Z wielu innych misyj, jakie biskup płocki sprawował podczas swego posłowania, jedna jest szczególnie pamiętna i doniosła: ożenek króla Zygmunta z Boną, uwieńczenie wielu — konsekwentną linją idących — zabiegów Ciołkowej polityki, a zarazem najszersze otwarcie drzwi Polski na Europę, wpuszczające do wnętrza sarmackiego kraju potoki blasków humanizmu.

W Rzymie, drugiej swej niejako ojczyźnie, gdzie cieszył się poważaniem i przyjaźnią papieży, zgasł Erazm Ciołek, zdala od swego kraju, którego sławie i potędze — przy wszystkich swoich wadach i osobistych ambicjach — służył wiernie, mądrze, dzielnie i wytrwale. Zgasł, ścigany niechęcią, intrygami i nienawiścią ze strony wielu rodaków, którzy zazdrościli mu niebywałej karjery, a przebaczyć mu nie mogli plebejskiego ponoś pochodzenia. Wynikiem tego postępowania były nietylko zjadliwe paszkwile skierowane przeciw niemu, ale i kopanie pod nim dołków, prowadzące wkońcu do odebrania mu godności poselskiej. Nie udało się rozświetlić zagadki, czemu to, mimo owego faktu, Ciołek do końca życia występował nadal w charakterze posła królewskiego. Tu pomogłyby nam napewno archiwa włoskie, niestety ze względów „gospodarczych" autorowi niedostępne...

Ale i tak książka ks. Folwarskiego dała nam niezmiernie wiele i pozostanie trwałym nabytkiem polskiej nauki. Napisana stylem płynnym, poważnie, stanowi lekturę miłą dla człowieka inteligentnego i pożyteczną. Uderza też dbałość o formę zewnętrzną, typograficzną. Tylko czy to nie błąd druku: Kanonia wrocławska (str. 18)? Może chodzi o — włocławską?

Józef Birkenmajer.

Daniel Rops: Świat bez duszy. Poznań, Księgarnia Św. Wojciecha, str. 212.

Książka Ropsa jest silnem napiętnowaniem płytkości współczesnego życia — jest wołaniem o stworzenie dla niego w duszach ludzkich metafizycznej podstawy, której brak, jest główną przyczyną moralnego kryzysu, jaki obecnie przeżywamy. W szeregu rozdziałów, tworzących zamknięte w sobie szkice, autor odsłania słabe strony nowoczesnej kultury, pustej w sobie, pozbawionej trwałego ożywczego pierwiastka. Stąd tytuł dziełka — *Świat bez duszy.*

Książka napisana przez człowieka, bardzo głęboko sięgającego myślą i przeznaczona dla równie głęboko myślącego i wykształconego czytelnika. Po jej kartach rozrzucone mnóstwo niesłychanie bystrych spostrzeżeń, trafiających w samo sedno najrozmaitszych duchowych zjawisk i zagadnień. Jako próbkę niech nam wolno będzie przytoczyć choćby kilka. „Przyczyną kryzysu, w jakim się świat znajduje, jest zburzenie wszelkich podstaw metafizycznych w świadomości ludzkiej" (str. 12). „Kryzys, pod którym ugina się świat od roku 1914, nie ma w sobie

nic tajemniczego lub nieoczekiwanego dla tych, co oceniają nowoczesną cywilizację na podstawie praw nieprzemijających: jest on naturalnym porządkiem rzeczy" (str. 15). „Ludzie, którzy patrzą na przyszłość z punktu widzenia swoich założeń, będących wyrazem ich rezygnacji wobec nieuniknionego ich zdaniem upadku, są to właśnie ci, co w dzisiejszym chaosie widzą jedynie konsekwencje historyczne i ekonomiczne — czysto ludzkie, gdy tymczasem inni nie poddają się rozpaczy, bo według nich zamęt powstał z przyczyn metafizycznych" (str. 16). „Zarówno w naszej cywilizacji jak i w naszem jestestwie indywidualnem są elementy skazane na śmierć. Lecz nie one powinny nami kierować; przeciwnie wieść nas mogą tylko te, które przeczą śmierci, obiecując człowiekowi trwanie. Czy jednak ta prawda nie została zatracona, czy epoka nasza nie dopuściła się właśnie wielkiej zdrady, nie chcąc uznać za podstawę tego, co trwałe i nieprzemijające? (str. 17). „Natura ludzka jest już taka, że imperatywnie domaga się istnienia jakiegoś absolutu. Jeżeli więc tym absolutem nie jest Bóg, będzie ona gloryfikowała samą siebie, bądźto w jednostce, bądź też w koncepcjach, zrodzonych z człowieka, np. w rasie lub w narodzie. Wszystko przemawia za tem, że pojęcie absolutu jest dla człowieka tak konieczne, jak chleb i woda. Skoro tylko zniknie ono w jednej formie, zastępuje się je inną. Umysły antyreligijne, zamiast Boga, każą wielbić coś innego: postęp, miłość ludzkości — co również jest niejako formą religji" (str. 43). „Wiemy dobrze, że barbarzyńcy mało się troszczą o tradycję. Lecz z drugiej strony, czy Europa, kraj starych tradycyj i „chory na historję", nie cierpi z nadmiaru swego przywiązania do rzeczy dawno minionych, czy ta miłość nie paraliżuje twórczości ludzi żywych? A z lekcji przeszłości co więcej zasługuje na zachowanie — forma czy duch? Czy wskazane jest obarczanie się nadmiernym ciężarem, opóźniającym pochód? Wydaje się rzeczą wątpliwą, czy duch powinien do tego stopnia czcić zmarłych, żeby aż stawać się do nich podobnym" (str. 76). „Większość dzisiejszych ludzi zdziwiłaby się bardzo, gdyby im powiedziano, że najnędzniejszy wieśniak wieków średnich miał wyższe pojęcie o człowieku, aniżeli ma o nim dzisiejsza cywilizacja. Człowiek dzisiejszy jest gloryfikowany i otaczany pochlebstwem; dlatego wydaje mu się, że życie jego usprawiedliwione jest mocą samego jego istnienia. Zobaczymy, że ów człowiek, wstępujący na opróżnione ołtarze, jest tylko abstrakcją i schematyzacją tej skomplikowanej całości, jaką jest osobowość ludzka. Gloryfikując abstrakcję człowieka, cywilizacja maszynowa ze wzgardą traktuje człowieka rzeczywistego i konkretnego" (82). Wiele z tych zdań, hojną ręką autora niby perły rozrzuconych po książce, mogłyby stanowić — każde — treść całego rozdziału. Książkę nie dość przeczytać — trzeba ją przemyśleć.

Ks. Edmund Elter T. J.

Jacques Maritain: Sztuka i mądrość, tłum. z franc. K. i K. Górscy. Poznań, Księg. św. Wojciecha, bez daty (1936), str. 212, zł 4·50.

Ta książka dawnego bergsonisty, a obecnie znakomitego neoscholastyka francuskiego „nie w sutannie", składa się z trzech działów treści. Pierwszy z nich liczy dziewięć rozdziałów, ujętych w ogólniejsze nazwanie „Sztuka i mądrość" (str. 1—99). Jako dział główny, daje nam on teorję sztuki rzemiosł i twórczości artystycznej, i jak widzimy, odeń książka ma swój tytuł okładkowy. Dział drugi — djalogi — (str. 101—130) składa się z kilkudziesięciu krótszych lub dłuższych, a zawsze mistrzowskich uwag na tematy teologiczne, chrystologiczne, filozoficzne, etyczne, historjozoficzne, literackie i t. p. Dział trzeci (str. 133—212) — to źródłowe i obszerne przypisy do „Sztuki i mądrości". Wykazują one, jak to Maritain rozporządza bezpośrednią i olbrzymią znajomością piśmiennictwa chrześcijańskiego wszystkich rodzajów i czasów (przedewszystkiem zaś znajomością pism i myśli św. Tomasza z Akwinu). Przypisy te zrobione są z niezrównaną brudycją i literackiem pięknem.

„Sztuka i mądrość" ciekawić może szczególniej rozdziałami: Scholastycy a teorja Sztuki, sztuka jest cnotą intellektualną, Sztuka i piękno, Prawidła sztuki, Sztuka i moralność. Maritain wziął świadomie rozbrat z zawiłą i subjektywistycznie zabarwioną niemiecką teorją sztuki, a chcąc być dla wszystkich jasny i zrozumiały, kreśli scholastyczną filozofję twórczości rzemieślniczej i artystycznej w oparciu o Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu. Aby tem wyraźniej oddać swoisty charakter sztuki, rzuca autor równoległe uwagi na temat działania ludzkiego (porządek moralny), które, kierowane cnotą roztropności, a w stadjach wyższej doskonałości mądrością (stąd w tytule słowo „mądrość"), różni się od dziedziny wykonania (porządek wykonania sztuki), będącą przedmiotem cnoty sztuki. Sztuka w znaczeniu subjektywnem jest sprawnością inteligencji (cnotą umysłu praktycznego) i uzdolnieniem jej do twórczości rzemieślniczej i artystycznej. Piękno, które wytwarza artyzm, realizuje się w blasku formy nad materją. Sztuka, a raczej mające powstać dzieło, stwarza autonomiczny porządek celu i środków. Ale ponieważ dzieła sztuki tworzy człowiek, a także służyć one mają celom ludzkim — sztuka i jej wytwory podlegają z tej strony ocenie moralnej. Więc rzemieślnik i artysta popełniają czyn moralnie ujemny, jeżeli tworzą dzieła, z których ludzie nigdy lub w większości wypadków nie mogą korzystać bez grzechu. Oto prawo etyki do sztuki. Sztuka chrześcijańska przekracza granice tematyki ściśle religijnej i realizuje się naogół w dowolnym temacie, byle jego koncepcja i opracowanie pochodziły od myślącej i czującej po chrześcijańsku duszy.

Wszystko w tej książce jasne i piękne, jakby, pisząc o sztuce, sama chciała być jej tworem. A więc ideowa i werbalna wierność scholastyce idzie w parze z nowoczesnem oddaniem jej

myśli. Swobodna orjentacja autora w historji myśli i twórczości ludzkiej pozwala mu orzekać na podstawie jej prawd i błędów o słuszności scholastycznej teorji sztuki. Prostota wywodów rozporządza myślą wytworną, górną a ścisłą, odznaczającą się intuicyjnemi uchwytami i owianych jakąś kontemplacyjno-mistyczną zadumą. Piękne słowo układa się nierzadko w aforystyczne, godne zapamiętania zdanie. Przekład oddaje trafnie typ myśli i słowa Maritain'a. Spotyka się udatne polskie filozoficzne nowotwory terminologiczne. Lektura „Sztuki i mądrości" — to wielkie duchowe. Niezwyczajnem dla wielu wydać się może postawienie w ramach sztuki wytwórczości rzemieślniczej obok twórczości artystycznej. Ale tu idzie nie o standaryzowane wytwory przemysłu fabrycznego, lecz o rękodzieła, w których jest miejsce na oryginalną koncepcję i żywy ludzki proces wytwórczy. I jeszcze jedno: przywykliśmy do jakiegoś obowiązującego w dobrej sztuce „twórczego chaosu i bezprawia", a Maritain głosi za scholastyką, że niema wielkiej sztuki bez stałych prawideł, regularności i uczenia się.

Ks. Z. Goliński.

Marjan Szyjkowski: Polskie Peregrynacje do Pragi i Karlowych Warów, od Augusta Mocnego do Adama Mickiewicza. Inst. Wyd. Bibl. Polska 1936. str. 332. in 8°.

Autor, bardzo zasłużony badacz stosunków polsko-czeskich dał był w dwóch obszernych tomach, wydanych w języku czeskim w latach 1931 i 1935 obraz wpływów polskiej literatury na czeską z końcem XVIII i początkiem XIX wieku. Jakkolwiek to dzieło opowiadało chlubną dla nas ekspansję polskiej kultury oddziałującej na pobratymczy naród u samych podstaw jego duchowego odrodzenia, nie wywołała u nas ta praca żywszego oddźwięku, nawet wtedy, gdy autor wydał obszerny jej skrót w języku polskim. Niniejsza bardzo ładnie wydana i bardzo starannie zrobiona książka ma na celu zwrócić uwagę polskich czytelników na tę zupełnie u nas nieznaną i mało popularną stronę naszych dziejów. Zaczyna autor od karlsbadzkich podróży całego szeregu kuracjuszy polskich, głównie z ostatniego dziesiątka XVIII. i pierwszych trzech dziesiątków XIX wieku. Ale jeżeli już te pierwsze rozdziały wydobyte głównie z annałów karlsbadzkich, nie mają w sobie nic schematycznego, bo nazwiska gości są tylko kanwą, na której bardzo ładnie osnuwa autor szczegóły z politycznej, literackiej, obyczajowej, rodzinnej historji Polski a po części i Europy, to rozdziały następne noszą już charakter rzeczywistego a bardzo ładnie ujętego literackiego studjum. Około nazwisk Jungmanna, Czelakowskiego, Hanki, Dobrovsky'ego, Szafarzyka, Kollara itd. z jednej, a Krasickiego, Woronicza, Brodzińskiego, Niemcewicza, Malewskiego, Mickiewicza z drugiej strony grupuje Prof. Szyjkowski bardzo interesujące wiadomości o sto-

sunkach naukowych i literackich polsko-czeskich, o przekładach rzeczy polskich na język czeski, o obustronnych słowianofilskich tendencjach, które rozbiły się poczęści o pewien materjalizm właściwy czeskiej duszy, po części o filorosyjskie nastawienie niektórych z czeskich „budzicieli". Książka Prof. Szyjkowskiego, ozdobiona przytem ciekawemi ilustracjami ze starego Karlsbadu, bardzo zasługuje na przeczytanie. Mogłaby ona stanowić jeden z mostów, które różni ludzie dobrej woli usiłują przerzucić nad głęboką szczeliną rozdzielającą od tak dawna dwa pobratymcze ludy.

Ks. J. Rostworowski T. J.

J. de la Vaissière T. J.: Teorja psychanalityczna Freuda. Studjum z psychologji pozytywnej. Przekł. autoryz. M. i Z. Ziembińskich. Poznań, Księg. św. Wojciecha, bez daty (druk. w r. 1936), str. 444, zł. 3.20.

Z sympatją dla Freuda, jako człowieka i pracowitego badacza, a z niezmąconym objektywizmem wobec wyników jego badań, znakomity psycholog francuski w sutannie, jezuita O. de la Vaissière, opracował krytycznie jego teorję psychanalityczną z punktu widzenia psychologicznego. Pominął więc lecznicze zastosowania psychanalizy, a krótko potraktował freudowską etjologję nazwie oraz użytkowanie psychanalizy w pedagogice, estetyce i biografji. Rozprawa liczy cztery, rozbite na drobniejsze punkty freudowskich zagadnień, rozdziały (prace psychanalityczne Freuda, jego metapsychologja, zastosowanie psychanalizy, krytyka freudyzmu jako teorji psychologicznej). Podano też (z zachowaniem chronologji powstawania i zaznaczeniem istniejących polskich przekładów) wykaz 44 głównych prac twórcy psychanalizy z lat 1893—1932 — oraz polską bibljografję o freudyźmie (jednak niekompletną).

Autor, ogarniając całość teorji psychanalitycznej Freuda, opiera swe twierdzenia przedewszystkiem na lekturze jego dzieł. Tła i wyjaśnień szuka też w osobistem życiu wiedeńskiego psychologa, sięgając aż w jego życie domowe, rodzinne, zawodowe, uczucia religijne i społeczne. Dla uwszechstronnienia swej analizy i oceny bierze O. de la V. pod uwagę zdania przyjaciół, znajomych, uczniów, zwolenników i przeciwników Freuda. Stać jednak autora na samodzielne zgruntowanie i ocenę psychanalizy. Naukowe jego sumienie każe przyznać Freudowi, doszukującemu się możliwie kompletnego systemu czystej psychologji, dużą zasługę w stworzeniu płodnego kierunku t. z. psychologji głębi. W jej ramach cennem jest zwrócenie uwagi na dążności nieświadome, na (mogący według autora współistnieć z wolną wolą) determinizm i ciągłość w dynamice psychiki.

Natomiast zarzucić wypadnie Freudowi nieufność lub nawet lekceważenie dotychczasowego dorobku psychologji, a odrzucić

trzeba monizm popędowo seksualny. Autor usiłuje incidenter rzucić pewien pomost w punkcie dynamizmu nieświadomości między Freudem a filozofją perypatetyczną (Arystoteles i św. Tomasz z Akw.).

Dzięki wszechstronnemu i pragmatycznemu opracowaniu tematu, dzięki bezpośredniej styczności z dziełami Freuda (liczne cytaty), dzięki operowaniu jego konstrukcjami i terminologją, książka może spełniać rolę wstępu do studjum psychanalizy Freuda, jako teorji psychologicznej. Przekład naogół dobry. Lektura trudna z racji trudności samego tematu, ale może rugować czy też uzupełniać oraz łagodzić jednostronną i szkodliwą znajomość Freuda, jako twórcy monizmu seksualnego, upoważniającego rzekomo do zupełnej licencji obyczajowej w tej dziedzinie.

Ks. Z. Goliński.

Dr. Henri Bon: Précis de médicine catholique. Paris. Alcan 3 ème mille 1936 str. 768.

Istniejące już od lat 40 zgórą zrzeszenie francuskich lekarzy katolickich opracowało w swym Biuletynie całe mnóstwo tematów z pogranicza medycyny i teologji. Na formalny i bardzo obszerny podręcznik medycyny katolickiej zdobył się dopiero świeżo jeden z najczynniejszych członków owego zrzeszenia, prezes dzielnicowego oddziału Franche — Comté. Dzieło to przynosi prawdziwy zaszczyt Francji. Pierwszorzędna wiedza medyczna, oparta nietylko na długim doświadczeniu, ale na bardzo obszernej literaturze — w książce cytowano około 600 dzieł i rozpraw — a obok tego doskonała orjentacja w nauce katolickiej, aż do ostatnich orzeczeń Stolicy św. lub kongregacyj rzymskich. Cała praca jest wymownym dowodem nietylko tego, że lekarz może być i w swoich wierzeniach i w praktyce zawodu, wzorowym katolikiem, ale i tego, że prawdziwa religijność podnosi ze wszech miar godność, powagę, przymioty umysłu i serca, jakich powołanie lekarskie wymaga. Dzieło Dra Bon, nawiasem mówiąc dobrze znanego w Polsce z jednego z ostatnich międzynarodowych zjazdów naukowych, tem tylko grzeszy, że materjał wprost olbrzymi stara się wcisnąć w tom obszerny wprawdzie, ale jeden. Żeby zdać sobie sprawę z niezmiernego bogactwa zagadnień, jakie autor w dwunastu częściach swej pracy rozbiera, wystarczy powiedzieć, że chyba niema kwestji interesującej katolika a dotykającej jakkolwiek wiedzy medycznej, która nie byłaby tu objaśniona. Stosunek fizjologicznych czynności do ascezy i mistyki, rozpoznanie cudów i cudownych stanów, telepatja i metapsychika, zaburzenia nerwowe i psychoterapja, obowiązki chrześcijańskie a popęd sekualny, posty, eksperymentacja na ludziach i zwierzętach, wskazówki lekarskie przy udzielaniu sakramentów, etyka we wzajemnych stosunkach lekarzy — to może setna część niezliczonych

tematów, które Dr. Bon porusza. Oczywiście że nie może ich zgłębić, ale w każdej ważnej czy tylko ciekawej kwestji znajdzie katolik jasne punkty widzenia i religijne i lekarskie, a w razie potrzeby odnośniki do obszerniejszej a zawsze pewnej literatury. U nas zwłaszcza, gdzie medycyna jest jeszcze tak bardzo w niewoli pozytywistycznych lub materjalistycznych uprzedzeń może ta książka oddać ogromne usługi. Powinni ją mieć i często do niej zaglądać przedewszystkiem lekarze dobrej woli, nie zamykający zgóry oczu na prawdę i kapłani, którzy w duszpasterstwie ustawicznie muszą dotykać kwestyj z pogranicza medycyny. Ale nadto powinna ta książka być poradnikiem katolickich rodzin w bardzo wielu wątpliwościach czyto małżeńskiego życia, czy wychowania, czy rozmaitych praktyk aż do sportów i kalotechniki włącznie. Na zaznajomieniu się z tem dziełem zyskają wszyscy a nie najmniejszym zyskiem będzie zbudowanie, jakie przynosi tak szczery, prosty, bezwzględny katolicyzm wybitnego lekarza. Ostatnie rozdziały zawierają dokładny pogląd na instytuty, zrzeszenia, przeróżne dzieła, jakie medycyna traktowana w duchu katolickim, stworzyła po całym świecie. Dodać należy, że cena tak obszernego i starannie wydanego dzieła nie jest wysoka, bo wynosi tylko 40 fr. fr. za br. egz.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Fr. I. M. Bocheński O, P.: De cognitione exsistentiae Dei per viam causalitatis relate ad fidem catholicam. (Studia Gnesnensia XIV), Poznań 1936, 16 x 24, str. 244.

Umysł ludzki czytając w wielkiej księdze przyrody może bez pomocy nadprzyrodzonego objawienia poznać istnienie Boga oraz pewne zasadnicze prawdy odnoszące się do Jego Istoty. Ten pewnik filozoficzny jest także dogmatem wiary. Nie znaczy to, że każdy człowiek tą właśnie drogą rzeczywiście dochodzi do takiego poznania, ani też nawet, że każdy pojedynczy umysł ludzki jest do tego dostatecznie rozwinięty oraz znajduje się w odpowiednich warunkach, ani że każdego można skutecznie przekonać o tej prawdzie, lecz jedynie, że rozum ludzki wzięty sam w obiema fizyczną zdolność, przyrodzoną możność zdobycia tego poznania, wzniesienia się ze świata do Boga. Czy poznanie to jest rozumowaniem ze skutku na przyczynę w ścisłem filozoficznem znaczeniu? Czy opiera się na zasadzie przyczynowości sprawczej? Są to dalsze pytania. Co o nich sądzić z punktu widzenia objawienia? Oto temat niniejszej monografji. Czy i o ile samo objawienie obowiązuje nas, byśmy przyjęli, że rozum ludzki może ze świata poznać Boga drogą ścisłej przyczynowości sprawczej?.

Badając poszczególne źródła wiary autor wykazuje, że twierdzenie, iż rozumem przyrodzonem możemy poznać istnienie Boga

jako przyczyny ze skutków, jest również prawdą wiary, gdyż jest zawarte formaliter implicite w Piśmie św. uczy go cała tradycja. Nie zostało dotąd zdefinjowane, ale jest bliskie definicji dogmatycznej, stąd zaprzeczenie jego jest bliskie herezji.

Monografja solidna i pożyteczna. Niech nam wolno będzie zwrócić jednak uwagę na niektóre szczegóły.

W polskim streszczeniu na końcu książki czytamy: „Nacisk kładziemy na poznanie drogą rozumowania z przyczyny na skutek, gdyż sama możliwość rozumowego poznania istnienia Boga jest dogmatem wiary, podczas gdy możliwość przyczynowego poznania zdaje się podlegać jeszcze dyskusji"...

Sądzimy, że zaszła pomyłka tylko przypadkowa, gdyż oczywiście do poznania Boga dochodzimy drogą rozumowania ze skutku na przyczynę a nie odwrotnie.

Twierdzenie na str. 6 „omne ens habere causam proportionatam" jest stanowczo niefortunne i wcale nie metafizyczne. Nie każdy byt ma przyczynę! Autor nazywa to „lex causalitatis, in oppositione ad simplex principium causalitatis, quod non enuntiat nisi omne ens contingens causam habere".

Zasadę przyczynowości należało znacznie gruntowniej przedstawić. Wielu na nią się godzi, ale nie jednakowo ją ujmują. I tutaj może najsłabszy punkt pracy. Jeżeli objawienie każe nam przyjąć, że człowiek może poznać istnienie Boga jako przyczyny sprawczej, to czy tem samem obowiązuje nas do przyjęcia takiego pojęcia przyczyny, jakie znajdujemy w podręcznikach scholastycznych? I jakie jest właśnie to pojęcie?

Niekiedy styl jest nieco niejasny; n. p. str. 9: „Inde duplex habetur difficultas; una obiectiva: quomodo nempe huiusmodi veritas, quasi bis naturalis, cum fide connexa esse possit? Altera methodica: a priori suspicari enim potest, fontes revelationis, dum de exsistentia Dei agunt, vel illam simpliciter ut revelatam asserere, vel ad plus illam demonstrare naturaliter.

W całości praca zasługuje na uznanie.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Prof. Dr. Herman Muckermann: Rodzina wierna prawom natury. Spolszczył M. Pachucki, Poznań. Księg. św. Wojciecha Str. 105.

„Wierność prawom natury", oto hasło, które — wbrew tendencjom eugeniki przedewszystkiem negatywnej, niestety tak silnie podtrzymywanej również przez Polskie Towarzystwo Eugeniczne — podkreśla H. Muckermann, wybitny katolicki eugenik niemiecki. „Natura sama — powiada (str. 3) — tkając pasmo życia, wskazać może, co jest normalne" i ona też może orzec, w jaki sposób „uda się przy najmniejszem marnotrawstwie sił osiągnąć najlepszy dobór obywateli, czyli najwyższą jakość narodu". Tym te-

matem zajmuje się powyższa broszura, którą uważać możemy za praktyczny skrót obszernej pracy tegoż autora p. t. *Kind und Volk*, omawiającej ze stanowiska eugeniki zagadnienie rodziny i w szczególności dziecka. Podstawą zdrowej rodziny jest małżeństwo „zawarte roztropnie i świadomie", przy należytym doborze małżonków z miłości. Co jest potrzebnem, aby miłość ta była trwałą i aby dziecko, jej owoc, przyszło na świat zdrowe, a potem wychowywało się fizycznie i duchowo pomyślnie, o tem mówi parę rozdziałów. Jeden z nich porusza także odwrotną stronę zagadnienia, mianowicie sprawę sztucznych poronień. Ostatni, cenny również rozdział, poświęcony jest wychowaniu seksualnemu dziecka aż do lat dojrzewania.

Wszystkie powyższe problemy poruszone są bardzo zwięźle, ale jasno, powaga zaś autora, mającego już za sobą szereg prac pokrewnych, dodaje im szczególniejszej wagi. Dlatego broszurę tę uważamy za godną polecenia.

W jednem tylko miejscu zdaje nam się, że pod względem rozłożenia treści i zewnętrznego układu zaszło małe niedopatrzenie. Przy zagadnieniu sztucznych poronień na str. 56 powinien dolny ustęp, zaczynający się od słów „Trzeci motyw" otrzymać osobną numerację, jako V-y w danym rozdziale; nadto pomieszano w nim pobudki patrjotyczne i moralne, co osłabia siłę tych ostatnich i to bezwątpienia wbrew intencjom autora, który dobitnie podkreślił je poprzednio na str. 43—44.

Ks. S. Podoleński T. J.

Ks. Henryk Weryński: N i e d z i e l n a S i e j b a. Kielce, Karczówka, 1936. Nakład i druk SS. Służebnic Najśw. Serca Jezusowego. Str. 416 in 8^0. Cena 6.50.

Wydawnictwo „Przeglądu homiletycznego" w Kielcach na 400-lecie urodzin Skargi poświęciło nową „Homiletykę duszpasterską" „opatrznościowemu kaznodziei narodowemu, z gorącem pragnieniem uzyskania w Nim Patrona i Orędownika u Boga dla odrodzenia kaznodziejstwa w Polsce". Podobną dedykację zamieszcza ks. Weryński na wstępie swej *Niedzielnej siejby*. Składa on u stóp ks. Piotra Skargi „chluby Towarzystwa Jezusowego, w kornym hołdzie wiązankę swych kazań niedzielnych".

Nie pierwszy to zbiorek tego Autora. Znany on na niwie kaznodziejskiej ze swych kazań pasyjnych (Testament Zbawiciela), ze swych przemówień przed świętem młodzieży (Młodzi na bój), ze swych wyjaśnień lekcyj mszalnych na cały rok (Zew apostolski). *Siejba niedzielna* zawiera kazania półgodzinne na tle niedzielnych ewangelij całego roku. Styl wzniosły, podział przejrzysty, poruszone aktualne tematy. Zapewniona pomoc dla kaznodziej, owszem i pożyteczna lektura niedzielna dla każdego inteligentnego katolika. Miły hołd jubileuszowy dla Księcia polskich siewców Słowa Bożego.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

R. Bazin: Wśród odmętu, przekł. z franc. Ledegardy Schichtlówny. Ks. św. Wojciecha.

Davidée Birot — tak brzmi tytuł w wydaniu francuskiem, narobiła dużo hałasu we Francji. Mówiono o niej na zebraniach katolików i socjalistów, pisano o niej w La Croix i w L'Humanité, wspominano o niej w sądach i nawet w parlamencie. Jak na owe czasy była to bardzo śmiała książka. Atakowała bowiem szkoły państwowe a więc wychowanie i moralność laicką a równocześnie poglądy większości społeczeństwa wychowanego według etyki Durkheima. Trzeba pamiętać, że w tych latach 1904 — 1914 urzędnik państwowy, praktykujący katolik, miał zamkniętą drogę do awansu, że oficerów katolików stale pomijano przy dorocznem rozdawaniu Legji Honorowej, że stworzono cały system donosicielstwa, który na długi czas zatruł atmosferę wśród biurokacji. Wtedy zrozumiemy odwagę Bazin'a opisującego życie młodej nauczycielki, Davidée, w zapadłej wiosce Ardesji jej walkę z zacofanem i bez zasad moralnych otoczeniem, jej prześladowanie ze strony władz szkolnych za uczestniczenie w pogrzebie uczennicy i za parę słów zamienionych z proboszczem. I właśnie wśród tych zmagań się z przeciwnościami Dawidée, która także otrzymała wychowanie laickie, znalazła drogę do Boga. I nie tylko sama dla siebie tę drogę znalazła; sprowadziła na nią Majolus'a Jacquot, swego narzeczonego, a przedtem kochanka Froziny opuszczonej przez męża. A ponieważ czyn dobry nigdy nie zostanie odosobniony, koło Dawidée zaczęły gromadzić się nauczycielki o zasadach katolickich, pragnące dzieciom dać wiarę, której same z taką siłą bronić musiały. Wkrótce po wyjściu powieści nauczycielki katoliczki założyły związek i nazwały się Dawideuszkami. W tym wypadku życie naśladowało literaturę.

Wśród odmętu warto przeczytać, nie tyle dla wartości artytycznej, powieść ta jest słabsza od późniejszej *Magnificat,* ile dla wartości ideowej i dla nauki.

Ks. Wójcik T. J.

O. Łukasz od św. Józefa Karm. Bosy: Świętość zakonna. Według Przestróg duchownych św. Jana od Krzyża, z oryg. hiszp. przeł. O. Franc. od „Nawiedzenia Karm. Bosy, Kraków 1936. Nakład „Głosu z Karmelu", str. 593.

Niniejsze dzieło jest obszernym komentarzem do dziewięciu t. zw. „Przestróg" św. Jana od Krzyża, w których św. Doktór streszcza całą naukę o prawdziwej doskonałości zakonnej. Komentarz jest oparty prócz licznych tekstów Pisma św., o bardzo wiele wyjątków z innych dzieł karmelitańskiego Doktora i jego matki duchownej, św. Teresy, tu i ówdzie o naukę św. Tomasza z Akwinu. Pisany przedewszystkiem dla Karmelitów, nosi wyraźne cechy karmelitańskiego typu ascezy, ale zawiera myśli tak zasadnicze i bezwzględnie prawdziwe, że może być z pożytkiem

czytany przez zakonników każdej reguły, a nawet przez wybitniej pobożne osoby świeckie. Trzeba jednak zauważyć, że św. Reformator Karmelu, a za nim i jego komentator nie poprzestają na wskazówkach do jakiej takiej, średniej cnoty. I jeden i drugi ma na oku gruntowną, bardzo wysoką doskonałość, polegającą na całkowitem oddaniu się Bogu i zupełnem zaparciu przyrodzonych poglądów, sprzeciwiających się zjednoczeniu z Bogiem, nawet w najtajniejszych kryjówkach miłości własnej. Niema jednak w całej książce żadnej zgoła przesady, niema zwłaszcza ani trochę fałszywego mistycyzmu, który do wyższych rodzajów modlitwy próbuje dojść inną drogą jak ewangelicznego wyrzeczenia siebie. Autor układa przestrogi w trzy grupy, przeciw głównym wrogom postępu: światu, szatanowi i ciału (rozdziały 3 — 19) a nadto, prócz dwóch rozdziałów wstępnych, omawia (rozdz. 20 — 25) zastosowania „przestróg" do potrzeb dzisiejszych czasów. Na końcu dodano krótkie, ale bardzo cenne Rady duchowne św Doktora i takież wskazówki św. Teresy. Całość jest bardzo pięknym nabytkiem dla polskiej literatury ascetyczno-zakonnej. Przekład wogóle poprawny, zyska zapewne w dalszych wydaniach książki, na przejrzystości i stylistycznem wykończeniu.

Ks. J. W.

Ks. Antoni Zawistowski: Boska nauka Jezusa Chrystusa; Lublin 16 x 24, str. 138.

Temat pracy określony jest bliżej na str. 14: „Nauka Jezusa Chrystusa, jako nauka Wcielonego Syna Bożego, musi mieć w sobie wybitne znamiona i sprawdziany swego pochodzenia Boskiego. Wewnętrzne te znamiona, tkwiące wewnątrz nauki Chrystusowej, stanowią wprawdzie współrzędny, lecz zarazem idealniejszy czynnik Boskości religij chrześcijańskiej, aniżeli sprawdziany zewnętrzne — cuda i proroctwa. Z tego stanowiska i z tego punktu widzenia — znamion stwierdzających Boskie jej pochodzenie — będzie tu omówiona nauka Jezusa Chrystusa".

W tych zdaniach mamy zarazem próbkę stylu Autora. W siedmiu rozdziałach omawia on konieczność objawienia, ogólne znamiona nauki Chrystusowej, prawdy dogmatyczne, naukę o królestwie Bożem, naukę etyczną, dynamologję i eschatologję Chrystusa niezmienność nauki Jego. Niebardzo rozumiemy, dlaczego nauka o królestwie Bożem oraz eschatologja nie należą również do „prawd dogmatycznych", ponadto autor zbyt utożsamia pojęcie królestwa Bożego z pojęciem Kościoła. Pierwsze jest znacznie szersze i bogatsze. Czy możnaby w „Ojcze nasz" zastąpić drugą prośbę przez słowa: „Przyjdź Kościół Twój"?

Zewnętrzna forma dziełka jest wyśmienita.

B. B.

X. Nikodem Cieszyński: Na przełęczy. Zbiór króciutkich kazań i rozważań na tle ewangelij niedzielnych całego roku. Poznań. Nakładem Autora. 1936. str. 220.

W przedmowie do niniejszego zbiorku jaknajsłuszniej oświadcza się autor za kazaniami krótkiemi, które z wielu względów coraz bardziej wchodzą w użycie. Im krótsze jednak kazanie, tem jaśniej powinien mówca zdać sobie sprawę, co właściwie chce powiedzieć i tem ściślej powinien sobie wytknąć cel i rozkład swej przemowy. W kazaniach, które mamy przed sobą, na jednem i drugiem zdaje się zbywać. Jak tytuły są brzmiące lecz nie dość określone (W splotach tragizmu, W kręgach tajemnic, W zakamarkach niewiary, W sidłach pychy itd. itd.) tak w samych kazaniach zaledwie można znaleść jakkolwiek obrobiony temat. Nie bardzo też widzimy czemu ma zawdzięczać omawiany zbiorek nieco sztuczny tytuł „Na Przełęczy" skoro tematy nie mają nic specjalnie wspólnego z wielkiemi zmianami, jakie w obecnej chwili dokonywują lub przygotowują się w życiu ludzkości. Skądinąd nie brak w tych kazaniach luźnie rosypanych trafnych uwag, które mogą przydać się kaznodziejom. Oparcie kazań o ewangelję jest bardzo wiotkie.

Br. Gr.

Linus Bopp: Liturgie und Lebensstil. Buch der geweihten Lebenskreise. Herdern u. Co. 1931. str. 188 in 8^0.

Nie ulega wątpliwości, że niwelujący wpływ dzisiejszej kultury nadaje życiu dużo pospolitości. Jako cel niniejszego dziełka zakłada sobie autor naprawę „stylu" życia w przeróżnych objawach indywidualnych, rodzinnych, społecznych itp, a ową naprawę usiłuje urzeczywistnić przez głębsze zaznajomienie czytelników ze skarbami liturgji. To zastosowanie liturgji do życia przychodzi autorowi tem łatwiej, że pojmuje ją bardzo szeroko, prawie tak szeroko, jak samo chrześcijaństwo. Rzecz jasna więc, że w ogromnej rozpiętości katolickiego dogmatu i nauki obyczajowej, w żywotach świętych i katolickich zwyczajach z ich liturgicznemi oddźwiękami, nie może braknąć wzorów, wskazówek, do wszechstronnego uszlachetnienia życia. Niema w dziełku dużo ładu, ale jest wiele ciepła i świeżości. Różne myśli można z pożytkiem obrabiać na zebraniach katolickich stowarzyszeń.

J. R.

Wacław Lipiński: Wielki Marszałek (1867—1935) Warszawa. Gebethner i Wolff. 1935. str. 230 in 8^0.

Żołnierz niegdyś pierwszej Brygady, wybitnie czynny członek obozu Marszałka, sekretarz wreszcie Instytutu dla badania najnowszych dziejów Polski, Mjr. Dr. Lipiński miał wszystkie dane po temu, by wiernie nakreślić obraz Wodza, pod którym

tyle lat pracował i dla którego żywił tak głębokie uwielbienie. Ze swego też stanowiska nakreślił ten obraz wspaniale. Postać Marszałka wychodzi z pod jego pióra bardzo żywo i plastycznie a w rozmiarach wprost olbrzymich. Jeśli ujęcie i oświetlenie, jakie w książce swej stosuje autor odpowiadają rzeczywistości, to nie można dziwić się ludziom, którzy Marszałka uważają za jednego z największych mężów nietylko dziejów Polski, lecz świata. Niestety jest rzeczą zupełnie widoczną, że przedstawienie mjra Lipińskiego jest jednostronne, bo natchnione bezgranicznym podziwem, który wszystkie bez wyjątku czyny wielkiego Wodza uważa za godne najwyższej pochwały. Według autora Marszałek Piłsudski nietylko nigdy się nie pomylił, ale zawsze szedł po linji intelektualnie i moralnie najwyższej. Że tę ocenę bezstronna historja kiedyś sprowadzi do właściwych rozmiarów, to wątpliwości nie ulega. Marszałek z pewnością na zawsze pozostanie olbrzymem rozumu i charakteru, pozostanie człowiekiem, któremu Polska więcej może zawdzięcza niż komukolwiek innemu, ale pokaże się, że w tem i owem uległ przecież słabości ludzkiej i postąpił w sposób, którego ani podziwiać nie można ani naśladować nie należy. Zastosowanie do dziejów i osoby Marszałka objektywniejszej miary dopomogłoby może do tego, żeby to, co było w nim nieporównanie wielkie zyskało sobie w narodzie ogólniejsze uznanie.

T. K

Józef Piłsudski, pisarz, wydawca i drukarz. Kraków 1936 Wydali bibljofile i bibljotekarze krakowscy. Nr. 140 in 4⁰. z 18 ilustracjami.

Do wielu wydawnictw, poświęconych uczczeniu wielkiego Marszałka przybyła bardzo cenna pozycja. Prześliczne, niezmiernie staranne wydanie, które przynosi zaszczyt zarówno Towarzystwu Miłośników książki, jak znanej z artystycznych robót Drukarni Narodowej, składa hołd pamięci Wodza narodu, przedstawiając w interesujących fragmentach działalność jego pisarską i wydawniczą. Na wstępie wyjątki z głośnej „Bibuły" samego Bohatera, potem prace: K. Czachowskiego „Pisma Józefa Piłsudskiego", A. Dobrodzickiego „Z notatek", St. Konopki „Józef Piłsudski wśród książek", Wł. Malinowskiego „Nieznane wystąpienia publiczne J. Piłsudskiego", H. Orsza-Radlińskiej „J. Piłsudski jako prelegent Uniw. ludowego, K. Rożnowskiego „Wspomnienie z tajnych drukarń Robotnika w Wilnie i Łodzi", Z. Wasilewskiego „J. Piłsudski w drukarni i redakcji". Nakoniec daje St. Giza bardzo dokładne zestawienie prac Marszałka, począwszy od wydawanej w r. 1880, ręcznie pisanej gazetki p. t. „Gołąb Żułowski". Całość w której bliscy Marszałkowi ludzie zawarli dużo barwnych i ciekawych wspomnień jest bardzo wartościowym przyczynkiem do charakterystyki i dziejów Wodza narodu. Zawsze ta sama niezłomna energja i czysta, płomienna a rozumna miłość, nie żadnej

partji, lecz Ojczyzny. Najcenniejsza i najlepiej ze wspomnianych wyżej, napisana jest przez K. Rożnowskiego. Nieomal widzi się ówczesnego towarzysza „Wiktora" przy konspiracyjnej robocie grupującej się wtedy koło wydawnictwa „Robotnika", ale czuje się, że jego myśli i ideały już w tym czasie sięgają daleko poza ściśle partyjny program. Wartości książki, podnoszą wyborne ilustracje kolejno urządzanych tajnych drukarń, kart tytułowych wydawnictw, ex-librysów Marszałka itp.

K. B.

M. M.: Z. S. S. R. Rzeczywistość. Wydawn. kwartalnika „Wschód", Warszawa, 1936, str. 79.

Broszura powstała z feljetonów-kronik, w kwartalniku *Wschód* umieszczanych. Pisane z ciętą a zasłużoną ironją, kroniki M. M. przeprowadzają tezę, że pod płaszczykiem komunistycznej frazeologji, coraz to nowych a zawsze pod patronat Marxa-Lenina stawianych haseł, bolszewizm dokonuje u siebie restauracji dawnej nacjonalistycznej Rosji, dawnej pańczyźnianej egzystencji chłopów, i po dawnemu dąży do osłabienia innych krajów (obecnie przez propagandę „Kominternu") na rzecz Rosji. Zmieniło się słownictwo, dekoracje zewnętrzne, ale pozostała istotna treść Rosji, która we wszystkich przemianach jest niezmienna. Wywody autora, może czasem nieco przeciągnięte, naogół są bardzo wnikliwe. Broszura zasługuje na rozpowszechnienie.

J. U.

Piotrowicz R.: Zagadnienie abisyńskie a polskie tezy kolonjalne. Warszawa 1935 r. II wydanie, str. 82 in 8

Autor omawia bardzo dobrze warunki geograficzne Abisynji. Sprawę naprężenia stosunków włosko-abisyńskich przedstawia dosyć dokładnie i stara się być objektywnym; w osobnych rozdziałach omawia stosunki kolonjalne całego świata i znaczenie kolonjalnej polityki dla Polski.

Konflikt włosko-abisyński musiał powstać z powodu rozwoju wszystkich państw w latach powojennych.

Zdaje się że Autor czerpał rzecz z prac zagranicznych i nie wiadomo dlaczego nie starał się spolszczyć wyrażenia „zona klimatyczna" na „sfera klimatyczna," lub zamiast „ilość" mówi „kwota" eksportowa. Mapka na końcu umieszczona suponuje znajomość Abisynji, bo podaje tylko nazwy prowincyj i jednej rzeki: Nil błękitny oraz miast: — Dżibutti — Masawa — Asmara — Addis Abeba, jezioro Tana.

To wszystko za mało. Również za mało troskliwości o korektę tekstu, a i technika drukarska powinna być lepszą.

K. K.

Ks. Ildefons Bobicz: Służba Boża. Piętnaście kazań liturgicznych. Kielce. Karczówka. Str. 180 in 8°.

Celem tych kazań jest elementarne wprowadzenie bardzo prostych parafjan w liturgiczne życie Kościoła. Kaznodzieja poucza zkolei o publicznej modlitwie Kościoła ogólnie wziętej, o domu Bożym i jego częściach, o sprzętach, szatach, osobach, o księgach i języku liturgicznym, a potem objaśnia w jednem kazaniu godziny kanoniczne, w siedmiu zaś części składowe i obrzędy mszy świętej. Cztery ostatnie kazania poświęcone są wytłumaczeniu obrzędów sakramentalnych i wogóle obrzędów kościelnych, oraz znaczeniu uczestnictwa wiernych w nabożeństwach, zwłaszcza niedzielnych. Wykład, jak zwykle u Ks. Dra Bobicza, bardzo popularny. W stylu znać miejscami pośpiech i pewne zbywanie łatwego skądinąd tematu. Zalecenie życia liturgicznego przekonywujące, choć nie wolne miejscami od przesad, które byłoby trudno teologicznie uzasadnić.

J. R.

Dr. Karol Marcinkowski: Stefan Czarniecki w dobie Potopu Szwedzkiego. Kraków. Geb. i Wolff. 1935. Str. 230.

Bardzo gruntowne, na pierwszych i po części niewyzyskanych źródłach oparte, ale nadzwyczaj miłe studjum, owiane szczerem uwielbieniem dla jednego z największych bohaterów dziejów naszych. Wnikliwą analizą planów wojennych i błyskawicznych ruchów Czarnieckiego, prostuje autor niedokładne lub nieprzychylne wielkiemu Wodzowi relacje czyto współczesnych, czy późniejszych historyków. Rzecz czyta się jednym tchem, jak bardzo interesującą powieść. Powinna ta książeczka rozejść się szeroko, bo i ona, mimo całkiem odmiennego charakteru, pisana jest, jak trylogja Sienkiewicza „ku pokrzepieniu serc".

J. R.

Notatki bibljograficzne.

O. Stefan, bazyljanin: Rozmyślania o Najśw. Marji Pannie na miesiąc maj. Żółkiew, nakł. OO. Bazyljanów. Str. 152 z ilustr.

Tych 31 rozmyślań, obracających się koło osoby Najśw. P. Marji, jej czci, przywilejów i życia, może służyć albo, jak chce autor, jako tęmat do rozmyślania, albo też jako materjał do przemówień podczas uroczystości marjańskich. Rzecz ozdobiona jest sporą liczbą ilustracyj.

Marjan Szyjkowski: Polski udział w czeskiem odrodzeniu. (Próba rekapitulacji). Poznań 1935, Tow. Polsko - Czechosłowackie. Str. 64.

Pod tym samym tytułem wydał prof. Marjan Szyjkowski wielką dwutomową pracę (tom I w r. 1931, tom II w r. 1935,

stron 1300) w Pradze, w języku czeskim. Wykazał w niej, że kulturalny dług Polaków, zaciągnięty w średniowieczu u Czechów został im z nawiązką oddany na początku XIX wieku. Broszura niniejsza jest streszczeniem przez samego autora jego dzieła, w celu udostępnienia szerokim sferom Polski dziejów tej nieznanej ogółowi, a jedynej na Zachód ekspansji duchowej naszej i w celu zbliżenia do siebie obu bratnich narodów.

Józef Stemler: Bibljoteki parafjalne. Zadania — organizacja — prowadzenie. Płock 1935, Diec. Instytut Akcji Kat. Str. 60.

Zwięzła ta broszura będzie bardzo pomocną dla organizatorów bibljotek parafjalnych. Autor tłumaczy ich zadanie, daje wskazówki organizacyjne, dotyczące doboru książek, pomieszczenia i prowadzenia bibljoteki, uczy, jak urządzać komplety ruchome i podaje projekt regulaminu bibljoteki parafjalnej.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji.

Nakładem różnych:

A. Peillaube: Caractère et personalité. Paris, Pierre Téqui. Str. 222.

Jacques Maritain: La philosophie de la nature. Paris Pierre Téqui. Str. 146.

R. Lortal P. S. S.: Morale sociale générale. Paris 1935, P. Téqui. Str. 203.

Eug. Duplessy: Le pain des grands, tome II. II-e édition. Paris 1935, P. Téqui, str. 330.

Św. Augustyn: Wybór kazań. Poznań 1936. Str. XXXVIII+60.

Pamiętnik siódmego Zjazdu w Wilnie. 19. IV. — 21. IV. 1933. Związek Zakładów Teologicznych w Polsce pod wezwaniem św. Jana Kantego. Wilno 1934. Str. 415.

Rezolucje zebrania obywatelskiego w Warszawie 26 kwietnia 1936. W sprawie niebezpieczeństwa czesko-bolszewickiego i konieczności ścisłego sojuszu polsko-węgierskiego. Nakładem mies. „Nasza Przyszłość". Warszawa, czerwiec 1936. Str. 31.

Jean Marquès-Rivière: Wolnomularstwo a szkoła. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej. Katowice 1936. Str. 68.

Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XXI. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1936. Str. XVIII+453.

Organon. International Review — Revue internationale. Tom I. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1936. Str. VI+304.

F. A. Ossendowski: Huculszczyzna. Wyd. Polskie, R. Wegner, Poznań, str. 230.

A. Ehl-Creusen: Direction spirituelle des Religieuses. Bruxelles, Desclèe, 1936, str. 349.

St. Szuman, J. Pieter, H. Weryński: La Psychologie des Idées de la Jeunesse sur le monde. Varsovia 1635, str. 52.

Stanisław Piasecki: Postępy przemysłu cynkowego na Śląsku za czasów polskich. Wyd. Inst. Śląskiego, Katowice 1936, str. 56.

Władysław Dzięgiel: Król Polski Zygmunt I na Śląsku. Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 22.

Roman Jakimowicz: Kultura Śląska w zaraniu dziejów w świetle wykopalisk. Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 35.

Michał Alberg: Cynk, Ołów i materjały pochodne. Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 85.

Walenty Rożdzieński: Officina ferraria wydał Roman Pollak, Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 113.

Ludwik Mussot: Zniemczone nazwy miejscowości na Śląsku. Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 43.

Henryk Barycz: J. S. Bandtkie a Śląsk. Wyd. Inst. Śląskiego. Katowice 1936, str. 54.

Jan Marski: Małżeństwo wierne naturze. Kalendarz małżeński. Poznań 1936. Wyd. II.

Ks. Dr. K. Kowalski: Obowiązek i charakter pracy dla Kościoła. Lublin 1936, str. 14.

O. J. Schrijvers C. S. R.: Orędzie Jezusa do swego kapłana. Tuchów, str. 144.

Dr. Jan Hupka: Z czasów wielkiej wojny. Niwiska 1936, str. 464.

Dr. Mieczysław Skrudlik: Cudowny obraz Matki Boskiej Świętogórskiej. Gostyń, str. 55.

Pierre Lorson S. I.: Voyages en chrétienté. Première serie Angleterre, Pologne, Suisse, Allemagne. Éditions „Alsatia" Paris. str. 261 in 8^0.

Ks. Dr. W. Padacz: Podstawy prawne istnienia i działalności zrzeszeń katolików świeckich. Seminarjum Metropolitalne w Warszawie. str. 48. in 8^0.

Ks. Dr. Augustyn Jakubisiak: O wolność synów Bożych. Rozważania na tle ewangelji. Łódź. Towarzystwo Kultury Katolickiej. str. 208. in 8^0.

Miecislaus Haiman: The Poles in the Early History of Texas. Polish R. C. Union of America Clicago IU. str. 64. in 80^0.

Ks. Dr. Michał Sopoćko: Miłosierdzie Boże. Wilno. str. 20 in 8^0.

Ks. Dr. Leon Stefan Skibniewski: Psychologiczna dyagnoza powołania kapłańskiego Lwów. str. 50 in 8^0.

O. M. Karoweć: Bazyljanin. Wełyka Reforma czyna cu. Wasyłyja w. 1882. Czastina Tretia. Żółkiew. str. 516 in 8^0

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pierwszy synod plenarny Rzeczypospolitej Polskiej. — Rozważania na tle hiszpańskich wypadków. — Czy katolicy mogą liczyć na pomoc Trzeciej Rzeszy?

Zebrania Pasterzy Chrystusowej owczarni, Biskupów, były w Kościele po wszystkie czasy niezawodnym środkiem do spotęgowania religijnego życia. Od owego pierwszego soboru w Jeruzalem, na którym mniejwięcej w lat dwadzieścia po wniebowstąpieniu Pańskiem rozstrzygnęli apostołowie ważną kwestję, stosunku nawracających się pogan do zobowiązań Mojżeszowego prawa, przez cały ciąg dziejów Kościoła były ogólne i cząstkowe synody źródłem światła w nasuwających się wątpliwościach, potężną obroną przeciw powstającym błędom, wzmocnieniem wiary i ożywieniem pobożności, najskuteczniejszym sposobem do silniejszego zjednoczenia członków hierarchji tak wzajem ze sobą, jak z Zastępcą Chrystusa, najwyższym Pasterzem całego chrześcijaństwa. I na odwrót, można to wyraźnie stwierdzić w historji Kościoła, że w tych krajach czy prowincjach, gdzie przez czas dłuższy nie urządzano żadnych synodalnych zebrań, życie katolickie zaczynało chylić się ku upadkowi i wykazywać różne niedomagania.

Odrodzona Polska nie mogła długo pozostać bez swojego synodu. Pod rządami tak licznej, jakiej nie mieliśmy nigdy, oraz tak światłej i gorliwej hierarchji, zbyt silnie zaczynało pulsować nasze życie religijne, a z drugiej strony natrafiało ono lub mogło natrafić w bliskiej przyszłości na zbyt wiele niebezpieczeństw, żeby miało się obejść bez tego uroczystego zebrania Biskupów, któreby na lata całe powzięło potrzebne postanowienia i wytknęło kierunki pracy. Wielką zasługą Najdostojniejszego Episkopatu jest, że zaczął

nie od synodów diecezjalnych lub prowincjonalnych, ale wielką, ośmioletnią pracą przygotował odrazu synod plenarny, który oprócz wszystkich prowincyj kościelnych łacińskich, zgromadził i przedstawicieli innych obrządków. Bo tylko taki synod mógł naprawdę odpowiedzieć pewnym ogólnym potrzebom Kościoła w Polsce, t. j. potrzebie większej niż dotąd, unifikacji naszego religijnego życia, noszącego jeszcze ślady rozerwań zaborczych i usunięcia pewnych niedomagań, które zwłaszcza w obecnem położeniu kraju mogły nam wyrządzić wielkie szkody. Wolno zresztą mieć niepłonną nadzieję, że za tym synodem plenarnym pójdą inne, prowincjonalne i diecezjalne, które ogólne jego postanowienia silniej jeszcze podkreślą oraz do konkretnych warunków dzielnicowych i lokalnych zastosują.

Jak wiadomo już z prasy codziennej, synod wypadł bardzo okazale. Złożył się na to i wybór przez Ojca świętego tego Kardynała na Legata a latere, który przez długi pobyt w naszym kraju zawiązał z nami tak serdeczne stosunki, i wyjątkowo liczny udział księży Biskupów, z których kilku zaledwie na pięćdziesięciu siedmiu przybyć nie mogło, i zawezwanie całego grona kapłanów z poza Episkopatu, t. j. prowincjałów zakonnych, delegatów kapituł i uniwersytetów, prawników wreszcie i teologów, a nakoniec ogromny napływ pobożnych, którzy mimo zmiennej, a chwilami fatalnej pogody, wielotysięczną, rozmodloną rzeszą otaczali zebranych Pasterzy. Mile też uderzała obecność, przy powitaniu Legata, licznych władz cywilnych i wojskowych, a na pierwszem synodalnem nabożeństwie w kościele, Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wraz z kilku przedstawicielami specjalnie zaproszonych wybitniejszych osobistości katolickich. Nadewszystko jednak dodawało uroku synodowi samo miejsce zebrań, kochana, najmilsza Jasna Góra. W tej duchowej stolicy Polski, tak pełnej świętych wspomnień, tak opływającej łaską Bożą, tak budującej dzisiaj wzorowem zakonnem życiem mieszkańców klasztoru, czuło się prawie namacalnie najsłodszą opiekę Królowej Korony Polskiej nad tym pierwszym w odrodzonej Polsce plenarnym synodem i miało się wrażenie, jak pięknie zauważył w swej pierwszej przemowie Kardynał Legat, że powtarzają się te czasy, kiedy w wieczerniku zebrani byli apostołowie z Maryją, Matką Jezusową.

Same uchwały synodu nie mogły oczywiście być układane na podorędziu, ale były przygotowywane oddawna i doręczone uprzednio wszystkim członkom w osobnej broszurze, zawierającej oprócz miarodajnego tekstu łacińskiego, także i przekład polski. Jednakże przy odczytywaniu na sesjach tego gotowego projektu, nietylko Księża Biskupi,

mający głos decydujący, ale wszyscy wogóle zebrani, posiadający zresztą głos tylko doradczy, mieli najpełniejszą swobodę zgłaszania poprawek, a nawet znaczniejszych zmian, z których wiele po wyczerpującej dyskusji przyjęto. Dyskusję prowadził po mistrzowsku Jego Eminencja Ksiądz Prymas, a nierzadko sam przewodniczący synodu Ksiądz Kardynał Legat, który dał przytem dowód wybornej orjentacji w naszych stosunkach.

Co się tyczy samej treści powziętych postanowień, rzecz prosta, że zadaniem cząstkowego, nawet plenarnego, synodu nie może być określanie nowych prawd wiary ani też wprowadzanie zasadniczych zmian w przyjęty powszechnie system praw i dyscypliny kościelnej. Cząstkowe synody to tylko mają na oku w swych uchwałach, żeby z całego skarbu prawd, ustaw, zasad, przepisów i praktyk katolickich jedne nanowo przypomnieć duchowieństwu i wiernym, inne szczegółowiej zastosować do wymagań miejsca i czasu, inne jeszcze, w miarę potrzeby obostrzyć i specjalną sankcją opatrzyć.

U nas w Polsce nie mogło chodzić ani o usunięcie jakichś wielkich nadużyć, bo tych, Bogu dzięki, nie było, ani o zasadnicze jakieś reformy, bo nie było ich potrzeba. Chodziło tylko o to, by to mnóstwo dobrego, które jest w naszym katolicyzmie, ugruntować, rozszerzyć, skoordynować i silniej zespolić, a zarazem oczyścić z pewnych usterek, głównie stąd pochodzących, że Kościół polski pod rządami zaborców nie miał ani potrzebnej sobie swobody, ani własnej, jednolitej organizacji. Dlatego to obejmuje synod w swych uchwałach, nie tę tylko lub ową dziedzinę, ale całokształt religijnego życia kraju, podając w osobnych rozdziałach przepisy i wskazówki dotyczące życia i działalności duchowieństwa we wszystkich jego stopniach, życia wiernych, nietylko indywidualnego i rodzinnego, ale publicznego i społecznego, prasy, wychowania i nauczania religijnego. Akcji katolickiej, praktyk pobożnych i tp. Wszystkim zaś postanowieniom ta jedna myśl przyświeca, by Kościół polski wzmocniony i ożywiony, mógł skutecznie stawić czoło niebezpieczeństwom tak komunistycznej zarazy, jak z zewnątrz i z wewnątrz napierającej bezbożności.

Uchwały Jasnogórskiego synodu będą jeszcze musiały pójść do Rzymu dla ostatecznego zatwierdzenia, przez świętą kongregację Soboru, stamtąd wrócą jeszcze do ogólnej konferencji Episkopatu i dopiero potem ogłoszone zostaną. Ale chociaż z tego powodu jeszcze mniejwięcej rok upłynie zanim nabędą mocy obowiązującej, już dzisiaj można uważać wielkie dzieło za zasadniczo skończone. Dlatego też już dzisiaj, jak towarzyszyło Pasterzom swoim modlitwą, tak powinno całe

społeczeństwo katolickie odnieść się do nich, do Legata papieskiego i do Ojca świętego z najżywszą wdzięcznością. To bowiem, co w dniach 25 i 26 sierpnia bieżącego roku stało się na Jasnej Górze, będzie dla kraju na długie lat dziesiątki a może i na całe wieki obfitem źródłem błogosławieństw Bożych. Jak my dziś patrzymy wstecz na te wielkie synody minionych stuleci, które jakby kamienie milowe znaczą pochód katolicyzmu w Polsce, tak przyszłe czasy przypiszą naszemu synodowi położenie mocnych podstaw pod odrodzenie wiary w zmartwychwstałej Ojczyźnie.

Kiedy w zeszycie majowym bieżącego roku pisaliśmy na tem miejscu o „tragedji Hiszpanji", przewidując z objęcia władzy przez front ludowy najgorsze następstwa, całe mnóstwo dzienników, nie tylko lewicowych, w kraju i zagranicą, uspokajało opinję, głosząc, że w Hiszpanji dzieje się wszystko jaknajlepiej i że po nowym rządzie można oczekiwać tylko wielorakiego dobra. Nie wahano się nawet wszelkim alarmującym pogłoskom nadawać nazwę zorganizowanej kampanji kłamstw i oszczerstw.[1]) Nie trzeba było jednak długo czekać, żeby „front ludowy" odsłonił swoje prawdziwe oblicze. A odsłonił je tak, że przez cały świat kulturalny przeszedł dreszcz zgrozy i oburzenia. Żadna agitacja antykomunistyczna nie mogłaby była czerwonemu obozowi wyrządzić takiej szkody, jak to, co pod jego auspicjami dokonało się i dokonywa w czerwonej Hiszpanji. Każdemu, kto dobrowolnie oczu nie zamyka, stało się jasnem, że naturalną konsekwencją komunizmu jest jakieś straszliwe odczłowieczenie i powrót do zwierzęcej dzikości, ruina wszelkiej kultury i grób wszystkiego, co kiedykolwiek świeciło ludzkości jako ideał, dźwigający ją w górę.

Krwawe rozruchy i zamachy na Kościół czy też na przeciwników politycznych, nie zaczęły się jak to wmawia swym czytelnikom prasa lewicowa, od wybuchu wojny domowej. Od chwili nastania nowego rządu, który zresztą nie był czem innem, jak tylko narzędziem w ręku wojującego komunizmu, wybuchały ustawicznie w najróżnorodnieszych miejscowościach kraju gwałtowne zamieszki, noszące już te same cechy niesłychanego barbarzyństwa, które potem ogól-

[1]) Tak np. poważne bądź co bądź i nie pozbawione dobrej woli pismo *Esprit*, zamieszczało w zeszycie z 1 maja korespondencję z Madrytu, w której, po ostrych wycieczkach przeciw niepokojącym wiadomościom z Hiszpanji, czytamy dosłownie takie zakończenie: *Non: le Front populaire encadré dans le régime, agissant dans le Parlement et avec son programme d'une modération voisine de la timidité, n'est pas la guerre civile, mais justement tout le contraire. Et le reste n'est que lifferature. Mais une lifferature mensongère et répugnante.*

nie wyszły na jaw w poczynaniach rządowego obozu. Dość powiedzieć, że przez te niespełna trzy miesiące, jakie upłynęły do wybuchu powstania, zniszczono zupełnie blisko sto kościołów po różnych miastach i wioskach, a poważnie uszkodzono prawie trzy razy tyle. A te zbrodnicze zamachy uchodziły sprawcom wogóle bezkarnie, boć przecież jasne było od początku, że i nawa rządowa, nie w innym, tylko w tym samym płynie kierunku.

Ale z tą chwilą, gdy armja marokańska generała Franco wylądowała na hiszpańskim brzegu, by poprzeć powstanie, które równocześnie wybuchło w Nawarze, Biskaji, Galicji, Asturjach i Aragonji, okrucieństwa i szał opętańczy czerwonych zbrodniarzy przebrały już wszelką miarę. Jak cała akcja kierowana była z Moskwy i zasilana moskiewskimi pieniędzmi, tak rozwijała się też na moskiewskich wzorach. Nie wystarczyły masowe rozstrzeliwania i topienia, przypominające potworne pomysły wielkiej rewolucji; zwierzę ludzkie raz rozwścieczone, zapragnęło już widoku nietylko krwi lecz męki. W takiej Barcelonie np., dokąd właściwie nie dotarł front powstańczy rozegrały się sceny jakby żywcem wyjęte z Dantejskiego *Inferno*. Bandy robotnicze, wyjątkowo liczne z powodu inscenizowanej przez Moskwę „Olimpiady Proletarjatu" zaczęły od „rekwizycji," tj. prostego rabunku samochodów prywatnych, na których niebawem poczęli rozjeżdżać po mieście uzbrojeni ludzie, siejąc na prawo na lewo setkami strzałów. Inna serja morderstw dokonywała się po domach prywatnych, gdzie motłoch uliczny, pod pozorem rewizji, wywierał swą pomstę na posiadającej klasie. Przedewszystkiem jednak rzucono się na Kościół i jego przedstawicieli. Ponieważ za głowę księdza obiecana była nagroda tysiąca pezetów, a za głowę wybitniejszych działaczy kapłanów trzy tysiące, rozpoczęło się formalne polowanie, w którem cały szereg duchownych za to tylko położył życie, że stał pod znakiem, „któremu sprzeciwiać się będą". Tak jednej lipcowej nocy pochowano zwłoki 300 zgórą kapłanów, wśród nich dwóch biskupów Signenza i Jaen. Zakonnice wywlekano z klasztorów, hańbiono i zabijano, a inne zmuszano do posług w instytucjach rewolucyjnych. Nie brakło też przykładów palenia żywcem na stosach i zadawania innych podobnych męczarni. Żeby zupełnie zlikwidować religję w nowej, komunistycznej republice katalońskiej, ze stu ośmdziesięciu kościołów barcelońskich, a były między niemi prześliczne, stare, pełne bezcennych dzieł sztuki, dwa tylko, czy może cztery, oszczędzono, zamieniwszy je na biura czy składy, a wszystkie inne zburzono zapomocą bomb i dynamitu. Podobnie ginęły i bibljoteki prywatne, wyrzucane oknami przez rabujących bandytów, a potem publicznie pa-

lone na stosach. Po klasztorach rozbijano nawet trumny i bezczeszczono szczątki zmarłych, albo wystawiano szkielety, odziane w habit ku uciesze szalejącej tłuszczy.

Po kilku dniach teroru i masakry całe, prześliczne dotąd i bogate miasto przedstawiało straszliwy widok. Ulice zasłane były trupami ludzi i zwierząt; zewsząd podnosiły się dymy płonących kościołów i mieszkań prywatnych; zatruwał powietrze fetor psujących się ciał, a wśród tych okropności przeciągał z dzikimi okrzykami motłoch pijany zbrodnią, święcąc triumf „swobody i postępu" nad „niewolą i ciemnotą". Krwiożercze instynkty budziły się przedewszystkiem w kobietach, a nierzadko zaprawiano i dzieci do okrucieństwa i wyuzdania.

Podobne sceny rozgrywały się i rozgrywają dotąd w wielu miejscowościach. W Madrycie stracono całe mnóstwo duchownych i obrócono w perzynę wiele kościołów; nieinaczej działo się w Sewilli, zanim dotarły do niej wojska powstańcze a jeszcze gorzej w Maladze; we wiosce Arahal pod Sewillą 25 wiernych z proboszczem na czele, zamknięto w piwnicy, oblano benzyną i żywcem spalono. Dokąd tylko doszła armja rządowa, tam działy się zbrodnie wołające o pomstę do Boga i tam pozostawał ślad przejścia tych istnych potępieńców w postaci zburzonych świątyń i zniszczonych najcenniejszych pamiątek. Dziś jeszcze niepodobna wyrobić sobie dokładnego pojęcia o rozmiarach tego niesłychanego zniszczenia, ale kiedyś, gdy odparta już będzie fala czerwonego barbarzyństwa, przerazi się Hiszpanja na widok nieszczęść, jakie ściągnęły na nią rządy ludowego frontu. Po nieocenionych zabytkach minionych wieków zostaną zgliszcza i ruiny, zmarnowane będą ogromne ilości publicznego i prywatnego dobra; zniszczone będą warsztaty kulturalnej pracy, a przedewszystkiem nazbiera się w duszy taki osad moralnego brudu, zdziczenia, nienawiści wzajemnej, że długiej trzeba będzie pracy, aby te spustoszone pola napowrót uprawić.

Tutaj jednak nasuwa się zasadnicza kwestja. Lewicowe pisma, między innymi z szczególną gwałtownością i polskie, broniąc na całej linji czerwonego rządu, całą winę za niegodziwości, jakich Hiszpanja jest widownią, zwalają na powstańców, czyli, jak zwykle się wyrażają, na „rewoltę", na buntowników przeciw prawowitej władzy!

Zarzut ten, który w coraz to nowych, a perfidnych formach podnoszą wszystkie numery socjalistycznej prasy, ma dwie strony. Strony faktycznej tu roztrząsać nie będziemy, czekając na zupełne wyjaśnienie różnych szczegółów, których zamęt panujący w Hiszpanji z całą dokładnością stwierdzić jeszcze nie pozwala. Zaznaczamy tylko, że wedle bardzo

wiarogodnych świadectw, jakie mamy już w tej chwili, okrucieństwa, zbrodnie i wszelkie ohydy miały miejsce wyłącznie w obozie czerwonych, podczas gdy u powstańców nic innego nie było, jak akty surowej może, ale koniecznej represji. Jeżeli jednak chodzi o merytoryczną stronę kwestji, czujemy się w prawie postawić choćby Redakcji „Robotnika" następujące pytania: Więc to jest rewolta, stawić zbrojny opór bandzie łotrów, mordującej niewinnych i niszczącej kraj cały, a nie jest rewoltą narzucać gwałtem ohydę komunizmu olbrzymiej większości katolickiego ludu? Więc to jest rewolta stawać w obronie tysiącletniej tradycji i najświętszych dóbr narodu, a nie jest rewoltą za moskiewskie pieniądze i pod moskiewską komendą wprowadzać do kraju bolszewickie bezeceństwa? Więc to jest rewolta, hojną ofiarą krwi własnej ratować ojczyznę, staczającą się w przepaść, a nie jest rewoltą podkładać żagiew zniszczenia pod cały gmach państwowego i narodowego bytu? Nie łudzimy się bynajmniej, jakoby zwolennicy ludowego frontu mogli zrozumieć wagę tych pytań, bo niestety nie mamy wspólnego języka; co u nas białe, to u nich czarne i naodwrót. To wszakże powinni zrozumieć, że jeśli swoim przyznają prawo narzucania siłą socjalistycznych czy komunistycznych porządków, to nie mogą żądać od katolików, by bez oporu wkładali szyję w tę obróż, której straszliwą grozę dostatecznie malują obecne dzieje czerwonej Rosji. Kto używa gwałtu, musi być gotów na to, że z gwałtem się spotka. Jak lała się krew we wielu krajach, któremi zaraz po wojnie usiłował zawładnąć komunizm, jak lała się w Meksyku, w Wiedniu, w kilku republikach południowoamerykańskich, tak dziś musi się lać w Hiszpanji i poleje się wszędzie, gdzie próby narzucenia bolszewizmu nie natrafią na zupełną zgniliznę moralną społeczeństwa. Katolicy i wszyscy zwolennicy prawdziwej w świecie kultury nietylko mają prawo, ale, w pewnych okolicznościach i święty obowiązek, z bronią w ręku się przeciwstawić zbrojnym zamachom na swe najwyższe dobra.

I kiedy to czynią, wtedy nie oni są rewoltą, nie oni są wrogami porządku, ale ci, którzy przemocą lub przewrotną grą polityczną czy niesumienną agitacją doszedłszy do władzy, wyzyskują ją na zgubę kraju.

Dlatego też mylą się gruntownie lewicowe pisma, jeżeli sądzą, że ich sposób oświetlania hiszpańskich wypadków komukolwiek trafia do przekonania, prócz tych, co już bez tego przystali wewnętrznie do obozu wrogów wolności i ładu i prawa. Jak ogromna większość hiszpańskiego ludu z nieopisanym entuzjazmem przyjmuje wyzwoleńcze wojska i najofiarniej z nimi współdziała, tak cały cywilizowany świat z bijącem sercem przypatruje się bohaterskim walkom praw-

dziwej Hiszpanji przeciw czerwonym barbarzyńcom i najgoręcej życzy jej zwycięstwa. Ale ponadto można dziś obserwować w świecie inne jeszcze zjawisko. Zbrodnie hiszpańskiego komunizmu napełniły ludzkość takiem oburzeniem, taką odrazą i zgrozą, że coraz potężniej zaczyna odczuwać potrzebę jakiegoś jednego wielkiego frontu i państw i poszczególnych jednostek któryby postawił tamę szerzeniu się czerwonej zarazy i stłumił ją tak, jak stłumiły Włochy, Niemcy, Austrja, Węgry, Portugalja i jak próbują to zrobić inne jeszcze kraje. I niezawodnie musi przyjść do tego, mniejsza o to, czy ten front będzie nosił miano i charakter faszyzmu, czy jakikolwiek inny, bo jest rzeczą zupełnie oczywistą, że największym chyba, jaki był kiedykolwiek, wrogiem ludzkości, jej trucizną, jej ruiną, jej zagładą jest komunizm, z całą rzeszą obałamuconych czy przewrotnych popleczników i obrońców.

Niedawno reprodukowały nasze pisma fotografję zrobioną w Moskwie. Wysoko na niebie unosi się rój samolotów, które składają się razem w rysunek sowieckiej gwiazdy. Do ostatnich czasów ta gwiazda wznosiła się coraz wyżej i świeciła coraz jaskrawiej, zdając się grozić całemu światu, oplecionemu przez Komintern całą siecią tajnych i jawnych wpływów. Pomimo swej olbrzymiej floty powietrznej i tysięcy tanków, pomimo ogromnej liczebności swej armji i niesamowitej wytwórczości swych fabryk, gwiazda sowiecka zaczyna dziś blednąć i spadać. Na wewnątrz rozwija się w czerwonej Rosji gwałtowny kryzys, którego wymownym objawem, a bynajmniej nie zakończeniem, były świeże egzekucje czołowych niegdyś przywódców komunizmu. Na zewnątrz coraz lepiej orjentuje się Europa, jakim niedodarowania błędem było przyjęcie Moskwy do Ligi narodów i traktowanie jej, nie jak wroga ludzkości, ale jak równouprawnionego partnera w grze politycznej i finansowej. Można mieć niepłonną nadzieję, że to zdrowe uświadomienie nie będzie maleć, lecz wzrastać i że powoli wytworzy dookoła rosyjskiego komunizmu tę atmosferę duchową i tę koalicję sił fizycznych, które wreszcie położą tamę postępom tej ohydnej fali zła i fałszu, którą tak wspaniale odmalował, blisko sto lat temu wieszczy umysł autora Trzech Psalmów. Że Polska, przynajmniej u siebie w domu tak energicznie tłumi bolszewicką propagandę, to jest wielką zasługą jej Rządu. Dziwić się trzeba tylko, że ten sam Rząd z taką niewytłumaczoną słabością tolerował fatalne okupacyjne strajki, które pod batutą komunistów, z jednej strony bardzo rozzuchwaliły robotników, z drugiej wyrządziły przemysłowi naszemu wielkie szkody, a powtóre, że tak bardzo pobłażliwie odnosi się do lewicowej prasy, która całemi garściami rozrzuca zarzewie

rewolucji społecznej. Jeżeli np. taki *Robotnik* czytelnikom swoim tłumaczy, że nie warto łez ronić „z powodu każdego rozstrzelanego generała-zdrajcy, czy każdego klechy, ginącego z ręki oburzonego ludu", to może to być posiew, który wzejdzie kiedyś niepożądanym i dla Rządu, plonem. O szkaradnych artykułach tego pisma możemy ze swej strony to tylko powtórzyć, co ono powiada o tak zwanej „faszystowskiej" prasie, że „wstrętna ta akcja nadaje się tylko pod pręgierz uczciwej opinji publicznej i że każdy uczciwy człowiek powinien te elukubracje odrzucić z pogardą, jako najgorszą truciznę moralną".

Jest to rzeczą aż nadto zrozumiałą, że, kiedy zdano sobie sprawę, że agitacja komunistyczna obejmuje już całą kulę ziemską, sięgając nietylko do Hiszpanji, do Francji, do Belgji, do Grecji, do Czechosłowacji, ale do Chin, do Indyj, do Palestyny, w głąb czarnego lądu, do północnej i południowej Ameryki, w obozie katolickim zaczęto się rozglądać za sprzymierzeńcami do tej gigantycznej rozprawy, jaka w niedalekiej już przyszłości musi się rozegrać między Kościołem a antychrystową, czerwoną Moskwą. Spoglądano oczywiście i najsłuszniej w stronę Włoch, Austrji, Węgier, Portugalji a nawet Japonji. Nie brakło jednak i takich, co tej pomocy spodziewali się i spodziewają od hitlerowskich Niemiec. W tym sensie nawet interpretowano ostatniemi dniami pewien ustęp zbiorowego, z przed tygodnia, orędzia Biskupów niemieckich, jakoby Episkopat zalecał wiernym pewne zbliżenie się do rządu, z chwilowem pominięciem dzielących odeń różnic, by temu rządowi ułatwić ogromną walkę, do jakiej zdaje się zabierać.

Że Niemcy w złamaniu bolszewizmu odegrać mogą wielką rolę i że do tej roli wyraźnie się gotują, to zdaje się wątpliwości nie ulegać. Fantastyczne zbrojenia Trzeciej Rzeszy i nagłe podwojenie armji czynnej przez dodanie drugiego roku służby wojskowej wskazują chyba, wbrew pokojowym zapewnieniom, na jakieś wojenne plany, a płomienna nienawiść do komunizmu, jaką odznacza się hitleryzm, nie pozwala wątpić, kogo te plany mają na celu.

Jeżeli jednak chodzi o kwestję, czy katolicy mogą liczyć przeciw bolszewizmowi na pomoc dzisiejszych Niemiec, trzeba to pytanie rozróżnić. Nieraz widziano już na kartach historji, że Bóg — *ludens in orbe terrarum* — posługiwał się dla osiągnięcia pewnych celów takiemi siłami, które skądinąd nie miały najmniejszej skłonności do wypełniania Bożych zamierzeń. Tak np. zrządził Bóg, wbrew oczekiwaniom ludzkim, że dla wyzwolenia Polski, najpierw Rosja uległa Niemcom i Austrji a potem Niemcy i Austrja mocarstwom

Zachodu. Tak więc mogłoby się zdarzyć, że Trzecia Rzesza stanie się w ręku Bożem biczem na Trzecią Międzynarodówkę, który zada jej cios śmiertelny. Ale jeśli chodzi o świadome rachuby katolików, na podstawie tych danych, jakie ludzkiemu poznaniu są dostępne, byłoby niemałym błędem upatrywać sojusznika Chrystusowej sprawy w obozie, który w gruncie wypiera się chrześcijaństwa w inny sposób, ale niemniej radykalnie niż sam bolszewizm. Rosja ma swoją wiarę w bezwzględny materjalizm i czysto materjalny rozwój ludzkości; Niemcy mają inną wiarę w mit krwi i rasy, ale obie te wiary, z których druga jest małoco mniej materjalistyczna niż pierwsza, są poprostu antypodem chrystjanizmu. Jeśli zwalczają się tak zawzięcie, to w tym antagonizmie chodzi właściwie dużo bardziej o panowanie, którego obie strony namiętnie pragną, niż o ideologję. Czyby więc zwyciężyła w olbrzymiej walce swastyka czy gwiazda sowiecka — o ile Bóg dla jednej i dla drugiej nie obmyśli innej pomsty — Kościół nie mógłby spodziewać się niczego innego, tylko spotęgowanego jeszcze prześladowania. Jeżeli bowiem dzisiaj, gdy rząd hitlerowski musi jeszcze liczyć się z wielu różnemi względami, mimo to śruba ucisku przykręca się coraz bardziej, na cóżby sobie nie pozwalały Niemcy zwycięskie, które, w powodzeniu, nie umieją zazwyczaj zachować żadnej miary? Owszem, skoro dziś jeszcze roztrębują po całych Niemczech równie bezsensowne jak bezczelne oskarżenia Rzymu o bratanie się z komunizmem, po zwycięstwie nad Rosją zaczętoby głosić, że pokonani zostali dwaj sojusznicy i że zasługują razem na przykładną karę.

To też w zbiorowym liście Episkopatu niemieckiego, jaki odczytano świeżo ze wszystkich ambon, nic nie znajdujemy o przymierzu katolików z Hitlerowskim rządem. Ton listu jest może nieco bardziej ugodowy niż w roku zeszłym, jest pod adresem rządu życzenie, żeby dane mu było pokonać komunizm, który w tej chwili jest najgłówniejszym wrogiem cywilizowanego świata, jest zapewnienie, że najlepszym sposobem wzmocnienia rządu byłoby pogodzenie się jego z Kościołem i oddanie mu pełnej sprawiedliwości, ale niema o tem żadnej mowy, żeby katolicy zabiegali o przymierze z narodowym socjalizmem, a tem mniej żeby zabiegali o nie kosztem ofiary z jakichkolwiek zasad. Całkiem przeciwnie Biskupi znów wyliczają wszystkie krzywdy, jakich doznaje Kościół w Trzeciej Rzeszy i żądają ich naprawy. Jeszcze donośniej i energiczniej napiętnował te krzywdy, jakie Hitleryzm wyrządza chrześcijaństwu wydział protestanckiej t. zw. *Bekenntnissynode*, który wprost oświadcza, że pod obecnym rządem nie o co innego chodzi, tylko o „być albo nie być“ całej Chrystusowej wiary.

A więc w obecnem, nad miarę poważnem położeniu, nie trzeba się oglądać za żadnem fałszywem, w najlepszym razie, na krótką tylko metę korzystnem, przymierzem i nie trzeba się spodziewać, że da się Szatana wypędzić przez Beelzebuba, ale trzeba zwracać się w gorącej modlitwie do Boga, by On sam przeprowadził swój Kościół przez jedną, z najniebezpieczniejszych cieśnin, jakie znają dzieje świata.

Ks. Jan Rostworowski. T. J.

II. Międzynarodowy Kongres Lekarzy Katolików w Wiedniu.

(28. V. — 2. VI. 36 r.)

Od 50 lat istniejące Bractwo św .Łukasza, Koźmy i Damiana liczy w całej Francji już przeszło 2000 członków. Na wzór jego powstały w Anglji, Belgji, Holandji, Hiszpanji, Włoszech, Szwajcarji, w Niemczech, Austrji i na Węgrzech Bractwa św. Łukasza, a przed trzema laty w Polsce Zjednoczenie Polskich Lekarzy Katolików, które w Warszawie, Poznaniu, Wilnie i Lwowie ma już zorganizowane Koła oraz nielicznych członków rozsianych po kraju ogółem w liczbie przeszło 100. Dla wszystkich powyższych organizacyj istnieje „Biuro centralne organizacyj narodowych", które z wielką ofiarnością prowadzi w Paryżu Dr. Octave Pasteau. Biuro to zwołało w r. 1935 Pierwszy Kongres Międzynarodowy Lekarzy Katolików do Brukseli, a drugi Kongres w r. b. do Wiednia.

Na Kongres ten zjechało się z krajów wyżej wymienionych przeszło 100 lekarzy i kilkudziesięciu księży i zakonników, pomiędzy którymi było kilku misjonarzy. Pierwszy dzień Kongresu poświęcony był eugenice i sterylizacji, która w Trzeciej Rzeszy Niemieckiej otrzymała sankcje prawne i poruszyła na nowo opinję całego świata lekarskiego. Kongres otwarty przez Dra Höfera, organizatora jego w Wiedniu, powitał w imieniu Ojca świętego Dr. Augustyn Gemelli, Franciszkanin, Profesor psychologji eksperymentalnej i Rektor Uniwersytetu Katolickiego w Medjolanie, który też wygłosił wykład p. t. „Braki i niepewności eugeniki jako uzasadnienie bezpodstawności sterylizacji zapobiegawczej", przedstawiając stanowisko Kościoła Katolickiego, dając zarys eugeniki i eugenetyki oraz ich przeciwieństw, uwypuklając znaczenie studjów nad dziedziczeniem, opisując geny i ich prawa, przeciwstawiając dziedziczenie światu otaczającemu oraz dziedziczeniu rzekomemu, przedstawiając zastosowanie genetyki na człowieku, eliminację umysłowo niedorozwiniętych i zbrodniarzy i dziedziczenie chorób umysłowych. Potem Dr. Ludwik Vervaeck z Belgji mówił „O kastracji z punktu widzenia leczniczego, praw-

niczego, społecznego i moralnego", opierając się na licznych przesłankach historycznych i statystyce, podkreślając ujemne następstwa organiczne, fizjologiczne i patologiczne kastracji oraz wpływ na życie płciowe.

Następnie Dr. E. A. D. E. Carp, Profesor psychjatrji na Uniwersytecie w Leyden (Holandja), mówił na temat „Sterylizacja w sensie negatywnej eugeniki", obawiając się u sterylizowanych uczucia nienawiści do społeczeństwa za ich napiętnowanie, która może się przejawić w rozruchach, a przynajmiej we wzroście przestępczości. Dr. Octave Pasteau z Paryża przedstawił w swym referacie p. t. „Sterylizacja państwowa i materjalizm" ścisły związek, jaki niewątpliwie istnieje pomiędzy tak głęboko w życie jednostki sięgającym zabiegiem a materjalistycznym światopoglądem na życie i człowieka jako narzędzie wytwórczości. Dr. med., phil. et jur. Albert Niedermajer, kierownik działu opieki nad matką ciężarną przy Magistracie m. Wiednia, wygłosił nadzwyczaj wszechstronnie opracowany referat p. t. „Sterylizycja przed forum naukowem i moralnem". w którym, po bardzo dokładnem rozważeniu wszystkich przesłanek naukowych i ścisłych rozważaniach logicznych, doszedł do wniosku, że „sterylizacja jest nietylko niezdatna do podniesienia substancji dziedzicznej, lecz jest eksperymentem szkodliwym i niebezpiecznym. W końcu Dr. Paweł Gantkowski, em. Prof. higjeny Uniwersytetu Poznańskiego, przedstawił „Poglądy polskich lekarzy katolików na niekatolicki bieg myśli w nowoczesnej eugenice i higienie spółczesnej", które są bezwzględnie ujemne wobec sterylizacji.

Drugą część kongresu poświęcono opiece lekarskiej na misjach katolickich. Ogólny pogląd na rozwój tej opieki dał O. P. Bosslet, zastępca dyrektora Instytutu misyjno-lekarskiego w Würzburgu, którego działalność została szczegółowo przedstawiona. Instytut ten wydaje od kilku lat „Rocznik misyjno-lekarski", obejmujący 3—6 arkuszy druku i ciekawe ilustracje z misyj. Następnie Dr. Fernandès-Villela z Belgji mówił „O higieniczno-lekarskiem przygotowaniu misjonarzy", którzy spotykają się z najróżniejszymi chorobami u tubylców i muszą im choć doraźnie pomagać, a sami siebie i owieczki swoje strzec o ile możności od chorób zakaźnych. Potem sekretarka Kongresu, Doc. histol. Zarwisch odczytała referat, nadesłany z Indyj Brytyjskich przez Siostrę Dr. Marję od Najświętszego Serca Jezusowego, „O misji lekarskiej Towarzystwa Jezusa, Marji i Józefa w Guntur (Indje Bryt.)". Następnie Dr. Octave Pasteau z Paryża, sekretarz Biura Centralnego, który na pierwszym Kongresie w Brukseli wygłosił b. ciekawy referat p. t. „Co należy czynić, aby rozwijać pomoc lekarską na misjach?", drukowany w piśmie belgijskim *L'aide médicale aux Missions* z lipca 1932 r., przedstawiający nadzwyczaj

interesującą statystykę szpitali, przychodni, trędowni i przytułków w krajach misyjnych, tym razem mówił „O badaniach lekarskich misjonarzy i praktycznem ich wykonywaniu" stawiając postulat, aby każdy misjonarz był starannie badany przez odpowiednich lekarzy dla określenia jego przydatności w poszczególnych krajach zależnie od jego właściwości ustroju zarówno przed wyjazdem na misje jak również co pewien czas podczas pracy, gdyż bez tych badań misjonarze marnują przedwcześnie swe zdrowie i wtrzymują temsamem rozwój misyj. Potem Dr. Elio Borghese z Padwy przedstawił „Udział Włochów Lekarzy w Misjach Katolickich", cytując wiele nazwisk i cyfr, obrazujących ten udział. W końcu Dr. Franciszek Ksawery Cieszyński z Warszawy opisał „Działalność misyjno-lekarską polskiej prefektury apostolskiej w Shuntehfu (Chiny Północne, prow. Hopei), rozwijaną przez Ks. Dra Wacława Szuniewicza", który rozpoczął swą pracę lekarską jako okulista w Rosji, a zwłaszcza w Woroneżu, od r. 1920—27 rozwijał nadzwyczaj owocną działalność organizacyjno-lekarską jako wzięty pedjatra w Wilnie, od 1927—30 odbył studja teologiczne u Ks. Ks. Misjonarzy w Krakowie, a w r. 1931 rozpoczął swą wspaniałą i wprost nadludzką pracę organizacyjno-lekarską jako okulista a w końcu również jako pedjatra na polskiej placówce misyjnej w Chinach, lecząc setki tysięcy chorych ocznych i szkoląc setki pielęgniarzy i pielęgniarek oraz wielu lekarzy chińskich. Wspaniałe owoce tej pracy, przynoszącej olbrzymią sławę jej wykonawcy i polskiej placówce misyjnej, wyróżnianej przez wizytatorów apostolskich i misjologów katolickich, są podwójne: lekarskie i misyjne. gdyż zjednują serca setek tysięcy Chińczyków dla Chrystusa, dla kultury europejskiej oraz imienia Polski.

Obrady odbywały się w najstarszym i największym klasztorze wiedeńskim „Schottenstift", założonym w r. 1158 przez Benedyktynów szkockich oraz irlandzkich a od r. 1418 zamieszkiwanym przez Benedyktynów niemieckich, którzy w latach 1658—62 wybudowali piękny i olbrzymi kościół w stylu późnego renesansu włoskiego. W drugim dniu Kongresu podczas odczytu Dr. Pasteau przybył Dr. Teodor Innitzer, Kardynał wiedeński, który nie mógł być na otwarciu, z czego uniewinniwszy się, powitał serdecznie uczestników Kongresu, życzył owocnych obrad i zagaił następnie dyskusję nad odczytami, która zajęła całe popołudniowe posiedzenie drugiego dnia obrad. Podkreślić w niej należy przemówienia: Prof. Gantkowskiego, który w związku z odczytem Dr. Fernandès-Villela z Belgji „O higieniczno-lekarskiem wyszkoleniu misjonarzy" przestrzegał przed niem, gdyż medycynę studjować trzeba przynajmniej 6 lat i jeszcze nic się nie wie, jeżeli nie ma się dostatecznego doświadczenia oraz głos Dr. Beckmana z Belgji, który przytoczył życzenie Ojca św., aby kobiety coraz liczniej studjowały medycynę a następnie mężatkom pomagały przy porodach i wychowaniu dzieci.

W następnych dwuch dniach czyli w Zielone Święta odbyła się śliczna wycieczka autokarami do wspaniałych klasztorów w Heiligenkreuz, Mariazell i Melk, z których Mariazell w Austrji odgrywa rolę naszej Jasnej Góry. We wtorek poświąteczny zrana odbyło się zebranie końcowe, na którem uchwalono rezolucje, zobrazowano rozwój narodowych towarzystw lekarzy-katolików oraz ich biura centralnego i przygotowania do następnego Kongresu, który na życzenie Ojca św. ma odbyć się na wielkanoc 1937 r. w Rzymie jeszcze przed zamknięciem ogólno-światowej wystawy prasy katolickiej, otwartej w kwietniu r. b. Po zakończeniu obrad odbyła się jeszcze wycieczka do klasztoru Augustjanów w Klosterneuburg położonego na północ od Kahlenbergu a założonego w r. 1106 przez św. Leopolda, patrona Austrji. Kliniki oraz Zakłady naukowe w Wiedniu zwiedzano przez cały dzień przed obradami zbiorowo a indywidualnie po skończonym Kongresie.

Dr. med. Franciszek Ksawery Cieszyński.

Warszawa

Dzieje Polski w... Texasie.

19 sierpnia zostało odprawionem uroczyste nabożeństwo na tem samem miejscu, na którem przed 82 laty pierwsi osadnicy polscy słuchali pierwszej Mszy św. na ziemi Waszyngtona. W dniu tym również został poświęcony pomnik na pamiątkę tej chwili dziejowej z przed 82 lat. Pomnik ten został podarowany Polakom przez stan Texas. Piękne to były chwile w... Panna Marja, tak bowiem nazwali Polacy swą pierwszą osadę w Stanach Zjednoczonych i nazwa ta pozostanie nazawsze, jako symbol...

Obecny proboszcz parafji polskiej w Panna Marja, ks. Edward J. Dworaczyk, zgotował miłą i niezwykle cenną niespodziankę wychodźtwu polskiemu w Ameryce. Opracował on bowiem i wydał codopiero książkę p. t. *The First Polish Colonies of America in Texas,* opisującą dzieje polskiego osadnictwa w tym Stanie.

Dzieło to, to prawdziwa epopeja pionierstwa polskiego w Ameryce...

Trudno nie czytać z zajęciem i podziwem o tem, co przechodzili i co przecierpieli ci pierwsi osadnicy polscy, którzy ze Śląska przywędrowali w dalekie i odludne puszcze Texasu. Autor nie tylko opowiada o nich zajmująco, ale nadto przedstawia ich życie w licznych rysunkach i fotografjach. Ilustracje te podnoszą ogromnie wartość pracy dzielnego kapłana. Widzimy tam pierwsze domy osadników polskich, ich prymitywne narzędzia gospodarskie, typy pionierów naszych, kościoły polskie i texaskich księży polskich, którzy obecnie rekrutują się już prawie wyłącznie z pokoleń, zrodzonych tam na miejscu.

Czytając książkę ks. Dworaczyka, przekonujemy się, że nie tylko przed 80-u laty, ale i teraz życie w Texasie nie jest ani lekkie ani wygodne dla Polaków. Dodajmy, że ze wszystkich skupisk Polonji amerykańskiej osady nasze w Texasie są może najmniej znane szerszemu ogółowi, głównie z powodu swego położenia geograficznego. Są one bowiem znacznie oddalone od głównych ognisk życia polskiego w Ameryce. Stąd to specjalne znaczenie pracy ks. Dworaczyka, stanowiącej ważny przyczynek do dziejów polskich w Ameryce i bogate źródło informacyj historycznych dla prasy.

Kim jest autor tej cennej pracy?

Jest to bardzo młody kapłan. Ks. Edward J. Dworaczyk, proboszcz parafji Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny w miejscowości Panna Marja, urodził się dnia 7 października r. 1906 w Yorktown (Texas) jako syn Juljusza Dworaczyka i Marji z Jarząbków. Nauki elementarne pobierał w szkołach parafialnych w miejscu rodzinnem. Studja t. zw. klasyczne i studja filozoficzne odbył w St. John's Preparatory Seminary w San Antonio, a teologiczne w St. Meinrad's Seminary i St. John's Maior Seminary. Dnia 15 maja 1930 został wyświęcony na kapłana przez ks. arcybiskupa A. J. Drossaerts'a w kościele katedralnym w San Antonio.

Zrazu pracował ks. Dworaczyk jako wikarjusz z ks. Janem Tokarzem w Panna Marja. Kiedy w pięć miesięcy potem ks. Tokarz umarł, władza duchowna mianowała młodziutkiego ks. D. proboszczem. Samodzielną pracę podjął ks. D. z wielkim zapałem. Dowodem tego zapału jest również wydanie wspomnianej pracy, najeżone różnymi trudnościami natury finansowej.

Książka ks. D. obejmuje 201 stron (cena dwa i pół dolara), zamawiać ją można albo u autora pod adresem; Rev E. J. Dworaczyk, Panna Marja, Karnes County, Texas, U. S. A., albo w firmie wydawniczej: The Naylor Company, San Antonio, Texas, U. S. A.

Ks. H. Weryński

Kraków

Od dnia 1 września b. r. Naczelnym Redaktorem „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO", jakoteż Dyrektorem Wydawnictwa Księży Jezuitów w Warszawie będzie KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 1 września 1936 r.

Spis rzeczy tomu 211.

Artykuły:

Str.

K. Symonolewicz: Zbrojny pokój na Dalekim Wschodzie 3
St. Szczutowski: W ślepych zaułkach gospodarki 23
K. Piwarski: Kardynał Richelieu w świetle najnowszych prac historycznych 37
Wł. Szołdrski C. SS. R.: Z dziejów antyjezuickiego prądu w Królestwie Kongresowem 59
J. Jarzębowski: Duchowe oblicze Traugutta 81
J. Wepsięć: Poglądy filozoficzne Krasickiego 100
T. Grabowski: Literatura Braci Czeskich w Polsce w w. XVI 123
S. L. Skorska: Z wędrówek po Rzymie 140
A. Kowalkowski: Polska epika historyczna w XVII w. . . 151
M. Gumowski: Księżniczka polska opatką niemiecką . . . 164
Fr. Ksawery Cieszyński: Lekarz-katolik w walce o byt 176
J. Ptaszycki: Trwałe wartości politycznego drogowskazu Skargi 257
St. Szczutowski: Na podbój konjunktury 279
T. Grabowski: Literatura Braci Czeskich w Polsce w w. XVI (dok.) 299
J. Jarzębowski: Duchowe oblicze Traugutta (dok.) . . . 313

Przegląd piśmiennictwa.

Chór wieków (J. Birkenmajer) 188
Jędrzej Giertych: Tragizm losów Polski (A. Romer) 191
M. Goldstein i dr. K. Dresdner: Kultura i sztuka ludu żydowskiego na ziemiach polskich (Dr. Około-Kułak) 195
Scritti publicati in onore R. P. Arturo Vermeersch S. J. (Ks. Z. Goliński) 197
Dr. Stanisław Rospond: Jugosławia (J. Birkenmajer) . . . 198
Hitler gegen Christus (Ks. J. Rostworowski T. J.) 200
Marie H. Marzani: Lebendiges Christentum (Ks. H. Weryński) 201
Herminia Naglerowa: Krauzowie i inni. — Ewa Szelburg-Zarem-

Str.

bina: Ludzie z wosku (Zofja Starowieyska-Morstinowa) 202
Myśli Jenerała Wł. Zamoyskiego (J. R.) 208
Z historji starego Krakowa 216
Notatki bibljograficzne: Wydawnictwa „Koła Studjów Katolickich". — Adolf Nowaczyński: Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia. — Brat Albert. — Friedrich-Brzozowska Marja: Zawiłe drogi. — Świat i Życie. — Życiorysy bohaterów czynu. — Ks. Dr. K. Gołębiowski C. SS. R.: Fałszerstwa Dra Mierzyńskiego. — J. de Boistel: Rotary-Klub a Masonerja. — S. Marja Augustyna, Norbertanka: Nowenna do bł. Bronisławy. — Dr. S. Vasz: Das Berner Fehlurteil über die Protokolle der Weisen von Zion. — O. L. Pyżalski C. SS. R.: Dzwon na trwogę. — Biskup K. Radoński: Dni triumfu Eucharystji. — Czuwajcie i módlcie się! 293
Jan Parandowski: Niebo w płomieniach (Rój). — Stanisław Szpotański: Czerwone maki (Hoesick). — Juljan Wołoszyński: Było tak... (Książnica Atlas). — Alina Świderska: Prometeusz i perliczka (Hoesick). — Wanda Melcer: Dwie osoby (Hoesick). — Juljusz German: Wyprawa do raju, II tomy. (Rój). (Z. Starowieyska-Morstinowa) 330
Łowmiański Henryk: Prusy pogańskie (J. Birkenmajer) . 345
Ks. Henryk Folwarski: Erazm Ciołek, biskup i dyplomata (J. Birkenmajer) 348
Daniel Rops: Świat bez duszy (Ks. Edmund Elter T. J.) 350
Jacques Maritain: Sztuka i mądrość (Ks. Z. Goliński) . . 352
Marjan Szyjkowski: Polskie Peregrynacje do Pragi i Karlowych Warów, od Augusta Mocnego do Adama Mickiewicza (Ks. J. Rostworowski T. J.) 353
J. de la Vaissière T. J.: Teorja psychoanalityczna Freuda (Ks. Z. Goliński) 354
Dr. Henri Bon: Précis de médicine catholique (Ks. J. Rostworowski T. J.) 355
Fr. I. M. Bocheński O. P.: De cognitione existentiae Dei per viam causalitatis relate ad fidem catholicam (Ks. Br. Bojułka T. J.) 356
Prof. Dr. Herman Muckermann: Rodzina wierna prawom natury (Ks. S. Podoleński T. J.) 357
Ks. Henryk Weryński: Niedzielna siejba (Ks. Wójcik T. J.) 358
O. Łukasz od św. Józefa Karm. Bosy: Świętość zakonna (Ks. J. W.) 359
Ks. Antoni Zawistowski: Boska nauka Jezusa Chrystusa (Br. G.) 360
Linus Bopp: Liturgie und Lebensstil (J. R.) 361
Wacław Lipiński: Wielki Marszałek (T. K.) 361
Józef Piłsudski, pisarz, wydawca i drukarz (K. B.) 362
M. M.: Z. S. S. R. Rzeczywistość (J. U.) 363
Piotrowicz R.: Zagadnienie abisyńskie a polskie tezy kolonjalne (K. K.) 363
Ks. Ildefons Bobicz: Służba Boża (J. R.) 364

Str.

Dr. Karol Marcinkowski: Stefan Czarniecki w dobie Potopu Szwedzkiego (J. R.) 364
Notatki bibljograficzne 364
Nadesłane 232, 365

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Lipiec-Sierpień: Dalszy rozwój walki z Kościołem w Niemczech. — Wybory belgijskie i płynące z nich nauki. — Z ruchu ludowego w Polsce. — Warszawa ku czci swego Arcypasterza (Ks. J. Rostworowski) 234
Wrzesień: Pierwszy synod plenarny Rzeczypospolitej Polskiej. — Rozważania na tle hiszpańskich wypadków. — Czy katolicy mogą liczyć na pomoc Trzeciej Rzeszy (Ks. J. Rostworowski T. J.) 367
Związek harcerstwa polskiego (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 248
II. Międzynarodowy Kongres Lekarzy Katolików w Wiedniu (Dr. med. Franciszek Ksawery Cieszyński) 377
Dzieje Polski w... Texasie (Ks. H. Weryński) 380